



STEPHEN  
LAWHEAD

Srebrnoreški

Wielki król, Meldryn Mawr, nie żyje,  
a jego królestwo, leży w gruzach.  
Przez kraj przetacza się fala zdrady  
i okrucieństwa. Książę Meldron,  
podżegany przez chciwego i przebiegłego  
Siawna Hy, zgłasza pretensje do tronu.  
Panowanie, władza oraz wybór prawowitego  
króla to główne wątki drugiego tomu trylogii  
*Pieśń Albionu*, opartej na mitologii celtyckiej.  
Stephen Lawhead, znany polskiemu  
czytelnikowi jako autor cyklu  
*Pendragon (Taliesin, Merlin, Artur)*,  
wszedł na stałe do grona czołowych autorów  
współczesnej literatury fantasy.

„Lawhead umieszcza swą jakże poetycką wizję  
w kraju Celtów z wdziękiem i godnością  
strzegących swych praw i obyczajów”.

„Publishers Weekly”

„Autor ukazuje świat żywej wyobraźni w stylu  
przypominającym Tolkiena”.

„Bookstore Journal”

**ZYSK I S-KA**  
**WYDAWNICTWO**

ISBN 83-7150-193-5

Cena 18 zł 50 gr

# **Pieśń Albionu**

Księga druga

**Stephen Lawhead**

# **SREBRNOREKI**

Tłumaczyli Maria Duch i Mirosław Kościuk

Zysk i S-ka  
Wydawnictwo

Tytuł oryginału *The Siher Hand*

Text copyright © 1992 by Stephen Lawhead.

Original edition published in English under  
the title *The Siher Hand* by Lion Publishing, Oxford, England.

Copyright © by Lion Publishing

Copyright © 1997 for the Polish translation

by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c, Poznań

Copyright © for the cover illustration by Rodney Matthews

Rozdziały 1 -22 tłumaczyła Maria Duch, rozdziały 23-39

tłumaczył Mirosław Kosciuk

ISBN 83-7150-193-5

Zysk i S-ka

Wydawnictwo s.c.

ul. Wielka 10,61-774 Poznań

fax 526-326

Dział handlowy tel./fax 532-751

Redakcja tel. 532-767

Printed in Germany by Elsnerdruck-Berlin

Skoro cały świat jest jedynie  
opowieścią, lepiej abyś kupił sobie  
bardziej zajmującą opowieść  
od opowieści mniej zajmującej.  
św. Columba, irlandzki misjonarz w Szkocji

Dla Donovana Welcha

Słuchaj, Synu Albionu, słów przepowiedni:

Płacz i smuć się, głęboki żal jest sądzony Albionowi w trójnasób. Złocisty Król w swym królestwie uderzy stopą o Skalę Niezgody. Robak o ognistym oddechu zażąda tronu Prydainu; Llogres będzie bez pana. Ale radować się będzie Caledon; Stado Kruków zaludni tłumnie jego cieniste doliny i krakanie kruków będzie tam pieśnią.

Gdy zgaśnie Światło Derwyddi, a krew bardów będzie domagać się sprawiedliwości, wówczas Kruki rozłożą swe skrzydła ponad świętym lasem i świętym pagórkiem. Pod skrzydłami Kruków stanie tron. Na tronie tym zasiądzie król ze srebrną ręką.

W Dniu Zmaganiań korzeń zamieni się miejscem z konarem, a świeżość będzie uchodzić za cud. Niech słońce będzie przyćmione jak bursztyn, niech księżyc skryje swoje oblicze: odraza kroczy po ziemi. Niech cztery wichry zerwą się w przeraźliwych podmuchach; niech ten dźwięk wzbije się aż do gwiazd. Prochy Starożytnych zawirują w obłokach; istotę Albionu rozniosą walczące wichry.

Morza podniosą się, grzmiać potężnie. Nigdzie nie będzie bezpiecznej przystani. Arianrhod śpi na swym otoczonym morzem przylądku. Choć wielu jej szuka, nie znajdzie. Choć wielu ją wzywa, nie usłyszy ich głosów. Jedyne czyste pocałunek przywróci ją jej prawowitemu miejscu.

Wówczas rozgniewa się Olbrym Niegodziwości i przerazi wszystkich ostrzem swego miecza. Z jego oczu bić będą płomienie; jego usta ociekać będą trucizną. Ze swą wielką armią splądruje wyspę. Wszyscy, którzy mu się sprzeciwią, zostaną porwani powodzią bezprawia, która wypłynie z jego ręki. Wyspa Potężnych stanie się grobowcem.

A wszystko to nastąpi za sprawą Męża z Brązu, który dosiadając miesiężnego rumaka, miota kłutwą potężną i okrutną. Powstańcie, Mężowie Gwirf weźcie do ręki oręż i zwróćcie się przeciwko zdrajcom, którzy są wśród was. Odgłosy bitwy dotrą pomiędzy gwiazdy na niebie, a Wielki Rok dobiegnie swego ostatecznego spełnienia.

Słuchaj, Synu Albionu: Krew jest zrodzona z krwi. Ciało jest zrodzone z ciała. Ale duch jest zrodzony z Ducha i Duchem na zawsze zostanie. Nim Albion będzie jedynym, Bohaterski Czyn musi być dokonany, a Srebrmoreki musi objąć rządy.

Banfaith z Ynys Sci

## 1. Czarnowidz

Ciało Meldryna Mawra wieźliśmy z górskiej twierdzy Findargad, aby pochować je we Wzgórzu Królów. Trzy konie ciągnęły wóz: kasztan i biały, zaprzęgnięte wspólnie do mar, a czarny je prowadził. Szedłem przy łbie ciemnego konia, prowadząc ciało wielkiego króla na spoczynek.

Z każdej strony mar szło po sześciu wojowników. Kopyta koni i koła wozu były okręcone szmatami, żeby mary bez hałasu przemierzały kraj; broń zasłonięto, pochodnie nie płonęły, aby nikt nie zauważył przejścia pochodu. Wszystko odbywało się w tajemnicy i ciszy, aby kurhan nigdy nie został odkryty i zbezczeszczone przez wrogów.

Gdy noc przesłoniła niebo płaszczem gwiazd, dotarliśmy do Glyn Du, wąskiej doliny jednego z dopływów wpadających do doliny Modornn. Kondukt pogrzebowy wszedł do cienistej górskiej doliny i ruszył wzdłuż płynącej cicho, ciemnej wody. Głęboki wąwóz był mroczniejszy od rozpostartego nad nim firmamentu, jaśniejącego jeszcze nikłym światłem zapadającego zmierzchu. Kurhan majaczył na wzgórzu niczym szczególnie gęsty cień.

U podnóża Cnoc Righ, Wzgórza Królów, roznieciłem mały ogień, aby zapalić pochodnie. Ludzie zajęli miejsca, stając w dwóch długich szeregach po obu stronach ścieżki wiodącej do wejścia do kurhanu. Wówczas zapalono kolejno jedną od drugiej pochodnie. To była *Aryant Ol*, świetlista droga, wzdłuż której niesiono króla do grobowca. Gdy zgromadzili się już wszyscy, rozpocząłem ceremonię pogrzebową, mówiąc:



— Miecz, który niosę u swego boku, był niczym mur, wysoki i mocny — zguba grasujących wrogów! Teraz jest złamany.

Torques, który niosę w swej dłoni, był światłem wnikliwego sądu — ogniem prawej łaskawości jaśniejącym daleko ze wzgórz. Teraz wygasł.

Tarcza, którą niosę na ramieniu, była taczą obfitości w pałacu zasług — pożywieniem herosów. Teraz jest rozłupana, a ręka, która ją trzymała, jest zimna.

Bielejące bladością ciało wkrótce zostanie pogrzebane pod ziemią i kamieniami: Biada mej duszy, król jest martwy.

Bielejące bladością ciało wkrótce zostanie pogrzebane pośród ziemi i dębiny: Biada mej duszy, Władca Klanów został zabity.

Bielejące bladością ciało wkrótce zostanie pogrzebane pod murawą kurhanu: Biada mej duszy, wódz Prydainu dołączy do swych przodków w Kurhanie Bohatera.

Ludu Prydainu! Niech wasze oblicza spłyną żalem, niech przepełni was smutek. Zaświtał Dzień Zmagañ! Bezmierny to żal, przenikliwy smutek. Ucichną radosne pieśni, rozbrzmiewać będą jedynie pieśni żałobne. Niech wszyscy ludzie gorzkie wznoszą żale. Filar Prydainu został zgruchotany. Hala Plemion straciła dach. Orzeł z Findargad odszedł. Nie ma już Odyńca z Sycharth. Wielki Król, Złocisty Król, Meldryn Mawr został zamordowany. Zaświtał Dzień Zmagañ!

Gorzki jest dzień narodzin, albowiem śmierć jest jego towarzyszem. A choć życie spogląda na nas zimnym i okrutnym okiem, to nie odbierze nam ostatniej nadziei. Albowiem umrzeć w jednym świecie, znaczy narodzić się w drugim. Słuchajcie wszyscy i zapamiętajcie!

Mówiąc to, odwróciłem się do wojowników przy marach, i wydałem im rozkaz. Wyprzęgnięto konie, wóz uniesiono i zdjęto mu koła. Następnie wojownicy dźwignęli mary na ramiona i ruszyli wolno w kierunku kurhanu. Szli pomiędzy dwoma szeregami pochodni, niespiesznie zdążając świetlistą drogą ku wzgórzom grobowca.

Kiedy mnie minęły, zająłem za nimi miejsce i zaintonowałem Tren dla Poległego Bohatera. Śpiewałem cicho, powoli, pozwalając,

aby słowa niczym łzy spadały w ciszę jaru. W odróżnieniu od innych trenów, ten śpiewany jest bez harfy przez naczelnego barda, a choć nigdy go nie wykonywałem, znałem go dobrze.

Słowa tej pieśni są ostre, pełne goryczy i gniewu, tak brutalne jak sposób, w jaki przecięto życie bohatera i pozbawiono lud jego męstwa i osłony jego tarczy. Pozwalałem, by słowa trenu płynęły z mych ust swobodnie, wypełniając noc przejmującym smutkiem. Ta pieśń nie niosła pociechy: bił z niej chłód grobowca, plugawość zepsucia, bezsensowność, pustka i daremność śmierci. Wyśpiewywałem gorycz straty, żal i bolesną samotność. Wyśpiewywałem to wszystko, nie unikając twardych słów cisnących mi się na usta.

Ludzie płakali. Ja również płakałem, zdążając powoli Ary ant Ol, i wolno, bardzo wolno zbliżaliśmy się do miejsca pochówku. Pieśń dobiegła końca: pojedynczy ton przeszedł w ostry, dziki krzyk. Był wyrazem gniewu wobec tak okrutnie przerwane go życia.

Mój głos wznosił się w końcowym tonie, przybierając na sile, rozchodząc się wokół, wypełniając noc oskarżeniem. W płucach mnie paliło, bolało mnie gardło; zdawało mi się, że serce pęknie mi z wysiłku. Wibrujący krzyk rozdarł powietrze i poszybował w dal, cichnąc na wysokościach. Zbocza Glyn Du rozbrzmiały urwanym echem, które pomknęło w rozgwieżdżone przestworza niczym włócznia ciśnięta w oko nocy.

Na ten dźwięk wojownicy niosący ciało króla zatrzymali się. Osłabły ich ramiona, mary zniżyły się nagle i zakotływały. Przez moment myślałem, że upuszczą ciało, ale oni po chwili słabości odzyskali równowagę i powoli unieśli mary. Owa straszna chwila lepiej niż słowa mego trenu wyraziła boleść rozdzierającą nam serca z powodu straty.

Wojownicy dźwigający mary podeszli do wejścia do kurhanu. Tam przystanęli, by puścić przodem dwóch mężczyzn z pochodniami, za którymi wnieśli ciało króla do grobowca. Ja podążyłem za nimi. W ścianach kurhanu widniały kamienne nisze, małe komory, w których za osłoną tarcz spoczywały kości królów Prydainu.

Ciało Meldryna Mawra wraz z marami umieszczono pośrodku kurhanu. Wojownicy po raz ostatni oddali honory swemu królowi,

dotykając dłonią czoła. Potem jeden po drugim opuścili grobowiec. Ja długo ociągałem się z odejściem, spoglądałem na twarz pana, którego kochałem i któremu służyłem. Była trupio biała, o wklęsniętych policzkach i zapadłych oczach, bladym czole, bladym niczym kość, ale wysokim i bez skazy. Nawet po śmierci oblicze to było szlachetne.

W zamyśleniu przyglądałem się tarczom innych królów, zdołującym ściany kurhanu: innych królów z innych czasów, panów, którzy w glorii sławy kolejno władali królestwem Prydainu. Teraz Meldryn Mawr, Wielki Złocisty Król, zwolnił stolec władzy. Kto był godny zająć jego miejsce?

Opuściłem grobowiec ostatni z odprowadzających na wieczny spoczynek królewskie zwłoki. Pewnego dnia, gdy służki śmierci skończą swe dzieło, powrócę, aby zebrać jego kości i umieścić w jednej z pustych niszy. Teraz jednak pożegnałem Meldryna Mawra i wyszedłem z kurhanu. Podążając powoli migotliwą ścieżką Aryant Ol, wzniosłem swój głos w Królewskim Lamencie.

Wsparty mnie swymi płaczliwymi głosami kobiety. Ta pieśń niosła z sobą pociechę, i śpiewając ją, stałem się naczelnym bardem nie tylko z tytułu. Widziałem bowiem, jak owa pieśń budzi mój lud do życia; widziałem, jak czerpią z niej siłę i znajdują wsparcie w jej pięknie. Ujrzałem, jak dzięki pieśni stają się pełni życia i pomyślałem: Tej nocy dzierzę laskę Ollathira i jestem jej godny. Jestem godny być bardem wspaniałego ludu. Ale kto jest godny być naszym królem?

Spoglądając na twarze wszystkich zgromadzonych na zboczach Conc Righ, zastanawiałem się, kto spośród nich mógłby nosić torques zostawiony przez Meldryna Mawra. Kto mógłby przywdziać koronę z dębowych liści? Byli wśród nas dobrzy ludzie, piękni i silni, wodzowie, którzy mogli przewodzić w bitwie — ale król jest kimś więcej niż wodzem.

Kto jest godny zostać królem? — pomyślałem. Ollathirze, mój nauczycielu i przewodniku, co mam uczynić? Przemów do mnie, stary druhu, jak za dawnych czasów. Obdarz swego *filidha* dobrodziejstwem mądrości. Czekam na twe słowo, mądry doradco. Poucz mnie, jaką drogą powinienem pójść...

Ollathir był jednak martwy, podobnie jak wielu dumnych synów Prydainu, a jego głos był jedynie echem cichnącym w pamięci. Niestety, jego *awen* opuścił to ziemskie królestwo i sam muszę odnaleźć swą drogę. No cóż, pomyślałem, powracając w końcu ku swemu zadaniu. Jestem bardem i uczynię wszystko, co winien uczynić prawdziwy bard.

Przesłoniłem głowę połą płaszczka i uniosłem wysoko łaskę.

— Syn Tegvana, syn Teithi, syn Talaryanta, bard i syn bardów, jam jest Tegid Tathal. Wysłuchajcie mnie!

Przemawiałem śmiało, choć wiedziałem, że niektórzy woleliby, abym milczał.

— Jam ze wszystkich ludzi w największym smutku pogrążony, albowiem pan, który obdarzył mnie swym poparciem, został w niegodziwy sposób zamordowany. Meldryn Mawr nie żyje. A ja nie widzę przed sobą nic poza śmiercią i ciemnością. Podstępnie pozbawiono nas naszego promiennego syna. Nasz król spoczywa sztywny i zimny w swym ziemnym domu, a zdrada zajęła miejsce honoru.

To Dzień Zmagań! Niech wszyscy szukają ochrony w ostrzu swego miecza. Rozpoczęła się wojna o Raj; kraj będzie rozbrzmiewać odgłosami walki jak wówczas, gdy Ludd i Nudd walczyli o władzę królewską w Albionie.

— Czarno widz! — krzyknął Meldron, torując sobie drogę pośród tłumu. Przywdział szaty swego ojca—karmazynowa, lamowaną złotem tunikę, spodnie i buty. Nosił złoty nóż Meldryna Mawra i jego pas ze złotych płytek, misternych niczym rybie łuski. I, jakby jeszcze tego było mało, związał swe brązowe włosy, aby każdy mógł widzieć złoty królewski torques na jego szyi.

Moje słowa osiągnęły cel. Meldron wpadł w gniew. Zacisnął szczęki, a oczy błyszczały mu w blasku pochodni niczym okruchy krzemienia. Siawn Hy, heros Meldrona, gładkolicy, o lśniących czarnych włosach, podązał u prawego boku swego pana.

— Tegid ma zamęt w głowie. Nie zwracajcie na niego uwagi! — krzyknął Meldron. — On nie wie, co mówi.

W mimie Llwyddi rozległy się pełne niepewności pomruki. Meldron odwrócił się ku mnie.

— Czemu to robisz, bardziej? Czemu upierasz się, by wszystkich straszyć? Mamy wiele do zrobienia, więc nie czas wysłuchiwać twej nierozważnej gadaniny.

— Widzę, że rzeczywiście jesteś zajęty—odparłem, patrząc mu prosto w twarz. — Zajęty przywłaszczaniem sobie pasa i torquesu Meldryna Mawra. Nie myśl jednak, że przywdziewając szaty swego ojca, zajmiesz jego miejsce.

— Nie waż się tak mówić do króla, bardziej! — warknął Siawn Hy, przysuwając się bliżej. — Pilnuj swego języka, albo go stracisz!

— On nie jest bardem — powiedział Meldron. — To jedynie czarnowidz! — Księżę wybuchnął nagłym i głośnym śmiechem, odprawiając mnie machnięciem ręki. — Idź swoją drogą, Tegidzie Tathal. Mam po dziurki w nosie twego wtrącania się. Nie trzeba nam tu ani ciebie, ani twego złośliwego języka. Nie jesteś nam już potrzebny.

Na twarzy Siawna Hy pojawił się błyśnięcie uśmiechu.

— Wygląda na to, że królowi nic po tobie, bardziej. Być może gdzie indziej twe usługi spotkają się z łaskawszym przyjęciem.

Gniew ogarnął mnie niczym płomień.

— Meldron nie jest królem!—zawołałem.—To ja dzierzę teraz władzę królewską i do mnie należy przekazanie jej temu, kogo uznam za godnego jej!

— A w czym posiadaniu są śpiewające kamienie?! — wrzasnął Meldron. — Żaden człowiek nie może mi się teraz przeciwstawić!

Stojący w pobliżu poparli go pomrukami. Zrozumiałem, że udało mu się oszukać swych zwolenników i sobie przypisać zasługi Llewa. Meldron przywłaszczył sobie prawo do kamieni, w których była zaklęta pieśń, i zrobił z nich talizman mocy.

— Niewłaściwy obiekt obraliście za podporę odwagi — powiedziałem. — Pieśń Albionu nie jest bronią.

Śmignął miecz Siawna, jego ostrze błysnęło w migotliwym blasku pochodni. Siawn pochylił się ku mnie i przycisnął ostrze do mej szyi.

— Mamy inną broń — syknął i poczułem jego palący oddech na twarzy.

Zachowywał się nadzwyczaj zuchwale. Ludzie tłoczyli się wokół nas, nie bardzo wiedząc, po czyjej stronie stanąć. Zaatakowanie barda na oczach ludu mogło jedynie spowodować nieszczęście. Ale Meldron, ze swym autorytetem ciężkiej ręki — wsparty przez Siawna Hy i Wilczą Sforę — zastraszył ich. Ludzie nie wiedzieli, komu mają wierzyć ani komu zaufać.

Przyglądałem się Siawnowi Hy z lodowatą pogardą.

— Zabij mnie więc — szydziłem. — Meldron i tak nigdy nie będzie królem.

Siawn pchnął głębiej. Czuję, jak na drugim końcu miecza jego mięśnie napinają się z coraz większą siłą. Ostrze wbiło mi się w ciało. Zaciśnięciem dłoni na lasce i przygotowałem się do uderzenia.

— Patrzcie! — krzyknął ktoś z tłumu.

— Kurhan! — zawołał ktoś inny.

Siawn skierował spojrzenie ku wzgórkowi grobowca. Wściekłość ustąpiła miejsca zdumieniu i zawahał się.

Ja również spojrzałem ku szczytowi pagórka. W blasku pochodni dostrzegłem, że coś poruszyło się wewnątrz kurhanu. Gra światła, pomyślałem; błysk płomieni, smużka dymu ze wzniesionych pochodni. Chciałem się odwrócić, ale dostrzegłem to ponownie... coś tam... poruszało się w ciemności...

Wszyscy zaczęli się cisnąć do przodu i wówczas ujrzeliśmy wychodzącego z kurhanu człowieka.

— To król! — krzyknęła jakaś kobieta.

— Król! — ludziom zapało dech. — Król żyje!

Przez tłum przebiegł dreszcz lęku i zdumienia.

Prawdę powiedziawszy, ja również pomyślałem, że król powrócił do życia. Zaraz jednak pozbyłem się złudnych nadziei. To nie był Meldryn Mawr.

Mężczyzna wyszedł z grobowca i wyprostowany zaczął schodzić ku nam ze Wzgórza Królów. Dostrzegłem złocisty błysk pierścienia herosa na jego palcu.

— Llew! — krzyknąłem. — To jest Llew! Llew wrócił!

W zgromadzonym tłumie rozległ się szmer.

— Llew... to Llew... Widzicie go? Llew!

Rzeczywiście, wędrowiec z innego świata powrócił. Llwyddi rozstępowali się przed nim, otwierając mu świetlistą ścieżkę. On zaś nie rozglądał się ani na prawo, ani na lewo, tylko pewnym krokiem schodził ze wzgórza.

Przyglądając mu się, zauważyłem, że jego widok wzbudził w ludziach zdziwienie i podniósł ich na duchu: pozdrawiali go, wyciągali ręce, aby go dotknąć, wznosili przed nim pochodnie.

— Llew! Llew!—krzyczeli; jak ochoczo ich języki wymawiały jego imię!

Patrzyłem, jak kroczył ze Wzgórza Królów promienistą ścieżką i pomyślałem sobie: być może Dobra Ręka w ten właśnie sposób wskazał nam nowego króla.

## 2. Powrót bohatera

— Witaj, bracie — powiedziałem, gdy Llew stanął przede mną. Chciałem uściskać go jak brata, ale spostrzegłem, że miał zaciśnięte zęby i wyraz straszliwego zdecydowania w oczach.—Cieszę się, że cię widzę.

Nie odpowiedział na powitanie, lecz zwrócił się wprost do Siawna Hy.

— Skończone — powiedział, a choć mówił cicho, jego słowa brzmiały dobitnie. — Odłóż miecz. Wracamy do domu.

Siawn Hy zesztyniał. Ostrze jego miecza w jednej chwili przesunęło się z mojej szyi na szyję Llewa, który jednak schwycił je nagie ręką i odepchnął na bok.

— Pojmać go! — krzyknął Meldron, sięgając po nóż.

Kilkanaście włóczyń wysunęło się ku Llewowi. Nadal okręcone szmatami ostrza chwiałały się jednak niepewnie. Wojownicy Wilczej Sfory Meldrona byli mu posłuszni, aczkolwiek niechętnie atakowali swego herosa. Tłum zafalował niebezpiecznie, napierając coraz bardziej; niektórzy sprzeciwiali się głośno rozkazowi Meldrona. Ludzie nie pojmowali, co się działo, ale nie było wątpliwości, że im się to nie podobało.

— Llew! — zawołałem, rozsuwając włócznie drzewcem swej laski. — Bądź pozdrowiony, Llew! — Uniosłem laskę i zawołałem do tłumu. — Heros wrócił! Pozdrówcie go wszyscy!

Lłwyddi odkrzyknęli gromkim głosem. Llew spojrzął na zgromadzonych wokół ludzi, na wzniesione pochodnie, na wyczekujące spojrzenia. Dotarło do mnie, że nie zdaje sobie sprawy, co znaczy jego pojawienie się dla patrzących: heros Meldryna wyłania się ze Wzgórza Bohatera. Zmarły król zniknął w ciemnym wejściu, wyszedł żywy człowiek — tajemnicze to i niespodziewane, ale wydarzyło się na oczach wszystkich: bohater z innego świata zrównał się z królem, którego właśnie pogrzebaliśmy.

Nim Meldron zdążył coś zrobić, uciszyłem tłum wzniesieniem rąk i powiedziałem:

— Król nie żyje, bracie, ale ty żyjesz. Wróciłeś do swego ludu, a to powód do świętowania.

Ludzie powitali me słowa okrzykami aprobaty. Meldron zasępił się, widząc, że sytuacja wymyka mu się z rąk. Przecenił swoją pozycję i nie docenił szacunku, jakim ludzie darzyli Llewa.

Pomimo to próbował odzyskać przewagę.

— Co chciałeś osiągnąć, przybywając tu w taki sposób? — zapytał gniewnie.

— Przybyłem oddać cześć królowi — odparł Llew wolno. Jego spojrzenie błyskawicznie przesunęło się z księcia na Siawna Hy. Wymienili słowa, których nie rozumiałem, ale widziałem gniewny wybuch Siawna i to, jak twarz Llewa znowu stężała. — Oraz aby uczynić coś, co powinienem zrobić już dawno temu.

— Mówisz o oddaniu czci—prychnął Meldron — ale ograbiłeś z niej martwego.

— Llew był herosem króla — oznajmiłem, uważając za roztropne przypomnieć każdemu, że to z wyboru Meldryna Mawra spotkał go ten zaszczyt; to był ostatni czyn króla, czyn, który stał się powodem jego śmierci. — Któż odmówiłby herosowi króla prawa do złożenia hołdu swemu panu?

— Ty nie masz tu żadnej władzy, bardziej! — powiedział Meldron głosem pełnym mściwej niechęci. — Ty i tobie podobni mogli -



ście zwodzić mojego ojca sprytnymi słówkami i przebiegłością. Nie myśl jednak, że ja się dam zwieść.

— Dlaczego mówisz o zwodzeniu, Meldronie?—zapytałem. — Nie brak ci przecież mądrych doradców — powiedziałem, obserwując, jak niechęć wykrzywia twarz Siawna. — Czyżbyś im nie ufał?

— Ja ufam tylko mieczowi w swej dłoni — rzucił książę. — Ufam swej drużynie. Lepsze towarzystwo wojowników niż puste słowa barda.

Meldron zabnął za daleko i nie wiedział, jak wycofać się z godnością. Zamiast zamknąć Llewa w powitalnym uścisku, czym zwiększyłby dla siebie poparcie — gdyż nie budziło wątpliwości, że ludzie darzą go ogromnym szacunkiem — zdecydował się na kpiny i obelgi.

Książę zwrócił się do wszystkich zgromadzonych w pobliżu.

— Llew powrócił! Teraz, gdy heros mego ojca jest znowu pośród nas, nie musimy się już niczego obawiać.—Mówił to z nieskrywaną pogardą. Uniósł oskarżycielsko palec i wymierzył go w Llewa. — A jednak nie mogę powstrzymać się od myśli — ciągnął dalej — że gdyby Llew darzył króla tak wielkim szacunkiem, jak utrzymuje, Meldryn Mawr nadal byłby wśród nas. Jak to jest, że król leży martwy, a jego heros żyje?

Doskonale wiedziałem, co książę chciał osiągnąć swą zuchwałą przemową: pragnął zatruć myśli życzliwych Llewowi ludzi. Najwyraźniej myślał, że gdy zakwestionuje lojalność i umiejętności Llewa, wzbudzi wątpliwości; zamiast tego udało mu się jedynie wywołać zakłopotanie.

Ludzie spoglądali po sobie zmieszani.

— Co ten Meldron wygaduje? To Llew uratował nas przed Coranyid! — Kilku zaś otwarcie protestowało: — Paladyr zabił króla! To był Paladyr... nie Llew! — krzyczeli.

Tak, pomyślałem, Paladyr zabił króla. I gdzie teraz jest Paladyr?

Ale powstrzymałem się od zabrania głosu. Niech raz wzbudzone podejrzenia spadną na głowę Meldrona, pomyślałem. Rzucanie oszczerstw na bohatera, który zasłużył sobie na uznanie plemienia, było bardzo ryzykowną sprawą. Meldron nie wykazał się w tej próbie nadmiarem rozsądku,

a ludzie, pamiętając o tych obelgach, będą chcieli na nie odpowiedzieć.

Meldron, uczyniwszy już wszystko, na co na razie starczyło mu śmiałości, zarządził powrót pochodu, po czym zaczął się przepychać przez zgromadzony tłum. Siawn Hy pozwolił sobie na słaby uśmiech, po czym pospieszył za Meldronem. Wilcza Sfora w zakłopotaniu ruszyła za księciem.

Ich odejście przyniosło mi ulgę równie wielką jak świadomość, że znowu mam obok siebie Llewa.

— Lękałem się, że nie żyjesz — szepnąłem. Ludzie przepływali obok nas z oczami utkwionymi w Llewie. Niektórzy witali go z płynącą z głębi serca serdecznością i z wielkim szacunkiem. Większość czuła zbyt duży strach, by mówić, więc po prostu dotykali oni otwartymi dłońmi czół, gdy nas mijali.

Llew uśmiechał się smutno.

— Powinienem był ci powiedzieć, co zamierzałem — rzekł. — Pomyślałem, że najlepiej zrobić to samemu. Przepraszam. Następnym razem już się to nie powtórzy.

— Masz zamiar odejść po raz drugi? — zapytałem.

— Tak — odparł Llew, znowu się zasępiając. — Przykro mi, Tegidzie. Tak to już musi być. Chyba sam rozumiesz.

— Wcale nie rozumiem — przyznałem.

— A zatem będziesz musiał po prostu zaakceptować to, co ci mówię.

— Ależ ty mi nic nie mówisz!

Nie odpowiedział, wyciągnąłem więc rękę i ścisnąłem mu ramię; poczułem pod palcami zesztyniałe mięśnie.

— Llew, przecież ty i ja jesteśmy braćmi! Piliśmy z tego samego pucharu i nie pozwolę ci ponownie odejść, dopóki mi wszystkiego nie wyjaśnisz.

Llew zasępił się jeszcze bardziej. Nie odpowiedział mi, odwrócił oczy, aby obserwować odejście Llwyddi. Widziałem, że milczenie nie przychodziło mu łatwo. Chciał mi o wszystkim powiedzieć, ale myślę, że po prostu trudno mu było zacząć. Zaproponowałem więc:

— Nic teraz nie mów. Poczekamy, aż wszyscy ruszą, a wtedy połączymy w pewnej odległości za nimi, aby nikt nas nie mógł podsłuchać. Będziesz mógł powiedzieć mi wszystko w czasie drogi i nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Llew przystał na to i poczekaliśmy, dopóki wszyscy nie przeszli przez Glyn Du. Wówczas ruszyliśmy za nimi. Długi czas szeptaliśmy w milczeniu, nim Llew znalazł słowa, których szukał.

— Przykro mi, Tegidzie — rzekł. — Powinienem być ci powiedzieć, ale myślałem, że starałbyś się mi przeszkodzić.

— Przeszkodzić ci w odejściu?

— Przeszkodzić w tym, co miałem do zrobienia — co muszę zrobić — powiedział. Czułem, że wszystko w nim wrze. Chciałem powiedzieć kilka uspokajających słów, ale nie pozwolił mi, mówiąc: — Nie, Tegidzie, nie teraz. Muszę to powiedzieć.

Przez dłuższą chwilę milczał. Wsłuchiwaaliśmy się w szelest wysokiej trawy pod naszymi stopami. Czoło pochodu dotarło do wylotu jaru i ludzie poczęli gasić pochodnie w strumieniu. Gdy i my tam doszliśmy, po długiej kolumnie pozostał jedynie śwąd spaleniźny i snujący się dym. Pochód wkroczył do doliny Modornn. Wzeszedł błądy księżyc i w jego srebrnym blasku, rozpraszającym ciemności, w których pogrążone było dno doliny, ujrzeliśmy ciągnące przed nami długie szeregi pieszych.

Widok ten napełnił me serce bólem, miałem wrażenie, że jesteśmy ginącą rasą, wędrującą w gasnącym świetle w mrok zapomnienia. Ale zatrzymałem te myśli dla siebie i czekałem, by Llew otworzył przede mną serce.

Gdy wyszliśmy z czarnego jaru, odezwał się ponownie.

— W moim świecie szaleje wojna — powiedział cicho. — To nie jest wojna na miecze i włócznie — żałuję, że nie jest: wówczas moglibyśmy walczyć z wrogiem. Ale wróg jest tutaj — uderzył się pięścią w pierś. — Wróg jest w nas — zatrzał nas i uczynił chorymi. Jesteśmy w środku choroby, Tegidzie. Siawn i ja zostaliśmy zatruci i przynieśliśmy tę truciznę do Albionu. Jeśli tu zostaniemy, zatrujemy wszystko — zniszczymy wszystko.

— Llew, przecież wszystko już było zniszczone i właśnie ty uratowałeś nas, gdy nikt inny tego nie potrafił!

Zdawało się, że mnie nie słuchał, gdyż ciągnął dalej tym samym tonem.

— Simon — Siawn już zatrzał wszystko wokół siebie. Nabił księciu głowę myślami, dla których nie ma miejsca w Albionie.

— Nie miał z tym wiele kłopotu. Meldron zawsze pożywał więcej, niż sam dawał.

— Jestem przekonany, że zamordowanie Meldryna Mawra było pomysłem Siawna. Myślał, że król jest wybierany zgodnie z prawem dziedziczenia i...

— Prawo dziedziczenia? — zdumiałem się, zatrzymując go. — Nic mi nie wiadomo o takim prawie.

— *Dilyn hawl* — powiedział, używając innych słów. — To znaczy, że władza królewska jest przekazywana z ojca na syna. W naszym świecie tak się właśnie robi. Chodzi o to, że Simon — Siawn Hy — nie wiedział, że odbywa się to w inny sposób. Myślał, że po śmierci Meldrona Mawra władza królewska przejdzie prosto na księcia Meldrona.

— On ci to powiedział?

— Nie, a przynajmniej nie w tych słowach. Ale ja znam Simona i jego myślenie. Przekonał Meldrona, że razem mogą zmienić sposób, w jaki była przekazywana i przyznawana władza królewska — że mogą zmienić rytuał wyboru króla.

— To dlatego usiłovali uciszyć pieśń! — wykrzyknąłem. — I dlatego są teraz w posiadaniu śpiewających kamieni!

— Pieśń Albionu... — Llew umilkł, rozpamiętując przeszłe wydarzenia.

— Myślą, że kamienie dadzą im władzę. Mają nadzieję użyć pieśni jako broni.

— A zatem jest jeszcze gorzej, niż myślałem — mruknął Llew. — Gdybym zrobił to, po co tu przybyłem, nie doszłoby do tego.

Llew zatrzymał się i schwycił mnie za ramię.

— Słyszysz, Tegidzie? Ci wszyscy ludzie — twoi współple-

mieńcy, Tegid, król i wszyscy inni — nadal by żyli, gdybym zrobił to, po co tu przybyłem. Meldryn Mawr i wszyscy, którzy polegli z ręki Pana Nudda, nadal by żyli.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytałem. — Przecież to właśnie dzięki tobie niektórzy z nas są nadal przy życiu. Zawdzięczamy ci życie!

— Przeze mnie tak wielu zginęło! — upierał się. — Wysłuchaj mnie, Tegidzie. Przybyłem tu, aby zabrać Simona i nie powiodło mi się. Dałem się oczarować, zauroczyć temu miejscu i uwierzyłem, że mogę tu zostać.

— Gdybyś nie przybył — odparłem, starając się go pocieszyć — Meldronowi i Siawnowi powiodłoby się.

— Tegidzie — w jego głosie dało się znowu słyszeć ponure zdecydowanie—Simona trzeba powstrzymać. On nie należy do tego świata — ja również do niego nie należę. Musimy wrócić do naszego świata. Muszę go stąd zabrać, ale potrzebuję twojej pomocy, bracie. Pomóż mi, Tegidzie.

Uścisnąłem mu ramię po bratersku i powiedziałem:

— Llew, przecież wiesz, że zrobię wszystko, o co poprosisz. Lecz ja także mam do ciebie prośbę.

— Proś więc. Spełnię ją, jeśli to będzie w mojej mocy.

— Pozwól, abym uczynił z ciebie króla — powiedziałem.

Llew cofnął się.

— Nie dotarło do ciebie nic z tego, co mówiłem! — krzyknął, odtrącając mnie. — Jak możesz mnie prosić o coś takiego?

— Byłeś herosem króla. Twój Bohaterski Czyn uratował nas, gdy nikt nie potrafił nic zrobić. Ludzie cię szanują; wolą ciebie od Meldrona.

— Tegidzie, to niemożliwe! — Llew ruszył do przodu, gniewnie machnąwszy ręką.

Szedłem obok niego.

— Nie mogę pozwolić, aby Meldron został królem. Nie przyłożę ręki do nagradzania jego ohydnych czynów. Jednakże muszę komuś przekazać królewską władzę — i to wkrótce.

— Przekaż ją komuś innemu.

— Nie ma nikogo innego.

Llew odwrócił się do mnie.

— Nie rozumiesz! Simon musi zostać powstrzymany, nim wszystko zniszczy. Muszę dopilnować, aby wrócił tam, gdzie jego miejsce. Słyszysz, co do ciebie mówię?

— Słyszę, bracie — odparłem cicho. — Ale pomyśl nad tym, co ci powiedziałem. Jako król mógłbyś powstrzymać Siawna Hy i Meldrona. Przejmując tron, mógłbyś naprawić całe zło, jakie wyrządził Siawn.

Llew chciał się odwrócić, ale schwyciłem go za ramię i powstrzymałem.

— Posłuchaj mnie, Llew — powiedziałem z powagą. — Powiedziałeś, że Siawn rozsiewa wokół siebie śmiertelną truciznę. Jeśli to prawda, powstrzymaj go. Ja ci daję szansę.

### 3. Tan n'Righ

— Prędzej spocznię zimny w grobie — przysiągłem — nim oddam władzę królewską nad mym ludem temu obmierzłemu gadowi, Meldronowi. Gdyby był żmija, oderwałbym mu łeb i wrzucił jego wijące się ciało do paleniska.

— Ale Meldron sam uczynił siebie królem.

— On nie jest królem! Tylko prawnie przekazana władza królewska może uczynić z niego króla i tylko prawdziwy bard może kogoś obdarzyć królewską władzą — oznajmiłem. — W mych rękach spoczywa władza królewska Prydainu. I tylko ja mam prawo przekazać ją wedle własnego uznania. To pradawny i szanowany zwyczaj.

Siedzieliśmy sami na zboczu poniżej zrujnowanej Sycharth i rozmawialiśmy cicho. Uznałem, że lepiej omówić to w tajemnicy, z dala od oczu i uszu Meldrona, a wiedziałem, że nikt nie będzie nam przeszkadzał tak blisko zniszczonej twierdzy.

Llew pokręcił powoli głową.

— To mi się nie podoba, Tegidzie. Spodziewasz się, że Meldron

tak po prostu usunie się, gdy ty oddasz koronę komu innemu? Dzisiejszego wieczoru zabiły nas, gdyby ludzie mu w tym nie przeszkodzili.

— I przeszkodzą mu ponownie. Widziałeś, jak było; nie pozwolą Meldronowi cię skrzywdzić. Bardzo cię cenią, Llew. Darzą cię szacunkiem. Jeśli mieliby wybierać pomiędzy tobą a Meldronem, pójdą za tobą.

Llew milczał długą chwilę, po czym powiedział:

— No dobrze, Tegidzie. Zrobię to.—A nim zdążyłem odpowiedzieć, uniósł palec i dodał szybko: — Ale tylko dopóki nie wypełnię tu swego zadania. Potem będziesz musiał wybrać kogoś innego na waszego króla.

— Zgoda — przystałem na to szybko.

— Mówię poważnie, Tegidzie! Będę królem tylko dopóty, dopóki nie znajdę sposobu na zabranie Simona na drugą stronę, tam gdzie jego miejsce. Rozumiesz?

— Rozumiem.

Llew utkwiał we mnie spojrzenie.

— Tylko dopóki nie ujarzmisz Siawna Hy. Rozumiem, bracie. Naprawdę.

W końcu napięcie w jego twarzy zelżało.

— A zatem, w jaki sposób zrobimy ze mnie króla?

— Jest wiele sposobów obdarzenia kogoś godnością królewską — Powiedziałem. — Ja wykorzystam ten, którego Meldron nie zna — Pradawny sposób. Posłużę się *Tan n'Righ*.

— Król z ognia? — Zdziwił się Llew.— To chyba raczej bolesny sposób?

— Nie — odparłem — jeśli zrobić to właściwie. Ale musisz uważnie mnie wysłuchać i zrobić wszystko dokładnie tak, jak ci powiem.

Rozmawialiśmy długo w nocy, głowa przy głowie, skuleni w swych płaszczach, drżąc z zimna i obserwując ogniska w dole. Prawie świtało, gdy skończyliśmy.

— I co teraz? — Zapytał Llew, ziewając.

— Teraz odpoczniemy. A ty trzymaj się na uboczu. Staraj się nie

stwarzać Meldronowi okazji do wyzwania ciebie. Jednakże nie powinien też nabrać podejrzeń, bo gotów nam przeszkodzić. Wiem, gdzie mógłbyś się ukryć.

Powiedziałem mu, gdzie może spokojnie się przespać, po czym podnieśliśmy się. Staliśmy jeszcze przez chwilę.

— Jesteś pewny, że można tego dokonać w jeden dzień? — zapytał Llew.

— Jeden dzień to wszystko, czego mi potrzeba. Zostaw to na mojej głowie. Przyjdę po ciebie lub kogoś przyślę, gdy nadejdzie czas.

Rozdzieliliśmy się i każdy z nas poszedł swoją drogą. Schodziłem w dół zbocza, ku obozowisku, a myślami wybiegałem już daleko, daleko przed siebie. Tak, było wiele do zrobienia i trzeba było to zrobić szybko. Ceremonia odbędzie się tej nocy!

Pracowałem cały dzień — cicho i bez nadmiernego pośpiechu. Zgromadziłem kamienie z czterech ćwiartek — czarne z północy, białe z południa, zielone z zachodu i purpurowe ze wschodu. Zaczepiłem wody z bystrego strumienia. Zebrałem drewno z dziewięciu świętych drzew: wierzby znad płynącej wody; leszczyny spomiędzy skał; cisu z polany; taminy z gęstwiny; olchy z mokradeł; brzozy znad wodospadu; wiązu z cienistego gaju; jarzębiny ze wzgórza; dębu rosnącego w słońcu. Do nich, do *Nawglan* — „świętej dziewiątki”, dodałem ostrokrzewu z jego lśniącymi kolcami; czarnego bzu z jego mocnymi purpurowymi jagodami; i jabłoni z jej słodkim, gładkim owocem.

Spaliłem je wszystkie w ognisku roznieconym na płaskim kamieniu. Potem ostrożnie zebrałem popiół i wsypałem go do skórzanego woreczka, który następnie przytroczyłem sobie do pasa. Po skończeniu tych przygotowań wróciłem do obozu i zabrałem się za gromadzenie drewna na Tan n'Righ, „królewski ogień”. Ze wszystkich ognisk, które ludzie palili zeszłej nocy, zebrałem tłący się jeszcze żar, a ze stert drewna zgromadzonych w każdym z obozowisk przyniosłem szczapki na podpałkę.



Kłopot miałem jedynie ze zdobyciem żaru i kawałka drewna z ogniska księcia. Ale Czerwonowłosa Doskonałej Wiedzy uśmiechnął się do mnie i Meldron — znudzony powszednimi obowiązkami, jakie nakładało na niego obozowe życie (uważał zresztą, że uwłacza jego godności) — koło południa wyruszył na polowanie. Poczekałem, aż wraz z wojownikami ze swej Wilczej Sfory zniknął z pola widzenia i, uwolniony od czujnych spojrzeń, wziąłem sobie to, czego potrzebowałem.

O zmierzchu przywołałem Llewa z jego miejsca ukrycia i pospiesznie wróciłem do obozu, aby czekać na powrót Meldrona z polowania.

Gdy nastał czas-pomiędzy-czasem, gdy blask wschodzącego księżyca miałem po lewej, a po prawej zachodzące słońce, wzniciłem królewski ogień w kręgu kamieni zebranych z czterech stron świata. Potem zwołałem ludzi, dmąc w róg tura. Nie słyszeliśmy jego głosu od czasu, gdy Meldryn Mawr poprowadził nas do twierdzy Findargad i dźwięk ten wywołał wśród mych pobratymców znaczne poruszenie. Zebrali się szybko, stając wokół pierścienia ognia. Wówczas przywołałem z namiotu Llewa.

Llew wyszedł i zajął swe miejsce. Jednocześnie przez tłum przepchnął się do przodu książę Meldron z Siawnem Hy u boku.

— Co to ma być, Tegid? — zawołał Meldron. — Kolejne z twoich błazeństw?

Udałem, że nie słyszę tej zniewagi, aby nie wszczynać z nim dyskusji.

— Zdejmij buty—zwróciłem się do Llewa. A gdy rozsznurował je i zsunął z nóg, rzekłem: — Rozłóż za sobą na ziemi swój płaszcz.

Uczył to i ponownie odwrócił się ku mnie.

— Zdejmij koszulę, pas i spodnie — powiedziałem.

Llew zawahał się, ale zrobił, co poleciłem.

— Odłóż na bok swe rzeczy — rzekłem — i stań przede mną.

Na oczach całego klanu Llew z ociąganiem zdjął odzienie i ułożył je na rozłożonym płaszczu. Potem stanął przede mną, a ja poleciłem mu, aby obszedł mnie trzykrotnie zgodnie z ruchem słońca.

— To jest krępujące — mruknął przez zaciśnięte zęby, gdy okrążał mnie po raz pierwszy.

— Nie przerywaj marszu.

— Oni się ze mnie śmieją! — szepnął, gdy zakończył drugie okrążenie.

— Niech się śmieją. Wkrótce będą kwiczeć jak zarzynane świnie.

Nie przerwał swej wędrówki, szedł powoli, a po zakończeniu trzeciego okrążenia stanął przede mną ponownie.

— Możemy już mieć to za sobą?

— To bardzo ważne. Wszyscy muszą wiedzieć, że jesteś bez skazy — powiedziałem. — Wyciągnij przed siebie prawą rękę.

Llew wyciągnął prawą rękę.

— Teraz lewą—poleciłem. Gdy wyciągnął lewą rękę, podszedłem do ogniska i schwyciłem dwa polana, które wcześniej przygotowałem. Wyciągnąłem je z ognia i stanąłem za Llewem. — Pamiętaj — szepnąłem — nic nie mów. Niech ci tylko nie drgnie żaden mięsień.

Potem zacząłem wodzić płonącymi polanami wzdłuż jego nagiego ciała. Zacząłem od pięt, następnie przesunąłem pochodnie wzdłuż jego łydek i ud, przy pośladkach, przy żebrach, a potem nad wyciągniętymi ramionami. Llew stał sztywno, nie rozglądał się, patrzył przed siebie, a oczy miał utkwione we wschodzącym księżycu.

Powiodłem płomieniami po jego piersi, brzuchu i skierowałem je w dół, ku przyrodzeniu, nogom i stopom. Płomień, w miejscach, gdzie dotknęły skóry, opaliły mu włosy na piersi i nogach, a powietrze wypełnił ich śwąd. Llew zacisnął szczęki, rzucił mi mordercze spojrzenie, ale nie drgnął ani nawet nie krzyknął.

— Llew! — powiedziałem głośno, stając przed nim. — Wystawiłeś się na spojrzenia swego ludu. Nie znalazłem na twym ciele żadnej skazy.

Na te słowa jeden z wojowników Wilczej Sfory zawołał:

— Jak możesz wiedzieć przez tę całą sadzę?

Wszyscy roześmiali się, nawet teraz nie przeczuwając podstępny — co dobitnie świadczyło o ich dotkliwej niewiedzy.

— Za sprawą oczyszczającej mocy płomieni—ciągnąłem dalej, ostrożnie odkładając polana do ognia — oznajmiam, iż jesteś wolny i czysty od wszelkiego zepsucia. — Potem wziąłem mieczek, który miałem u boku, wysypałem jego zawartość na swą lewą dłoń, a palcami prawej naznaczyłem Llewa Nawglanem, błogosławiąc go świętą dziewiątką. Uczyniłem znaki na podszewkach jego stóp, na brzuchu, na sercu, na szyi, na czole, wzdłuż kręgosłupa i wokół obu nadgarstków.

Llwyddi przyglądali się z rosnącym zaciekawieniem. Rzuciłem okiem na księcia. Jego hardy uśmiezek przygasł, a on sam wydawał się teraz nieco zaniepokojony tym, co widział. Siawn Hy z wyrazem zimnej groźby spoglądał spod przymkniętych powiek.

Skończyłem i kolejny raz stanąłem przed Llewem.

— Przemów, Llew. Oświadczyć przed ludem: komu służysz?

Llew odparł tak, jak mu poleciłem:

— Służę ludowi!

— Co jest twym życiem?

— Życie mego ludu jest moim życiem!

— Z czyjej woli władza spocznie w twych rękach?

— Z woli ludu władza spocznie w mych rękach!

— Jak będziesz sprawować rządy?

— Będę rządził, kierując się mądrością swego ludu!

— O co będziesz dbał?

— Będę dbał o dobrobyt swego ludu!

Uniosłem przed jego twarzą otwarte dłonie.

— Wysłuchałem twego oświadczenia! — zawołałem donośnym głosem, aby wszyscy mnie słyszeli. — Niechaj potwierdzi je przysięga!

Mówiąc to, odwróciłem się i ponownie wyciągnąłem z ognia płonące polana. Szybkim ruchem, aby nie miał czasu pomyśleć o tym, co się działo, wepchnąłem Llewowi do obu dłoni płonące głośnie — rozpalonymi końcami w dół. Ogień skoczył w górę polana, w mgnieniu oka ręce Llewa spowiły płomienie, lecz choć ogień lizał jego ciało, stojąc przed zgromadzonym tłumem nie wypuścił polana z rąk. Nie krzyknął, nawet nie drgnął.

Wszyscy wstrzymali oddech. Książę Meldron i jego ludzie gapili się z głupimi minami.

— W płomieniach tego ognia — oznajmiłem — twa przysięga została potwierdzona.

Llew uniósł płonące polana ponad głowę i powoli obrócił się, aby każdy mógł zobaczyć, że ogień pożera drewno, ale nie pali jego ciała.

Oczy wszystkich były utkwione w pięści w cudowny sposób ściskającej ogień, toteż nikt nie zauważył, jak sięgnąłem pod płaszcz i wyciągnąłem torques. Llew stał tyłem do mnie z uniesionymi wysoko pochodniami. Stałem za nim i wsunąłem mu złoty torques na szyję. Potem uniosłem nad nim ręce i powiedziałem:

— Z mocy Tan n'Righ ogłaszam cię królem!

Odwrociłem się do ludzi i począłem śpiewać:

Z mocy wiatru pędzącego morskie sztormy,  
tyś jest królem.

Z mocy słońca rozpraszającego ciemności nocy, tyś  
jest królem.

Z mocy deszczu zieleniącego odległe wzgórza, tyś jest  
królem.

Z mocy ziemi dźwigającej wysokie góry, tyś  
jest królem.

Z mocy skały rodzącej lśniące żelazo,  
tyś jest królem.

Z mocy byka, orła, łososia i wszystkich stworzeń, które pływają,  
latają  
i szukają schronienia w ziemi, powietrzu i morzu, tyś  
jest królem.

Z mocy Wszechmocnego Doskonałej Mądrości, który swą Pewną Ręką stworzył i wspiera wszystko w tym ziemskim królestwie,  
tyś jest królem.

Pieśń ucichła, ja zaś uniosłem laskę i oznajmiłem:

— Spójrzcie! Oto Llew, władca Prydainu, król Llwyddi! Z głębi serca przysięgnijcie mu swą wierność! Przygotujcie się do złożenia hołdu!

Niektórzy już zaczęli klękać, gdy powstrzymał ich głos księcia.

— Nie! Nie! On nie jest waszym królem! — Meldron wpadł do płomiennego kręgu, schwycił torques i brutalnie zerwał go z szyi Llewa. — Ja jestem królem!

Nim ktokolwiek zdążył wyciągnąć rękę, aby mu przeszkodzić, Siawn Hy przyłożył włócznię do boku Llewa i krzyknął:

— Meldron jest królem! Meldron jest królem!

Siawn chwycił rękę Llewa, po czym kopniakami wytrącił mu pochodnie. Skinął na kilku najbliższych z Wilczej Sfory, ci zaś wkroczyli do kręgu, rzucając niespokojne spojrzenia na ludzi. Zauważyłem, że unikali mego spojrzenia.

Wznosząc nad głową torques, Meldron ogłosił się królem, mówiąc:

— Wysłuchajcie mnie! Ja dzierzę torques królów Llwyddi! Władza królewska mego ojca przechodzi na mnie mocą prawa!

— Nie ma takiego prawa! — krzyknąłem. — Jedyne bard może nadać królewską władzę. A ja przekazałem ją Llewowi!

— Ty nie masz tu władzy!

— Ja jestem naczelnym bardem naszego ludu! — odparłem spokojnie, z przekonaniem. — W mym ręku spoczywa władza królewska i tylko w mej mocy leży nadanie godności królewskiej.

— Jesteś nikiem! — ryknął książę, ściskając w garści torques i potrząsając nim przed moimi oczyma. — Ja dzierzę torques mego ojca, ja jestem królem!

Rozległy się śmiechy, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Meldrona.

— Prędej! — napierałem na niego zuchwale. — Włóż złoty torques i zwołaj *gosgordd* wojowników — prowokowałem. — Przywdziej strojne szaty i obsyp srebrem i złotem twoją ujadającą bandę. Rób, co chcesz, Meldron! Ale pamiętaj: władza królewska to nie torques ani tron, ani nawet potęża miecza.

Odwrociłem się do ludzi. Nadszedł czas, by teraz oni wkroczyli do akcji i raz na zawsze ukroćili zapędy Meldrona.

— Posłuchajcie mnie! Meldron nie jest królem! Dopiero co byliście świadkami ceremonii przekazania królewskiej godności:

królem został wybrany Llew. Przeciwwstawcie się Meldronowi! On nie ma tu władzy. On nie może...

Wtem, nim zdołałem wyrzec następane słowo, Meldron wrzasnął do swej Wilczej Sfory:

— Pojmać ich! Pojmać ich obu!

#### 4. Więzienny dół

— Przykro mi, bracie.

Równie dobrze mógłbym mówić do błota pod swymi stopami. Llew siedział z kolanami przyciągniętymi do piersi, z głową złożoną na skrzyżowanych ramionach. W mrocznej jamie był ledwie cieniem — posępnym i budzącym litość cieniem.

Po siedmiu dniach i nocach, które spędziliśmy w więziennym dole Meldrona, nie miałem mu tego za złe. To była moja wina. Nie doceniłem Meldrona i nie przypuszczałem, że tak bez skrupułów odrzuci od dawna szanowane zwyczaje naszego ludu. Nie doceniłem poparcia, jakim się cieszył pośród wojowników ze swej Wilczej Sfory oraz ochoty, z jaką stanęli za nim przeciwko pobratymcom. Może i podziwiali Llewa, ale Meldrona znali, był jednym z nich. Llew był pośród nas obcy.

Pomimo to myślałem, a właściwie byłem całkowicie przekonany, że ludzie nie będą stać z boku i nie pozwolą, aby Meldron porwał się na ostatniego z ich bardów. Król jest królem, ale bard jest sercem i duszą ludu; jest ich życiem zamkniętym w pieśni, lampą, która wiedzie ich po ścieżkach przeznaczenia. Bard uosabia ducha klanu; jest spoiwem, złocistym sznurem, który łączy różne wydarzenia w życiu klanu, splatając to wszystko, co jest przeszłością, z tym wszystkim, co dopiero nastanie.

Ale strach czyni ludzi ślepyimi i głupimi. A to były niespokojne czasy. Powinienem być wiedzieć, że ludzie nie sprowokują Meldrona do przelewu krwi. W Dniu Zmagań nawet odważni nie zaryzykują życia dla prawdy, którą zawsze żyliśmy.

— Przykro mi, Llew.

— Przystań to powtarzać, Tegid — mruknął. — Niedobrze mi się od tego robi.

— Nie chciałem, aby tak się stało.

Llew spojrzął na niski strop nad swą głową. — Sam jestem sobie winny, że dałem się do tego namówić. Za nic nie powinienem być cię słuchać.

— Przykro mi, Llew...

— Przystań! — Zwrócił się gwałtownie w moją stronę. — To... to jest... — usiłował wyrwać się z letargu, w jaki wpędziło nas kłopotliwe położenie, ale wysiłek był zbyt wielki i Llew ponownie pogrzyżył się w swej niedoli. — To na nic. Nic nie ma znaczenia.

Milczał przez długą chwilę i pomyślałem, że już się nie odezwie, gdy nagle powiedział:

— Teraz sobie przypominam, Tegidzie. Wszystko sobie przypominam — przedtem nie mogłem sobie nic przypomnieć.

— Co sobie przypominałeś?

— Mój własny świat — odpowiedział. — Dopóki nie wróciłem, zapomniałem nawet, że w ogóle istniał. Nie chciałem pamiętać, rozumiesz? I prawie udało mi się wszystko zapomnieć. Gdyby nie Simon, nigdy nie przyszłoby mi do głowy wracać i straciłbym go.

Przeglądałem mu się w ciemnościach dołu. Nigdy nie rozmawiał ze mną o swym świecie, a w naszych zwyczajach nie leży wypytywanie. Ci z innych światów, którzy do nas przybyli — *Dyn Dythri*, obcy — są traktowani z szacunkiem. Przyjmujemy ich pomiędzy siebie; uczymy naszych obyczajów i pozwalamy, aby sami zasłużyli sobie na nasz szacunek.

Kiedyś i nasz lud podróżował do ich świata, a nasze dary czyniły lżejszym brzemień ich życia. Ale już tego nie robimy. Szczelina pomiędzy światami robi się coraz szersza, a most spowijają zdradzieckie ciemności. Nadal z radością witamy pośród nas obcych, ale sami nie podróżujemy już chętnie do ich świata ani nie wspieramy ich jak kiedyś.

— Zmienił się — ciągnął Llew poważnym głosem. — Świat, mój świat się zmienił. Wyglądał gorzej, niż gdy go opuszczałem —

a myślę, że po tamtej stronie minął zaledwie dzień lub dwa. Bez barwy, bez życia — wszystko się rozplywa, psuje, rozpada.

Poszukiwał w myślach rozwiązania, próbował coś zrozumieć, nie przeszkadzałem mu więc i pozwoliłem mówić.

— To wojna o Raj — ciągnął. — To, co dzieje się tutaj, w tym świecie, ma wpływ na życie w tamtym. Profesor, to znaczy mój przyjaciel Nettles, mówił mi o tym, wyjaśnił mi to wszystko. I ja mu uwierzyłem. Ale nie miałem pojęcia, że to może tak wyglądać — że zmiany mogą być tak ogromne. To było tak, jakby świat zniknął mi w oczach.

Przypomniałem sobie, co powiedział o zatruciu przez Siawna Hy naszego świata—a przynajmniej słabego księcia Meldrona i jego myśli.

— Zepsucie jest zawsze potężnym wrogiem — zauważyłem.

— Tu chodzi o coś więcej, Tegidzie — odparł szybko, pochylając się ku mnie w ciemnościach. — O znacznie więcej. Widzisz, tu chodzi o równowagę—harmonię pomiędzy tym światem a tamtym. Simon zakłócił tę równowagę; jego pomysły, jego plany —już sama jego obecność tutaj powoduje zmiany.

— A zmiany w tym świecie wywołują zmiany w tamtym — podpowiedziałem. — Rozumiem.

— Wierz mi, jeśli ma zostać cokolwiek, co warte jest uratowania — z obu światów — trzeba powstrzymać Simona.

— Wierzę ci, bracie — odparłem. — Ale nim będziemy mogli uratować świat, musimy uratować siebie.

— Musimy się stąd wydostać. Musimy się uwolnić!—Podniósł się — podobnie, jak czynił to niezliczoną ilość razy przedtem — i napał na drewniane kłody nad naszymi głowami. Jego wysiłki nie zdawały się jednak na nic i Lew ponownie opadł na ziemię.

— Myślisz, że nas zabije? — zapytał po chwili. — Teraz, gdy jest królem...

— Meldron nie jest królem. Ty jesteś królem.

— Wybacz — prychnął rozgoryczony — wciąż o tym zapominam.

— Tobie przekazałem władzę królewską — powiedziałem. De



razy już mu to mówiłem? — Ty jesteś królem. A ja nie wiem, co Meldron zamierza zrobić. Gdybym wiedział, nie siedzielibyśmy tu teraz.

— Tylko nie mów, że ci przykro, Tegidzie. Nie chcę tego więcej słyszeć.

Po pojmaniu ludzie Meldrona zaciągnęli nas do zniszczonego keru i uwięzili w dole na śmieci za halą. Przykryli dół nadpalonymi balami, na które rzucili inne pozostałości z wypalanej twierdzy. Pozostawili nas pod strażą. Nie wiedziałem, co Meldron zamierza z nami uczynić. I zdawało mi się, że Meldron również tego nie wie.

Podejrzywałem, że bał się nas tak po prostu zabić, w przeciwnym razie już dawno bylibyśmy martwi. Wystawił ludzi na ciężką próbę; jeszcze jeden niegodny czyn i straci tę odrobinę sympatii, jaką się teraz cieszy. Tak więc, dopóki nie wymyśli lepszego sposobu na to, co z nami zrobić, pozostaniemy jego więźniami.

Dół był strzeżony dzień i noc, aby nikt nie mógł nam pomóc w ucieczce. Przez cały czas było przynajmniej dwóch strażników, a często i więcej. Czasami słyszeliśmy ich rozmowy podczas zmiany warty. Wiedzieliśmy, kiedy się zmieniali, ponieważ nowi strażnicy przynosili nam wodę i marne jedzenie, które spuszczały przez małą szczelinę pomiędzy belkami.

Tak mijały dni. Pozostawaliśmy w naszym śmierdzącym, pełnym nieczystości więzieniu, odcięci od świata i tych, którzy mogliby nam pomóc. A z każdym mijającym dniem Meldron lekceważył nas coraz bardziej — jednakże nie mógł sprawować rządów, dopóki Llew i ja pozostawaliśmy przy życiu, gdyż napotkałby sprzeciw. Ta myśl była moją jedyną pociechą.

Pewnej nocy obudziło mnie ciche skrobanie. Początkowo je zlekceważyłem, myśląc, że to szczury, które rozpanoszyły się w kerze. Stopniowo jednak uzmysłowiłem sobie, że owo powolne szur-szur-szur miało określony rytm.

Ktoś kopał.

Czekałem, nasłuchując w ciemnościach. Szuranie stało się głośniejsze i odważyłem się odezwać szeptem do kopiącego.

— Kto tam?

Llew spał, ale obudził się na dźwięk mego głosu.  
— Tegid? Co się stało? — zapytał klękając.  
— Sz... sz... Słuchaj!  
— Bądźcie cicho tam w dole... obudzicie strażników... — To był głos dziecka, chyba dziewczynki.  
— Kim jesteś? — upierałem się.  
— Jestem Ffand — padła odpowiedź. — Bądźcie cicho.  
— Kto to Ffand? — zastanawiał się Llew.  
— Kto z tobą jest, Ffand? — zapytałem najciszej, jak mogłem, przyciskając twarz do belek stropu naszego prymitywnego więzienia.  
— Nikogo ze mną nie ma — odpowiedziała. Skrobanie rozległo się znowu. Słysząc je było przez jakiś czas, a potem umilkło.  
— Co robisz, Ffand?  
— Sz... sz... — szepnęła, po czym zapadła cisza. — To był strażnik... Obudził się, ale znowu zasnął. Muszę już iść — powiedziała po chwili.  
— Czekał...  
— Wkrótce będzie ranek.  
— Ffand! Czekał, ja...  
— Wróć, gdy zapadnie noc.  
— Proszę...  
Ale ona już odeszła. Osunąłem się na ziemię.  
— Kim jest Ffand? — zapytał ponownie Llew.  
— To dziewczynka, która opiekuje się twoim psem — wyjaśniłem.  
— Moim psem? — zastanawiał się głośno. Było jasne, że zapomniał zupełnie o Twrchu. — Ach, tak.  
— Dałeś Twrcha małej dziewczynce. Po drodze do Findargad...  
— Przed bitwą o Dun na Porth — powiedział. — Przypominam sobie. Nigdy nie poznałem jej imienia.  
Czekaliśmy cały długi, długi dzień. Noc nie kwapiła się z nadzieją. Wreszcie ciemności w naszym więzieniu pogłębiły się, a my wstrzymaliśmy oddechy, nasłuchując odgłosów skrobania. A gdy te nie pojawiły się, zaczęliśmy myśleć, co też się jej mogło przytrafić:

może tej nocy nie udało jej się wymknąć, może strażnicy tej nocy nie zasnęli... A może stało się coś gorszego: spostrzeżono ją i schwytano... Co zrobiliby z nią, gdyby ją złapali?

Straciliśmy już nadzieję, gdy ponownie rozległo się powolne szur-szur-szur.

— Wróciła! — szepnąłem. — Ffand! — Zastukałem delikatnie w belkę nad głową. — Ffand!

— Sz... sz... Cicho! Usłyszają was! — odezwała się po chwili.

Chciałem znowu coś powiedzieć, ale Llew mnie powstrzymał.

— Daj spokój, Tegid. Pozwól jej pracować.

Usiadłem i wsłuchiwałem się w miarowe szuranie nad nami. Niestety, ledwie się zaczęło, już umilkło. I nie rozległo się ponownie tej nocy. Nasłuchiwaliśmy długo, ale nie słyszeliśmy już żadnych dźwięków.

Czekaliśmy cały następny dzień, niespokojni i zatroskani, żywiąc nadzieję, że nie schwytano dziewczynki. Zastanawialiśmy się, czemu przerwała...

Ffand nie przyszła następnej nocy i lękaliśmy się najgorszego.

Byliśmy tak przygnębieni, że przestaliśmy się jej spodziewać. Gdy zatem kolejnej nocy rozległo się szuranie, zaskoczyło nas i zdaliśmy sobie sprawę, jak bardzo na nie czekaliśmy.

Dziewczynka pracowała całą noc, przerywając jedynie dwukrotnie: raz na odpoczynek — powiedziała, że zmęczyły jej się ręce — i raz, gdy jeden ze strażników obudził się, aby sobie ulżyć.

Nie wróciła przez następne dwie noce. Ale my już wiedzieliśmy, że nie trzeba się niepokoić. Mała Ffand była najwyraźniej sprytna i zdolna. Dobrze wybierała czas i nie ryzykowała niepotrzebnie. I tak nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko czekać.

Ffand wróciła następnej nocy, aby powiedzieć nam, że król Meldron oznajmił, iż rano będzie sprawował sąd.

— Powiedział, że musimy przygotować się do opuszczenia tego miejsca. Powiedział, że przenosimy się do keru Modornn.

— Kiedy?

— Niebawem — padła odpowiedź. — O świcie, następnego dnia po przesłuchaniu.

Llew położył mi rękę na ramieniu.

— Zapytaj, ile jej zajmie uwolnienie nas? Czy może to zrobić w ciągu tej nocy?

— Ffand — powiedziałem, przyciskając mocno policzek do belki nad sobą — czy skończyłabyś tej nocy? Czy możesz nas dziś uwolnić?

Na moment zapadła cisza.

— Nie sędzę — odezwała się po chwili.

— Posłuchaj, Ffand, to musi być dziś w nocy. Jutro po nas przyjdą. Musimy być wolni jeszcze tej nocy.

— Spróbuję.

— Może moglibyśmy ci pomóc — powiedział Llew. — Ffand, powiedz, co mamy robić.

Ponownie rozległo się szuranie — tym razem przyspieszone i głośniejsze, gdyż dziewczynka ostro zabrała się do pracy. Nie przerwała ani nie zwolniła tempa, pracowała przez całą noc. Szur-szur-szur... szur-szur... szur-szur-szur... przez całą noc.

A potem... rozległ się głuchy odgłos, jakby odrzucono coś ciężkiego.

— Gotowe! — dobiegł nas głos Ffand. — Skończone.

— Dobrze. Powiedz, co mamy robić, Ffand — powiedziałem.

— Belka jest poluzowana — padła odpowiedź. — Ale jest za ciężka, abym ją ruszyła — wy musicie to zrobić.

— Która belka, Ffand? Zapukaj w tę, którą mamy ruszyć.

Głuche walnięcie w belkę dobiegło z narożnika.

— Dobrze. Teraz słuchaj uważnie, Ffand. Resztę zrobimy sami. Ty musisz stąd odejść. Chcę, abyś znalazła się daleko stąd.

Nie było odpowiedzi.

— Ffand?

— Nie chcę odejść.

— Musisz. Nie chcę, aby spotkała cię krzywdą, jeśli coś się nie powiedzie. Idź już.

— Ffand... — powiedział z powagą Llew w stronę poluzowanej belki — posłuchaj mnie.

— Tak?

— Dziękuję ci, Ffand. Uratowałaś nam życie. Ale musisz stąd uciekać, jeśli cały twój trud nie ma pójść na marne. Rozumiesz? Poza tym, pomyśl o Twrchu... co z nim będzie, jeśli ciebie zabraknie? Chciałbym, abyś nadal się nim opiekowała. Zrobisz to dla mnie, Ffand?

— No dobrze — westchnęła.

— Jeszcze jedno — powiedziałem szybko. — Ilu jest strażników?

— Dziś tylko dwóch i smacznie śpią. — Umilkła na chwilę i przysunęła twarz bliżej belki. — Powodzenia.

— Ffand?

Nie było odpowiedzi.

— Odeszła — uznałem. — Gotów?

Llew klęknął obok mnie pod ścianą dołu. Razem schwyciliśmy belkę, wciskając palce w szczeliny pomiędzy kłodami. W końcu zrozumiałem, co zrobiła Ffand: korzystając z osłony sterty śmieci, przegrzebała się przez odpadki i ziemię na końcu dołu i uwolniła koniec belki. Cała belka nadal była przygnieciona ciężarem śmieci, ale przesuając ją po kawałku tam i z powrotem, zaczęliśmy ją poluzowywać i w końcu udało nam się ją wyciągnąć. Ze szczeliny, którą zrobiliśmy, posypały się na nas odpadki. Ale nie przerwaliśmy pracy, przesuując powoli kłodę, dopóki nie powstał otwór wystarczająco duży, aby przecisnął się przez niego człowiek.

Wówczas przykucnęliśmy, wpatrując się w otwór i nasłuchując. Żaden ze strażników nie poruszył się.

— Pójdę pierwszy — powiedziałem.

Ostrożnie wystawiłem głowę przez otwór. Tak jak powiedziała Ffand, było dwóch strażników i obaj spali. Wsunąłem się w dziurę, począłem wiercić się i podskakiwać, aż w końcu udało mi się przez nią przepchać.

Klęknąłem za stertą odpadków, które przykrywały dół, roztrzęsiony i spocony. Strażnicy spali nieco dalej — możliwie jak najdalej od smrodu tego miejsca, jak myślę. Dlatego nie słyszeli Ffand ani nas.

— Chodź — szepnąłem do Llewa.

Po chwili siedział już skulony obok mnie. Szybko, cicho, poru-

szając się z przesadną ostrożnością, uciekaliśmy przez rumowisko, które kiedyś było potężną twierdzą Meldryna Mawra, czujnie wypatrując innych strażników. Nikogo jednak nie spotkaliśmy, co wcale mnie nie zdziwiło. Ker był górą zwęglonych szczątków, cuchnącą i opuszczoną. Wojownicy, którym wypadło trzymać straż, mieli bardzo nieprzyjemne zajęcie.

Podziwiałem odwagę małej Ffand. Dziecko odważyło się zrobić - to, przed czym wzdragali się dorośli.

Pospieszyliśmy do miejsca, gdzie kiedyś były bramy, i zatrzymaliśmy się tam na chwilę, rozglądając się po równinie. Poniżej ciągnęły się ogniska obozów, a od strony zakrętu Muir Glain była zagroda dla koni. Obchodząc obóz od wschodu, mogliśmy niepostrzeżenie do najbliższych koni dotrzeć.

Musieliśmy się śpieszyć — na wschodzie niebo już jaśniało. Wkrótce będzie świtać i ludzie zaczną się kręcić. A my chcieliśmy być daleko, gdy nasza ucieczka zostanie odkryta.

Bez słowa ruszyliśmy drogą prowadzącą od keru w dół. Nic nas nie osłaniało, nasze serca łomotały jak oszalałe. Przecieliśmy obozowisko i dotarliśmy do najbliższej zagrody w chwili, gdy pierwsze promienie słońca pokazały się nad horyzontem.

Straż trzymało dwóch wojowników z Wilczej Sfory — pozbawionych czujności i obojętnych, to prawda, niemniej jednak byli tam obecni. Przystanęliśmy więc na chwilę, aby zdecydować, jak to zrobić, żeby zabrać konie nie alarmując wartowników. Właśnie jeden z nich wstał od ogniska i ruszył wzdłuż rzędu koni. Drugi pozostał skulony przy ognisku, najwyraźniej śpiąc.

— Teraz albo nigdy — powiedział Llew i przygotowaliśmy się do wbiegnięcia pomiędzy konie. Ale nie zdążyliśmy zrobić nawet kroku, gdy ujrzeliśmy dwa konie idące ku nam od zagrody. Obserwowaliśmy je z rosnącym zdumieniem, dopóki nie obróciły się. Wówczas dostrześliśmy pomiędzy nimi drobną postać—to była Ffand. Trzymając konie za uździenice, prowadziła je nam na spotkanie.

Podeszła do nas. Była młodsza niż pamiętałem, szczupła, z umorusaną błotem twarzą, szeroko uśmiechnięta, z potarganymi włosami i odzieniem ubrudzonym przy kopaniu.

— Wspaniała dziewczyna! — zawołał cicho Llew.  
— Niech szcudroblivy Bóg nagrodi ją hojnie — szepnąłem, wypatrując czujnie powrotu strażnika. Nikogo nie zauważyłem, a chwilę później Ffand stała przed nami, podając nam wodze.  
— Nie wiedziałam, które należą do was, więc wybrałam najlepsze — powiedziała uradowana. — Dobrze zrobiłam?  
— Wspaniale się spisłaś!  
— Kocham cię, Ffand. — Llew ucałował jej pyzaty policzek. Twarz dziewczynki pokraśniała z ukontentowania.  
Wzięliśmy od niej wodze i wskoczyliśmy na konie.  
— A co z Twrchem? — zapytała Ffand.  
— Czy mógłby pozostać jeszcze pod twoją opieką, Ffand? — zapytał Llew. Dziewczynka skinęła z powagą głową. — Dziękuję. Pewnego dnia po niego wrócę.  
— Żegnaj, Ffand — powiedziałem. — Nigdy nie zapomnimy, jak nam pomogłaś.  
— Żegnajcie! — odparła dziewczynka. — Zadbam, aby Twrchowi nie stało się nic złego.  
Skierowaliśmy nasze konie na północ i ruszyliśmy w kierunku rzeki. Za mokradłami rozciągały się lesiste wzgórza, a za nimi rozległa dolina Modornn. Przejdziemy rzekę Modornn i skierujemy się na wschód w głąb Llogres, gdyż w Prydainie nie mogliśmy już liczyć na żadną pomoc. Po dwóch dniach jazdy powinniśmy dotrzeć do Blar Cadlys, głównej twierdzy króla Cruinów.  
Dojechaliśmy już na skraj mokradeł, gdy Llew zawołał:  
— Czekaj! Słuchaj!  
Wstrzymałem konia.  
W oddali usłyszałem przenikliwy dźwięk rogu, grającego na alarm. Odkryto naszą ucieczkę.

## 5. Ścigani

Nad bagniskami wisiąca gęsta mgła. Ruszyliśmy prosto ku sercu mokradeł, gdzie mgła była najgęstsza. Gdyby udało nam się tam schować przed pościgem, ucieczka miałaby szansę powodzenia.

Nim jednak ta nikła nadzieja zdołała zakiełkować, usłyszałem psy: ostre, wściekle ujadanie psów myśliwskich na tropie. Ze sfory króla zostały trzy i Meldron nie wahał się ani chwili, by je za nami wysłać.

Llew dotarł na skraj mokradeł tuż przede mną i zniknął w mgłę. Podążyłem za nim i o mało nie zderzyliśmy się na skraju wody.

— Którędy? — zapytał.

— Na ziemię! Puść konie wolno!

— W tej mgłę możemy zgubić psy!

— Pójdą za nami na słuch — powiedziałem. — Odpędź konie, to może uda nam się zwieść psy.

Llew zsunął się na ziemię i klepnął konia po zadzie.

— Wio!—Koń bez jeźdźca pognał w głąb mokradeł. Ja również zsunąłem się w sięgającą kolan wodę i klepinięciem oraz okrzykiem odpędziłem konia — potem podążyłem za biegnącym szybko Llewem.

Żał mi było pozbywać się koni, ale to dawało nam szansę ucieczki. Psy potrafiły zagonić konie na śmierć, a czuły węch nie pozwalał wywieść ich w pole. Jednakże na bagniskach psy będą musiały polegać na słuchu; będą ścigać konie, a za nimi pojadą jeźdźcy.

Woda była zimna, słońce zamglone i odległe. Skierowaliśmy się do pobliskich zarośli.

— Wejdzmy w nie — powiedziałem. Liście były suche — nowe jeszcze nie wyrosły — i uschnięte lodygi powitały nas grzechotem. Po kilku krokach zatrzymałem się.

— Zaczekamy tutaj. Gdy tylko jeźdźcy nas miną, pognamy do rzeki.

— Jeśli wpierw nas nie rozjadą — szepnął Llew.

— Cicho!

Usłyszałem plaśnięcia końskich kopyt i warczenie psa. Zaciskając zęby, kucnęliśmy w wodzie i skryliśmy się w zaroślach.

Usłyszałem, jak w pobliżu następny koń z pluskiem wjeżdża na mokradła. Tuż za nim kolejny jeździec... a potem jeszcze dwóch.

Na bagniskach mgła rozpraszała odgłosy końskich kopyt, które zdawały się napływać do nas ze wszystkich kierunków. Nie sposób



było stwierdzić, w jakiej odległości znajdowali się jeźdźcy. Llew i ja kuliliśmy się w wodzie, wsłuchując się w dobiegające zewsząd odgłosy pościgu. Słyszeliśmy, jak wojownicy nawoływali się i przyzywali ujadające psy.

A jednak myśliwi zaczęli się oddalać, a odgłosy stopniowo cichły. Dygocząc, czekaliśmy w wodzie. Mgła kłębiła się w powietrzu, a gdy wschodzące słońce przedarło się przez bagienne opary, ujrzałem w górze błękitne niebo.

— Powinniśmy ruszać — szepnął Llew. — Mgła opada. Zobacz nas.

Podniósł się i ruszył przed siebie.

— Czekaj — szepnąłem, chwytając go za nadgarstek i pociągając z powrotem ku sobie.

Plusk kopyt uderzających w wodę był jedynym sygnałem ostrzegawczym, jaki usłyszeliśmy. Koń galopował prosto w zarośla. Natarł na nas jeździec z mieczem w dłoni.

Llew uskoczył w jedną stronę, a ja w drugą.

Zaskoczony koń stanął dęba. Jeździec uderzył mieczem.

Llew zatoczył się i dał nura pod koński brzuch w chwili, gdy wojownik uderzał ponownie. Schwycił ramię trzymające miecz i ściągnął jeźdźcę z konia. Uskoczyłem przed koniem i walnąłem go po karku. Przestraszone zwierzę rzuciło się na bagniska.

Jeździec krzyknął. Llew zdzielił go pięścią w twarz — raz i jeszcze raz. Wojownik przestał się szamotać.

Zamarliśmy, nasłuchując.

Nie dobiegło nas żadne nawoływanie, nikt nie krzyknął w odpowiedzi.

— Pomóż mi go podnieść — powiedział Llew. Dźwignęliśmy nieprzytomnego wojownika, zaciągnęliśmy na skraj wody i tam go zostawiliśmy.

— Rzeka jest tam — powiedziałem, patrząc na wschód. — Jeśli się pospieszymy, możemy dotrzeć do niej, nim tamci objadą bagna i tu wrócą.

— A zatem do rzeki — odparł Llew.

Idąc skrajem bagniska, brnęliśmy przez grząski grunt. Wdrapy-

waliśmy się na rozmokłe pagórki i zanurzaliśmy się po uda w wodzie. W płucach paliło, serca nam łomotały, mięśnie bolały, ale parliśmy do przodu, ku majaczącym na widnokręgu drzewom, które znaczyły brzeg rzeki Modornn.

Ociekający zimną wodą, z przemoczonym odzieniem ciężącym nam na ramionach, dotarliśmy do linii zarośli i przedarliśmy się przez gąszcz czarnych bzów, wierzb i leszczyn. Drapały nas kolczaste krzewy głogu. Zagłębiliśmy się w zarośla, chcąc jak najszybciej dotrzeć do drzew na stromym brzegu rzeki.

Podczas przyptywu Modornn jest szerokim, płytkim rozlewiskiem szarozielonkawej wody. W czasie odpływu zamienia się w rozległe grzęzawisko przecięte głębokim kanałem. W każdym wypadku musielibyśmy płynąć, ale miałem nadzieję, że poziom wody będzie na tyle wysoki, aby zakryć nasze ślady.

Gdy dotarliśmy do brzegu rzeki, zaczynał się właśnie odpływ. Poziom wody opadał, ale nadal było jej jeszcze dość, aby zamaskować ślady; jeśli się pospieszymy, może dotrzemy na drugi brzeg, nim grząskie koryto zostanie odsłonięte.

Nie oglądając się za siebie, rzuciliśmy się przez zalane przypiływem ujście: rozbryzgując wodę, przewracając się, podtrzymując nawzajem i grzęznąc w błocie. Przebrnęliśmy przez koryto rzeki i po śliskich płycznach wyszliśmy na drugi brzeg. Nasze stopy wsysało wstrętne, cuchnące, kleiste błocko.

Gdy docieraliśmy do drugiego brzegu, woda już ledwie tuszowała nasze ślady. Wygramoliliśmy się na suchsze poszycie lasu i padliśmy zdyszani na wznak, nasłuchując odgłosów, których się baliśmy: okrzyków i tętentu pościgu przecinającego rozlewisko.

Czekaliśmy, ale krzyki nie rozległy się. Nie dobiegły nas też odgłosy kopyt.

W końcu dotarło do nas, że zmyliliśmy pościg, przynajmniej na razie. Zebraliśmy więc resztki sił i poczłapaliśmy głębiej w las, dalej od brzegu. Dopiero wówczas zacząłem mieć nadzieję, że może jednak uda nam się uciec.

Naszym pożywieniem od czasu pojmania był suchy chleb i skwaśniałe piwo, które wartownicy spuszczaali nam na dół, więc podkopało

to naszą wytrzymałość. Poszliśmy kawałek na wschód, oddalając się od rzeki. Na pierwszej polanie zatrzymaliśmy się, aby odpocząć i wysuszyć na słońcu odzienie.

Ciągle jeszcze z napięciem nasłuchiwaaliśmy odgłosów pogoni. Nie usłyszeliśmy jednak ani szczekania, ani tętentu. Powoli cisza lasu zaczęła nas uspokajać.

— Nie mamy broni, prowiantu, koni — powiedział Llew. — Myślisz, że możemy spodziewać się od Cruin ciepłego powitania?

Llwyddi i Cruin często spotykali się na polu bitwy. Ale równie często wspólnie biesiadowali. Meldryn Mawr zawsze cieszył się szacunkiem, jeśli nie przyjaźnią, króla Calbha.

— No cóż, bard wszędzie jest mile widziany.

— A zatem prowadź, mądry bardzie — powiedział Llew. — I miejmy nadzieję, że pan Calbha pała równie gorącym pragnieniem wysłuchania pieśni, jak ja spożycia ciepłej kolacji.

Stanęliśmy na nogi i umęczeni rozpoczęliśmy wędrówkę przez lesiste wzgórza i błotniste doliny do twierdzy Cruin, Blar Cadlys. Przez cały dzień szliśmy oglądając się za siebie, przystając i nasłuchując odgłosów pogoni. Na trawiasty brzeg zacisznego strumienia dotarliśmy, gdy słońce zniknęło za wzgórzami.

Tam, umęczeni, z obolałymi nogami, zatrzymaliśmy się na noc. Ugasiliśmy pragnienie w strumieniu, a potem okręciliśmy się płaszczami i zasnęliśmy w wysokiej, suchej jeszcze po zimie trawie. Ocknąłem się o świcie i obudziłem Llewa. Obmyśliśmy się w strumieniu, po czym ruszyliśmy w dalszą drogę.

Tak wędrowaliśmy przez cztery dni. Sypialiśmy nad brzegami strumieni lub stawów, a skoro świt ruszaliśmy w drogę. Cztery dni pieszej wędrówki przez gęsty las i cuchnące mokradła. Było jeszcze za wcześnie na jagody, nie mogliśmy też przerywać marszu, by schwytać zwierzynę. Oszukiwaaliśmy głód pędami i korzonkami, które umiałem znajdować; a ze strumieni i stawów piliśmy do woli.

Gdy czwarty dzień i nasze siły miały się już ku końcowi, ujrzelśmy twierdzę Cruin. Niewypowiedzianie głodni staliśmy na skraju lasu i wpatrywaliśmy się w srebrzysty dym, unoszący się znad

palenisk kuchennych keru. Zapach dymu sprawił, że napłynęła mi ślina do ust, a w pustym żołądku poczułem bolesny skurcz.

Blar Cadlys wzniesiono na szczycie wzgórza, które broni dostępu do Ystrad Can Cefyl, Doliny Białego Konia, głównej drogi do serca Llogres. Na rozległych równinach, rozciągających się na dnie doliny, galopowały ogromne stada koni, powód przechwałek Cruin. „Nie ma od nas lepszych jeźdźców” — zwykli mawiać. Rzeczywiście, owe przechwałki nie były całkiem pozbawione prawdy.

— Myślisz, że oni wiedzą, co stało się z Meldrynem Mawrem? — zastanawiał się Llew.

— Nie, nie mogą jeszcze o tym wiedzieć... chyba że...

— Chyba że Paladyr dotarł tu przed nami? — wypowiedział głośno dokładnie to, o czym pomyślałem.

— Chodź, wkrótce przekonamy się, czy coś wiedzą.

Wyszliśmy z lasu i chwiejnym krokiem ruszyliśmy ku kerowi — na tyle jednak wolno, aby jego mieszkańcy mieli czas zauważyć nasze nadejście. I zauważyli. Gdy tylko postawiliśmy stopę na szlaku wiodącym do bramy, trzech wojowników pojawiło się przed wartownią. Ten stojący najbliżej wezwał nas, abyśmy się zatrzymali i powiedzieli, kim jesteśmy.

— Jestem Tegid Talaryant!—odkrzyknąłem. — Naczelny bard Meldryna Mawra, króla Llwyddi. Mój towarzysz jest herosem króla. Mamy z waszym panem sprawę do omówienia.

Strażnik obrzucił nas pełnym powątpiewania spojrzeniem, zamienił kilka słów ze swymi towarzyszami, po czym odparł:

— Podajecie się za ludzi godnych szacunku, a jednak przybywacie do nas jak żebracy. Gdzie wasze konie? Gdzie wasza broń? Czemu przybywacie obdarci i pieszo?

— Jeśli o to chodzi — odpowiedziałem — jest to tylko nasza sprawa. Być może jednak Calbha uzna, że warto przyjąć nas z szacunkiem należnym ludziom naszej pozycji.

Wojownicy roześmiali się głośno na te słowa, ale ja szybko ich uciszyłem.

— Posłuchajcie! Jeśli nie zaniesiecie waszemu panu wiadomości ode mnie, rzucę klątwę na was i wszystkich waszych krewnych.

To dało im trochę do myślenia.

— Myślisz, że ci uwierzyli? — zapytał Llew, gdy tamci dyskutowali nad moją groźbą.

— Być może nie. Ale zobaczymy, na ile ufają swemu szczęściu.

Najwyraźniej wartownicy Cruin nie byli w nastroju do robienia zakładów. Po krótkiej naradzie jeden z nich zniknął i po chwili brama otworzyła się. Z keru wyszło czterech wojowników, aby eskortować nas do królewskiej hali. Nie odezwali się, jedynie gestem nakazując nam iść za sobą.

Byłem już raz w Blar Cadlys z Ollathirem i stwierdziłem, że zaszły tu pewne zmiany: wzrosła liczba magazynów ziarna, a w miejsce jednego, były teraz dwa domy wojowników. Przed chatami rzemieślników sporządzano drzewca do włóczni; powiększono zagrody dla bydła.

Gdy zbliżyliśmy się do hali, jeden z wojowników pospieszył przodem, aby powiadomić króla. Calbha przyjął nas przed swą halą. Był barczysty, miał byczy kark, ciemne włosy, krótką brodę i sumiaste wąsy. Wyszedł do nas z dłonią na głowni swego miecza, nieznanie marszcząc szerokie czoło. Towarzyszący mu wojownicy z zainteresowaniem wyczekiwali, jak król z nami postąpi.

— Witajcie, Llwyddi — powiedział władca Cruinów, ale nie wyciągnął do nas ręki. — Dawno już nie gościliśmy w naszych murach nikogo z waszego plemienia. Nie powiem, abym się specjalnie za tym stęsknił.

— Witaj, królu Calbho — odparłem, pochylając z szacunkiem głowę. — Dawno już Llwyddi nie zapuszczali się na drugi brzeg Modornn. Bez wątpienia jednak wkrótce zakosztujesz przyjemności naszych częstszych odwiedzin.

Oczy króla Cruinów zmieniły się w szparki. Usłyszał ostrzeżenie ukryte w moich słowach.

— Niech przybędą — odparł. — W pokoju czy wojnie, znajdując nas gotowych na ich przyjęcie.

Zmierzył nas od stóp po głowy, a to, co ujrzał, nie zrobiło na nim wrażenia, gdyż zachmurzył się jeszcze bardziej.

— Po co tu przybyliście?

— W Prydainie — odpowiedziałem — pozwalają bardowi za smakować ciepła paleniska, nim poproszą, aby śpiewał.

Calbha potarł brodę.

— W Llogres — powiedział wolno — bard nie włóczy się po kraju jak uciekinier z więziennego dołu.

— Twe słowa są bliższe prawdy niż myślisz, panie. Gdyby moje gardło nie było tak wysuszone pragnieniem, a brzuch tak zapadnięty z głodu, opowiedziałbym ci historię, której warto posłuchać.

Calbha odrzucił w tył głowę i roześmiał się.

— Dobrze powiedziane, bardziej! Wejdźcie do hali. Zjedzcie ze mną i napijcie się; odprężcie się i wyśpijcie. Nie chcę niczego w zamian, jesteście moimi gośćmi — ty i ten twój ubłocony heros.

Uniosłem dłonie i obdarzyłem go błogosławieństwem.

— Niech pokój zagości w tobie, gdy my gościć będziemy pod twym dachem i niech wszyscy od dzisiaj zwą cię Calbha Szczodrobliwym.

Moje błogosławieństwo sprawiło przyjemność panu Blar Cadlys. Ruszył przed nami do hali i kazał sobie przynieść powitalny puchar. Piwowar pospiesznie podszedł ku niemu, i podał mu dużą, srebrną czarę. Król pociągnął z niej spory łyk.

— Pijcie! Pijcie, przyjaciele i spłuczcie pragnienie z waszych gardeł — powiedział Calbha, ocierając wąsy rękawem tuniki. Podał mi czarę, a ja piłem; nigdy nie kosztowałem tak smakowitego i mocnego piwa.

Potem czara powędrowała do Llewa, który powinien napić się przede mną — był przecież panem Prydainu. Uznałem jednak, że będzie lepiej na razie tego nie wyjawiać. On sam w ogóle o tym nie pomyślał i z radością ścisnął w dłoniach czarę.

Przyniesiono zydle. Usiedliśmy z Calbha i piliśmy po kolei, dopóki nie opróżniliśmy czary. Król chciał ją napełnić ponownie, ale powstrzymałem go słowami:

— Od wielu, wielu dni nie piłem tak dobrego piwa. Ale jeśli wypiję więcej, nie będę mógł śpiewać.

Król nie protestował. Wówczas odezwał się Llew:

— Jak widzisz, panie, nie jesteśmy godni, aby zasiadać z tobą.

— Wskazał na swe podarte i ubłocone odzienie. — Pozwól nam wziąć kąpiel, a będą z nas bardziej godni twego towarzystwa kompani.

— Widzę, że jesteście srodze drogą utrudzeni — przyznał Calbha. — Obmyjcie się i wróćcie, gdy będziecie gotowi. Poczekam tu na was.

Zaprowadzono nas na podwórze za bliższym z dwóch domów wojowników, gdzie stało wielkie kamienne koryto pełne wody. Wojownicy używali go do kąpieli po ćwiczeniach. Przyniesiono nam misę, mydło z łoju, płótno do wytarcia. Zdjęliśmy brudne odzienie i weszliśmy do koryta. Woda była zimna, ale my zanurzyliśmy się w niej z rozkoszą i poczuliśmy ulgę. Namydliliśmy się, a potem nawzajem polewaliśmy się wodą, którą czerpaliśmy misą.

Podczas gdy my kąpaliśmy się, jedna z kobiet przyniosła czyste odzienie i zabrała nasze, abyśmy nie musieli po kąpieli nakładać brudnego. Wycieraliśmy się właśnie, gdy Llew niespodziewanie zapytał:

— Czemu Coranyid zaatakowały tylko Prydain?

To pytanie zaskoczyło mnie. To prawda, że Pan Nudd i jego zdziżała armia w swym niepohamowanym wybuchu nienawiści, zniszczyli wszystkie osady w Prydainie. A jednak twierdza Cruin — leżąca tak blisko Sycarth — uniknęła zniszczenia. Czemu tylko Prydain? Czemu nie Llogres? Czemu Pan Nudd skierował wszystkie siły na Prydain, podczas gdy Llogres — sądząc po Blar Cadlys — było nietknięte?

— Dociekliwe pytanie — rzekłem w końcu. — Nie potrafię na nie odpowiedzieć.

— Ale wiedziałeś, że Cruin tu będą — nalegał. — Wiedziałeś, Tegidzie. Nigdy w to nie wątpiłeś.

— Nie traciłem czasu na zastanawianie się. Myślałem jedynie o ucieczce, a to było najbliższe schronienie — powiedziałem.

Llew nie ustępował.

— Być może. Pomimo to zakładałeś, że Coranyid nie zniszczyły Cruin. To do ciebie niepodobne.

Ubraliśmy się szybko w czyste ubrania i ruszyliśmy z powrotem

do hali. W palenisku rozpalono ogień, a dookoła ustawiono zydle. Calbha siedział w otoczeniu kilku doradców i członków armii — razem ze dwudziestu ludzi. Obok niego siedziała ciemnowłosa kobieta, a jego wojownicy stali w pobliżu z pucharami w dłoniach, rozmawiając z ożywieniem.

— Kim jest ta kobieta obok Calbhy? — zapytał Llew.

— To Eneid — odpowiedziałem. — Królowa.

Gdy weszliśmy do hali, król Calbha i jego żona rozmawiali pochyleni ku sobie. Na nasz widok przerwali rozmowę; królowa wyprostowała się i spojrzała na nas z zainteresowaniem. Podeszliśmy do swych poprzednich miejsc. Powitałem królową, ona zaś skłoniła głowę i powiedziała:

— Mój mąż mówił mi, że przybyliście pieszo z Prydainu, spijając po drodze w zaroślach i na moczarach. Mam nadzieję, że gościna w Blar Cadlys bardziej przypadnie wam do gustu.

— Dziękujemy, pani — odparłem. — Mamy tu większe wygody, niż mieliśmy u swoich.

Królowa wstała i rzekła:

— Jesteście zapewne głodni. Zasiądźcie z moim mężem. Nie może doczekać się rozmowy z wami. Ja tymczasem pójdę dopilnować, aby godnie was podjęto.

Wskazała mi swoje krzesło i skinęła, aby Llew zajął miejsce obok; potem opuściła nas.

— Jesteście pierwszymi gośćmi od bardzo dawna—powiedział król. — Moja żona poczytałaby to sobie za zniewagę, gdybyście się nie najedli i nie napili do syta. Jeśli o mnie chodzi, byłbym rad usłyszeć, co dzieje się na ziemiach za Modornn.

— Pytaj o co chcesz, panie. Powiem ci wszystko, co będę mógł.

— Powiedz mi zatem — rzekł Calbha, gdy zasiedliśmy naprzeciwko niego — czy uciekliście z więziennego dołu Meldryna Mawra?

Calbha był bezpośredni — wręcz obcesowy. Jednakże obiecał nam wolność i schronie przy swym ogniu. Nie dostrzegłem u niego złych zamiarów, więc postanowiłem odpowiadać wprost, dorównując mu w bezpośredniości.



— Tak. Uciekliśmy z więziennego dołu w Sycharth i przybyliśmy do ciebie po pomoc.

Moje wyznanie wywołało małe zamieszanie wśród ludzi Calbhy. Król uciszył ich podniesieniem ręki.

— Bard i heros w więziennym dole? — zdumiał się. — To niepodobne do Meldryna Mawra! Nie marnowałby niepotrzebnie umiejętności tak utalentowanych ludzi. Musieliście dopuścić się wielkich zbrodni.

— Nie dopuściliśmy się żadnego występku, panie — odparłem — oprócz jednego: usunięcia tego, kto nieprawnie ogłosił się królem.

Jeśli me pierwsze słowa skrzesały iskry, te wznieciły płomień. Doradcy króla i wojownicy zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego.

— Co to znaczy? Nowy król? Kto? Powiedz!

Król Calbha marszcząc brwi, pochylił się do przodu.

— Nowy król? A co z Meldrynem Mawrem?

— Meldryn nie żyje. Został zabity przez swego herosa.

Po tym wyznaniu w hali zapadła cisza. Calbha uniósł w zdumieniu brwi i skierował spojrzenie na Llewa.

— Nie — powiedziałem — Llew nie jest mordercą. Śmierć zadał Paladyr, człowiek, którego Llew zastąpił.

— Kto jest teraz królem? — zapytał Calbha.

— Syn Wielkiego Króla, Meldron, obwołał się królem — odpowiedziałem. — Siłą przejął władzę.

Król Calbha pokręcił z niedowierzaniem głową, a jego doradcy poczęli szeptać pomiędzy sobą.

— Jak to się stało? Jesteś przecież naczelnym bardem — tak przynajmniej twierdzisz — jak więc mogłeś pozwolić, aby w ten sposób przejęto królewską władzę?

— Przekazałem godność królewską tak, jak uznałem za właściwe — odparłem po prostu. — Księżę Meldron nie zgodził się z moim wyborem. Pojmał nas i wtrącił do dołu.

— Ach tak! — Calbha w końcu wszystko zrozumiał. — Tak to więc było.

— Tak.

— A co z Meldronem? Czy wojownicy go poprą?

— Niestety.

— Rozumiem. — Calbha umilkł, odwrócił się do jednego ze swych doradców i przywołał go ku sobie. Rozmawiali przez chwilę po cichu, po czym król odwrócił się i powiedział: — Znam tego Meldrona. Przypomniano mi, że to on dowodził armią Llwyddi w czasie niepokojów na północy jakiś czas temu.

— Tak jest, panie — odpowiedziałem. — Jest zdolnym dowódcą. Meldryn przekazał mu dowództwo nad armią.

— Co nosi w sercu Meldron — pokój czy wojnę?—zapytał król Cruinów, wyjawiając tym pytaniem troskę, która jemu samemu leżała na sercu. Teraz wiedziałem, że mogę mu zaufać.

— Meldron zrobi wszystko, aby się wywyżżyć, a pokój uważa za zbyt powolną drogę.

— Ale co z królem? — zapytał Calbha. — Powiedziałeś, że przekazałeś władzę królewską komu innemu. Co się z nim stało?

Oceeniłem szybko nastroje dworu Calbhy i uznałem, że mogę już wyjawić to, co dotychczas skrywałem.

— Siedzi przed tobą, panie — odparłem, kładąc dłoń na ramieniu Llewa.

Calbha spojrział zdumiony na Llewa i przyglądał mu się przez chwilę.

— Nie wiedziałem, że przyjmuję króla przy swym ogniu. Ufam, że ma niewiedza nie była obrazą.

— Królu Calbho — odparł Llew. — Nie jestem żadnym sławnym królem, abyś musiał o mnie wiedzieć. Nie jestem też z tych, co węszą obrazę tam, gdzie jej nie ma. Przybyłem do ciebie jako wygnaniec i doznałem przyjęcia tak łaskawego, jakiego nie dane mi było zakosztować gdzie indziej. Dziękuję ci, nie zapomnę tego.

Odpowiedź Llewa nie mogła bardziej ucieszyć króla Cruinów. Natychmiast zaprzestano dalszych pytań, pojawiły się dzbany i napełniono puchary. Piliśmy, a do hali weszła królowa ze służbą. Inni pospieszyli po stoły, aby można było na nich ustawić jadło. Tego wieczoru najedliśmy się do syta i zasnęliśmy bezpiecznie pod solidnym dachem Calbhy.

## 6. Bezpieczna przystań

Następne dni spędziliśmy w Blar Cadlys, odpoczywając i odzyskując siły. Król Calbha okazał się bardzo troskliwym gospodarzem. Nie szczędził nam jadła ani napitków, nie próbował też korzystać z sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. A położenie nasze było w istocie bardzo kłopotliwe i mniej honorowy gospodarz mógłby posłużyć się nim dla własnych korzyści. Ale Calbha nie wypytywał nas, jakie mamy zamiary i nie wysuwał wobec nas żadnych żądań. Stopniowo pozyskiwał moje zaufanie.

A gdy już zaskarbił je sobie w tych drobnych kwestiach, postanowiłem zaufać mu i w ważnych: opowiedziałem wszystko, co wydarzyło się w Prydainie w czasie tej nienaturalnie długiej pory sollen. Powiedziałem mu o zniszczeniach, jakich w Prydainie dokonał Pan Nudd i jego demony Coranyid. Król słuchał tego w osłupieniu.

Gdy skończyłem, rzekł:

— Sollen była dłuższa i sroższa niż zwykle, to prawda. Jednakże nie zauważyliśmy w tym nic nadzwyczajnego. — Pokręcił wolno głową. — Prydain zniszczony, powiadasz? To ponad moje wyobrażenie.

Calbha nie potrafił zrozumieć tajemniczego zniszczenia Prydainu. Nie potrafił też odpowiedzieć, dlaczego Llogres uniknęło zemsty hord demona.

— Czego ode mnie chcecie? — zapytał król Calbha, uznając, iż doszliśmy w końcu do prawdziwego powodu naszych odwiedzin.

— Proszę cię o pomoc w przywróceniu tronu Prydainu Llewowi, panie.

Król w zamyśleniu szarpał wąsy.

— Prosisz o pomoc i udzielę ci jej — powiedział w końcu. — Jednakże nie moja to krew popłynie w walce. Toteż przedstawię tę sprawę swym wodzom i im pozostawię decyzję.

Natychmiast wysłał ludzi z wezwaniem dla szlachty i wodzów z okolicznych osad. Przybyło ich do Blar Cadlys piętnastu, a gdy zgromadzili się w hali, król kazał mi przed nimi stanąć.

— Mów, bardzie — rzekł — wysłuchamy cię.

Stałem przed nimi i jeszcze raz opowiedziałem o tym, co wydarzyło się w porze śniegów. Powiedziałem o zniszczeniu Synchronu i wyginięciu ludu Prydainu. Powiedziałem im o Panu Nudzie i demonach i o tym, jak w zdradziecki sposób położono kres życiu Wielkiego Króla. Powiedziałem, jak księżę nieprawnie zdobył torques i dałem do zrozumienia, że Meldron nie jest za dobrze przygotowany do walki i jeśli szybko wyruszymy, rozgromimy uzurpatora, nim zdąży wzmocnić władzę.

Potem poprosiłem ich o wsparcie w przywróceniu Llewowi należnej mu pozycji jako królowi Llwyddi. Calbha podziękował mi i poprosił, abym ich opuścił, a tymczasem on i jego wodzowie przystąpią do rozważenia wszystkiego, co powiedziałem.

Narada trwała cały dzień. W tym czasie Llew i ja odpoczywaliśmy, rozkoszując się ciepłem. Gyd wyciągała swe delikatne, uzdrawiające ręce nad wyniszczoną srogą solenną krainą. Llew był milczący i zamyślony. Było widać, że zastanawia się nad czymś, więc mu nie przeszkadzałem. Wieczorem drugiego dnia wezwano nas przed oblicze króla, byśmy wysłuchali rezultatów narady.

W hali panował mrok, pachniało dymem, choć na palenisku nie płonął ogień. Podeszliśmy ku siedzącemu w fotelu królowi i stanęliśmy przed nim; nie poproszono nas o zajęcie miejsc. Po wyrazie majaczących w półmroku twarzy — skupionych i poważnych — wiedziałem, że dobra wola Calbhy skończyła się na jego dobrych chęciach. Nie oszczędzał nas, przemówił ze zwykłą u niego bezpośredniością.

— Dosłyszeliśmy ostrzeżenie brzmiące w twych słowach, bardzo — powiedział. — I wierzymy, że uratowało to wiele ludzkich istnień. Jesteśmy więc waszymi dłużnikami. Niemniej jednak, nie możemy wesprzeć was w walce przeciwko Meldronowi.

— Królu Calbho — odparłem — przyjmuję twą decyzję, choć obudziła ona w moim sercu lęk. Albowiem wyjawiając ci słabość Meldrona, oddałem w twe ręce życie naszych krewnych — choć nie prosiłem cię o gwarancje w zamian.

— Tak było w istocie, nie prosiłeś o gwarancje — przyznał. — Powiem ci szczerze, cieszę się z pozostawienia tej sprawy jej włas-

nemu losowi. Nie podniosę ręki przeciwko Llwyddi, ani nie zajmę ziem Prydainu.

Chciałem mu podziękować, ale władca Cruinów podniósł rękę.

— Przekonany jestem jednak, że Meldrona nie da się tak łatwo uspokoić. Wasza obecność tutaj będzie podsycać jego gniew przeciwko nam, a my nie chcemy dawać mu powodów do wojny. Dlatego też musicie odejść stąd, nim słońce jutro zajdzie.

Zgromadzeni panowie pomrukiem wyrazili pochwałę decyzji swego króla.

— Ponieważ jednak okazaliście mi zaufanie — ciągnął dalej Calbha — pozwolę wam wybrać konie z mego stada; dam wam również broń i wszelki ekwipunek, który uznacie za przydatny. — Popatrzył na nas, mając z nadzieją, że będziemy zadowoleni. — Co wy na to?

— To bardzo sprawiedliwe z twojej strony, królu Calbho — odparłem, kłaniając się z szacunkiem. — Przyjmujemy twe dary.

Wówczas odezwał się Llew.

— Jesteś naprawdę wspaniałomyślny, panie. Nie mogę się jednak powstrzymać od pytania — skoro okazałeś nam tak wielką szczodrość, to czy nie mógłbyś okazać jeszcze trochę większej?

— Słucham? — zapytał ostrożnie król. — Powiedz, czego jeszcze byś chciał?

— Chcielibyśmy łodzi, królu.

Calbha patrząc na Llewa, czujnie szarpał końce wąsów.

— Łódź? — powtórzył wolno, spoglądając po zgromadzonych wokół doradcach; nikt nie sprzeciwił się tej prośbie. — A zatem dobrze, dam wam łódź. Ale za łódź poproszę cię o coś w zamian.

— Proś zatem — odparł Llew. — Co można, uczynię.

— Proszę cię o gwarancję pokoju, dopóki obaj będziemy sprawować rządy.

— Panie, jeśli jest w ogóle królem, to królem bez królestwa i ludu. Jednakże całą władzą, jaką posiadam, gwarantuję ci pokój z swego panowania, aż po kres swych dni.

Powiedział to z otwartością i szczerym przekonaniem, czym niezmiernie ucieszył Calbhę. Po wymianie wzajemnych gwarancji

król polecił przynieść puchar, który wychylił pospołu z Llewem. Dobrze zapamiętałem to wydarzenie, gdyż wtedy po raz pierwszy Llew został otwarcie uznany królem.

Świtem następnego dnia Calbha zaprowadził nas do zagrody z dwunastoma końmi, spośród których mieliśmy sobie wybrać wierzchowce. Wszystkie były wspaniałe. Byłem gotów wybrać konie dla nas obu, ale Llew odwrócił się do Calbhy i powiedział:

— Mamy przed sobą długą podróż i bez wątpienia czeka nas wiele niebezpieczeństw. Rumaki z królestwa Cruin słyną w całym Albionie, ale te tutaj przewyższają wszystkie, jakie widziałem. A gdybyś ty był na moim miejscu, panie, to które byś wybrał?

W ten sposób pozwolił Calbhie wykazać się znakomitą znajomością koni, której też król dowiódł z wielkim zapałem.

— Za każdego z nich można by wziąć godziwą cenę — powie działa. — Wszystkie dobrze będą ci służyć — przerwał i pozwolił sobie na mrugnięcie. — Ale dobrze zrobisz prosząc mnie o radę, gdyż nie zawsze najlepiej spisują się te najbardziej chyże lub o najgładszej sierści.

Potem odwrócił się i wszedł do zagrody. Spacerował pomiędzy końmi, poklepywał je, gładził, obmacywał boki. Llew chodził wraz z nim i rozmawiali, oglądając po kolei każdego konia i omawiając jego zalety. Przyglądałem się, jak tych dwóch ze sobą rozmawiało. Llew wydawał się bardzo zdecydowany i świadomy tego, co robi. Jego sposób bycia zmienił się. Po raz pierwszy od momentu wyłonienia się z Kurhanu Bohatera na Cnoc Righ wydawał się pewny siebie i spokojny.

Calbha i Llew obejrzelik dokładnie wszystkie konie i po długim zastanowieniu wybrali dwa: długonogą, karą klacz i dereszowatego ogiera z białymi pęcunami. Oba zwierzaki były pełne wigoru, młode i silne. A gdy je osiodłano, Calbha osobiście pojechał z nami na wybrzeże na swym srokatym ogierze.

Podobnie jak Llwyddi, królowie Cruin od dawna wykorzystywali wybrzeże wzdłuż Muir Glain na przystań. Jednakże w odróżnieniu od Llwyddi, Cruin nigdy nie pałali miłością do morza. Woleli bardziej konie i stały grunt pod nogami.

Pomimo to ich łodzie były mocne i doskonale nadawały się do morskich podróży: czarne, o solidnych burtach i ciężkich, kwadratowych żaglach. A choć Calbha miał tylko cztery łodzie dostatecznie duże, aby przewieźć nas wraz z końmi, obstawał przy daniu nam najlepszej z nich. Podczas gdy przygotowywano dla nas łódź, król chodził po kamienistym brzegu, doglądając wszystkiego i komendując ludźmi, gdy uwiązywali konie na pokładzie.

Myślę, że nie cieszył się zbyt z naszego odjazdu. Nie miał barda i pewnie z ochotą zatrzymałby mnie przy sobie. Nabrał również szacunku dla Llewa; gdyby nie obawa przed Meldronem, znalazłby dla niego miejsce w swej drużynie.

Tak więc król Calbha pomógł nam, ile mógł. A gdy nadszedł czas odbicia od brzegu, stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi i patrzył za nami, dopóki nie wypłynęliśmy na głęboką wodę i nie podnieśliśmy żagli.

— Był dla nas dobry — powiedział Llew, sadowiąc się obok mnie przy rumplu. — Pewnego dnia odpłacę mu za jego życzliwość.

— Skoro masz już swoją łódź, dokąd chciałbyś popłynąć?

— Na Ynys Sci — odparł bez wahania. — Tam spotka nas godne przyjęcie.

A zatem pożeglowaliśmy na Sci — najpiękniejszą z wysp Albionu — spiesząc szlakiem wielorybów ku naszej bezpiecznej przystani. Łódź nie była szybka, ale mogła sama żeglować. Musieliśmy jedynie pilnować, aby żagle były pełne wiatru, a wtedy dziób sam prüł lśniąca wodę. Podróżowaliśmy w poczuciu bezpieczeństwa, wiedząc, że Meldron nie może nas ścigać — w Sycharth nie pozostała żadna łódź. Gdy Muir Glain zniknęła nam z oczu, śmiało przybijaliśmy do brzegu za każdym razem, kiedy mieliśmy ochotę rozbić obóz, znaleźć wodę i paszę dla koni.

W ogóle była to miła podróż — bezpieczna z uwagi na fakt, że ziemie, które mijaliśmy, były opustoszałe i porzucone. Prydain był odludziem. Nie widzieliśmy śladu żywej duszy i zacząłem się zastanawiać, czy znajdziemy kogoś na Sci.

Po dniach spędzonych na wzburzonym morzu dojrzeliliśmy

w końcu skalisty przylądek Sci. Stałem na dziobie i wpatrywałem się w urwiska nad zatoką.

— Tam! — krzyknąłem, wskazując cieniutką smużkę dymu unoszącą się z kuchni za halą Scathy. — Nudd ich jednak nie dopadł!

— To dobrze — odparł Llew. To było wszystko, co powiedział, ale wiedziałem, że poczuł ulgę. W czasie swego długiego pobytu na wyspie pokochał to miejsce całym sercem. „Ynys Sci jest mym domem” — powiedział mi kiedyś.

Miał też inny powód, dla którego chciał przybyć na Sci. Wyspa była daleko poza zasięgiem Meldrona; wiele czasu upłynie, nim uzurpator będzie mógł, szukając nas, zapuścić się aż tutaj. Pomimo swego oddalenia, Sci utrzymywała ożywione stosunki z całym Albionem: synowie szlachty i herosów ze wszystkich królestw przybywali na wyspę Scathy, by doskonalić się w sztukach walki. Od nich będziemy mogli wywiedzieć się, jak wyglądają sprawy w Caledonie i Llogres.

Takie właśnie myśli zaprzętały mi głowę, gdy wpływaliśmy do płytkiej, obrzeżonej piaskiem zatoki. Dostrzeżono nasze przybycie i Boru, główny instruktor w szkole Scathy, wyjechał nam na powitanie z keru usadowionego na szczycie urwiska.

— Tegid! — zawołał, gdy ujrzał mnie stojącego na dziobie. Zaciął konia, wjechał w spienione fale, po czym zeskoczył z siodła i brodząc ruszył nam na spotkanie. — Tegidzie, jak dobrze cię znowu widzieć. Witaj! — Rzuciłem mu linę, którą okręcił sobie wokół rąk i ruszył w stronę brzegu. — A kto jest z tobą, Tegidzie?

— Boru! — powiedział Llew, wyskakując się z łodzi. — Nie poznajesz mnie?

Kościsty wojownik zatrzymał się na dźwięk głosu Llewa i spojrział na niego w osłupieniu.

— Llyd? — zapytał. — Może to być?

— To jest Llyd — a raczej był — odparłem. — Teraz to jest Llew. Wiele się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania.

— Witaj, bracie! — Llew rzucił się ku niemu, rozpryskując wodę i wyciągając ręce w braterskim powitaniu.

— Llew? — Boru roześmiał się, wypuścił linę i mocno uściśkał



Llewa. — A więc w końcu zdobyłeś prawdziwe imię. Opowiedz mi o tym!

— W swoim czasie — powiedział Llew. — Tegid pali się, aby ci wszystko opowiedzieć.

Boru pomógł nam zabezpieczyć łódź i sprowadzić na ląd konie. Potem pojechaliśmy na oklep krętym szlakiem w górę, do keru. Ker Scathy nie miał murów ani bramy — jej sława jako wojownika była twierdzą, która ją całkowicie zabezpieczała.

— Wciągnij w płuca to powietrze, Tegid! — powiedział Llew, oddychając głęboko. Spojrzał w niebo. — I popatrz na słońce — takiego nigdzie nie ma.

Boru wszedł przed nami do hali. Odgarnął na bok zasłonę z wolej skóry i zawołał głośno. Jednakże to nie Scatha nam odpowiedziała, ale Goewyn, jej złotowłosa córka. Wstała ze swego miejsca przy palenisku i mile zaskoczona wyszła nam na powitanie.

— Witaj, Tegidzie! Cieszę się, że cię widzę. Wydaje się, że całe wieki temu opuściłeś to miejsce, a przecież to tylko jedna pora roku.

Następnie odwróciła się z uprzejmym wyczekiwaniem ku Llewowi. Przyjrzała mu się uważnie i uśmiech znikł jej z twarzy.

— Goewyn... ja... — zaczął Llew.

— Llyd? — powiedziała, usłyszawszy swe imię w jego ustach.

Llew skinął głową. Goewyn zbliżyła się do niego z wahaniem, podniosła ręce, aby go dotknąć, ale powstrzymała się.

— Llydem to on był — wyjaśniłem — ale już nie jest. Człowiek, którego przed sobą widzisz, nazywa się Llew i jest królem Prydainu.

— Naprawdę? — Goewyn otworzyła szeroko oczy. — Królem?

— To sprawa Tegida — przyznał Llew — i długa opowieść.

— Chciałbym ją usłyszeć! Król Prydainu? — Boru zagwizdał szczerze zaskoczony. — Któż by przypuszczał?

— Zmieniłeś się — powiedziała cicho Goewyn. — I nie tylko z imienia. Nie jesteś tym samym człowiekiem, który opuścił to miejsce przed zimą. — Podniosła rękę, aby dotknąć jego włosów i twarzy. Potem, jakby upewniona, że stojący przed nią mężczyzna jest tym, którego pamiętała, objęła go. — Tęskniłam za tobą.

To ostatnie zdanie było przeznaczone tylko dla Llewa — tylko

dla niego rozbłysły jej ciepłe, brązowe oczy. Widziałem, z jakim oddaniem na niego patrzyła i wiedziałem, że przez mroczne, dręzczone śnieżycami dni sollen ona w swym sercu skrywała żar. A gdy tylko przytuliła Llewa, ten żar wzniecił płomień, który począł od tej chwili jasno płonąć.

A czemuż by nie? Znali się bardzo dobrze. Llew spędził na wyspie siedem lat: przez trzy pory roku ćwiczył jako wojownik i odpoczywał w czasie pory czwartej, zimnej — odpoczywając zaś napawał oczy widokiem trzech pięknych córek Scathy, które służyły na królewskim dworze, a na zimę wracały na Ynys Sci, gdy większość z uczniów wyjeżdżała do domu, do swego klanu i krewnych.

Jednakże Llew posłuszny rozkazowi Meldryna Mawra nie wracał do Sycharth, ale spędzał burzliwą, zimną sollen na Sci z tymi nielicznymi, których przywilejem było pozostawać w tym wyborzym towarzystwie.

— Ilu macie tu teraz wojowników? — zapytałem Boru.

— Szesnastu — odparł. — Wybrali się na polowanie na drugi kraniec wyspy i nie wrócą, nim nie zagonią swych koni. Pozostali jeszcze nie przybyli.

— Gdzie jest Scatha?

— Jeździ konno — odparła Goewyn. Nagle przypomniała sobie o dobrych obyczajach i oddaliła się szybko ze słowami: — Jesteście utrudzeni podróżą. Siądźcie i odpocznijcie. Przyniosę jadło i coś do picia.

Odeszła pospiesznie, a Llew patrzył w ślad za nią, dopóki nie zniknęła mu z oczu za zasłoną w drugim końcu hali.

— Dobrze być z powrotem. Mam wrażenie, jakby nie było mnie tu całą wieczność.

— Siadaj, bracie — powiedział Boru, przyciągając stołki. — Co słyhać u Meldryna Mawra? Gdzie wasze gołowąsy? — zapytał.

Zastanowiło mnie to. Czy to możliwe, aby tu na wyspie nie wiedziano o niczym, co wydarzyło się za jej brzegami?

— Miałeś jakieś wieści z Prydainu? — zapytałem, zajmując miejsce.

— Nawet jednego słowa, jednego świstu—odparł Boru. —Ale to nie dziwota. Tego roku morze pomiędzy Sci i stałym lądem

zamarzło. Nie widziałem jeszcze tak srogiej zimy — myślałem, że nigdy się nie skończy.

Właśnie wówczas pojawiła się Goewyn, a za nią Govan w czarownych płasach. Były siostrami, ale różniły się od siebie, jak tylko kobiety potrafią. Goewyn miała włosy złociste i delikatne niczym len, skórę jasną; włosy Govan były brązowe, a cera śniada od pocałunków słońca. Govan oczy miała błękitne, a jej siostra brązowe. Goewyn była wysoka i pełna eleganckiego wdzięku, Govan zaś była zwinna, gibka, o zachwycających ruchach. Rzadko kiedy milczała i nigdy nie tkwiła w bezruchu. Tam gdzie była Govan, był śmiech — albo też łzy, ale prawie nigdy cisza.

Dzisiaj siostry również pojawiły się roześmiane. Govan podeszła wprost do Llewa. Utkwiła w nim spojrzenie swych przepastnych oczu, badając jego twarz, zafascynowana zmianami, jakie w niej dostrzegła.

— Llyd? — szepnęła, głosem zduszonym od zachwytu. — Co się z tobą stało?

— To była ciężka zima — odparł Llew.

— Siostra powiedziała mi, że się zmieniłeś, ale... — Zachwycona zmianami w wyglądzie Llewa, roześmiała się, nie kończąc.

— Miło mi cię widzieć, Govan — odparł Llew.

— Zawsze byłeś tu mile widziany — powiedziała Govan, nagle poważniejąc; zduszony uśmiech błąkał się jej jeszcze w kącikach ust. — I będziesz nie mniej mile witany teraz, gdy jesteś królem.

Z zewnątrz dobiegło nas głucho uderzenie kopyt i nie przebrzmiało jeszcze, a ona już tu była — Scatha, w swym szkarłatnym płaszczu i opończy z purpurowym pasem. Długie włosy miała rozpuszczone i potargane przez wiatr. Policzki płonęły jej z wysiłku. Wkroczyła do hali z błyskiem ożywienia w oczach, gdyż dojrzała na plaży naszą łódź i wiedziała już, że ma gości.

— Tegid! — zawołała od progu. — Witaj i bądź pozdrowiony. — Odwróciła się do Llewa. — I ty również... — Scatha zawahała się, podeszła bliżej i przyjrzała się uważnie Llewowi. — Llyd? Czy to ty?

— Wróciłem, Pen-y-Cat — odparł, używając jej nieformalnego tytułu, którym obdarzyli ją jej uczniowie: Wodzu.

— Podejdz, mój synu — powiedziała. Wszystkich, którzy ukończyli jej twardą szkołę, uznawała za swych synów.

Llew stanął przed nią. Scatha położyła dłonie na jego ramionach i długo patrzyła mu w oczy.

— Tak, to jest Llyd — powiedziała i pochylając się bliżej, ucałowała go w oba policzki. — Witaj, mój synu.

— Teraz zwą mnie Llew — powiedział jej po prostu.

— I jest królem! — dodała Govan.

— Naprawdę? — zapytała Scatha, przyglądając się pogodnie Llewowi. — Tej opowieści chętnie wysłucham. — W tym momencie do hali weszła służba z chlebem i zimnym mięsem na półmiskach oraz z dzbanami piwa. — Podsyćcie ogień i napełnijcie puchary! — zawołała do nich Scatha. A odwracając się do mnie, powiedziała: — A ty, Tegidzie Tathal, opowiesz nam, jak doszło do tych nadzwyczajnych rzeczy.

— Nareszcie! — powiedział Boru. — Bo już myślałem, że mu język kołkiem w gębie stanął.

Właśnie wówczas weszła Gwenllian, najstarsza z córek Scathy. Jeździła konno z matką i przed przyjściem do hali dopilnowała oporządzenia koni. Teraz dołączyła do naszego towarzystwa i przywitała się, szybko przemykając spojrzeniem po zebranych.

Na widok Llewa zamarła w pół kroku.

Z jej twarzy zniknął powitalny uśmiech, a ciało zeszytywniało. Pomyślałem, że gotowa zemdleć, gdyż zachwiała się — ale jej oczy pozostały jasne i czujne. Umilkliśmy wszyscy, obserwując ją.

— Witaj, Llew, pozdrawiam cię — wyszeptła niemal w milczącym dowodzie uznania, ogarniając wzrokiem jego postać. — W końcu przybyłeś.

Nie zdziwiło mnie to osobliwe powitanie, bo przecież to jej szmaragdowe oczy pierwsze dostrzegły zarys straszliwych wydarzeń, które miały zajść w Albionie. To właśnie płomiennowłosa Gwenllian obdarzyła Llyda przepowiednią, z której wziął swe imię. Widząc go teraz, mądra *banfaith*, którą była, rozpoznała go pomimo zmian w jego wyglądzie, a może właśnie dzięki nim.

Minęła chwila i Gwenllian podeszła do niego; uściśnęła jego dłoń

i ucałowała policzek na powitanie. Scatha przyglądała się temu z zainteresowaniem. Nie spuściła z niego oczu nawet, gdy jej córka odsunęła się na bok. Llew raz jeszcze upewnił się o należnym mu pośród nich miejscu. Nie wiem, co widziała Pen-y-Cat — być może wspominała człowieka, którego niedawno stąd odprawiła, a może po prostu oceniała siłę nowego sprzymierzeńca?

Zasiedliśmy przy płonącym na palenisku ogniu i rozpocząłem swą smutną opowieść o wszystkim, co wydarzyło się od czasu, gdy po raz ostatni siedzieliśmy z Llewem w tym szczęśliwym miejscu. Opowiedziałem im o udźęcie, jaka spadła na Prydain z rąk Pana Nudda i jego demonicznej czeredy Coranyid — o zniszczeniu Sycharth i wszystkich osiedli, dużych i małych, w całym kraju. Powiedziałem im o rozpaczliwej ucieczce do Findargad i długim oblężeniu, któremu kres położyło dopiero odnalezienie przez Llewa śpiewających kamieni, które umierający Phantarch zaklął, aby uratować Pieśń Albionu.

Na koniec powiedziałem im o bohaterskim czynie Llewa na murach Findargad, zdradzie księcia Meldrona, która skończyła się śmiercią Wielkiego Króla; opowiedziałem o ceremonii pogrzebowej Meldryna Mawra i o tym, jak na oczach wszystkich Llew wyłonił się z Kurhanu Bohatera. Powiedziałem, jak przekazałem władzę królewską Llewowi i jak w odwecie Meldron, parszywe nasienie, przejął ją siłą, a nas uwięził. Opisałem naszą ucieczkę z więziennego dołu i dotarcie na Ynys Sci.

Opowiedziałem im wszystko, co wydarzyło się w kraju od czasu opuszczenia przez nas wyspy. Wiedziałem, że w niedługim czasie będzie nam potrzebna pomoc Scathy, więc niczego nie ukrywałem. Zaczynałem już nawet snuć plan, dzięki któremu moglibyśmy odzyskać tron Prydainu.

Moi przyjaciele słuchali tej smutnej opowieści w milczeniu, z niedzonym chlebem i nietkniętymi pucharami w dłoniach. Gdy skończyłem, noc już zapadła i w hali panował mrok. Siedzieliśmy wokół paleniska, na którym dogasał ogień, skwiercząc głośno w ciszy hali. Moja opowieść wprawiła ich w osłupienie i zdziwienie. Boru wpatrywał się w migoczące węgle, jego pociągła twarz niknęła w gęstym

mroku. Scatha i Govan siedziały zasepione, w ich oczach błyszczały łzy. Gwennlian, wyprostowana, ze złożonymi dłońmi, pozostawała nieodgadniona za przymkniętymi powiekami. Wyraz twarzy Gowyń był mieszaniną współczucia i dumy, i zastanawiałem się, co w mych słowach wywołało u niej taką reakcję.

W końcu Scatha podniosła oczy, zaczerpnęła tchu i powiedziała:

— Przykro mi z powodu śmierci Meldryna Mawra i zasmucają mnie haniebne poczynania jego zachłannego syna. Bądź pewny, że uczynię wszystko, co w mej mocy, by ci pomóc.

Scatha od razu zaferowała mi to, co miałem nadzieję zdobyć drogą perswazji. Z radością przyjąłem jej pomoc.

— Dziękuję — odparłem. — Z twoją pomocą dojdziemy praw Llewa i przywrócimy prawowitą władzę.

Gwennlian uniosła jednak ostrzegawczo rękę:

— Powinniście to wiedzieć: moją matkę krępuje silne *geas*, nie wolno jej wspierać jednego króla w walce przeciw drugiemu ani podnosić miecza na tych, którzy przysyłają swych krewnych do niej na naukę, chyba że któryś z nich pierwszy podniesie na nią rękę.

Gwennlian umilkła, pozwalając, aby w pełni dotarło do mnie znaczenie jej niewesołych słów.

Rozumiałem mądrość takiego zakazu, choć bolałem nad jego nieszczęsnymi skutkami. Tabu Scathy oznaczało bowiem, że nie mogliśmy liczyć na jej umiejętności i pomoc w walce.

— To prawda — odparła Scatha. — Nie mam pełnej swobody w wyborze środków.

— Pen-y-Cat — powiedział Llew — choć twa klinga warta jest setki innych, wystarczy, że przyjąłeś nas i udzieliłeś schronienia. Nie musisz się lękać o złamanie swego *geas*. Znajdziemy inny sposób na pokonanie Meldrona.

— Ale ja nie jestem skrupowany żadnymi przysięgami — powiedział Boru, podrywając się na nogi. — Z ochotą wyciągnę broń przeciw Meldronowi i każdemu, kto za nim pójdzie. Wesprę cię, bracie. Jestem na twe rozkazy.

— Dziękuję — powiedział Llew. — Przyjmuję pomoc. Bez wątpienia będę potrzebował twego silnego ramienia.

— Koniec — powiedziała wstając Scatha — nie będziemy już więcej o tym mówić. Zbyt długo, przyjaciele, byliście nieobecni przy naszym palenisku. Tej nocy będziemy wspólnie jeść i pić, i cieszyć się waszym szczęśliwym powrotem. — Kazała ponownie podsycić ogień i podać świeże jado i napoje. Rozmowa zesła na weselsze tematy i nie rozwodziliśmy się już dłużej nad Meldronem i jego podłą zdradą.

Noc była głęboka, gdy rozeszliśmy się na spoczynek. Po opuszczeniu hali podążyliśmy za Boru przez zalany księżycowym światłem podwórzec do domu wojowników. Nagle Llew zatrzymał się i spojrzał w upstrzone gwiazdami niebo.

— Co się stało? Co widzisz? — zapytałem.

Nie odpowiedział od razu.

— Zapomniałem, jak są jasne — mruknął po chwili. — I jak są blisko.

## 7. Pośepny Beltain

Młodzi wojownicy poczęli tłumnie przybywać do szkoły Scathy, niczym krzykliwe mewy powracające do swych letnich gniazd. Przybywali na skrzydłach wiatru — ale ani jeden z wyludnionego Prydainu. Ten brak z nadmiarem kompensowali inni z Llogres i Caledonu.

Staliśmy z Llewem na skraju urwiska, gdy z pierwszej łodzi zaczęli wysiadać niecierpliwi pasażerowie. Chłopcy, niektórzy zaledwie ośmioletni, wmaszerowali na brzeg, z głowami dumnie podniesionymi w przeczuciu przyszłej chwały, którą miały im przynieść tu zdobyte umiejętności.

— Ćwiczebne place Scathy będą pełne tego roku — zauważyłem. — Obfity plon.

— Hm? — zapytał nieobecny tonem Llew. Obserwował mężczyznę, który bez niczyjej pomocy ciągnął łódź na brzeg za linę opasującą jego szerokie bary. Pochylony, z naprężonymi plecami, zapierając się mocnymi nogami, wyciągał łódź na kamienistą plażę.

— To ci dopiero mocarz — powiedziałem, a widząc, z jaką wagą Llew mu się przygląda, zapytałem: — Znasz go?

— Tak, zdaje się, że go znam — odparł i w tej samej chwili począł zsuwać się stromą ścieżką ku kamienistej plaży w dole.

Poszedłem w jego ślady i usłyszałem, jak woła:

— Cynan!

Młodzieniec rozejrzał się i szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz. Rude loki, błyszczące niczym wypolerowana miedź, zwichrzyły się jak pióra w podmuchach morskiej bryzy; oczy spokojne i błękitne, podobne do okruchów lodu, wesoło przeszukiwały wybrzeże. Chciał wypatrzeć, kto go woła. Na jego szyi błyszczał gruby, srebrny torques.

— Tu, Cynan! — zawołał Llew, wbiegając z pluskiem do wody.

— Witaj, przyjacielu — powiedział, gdy Llew stanął przed nim.

— Cynan ap Cynfarch jestem. — Nadał się uśmiechał, ale w jego oczach nie pojawił się błysk rozpoznania.

— Cynan, to ja: Llyd!

Młody wódz zatrzymał się, mrużąc przyjaźnie oczy.

— Nie... czy to... Llyd?

— Pamiętasz!

— Llyd ap Dieter! — krzyknął Cynan. — Czy to ty, chłopie? Dziwne imię: Gniew, Syn Furi. Co ono oznacza?

Llew się roześmiał i wziął go w ramiona. Uścisnęli się jak krewniacy; stali rozmawiając wesoło, niepomni na szturmujące fale. Potem schwycili za linę, wyciągnęli łódź na plażę i podeszli do mnie.

— Tegidzie — powiedział Llew — to jest Cynan Machae, mój brat po mieczu, właśnie jemu zawdzięczam wszystko, co wiem o pokorze.

— Chciałeś powiedzieć, upokorzeniu! — Cynan roześmiał się, kładąc rękę na ramieniu Llewa. — Ależ z ciebie był żalosny przeciwnik!

— Ojcem Cynana jest król Caledonu, Cynfarch — wyjaśnił Llew. — Jego klan jest na południu największy.

— Jeśli włączysz i owce — dodał wesoło Cynan. — Serdecznie cię witam. Każdy, kto zwie się przyjacielem Llyda, jest i moim.



— Pozdrawiam cię, Cynanie Machae — powiedziałem. — Niech twa włócznia będzie równie celna jak twe słowa.

Llew wskazał na mnie ręką.

— To jest Tegid Tathal, penderwydd Prydainu — wyjaśnił Cynanowi. — Pozwolił mi podróżować w swoim towarzystwie.

— Słyszysz naczelnemu bardowi?—Cynan uniósł rudą brew. — Doszedłeś do zaszczytów, odkąd ostatni raz cię widziałem, Llyd.

— W rzeczy samej — odparłem — choć nie powiedziałby tego sam. Nie jest już Llydem. Stał się Llewem i jest królem, któremu służę.

Zdumienie w błękitnych oczach Cynana było równie silne jak jego zadowolenie.

— *Clanna na cú!* — zagwizdał. — Kotek do podpierania włóczni, jakim cię pamiętam, nie był nawet wodzem, a cóż dopiero królem! — Wskazał na szyję Llewa. — A gdzie twój złoty torques, chłopie?

— Chodźmy do hali, wychylimy razem parę pucharów — powiedział Llew.

— Oto bratnia dusza — odparł Cynan. — Prowadź.

Ruszyli przez plażę ku stromej ścieżce pod górę. Llew odwrócił się.

— Idziesz, Tegidzie?

— Dołączę do was za chwilę. Dzień jest pogodny; mam ochotę pospacerować i pomyśleć. Zostawcie dla mnie coś w dzbanie.

Patrzyłem, jak obaj wspinali się stromą drogą prowadzącą do kem. Potem odwróciłem się i poszedłem brzegiem na zachód. Morze migotało i połyskiwało niczym kute srebro, a niebo błyszczało wypolerowanym błękitem. Powietrze o wyraźnym posmaku soli było rześkie i świeże; blade słońce powoli rozgrzewało ziemię i wodę. Małe, okrągłe kamyczki dudniły pod moimi stopami, a w górze pokrzykiwały piskliwie mewy.

Tak, to był dobry dzień na przechadzkę i rozmyślenia — a ja miałem sporo do rozważenia. Moim głównym zmartwieniem było stworzenie drużyny, która stanęłaby przeciwko Meldronowi w walce o odzyskanie tronu. Drużyna Llwyddi, choć znacznie przeredzona,

nadal liczyła osiemdziesięciu wojowników. A Wilcza Sfora księcia pozostała nienaruszona — elitarny oddział złożony z dwudziestu najlepszych wojowników Prydainu.

A my nie tylko musieliśmy przeciwstawić Meldronowi porównywalne siły. Musieliśmy go przytłoczyć liczebnością swej drużyny. Nie miałem ochoty stawać do walki przeciwko członkom własnego klanu, ale odpowiednio wielka siła mogła w ostatecznym rozrachunku oznaczać, że mniej krwi zostanie przelane. Jednakże zgromadzenie jakiegokolwiek drużyny... Łatwiej już chyba byłoby wyłowić ostrzygi z morza lub przywołać szybujące pod niebiosami ptaki.

Wspiąłem się po obmywanych falami skałach i okrążyłem przyładek. Wiatr uderzył we mnie z siłą i ożywczą świeżością. Wciągnąłem powietrze głęboko w płuca i ruszyłem po gładkim, mokrym piasku, który właśnie optukało morze.

Przez jakiś czas głowę miałem zaprzątniętą trudnościami związanymi ze sformowaniem drużyny, ale moje myśli stopniowo poczęły błądzić gdzie indziej. Niepostrzeżenie zacząłem wspominać noc na świętym wzgórzu na Ynys Bainail — gdy pośród naciągającej burzy został uwolniony Cythrawl, prastare zło. Sięgnąłem w głąb pamięci ku tej przeklętej nocy, gdy Ollathir, naczelny bard Albionu, zginął.

Znowu usłyszałem głos Ollathira, który w tajemnym języku *derwyddi* wykrzykiwał rozpaczliwe zaklęcie. Święte wzgórze zdrząło na jego dźwięk. Zachwiałem się na nogach. Przed oczami pojawił mi się naczelny bard stojący samotnie, wsparty o menhir Prydainu, z laską mocy wyciągniętą nad głowę, ze wszech sił starający się powstrzymać wijącego się Cythrawla.

Przed śmiercią wraz ze swym ostatnim tchnieniem Ollathir przekazał awen Llewowi. Nie widziałem tego, ale nie wątpiłem, że odbyło się to dokładnie tak, jak opisał mi Llew: przez pocałunek umierającego.

Llew posiadał awen naczelnego barda, ale nie był bardem. Awen jest przewodnim objawieniem barda, duchowym oświeceniem w jego sztuce, jest esencją wiedzy objawiającą się w mocy. U barda takiego jak Ollathir awen był potężnym narzędziem i bronią. I Llew

to posiadał, ale nie był bardem, nie potrafił więc przywoływać go, kiedy chciał.

Nie była to jednak broń zupełnie dla niego stracona. Widziałem, jak rozbłysnął w nim awen podczas pobytu w Sercu Serc, komorze Phantarcha, ukrytej głęboko pod skałą Findargad. Tam awen, wzmocniony Pieśnią Albionu, przeobraził go: Llyd, oporny wojownik, stał się Llewem, herosem.

Awen naczelnego barda żył w Llewie, ale pozostawał głęboko ukryty. Byłoby dla nas nieocenione, gdyby w razie potrzeby potrafił go przyzywać. Ale szkolenie barda jest trudne i zajmuje dużo czasu. A nawet wówczas wyćwiczona harmonia umysłu i serca, która jednoczy się w pieśń duszy, nie jest gwarantowana każdemu, kto wkroczy w wąską bramę derwyddi i nie każdy bard potrafi władać awenem wedle swego życzenia.

Przyjemnie było tak iść — rzeński wiatr na twarzy, ciepło słońca i ciągnące się po horyzont morze. Plan poczynał nabierać w mym umyśle kształtów. Byłem ostatnim bardem swego ludu; wszyscy inni odeszli. Ale sądząc z tego, co zobaczyłem w Llogres i na Sci, zniszczenia Pana Nudda dotknęły chyba tylko sam Prydain. Wydawało się wielce prawdopodobne, że bardowie z plemion Caledonu i Llogres nie wiedzieli, co się wydarzyło.

Pomyślałem sobie, że mógłbym rozesłać do nich wezwanie poprzez uczniów tłumnie zaludniających teraz wyspę Scathy. Tak, zgromadzę uczonych braci i opowiem im o wszystkim, co się wydarzyło. Powiadomię ich o występnych poczynaniach Meldrona i poproszę ich o pomoc w przywróceniu tronu prawowitemu królowi Prydainu.

W ciągu następnych dni rozmawiałem z wieloma chłopcami i młodzieńcami przybywającymi na wyspę i dowiedziałem się, którzy królowie w Caledonie i Llogres utrzymują na swych dworach bardów. Wywiedziałem się również o imiona moich braci i gdzie można ich znaleźć. A potem czekałem, oddając się zajęciom, jakie przypadły mi w służbie Scathy.

Poprzez dni słodkie i bogate niczym złocisty miodowy nektar, koło niebios obracało się, tocząc się wytoczonym szlakiem: przez czas sadzenia i kwitnięcia — gdy wzgórza pokryły się drobnymi, złocistymi kwiatuškami, a nawet najbardziej ocienione doliny stały się rdzawe i purpurowe — pory roku roztaczały powoli swe uroki. Przeglądałem się znakom, przypieczętowującym każdy mijający dzień, przypatrywałem się uroczystościom i świętom naszego ludu.

Zaobserwowałem również więź zacieśniającą się pomiędzy Goewyn i Llewem.

Często byli razem: jeżdżąc konno o poranku, spacerując po wzgórzach o zachodzie słońca czy po plaży srebrzonej księżycowym blaskiem. Widziałem, jak Goewyn na niego patrzyła, jak cieszyła ją jego obecność. To nie przelotny błysk rozjaśniał jej ciemne oczy, ale coś, co stawało się coraz silniejsze.

Llew był oczarowany wszystkim—zarówno jasnymi warkoczami, jak i śmiechem, linią ust i chłodnym dotknięciem szczupłych palców. Llew nie był samotny, mając wciąż Goewyn przed oczyma.

Rhylla, pora zbiorów i pieśni, nastała w swoim czasie, przynosząc krótkie, zabarwione bursztynowo dni i malowane przymrozkami noce. Za nią szła pora śniegów, z zimnymi, wilgotnymi i wietrznymi dniami. Ale nim lodowate wichury położyły kres morskim podróżom, młodzież ze szkoły Scathy odjechała do swych królestw i domowych ognisk swych klanów.

Przed wypłynięciem okrętów porozmawiałem z tymi, którzy wracali na kontynent i zobowiązałem ich uroczystymi przysięgami do przekazania mej wiadomości bardom: na prośbę naczelnego barda Prydainu, zwołuje się *gorsedd* na Ynys Bainail, w pierwszą pełnię po Beltain.

Stałem na urwistym brzegu, smagany wiatrem, i patrzyłem na okręty wypływające w podróż do domu. Wieść o zgromadzeniu powędrowała razem z zaprzysiężonymi posłańcami; nie lękałem się, że mnie zawiodą. Gdy ostatni z okrętów wypłynął z zatoki, pospieszyłem do hali, pocieszając się, że mój plan, tak długo obmyślany, w końcu został wprowadzony w życie.

Zaprawdę szczęśliwi byli ci, którzy cieszyli się schronieniem

w hali Scathy, podczas gdy wyły okrutne wichry. Ucztowano przy stołach zastawionych soczystym mięsiwem, słodkim pieczywem i pitnym miodem; były śpiewy, niezrównana muzyka harfy i czarowne opowieści; gry, polowania, galopady po śniegu i powroty z poczerwieniałymi od mrozu policzkami, na gorące piwo w parujących pucharach. Radość sprawiało doborowe towarzystwo, gdy śnieżycą lodowatymi palcami targała strzechę, aż jęczały krokwie.

Jeden za drugim mijały dnie i obracało się koło roku. Pora lodu i ciemności miała się ku końcowi; wyładowawszy gniew, zima zebrała swe słabnące siły i wycofała się. Dni wydłużyły się, a wiatr ocieplił. Księżyc odmieniał się, aż pewnego ranka wzeszedł w nowiu w czasie-pomiędzy-czasem. Wówczas przyszła pora na obrzędy, które znaczyły nastanie letniej pory: rozpalenie ognia Beltain.

W tym dniu pozostałe ogniska gaszono, aby ogień Beltain, czysty i doskonały, mógł dać początek wszystkim ogniom rozpalanym w ciągu nadchodzącego roku. W domu wodza ów ogień płonął nieprzerwanie i każdy w razie potrzeby mógł dostać z niego żar, dzięki czemu wszystkie domostwa miały ciepło i światło z tego samego czystego ognia.

W czasie nowiu, zgodnie z odwiecznym zwyczajem, zgromadziłem z Gwenllian *nawglan*, dziewięć rodzajów drewna, których unikalne właściwości dawały tak cudowne rezultaty. Przygotowaliśmy tego drewna sporą ilość, a ja powiązałem je w pęczki paskami niewyprawionej skóry. Na najwyższym wzgórzu Ynys Sci wycięliśmy w darni szeroki, płaski rów — okrąg wystarczająco duży, aby mógł pomieścić wszystkich domowników Scathy. W środku okręgu umieściliśmy na wiązce drewna nowo narodzonego białego baranka.

Przed świtem wszyscy zgromadziliśmy się na szczycie wzgórza: Gwenllian, Govan, Goewyn, Llew, Scatha, Boru, służba i kilku wojowników, którzy z nami zimowali. Potem, w czasie-pomiędzy-czasem, wznieciliśmy ogień. Ściskając łuk, Gwenllian pociągnęła za strunę z jelita, obracając cisowy drążek w głębokim nacięciu dębowego pieńka. Na widok pierwszego płomyka dobywającego się ze szczeliny, dodałem suchej rośliny zwanej *tan coeth*, która sprawia,

że nikły ogień strzela jasnym i szkarłatnym płomieniem — tak jakby czerpał życie z samego powietrza.

Robiłem to już niezliczone razy. Ale teraz, gdy nasypałem tan coeth na drewno, iskierka zamigotała słabo i zgasła ze smużką dymu. Gwenllian wstrzymała oddech na widok gasnącego płomyczka; łuk wypadł jej z dłoni, a twarz pobladła. Serce mi zamarło w piersi.

Spojrzałem ku wschodzącemu słońcu, szukając dłońmi łuku i drążka. Pierwsze promienie dotknęły szczytu wzgórza, a nie było ognia, by powitać nowy dzień. Ogień Beltain nie został rozniecony. Rok światał ponury.

Szybko, szybko, ustawiłem łuk i zakręciłem kijkiem tak mocno, jak tylko pozwalały na to moje drżące palce — tak jakby samą szybkością można było naprawić stratę. Czarny Beltain! Jak to się mogło stać? Wstrzymałem oddech, pragnąc, by pojawił się płomień.

Po chwili znad dębowego klocka uniosła się cieniutka smużka srebrzystego dymu. Ostrożnym dmuchnięciem zmieniłem iskierkę w płomyk. Nim serce uderzyło mi drugi raz, płomień strzelił wysoko. Jeśli ktokolwiek z pozostałych cokolwiek zauważył, nie pokazał tego po sobie; myślę, że tak naprawdę zauważyliśmy coś tylko my — Gwenllian i ja. Tak bardzo pragnąłem dobrego rozpoczęcia nowego roku, że odwróciłem twarz od złowróbnego płomienia i wstałem, by go powitać.

Potem upiekliśmy chlebek Beltain. Małe bochenki z ziarna i miodu piekliśmy na płaskich kamieniach, którymi było obłożone ognisko. Gwenllian przygotowała owsiankę na mleku z dodatkiem jajek, a ja upiekłem na wstawionych w ogień szpikulcach rybę, ptactwo i wołowinę. Goewyn rozdzieliła jabłka i orzechy przechowane przez mroczną solen, a Govan nalała do czarek piwa i słodkiego, żółtego miodu pitnego. Tradycja wymagała jedynie upieczenia na świątecznym ogniu chlebków, ale każdy z klanów wedle własnego uznania dodawał i inne składniki świątecznego śniadania, aby zapewnić sobie dobrobyt przez cały rok.

Tak oto w blasku odrodzonego roku jedliśmy, piliśmy i śpiewaliśmy. Gwenllian uderzyła w struny wspartej o ramię harfy. Kryształiczne dźwięki poszybowały pod niebo. A ona zaśpiewała, ofiarowu-

jąc rodzącemu się dniowi drogocenny dar muzyki. Ja również śpiewałem, ale choć słyszałem, jak pieśń unosiła się niczym dym z naszego ogniska, nie czułem jej w sercu. Lęk zapuścił korzenie w mej duszy i nie potrafiłem całym sercem oddać się pieśni.

Gdy ogień się wypalił, zebrałem żar, który miał posłużyć do rozpalenia ognia w hali Scathy. Potem zgarnąłem popiół, podzieliłem go na cztery równe porcje—dla Gwenllian, jej siostr i dla siebie. Po zakończeniu obchodów Beltain wróciliśmy do keru.

Odpędziłem na bok myśli o złowróżbnym ogniu i skupiłem się na nadchodzącym zgromadzeniu. Porządkowałem w myślach różne sprawy, ważyłem słowa, których użyję, aby doprowadzić do zjednoczenia braci i poderwania bardów Albionu do czynu — dobrze pamiętając, że ostatnie zgromadzenie zakończyło się dużą różnicą zdań. Potem, gdy zbliżył sięznaczony dzień, przygotowaliśmy z Llewem naszą łódź do podróży na Ynys Bainail, Wyspę Białego Kamienia, gdzie miał odbyć się gorsedd.

W pogodny, wietrzny dzień pożegnaliśmy się z naszymi przyjaciółmi i podnieśliśmy żagiel. Wyruszyliśmy na Ynys Bainail, na zgromadzenie bardów.

Nie wiedziałem, ilu derwyddi odpowie na moje wezwanie, ale tak to już było: gdy naczelny bard jednego z trzech głównych królestw Albionu postanowi zwołać zgromadzenie, wszyscy bardowie zobowiązani są pod przysięgą do wzięcia udziału w gorsedd, jeśli nie klóci się to z nakazami wyższego rządu. Jako naczelny bard Prydainu miałem prawo wezwać swych braci bardów.

Na gorsedd przybywają bardowie ze wszystkich klanów i królestw, gdyż derwyddi nie są związani więzami krwi jak inni ludzie; nie przysięgają też wierności żadnemu panu czy wodzowi, z wyjątkiem tego, który jest naszym zwierzchnikiem. My, w których rękach spoczywa odpowiedzialność przekazywania królewskiej władzy w imieniu naszego ludu, jesteśmy związani z samą najwyższą władzą: jesteśmy wierni władzy królewskiej, nie królowi.

Tak też musiało być. Królowie przychodzą i odchodzą, ale naj-

wyższa władza pozostaje. Królowie są ludźmi, a człowiek może popaść w występki i zepsucie, lecz najwyższa władza zawsze pozostanie czysta i u swych źródeł nieskalana. Bardowie Albionu obarczeni są odpowiedzialnością za zachowanie nieskazitelności najwyższej władzy Albionu. My, którzy dbamy o zachowanie władzy królewskiej, zawsze jesteśmy czujni wobec tych, którzy chcieliby zadać gwałt temu, co my przysięgliśmy bronić ponad wszystko..

Utrzymałem naszą łódź ostro pod wiatr. Jej dziób pruł fale, gnając przed sobą srebrzyste ryby. Spieszno mi było dotrzeć na Ynys Bainail, aby zobaczyć, kto przybędzie pierwszy, a także, aby uporządkować grób Ollathira. Pogrzebałem go w pośpiechu i chciałem mu teraz oddać należyty hołd.

— Co masz zamiar im powiedzieć? — zapytał Llew, gdy w końcu oderwał wzrok od spowitego błękitną mgłą wzgórze Ynys Sci.

— Powiem im, że książe Meldron gwałtem przejął władzę królewską w Prydainie — odparłem po prostu.

— Czego od nich oczekujesz?

— Odbędziemy naradę i zobaczymy, co się da zrobić — odpowiedziałem.

Wpatrując się w daleki horyzont, Llew skinął głową.

— Ilu ich może przybyć?

— Nie potrafię powiedzieć. Wierzę, że bardowie Caledonu i Llogres pozostali przy życiu.

— Dwie trzydziestki i dwóch?

— Jak to policzyłeś?

— Powiedziałeś mi, że w całym Albionie jest ich trzy razy po trzydziestu i trzech — rzekł Llew. — To czyni trzydziestu i jednego na każde z trzech królestw. Skoro w Prydainie nie ocalał żaden z bardów — z wyjątkiem ciebie — zostaje dwa razy po trzydziestu i dwóch. — Uśmiechnął się. — No jak? Dobrze policzyłem?

— Tak, jeśli wszyscy odpowiedzą na wezwanie. Niektórym może coś stanąć na przeszkodzie.

— A co mogłoby im stanąć na przeszkodzie?

— Potrzeba ochrony władzy królewskiej ich ludu — odparłem.



— Każdy z bardów musi sam rozstrzygnąć, gdzie i kiedy są potrzebne ludowi i królowi jego umiejętności.

— Rozumiem. — Llew usiadł oparty plecami o maszt i położył ręce na kolanach. — A co z Phantarchem — powiesz im o śmierci Phantarcha?

— Oczywiście. To sprawa najwyższej wagi — powiedziałem, myśląc przy tym, że nawet ja sam w pełni jej nie rozumiem. — Bracia zdecydują, co zrobić, aby przywrócić życie Pieśni Albionu.

Pieśń Albionu śpiewano od początku tego ziemskiego królestwa; od początku zawsze był Phantarch, który ją śpiewał. Ukryty w swej kamiennej komorze pod wysokimi górami, naczelnny bard Albionu śpiewał Pieśń; w jego ustach Pieśń Albionu nabierała życia, dodając siły wszystkiemu, co istniało.

Phantarch był martwy, ale Pieśń pozostała. Naczelnny bard uratował ją w godzinie swej śmierci, tak jak podtrzymywał ją za życia. Potężnym zaklęciem Phantarch zamknął Pieśń w kamieniach, które go przywaliły i utworzyły jego grób. Uczynił tak, aby Pieśń nie zniknęła z ziemskiego królestwa, i aby Albion nie popadł w całkowite ciemności i chaos. To były śpiewające kamienie, które teraz posiadał Meldron — i które, jak uważał, usprawiedliwiały nieprawne zagarnięcie najwyższej władzy w Prydainie.

— Spróbują odebrać Pieśń Meldronowi?—dopytywał się Llew. Czas spędzony na wyspie Scathy podniósł go na duchu. Jego czyste, szare oczy spokojnie spoglądały na wzburzone morze.

— Nie wiem — powiedziałem. — Coś takiego nigdy jeszcze się nie wydarzyło.

Potem rozmawialiśmy o innych sprawach i zjedliśmy trochę chleba z naszych zapasów. Solidna łódź pruła fale, mewy krążyły nad wydętym żaglem. Jeśli utrzyma się pomyślny wiatr, po trzech dniach żeglugi będziemy u celu: na Ynys Oer, większej towarzyszce Ynys Bainail.

Rankiem, trzeciego dnia żeglugi, dostrzegliśmy większą z wysp. Wiatry nadal były pomyślne, więc pożeglowaliśmy wokół szerokiego, północnego przylądka, aby przybyć na Ynys Bainail od zachodu.

To nieco wydłużyło naszą morską podróż, ale oszczędziło nam ciężkiego marszu przez cypel.

Opłynęliśmy przylądek i naszym oczom ukazała się Wyspa Białego Kamienia, błyszcząca w słońcu niczym sygnalizacyjne ognisko. Osłaniając dłonią oczy, mogłem wypatrzeć kamienny słup na wzgórzu pośrodku wyspy. Przepłynęliśmy obok i wpłynęliśmy do zatoki oddzielającej Białą Kamień od większej sąsiadki. Ci, którzy udają się na Ynys Bainail, często obozują na zachodnim brzegu Ynys Oer, a potem pokonują przesmyk oddzielający ją od świętej wyspy w małych łodziach o skórzanych burtach, curragh, które derwyddi trzymają specjalnie w tym celu.

Pomiędzy skałami zachodniego wybrzeża Ynys Oer jest kawałek piaszczystego brzegu, a na nim chata, w której można przechowywać zapasy i w której znajdują się narzędzia przydatne odwiedzającym świętą wyspę. Chata stoi u wylotu trawiastej dolinki, gdzie można wypasać konie; jej dnem płynie bystry strumień o czystej wodzie, w którym poi się konie. Nie mają one wstępu na Wyspę Białego Kamienia, podobnie jak ludzie niegodni. Nie można też na nią wnosić broni, Ynys Bainail, Wyspa Białego Kamienia, jest bowiem świętym centrum Albionu.

Wylądowaliśmy w osłoniętej skałami zatoczce i zakotwiczyliśmy łódź. Llew zebrał drewno na opał i zagotował wodę. Przeniósł nasze zapasy z łodzi do chaty i po skończeniu wszystkich przygotowań wyruszył na spacer brzegiem morza.

W tym czasie udałem się na curragh na Wyspę Białego Kamienia, aby odwiedzić grób Ollathira. Doprowadziłem do porządku mały kurhanik i usypałem na jego szczycie kopczyk z białych kamieni. Potem siedziałem obok grobu, dopóki słońce nie dotknęło horyzontu na zachodzie. Wówczas wstałem i przepłynąłem kanał z powrotem, aby czekać na przybycie bardów.

## 8. Ostatni gorsedd

Pierwsi bardowie przybyli następnego ranka: siedemnastu, wszyscy z Llogres. Zebrali się na wschodniej stronie wyspy, a ponieważ poprzedniego dnia dostrzegli naszą łódź, przeszli do nas na drugą stronę przylądka. O zmierzchu przybyło na dwóch łodziach jedenastu bardów z Caledonu. Następnego dnia o brzasku zjawiły się jeszcze trzy łodzie z Llogres, przywożąc na swych pokładach kolejnych czternastu bardów i towarzyszących im mabinogi. Dwunastu z Caledonu przybyło konno w południe, a pozostałych ośmiu o zmierzchu.

Zgromadzili się zatem wszyscy bardowie Albionu. Otrzymali moje wezwanie i przybyli, gotowi omówić znaki i zapowiedzi, które ujrzeli w swych wizjach od ostatniego zgromadzenia.

Większość braci znałem i witałem ich po imieniu. Serce radowało mi się na ich widok, gdyż od czasu śmierci Ollathira samotnie kroczyłem swą drogą. Z kolei derwyddi byli zaniepokojeni jego nieobecnością. To Ollathira się tu spodziewano; nie wiedzieli, że nie żyje. A choć widzieli, że ja teraz dzierżę jarzębinową laskę Prydainu, nie zadawali pytań, czekając, aż w stosownej chwili oznajmię powód zgromadzenia.

Gorsedd odbywa się ze szczególną dbałością o uczciwość; przestrzega się ścisłych praw hierarchii i kolejności. To najstarsza z reguł i jedna z najbardziej szanowanych. Wojny przerywano w połowie bitwy, aby umożliwić zgromadzenie bardów! To nie jest błaha sprawa.

Słowo gorsedd jest jednym z najstarszych. Być może określano nim mianowanie na królewski tron, ponieważ dawniejsi królowie otrzymywali najwyższą władzę na szczycie świętego wzgórza lub w świętym zagajniku. Dlatego słowo na określenie tronu jednocześnie wskazuje na wzgórek. A ponieważ bardowie często byli grzebani na tych świętych wzgórzach, gorsedd oznacza również „grób”. Święty wzgórek na Ynys Bainail był grobem Ollathira; nawet gdyby na nim nie umarł, to jest wielce prawdopodobne, że by go tam pochowano.

Naczelny bard Caledonu był wysokim mężczyzną z długimi, ciemnymi wąsami i zaplecioną brodą. Na imię miał Bryno Hir i teraz, gdy Ollathir odszedł, Bryno Wysoki był najznamienszym bardem Wyspy Potężnych. Ollathir szanował Bryna; zasięgał jego rady przy wielu okazjach i zawsze z radością przyjmował jego towarzystwo.

Gdy przyплыł statek Bryna, wyszedłem na spotkanie schodzącemu na brzeg bardowi, który uniósł ręce na powitanie.

— Witaj, Tegidzie ap Talaryant! Oby twa pieśń nie ucichła! — Pozdrowił mnie, ale jego oczy prześliznęły się po mnie, gdyż wypatrywał Ollathira. Nie chciał mnie urazić; to było zupełnie odruchowe zachowanie.

— Witaj, Bryno! — dotknąłem czoła grzbietem dłoni w geście szacunku, choć teraz byliśmy już równi rangą. Uznałem jednak, że gdy nadejdzie czas wyboru nowego Phantarcha, będzie nim najprawdopodobniej Bryno. — Ufam, że miałeś dobrą podróż.

Spojrzał na mnie badawczo swymi ciemnymi oczyma.

— Co się stało? — zapytał cicho.

Odszedłem z nim na bok.

— Ollathir nie żyje — powiedziałem po prostu. Nim zdążył zapytać, jak do tego doszło, dodałem: — Podobnie jak pozostali bardowie Prydainu. Tylko ja ocalałem.

Zdawało się, że Bryno się skurczył; krew odpłynęła mu z twarzy.

— Jak? — zapytał drżącym głosem.

Wyjaśniłem mu pokrótce, a on słuchał, cały czas kręcąc głową w zaszepieniu. Gdy skończyłem, spojrzał na Biały Kamień.

— A jednak święte centrum nie zostało zbezczeszczone.

— Llew — odparłem — człowiek, który mi towarzyszy, nie dopuścił do tego. To on otrzymał awen Ollathira, a ja uczyniłem go królem Prydainu.

Bryno milczał przez długą chwilę, usiłując doszukać się znaczenia w tym, co mu powiedziałem. Mądry i dalekowzroczny naczelny bard Caledonu właściwie rozumiał niebezpieczeństwo, wobec którego stanęliśmy.

— A co z Phantarchem? Nie żyje?

— Tak.

Nie zapytał, jak do tego doszło, ani skąd wiem, że to prawda.

— A Pieśń Albionu?

— Została uratowana — odparłem i opowiedziałem mu o bohaterskim czynie Llewa i o śpiewających kamieniach.

— Gdzie teraz są te kamienie?

— Maje książę Meldron — odparłem. — Jestem jednak pewny, że przy waszej pomocy będzie je można odzyskać.

Pomimo tego zapewnienia Bryno przesłonił oczy dłonią. Przez kilka chwil opłakiwał w milczeniu czasu, które na naszych oczach dobiegły końca.

— Dzień Zmagań — powtórzył powoli, z trudem, jakby te słowa dźwigały brzemień smutku całego świata.

Po chwili odwrócił się do mnie.

— Ollathir usiłował nam to powiedzieć, ale nie chcieliśmy go słuchać. — Przypomniał ostatnie zgromadzenie bardów, które odrzuciło ostrzeżenie Ollathira i zakończyło się niesnaskami i niezgodą.

— Nawet Ollathir nie wiedział, co się wydarzy — rzekłem. — Gdyby wiedział, nigdy by się nie odważył...

Bard uniósł rękę i ścisnął moje ramię.

— Nie — powiedział łagodnie. — To my ponosimy winę. Niech tak będzie. — Spojrzał na bardów, stojących w grupkach na plaży, i wziął głęboki oddech. — Zdrada jest wśród nas.

— Zdrajca zapłacił za swój występki — odparłem. — Wybrał zdradę i zdrada go dopadła.—Opowiedziałem mu o Ruadhu, bardziej księcia Meldrona, i o tym, jak z Llewem znaleźliśmy jego ciało na dnie wyschniętej studni w twierdzy Findargad.

Bryno wysłuchał mnie, a po chwili skupił się na czekających nas zadaniach.

— Słusznie postąpiłeś, zwołując Gorsedd — powiedział.—Wiele jest do zrobienia w nadchodzących dniach.

Mabinogi zajęli się rozbiciem obozowiska, my zaś spuściliśmy na wodę łódki curragh i przepawiliśmy się przez wąski pas oddzielający Ynys Oer od Ynys Bainail. Małe łódeczki tam i z powrotem przemierzały błękitnozielone wody, dopóki wszyscy nie stanęli na

białym brzegu. Wówczas ruszyliśmy długą, wąską ścieżką na szczyt wielkiego Białego Kamienia. Przeszliśmy przez otwór w skale prowadzący na rozległą równinę, na środku której znajdował się święty pagórek, a na jego szczycie wznosił się, niczym szpikulec, wielki kamienny słup. Bardowie Albionu zgromadzili się u stóp pagórka. Gdy wszyscy już się zebrali, obeszlśmy jego podnóże trzy razy zgodnie z ruchem słońca, a potem wspięliśmy się po stromych zboczach.

Wierzchołek pagórka był płaski, a jego obwód znaczyły białe kamienie tworzące koło z kamiennym słupem jako osią. Bardowie różnych rodzajów: *filidh*, *brehon*, *gwyddon* i *derwydd*—niektórzy z nich trzymali gałązki białej leszczyny lub jarzębiny, lub laski z dębu, buku czy cisu—ustawili się w szeregach wokół kamiennego słupa, wewnątrz świętego koła.

Zgromadzenie bardów rozpoczęło się. Ponieważ Llew posiadał teraz awen naczelnego barda, było mu wolno wejść razem z nami na szczyt pagórka, choć w innych okolicznościach nie pozwolono by na to. Z Brynem Wysokim po mej prawej ręce i Llewem po lewej, stanąłem przed pomalowanym w niebieskie wzory słupem i przekazałem zebranym derwyddi straszliwe wieści: powiedziałem o śmierci Ollathira i Phantarcha, zniszczeniu Prydainu i wymordowaniu bardów przez Pana Nudda — o nastaniu Dnia Zmagań.

Słyszając me słowa, zgromadzeni bracia zadrżeli. Gdy skończyłem, rozdarli szaty i padli na kolana, bijąc pięściami ziemię. Powietrze wypełnił płacz i głośne lamenty. Posypywali sobie głowy białą ziemią pagórka i wcierali ją we włosy i brody. Niebiosa rozbrzmiewały ich pełnymi bólu okrzykami, wszystkie żywyoty wzywali na świadków wielkiego strapienia. Wielu kłęto się w zamierzczłym języku na swe dusze, wzywając do pomszczenia zniewag i zadośćuczynienia za pomordowanych braci.

Llew przyglądał się wszystkiemu w posępnym milczeniu, skrzyżowawszy na piersiach ramiona. On jeden tkwił nieporuszony.

Gdy krzyki ucichły, jeszcze raz stanąłem przed braćmi, kazałem im powstać i wysłuchać przepowiedni o herosie, którą przekazała nam banfaith.

— Bardowie Albionu, Mądrzy Mężowie, uciszcie lamentsy! Po wstańcie i wysłuchajcie proroczych słów, które wypowiem.

Bardowie powstali i uciszyli się, aby wysłuchać tego, co chciałem powiedzieć. Dobrze znałem słowa. Nosilem je w sercu. Musiałem jedynie otworzyć usta i wypowiedzieć je. Jednakże, choć stali i patrzyli na mnie, nie mogłem. Coś mnie powstrzymywało. Stałem z otwartymi ustami i gapilem się na braci, a wówczas w mej głowie pojawiała się myśl, że patrzę na ciała: o poszarzałych twarzach, w brudnych płaszczach, ze zmierzwionymi włosami, pustymi oczodołami.

A gdy Światło Derwyddi zagaśnie i krew bardów wołać będzie o sprawiedliwość...

Słowa przepowiedni banfaith—mówiła o tym czasie. „Światłem derwyddi” był Phantarch, a krew mych krewnych, bardów Prydainu, wołała o sprawiedliwość. Zgromadzenie wołało o zadośćuczynienie. Zastanowiłem się nad tym. Czy tak właśnie wypełniało się prorocstwo?

Jakby w odpowiedzi rozległo się wołanie — odległe, jeszcze odległe — krzyk wyzwania. Odwróciłem się do Llewa. Stał w bezruchu, nasłuchiwał. Krzyk rozległ się ponownie: słowo — pojedyncze słowo. Wsłuchałem się i rozpoznałem... swe imię.

— T-e-e-g-i-i-d-d! — wołanie rozległo się po raz trzeci.

Kto śmiał naruszyć świętość tego miejsca?

Derwyddi ruszyli falą w kierunku, skąd dobiegało wołanie. Ci najbliższej zewnętrznego kręgu rzucili się na skraj pagórka, by spojrzeć na równinę poniżej. Ich reakcja była odruchowa i fatalna w skutkach.

Na widok zbezczeszczenia świętego miejsca niektórzy z bardów poczęli z gniewnymi okrzykami zbiegać z wierzchołka pagórka. Inni przewracali się, krzycząc do tych, którzy biegli za nimi. W mgnieniu oka zapanował całkowity zamęt. Rozległy się ogłuszające wrzaski. Nie wiedziałem, co się działo.

— Za mną, Tegid! — zawołał Llew, przepychając się przez szturmujący tłum.

Coraz więcej derwyddi zbiegało ze wzgórza. Słyszałem, jak

krzyczeli w biegu, wrzeszczeli, wzywali na pomoc Dobrą Rękę. Ale dlaczego? Co się działo? Co takiego zobaczyli?

Llew i ja dotarliśmy na skraj pagórka i spojrzeliśmy w dół. Równiną zbliżała się drużyna stu muskularnych wojowników. Ich tarcze i broń błyszczały w słońcu. To właśnie ujrzeli derwyddi — to wywołało w nich tak niepoohamowany gniew.

— Meldron! — powiedział Llew, a słowo to zabrzmiało w jego ustach jak przekleństwo.

Uzurpator był tam, stał pośród Wilczej Sfory i wydawał rozkaz ataku na bezbronnych bardów. Obok niego stał Siawn Hy, z włócznią w dłoni, tarczą na ramieniu.

Bezradny patrzyłem, jak bracia rzucali się na włócznie i miecze czekających wojowników.

— Zatrzymaj ich! — krzyknął Llew.

Ale ich nie można było powstrzymać. Nie zważając na nic, gnali na spotkanie śmierci, broniąc świętej ziemi własnymi ciałami. Powietrze wypełnił krzyk umierających.

Bardowie pędzili na równinę, z rozwianymi płaszczami i opończami sfruwali ku śmierci. Wilcza Sfora Meldrona uderzała raz za razem. Zadawali pchnięcia włóczniami, cięli mieczami błyskającymi zza podniesionych tarcz. Wojownicy po prostu przechodzili nad wijącymi się ciałami i szli dalej.

— Tegid, zrób coś! — krzyknął Llew. — Zatrzymaj ich!

Obok mnie pojawił się Bryno Hir. W obu dłoniach dzierżył swą jarzębinową różdżkę. Podniósł ją nad głowę; twarz miał pociemniałą od gniewu, wargi zaciśnięte. Otworzył usta i powietrze zadrżało na dźwięk *Taran Tafod*, słów wymawianych w tajemnym języku.

— *Cwmwl dyfod! Gwynt dyrnod!*

Na te słowa wicher zerwał się na równinie i zawirował wokół podnóża pagórka. Nad kamiennym słupem pojawiła się skłębiona mgła, która następnie poczęła zalewać pogodne niebo.

— *Dyrnod! Dyfod! Tymestl rhuo!* — zawołał Bryno Hir, wymachując w powietrzu swą długą laską. Chmury zgęstniały, na równinie pociemniało. Wiatr tarmosił i przygniatał długą trawę. — *Cwmwl dyfod! Gwynt dyrnod! Tymestl rhuo!*



Powietrze zadrżało, gdy słowa w tajemnym języku stoczyły się z grzmotem ze szczytu pagórka i rozbrzmiały echem na równinie.

— *Dymod tymestl, rhoo tymestl! Terfesgu! Terfesgu!*

Zimny wiatr zawył wysoko w górze; chmury — kłębiąc się, puchnąc, rozrastając — rozlały się nad równiną. Burza uderzyła z gwałtowną siłą. Deszcz runął w dół siekącą zasłoną, biczując równinę.

Runęła nawałnica. Huknął grzmot. Wojownicy posuwali się naprzód, wspinając się na zbocza świętego pagórka. Llew krzyczał i wywijał dębową laską. Bryno wznosząc oczy w niebo, przywoływał wichry i deszcz.

Wróg nacierał. Pozostali przy życiu derwyddi schodzili mu na spotkanie; lepiej było umrzeć, niż ścierpieć stopę wroga na świętym pagórku. I umierali. Napastnicy, z twarzami posępnymi i zdecydowanymi, łatwo radzili sobie z bezbronnymi bardami. Ciała zaścierały zbocza niczym ciemne głązy. A wrogowie, ocierając ostrza o szaty poległych, parli przed siebie.

Pierwszy wojownik dotarł na szczyt pagórka. Ścisnąłem laskę i runąłem na niego, wywijając solidnym jarzębinowym drągiem niczym maczugą. Wojownik — znałem tego człowieka, był mym krewnym! — cofnął się. Uderzyłem go laską w ramię. Krzyknął z bólu i wypuścił miecz.

Nim zdążyłem uderzyć ponownie, błysnęło ostrze i rozłupało mą laskę na pół. Usłyszałem za sobą hałas i poczułem zaciskające się na gardle czyjeś silne palce. Szarpnąłem się, ale pochwyciło mnie już kilku wojowników i wykręciło mi ręce.

— Llew! — krzyknąłem, szarpiąc się na próżno. Kątem oka wypatrzyłem go walczącego z trzema wrogami. Trzymali go przy ziemi i okładali pięściami. Jeden z nich uniósł głownię miecza i uderzył nią Llewa w czubek głowy. — Llew!

Ryczałem niczym zwierz. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa i zostałem odciągnięty. Padając, dostrzegłem Bryna siedzącego na ziemi, z plecami wspartymi o kamienny słup. Deszcz spływał mu strugami po twarzy, mieszając się z krwią lejącą się z rany na szyi. Krew ściekała po kamiennym słupie i wsiąkała w ziemię. Jeden

z wojowników Wilczej Sfory stał nad nim, ocierając swe ostrze o brodę Bryna.

Krew i deszcz, wyjący wicher. Krzyki umierających... śmierć... obrzydliwość w świętym centrum... ohyda i śmierć...

Szybko było po wszystkim. Gdy umilkł głos Bryna, burza rozplynęła się, a słońce przedarło się przez szybko znikające chmury. Spojrzałem na ciała mych braci leżące tam, gdzie polegli. Święty pagórek, gorsedd, stał się ich grobem.

Wszyscy, którzy jeszcze nie byli martwi, szli pod miecz. Jedynie Llewa i mnie oszczędzono.

Llewa odciągnięto nieprzytomnego ze wzgórza. Mnie na wpół rzucono, na wpół zniesiono ze zbocza i postawiono przed księciem Meldronem, który na powitanie dzielił mnie pięścią w zęby.

Siawn Hy roześmiał się na ten widok, a w jego nikczemnym śmiechu było więcej okrucieństwa niż w widoku zbroczonej krwią włócznie w jego rękach. Wzrok miał dziki i zimny od nienawiści.

— Sądziłeś, że możesz mi uciec, bardziej? — zapytał butnie Meldron.

Splunąłem na niego. Książę uderzył mnie ponownie i ciepła krew wypełniła mi usta.

— Szukałeś przymierza z Cruin — ciągnął dalej, kręcąc głową z głębokim niesmakiem. — To było bardzo ryzykowne. Miałeś nadzieję na wsparcie, ale Calbha cię wygnał.

Llew zajęczał. Meldron podszedł do niego, schwycił go za włosy i poderwał mu głowę do góry.

— Głupio podróżować bez broni — zauważył książę. — Szczególnie, gdy się jest królem.

— Być może to król głupców! — rzucił Siawn Hy.

Książę roześmiał się i puścił głowę Llewa. Odwrócił się znowu do mnie i powiedział:

— Odszedłeś, nim się z tobą rozprawiłem. A ja zawsze kończę to, co zacząłem; powinieneś o tym wiedzieć, Tegidzie.

— Rób, co chcesz, Meldronie — wymamrotałem przez spuchnięte usta. — Zabij mnie i skończ z tym. Niczego ode mnie nie otrzymasz.

— Ja niczego od ciebie nie chcę, bardziej — prychnął lekceważąco — z wyjątkiem tego, co do mnie należy.

Wiedziałem, czego chciał, ale pierwiej bym umarł, niż mu to dał.

— Przekazałem królewską władzę Llewowi. On jest królem Prydainu.

— Ja jestem królem Prydainu! — wykrzyknął Meldron.

— Nigdy nie ujrzę w tobie króla — odparłem.

— Na Wszzechwiedzącego, jesteś strasznym głupcem — powiedział głosem ostrym niczym miecz u jego boku. — Nadal twierdzisz, że Llew jest królem Prydainu?

— Tak, tak twierdzą!

Meldron spojrział na Siawna, który uśmiechał się złośliwie.

— Ale prawdą jest, że okaleczony człowiek nie może być królem? — zapytał Siawn, opierając się niedbale na swej włóczni.

— Tak, to prawda — odparłem. — Człowiek naznaczony skazą nie może być królem.

Llew zajęczał i otworzył oczy. Oprzytomniał i począł szarpać się w rękach tych, co go pojмали.

— Simon! — syknął, przywołując Siawna jego poprzednim imieniem.

— To miło, że do nas dołączyłeś, przyjacielu — odparł Siawn ponuro, a potem skinął na Meldrona.

— Wyprostujcie jego prawe ramię — polecił Meldron, wyciągając miecz.

Ludzie trzymający Llewa zmusili go do klęknęcia. Po krótkiej szarpaninie jeden z nich uniósł jego prawe ramię, drugi schwycił za dłoń i przytrzymali go razem w żelaznym uścisku.

— Nie! — krzyknął Llew, usiłując wyrwać rękę.

— Nie rób tego, Meldron! — krzyknąłem.

Meldron podszedł do klęczącego.

— Chcę, aby to widział — powiedział. — Chcę, aby wszyscy to widzieli.

Trzeci wojownik schwycił Llewa za włosy i skierował jego twarz na wyciągnięte ramię.

— N-n-n-i-i-e-e-e! — jęknął Llew.

Moją głowę również mocno przytrzymało, abym nie mógł jej odwrócić.

— Stój! — krzyknąłem.

Meldron wznosił miecz i ciął nim z rozmachem. Rozległo się głuche chrupnięcie, miecz zadzwęczał i prawa dłoń Llewa odpadła w strugach tryskającej krwi. Llewowi zadrżały powieki, głowa mu opadła i stracił przytomność.

Meldron podniósł odciętą dłoń i wyciągnął ją przede mną. Zdjął złoty pierścień, który jego ojciec, Meldryn Mawr, ofiarował Llewowi i wsunął go sobie na palec. Chciałem odwrócić wzrok, ale nie mogłem.

— Widzisz? — zapytał, trzymając mi przed oczyma dłoń za wskazujący palec. — Llew ma skazę. Jest okaleczony. Nie może już być królem. Teraz musisz wybrać kogoś innego.

— Nigdy nie ujrzę w tobie króla.

— Niech więc będzie — odparł z wściekłością Meldron.

Błysnął miecz w jego dłoni. Odruchowo szarpnąłem głową w tył, ale trzymały ją silne dłonie mych prześladowców. Meldron ciął mi ostrzem po oczach.

Krzyknąłem. Świat poczerwieniał mi w oczach — spurpurowiał, a potem... pociemniał.

## 9. Rzuceni na łaskę fal

Zaciągnięto nas na brzeg i wrzucono do jednej z czekających tam curragh. Półprzytomny czułem, jak łódź po piasku zsunięto na wodę. Zostaliśmy rzućeni na łaskę fal.

Oczy paliły mnie żywym ogniem. Leżałem na dnie curragh, nieświadom niczego poza swymi męczarniami. Krzyknąłem i usłyszałem w odpowiedzi śmiech, który przycichł i przeszedł w krzyki mew. O burty łodzi chlupotała woda... straciłem przytomność.

Nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny. Pałący ból w głowie

przywrócił mi jednak świadomość. Usiadłem. Ruch wywołał taki ból, że żołądek podszedł mi do gardła i zwymiotowałem na siebie. Osunąłem się na dno i upadłem na Llewa.

Llew jęknął i przypomniałem sobie o jego ręce. Jego ręka!

Usiadłem w wysiłkiem, ściskając burty łodzi. Zdawało się, że głowa mi zaraz pęknie. Moja twarz pulsowała. Pochyliłem się, zaczerpnąłem morskiej wody w dłonie i chlusnąłem sobie w twarz. Zranione oczy przeszły potworny, piekący ból — jakby przyłożono mi do nich pochodnię. Przewróciłem się.

Wróciła mi przytomność i usiadłem po raz drugi. Przeklinając Meldrona i swe męczarnie, wyciągnąłem ręce nad bezwładnym ciałem Llewa i zacząłem je obmacywać.

Leżał na boku, rękę miał zgiętą w łokciu. Ostrożnie obmacałem przedramię aż do nadgarstka i dłoni. Było całe; leżał na rannej ręce.

Klęknąłem obok niego, z trudem go uniosłem i przekręciłem na plecy. Ranna ręka została uwolniona. Ostrożnie, bardzo ostrożnie, uniosłem ją i przytuliłem do siebie, delikatnie badając palcami jego ranę.

Krew płynęła strumieniem z kikuta, ciepła i gęsta. Pomyślałem, że dopóki leżał na ranie, ciężar jego ciała przygniatał okaleczone ramię, zapobiegając tym samym krwotokowi; to uratowało mu życie. Odwracając go, ponownie wywołałem krwawienie, ale nie miałem innego wyjścia; a jeśli miałem mu pomóc, musiałem dokończyć swych oględzin. Koniuszkami palców przesunąłem delikatnie po otwartej ranie jego kikuta. Miecz Meldrona był ostry; kości i ciało zostały gładko przecięte.

Ostrożnie położyłem jego ramię, szybko schwyciłem końce swej tuniki i rozdarłem ją. Potem oddarłem szeroki pasek i, odszukawszy po omacku burtę łodzi, zmoczyłem go w morskiej wodzie.

Miałem wrażenie, że lada chwila pęknie mi głowa. Zaciskając z bólu zęby, zmusiłem się do skończenia tego, co zacząłem. Przysunąłem do siebie ranne ramię i zacząłem owijać kikut namoczonym materiałem.

Z każdym uderzeniem serca Llewa wypływała z rany krew. Czulem, jak przesącza się przez płótno. Oderwałem następny pasek

materiału i okręciłem nim pierwszy; potem trzecim paskiem owinałem dwa poprzednie, zawiązując jego końce, jak mogłem najmocniej. Zgiąłem rękę w łokciu i ułożyłem ją na piersi Llewa z nadzieją, że nie wykrwawi się na śmierć. Nic więcej nie mogłem dla niego zrobić.

Oszołomiony i osłabiony z wysiłku, oderwałem kolejny pasek płótna tuniki; zmoczyłem go w morzu i nie zważając na piekące dotknięcie słonej wody, zawiązałem sobie paskiem materiału oczy. Znowu wymiotowałem. A potem, wyczerpawszy siły, osunąłem się na dno łodzi, jęcząc z bólu i zmęczenia.

Ślepy! Wszystko było ciemne i bezkształtne. Nigdy już nie zobaczę twarzy krewniaków i braci — nigdy już nie zobaczę światła. Ślepy! Mój świat stał się ciemny jak boleść, ciemny jak zamknięty grób, ciemny jak czarne czeluści Uffern, ciemne jak bezkresna śmierć.

Leżałem skulony na dnie małej łódki i opłakiwałem gorzko utracony wzrok, katusze zniszczonych oczu — dopóki, wyczerpany cierpieniem, nie zapadłem w pustkę snu.

Obudził mnie straszliwy ból. Nie poruszyłem się, leżałem przez chwilę, nasłuchując. Nadal wiał lekki wiatr; fale rozbijały się łagodnie o burty. Prąd przybrzeżny wokół wyspy nie jest zbyt silny; wyniesie nas tylko na niewielką odległość od zachodniego brzegu Ynys Oer. Potem będziemy zdani na prądy morskie i pogodę.

Jeśli będzie wiał stały wiatr od północy, zniesie nas na południe, wzdłuż zachodniego wybrzeża Albionu, na jakiś skrawek odludnego brzegu. Jeśli wiatry będą kapryśne — co bardziej prawdopodobne o tej porze roku — podryfujemy dalej na zachód i wylądujemy nie wiadomo gdzie.

Nawet przy najbardziej sprzyjających okolicznościach wylądowanie na brzegu było mało prawdopodobne. Nie mieliśmy wioseł, żagla, zapasów. Jakaś duża fala z łatwością nas nakryje; ostrze sterczącej skały przebije napiętą skórę burty curragh. Byliśmy zdani na łaskę wiatru, skał i wody.

Meldron postąpił przebiegle. Nie zamordował nas, lecz powierzył nasz los morzu. W ten sposób nie będzie mógł wiedzieć, co się z nami stanie. Nie narazi się na spłatę długu krwi za naszą śmierć.

Och, ale dług krwi, który miał do spłacenia za śmierć derwyddi, był ogromny! Nawet gdyby posiadał błyszczącą górę złota i wszystkie owce, bydło i służbę wszystkich Trzech Królestw, nadal nie byłby w stanie go spłacić.

Słońce i gwiazdy, bądźcie mi świadkami! Pan Nudd, książę Uffern i Annwn, król Coranyid, Władca Wiecznej Nocy — on był tym, który zabił bardów Prydainu. Ale książę Meldron zabił bardów pozostałych w Caledonie i Llogres. Na Wyspie Potężnych nie było już bardów.

Nie, nie... ja jeszcze żyłem i córki Scathy były bezpieczne na Ynys Sci.

Llew zajęczał i ocknął się z krzykiem. Podniosłem pulsującą bólem głowę i położyłem na nim rękę.

— Spokojnie, bracie — powiedziałem. — Jestem tutaj. Spokojnie.

— Tegid! — zaczął, lecz ból zduślił krzyk; wydał z siebie jedynie umęczony skowyt. Po omacku odnalazłem jego plecy. Czułem, jak prężył się z bólu, napinał mięśnie, jak pot wnikał w jego odzienie. Znowu stracił przytomność i leżał bez ruchu.

Zapadłem w drzemkę.

Gdy ponownie się ocknąłem, powietrze było chłodne, a morze spokojne. Dzięki temu zorientowałem się, że jest noc. Llew musiał czekać, aż się obudzę, bo gdy tylko się poruszyłem, powiedział:

— Gdzie jesteście? Co się stało? — Głos miał zachrypnięty, a słowa zniekształcał ból.

— Zostaliśmy rzućeni na łaskę morza — powiedziałem. — Meldron zostawił nas śmierci.

Llew milczał przez jakiś czas, po czym odezwał się z żałością w głosie:

— Tak mi zimno.

— Masz, weź to. — Znalazłem swój płaszcz i podałem mu. Llew

wziął jego jeden koniec, a ja drugi; nakryliśmy się obaj moim płaszczem.

— Moja ręka i twoje oczy... Tegid, co my zrobimy?

— O tym zdecyduje morze. Nam pozostaje czekać. Czekaliśmy: przez niekończącą się, trwającą wieczność noc.

Cały następny dzień leżeliśmy w łodzi, niewiele się ruszając. Gdy słońce zsunęło się za skraj świata, skuliliśmy się na dnie łodzi, aby było nam cieplej. Drzemaliśmy niespokojnie, ani razu nie zapadliśmy w głęboki sen z powodu dokuczających nam ran. Moje oczy, jego ręka — co mogliśmy zrobić?

Pogoda utrzymywała się dobra i uważaliśmy to za błogosławieństwo. Od czasu do czasu Llew podnosił się, aby rozejrzeć się wokół. Byliśmy jednak daleko od brzegu i nie potrafiłem określić naszego położenia ze skąpych opisów Llewa.

Czwartego dnia zerwał się ostry wiatr i zmienił kierunek na zachodni. Fale urosły, podniosły naszą łódeczkę, kołysały nią z boku na bok. Przy każdym przechyle i kołysaniu rzucało nami o burty, uderzaliśmy o drewniane żebrowania curragh. Llew krzyczał za każdym razem, gdy uderzał się w ranny kikut.

Noc nie przyniosła ulgi. Sztorm przybierał na sile. Morze burzyło się; fale wznosiły się i załamywały nad nami. Wyczerpany Llew zemdłał, a ja przytuliłem go do siebie, aby bardziej się nie poranił. Trzymałem go i mamrotałem bezładnie, gdy wzburzone morze rzucało naszą łódeczką. Usłyszałem dziwny zgrzyt, musiałem chwilę się mu przysłuchiwać, nim nie uświadomiłem sobie, że to Llew zgrzytał zębami. Zawiązałem supeł na rogu swego płaszcza i wsunąłem mu go pomiędzy zęby, aby nie przegryzł sobie języka.

Burza wzmagą się całą noc. Słyszałem grzmoty i czułem na twarzy smagnięcia niesionego wiatrem deszczu, ale nie widziałem błyskawic. Gdy dopadło nas rozwścieczone serce burzy, Llew obudził się.

— Śpiewaj, Tegid! — wrzasnął, przekrzykując wicher.

Pomyślałem, że majączy.

— Spokojnie, bracie. Spokojnie. To już niedługo — powiedział-



łem. Następną falą przewróci łódź, wpadniemy do morza i utoniemy, myślałem sobie. Wkrótce połączy nas z bardami Albionu śmierć — jeszcze dwóch zabitych przez Meldrona. Llew usiadł z wysiłkiem.

— Śpiewaj! — nalegał. — Wyśpiewaj nam brzeg!

Choć wichur zawodził nad nami jak oszalały, a morze przewalało się wokół z łoskotem, zaśpiewałem — początkowo z wahaniem, szukając słów. Wichura porwała mi słowa z warg i cisnęła je z powrotem w twarz.

— Na co to się zda?! — krzyknąłem.

— Śpiewaj! — zażądał Llew. — Śpiewaj do Dobrej Ręki, Tegid! Wzniosłem głos do Wszechmocnego w pieśni o wybawieniu. Stałem wszelakie cnoty Wielkiego Dobrego Boga; śpiewałem o rozkoszy, jaką Dobrej Ręce sprawia pomaganie tym, którzy o to proszą.

W miarę, jak nadawałem pieśni formę i wyraz, w mym umyśle poczęły się pojawiać obrazy, ostre i wyraźne. Ujrzałem... dolinę o stromych zboczach w głębokim lesie, wysokie sosny strzelające w niebo... ujrzałem ukryte jezioro i drewnianą warownię... ujrzałem rogowy tron na trawiastym pagórku... ujrzałem lśniącą tarczę z czarnym krukiem usadowionym na jej krawędzi... ujrzałem sygnalizacyjny ogień płonący jasno na wzgórzu w oddali i odpowiedź ze szczytu pobliskiego wzgórza... ujrzałem jeźdźca na płowym rumaku, galopującego spomiędzy mgły, końskie podkowy krzeszące iskry ze skał... ujrzałem potężną drużynę znikającą w toni górskiego jeziora, wodę, która barwiła krew... ujrzałem kobietę w białej opończy, stojącą w zielonej altanie, z włosami płonącymi złościście w słońcu... ujrzałem carin w ukrytej dolinie, tajemny, samotny kurhan...

Śpiewałem, a nawałnica szalała. Nasza skórzana łódeczka podskakiwała i chybotąła, raz wynoszona wysoko, to znów lecąca w dół. Byliśmy niesieni po wzburzonym morzu niczym strzęp piany przez wichurę. Słona woda zalewała nas strumieniami, moczyła i ziębiła; paliła mi ranę i wypełniała usta.

Przy każdym przechyle łodzi Llew krzyczał z bólu.

— Śpiewaj, Tegid! Śpiewaj! — nie przestawał krzyżeć i pomyślałem, że mający z udreki. Jednakże obstawał przy swoim, więc śpiewałem. A obrazy zalewały mi myśli i tańczyły w mej głowie, szalone niczym nawałnica wokół nas.

— Słyszysz, Tegid! — zawołał Llew. Ryk wichru pochłonał jego głos. — Słyszysz to?

Począłem nasłuchiwać, ale nie słyszałem nic poza dzikim wyciem wichru i hukiem fal rozbijających się o skały. — Skały!

— Słyszysz, Tegid?

— Tak! Słyszę! — To był odgłos fal uderzających o skały. Sztorm zapędził nas w pobliże brzegu. — Widzisz coś?

— Nie — odparł. — Czekaj! Coś widzę. Widzę skały. Widzę, gdzie rozbijają się fale.

— Widzisz ład?

— Jest za ciemno.

Ścisnął mnie za ramię zdrową ręką.

— Nie przestawaj śpiewać, Tegid! Wyśpiewaj nam ziemię!

Śpiewałem, a odgłos rozbijających się o skały fal stawał się coraz głośniejszy, aż przytłumił nocną nawałnicę. Już prawie czułem zęby skał zgrzytające pośród sztormu, mającące coraz bliżej, szczerzące się z ciemności, gotowe miażdżyć, niszczyć. Zalewała nas wzburzona woda. Mój głos tonął w ryku fal, pomimo to śpiewałem, domagając się dla naszej łódeczki niewielkiego kręgu bezpieczeństwa pośród tego rozszalałego morza.

Czułem, jak morze wzbierało pod nami niczym wierzącą zwierzę. Wyrzucało nas wysoko, okręcało, szarpało jak liściem rzuconym w wir wody. Grzmot morza dobiegał ze wszystkich stron, niwecząc wszelką myśl, wstrząsając duszą.

W dół i do góry, znowu w dół i znowu do góry. Słyszałem wodę liżącą skały i czułem, jak cofające się fale znosiły łódź w bok. Na mgnienie oka łódź zawisła pomiędzy morzem a niebem. Morze zaatakowało, dźwignęło łódź i wyrzuciło wysoko. Potem zanurkowaliśmy, znowu uderzyliśmy o skałę i usłyszałem ostry trzask, gdy rozpadło się drewniane ożebrowanie łodzi.

— Trzymaj się mocno! — zawył Llew.

Wyrzuciłem ręce, aby schwycić się burt i poczułem zamiast nich zimną skałę. Próbowalem się odepchnąć, ale Łódź już się osuwała. Za chwilę wpadniemy do morskiej kipieli. Nabrałem powietrza i w ostatnim krzyku poprosiłem o zmiłowanie, wpadając w zięjący pod nami wodny grób.

Fale cofnęły się i poczułem, jak spadam. Łódź przewróciła się na bok i obróciła dookoła raz i drugi. Woda wdarła mi się do ust i płuc. Morze wykręciło mi ręce i nogi, porywając mnie w spienione odněty. Miotalo mną i obracało mnie, wciągając głębiej i głębiej.

Uderzyłem o coś twardego kolanem, a prawym ramieniem natrafiłem jakby na solidny mur. Ciężar wody rozplaszczyl mnie na tej ścianie, przygniatając niczym ogromna dłoń, wyduszając powietrze z płuc. Usiłowalem odepchnąć się rękoma od skały.

I wtem...

Powietrze nade mną! Schwyciłem gwałtownie oddech, zakrzusilem się morską pianą. Potem woda odpłynęła, a ja stwierdziłem, że odpycham się nie od ściany, ale od kamienistego brzegu. Fala załamała się nade mną, najpierw przygniotła mnie swym ciężarem, potem uniosła i wyrzuciła dalej na plażę. Z trudem łapiąc powietrze, gramoliłem się po śliskich kamieniach w cofającej się wodzie niczym krab.

Morze ciągnęło mnie za nogi. Wodorosty krępowaly mi ręce i kostki. Fala wzbierała, sięgając mi do ud, pasa, piersi. Ponownie mnie uniosła i popchnęła do przodu. Gdy woda znowu się cofnęła, byłem na kolanach, z rękami na drobnych kamieniach.

Wstałem i chwiejnie ruszyłem naprzód, uderzyłem nogą o kamień i padłem na twarz. Usłyszałem ryk znowu uderzających fal. Usiłowalem znaleźć oparcie dla nóg, ale morze upominało się o mnie, woda pociągnęła mnie z powrotem, odrywała mi ręce od kamieni.

Nagle poczułem, że coś pochwyciło mnie i przytrzymało. Potem usłyszałem głos Llewa, przekrzykującego huk fal:

— Tegid! Trzymam cię! Wstań!

Schwycił mnie za ramię i pomógł stanąć na nogi. Podpierając się

wzajemnie, powlekliśmy dalej na kamienisty brzeg i padliśmy na skrawek piasku.

— Udało ci się, Tegid. Sprowadziłeś nas pieśnią na ląd! — powiedział Llew i zaparło mu dech. Poczułem, jak zwija się obok mnie — uświadomiłem sobie, że skręcał się z bólu.

— Llew! — Wyciągnąłem ku niemu ręce. Schwycił mnie za ramię zdrową ręką i jęknął — bezradny, rozdzierający serce jęk. Trzymałem go, dopóki ból nie zelżał.

— Doprowadziłeś nas pieśnią na ląd — powiedział, gdy już znowu mógł mówić. Głos rwał mu się niczym postrzępiona lina. — Uratowałeś nas, Tegid. Byliśmy zgubieni.

— Dobry Bóg wysłuchał naszej pieśni, wyciągnął swą Chyżą Dłoń i wyrwał nas morzu — z grobu, który przeznaczył nam Mel-dron.

Leżeliśmy na plaży, trzęsący się z zimna i słabi z bólu. Llew skomlał, gdy jego męczarnie robiły się nie do zniesienia; ale nie krzyczał. Noc przeleżeliśmy na piasku, sztorm powoli cichł. Potem, gdy świt począł na wschodzie sączyć się przez postrzępione, burzowe chmury, poczułem na twarzy ciepło pierwszych promieni słońca. Wówczas zaśpiewałem pieśń, którą mi objawiono:

Śpiewałem o dolinie w głębokim lesie i jej stromych zboczach; o warowni na jeziorze i o rogowym tronie na trawiastym pagórku, wyściełanym białą skórą. Śpiewałem o lśniącej tarczy i czarnym kuku siedzącym na jej krawędzi z rozpostartymi skrzydłami, wypełniającym dolinę swą surową pieśnią; i o ognisku strzelającym w nocne niebo i odpowiedzi na nie przekazywanej ze wzgórze na wzgórze. Śpiewałem o jeźdźcu na płowym rumaku, mgle, która go otaczała i iskrach krzesanych na skałach. Śpiewałem o potężnej drużynie w górskim jeziorze i wodzie czerwonej od ich ran. Śpiewałem o złotowłosej niewieście i ukrytym Kurhanie Bohatera.

Gdy skończyłem, Llew zasnął obok mnie. Położyłem się na piasku i, przy wtórze fal szumiących na kamieniach, zapadłem w sen.

## 10. Nemeton

Nadal słyszałem jęk morza, niespokojnie przewalającego się w swym kamiennym łożu, choć w miarę jak oddalaliśmy się od brzegu, coraz ciszej. W lewej ręce trzymałem odarty przez morze z kory konar dębu, który mi służył za laskę; prawą trzymałem na ramieniu Llewa, który mnie prowadził. Miałem wrażenie, że ciągle stawiam kroki w dół, doszedłem więc do wniosku, że od urwistego cypla za nami teren opadał w głąb łądu.

Po niespokojnej, pełnej bolesnych męczarni nocy na plaży dzień obudził w nas postanowienie podniesienia się i ruszenia w głąb łądu, co oznaczało wspięcie się na strome urwisko przylądka. Żaden z nas nie zrobiłby tego w pojedynkę. Nadal nie wiem, jak udało nam się tego dokonać. Zajęło nam to większą część dnia. Po zdobyciu urwiska odpoczęliśmy w zarośniętej trawą rozpadlinie między dwoma głazami. Gdy słońce zaszło, chłód przyprawił nas o dreszcze. Dopiero o poranku znowu podjęliśmy powolną wędrówkę w głąb łądu.

Po drodze Llew opisywał, co widział.

— Przed nami są wzgórza — rzekł — które w oddali przecho-  
dzą w szczyty. Na najwyższych z nich widzę śnieg.

— W jakim to kierunku?

Llew przystanął, aby ocenić kierunek po słońcu.

— Na południe i wschód, jak mi się zdaje — odparł. — Bliższe  
wzgórza są łagodne i porośnięte lasami—głównie dębami i bukami,  
czasami sosną. Przed nami jest strumień, ale będziemy musieli zejść  
do niego w dół. Las zaczyna się na drugim brzegu. Możemy odpo-  
cząć nad strumieniem, nim wejdziemy w las i...

Llew stracił nagle oddech. Jego ramię napięło się, a on sam zgiął  
się w pół.

To był kolejny atak palącego bólu — ostre, gorejące strzały  
straszliwych męczarni, które bez ostrzeżenia wybuchały jak pło-  
mień. W takich razach zatrzymywaliśmy się, aby atak minął, a Llew  
mógł dalej iść. Ja jedynie mogłem sobie wyobrażać jego cierpienie  
— być może było ono podobne gorącym włóczniom przeszywają-  
cym mi oczy, wbijającym się w głowę.

— Jak myślisz, gdzie jesteśmy? — zapytał po chwili przez zaciśnięte zęby.

— Czy szczyty są porośnięte lasami?

— Tak sędzę — powiedział Llew; wziął oddech i nieco się wyprostował. — Są daleko. Nie jestem pewny, ale zdaje mi się, że na zboczach ciemniejszą drzewa.

Ruszyliśmy dalej.

— Być może wylądowaliśmy gdzieś na wybrzeżu północnego Caledonu. Jeśli tak, szczyty, które widzisz przed nami, to *Monadh Dubh*.

— Klan Galanae, ludzie Cynana—oni są na południu Caledonu — podpowiedział Llew.

— Bardzo daleko na południu. Tak daleko na północy jest niewiele ludzi. To kraina dzika i niezamieszkała. Te góry są łupem dzikich wichrów i burz — czego sami doświadczyliśmy. Nie znajdziesz na swej drodze spokojnej przystani; nie spotkasz tu żadnego króla, który by nas przyjął.

Ostrożnie zesłiśmy w dół zbocza, na brzeg strumienia. Tam klękaliśmy, napiliśmy się i odpoczęliśmy. Gdy tak leżałem na trawiastym brzegu strumienia, moje myśli powędrowały ku masakrze na świętym wzgórzu. Zrobiło mi się niedobrze i jęk wyrwał się z moich ust. Jak mogłem przewidzieć taką potworność? Nawet teraz nie potrafiłem tego zrozumieć. Jakże mogłem pojąć podobną napaść? Ledwie mogłem uwierzyć, że to się stało.

Gdy zgaśnie Światło Derwyddi i krew bardów będzie się domagać zadoścuczynienia, wówczas niech Kruki rozłożą swe skrzydła nad świętym lasem i kurhanem...

Tak powiedziała banfaith. Te słowa wypełniały się z okrutną dokładnością. Uczeni bracia zostali wymordowani, zgasło światło ich wiedzy; krew bardów krzyczy z ziemi, domagając się zadoścuczynienia. Niech tak będzie!

Odpoczywając na brzegu strumienia pozwoliłem, by mój umysł sam przesiał te myśli. Niedługo potem Llew poruszył się obok mnie.

— Co teraz?

— Potrzebujemy odpoczynku — odparłem. — I czasu na zagojenie twych ran.

— Bardzo cierpisz? — zapytał zduszonym głosem.

— Nie wiem, co boli bardziej — utrata wzroku czy śmierć mych braci. Czuję się tak, jakby wyrwano mi duszę.

Llew milczał przez chwilę.

— Nie możemy tu zostać — powiedział wreszcie. — Jest woda, ale nie ma jedzenia ani schronienia. Musimy iść dalej.

— W lesie znajdziemy schronienie.

Żaden z nas nie ruszył się jednak przez długi czas. W końcu Llew podniósł się powoli. Poczułem jego dłoń na ramieniu, gdy pomógł mi stanąć na nogi.

— Według mnie powinniśmy pójść wzdłuż strumienia i zobażyć, dokąd prowadzi.

Porastające brzeg gęste zarośla czyniły wędrówkę nieznośnie uciążliwą. Ale strumień wkrótce wpadł do rzeki. Nad nią rosły wyższe drzewa, a szerokie, trawiaste brzegi sprawiły, że wędrówka stała się łatwiejsza.

Poruszaliśmy się wolno, odpoczywaliśmy długo i często. Z zapadnięciem nocy byliśmy niewiele dalej od miejsca, z którego wyruszyliśmy. W dolinie rzeki było jednak mnóstwo zagłębień i kamiennych kotlinek, w których mogliśmy znaleźć wygodne schronienie. Nie miałem niczego, czym mógłbym rozpaść ogień, ale wytłumażyłem Llewowi, gdzie szukać jadalnych korzonków — które wykopał kijem i opłukał w rzece. Być może zimne nocne powietrze nas zamrozi, ale nie umrzemy z głodu.

Tej nocy obudził mnie krzyk Llewa. Miał atak bólu i dygotał z zimna. Obudziłem go i potykając się, zataczając poszliśmy nad rzekę, gdzie namówiłem go, aby zanurzył w lodowatej wodzie kikut i trzymał go w niej, dopóki nie straci czucia. To mu przyniosło pewną ulgę, ale w czasie powrotu do naszego zimnego obozowiska dopadły nas dreszcze i tej nocy nie mogliśmy już zasnąć.

Następnego dnia dopilnowałem, aby Llew znalazł krzemień i zebrał suchy mech na podpałkę. Już nigdy nie zabraknie nam ognia.

— Jaki pożytek z samego krzemienia? — zapytał Llew.

— Innymi kamieniami można wykrzesać z krzemienia iskry. Pokażę ci. Zobaczysz — powiedziałem mu — zrobię jeszcze z ciebie barda. Uratujemy awen Ollathira.

— A zatem prowadź, o Skarbnico Mądrości — rzekł Llew. — Słucham i jestem posłuszny.

W taki oto sposób wędrowaliśmy ku sercu Caledonu: z przystankami, powoli, chwiejąc się z bólu, z postojami na obmycie palących ran w czystej, zimnej rzece. Podczas jednego z takich postojów skłoniłem Llewa, aby odwinął bandażę.

— Opisz mi ranę — zażądałem.

Llew wziął głęboki oddech i zdjął płótno, którym miał zawinięta rękę. Jęknął — po części z bólu, po części z żalu — gdy materiał odsłonił jego skrwawiony kikut.

— Jest czarny — powiedział. — Są na nim białe okruchy kości.

— Obmyj go w wodzie, a potem opisz, co widzisz — poleciłem.

Ostrożnie zanurzył ramię i słyszałem, jak wodził nim tam i z powrotem w wodzie.

— *Clanna na cú* — mruczał przez zaciśnięte zęby.

— Jak to teraz wygląda? — zapytałem, gdy skończył.

— Bardziej czerwona niż czarna. Niektóre okruchy kości zmyły się. Znowu krwawi.

— A krew — jest gęsta i czerwona, czy rzadka i wodnista?

— Gęsta i czerwona, zdaje mi się.

— A ciało wokół rany — czy jest zaognione i gorące w dotyku? Czy też zimne? Jaki ma kolor?

— No cóż — odparł po chwili — ciepłe w dotyku, ale nie gorące. Skóra jest czerwona i napuchnięta, ale niezaogniona. Masz, sam poczuj — powiedział, po czym przycisnął czubki moich palców do swego nadgarstka. — Tutaj.

Delikatnie zbadałem ciało wokół rany. Było ciepłe, tak, ale nie było rozpalone jak przy zaognieniu. Gdy dotknąłem samej rany, Llew drgnął i szarpnął ramię.

— Przepraszam.

— No i co o tym myślisz?



— Myślę, że zaczyna się goić. Powinno się ją ponownie owinąć, ale czystym płótnem.

— A gdzie takie zdobyć?

Ściągnąłem przez głowę koszulę i zacząłem ją drzeć. Llew za-protestował.

— Proszę, nie drzyj koszuli, Tegid! Potrzebne ci do ogrzania to, co z niej zostało.

— Mam płaszcz — odparłem, nie przestając rozrywać koszuli.  
— Teraz pomóż mi wypłukać płótno w wodzie.

Klękaliśmy razem na brzegu rzeki i wypłukaliśmy paski płótna. Gdy skończyliśmy, poleciłem Llewowi, aby rozłożył je na krzakach, gdzie schły w słońcu.

Llew zrobił co powiedziałem, a potem zasnęliśmy w ciepłych promieniach słońca. Gdy płócienne paski wyschły, pomogłem Llewowi zabandażować rękę.

— Teraz kolej na ciebie — powiedział.

Sięgnąłem ręką do obwiązanych oczu.

— Wszystko dobrze.

— Nie — oznajmił beznamiętnie — nie jest dobrze, Tegidzie. Bandaż jest brudny od krwi i ziemi. Musisz go zmienić.

Odwiązałem końce i odwinąłem bandaż; płótno przyschło do rany i musieliśmy je oderwać, co ponownie wywołało krwawienie. Zagryzłem wargi, aby nie krzyknąć.

— Musisz teraz przemyć ranę — nalegał Llew.

Przy jego pomocy, nie bez trudności, pochyliłem się nad wodą i delikatnie obmyłem twarz i otwartą ranę, którą były moje oczy. Kłujące zimno wody nieco złagodziło palący ból i poczułem się lepiej.

Podniosłem głowę znad wody i odwróciłem się do Llewa.

— Jak to wygląda? Opisz mi to.

— To czyste cięcie — powiedział. — Ciało jest czerwone i napuchnięte wokół rozcięcia. Sączy się z niego jakiś żółtawy płyn. Ale krew wygląda dobrze — nie jest wodnista.

Przycisnąłem koniuszki palców do brzegów rany. Poczułem pod nimi ciało. Bolało i było zaognione.

— Co z moimi oczami?

Chociaż usiłował nadać swemu głosowi normalne brzmienie, wyczułem, że jest poruszony tym, co zobaczył.

— Tyle tu zakrzepłej krwi i opuchlizny... bracie, że nie potrafię powiedzieć. Myślę, że powinienes je trzymać zakryte.

Bał się powiedzieć to, co już wiedziałem: moje oczy były doszczętnie zniszczone. Od czasu okrutnego cięcia Meldrona nie widziałem nawet jednego błysku światła. Jasność słońca czy ciemności nocy były dla mnie tym samym. Nigdy już nie będę widział.

Dwa dni zostaliśmy w porośniętej trawą kotlinie. Odpoczywaliśmy i nabieraliśmy sił. Jedliśmy korzonki wodnych roślin z rzeki i wygrzewaliśmy się przy ognisku, w którym paliliśmy chrust z pobliskiego lasu. Pokrzepieni, ruszyliśmy w dalszą drogę, kierując się wzdłuż rzeki, co wydało mi się słuszne. Dzień za dniem mijał, a my szliśmy coraz dalej. W trakcie tej wędrówki zapoznawałem mego pojętnego towarzysza z wiedzą o właściwościach drewna, o roślinach na polu i w lesie. Llew przystał na to z ochotą, moje nauki pozwalały mu zapomnieć o bólu, i okazał się nad wyraz bystrym i pojętnym uczniem. Zapamiętywał wszystko, o czym mu mówiłem i często wciągał mnie w szczegółowe dyskusje nad różnymi kwestiami. Wystarczyło mu tylko raz coś powiedzieć i natychmiast to pojmował.

Po wielu dniach dotarliśmy do wodospadu. Rzeka, która zakręcała ciągle na południe, stawała się coraz węższa i głębsza, a kamienie wzdłuż jej koryta coraz większe, w miarę jak teren piął się ku górze, na spotkanie szczytom. Zatrzymaliśmy się. Słyszałem donośny huk spadającej wody. Llew spojrzął na wodospad przed nami i powiedział:

— Będziemy musieli znaleźć drogę naokoło tego wypiętrzenia. Głazy są tu za wielkie, a urwisko zbyt strome na wspinaczkę.

— To jedna z bram do rozciągających się dalej gór — powiedziałem. Gdy wymówiłem te słowa, poczułem nagle niezbitą pewność, że przywieziono nas w to miejsce; Wszzechwiedzący kierował naszymi krokami. — Powinniśmy tędy przejść.

— Jesteś pewny? Nie widzę, jak moglibyśmy się tędy wspiąć.

— No cóż, trzeba pierwszej zacząć.

Llew nie marudził. Usiadł i zaczął uważnie przyglądać się zwałowi kamieni. Po jakimś czasie powiedział:

— Głazy są wielkie jak domy i gładkie — nie ma sposobu, aby się na nie wspiąć. Może uda nam się znaleźć drogę pomiędzy mniejszymi kamieniami, ale przykrywa je gruba warstwa zielonego, mokrego mchu, więc będą bardzo śliskie. — Przerwał, a potem zapytał: — Jesteś pewny, że chcesz to zrobić?

— Tak, jestem tego pewny.

— Może moglibyśmy wrócić wzdłuż rzeki i poszukać innej drogi?

— To jest nasza droga — powiedziałem. Wstałem i odrzuciłem dębowy konar, którego używałem jako laski. — Czuję to — to jest droga, którą musimy iść.

Llew nie protestował dłużej i ruszyliśmy w górę. Natychmiast zostaliśmy przemoczeni do samej skóry przez rozpyloną w powietrzu wodę. Trudno było rozmawiać przy ciągłym huku i plusku spadającej wody, ale Llew prowadził mnie, natężając głos do krzyku, aby udzielać mi niezbędnych wskazówek. Wytężając się, ślizgając, walcząc o każde niepewne oparcie dla stóp, wdrapywaliśmy się na skalną ścianę.

Poruszałem się w całkowitych ciemnościach, rękoma chwytałem się kamieni, czułem ich zimną twardość. Zacząłem rozmyślać o kamieniu: stojących kamieniach, kamiennych słupach, kamiennych kręgach, które znaczyły miejsca rzadkich mocy. Myślałem o kamieniach ogham i kamiennych kurhanach. I wszystkich kamieniach z wyrytym *Mór Cylch*, labiryntem życia.

Wyobraziłem sobie precyzyjny wzór krętej ścieżki, jakby był namalowanym na niebiesko szlaczkiem. Zdawało mi się, że wszedłem do *Mór Cylch*, na osłep stawiając stopy na zawilej, krętej ścieżce, ufając, iż Stwórca tego Labiryntu pokieruje moimi krokami.

— Dalej nie da rady! — zawołał Llew przez ramię. — Będziemy musieli wrócić i znaleźć inną drogę.

Cofnął się do miejsca, w którym przycupnąłem, przyciskając ciało do skały. Gdy znowu się odezwał, jego głos rozległ się bliżej.

— Tu jest zbyt stromo, zbyt niebezpiecznie!  
— Ja poprowadzę.  
— Tegid, ty jesteś... — urwał, powstrzymał się przed dokończeniem.

— Ja poprowadzę — nalegałem stanowczo.

Mimo swoich wątpliwości Llew nie dyskutował nad moją decyzją. Nawet słowem nie okazał lęku, tylko przesunął się na wąską skalną półkę, na której stałem. Rozpłaszczyłem się na skale, jak mogłem najbardziej, i z ogromną ostrożnością i najwyższą trudnością, zamieniliśmy się miejscami. Potem zacząłem iść, powoli, ostrożnie, wyczuwając drogę w górę stromej ściany skalnej.

— Patrz na moje ręce i nogi! — zawołałem do Llewa. — Rób to, co ja.

— To szaleństwo! — odrzyknął.

— Dobrze wiem!

Kontynuowaliśmy jednak naszą wspinaczkę. Wyszukiwałem drogę w kompletnych ciemnościach, dygocząc, przystając, lękając się każdego kroku. Ufając jedynie swym palcom i stopom, znalazłem pierwsze podparcie dla nogi, potem uchwyt dla ręki, a potem znowu kolejny. Wspinaliśmy się krok za krokiem. Utrzymywałem w swych myślach obraz labiryntu życia i każde oparcie dla stopy stawało się krokiem na wzorzystej ścieżce.

W górę, ciągle w górę, wdrapywaliśmy się na wysoką skałę. Byliśmy skapani w kropelkach wody rozpylonych w powietrzu. Przystawaliśmy co i rusz, aby zebrać strzępy naszych gasnących sił, a potem wspinaliśmy się znowu. Llew dodawał mi otuchy swymi okrzykami, przynaglał mnie do dalszej drogi podnoszącymi na duchu słowami.

Minęły całe wieki, gdy wydało mi się, że ryk spadającej wody cichnie.

— Llew, co widzisz?! — krzyknąłem przez ramię.

— Nic — odrzyknął. — Mgła — nic nie widzę!

Chciałem ruszyć dalej, ale choć bardzo się starałem, nie potrafiłem znaleźć podparcia dla stopy. W końcu, w odruchu rozpaczki sięgnąłem tak wysoko, jak tylko mogłem się wyciągnąć, wcisnąłem ręce w skalną szczelinę, zakołysałem się tam i z powrotem...

Poczułem, że nogą uderzyłem o stopień, ale skała była śliska i noga mi się osunęła. Gdyby palce nie zaklinowały się w szczelinie, to bym spadł. Osunąłem się ponownie w dół.

— Tegid! Nic ci nie jest?

— Nie — odparłem. — Spróbuję jeszcze raz.

— Nie! Poczekaj...

Odechnąłem się raz jeszcze i piętą trafiłem na wąską, niewidoczną półkę. Szybko przesunąłem ręce i podciągnąłem nogę na stopień. Wyprostowałem się i poczułem na twarzy świeży wiatr. Wyciągnąłem przed siebie ręce i poczułem, że skała ostro opada. Jeszcze dwa kroki i stałem na szerokiej, płaskiej powierzchni.

Krzyknąłem, aby Llew poszedł w me ślady, a on odkrzyknął:

— Stój tam! Czekaj na mnie.

Po chwili krzyknął znowu:

— Tegid, to za daleko! Ten stopień... nie mam się czego złapać.

Położyłem się na brzuchu i wyciągnąłem ku niemu rękę.

— Chwyć się mojej ręki! — krzyknąłem.

— Nie mogę jej dosięgnąć, Tegid! — odkrzyknął; słyszałem ból i niepokój w jego głosie. — Nie utrzymam się na jednej ręce!

— Chwyć się mojej ręki, Llew. Sięgnij po nią, ja cię utrzymam. Wyciągnij nogę w kierunku stopnia i chwyć moją rękę. Ja cię podciągnę.

— Nie, Tegid. To za daleko. Nie mogę...

— Schwyć się mojej ręki, Llew.

— Mówię ci, że to za daleko! Ja mam tylko jedną rękę!

— Zaufaj mi, Llew. Nie pozwolę ci spaść. — Nie odezwał się. — Llew?

— Dobrze — odparł powoli. — Policzę do trzech. Gotowy? Na trzy: raz... dwa... TRZYYY!

Zebrałem całe siły. Jego ręka uderzyła o moją; moje palce zacisnęły się na jego nadgarstku.

Kamienie potoczyły się z łoskotem i zginęły w ryczącej poniżej wodzie. Chwilę później Llew wskrobał się na skałę obok mnie.

— Tegid, udało ci się! — powiedział zdyszany, łapiąc oddech.  
— Chwała ci, bracie, udało nam się!

Dyszając, leżeliśmy na skale. Jakby w nagrodę za nasz wysiłek, zaświeciło słońce, ogrzewając skałę i susząc nam ubrania. Leżeliśmy na wznak, rozkoszowaliśmy się ciepłem, wsłuchiwalismy się w odgłos spadającej wody, teraz przyciszony i dobiegający daleko z dołu.

W końcu podnieśliśmy się, aby ruszyć w dalszą drogę. Poprosiłem, aby Llew opisał mi, co widzi dokoła.

— Myślę, że to wejście do doliny — odparł. — Rzeka wyrzeźbiła tutaj wąwóz na kształt misy. Bardzo zielony. Trawa jest krótka i gęsta. Pomiędzy drzewami widać skały, a drzewa są ogromne. Rzeka przed nami wygląda na szerszą i głębszą. Dolina jest zakrzywiona; znika za zakrętem niedaleko stąd. Nie widzę, co jest za zakrętem, ani co leży ponad krawędziami ścian doliny. — Przerwał i odwrócił się do mnie. — No to jak? Co na to powiesz, bracie?

— Pójdźmy z biegiem rzeki i poszukajmy miejsca na obóz — odparłem. — Gdyby rzucił ci się w oczy jakiś konar na laskę, przyjąłbym go z ochotą.

Po tych słowach ruszyliśmy dalej. Llew kierował moimi krokami, gdy gramoliliśmy się na i pomiędzy skały wzdłuż brzegu rzeki. Wsłuchiwałem się we wszystkie odgłosy i badałem zapachy niesione przez wiatr, usiłując wywachać w powietrzu jakieś znaki. Pośród dźwięków wydawanych przez płynącą wodę dosłyszałem ptasie nawoływania: cieniutkie popiskiwanie pełzacza, świergot płochacza pokrzewnicy i wysoko, wysoko w górze płaczliwe nawoływania myszołowa, kołującego leniwie nad drzewami. Raz po raz słyszałem plusk, lub gorączkowy szelest, gdy nasze nadejście płoszyło zwierzę, które rzuciło się w krzaki. Czułem intensywny zapach butwiejących liści i wilgotnego, próchniejącego drewna; i czystego, świeżego, skapanego w słońcu powietrza; i delikatną słodycz kwiatów.

Po chwili Llew przystanął.

— Niedaleko przed nami jest sosnowy zagajnik — powiedział głosem rwącym się z bólu. Wspinaczka w górę wodospadu wyczer-

pała go, a jego rana znowu się odezwała. — Myślę, że powinniśmy się tam zatrzymać.

W wybranym przez Llewa miejscu znaleźliśmy pomiędzy drzewami dobrze osłoniętą polankę. Ziemię pokrywała gruba i miękka warstwa igliwia; gałęzie nad głowami tworzyły dach. Wokół leżały ogromne kamienie, tworząc coś w rodzaju kręgu — prowizorycznego keru, w którym mogliśmy rozpalić ognisko i przespać się. Po odpoczynku Llew zaczął zbierać drewno, a ja przystąpiłem do oczyszczania miejsca pod ognisko.

W czasie pracy czułem wokół siebie okrąg naszego keru i słyszałem westchnienia wiatru w wierzchołkach drzew. Wzmagał się, wiał coraz silniej od wschodu, w miarę jak słońce zniżało się ku zachodowi. To będzie zimna noc, dobrze, że będziemy mieć ogień. Powiedziałem o tym Llewowi, gdy wrócił z chrustem.

— W takim razie zbiorę więcej drewna — powiedział. Dobrze wiedziałem, że to ostatnia rzecz, jaką miałby ochotę robić, ale odszedł pomiędzy drzewa.

Szukając po omacku drogi, podpełzłem powoli nad brzeg rzeki i przytaszczyłem kilka gładkich, okrągłych kamieni. Po kilku takich wyprawach zebrałem ich dość, aby zbudować proste palenisko. Zacząłem właśnie układać kamienie w kręgu, gdy doleciał mnie delikatny powiew znajomego zapachu.

Przerwałem prace i usiadłem. Uniosłem głowę i zwróciłem twarz w kierunku wiatru. Czekałem, ale zapach nie doleciał ponownie. Być może, pomyślałem, był tylko w mych myślach.

Zabrałem się do powrotu za pracę. Wiatr znowu powiał i poczułem jeszcze raz ów osobliwy zapach. Tym razem byłem pewny, że to nie moja wyobraźnia: pachniał dębowy dym. Odwróciłem twarz pod wiatr. Stałem tak nadal, gdy wrócił Llew.

— O co chodzi? — zapytał, rzucając naręczce chrustu. — Usłyszałeś coś?

— Nie — odparłem. — Ale coś wyczułem — ognisko na dębowym drewnie. — Wskazałem na kierunek wiatru. — Przychodzi z tej strony. Myślę, że to niedaleko stąd.

— Osada?

— Nie potrafię powiedzieć.  
— Wkrótce się ściemni — zauważył Llew. Uważam jednak, że powinniśmy tam pójść i sprawdzić.

— Pójdziemy razem.

— Masz — powiedział Llew i schwycił mnie za rękę. — Przyniosłem ci to.

Wcisnął mi w dłoń koniec konaru. Był długi, niezbyt gruby, o gładkiej korze; drewno giętkie, ale sprężyste: zgadłem, że to jesion.

— Gdy znajdę nóż, zrobię ci z niego prawdziwą łaskę—powiedział.

Ruszyliśmy wolno wzdłuż rzeki, podążając za zapachem dymu. Wkrótce Llew zauważył:

— Teraz go czuję. Musimy się zbliżyć — ale tu nie ma ani śladu żywej duszy.

— Może to myśliwi — odparłem.

W pewnej chwili Llew przystanął; zatrzymał i mnie, kładąc mi dłoń na piersi.

— Widzę! — szepnął. — Widzę dym — snuje się po wodzie. Obóz musi być tuż przed nami, na drugim brzegu.

Cicho poszliśmy dalej i po kilku krokach Llew się zatrzymał.

— Zdaje mi się, że tam jest bród — powiedział. Usłyszałem wodę szumiącą na kamieniach. — Możemy przejść na drugą stronę. Chcesz, abym poszedł i zobaczył, kto rozpałił ognisko?

— Prowadź mnie. Pójdziemy razem.

Z łaską w jednej dłoni, a drugą trzymając się ramienia Llewa, przepравиłem się wraz z nim przez bród. Kamienie mocno tkwiły na swych miejscach i nie miałem trudności ze znalezieniem drogi. Jednakże gdy tylko postawiłem nogę na drugim brzegu, uprzytomniłem sobie dziwną ciszę w powietrzu i na ziemi.

— Przed nami jest dębowy zagajnik — powiedział Llew szepem. — Drzewa są naprawdę ogromne.

— Pójdźmy do tego zagajnika — odparłem. — Tylko zachowaj czujność.

Ruszyliśmy przed siebie i po kilku krokach wyczułem zmianę w otoczeniu. W zagajniku było chłodniej i bardziej wilgotno —



pachniało dymem, porośniętymi mchem pniami drzew i spadłymi liśćmi. Powietrze było nieruchome, las milczał. Nie było słychać żadnego dźwięku — wiatr nie poruszał liśćmi, w krzakach nic nie szeleściło, nie śpiewały ptaki.

Ostrożnie posuwaliśmy się naprzód, trzymając się blisko drzew. Nagle Llew zeszytniał, dotknął mego ramienia i zatrzymał się.

— Co zobaczyłeś? — zapytałem szeptem.

— To jakiś wizerunek... rzeźba. Tutaj...

Wziął mnie za rękę, unióś ją i przyłożył do drzewa obok. W gładkim drewnie wyrzeźbiona była postać. Obwiodłem rzeźbę palcami i wyczułem prymitywnie wyciosany wizerunek: puste koło z wąską poprzeczką na środku. To było koło z włącznią zamiast osi.

— Jest ich więcej — szepnął Llew. — Przynajmniej po jednym na każdym drzewie.

Nie musiałem widzieć obrazów wyciętych na niebotycznych dębach, aby wiedzieć, że znaleźliśmy się w miejscu mocy. Czułem bezruch panujący w zagajniku — ciszę, która tu panuje od niepaśniętych czasów, nim człowiek począł stąpać po ziemi, nim wyrósł las — bezruch, który grzebał wszelki dźwięk, uspokajał, tłumił, uśmierzał. Spokój, który wszystkiemu przynosił pojednanie.

Wyobrazenie na pniach drzew symbolizowało ten zagajnik. Należał do Gofannona, Mistrza Kuźni. Wkroczyliśmy na teren jego sanktuarium.

— To jest *nemeton* — szepnąłem — prastare, święte miejsce. Las jest poświęcony Gofannonowi; należy do niego. Chodź — powiedziałem, ciągnąc Llewa delikatnie za rękę — pozdrowimy go i spróbujemy poszukać u niego współczucia.

Bezglósnie zakradliśmy się w głąb *nemetonu*. Po drodze dotykałem szorstkich pni ogromnych drzew i czułem słodkawy dym palonego dębu... zbliżaliśmy się do serca schronienia, do pana tego zagajnika.

## 11. Dar Gofannona

— On tam jest — odezwał się Llew ledwie dosłyszalnym szep-tem. — On jest... Tegid, on jest ogromny — to olbrzym.

— Jak wygląda? Opisz go.

— Jest dwukrotnie wyższy od najwyższego człowieka. Ramiona ma sękaty od mięśni; bardziej przypominają dębowe konary niż ludzkie ręce. Całe ciało porastają czarne włosy: ramiona, pierś, nogi, ręce i głowę. Ma długą, rozdwojoną brodę i długie, czarne włosy. Nosi je związane ciasno jak wojownik. Jego twarz... Czekaj! On się odwraca — patrzy w naszą stronę!

Llew ścisnął mnie w podnieceniu za ramię.

— Nie zauważył nas...

— Co jeszcze? Powiedz coś więcej. Jak wygląda? Co robi?

— Skórę ma ciemną, jakby przydymioną. Oczy też ma ciemne, brwi czarne i krzaczaste. Jego nos jest spłaszczony i wielgachny, sumiaste wąsy zakrywają mu usta, a końce mają podwinięte do góry. Ubrany jest tylko w skórzane spodnie, ramiona i pierś ma nagie — nie licząc potężnych, złotych opasek na każdym nadgarstku.

— Co robi?

— Siedzi na zwale ziemi przed wejściem do jaskini. Do jaskini wiedzie prawdziwe wejście: dwa kamienne słupy zwieńczone kamienną belką. W tych słupach są nisze, po trzy z każdej strony, a w nich czaszki—chyba ptaków i zwierząt—na poprzecznej belce jest wyrzeźbiony Węzeł bez Końca. Czaszki i rzeźbienia są pomalowane niebieskim urzetem. Tuż obok wejścia do jaskini są kamień i kowadło. Obok kamienia widzę młot — ogromny — to największy młot, jaki widziałem! A na kowadle leżą szczytce.

— Mów dalej — przynaglałem. — Co jeszcze?

— Olbrzym siedzi przed paleniskiem i trzyma w dłoniach wielki szpikuliec. Na tym szpikulcu jest mięso — przygotowuje je do pieczenia. Nie ma jeszcze ognia i... znowu spojrzał w naszą stronę. Tegid! Zobaczył nas!

Usłyszałem głos, głęboki niczym głos samej ziemi, surowy i rozkazujący.

— Witajcie, mali ludkowie — powiedział pan zagajnika. — Wstańcie i podejdźcie do mnie.

Choć jego głos był surowy, nie słyszałem w nim groźby czy złych zamiarów. Llew, nie puszczając mego ramienia, pociągnął mnie za sobą i podeszliśmy wolno przed badawcze oblicze olbrzyma.

— Witaj, panie! — zawołałem — pozdrawiamy cię z całym respektem i należnym ci szacunkiem.

— Pokażcie mi dowód tego szacunku — odparł Gofannon. — Jaki dar mi przynieśliście?

— Wielki Panie — odpowiedziałem, mówiąc w kierunku, skąd dochodził głos olbrzyma — jesteśmy wygnańcami szukającymi schronienia w nieznanym kraju. Zostaliśmy pojmani przez wrogów i rzuceni na łaskę fal. Przynosimy z sobą jedynie okruch dobrodziejstwa w postaci naszego towarzystwa, na co pozwoli nasza tu obecność. A jeśli poczytujesz ten dar za godny siebie, ofiarujemy ci go z ochotą.

— W rzeczy samej, to niecodzienny dar — odparł z powagą olbrzym. — Od dawna już bowiem nie gościłem ludzi w swym zagajniku. Z przyjemnością go przyjmę. Siadźcie przy mnie i posilcie się ze mną.

Podeszliśmy bliżej — Llew prowadził mnie pod rękę — i usiedliśmy na hałdzie ziemi.

— Znacie mnie? — zapytał wiekowy olbrzym.

— Wielki Panie, tyś jest Poszukiwacz Tajemnic — odparłem. — Tyś jest Kopacz Rudy i Rębacz Skarbów. Tyś jest Fryszer i Formierz Metalu, Mistrz Kuźni.

Rozległ się donośny pomruk zadowolenia.

— W rzeczy samej, jestem tym wszystkim — i nie tylko. Czy ośmieliłbyś się wymówić me imię?

— Tyś jest Gofannon — odparłem z przekonaniem, choć w środku drżałem.

— Jestem nim — odparł olbrzym. Wyczułem satysfakcję w jego głosie. Był zadowolony ze swych gości. — Jakże to jest, że znasz moje imię i zajęcie?

— Jestem bardem i synem bardów, Potężny Panie. Poznałem

naturę tego, co na niebie i na ziemi, i wszelkich niezbędnych ludziom rzeczy.

— Masz imię, człowieczku?

— Jestem Tegid Tathal — powiedziałem.

— A ten człowieczek z tobą — zapytał Gofannon — ma jakieś imię? A może dzielcie między siebie jedno imię?

— On ma imię, panie.

— A ma język? A może twój jest jedynym, który służy wam obu?

— On ma swój, panie.

— A zatem, dlaczego nie wyjawi imienia? Chciałbym je usłyszeć, chyba że coś mu tego zabrania.—Wyczułem delikatną zmianę w głosie olbrzyma, gdy zwrócił się do mego milczącego towarzysza.

— Nic mi tego nie zabrania, Wielki Panie — powiedział Llew cicho. — Nie straciłem też języka.

— Mów zatem, człowieczku. Masz moje przyzwolenie.

— Nazywam się Llew. Kiedyś byłem w Albionie obcym, ale ten, którego przed sobą widzisz, okazał mi pomoc.

— Wiele widzę, człowieczku. Widzę, że jesteście ranni — powiedział Gofannon. — Ty straciłeś rękę, a twój przyjaciel oczy. I widzę, że te rany nadal sprawiają wam ból. Jak to się stało?

— Wrogowie napadli nas w świętym miejscu — powiedział Llew. — Bardowie Albionu zostali wymordowani. Tylko mu ocaleliśmy, ale okaleczyli nas i porzucili w łódce na łaskę fal.

Pan świętego zagajnika długo nad tym dumiał. Wążąc prawdziwość naszych słów, z cichym pomrukiwaniem roztrząsał je w swym przenikliwym umyśle.

— Znam was teraz — odparł w końcu. I znów wyczułem w jego głosie satysfakcję. — Posilimy się razem. Wpierw jednak trzeba narąbać drewna na ognisko.

Następnie zwrócił się do Llewa.

— Ty, człowieczku, narąbiesz drewna na ognisko.

Ustyszałem, jak olbrzym wstał i odszedł.

— On chce, abym narąbał drewna — szepnął Llew. — Jak mam trzymać siekiere? Nie dam rady tego zrobić.

— Powiedz mu.

— Oto siekiera — powiedział Gofannon, wracając. — Drewno jest tam. Narąb tyle, aby wystarczyło na całą noc, będzie nam potrzebne.

— Przyjemnością dla mnie jest ci służyć, panie — powiedział uprzejmie Llew. — Ale jak widzisz, jestem ranny. Nie potrafię utrzymać siekiery, a tym bardziej narąbać drewna. Być może mógłbym ci służyć w inny sposób.

A choć Llew odmawiał z całą uprzejmością, Pan Kuźni pozostał niewzruszony.

— Miałeś dwie ręce i straciłeś tylko jedną. Nie masz drugiej?

— Mam — odparł Llew — ale moja rana...

— A zatem użyj ręki, która ci została.

Llew nie powiedział nic więcej; wstał i kilka chwil potem usłyszałem uderzenia siekiery, gdy zaczął, powoli i niezdarnie, rąbać. Uznałem żądanie Gofannona za bardzo surowe, ale nie uważałem, że należy się do tego wtrącać.

Przysłuchiwałem się więc głuchym uderzeniom siekiery i coraz bardziej chrapliwemu oddechowi Llewa. Zaciśnałem zęby, czułem jego ból i zawód, gdy machał siekierą olbrzyma.

Gdy skończył, Gofannon kazał mu przenieść drewno na miejsce przy palenisku. Llew uczynił to bez słowa protestu, choć wiedziałem, że jego rana po trudzie rąbania pulsowała bólem. Korzystając ze zdrowej ręki, nosił drewno ze sterty do paleniska. Po przyniesieniu ostatniego naręcza Llew opadł obok mnie z jękiem.

Był mokry od potu, dygotał z wyczerpania i bólu.

— To już koniec — szepnął przez zaciśnięte zęby.

— Spokojnie — pocieszałem go. — Odpocznij.

— Dobra robota! — zawołał Mistrz Kuźni. — Teraz się posili my.

Mówiąc to, olbrzym klasnął w dłonie i usłyszałem trzask płomieni, wkrótce poczułem też zapach pieczonego mięsa. Ten aromat sprowadził mi ślinę do ust, poczułem w żołądku nagłą pustkę. Gofannon zajęty był pieczeniem mięsa, Llew leżał na ziemi, zbiera-

jąc siły, a ja przysłuchiwałem się skwierczeniu topionego tłuszczu, gdy szpikulec obracał się, a gorące soki kapały w płomienie. Zanim mięso się upiekło, głód zupełnie mnie oszołomił.

— Jedzmy! — zawołał Formierz Metalu nagle, jakby nie mógł już dłużej czekać. Usłyszałem głośny trzask i stłumiony odgłos rozdzierania, a potem wciśnięto mi w ręce gorący kawał pieczonej dziczyzny. Rozległ się trzask rozdzieranego mięsa i Llew również otrzymał kawał dziczyzny.

— Tu jest mięsa na cały tydzień! — szepnął Llew. Reszta jelenia dostała się naszemu ogromnemu gospodarzowi.

— Jedzcie, przyjaciele! Jedzcie i nasyćcie się! — ryknął radośnie Gofannon. Usłyszałem posapywanie, gdy zaczął ogryzać kość z mięsa.

Odrzuciłem na bok wszelkie zahamowania, podniosłem udziec do ust i zacząłem jeść. Rozszarpywałem mięso zębami, z ochotą napełniając sobie usta, rozkoszując się jego ciepłem i smakiem. Smakowite soki spływały mi po brodzie i szyi na pierś. Nie zwracałem na to uwagi, byłem głodny.

— Panie Gofannonie — odezwał się nagle Llew — nigdy nie jadłem tak dobrego mięsiwa. A choć dałeś nam jedynie spróbować tego, co sam jadasz, to i tak pozostaniesz najbardziej szczodroblivy.

— Gdy jesz sam, posiłek jest skromny — odparł uprzejmie olbrzym. — Ale gdy mięso jest dzielone pomiędzy doborowe towarzystwo przy ognisku, zwykły posiłek zamienia się w ucztę!

Potem pan ogniska roześmiał się, a my śmialiśmy się razem z nim, wypełniając zagajnik radosnymi dźwiękami. Skończyliśmy posiłek, promieniując rozkoszą, jaką sprawiała nam ciepła strawa w brzuchach.

— Napijcie się ze mną, ludkowie! — zawołał olbrzym głosem, od którego zaszeleściły liście na dębowych konarach. Klasnął w dłonie, a dźwięk ten był niczym grom.

— Nie do wiary! — szepnął Llew, pochylając się ku mnie.

Usłyszałem odgłos, jaki wydaje kamień ciśnięty w głęboki staw.

— Co się stało?

— Właśnie się pojawiła — szepnął Llew.

— Co się pojawiło? — odszepnąłem. — Bądź mi oczyma, człowieku! Opisz, co widzisz.

— To kadź! Złota kadź na piwo — wielkości... — przerwał, szukając odpowiednich słów. — Jest ogromna! Mogłoby w niej stanąć pięćdziesięciu ludzi! A napoju w niej dość dla trzystu!

Znów usłyszałem pluśnięcie i w dłonie wepchnięto mi puchar. Cóż to był za puchar — wielkości cebrzyka! — wypełniony spienionym piwem.

— Pijcie! Pijcie, przyjaciele! Pijcie i weselcie się! — zawołał Gofannon.

Uniosłem puchar i począłem łączyćwie pić zimne, orzeźwiająjące piwo. Było wybornego gatunku, słodkie, ale z wyraźnym posmakiem goryczki, o wspaniałym aromacie — najlepsze, jakiego kiedykolwiek kosztowałem, a pijałem przecież w halach królów.

Pomyślałem, że Llew nie będzie w stanie unieść swego pucharu, więc zaproponowałem mu, aby napił się z mojego.

— Nie martw się, bracie — odparł serdecznym tonem, obliżując pianę z wąsów. — Po prostu wsadziłem do pucharu całą twarz!

Llew roześmiał się. Usłyszałem głos dobrze mi znanego człowieka, który znowu wracał pomiędzy ludzi. Piliśmy i śmialiśmy się, czułem, jak ból rany i rozpacz z powodu ślepoty zaczynają mnie opuszczać, opadać ze mnie niczym brzemień zostawione u progu. Nie było to zasługą jedynie jada, napoju i wesołości. Znajdowaliśmy się przed obliczem kogoś potężniejszego od Gofannona — kogoś, kto sam był kojącym balsamem, łaską nieocenionej wartości. Zapomniałem o swych ranach i słabości; w obliczu Wszechwiedzącego byłem znowu zdrow i cały.

A gdy już najedliśmy się i napiliśmy do syta, Gofannon zwrócił się do mnie:

— Powiedziałeś, że jesteś bardem. Jaka jest twoja pozycja pośród nich?

— Jestem penderwyddem Prydainu — odparłem. — Przedtem byłem naczelnym bardem Meldryna Mawra.

Nasz gospodarz ponownie wydał donośny pomruk zadowolenia, po czym powiedział:

— Dawno już nie słyszałem w swym gaju pieśni barda.

— Jeśli sprawi ci to przyjemność, panie — rzekłem — zaśpiewam. Co chciałbyś usłyszeć?

Mistrz rzemieślników zastanawiał się chwilę, mruczając pod nosem.

— O Bładuddzie Skalnym — odparł w końcu.

Osobliwy wybór, pomyślałem. Pieśń o Bładuddzie jest bardzo stara, mało znana i rzadko śpiewana — być może dlatego, że nie opiewa się w niej żadnych bitw.

— To opowieść rzadko słuchana, wiem — powiedział Gofannon, jakby czytając moje myśli. — Lecz chciałbym ją usłyszeć. Prawdziwy bard ją zna.

— Niech więc tak będzie — powiedziałem, podnosząc się. A gdy stanąłem przed nim, poczułem nagle brak swej harfy. — Muszę cię prosić o wybaczenie, panie, ale nie mam harfy. Pieśń nie ucierpi jednak wiele z powodu jej braku. Obiecuję ci to.

— Nigdy tak nie mów! — krzyknął Gofannon głosem, od którego zadrżały drzewa. — Po co cierpieć choćby z powodu najmniejszego niedostatku, skoro tak łatwo można go zaspokoić? Wystarczy tylko poprosić.

— Szlachetny panie — odparłem, nadal drżąc od dźwięku potężnego głosu — jeśli nie sprawi ci to kłopotu, czy mógłbym dostać harfę?

— Harfa! — krzyknął. — Prosisz o harfę, ale stoisz tu z opuszczonymi rękoma. Wyciągnij je, jeśli chcesz coś otrzymać.

Wyciągnąłem zatem ręce i otrzymałem harfę. Objąłem znajomy kształt i wsparłem go na piersi i ramieniu. Trąciłem struny. Zabrzmiały melodyjnie i dźwięcznie. A co więcej, były nastrojone. Wziąłem akord i powietrze wypełnił wspaniały dźwięk, bogaty i wibrujący. Harfa była doskonale zrobiona, rozkoszą było na niej grać i jej słuchać.

Przygotowałem się do śpiewu. W tym czasie moi słuchacze usadowili się wygodnie. Potem, wziąłem kilka akordów i zacząłem:



— W dawnych czasach, zanim jeszcze poznano w Albionie świnie, a wołowina była mięsem królów, wyrósł w Caledonie monarcha wielkiej sławy. Rhud Hudibras było jego imię. — Mój olbrzymi gospodarz wydał pomruk zadowolenia i opowieść rozpoczęła się.

— Ten wódz, człowiek poważany i kochany przez lud, miał trzech synów. Pierwszy z nich był wprawnym myśliwym i wojownikiem, drugi również. Obu nic nie cieszyło bardziej od ucztowania w dobranym towarzystwie i słuchania pieśni bardów. Życie miało dla nich smak, gdy puchary mieli pełne miodu, a w objęciach dziewczki. Ale trzeci z synów nie znajdował upodobania w polowaniach i wojaczce. Bardziej miłe było mu zdobywanie wiedzy. Tak, bardziej miła była mu wiedza niż pieśni bardów, ucztowanie z przyjaciółmi, a nawet ściskanie smukłych kibici dziewczek. Bładudd było jego imię. Poszukiwanie prawdy i mądrości sprawiało mu zawsze największą rozkosz, a oto jak się odbywało:

Pewnego dnia król Rhud przywołał synów i przemówił do nich łagodnie:

— Jestem zawsze na wasze usługi, moi ukochani synowie. Dla was wszystko, co najlepsze. Przemówcie, synowie. Wyjawcie mi swe najskrytsze pragnienia. Proście, o co chcecie, a otrzymacie to.

Pierwsi dwaj synowie w odpowiedzi ojcu, królowi, rzekli:

— Sprawia nam rozkosz polowanie i ucztowanie, jak wiesz. Dlatego też nie prosimy o nic więcej, jak tylko o rączę rumaki, dostatek zwierzyny, ciepło ognia i pod koniec dnia pełny puchar w gronie przyjaciół.

Wielki Król wysłuchał ich i powiedział:

— To wszystko już macie. Czy jest coś jeszcze, co mógłbym wam ofiarować? — zapytał, gdyż z całego serca chciał jak najlepiej obdarować swych ukochanych synów.

Synowie zaś, mężowie mocarni i odważni, naradzili się i odparli:

— Masz słuszność, mówiąc, że mamy już to, czego pragniemy. Jest jednakże jeszcze coś, czego nie mamy.

— Wystarczy, że to nazwicie i będzie wasze, moi śmiałkowie — powiedział Rhud, Mądry Ojciec.

Na to odpowiedzieli mu synowie:

— Chcielibyśmy lata mieć przed sobą niezliczone, byśmy mogli wiecznie cieszyć się pogonią za tymi przyjemnościami.

— Jeśli tego właśnie pragniecie — odparł Rhud — łatwo to spełnić. Ale czy nie macie innych pragnień?

— Pytałeś, a my odpowiedzieliśmy — rzekli dwaj myśliwi. — Nie pragniemy niczego więcej.

— Dobrze — powiedział im król. — Idźcie swoją drogą. Wasze jest to, czego zapragnęliście.

Potem król, Mądry Pan, zwrócił się do najmłodszego z synów, który zamyślony stał nieco na uboczu.

— Bładuddzie, mój ukochany synu — powiedział ojciec — zawsze jestem na twe usługi. Dla ciebie wszystko, co najlepsze. Przemów, synu. Wyjaw mi swe najskrytsze pragnienia. Wszystko, o co poprosisz, otrzymasz.

Bładudd, który cały czas intensywnie myślał, odparł od razu:

— Ojczy, ty nie rzucasz słów na wiatr, więc powiem ci wprost. Jak wiesz, największą rozkosz sprawia mi poszukiwanie prawdy i zdobywanie wiedzy. A jednak pragnę czegoś, co do czego nie jestem pewny, czy przyniesie mi ból czy radość. Waham się, czy to powiedzieć, gdyż lękam się odmowy.

— Co to takiego, mój synu? — zapytał ojciec. — Powiedz, co leży ci na sercu. Nie kryj niczego przede mną, a ja niczego nie skryję przed tobą.

— A zatem wiedz, że pragnę wyruszyć w podróż do odległej krainy, gdzie pogłębię wiedzę tak, że poznam prawdę o wszystkich rzeczach, a znając prawdę, posiadam większą mądrość. Nie skłamię bowiem, jeśli powiem, że poznałem już wszystko, co było do poznania w tym królestwie — łącznie z wszystkimi zaklęciami. Ale czym są zaklęcia i rzucanie uroków wobec Prawdy?

Gdy Rhud, mądry i kochający ojciec, usłyszał te słowa, jęknął i zapłakał z radości. Jęknął, ponieważ wiedział o trudach, jakie czekały jego ukochanego syna; zapłakał z radości, ponieważ Bładudd zapragnął daru wartego posiadania ponad wszystkie inne. A do swego syna odezwał się w te słowa:

— A gdzie znajduje się ta odległa kraina? Jak się nazywa?

— To królestwo na zachodzie — odparł Bładudd — leży hen daleko, za miejscem, w którym słońce chowa się w morzu. Zwie się Ziemią Obiecaną, tam najmłodsze dziecko jest mądrzejsze od najmądrzejszego człowieka w naszym ziemskim królestwie.

Król Rhud uniósł ręce i powiedział:

— Idź swą drogą, mój ukochany synu. Masz to, czego zapragnąłeś.

Jeszcze tego samego dnia Bładudd odpłynął. Podróżował długo i daleko, żeglował zawsze na zachód, ku miejscu, gdzie zachodzi słońce. Nie dotarł do odległej krainy po wielu dniach, ani nawet po wielu, wielu jeszcze kolejnych. Sześć księżyców przewędrowało mu nad głową, a potem jeszcze dwa. W noc narodzin dziewiątego miesiąca, a był to Beltain, ogarnęła go wielka senność. Naciągnął na głowę płaszcz, zamknął oczy i wkrótce zapadł w najgłębszy ze snów, jaki znał.

Zdawało mu się, że minęła ledwie chwila, gdy usłyszał delikatne dźwięki. Obudził się, odrzucił płaszcz i ujrzał tańczące światełko. W powietrzu słyszał cichą muzykę. Światło błyszczało wszędzie wokół niego, dobywało się z morza. Bładudd usiadł, schwycił się burty i zanurzył twarz w wodzie, aby zobaczyć, skąd się brało.

Światło błyszczące ponad falami było bardzo jasne, a blask w wodzie oślepiający, muzyka zaś tak pełna wdzięcznego uroku, że nigdy dotąd nie słyszał podobnej. Ale to nie światło i nie muzyka go tak ujęły. Uwagę Bładudd przykuł widok zielonych wzgórz i jabłoni w kwiatach.

Tam, gdzie poprzednio widział ryby i wodorosty, teraz były ptaki i kwiaty — olśniewające ptaki i łąki pełne białego i błękitnego kwiecia. Ptaki obsiadły jabłonie i zaczęły śpiewać tak słodko, że Bładuddowi mało serce nie pękło. Zdawało mu się, że dopóki nie usłyszał tej muzyki, przez wszystkie dni swego życia był głuchy.

Jednak gdy ośmielił się pozdrowić ptaki, te zerwały się z głośnym furkotem skrzydeł. Po chwili wylądowały na ziemi i zmieniły się w pięćdziesiąt dziewcząt niezrównanej urody. Bładudd wpatrywał się zachwycony w te panny i z radością czyniłby to po wsze czasy, gdyby nie nagłe pojawienie się zbiegającego ze wzgórza stada jeleni.

Gdy jelenie dotarły do miejsca, w którym czekały panny, przemieniły się w pięćdziesięciu młodzieńców, równie przystojnych, jak piękne były dziewczęta. Każdy z nich miał na szyi złoty torques; każda z panien nosiła złotą koronę. Połączyli się w pary i poczęli figlować na łące. Cudownie było przyglądać się ich zabawom.

Wdzięk tych postaci obudził w duszy Bładudda pragnienie, by do nich dołączyć. Wspiął się więc na burtę łodzi i wskoczył do wody. Jego nagłe pojawienie się sprawiło, że dziewczęta znowu zamieniły się w ptaki, a młodzieńcy w jelenie, po czym i ptaki, i jelenie uciekły za wzgórze.

Bładudd myślał gorączkowo, co w tej sytuacji należałoby zrobić. Zastanę się czarem ukrycia — pomyślał. I tak też uczynił.

Ukryty, pobiegł do miejsca, w którym znajdowali się zamienieni w jelenie młodzieńcy, wybrał najdorodniejszego z nich, dosiadł go i objął urodzive zwierzę. Jeleń i Bładudd pognali razem. Jednakże, choć jeleń poprzednio przewodził, teraz z Bładuddem uczeptionym jego karku ostatni zbiegł ze wzgórza.

Pędzili dalej i wkrótce na szczycie kolejnego wzgórza ujrzał potężny ker. Do tego właśnie keru pofrunęły ptaki, a tuż za nimi wbiegły jelenie. Pośrodku wznosiła się niezwykła hala. Kraina wokół keru daleko przewyższała swą urodą wszystko, co Bładudd kiedykolwiek widział, podobnie hala nie miała sobie równych.

W kerze ptaki i jelenie zmieniły się znowu w urodziwych młodzieńców i piękne panny. Młodzieńcy wyśmiewali się z jelenia, który zawsze był pierwszy, a do keru dotarł ostatni. Roześmiani towarzysze dopytywali się, czy aby nie zmęczyły go ich zabawy.

— Nie — odparł młodzieniec — choć gdy zacząłem biec, poczułem nagle na karku jakiś ciężar. Nawet gdyby to była sama śmierć, która nieubłaganie dosięga śmiertelników, brzemię nie mogłoby być większe.

Czarowny Lud wszedł do hali, a Bładudd za nimi. Niewidzialny, dzięki maskującemu zaklęciu, wyszukał sobie filar, przy którym stanął i przesłonił sobie usta dłonią, aby nie krzyczeć z zachwytu nad wszystkim, co widział. Gdziekolwiek spojrzął, jego oczom ukazywały się cudowne skarby, cuda niewysłowione wyzierały z każdego

kąta hali. A najmniejszy z drogocennych skarbów był bardziej wartościowy od wszystkich skarbów świata, z którego Bładudd pochodził. Na wysadzonym klejnotami tronie siedział król. Jego włosy błyszczały jasno niczym płomień, twarz promieniała. A choć wszyscy byli na tym dworze urodziwi — och jakże urodziwi! zaprawdę urodziwi! — król jeszcze ich wszystkich przewyższał urodą.

Bładudd myślał, że nie zostanie odkryty. Ale gdy tylko zajął miejsce obok filaru, król zerwał się z tronu wołając:

— Śmiertelnik jest pośród nas!

Okrzyk ten tak zaskoczył Bładudda, że zapomniał o swym zakleciu i stał się widoczny.

Król spojrział na Bładudda i zażądał, by podał swe imię i wyjawił pochodzenie.

— W mych żyłach płynie krew, której nie muszę się wstydić w twojej obecności — odparł dumnie Bładudd. — A skoro jestem obcy pomiędzy wami, domagam się potraktowania z gościnnością równą tej, jakiej wy moglibyście oczekiwać ode mnie: najlepszego jadła i trunków, towarzystwa urodziwej kobiety, harf wypełniających wasze uszy pochwalnymi hymnami, najlepszego miejsca przy ogniu i stosu nowych futer na posłanie.

— A to ci śmiałek! — zawołał król. — W jakim celu tu przybyłeś?

— Przybyłem tu w poszukiwaniu prawdy, która wiedzie ku mądrości — odpowiedział Bładudd. — Przysięgam na bogów mego ludu, nie jest mym zamiarem nikogo tu skrzywdzić. W rzeczy samej, nie uczyni was biedniejszymi to, o co proszę, gdyż wszystko, czego pragnę, to odrobina waszej wiedzy.

Gdy król to usłyszał, odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

— Myślisz, że tak ochoczo podzielimy się z tobą wiedzą?

— Myślę, że nie zawadzi zapytać — odparł Bładudd.

— To prawda — przyznał król. — W każdym razie, nigdy nie przyszło mi do głowy, by jakiś śmiertelnik mógł znaleźć drogę do tego miejsca, chyba że byłby to Bładudd ap Rhud, Zuchwalec z Caledonu.

— Jam jest tym człowiekiem! — oznajmił Bładudd, zdumiony, że jego imię znane jest pomiędzy tak wspaniałym i potężnym ludem.

— A zatem dobrze — powiedział król — dowcipem i odwagą zdobyłeś sobie miejsce pośród nas — choć być może nie takie, o jakim marzyłeś. Będziesz doglądał mych świń.

Tak oto Bładudd—który nigdy nie widział świni, a tym bardziej żadnej nie wachał — został świniopasem króla Ziemi Obiecanej. Te świnię, o czym wkrótce przekonał się Bładudd, były najbardziej zdumiewającymi zwierzętami, jakie kiedykolwiek widział. Ich główną zaletą było to, że choć zabijano je i zjadano, następnego dnia były żywe. Ale to nie wszystko. Daleko jeszcze do tego! Spożywanie mięsa właśnie z tych świń czyniło lud króla nieśmiertelnym.

Przez siedem lat, tak mu się przynajmniej zdawało, Bładudd doglądał cudownych świń—choć przez cały ten czas nigdy nie miał okazji umoczyć nawet najmniejszego palca w soku ściekającym z ich pieczonego mięsa, nie mówiąc już o spróbowaniu kawałka. Każdego dnia w południe przychodzili królewscy służący i zabierali tyle świń, ile trzeba było, na wieczorną ucztę. I każdego ranka świnię wracały pod opiekę Bładudda.

Tymczasem sprytny Bładudd cały czas miał oczy i uszy szeroko otwarte. Ze swymi świniami przemierzał Ziemię Obiecaną, spotykał ludzi, rozmawiał z nimi i wiele się uczył. Wieczorami słuchał bardów śpiewających w królewskiej hali i uczył się jeszcze więcej. Pomimo swej niskiej pozycji, pogłębiał wiedzę i był zadowolony.

Pewnego dnia, a było to już pod koniec siódmego roku, Bładudd pał nieśmiertelne świnię nad strumieniem. Wtem usłyszał zew rogu i ujrzał grupę jeźdźców pędzących przez gąszcz. Wraz z towarzyszącą im sforą psów gonili za wspaniałym jeleniem, białym niczym morska piana, o czerwonych rogach i uszach.

Biały jelen przeskokzył w pędzie przez strumień — lądując o parę kroków od miejsca, w którym stał Bładudd — potrząsnął rogami i zniknął w lesie. Psy i jeźdźcy szukali jelenia, i choć psy ujadały, a myśliwi rozglądali się, nie mogli znaleźć tropu.

Bładudd obserwował ich i odkrył, że widzi ich bardziej jak odbicie w wodzie niż ludzi z krwi i kości. Wówczas zrozumiał, że

strumień był jedną z granic oddzielających ziemskie królestwo od świata, w którym przebywał, i że zagląda do tego, który porzucił. Widział jaskrawy wzór na odzieniu myśliwych, słyszał ich mowę i ogarnęła go ogromna tęsknota. Łzy trysnęły mu z oczu, legł na brzegu strumienia i zapłakał za poprzednim życiem.

Od tej chwili Bładudd stracił całą ochotę na pozostanie w Ziemi Obiecanej i zaczął szukać sposobu powrotu do swego świata. Jego myślami całkowicie zawładnęło pragnienie ujrzenia krewnych i swego klanu i cały czas wypatrywał po temu okazji.

Obserwował i czekał, aż się zdarzyła na Samhain, kiedy to bramy pomiędzy światami otwierają się i można je przekroczyć. Zebrał więc swój niewielki dobytek i wyruszył do brodu białego jelenia. W tajemnicy opuścił ker króla, aby nikt nie usiłował go zatrzymać czy przekonywać, by nie odchodził. Odszedł, pędząc przed sobą dziewięć królewskich świń, które chciał zabrać do Albionu w darze.

Wszystko było dobrze, ale świnię kwiczały i wszystkich pobudziły. Król usłyszał je i rzucił się w pogoń. Bładudd uciekał, próbując jednego zakłęcia za drugim, aby zwieść króla.

Dotarłszy do strumienia, odważny Bładudd wypowiedział zakłęcie, które zmieniło go łososia, a dziewięć świń w łuski na jego grzbiecie. Ale król przyjął postać wydry. Wówczas uciekinier zmienił się w wiewiórkę, a świnię w dziewięć nasion w sosnowej szyszce. Król jednak gonił go dalej pod postacią fretki. Wtedy Bładudd zmienił się w czapkę, a świnię w dziewięć piór na jej karku. Król zaś nie odstępował go jako pyszny orzeł. W końcu Bładudd zmienił siebie w wilka, a dziewięć świń w plamy na swym futrze. Król pokonał go jednak, gdyż przyjmując postać myśliwego na koniu; potrząsnął włócznią nad Bładuddem i świniami i przywrócił im właściwą postać.

— Cóż z ciebie za wiarołomny świniopas — zauważył król.

Odważny Bładudd odpowiedział:

— Ależ nie, Potężny Królu. Siedem lat dobrze ci służyłem. Przez cały ten czas nie straciłeś żadnego ze swych cennych zwierząt, ponieważ chronilem je przed wilkami i orłami, dbałem, aby się nie zgubiły, aby niczego im nie brakowało i aby wszystko miały na czas.

Nawet jeden włoszek nie spadł z różowej szczeciny najmniejszego prosiaczka. A jeśli chodzi o korzyści, jakie z tego miałem, to powiem ci prawdę: nigdy nawet nie tknąłem skóry żadnej z tych świń, gdy się piekły, ani nie oblizałem potem palca. A ty nie odpłaciłeś mi nawet dobrym słowem za mą służbę. Dlatego, Dzielnny Królu, wydało mi się sprawiedliwe samemu wyznaczyć sobie niewielką zapłatę.

— Ukradłeś moje świnię! — wrzasnął król.

— Ależ nie, Wielki Panie. Podjąłem się ocalenia honoru twego dobrego imienia i zdobycia ci w mym świecie sławy równej tej, jaką masz w swym własnym, przekazując memu ludowi te świnię jako dar od ciebie. Uczyniłem tak, aby nikt nie wziął cię za nędzarza i skąpca.

Twarz króla pociemniała z gniewu.

— Bzdury pleciesz! — ryknął. — Nie masz pojęcia o kłopotach, jakich narobiłbyś swym wtrącaniem się, gdybym ci nie przeszkodził. Straszliwy los by cię czekał, gdyby któraś z tych świń postawiła nogę w twym świecie. Jednakże, ponieważ jesteś aż tak naiwny, nie dopuszczę do tego. Możesz podziękować mi za moją dobroć.

— A zatem dziękuję za nic — warknął śmiały książe.

— Przybyłeś w poszukiwaniu wiedzy...

— I wiedzę zdobyłem — ale nie dzięki tobie.

— A jednak, gdybyś tylko wyzbył się samolubstwa i dumy, otrzymałbyś dar większy, niż śmiesz zamarzyć.

Mówiąc to, król uniósł włócznię i uderzył nią płasko w głowę Bładudda, a uczynił to tak mocno, że młodzieniec stracił przytomność i padł na ziemię. Gdy otworzył oczy, był znowu w Albionie; po królu i jego cudownych świniach nie było śladu.

Ale stało się tak, że król swym uderzeniem rzucił urok na jego ciało, które utraciło całe swe piękno i urodę. Włosy mu wypadły, zęby spróchniały, skórę pokryły ropnie, a mięśnie zanikły. Jego niegdyś wspaniałe szaty wisiały teraz na nim w brudnych strzępach... Wyglądał jak ktoś, kogo Pani Śmierć przyodziła na swe podobieństwo.

Wszelkimi sposobami usiłował wrócić do poprzedniej postaci.



Jednakże wszystko, czego się nauczył, nie zdało się na nic. Nie potrafił odczynić złego uroku, jaki na niego rzucono. Gdy Bładudd w końcu to zrozumiał, wyjęczał:

— Smutny powrót sobie zgotowałem! Człowieka o takim wyglądzie nie powitają uroczyście przyjaciele, nie będą opiewać bardzo wie, a i piękne kobiety nie obdarzą go swymi względami!

Otulił się łachmanami najlepiej, jak potrafił, i ruszył ku twierdzy ojca. Napotykanii po drodze ludzie wzdrygali się na jego widok i nikt nie ośmielił się go zatrzymać — dopóki nie dotarł przed bramy. Strażnicy przyjęli go niechętnie.

— Kim jesteś? — zapytali. — Czego tu szukasz? Skąd ci przyszło do głowy, że pozwolimy komuś takiemu jak ty zobaczyć nasze go króla?

— Kim jestem i co tu robię, to nie wasza sprawa — odparł tajemniczy nieznajomy. — A swemu królowi powiedzcie, że mogę opowiedzieć mu o niewyobrażalnych cudach. A jeśli to go nie wzruszy, powiedzcie mu, że mam wieści o jego zaginionym synu, Bładuddzie.

Gdy król Rhud to usłyszał, rozkazał natychmiast przywieść nieznajomego przed swe oblicze.

— Kim jesteś, panie? — zapytał uprzejmie król. — A mówiąc bez ogródek, co wiesz o mym synu?

— Twój syn stoi teraz przed tobą — odparł nieznajomy. Rozłożył szeroko ramiona, tak że łachmany z niego spadły, i ukazał się w całej swej straszliwej postaci.

Dobrotliwy król zapłakał. Książę Bładudd płakał również, a wraz nimi wszyscy krewni i członkowie klanu. Albowiem tak jak kiedyś był urodziwy, tak teraz był wstrętny. A gdy przestali ronić łzy, przyniesiono młodzieńcowi chleb, mięso i godziwy napitek. Odświeżywszy się po podróży, opowiedział im swą niewiarygodną historię. Król wysłuchał wszystkiego, co mówił jego syn, a potem zwołał wodzów na naradę, aby zdecydować, co można w tej materii uczynić.

— To smutny przypadek i godny największego ubolewania — powiedział jeden z doradców króla. — Zechciej jednak, panie, wy-

baczyć mi to, co chcę powiedzieć — zasady sprawowania królewskiej władzy są jasne: oszepecony człowiek nie może być królem. Bładudd, musisz przyznać, jest więcej niż oszepecony. Toteż książę nie może zachować swego miejsca pośród szlachetnie urodzonych, którzy godni są najwyższych zaszczytów.

Mądry doradca powiedział smutną prawdę. Nawet Bładudd przyznał, że nie pozostało mu nic innego, jak tylko ukryć się przed ludzkim wzrokiem. Odszedł więc daleko i zbudował sobie chatę w lesie, gdzie nikt nie mógł oglądać jego szpetoty.

Przez siedem lat mieszkał w swej samotnej chacie z jednym tylko służącym do pomocy. Przez cały ten czas żaden człowiek nie pojawił się w pobliżu, nie mówiąc już o urodziwej kobiecie. Pewnego dnia, pod koniec siódmego roku, przyszedł do niego służący i powiedział:

— Wstawaj, panie. Ktoś przyszedł się z tobą zobaczyć.

— To cud — odparł Bładudd. Rozejrzał się wokół i zapytał: — Gdzie ta nadzwyczajna osoba?

— Stoi na zewnątrz, czeka na twą wolę, panie.

— Wpuść natychmiast mego gościa! — krzyknął książę. — Taka moja wola!

Gość natychmiast został wpuszczony. Postać miała głowę osłoniętą kapturem; gdy go zdjęła, oczom Bładudda ukazała się kobieta. Nie była ani urodziwa, ani pociągająca. Zezowata, szczerbata, o grubych wargach i ziemistej cerze. A jednak wydała się Bładuddowi czarująca już z tego tylko powodu, że z własnej woli stanęła przed jego obliczem i nie wzdygała się ani nie zbierała się jej na wymioty na jego widok, lecz stała, cały czas się uśmiechając, jakby groteskowy wygląd Bładudda nic dla niej nie znaczył. Pozdrowiła go ciepło, nie okazując ani lęku, ani niesmaku.

Bładudd był oczarowany, był zaintrygowany.

— Kim jesteś, kobieto? Gdzie mieszkasz i co pilnego cię tu sprowadza?

— Przybywam z miejsca dobrze ci znanego, choć trudno by ci było się tego domyślić. Odszukałam cię, ponieważ mam miłe wieści.

— A zatem czemu każesz mi czekać? Umieram z tęsknoty za

dobrym słowem! — wykrzyknął Bładudd. — Natychmiast przekaż mi te miłe wieści!

— Znalazłam sposób, aby cię uzdrowić, jeśli to właśnie uzdrowienie jest twym pragnieniem.

— Pragnieniem! — krzyknął oszpecony książę. — Bardom zbrakłoby słów dla opisanego, jak wielkie jest moje pragnienie, by wyzdrowieć. Powiem ci o pragnieniu! Czy ty wiesz, że przez siedem lat nie widziałem kobiety? Mężczyzny również, nie licząc mego służącego. Oczywiście, pragnę uzdrowienia!

— Bardzo dobrze — powiedziała kobieta. — Chodź za mną.

Bładudd chciał zaraz za nią pójść, ale przypomniał sobie o straszliwym wrażeniu, jakie jego wygląd wywierał na rodakach, i wstrzymał się.

— Poczekaj. Skąd mam wiedzieć, że masz dobre zamiary i nie chcesz mnie skrzywdzić? — zapytał. — Wybacz mi, ale możesz wyprowadzić mnie stąd jedynie na upokorzenie i hańbę.

— Zrobisz, jak ci się spodoba, książę — odparła kobieta. Najwyraźniej zamierzała odejść.

— Poczekaj! — krzyknął Bładudd. — Dokąd idziesz?

— Zdecyduj się, Bładuddzie — odparła kobieta. — Idziesz ze mną czy nie?

— Idę — powiedział Bładudd. Otulił się swymi łąchmanami i pospieszył za swym gościem.

Oszpecony książę szedł za kobietą, a ona zaprowadziła go na nagie wzgórze, potem na bagniste pustkowie, a jeszcze później nad staw z cuchnącym, czarnym, bulgoczącym błotem.

— Zrzuć swe łąchmany i wykąp się w tym stawie—powiedziała kobieta o ziemistej cerze i usiadła na skale. — Ta woda ma uzdrawiająca moc.

Bładudd popatrzył z powątpiewaniem na cuchnący muł. Powierzchnia błota wydeła się i z głośnym westchnięciem wydobyły się spod niej śmierdzące opary. Bardziej przypominało to miejsce kaźni niż uzdrowienia. Nie chciał jednak urazić znowu swego gościa, a poza tym przebyli przecież tak długą drogę. Wszedł więc do smrodliwego stawu.

Błoto było gorące. Parzyło skórę. Łzy popłynęły mu z oczu strumieniami. Ale Bładudd, który swe wielkie nieszczęście znosił z niebywałym hartem ducha, wytrzymał i ten ból, gdyż gorąco pragnął wyzdrowieć. Pomimo to nie potrafił znieść tego w nieskończoność. Gdy błotna kąpiel zrobiła się zbyt gorąca, wygramolił się z cuchnącego stawu i stanął przed kobietą.

— Co tak na mnie patrzysz? — powiedział gniewnie, spoglądając na swe uwalane błotem ciało. — Miałem nadzieję na coś więcej.

— Powinnam za to zostawić cię takim, jakim cię znalazłam — rzekła kobieta. — Twe uzdrowienie jest jednak niemal zakończone. — Szcerbata kobieta wskazała na wierzbę, której Bładudd przedtem nie zauważył. — Pod tym drzewem stoi kadź z wodą. Obmyj się z błota, a będziesz zdumiony tym, co zobaczysz, choć pewnie tak nie myślisz.

Bładudd podszedł do kadzi, wdrapał się do środka i obmył się. Woda była czysta i chłodna, działała kojąco na jego poparzoną błotem skórę. Odprężył się w wodzie i zapomniał o bólu. Prawdę mówiąc, zapomniał o wszystkich wcześniejszych przykrościach i zmartwieniach. Gdy w końcu ruszył się, aby wyjść z kadzi, jego umysł był jak u nowo narodzonego. Książę spojrział na swe biedne, umęczone ciało i, cud nad cudami, zobaczył, że jego ciało również wygląda jak nowonarodzone.

Poszedł prosto do kobiety, która czekała na niego na skale.

— Jestem uzdrowiony! — krzyknął, z radością spoglądając na swe ciało. — Nie skłamię, jeśli powiem, że wyglądam teraz nawet lepiej niż wtedy, gdy król Ziemi Obiecanej dzielił mnie drzewcem włóczni po głowie.

A gdy książę nie usłyszał odpowiedzi, spojrział na kobietę o ziemistej cerze i zobaczył, że zniknęła, a na jej miejscu siedziała teraz najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widział. Jej włosy były tak jasne, że niemal białe; skóra też była jasna jak mleko, a ciemnobłękitne oczy jaśniały niczym klejnoty; czoło miała gładkie; szyję smukłą i wspaniałą; palce długie, ramiona prężne, piersi kształtne. Była dziewczyną z najładniejszych marzeń Bładudda.

— Pani — wyszeptał Bładudd cichym, pełnym nabożnego lęku

głosem — gdzie jest ta szczerbata kobieta, która przywiodła mnie w to miejsce? Muszę podziękować za niezwykłą przysługę, jaką mi wyświadczyła.

Urodziwa panna spojrzała na Bładudda, a potem rozejrzała się wokoło.

— Nie widzę tu innej kobiety — odparła. Jej głos był niczym płynny miód. — Musiałeś się chyba pomylić. A może sądzisz, że jestem szczerbata?

Uśmiechnęła się przy tym tak słodko, że pod Bładuddem ugięły się kolana.

— Pani — powiedział — nie widzę w tobie najmniejszej skazy.

— Tak jak ja w tobie — powiedziała mu piękna pani. — Ale być może poczujesz się swobodniej, jeśli coś na siebie przywdziejesz.

Bładudd zarumienił się i rozejrzał wokół.

— Słusznie mi o tym przypomniawsz — odparł, spoglądając na brudne łachmany, leżące na ziemi tam, gdzie je zrzucił. — Wolałbym jednak chodzić bez odzienia, niż przywdziać znowu te łachmany.

— Łachmany? — odparła kobieta cudownej urody. — Musisz być przyzwyczajony do bardzo wytwornych szat, jeśli te są dla ciebie łachmanami. — Mówiąc to, pochyliła się i podniosła stertę odzienia.

Zaskoczony Bładudd spostrzegł, że jego łachmany stały się niewyobrażalnie wspaniałymi szatami.

— To moje odzienie? — zdziwił się głośno, gdyż patrzył na płaszcz, tunikę, spodnie i buty bardziej kosztowne, bardziej nawet zbytkowne niż wszystko, co posiadał jego ojciec, król Rhud Hudi-bras. — Czy to jest moje?

— Nie myślisz chyba, że moje — odparła kobieta, wygładzając swój miękki, biały płaszcz smukłymi dłońmi. — Mówiąc między nami — dodała — zdaje się, że tobie są bardziej potrzebne.

Zdziwiony Bładudd ubrał się szybko, radując się doskonałą jakością swych nowych szat. Gdy skończył, wyglądał jak król.

— Powiem ci prawdę — oznajmił — nie są mi obce piękne stroje, ale tak wspaniałych szat nie miałem nigdy.

— Zapomniałeś o swym mieczu? — zapytał kobieta.

Bładudd zobaczył, że kobieta trzyma w dłoniach miecz o złocistej głowni.

— Czy on należy do mnie? — zapytał, podejrzewając jakiś podstęp. Gdyż nikt, kogo znał, nie posiadał tak wspaniałej broni.

— Nie widzę przed sobą nikogo oprócz ciebie — odparła kobieta. — I powiem ci prawdę, ten widok sprawia mi dużą przyjemność.

Uszczęśliwiony Bładudd przypasał miecz i poczuł się jeszcze bardziej królem niż przedtem. Spojrzał na dziewczynę z miłością.

— Pani—wyszeptał z sercem przepełnionym wdzięcznością— jak się nazywasz?

Panna spojrzała na niego spod swych długich rzęs.

— Nie znasz mnie? — zapytała.

— Gdybym widział cię już kiedyś — odparł — to możesz być pewna, że bym cię pamiętał. Gdybym choć raz usłyszał twe imię, na zawsze żyłbym jego brzmieniem.

Dziewczyna wstała ze swego miejsca na skale. Uśmiechnęła się i podała dłoń Bładuddowi.

— Nazywam się Suverenność — powiedziała. — Długo cię szukałam, Bładuddzie.

Pozbawiony wszelkich skaz Bładudd przechylił głowę na bok.

— Imię jak żadne inne — powiedział. — Pasuje jednak do ciebie wyjątkowo. — Potem ujął jej ciepłą dłoń. Jej dotyk napełnił go rozkoszą. — Pani — rzekł — czy zechcesz udać się ze mną do mego domu?

— A ja już zaczynałam podejrzewać, że nigdy o to nie spytasz — odparła urocza panna. Wskazała wierzbę, pod którą stały dwa spętane konie. Księżę bez skazy i piękna panna pojechali razem do królestwa Rhuda Hudibrasa.

Gdy ojciec ujrzał syna przywróconego do dawnej postaci, rozpląkał się ze szczęścia, tak wielka była jego radość. Rozkazał wydać ucztę, aby uczcić jego powrót.

— Jesteś uzdrowiony, mój ukochany synu!—zawołał król przez łązy. — Opowiedz, jak to się stało.

Szczęśliwy księżę opisał wszystko, co wydarzyło się od czasu, gdy po raz ostatni siedział ze swym ojcem pod tym samym dachem:

siedem lat samotnego wygnania, przybycie gościa, kąpiel w leczniczym błocie, staw, pojawienie się dziewczyny. Król Rhud wysłuchał opowieści, kręcąc głową i dziwując się wszystkiemu, co usłyszał.

— Poprosiłem więc tę pannę, aby towarzyszyła mi do mego domu — zakończył Bładudd — i oto ona. — Skierował swe pełne miłości spojrzenie na dziewczynę i powiedział: — Mam nadzieję, że zechce zostać ze mną na zawsze. Albowiem nie myślę, abym mógł żyć bez niej choć jeden dzień.

— Zostanę z tobą, Bładuddzie — odparła panna.

— A czy mnie poślubisz? — zapytał Bładudd z walącym sercem.

— Poślubię cię, Bładuddzie — przyrzekła panna. — Urodziłam się dla ciebie, a ty dla mnie — choć mogłeś o tym nie wiedzieć.

Tak więc Bładudd i najpiękniejsza w całej krainie panna wzięli ślub jeszcze tego samego dnia. I tego samego dnia Bładudd został królem. Albowiem, gdy ojciec zobaczył, jak mądry i dobry stał się jego syn i jak mądra i piękna jest jego żona, zdjął złoty torques, zwołał wodzów i lud. Przywołał Mistrza Pieśni i do zgromadzonego tłumu zawołał:

— Posłuchajcie mnie wszyscy! Nie będę już dłużej królem! — Lud począł lamentować, gdyż był on władcą dobrym i wspaniałym. — Do ciebie należy wybór tego, który obejmie po mnie władzę — zwrócił się do swego barda. — Wybierz mądrze i niech twój wybór będzie dobry.

Bard i zgromadzeni ludzie naradzali się chwilę, a król czekał. Gdy minął stosowny czas, zapytał:

— A zatem? Co postanowiliście?

Bard, wyraziciel ludu, odparł podniosłym głosem:

— Wiemy, że nigdy nie znajdziemy władcy tak wspaniałego i dobrego jak ty, ale skoro rzekłeś, że musisz przestać być królem — czego będziemy długo i gorzko żałować — wybieramy Bładudda. Niech on nam będzie ochroną i mieczem sprawiedliwości!

Rhud promieniał ze szczęścia, gdyż jego lud dobrze odczytał jego myśli. Mistrz Pieśni nałożył złoty torques, symbol królewskiej władzy, na szyję Bładudda. Od tego dnia Bładudd rządził mądrze i do-

brze. Jego gorące umiłowanie Prawdy i jego żona, Suwerenność, zawsze przy nim stały — i we wszystkim się Bładuddowi wiodło.

Na tym kończy się opowieść o Oszepeconym Księżciu. Wysłuchał jej, kto chciał.

Ostatnie dźwięki harfy długo jeszcze unosiły się w gaju. Usiadłem znowu na swym miejscu przy ognisku, odłożyłem harfę i napiłem się. Słyszałem, jak w gaju cisza robiła się coraz głębsza, w miarę jak noc naciągała na nas swój płaszcz, przygarniając nas do ciemnego serca.

W końcu Gofannon poruszył się, wydając cichy pomruk.

— Uszczęśliwił mnie dar twej pieśni i nie mniej — dar waszego wspaniałego towarzystwa.

— To my powinniśmy ci podziękować, panie — odparłem. — Twe jadło i napoje są dla nas ratunkiem.

— Też coś! — powiedział niecierpliwie olbrzym. — Mięso i picie zaspokajają tylko na krótki czas. Ale dar, którym wy obdarzyliście mnie, pozostanie ze mną i będzie dla mnie pociechą wszędzie, dokądkolwiek pójdę. W uznaniu twych zasług nagrodzę cię: obdaruję cię mocą twej pieśni.

— Wielki Panie Gofannonie — powiedziałem — cieszyliśmy się twą szczodrością, twą uprzejmością i twym towarzystwem. Już otrzymaliśmy więcej, niż moglibyśmy prosić.

— A jednak — odparł olbrzym — jeszcze lepiej was nagrodzę za to, że służyliście mi dzisiejszej nocy. — Usłyszałem szelest i głos olbrzyma rozległ się wysoko nade mną. — Teraz pójdziemy spać — powiedział. — Odpocznijcie w pokoju przy mym ogniu. Nie martwcie się niczym. Żaden wróg nie zakłóci wam spoczynku; nic nie będzie was niepokoić w moim gaju.

Głos oddalał się, cichnąc, i uświadomiłem sobie, że pan tego gaju odchodzi do swej jaskini. Jeszcze raz dobiegł nas jego głos.

— Moja nagroda spotka was we właściwym czasie — powiedział. — Czuwajcie, abyście byli gotowi na jej przyjęcie.



## 12. Druim Vran

— Dał ci ją — powiedział Llew. — Chciał, abys ją miał.

Czułem pokusę. Nigdy nie miałem takiej harfy.

— Czy zostawił coś jeszcze? — zapytałem.

Llew milczał przez chwilę, rozglądając się po obozowisku.

— Nie — powiedział. — Tylko harfę. Nie ma kadzi na piwo, pucharów, a nawet resztek jedzenia. Wszystko zniknęło oprócz harfy. Jest twoja, mówię ci. Ma nawet pasek.

Po przebudzeniu stwierdziliśmy, że gaj opustoszał, mistrz kowalstwa odszedł. Ale zostawił harfę. Być może, jak utrzymywał Llew, Gofannon uczynił to z myślą o mnie. Jednakże osoba naszego olbrzymiego gospodarza zaczynała budzić moje wątpliwości.

— Weź ją ze sobą, Tegidzie—nalegał Llew. — Przecież jej tutaj nie zostawisz.

— Masz rację, bracie — uległem w końcu. Chwyciłem harfę za pasek i zarzuciłem sobie na plecy. — Chodźmy.

Po cichu, aby nie zakłócać spokoju nemetonu, powlekliśmy się dalej — Llew prowadził, a ja szedłem tuż za nim z lewą ręką na jego ramieniu. W prawej trzymałem jesionowy kij, którym badałem drogę. Nie wróciliśmy do miejsca obozowiska z poprzedniego dnia, ale mszyliśmy dalej szlakiem wzdłuż rzeki. Szliśmy tak długi czas. Wiedziałem, że Llew jest nieobecny duchem, więc i ja pogrążyłem się w rozmyślaniach.

Dzień był ciepły. Wędrowaliśmy brzegiem, gdzie łatwiej się szło. W południe zatrzymaliśmy się, by napić się wody z rzeki. Potem usiedliśmy na trawiastym brzegu, i odpoczywaliśmy.

— Zeszłej nocy po raz pierwszy od... — zawahał się — odkąd Meldron... po raz pierwszy nie czułem bólu.

Wówczas zdałem sobie sprawę, że moja rana też przestała mnie już palić. Dotknąłem dłonią zabandażowanych oczu. Nadal były czułe, ale ból zniknął.

— Wygląda na to, że Gofannon obdarował nas, jak obiecywał — zauważył Llew.

— Nie myślę, aby to był Gofannon — powiedziałem, bardziej do siebie niż do Llewa.

— Co?

— Pojawił się pod postacią Gofannona — odparłem — ale myślę, że to nie Mistrz Kuźni ucztował z nami tej nocy.

— A zatem kto?

— Inny pan, jeszcze większy i bardziej sędziwy. Być może... Dobra Ręka.

— Zastanawiam się — odparł Llew w zamyśleniu. — Nie widziałeś go, gdy śpiewałeś. Ale ja go obserwowałem. On się zmienił, Tegidzie. Przedtem spoglądał na nas srogo. Ale gdy przysłuchiwał się twojej pieśni, jego twarz przybrała zupełnie inny wyraz. Mówię ci, bracie, on się zmienił.

— Naprawdę?

— Gdybyś go widział, przyznałbyś mi rację. Gdy skończyłeś, nie mógł wydobyc z siebie głosu. Tak jak i ja. Zawsze dobrze śpiewałeś, Tegidzie. Ale ostatniej nocy... — Llew przerwał, szukając odpowiednich słów. — Ostatniej nocy śpiewałeś jak sam Phantarch.

Zamyśliłem się nad jego słowami. Wydało mi się, że gdy śpiewałem, mogłem widzieć. Z pieśnią na ustach, ze słowami płynącymi z warg, nie byłem już ślepy. Gdy śpiewałem, widziałem przed sobą wyraźnie świat — tak jakby mą ciemność rozświetlił blask pieśni, jakby wizja pieśni stała się mym wzrokiem.

Powędrowaliśmy dalej, coraz głębiej pomiędzy lesiste wzgórza Caledonu. Ziemia pod stopami zaczęła się wznosić, pnać się ku górskim szczytom coraz bardziej stromymi zboczami wzgórz, które przedzielały coraz głębsze rozpadliny. Rzeka zwężyła się, stała się bardziej bystra i bardziej hałaśliwie toczyła swe wody. Llew dobrze prowadził: był mymi oczyma.

Pomimo to, w miarę jak wznosił się nasz szlak i gęstniał las, tempo naszej wędrowki spowolniało do nużącego pełznięcia. Aby odwieść myśli od tego katorżniczego marszu, rozmawialiśmy o ziemi, zmianie pór roku i o ruchu słońca po czaszy niebios. Dyskuto-

waliśmy o gwiazdnych konstelacjach: Ćwieku Niebios, Wielkim Branie Błogosławionym\*, Pługu, Odyńcu i Niedźwiedziu, Siedmiu Pannach, Arianrhod\*\* od Srebrnego Koła i wszystkich innych. Zagłębialiśmy się w prastarej i świętej mądrości. Rozmawialiśmy o sprawach tajemnych i dobrze znanych; o tym, co widać, i czego nie widać: o mocy powietrza i ognia, wody i ziemi; zasadach i prawdach: prawdzie, honorze, lojalności, przyjaźni i sprawiedliwości. Rozprawialiśmy o wielkich królach i wodzach, mądrych i głupich przywódcach. Wiele też mówiliśmy o sprawowaniu królewskiej władzy — prawie władania ludźmi i narodami, tajnikach sprawiedliwego osądu, świętym nakazie suwerenności.

Podobnie jak poprzednio, Llew chwycił wszystko w lot. Miał nieograniczone możliwości pojmwania. Llew miał pamięć barda. Uczył się, zapamiętywał. Jego wiedza rozrastała się niczym drzewo, którego korzenie natrafiły na ukrytą pod ziemią wodę — a ono rozpościerało szeroko swe konary, wyrastając ponad cały las. Ollathir powiedziały, że stawał się dębem wiedzy.

Wiele z tego, o czym mu mówiłem, rozumieli jedynie bardowie. Cóż z tego jednak? W Albionie nie było już bardów, a wiedza, niczym ogień, rozrasta się, gdy się nią dzielić.

Choć wiedza jego rosła, nie wznieciła jednak iskierki awenu, nie dostrzegłem błysku ukrytej w nim jasności. Awen Ollathira pozostawał w ukryciu, nadal czekając na objawienie.

Żywiliśmy się tym, co mogliśmy znaleźć, toteż głód był naszym stałym kompanem. Nie cierpieliśmy natomiast z pragnienia, gdyż mogliśmy pić do woli zimną wodę z rzeki. Wychudliśmy z niedożywienia i stwardnieliśmy od trudów szlaku. Dotkliwy niedostatek zbliżył nas do siebie i zespolił nasze dusze. Llew i ja staliśmy się duchowymi braćmi, krewnikami połączonymi więzami silniejszymi niż krew.

Pewnego dnia, po wielu dniach wędrówki obudził nas deszcz

\* Bran — syn Hydra, opatrzony przydomkiem Bendigeit, czyli Błogosławiony, dobrotliwy bóg z walijskiego cyklu mitologicznego (przyp. tłum.)

\*\* Arianrhod — w mitologii walijskiej przepiękna bogini, matka Llewa Llawa Gyffesa (przyp. tłum.)

i wiatr od północy. Skryliśmy się pod drzewami, czekając, aż przestanie padać. Deszcz lał jednak cały dzień, a gdy w końcu ustał i chmury rozeszły się, było już za późno na dalszą wędrówkę. Uszliśmy jednak kawałek, aby zobaczyć, co jest przed nami.

— Jesteśmy na wzgórzu nad głęboką doliną — powiedział Llew. — Wzgórze po przeciwnej stronie doliny jest wysokie — wyższe od tego, na którym stoimy.

— A co jest zanim?

— Nie widzę — tworzy ścianę, wysoką i stromą. Trudno będzie się po nim wspiąć. Być może lepiej by było, gdybyśmy poszli inną drogą.

Kiwnąłem głową, usiłując wyobrazić sobie rozciągający się przed nami krajobraz.

— Jakie tam są lasy?

— Sosnowe w większości, gęste — bardziej gęste w dolinach, ale na szczytach nieco rzadsze. — Przerwał na chwilę, aby przyjrzeć się temu, co ma po prawej i lewej stronie. — Zdaje mi się, że to wzgórze jest częścią większego pasma. Wygląda na to, że grzbietami biegnie droga z północy na południe. Jeśli jest tak w istocie, będziemy mogli pójść nią na południe.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę. Czy w Caledonie były jakieś stare szlaki? Możliwe, choć ja żadnego nie znałem. Wiatr zmienił kierunek, wraz z ustaniem ulewy zaczął wiać od południa. Jego podmuchy przyniosły zapach sosen, silny po całym dniu deszczu.

Wciągnąłem w płuca ten zapach i wówczas oczami wyobraźni zobaczyłem jezioro: jezioro z mej wizji. Nagle ujrzałem dolinę o stromych zboczach w głębokim lesie i wysokie sosny strzelające w błękitne, poznaczone chmurami niebo, które odbijało się w czystym, górskim jeziorze.

— O co chodzi, Tegidzie? — zapytał Llew; zaczynał się już przyzwyczajając do chwil mojej zadumy. — O czym myślisz?

— Wdrapmy się na szczyt.

Llew nie powiedział nie.

— Niebawem się ściemni. To wysoko i pewnie będzie ciemno, nim dotrzemy na szczyt.

— Dla mnie to bez różnicy.

Llew trącił mnie łokciem.

— Żart, Tegidzie? Po raz pierwszy uczyniłeś ze swej ślepoty światło.

— Światło ślepoty? Czy ty się uważasz za barda, aby mówić takim zagadkami?

— To twoja wina, bracie — nabiłeś mi głowę swymi opowieściami. — Zadumał się nad czekającym nas szlakiem i westchnął. — A zatem chodźmy.

Ze zbocza zeszedliśmy bardzo szybko. Wspinaczka zajęła nam o wiele więcej czasu. Llew spieszył się, na ile pozwalał mu zapadający mrok. Beze mnie mógłby poruszać się szybciej, ale nie o wiele. I choć powiększające się siniaki na mych goleniach mogły temu przeczyć, coraz lepiej radziłem sobie ze znajdowaniem drogi przy pomocy laski. Mogłem poruszać się względnie szybko.

W miarę jak zbocze stawało się bardziej strome, wskazówki Llewa robiły się bardziej zwięzłe; odzywał się tylko w razie potrzeby pokierowania mną. A ja zastanawiałem się, czy on wie, jak dobrze i w jak naturalny sposób przewodzi. Czy to różniło się tak bardzo od prowadzenia ludu? Czyż w znacznej mierze przewodnictwo na szlaku — wybieranie szlaku, decydowanie o najbezpieczniejszej drodze, dodawanie pewności krokom słowami pociechy, prowadzenie, wysuwanie się do przodu, ale nie za daleko — nie było tym samym, co sprawowanie królewskiej władzy?

— Jeszcze tylko kawałek! — zawołał Llew z góry. — Już prawie doszedłeś.

— Co widzisz? — zapytałem.

— Miałem rację co do tego pasma — odparł. Odszukał ręką me ramię i przyciągnął mnie. — Widok stąd fantastyczny, Tegidzie. Słońce już zaszło, a niebo ciągle się żarzy. Stoimy na wysokim grzbiecie. Przed nami znajduje się rozległa misa doliny, ze wszystkich stron otoczona ścianami wzgórz. Gdzieś pod nami wypływa ze zbocza strumień i wpada do jeziora w środku doliny. Z trzech stron otaczają je wysokie drzewa, a z czwartej rozpościera się łąka. Jezioro

jest zwierciadłem; widzę odbite w wodzie chmury — i gwiazdy, zaczynają się pojawiać gwiazdy. Jest po prostu piękne — zakończył. — Żałuję, że nie potrafię opisać tego lepiej. Szkoda, że nie możesz go zobaczyć.

— Widziałem je — powiedziałem. — Jest piękne.

— Znasz to miejsce?

— Nigdy tu nie byłem — wyjaśniłem. — Czuję jednak, że to właśnie miejsce widziałem w swej wizji.

— Twoja wizja w łodzi, przypominam sobie! — Głos przesunął się, gdy Llew ponownie skierował wzrok ku jezioru. — Co tu jeszcze widziałeś, Tegidzie?

Sięgnąłem pamięcią do tamtej sztormowej nocy i przywołałem pozostałości swej wizji.

— Widzę jezioro... widzę twierdzę, wysoką, drewnianą i mocną... I widzę niezrównaną armię — wiele setek zgromadzonych wokół tronu ustawionego na pagórku—powiedziałem, przywołując obrazy. — Widzę...

— Nie, chodzi mi o to, abyś je opisał w szczegółach. Bądź dokładny.

Skupiłem się, zatrzymując obrazy w myślach.

— Widzę — zacząłem powoli — kępę sosen na szczycie grzbietu z prawej strony. Zbocze jest strome i gęsto porośnięte drzewami, wyrasta z bliższego brzegu jeziora.

— Mów dalej.

— Jezioro jest dłuższe niż szersze; rozciąga się prawie na całą długość dna doliny. Las otacza je z trzech stron, i tak jak powiedziałeś, rozległa łąka rozpościera się z czwartej.

— A co powiesz o tej łące?

— Tworzy równinę pomiędzy jeziorem a wzgórzami, równinę doskonale osłoniętą, ponieważ grzbiety wzgórz wznoszą się ostro, tworząc na jej drugim krańcu ochronny mur.

— Co jeszcze?

— Brzegi jeziora są kamieniste; kamienie są czarne, wielkości głowy. Z lasu nad jezioro biegną liczne szlaki dzikiej zwierzyny.

— To zdumiewające — przyznał Llew. — Niewiarygodne. Jest dokładnie tak, jak opisałeś. — Klepnął mnie po plecach. — Zejdźmy nad jezioro. Rozbijemy tam obóz.

— Ale mówisz, że się ściemnia. Jak wypatrzysz drogę?

— Nie widzę drogi — odparł beztrąsko. — Już teraz jest za ciemno. Niepotrzebne mi jednak światło, abym widział drogę, gdyż ty mnie poprowadzisz.

— Kpisz sobie ze mnie?

— W końcu tobie i tak wszystko jedno, czyż nie? — zapytał Llew. — Oczy duszy zaprowadzą cię do wyznaczonego miejsca. Nie zbłądzimy. Nie postawimy źle stopy.

Wówczas rozległo się krakanie kruka. Nadstawiłem ucha i usłyszałem krakanie w odpowiedzi — a potem następne. Wkrótce szczyt wzgórza rozbrzmiewał skrzekliwym jazgotem. Kruki gromadziły się na drzewach na noc.

— Słyszysz? — zapytał Llew.—Strażnicy tego miejsca podziewają nas. Chodź, barcie, będziemy tam mile widziani.

Staliśmy na szczycie Druim Vran, Pasma Kruków... To jest miejsce, które widziałem, pomyślałem, i ponownie usłyszałem przepowiednię banfaith: Szczęśliwy będzie Caledon; Stado Kruków sfrunie do jego cienistych dolin, a pieśń kruków będzie jego pieśnią.

Llew powiedział prawdę. Zwróciłem się w myślach ku wizji, którą zostałem obdarzony. I rzeczywiście! Widziałem ścieżkę biegnącą pod naszymi stopami —jak w pełnym blasku dnia.

— Dobrze — rzekłem. — Sprawdźmy moją wizję. Razem zejdziemy na dół.

Poprawiłem harfę i śmiało ruszyłem. Moja noga stanęła na ścieżce, którą widziałem oczami wyobraźni. Zrobiłem następny krok i jeszcze dwa kolejne. Ku memu zaskoczeniu, ścieżka widziana oczami wyobraźni nieznacznie się przesunęła. Zobaczyłem wąski szlak opadający stromo przede mną — koryto strumienia pełne splątanych korzeni i luźnych kamieni, bardziej suche niż ścieżka. Niebezpieczna w blasku dnia, w ciemności będzie dla Llewa zdradliwa.

Zrobiłem jeszcze kilka kroków.

— Szlak tu opada stromo — przestrzegłem go, opisując, co widziałem oczyma wyobraźni. — Połóż mi rękę na ramieniu. Pójdziemy wolno.

Llew zrobił, o co prosiłem, i wspólnie rozpoczęliśmy długą, katorżniczą wędrówkę w dół. Cały zamieniłem się w skupienie; pomimo chłodnej nocy pot spływał mi z czoła i karku. Każdy krok był próbą wiary, każdy krok był odnowieniem ślubów — wcale nie łatwiejszym przez to, że poprzedni się powiódł.

Schodziliśmy w dół i w dół, podążając krętą ścieżką. W przeciwieństwie do zuchwałego zapewnienia Llewa, rzadko stawialiśmy stopy we właściwym miejscu: potykaliśmy się o kamienie, zawadzaliśmy o wystające korzenie, osuwaliśmy na luźnym żwirze, a gałęzie z zarośli po obu stronach szarpały nas. Nie zwracaliśmy jednak uwagi na te drobne niedogodności i z uporem parliśmy przed siebie.

— Tegidzie, jesteś cudotwórcą — wysapał z ulgą Llew, gdy znowu stanęliśmy na równym gruncie. Poszliśmy jeszcze kawałek, do miejsca z widokiem na jezioro. Drzewa rosły tu wysokie; znaleźliśmy sobie miejsce pod osłoną gałęzi i osunęliśmy się na grubą warstwę sosnowego igliwia. — Jestem zmęczony — powiedział ziewając. Chwilę później już spał.

Ja także byłem zmęczony, ale mój umysł wrzał z podniecenia. Ślepy zszedłem zdradzieckim szlakiem! Wiedziony jedynie oczyma wyobraźni, pokonałem niewidoczną ścieżkę. Czułem, jak nowo odkryta moc strzela we mnie niczym świeżo wzniecony płomień. Moc widzenia, jaką mnie obdarzono, była prawdziwa!

Nadal byłem ślepy, ale odkryłem nowy sposób widzenia. I zdało mi się, że umiejętność widzenia, którą teraz posiadałem, była większa od tej, jaką miałem przedtem. Wzrok! Nieograniczony więcej niedostatkiem światła czy odległością. Wzrok! Skoro potrafię widzieć za najdalsze horyzonty, to może mógłbym również zajrzeć w przyszłość... w sfery tego, co dopiero będzie?

Nie spałem. Jakżeby mógł? Siedziałem zawinięty w swój płaszcz, wpatrzony oczyma wyobraźni w jezioro takie, jakie było, i takie, jakie może będzie. Nastroiłem harfę i śpiewałem, jeszcze raz oddając swój głos wizji, która we mnie płonęła. Dobrotliwy Bóg jest



Wszchemogący; niech wszyscy ludzie oddają mu cześć i przysięgną na zawsze wierność Jedynemu, który wszystko podtrzymuje swą Zręczną Ręką.

### 13. Osada na wyspie

Rozbiliśmy obóz na polance pomiędzy sosnami rosnącymi na zboczu nad jeziorem. Pierwszego dnia Llew schwytał dwie ryby w pułapki ze splecionego sitowia ukryte w wysokich wodorostach.

Tego wieczoru, gdy Llew piekł nad ogniem swą zdobycz, rozmawialiśmy o tych wszystkich wydarzeniach, które przyprowadziły nas do tego miejsca. Roztrząsaliśmy znaczenie wizji i tego, jak może zostać spełniona. A potem, nadal mając ją przed oczyma duszy, posililiśmy się i jeszcze chwilę rozmawialiśmy.

Później jednakże, gdy usadowiłem się z mą harfą i zacząłem ją stroić, Llew schwycił mnie za nadgarstek i powstrzymał.

— Tegidzie — odezwał się nagłym tonem — chcę coś zrobić.

— Co chcesz zrobić? — zapytałem.

— Nie możemy tu tak siedzieć — ciągnął dalej — bo nic się nie wydarzy. Musimy sprawić, aby coś się wydarzyło. Myślę, że powinniśmy zrobić początek.

— A co chcesz uczynić? Powiedz mi, a zrobimy to.

— Nie wiem — przyznał. — Ale coś wymyślę.

Nie powiedział już potem na ten temat nic więcej. Następnego ranka obudził się o świcie i opuścił obóz. Ja przebudziłem się później i odszukałem drogę nad jezioro, mając nadzieję, że Llew tam jest. Ale tam go nie było.

Umyłem się, stojąc po pas w jeziorze i opryskując się zimną wodą. Gdy wychodziłem na brzeg, usłyszałem głucho dudnienie. Ponowne rozległo się, gdy się ubierałem. Odwróciłem się w kierunku dźwięku.

— Llew? — zawołałem. Potem głośniej: — Llew! Gdzie jesteś?

— Tutaj! — padła odpowiedź. — Tutaj!

Poszedłem za jego głosem. Llew stał na szerokiej łące nad jeziorem.

— Co to był za dźwięk? — zapytałem.

— To było to — powiedział i włożył mi w dłonie duży, ciężki przedmiot. Był krągły, gładki i zimny w dotyku.

— Czemu nosisz kamienie?

— Wytyczam nasz ker — odparł, podnosząc następny. — To są kamienie graniczne.

Najwyraźniej naznosił znad jeziora całą stertę kamieni. Teraz chodził po obwodzie swej przyszłej twierdzy i znaczył kamieniami przebieg jej murów. Obeszliśmy razem cały obwód i pokazał mi, gdzie je rozmieścić.

— Dobrze — powiedziałem. — Ale to bard powinien wybrać miejsce na budowę twierdzy. Tym bardziej, jeśli ma to być rezydencja króla.

— Nie jestem królem — warknął. — Zapominasz o tym, Tegidzie. Jestem okaleczony. W tym świecie lud nie przyjmie przewodnictwa kaleki. Taka jest prawda!

— Tak — przyznałem. — Tak to już jest! Jednakże Dobrotliwy Bóg jest Wszechmogący...

— Dość! Nie chcę tego słuchać.

— A jednak wysłuchasz! — upierałem się. — Zręczna Ręka naznaczył cię, wybrał cię w ten sposób. Do ciebie jednak należy teraz wybór: pójść dalej lub zawrócić. Nie ma innej drogi. Jeśli pójdziesz dalej, może objawi się więcej.

— Wybranie mnie nie ma sensu. Nic z tego nie ma sensu.

— Już ci mówiłem — to tajemnica.

— I nadal przy tym obstajesz?

— Obstaję — odparłem.

— Dlaczego? Skąd masz taką pewność?

— Wcale nie jestem pewny — powiedziałem. — Nic nie jest pewne. Chcesz pewności?

— Tak!

— A zatem chcesz śmierci.

— To dla mnie trudne, Tegidzie!

— Tak, to jest trudne. To nie jest łatwe. Życie jest srogie i bezlitosne. W końcu wybierzesz — tę czy inną drogę. Nikt nie ucieknie przed wyborem.

— Nie ma sensu z tobą dyskutować! — krzyknął, a jego głos poniósł się echem po wodzie niczym krzyk ptaka.

— Ścieżka ukazuje się, gdy nią stąpasz — powiedziałem.

— Mówisz jak... jak bard — odparł kwaśno.

— Bard, który nie potrafi przekonać, że zostaliśmy przywiezieni w to miejsce celowo. A Jedyne, który nas tu sprowadził, nie zobaczy niepowodzenia swego zamysłu.

— On się już nie powiódł! Ja ci wierzę, Tegidzie!

Och, jakże głęboki przepętniał go ból. Teraz zdałem sobie z tego sprawę i zrozumiałem, że strata ręki była najmniej ważnym tego powodem. Była w nim ogromna gorycz, niczym zatrute źródło sączące się w jego duszę. Dzielnie znosił cierpienia, lecz im dzielniej je znosił, tym bardziej go zużyły. To tłumaczyło jego wczorajszą niecierpliwość, a także pospieszne noszenie kamieni.

— Mówię prawdę, to tajemnica...

— Prześtań! — ryknął, rzucając kamień. — Nie mów mi więcej o swoich tajemnicach, Tegidzie — i nie mów więcej o królowaniu. Nie chcę tego słuchać!

Stał, a wszystko w nim wrzało. Czujęm bijący ku mnie żar jego gniewu.

— Na co to wszystko? — mruknął; wyrwał mi kamień z rąk i odrzucił daleko. — Nie mamy nawet narzędzi do ścięcia wierzby witki, a co dopiero do zbudowania czegokolwiek. Gdybyśmy mieli, nie zostalibyśmy tutaj, wróciłibyśmy na Sci, gdzie nasze miejsce. To beznadziejne i mam już tego powyżej uszu.

Długo staliśmy w milczeniu. Słońce grzało nam plecy, lekkie wietrzyk poruszały gałęziami sosen. W oddali, na Druim Vran, usłyszałem skrzek kruka. Llew nie ma racji, pomyślałem. To jest nasze miejsce.

— To nie jest beznadziejne — powiedziałem — niemożliwe, być może, ale nie beznadziejne.

— Bardowie... — mruknął Llew. — Nie możemy tu zostać, Tegidzie. Nic tu po nas. Jeśli nie możemy dostać się na Sci, to wyruszymy na południe, do Galanae. Być może lud Cynana nas przyjmie. Słyszysz mnie? — zapytał, gdy nie odpowiedziałem.

Wyczułem kamień pod stopą, a przedtem drżenie ziemi, gdy go cisnął.

— Słyszę cię — powiedziałem. — Masz rację.

— Powinniśmy ruszyć na południe?

— Powinniśmy zrobić początek. Ale nie tutaj.

— A co za różnica? — zapytał ponuro.

Odwróciłem się ku jezioru, a wtedy otworzyły się oczy mojej wyobraźni i ujrzałem twierdzę; zobaczyłem, gdzie powinna stać.

— Na jeziorze, tak — powiedziałem mu. — Ale nie tutaj. Tam.

— Jesteś szalony.

— Być może. — Ruszyłem w kierunku jeziora.

— W wodzie?

— Tak.

— Na jeziorze?

— To będzie *crannog* — wyjaśniłem.

— Crannog?

— To siedlisko zbudowane na sztucznej wyspie z drewna, kamieni i które...

— Wiem, co to jest — przerwał mi niecierpliwie Llew. — Ale skoro nie potrafimy wznieść prostej ziemianki na łące, to jak zbudujemy twierdzę na jeziorze?

Gdy to mówił, moja wizja zmieniła się i ujrzałem obraz crannogu takiego, jakim będzie.

— Nie tylko twierdzę — odparłem. — Miasto.

Twierdza, którą widziałem, była tak wielka jak sama Sycharth. Znajdowała się na wyspie z ziemi i drewna na środku jeziora—i nie była to pojedyncza wyspa, ale gromada mniejszych wysepek, połączonych mostami i groblami, które tworzyły większą twierdzę, ker zbudowany na wodzie: owalne chaty z łożyny oblepionej gliną, zagrody, spichlerze, składy, a na pagórku na środkowej wyspie ogromna drewniana hala dla wodzów.

Widziałem dym unoszący się z kuchni i paleniska hali. Widziałem owce, bydło i świnie w zagrodach crannogu, a także na rozległej polanie, gdzie pola obsiano zbożami. Wiele dziesiątków łodzi, dużych i małych, przecinało wodę wokół keru na wyspie, dzieci pływały i bawiły się, kobiety łowiły na płycznach.

Widziałem to wszystko i zobaczyłem jeszcze więcej. Opowiedziałem o tym Llewowi, opisałem tak, jak to widziałem.

— Chciałbym to zobaczyć — rzucił i wyczułem, że jego gorycz słabnie. Llew zaniósł kamień, który trzymał w zagięciu swej rannej ręki, nad jezioro i cisnął go do wody. Usłyszałem plusk.

— Tam! — zawołał. — Zrobiłem początek. Jak nazwiemy to twoje wodne miasto?

— Już je nazwałeś — powiedziałem, podchodząc do niego. — Dinas Dwr — Wodne Miasto — niech więc się tak nazywa.

Llewowi spodobała się ta nazwa i rzucił następny kamień do wody.

— Budowa Dinas Dwr rozpoczęta! — zawołał. — Jeśli mam być szczerzy, mam nadzieję, że Wszechmocny Dagda ześle nam łódź, inaczej bowiem będziemy tak budować całą wieczność.

— Ja zobaczyłbym chętnie coś więcej oprócz łodzi. Armię budowniczych i rzemieślników. To nie będzie zwyczajne miasto, bracie. To będzie schronienie dla wielu i drogowskaz na północy dla całego Albionu.

Jakiś czas siedzieliśmy na kamienistym brzegu jeziora, dyskutując o tym, jak crannog powinien być skonstruowany. Opisałem mu sposoby i rodzaje budowania, zalety w czas niepokoju i ograniczenia wynikające z nietypowego położenia. Llew słuchał wszystkiego uważnie, a gdy skończyłem, wstał.

— Nie dokonamy tego wielkiego dzieła, żywiąc się korzonkami, korą, rybkami i ptaszkami — oznajmił. — Ramionom dźwigającym głazy i bale potrzeba mięsa.

— Co proponujesz?

— Proponuję znaleźć kilka młodych jesionów i zrobić włócznie, abym mógł polować — odparł. — Las pełen jest zwierzyny — musimy ją schwytać.

— Tak, ale... — zacząłem.

Przerwał mi.

— Wiem, o czym myślisz. Ale Scatha zawsze wpajała nam, że ten, kto walczy jedną ręką, jest tylko w połowie wojownikiem. Na Ynys Sci uczyliśmy się władania bronią obiema rękami.

— Nigdy w ciebie nie wątpiłem.

— To może wymagać pewnych ćwiczeń — przyznał — ale nie martw się, odzyskam wprawę.

— A jak zetniesz i obrobisz te jesionki? — zastanawiałem się.

— Krzemieniem — odparł. — Na szczycie i zboczach jest krzemień. Możemy z niego zrobić siekiery i skrobaki, i ostrza do włóczni — ile tylko zechcemy.

Tak więc następny dzień spędziliśmy na zbieraniu i obrabianiu krzemienia na potrzebne nam ostrza. Pracować na wycucie było łatwiej, niż myślałem i wkrótce byłem bardzo wydajnym producentem kamiennych ostrzy, ostrych, choć nie tak wytrzymałych jak żelazne. Nie mieliśmy skóry na rzemienie, którymi przymocowaliśmy je do drewna, powyciągałem więc nitki z brzegów naszych płaszczy. Splotłem nici po trzy, a potem znowu po trzy: trzy trójki, liczba zadowalająca i gwarancja wytrzymałość.

W czasie gdy ja splatałem linę, Llew wyszukał solidny dębowy konar na drzewce do siekiery. Był krótki, rozdwojony i mocny. Przywiązałem do niego ostrze siekiery.

Llew wypróbował narzędzie na kawałku polana.

— Nada się — oznajmił, ważąc siekiere w dłoni. — Teraz trzeba tylko znaleźć dobry, prosty jesion.

— Znajdziesz ich do woli na wschodnim skraju grzbietu — powiedziałem.

— Widziałeś to?

— Nie, ale w takich właśnie miejscach rosną drzewa.

Llew zniknął na resztę dnia. Wrócił tuż przed zmierzchem nie z jednym czy dwoma, ale z sześcioma pięknymi, prostymi jesionowymi młodniakami. Cztery był zielone, dwa suche, okorowane na zboczu. Miały obcięte wierzchołki i gałęzie, były gotowe do obrabiania krzemienym skrobakiem, który w tym celu zrobiłem.

Z jednego z nich zrobił mi łaskę. Była dłuższa od poprzedniej i cieńsza. Ale ślepcowi łatwiej będzie się nią posługiwać, uznałem.

— Przykro mi, że to nie jarzębinowa łaska — powiedział Llew. — Będzie musiała ci służyć, dopóki nie znajdę lepszej.

Powiodłem palcami po gładkiej krągłości drewna. Dobrze się spisał, strugając i wygładzając drewno tymi prymitywnymi narzędziami. Pochwaliłem go.

— Dobrze się spisalesz, Llewie. To doskonała łaska. Nie chcę innej.

Następnego dnia, gdy Llew ostrugiwał drzewce, ja skończyłem ostrze do włóczni i splotłem następny powróż do jego umocowania. Dzień dobiegał końca, gdy skończyliśmy pracę.

— Jutro zjemy mięso — oznajmił Llew, żując kawałek korzenia ślazu. Po chwili zaś dodał: — Gdybyśmy tylko mieli odrobinę soli!

— Jesteśmy zbyt daleko od morza, ale w tych lasach pełno jest ziela cząbrku. Nazbieram go trochę, gdy pójdziesz na polowanie,

— Przygotuj ognisko. Wrócę z naszą kolacją — obiecał.

W dobrej wierze składał tę obietnicę, ale to nie odyńca czy jelenia przyniósł do upieczenia — a jedynie wiewiórkę. Llew był tym bardzo rozczarowany i powiedział, że lepiej spożytkowałby ten czas, łowiąc ryby.

— Jelenie umykają za szybko — mruczał, gdy czekaliśmy, aż wiewiórka skończy się piec. — Uciekły, nim się przymierzylem do rzutu. Bez konia nigdy ich nie dogonię. A dziki są groźne dla pieszego myśliwego. — Dumał nad tym przez chwilę, po czym powiedział: — Aby upolować jelenia albo dziką, musiałbym wspiąć się na drzewo i tam czatować na zwierzynę.

— Lepiej odszukaj ścieżkę do wodopoju — zasugerowałem. — Prawdopodobnie cała zwierzyna po tej stronie wzgórz przychodzić do jeziora. Znajdź to miejsce, a będziesz mógł tam się zasadić.

Następnego ranka Llew pospieszył nad brzeg jeziora w poszukiwaniu wodopoju. Ja tymczasem wziąłem nową łaskę i poszturchując nią to tu, to tam, zacząłem myszkować w pobliskim lesie. Znalazłem zapasy orzechów jakiegoś zapobiegliwego zwierzątka i zawiąłem je w liście.

Llew wrócił w południe i powiedział, że znalazł wodopój i ścieżkę biegnącą do niego z lasu.

— Zachodni brzeg schodzi nisko, las jest tam gęsty, a jezioro płytkie. Po śladach widać, że bywają nad nim jelenie i dziki. A nie dalej niż sto kroków od wodopaju jest sosna, na którą mogę się wspiąć — jest stara i wielka i mało pod nią zasłaniającego widok poszycia. Ślady przebiegają pod jednym z dużych konarów, z którego może uda mi się celny rzut. Życz mi szczęścia, Tegidzie.

— Niczego bardziej ci nie życzę — powiedziałem. — Czyżbyś wyruszał już teraz?

— To najlepsza pora. Chcę być na miejscu przed zapadnięciem nocy, aby mój zapach zdążył się rozproszyć.

— Idź zatem i weź to z sobą — podałem mu zawiniątko z liści. — Powodzenia w łowach.

Llew wziął zawiniątko, a ja czekałem przez resztę dnia. Księżyc wszędzie późno — długo po zapadnięciu zmroku. Nie spodziewałem się, by wrócił przed świtem. Pomimo to doglądałem w nocy ognia, aby mógł odnaleźć drogę na wypadek, gdyby wrócił jeszcze po ciemku.

Gdy nadeszła noc, wziąłem harfę i zacząłem grać. Kopułę nocy wypełnił słodki śpiew strun — niczym blask ogniska, którego nie widziałem. Nucilem cicho, aby nie zakłócać spokoju lasu i nocy.

Kryształowe dźwięki harfy podzwaniały delikatnie w powietrzu, ogień cicho trząskał, a ja zdałem sobie sprawę z czyjejś obecności. Subtelna zmiana w powietrzu, delikatny dreszczyk podniecenia na skórze — byłem obserwowany.

Wyczułem tuż za kręgiem obozowiska gościa. Obserwował mnie. Zwierzę? Nie, nie zwierzę.

Przestałem śpiewać, ale nadal trącałem struny harfy, wsłuchując się w ciche odgłosy nocy wokół mnie. Początkowo nie słyszałem niczego, ale potem... usłyszałem przyciszony oddech.

Przestałem grać, odłożyłem harfę i powoli wstałem.

— Kto tam? — zapytałem delikatnie.

Nie było odpowiedzi — ale wydało mi się, że usłyszałem drżenie liści, jakby odsunięta gałązka wróciła na swoje miejsce.



— Wyjdź — powiedziałem, tym razem głośniejszym i bardziej nakazującym. — Zapraszam do mego ogniska.

Nadal bez odpowiedzi.

— Nie musisz się lękać. Nie skrzywdzę cię. Chodź, przyłącz się do mnie. Porozmawiamy.

I tym razem nie było odpowiedzi. Ale usłyszałem wyraźnie trzaśnięcie gałązki i szelest liści, gdy obcy oddalał się. Poczekałem chwilę... cisza. Znowu byłem sam.

Obszedłem ognisko do miejsca, gdzie znajdował się mój gość. Wsparłem się na lasce i słuchałem jakiś czas, ale niczego nie usłyszałem. Potem, gdy wróciłem do ogniska, poczułem coś u swych stóp. Pochyliłem się i podniosłem to. Przedmiot był płaski i kruchy, z ostrymi kolcami na drewnianej łodydze.

Obracałem to przez chwilę w palcach, nim zrozumiałem, co to było: gałązka ostrokrzewu.

## 14. Goście

Llew wrócił o świcie ze zdobyczą — młodym jelonkiem. Zrzucił go z pleców przy ognisku i natychmiast o nim zapomniał, podniecony chęcią opowiedzenia mi wszystkiego, co widział.

— To niewiarygodne! — wysapał. — Nigdy nie uwierzysz... Tegidzie!

Całą drogę od jeziora pokonał biegnąc i dźwigając koziołka, więc teraz po wspinaczkę do obozu brakowało mu tchu w piersiach.

— Musiałem czuć... — Łapczywie nabrał powietrza. — Inaczej spadłbym... z drzewa... Zmarzłem... — Znowu musiał głębiej oddychać. — Więc musiałem... zmieniać położenie, aby nie ze sztywnieć... i ja...

— Uspokój się — powiedziałem. — Mogę poczekać.

Wziął głęboki oddech, potem jeszcze jeden.

— Upuściłem włócznię — podjął już spokojniej. — Upadła na środek ścieżki. Było ciemno, ale w blasku księżyca widziałem ją pod

sobą w dole. Zszedłem, aby ją podnieść... — przerwał i wziął następny oddech. — Podniosłem włócznię i... Tegid, to może dziwnie zabrzmieć, ale wiedziałem, że coś tam było. Czułem na sobie wzrok... tak, jakbym był obserwowany. Pomyślałem, że to może jeleń. Wdrapałem się na drzewo, jak mogłem najszybciej, i najciszej, jak potrafiłem. Przygotowałem się do ciśnięcia włócznią, gdyby jeleń wyszedł na ścieżkę.

Wciągnął haust powietrza i spiesznie mówił dalej.

— Cały ten czas przeklinałem własną nieostrożność. Byłem pewny, że straciłem okazję upolowania jakiegokolwiek zdobyczy. Ale, właśnie gdy zastygłem w oczekiwaniu, od ścieżki dobiegł mnie jakiś hałas. Spojrzałem w dół. Dokładnie pod konarem, na którym siedziałem, stało... — Głos załamał mu się z podniecenia. — Widziałem to, Tegidzie! Nigdy nie uwierzysz! Początkowo nie wiedziałem, co to było. Po prostu pod drzewem była masa czegoś ciemnego. Ale to miało twarz i zobaczyłem też oczy! Tegid, te oczy błyszczały w blasku księżyca. Patrzyły prosto na mnie! Widziały mnie! Ono było...

— Tak — co to było? — wtrąciłem się. — Co na ciebie patrzyło, bracie?

— To było — jak to powiedzieć? — żywe drzewo.

— Żywe drzewo?

— Nie wiem, jak to nazwać. Jak wy to nazywacie?

— Nie potrafię ci powiedzieć, dopóki ty mi nie powiesz, co widziałeś — odparłem. — Opisz to.

— Przypominało człowieka, bardzo wysokiego i smukłego... było pokryte liśćmi i cierniami. Zdaje mi się, że miało włosy, ale całe, od stóp do głów, było w gałązkach i liściach. Jego oczy... jego oczy były ogromne i spoglądały prosto na mnie! Czułem, że mnie widzi. Wiedział, że tam byłem! Omal nie spadłem z drzewa, gdy go zobaczyłem! To coś stało tam sobie i po prostu spoglądało na mnie! To coś... ten...

— *Cylenchar* — odpowiedziałem.

— *Cylenchar*? — Llew usiłował odgadnąć znaczenie tego słowa. — *Lękliwy krzew... bojaźliwe drzewo?*

— Drzewo lub las, tak—odparłem. — Choć nie *lękliwy*, raczej

ukryty lub utajony. To bardzo stare słowo oznacza ukrywającego się z lasu.

— Ale kto czy co to jest?

Wyciągnąłem przed siebie gałązkę ostrokrzewu. Llew wziął ją z mych palców.

— Tutaj też przyszedł — wyjaśniłem. — Myślę, że przywołała go moja harfa.

— On... jego?

— Ukrywający się, cylenchar.

— Zielony Człowiek — powiedział Llew cicho. — W moim świecie zwiemy go Zielonym Człowiekiem albo Chłopcem w Zieleni. Widziałem raz jednego... to było... — Umilkł, przypominając sobie jakieś wydarzenie.

— O co chodzi, bracie? Co sobie przypomniałeś?

— Simon i ja widzieliśmy... widzieliśmy Zielonego Człowieka, cylenchara, na drodze. Zanim tu przybyliśmy. Podróżowaliśmy po Szkocji, a raczej po Caledonie... jechaliśmy obok jeziora, takiego jak to... — Umilkł znowu.

Dołożyłem więcej drew do ognia.

— Siadaj — rzekłem. — Odpocznij.

Zrobił, jak mu kazałem.

— Zielony Człowiek — szepnął.

Wyciągnąłem ręce ku koziołkowi, którego przyniósł. Obmacałem go; to było młode zwierzę, niezbyt wielkie, ale miękkie.

— Upolowałeś porządną zdobycz. Na kilka dni jadał będziemy mieć pod dostatkiem.

— Tylko że to nie ja go zabiłem — powiedział Llew. — Cylenchar go przyniósł. Tuż przed świtem dobiegł mnie z krzaków hałas, więc przygotowałem się do rzutu. Zobaczyłem... — przerwał i przełknął ślinę — ... zobaczyłem plamę zieleni, gałęzie, liście, gałązki, najeżone, poruszające się — a potem to zniknęło, a na ścieżce pod drzewem leżał koziołek. Zszedłem. Koziołek był jeszcze ciepły; zabito go przed chwilą. Odczekałem jakiś czas, ale nic się nie wydarzyło. Więc podniosłem go i przybiegłem tutaj.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Wsłuchiwaaliśmy się

w trzaskający ogień, zastanawiając się, czy i teraz cylenchar nas obserwuje. Podejrzywałem, że od początku nas widział i obserwował, jak urządzaliśmy obozowisko, robiliśmy włócznie. Obserwował nas i przyniósł jedzenie w darze. W taki sposób nas powitał.

— Ukrywający się są bardzo starzy — powiedziałem po chwili. — Przybyli do tej krainy, gdy na ziemi perliła się jeszcze świeża rosa stworzenia. Wraz z przybyciem do Albionu ludzi, wycofali się do puszczy, gdzie czekali i strzegli.

— Czego strzegli?

— Strzegli wszystkiego. Wiedzieli o wszystkim, co się działo w lesie. Opiekowali się drzewami i zwierzętami, które się kryły w ich kręgu. Są strażnikami puszczy.

— Powiedziałeś, że zostaliśmy przyjaźnie przyjęci. Czemu to zawdzięczamy?

— Nie potrafię powiedzieć. Ale zdaje mi się, że będziemy odtąd strzeżeni i chronieni.

— I żywieni.

— Tak, strzeżeni i żywieni. Odłożymy kawałek mięsa dla cylenchara — aby okazać nasz szacunek i wdzięczność. Jeśli mięso zostanie przyjęte, będziemy wiedzieli, że nasza obecność tutaj jest honorowana.

Llew powiesił koziołka za zadnie nogi na gałęzi i poderżnął mu gardło, aby się wykrwawił; przyniósł trochę wierzbowych gałązek i zabrał się za oprawianie jelenia.

— Jesteś zmęczony — powiedziałem. — Idź spać. Ja zrobię resztę.

— Jesteś pewny?

— Tak. Obudzę cię na kolację.

Zadanie, którego się podjąłem, było trochę trudniejsze, niż się spodziewałem—bardziej z powodu braku żelaznego ostrza niż wzroku. Przy pomocy krzemiennego noża i skrobaka ostrożnie zdjąłem skórę. Poćwiartowałem koziołka i najlepiej, jak potrafiłem, rozebrałem. Porcje przeznaczone na zapas zawiązałem w skórę, resztki zostawiłem dla ptaków i małych drapieżców. Wszystko to zrobiłem z dala od obozowiska, gdyż nie chciałem zanieczyścić go odpadkami.

Gdy skończyłem, wróciłem z mięsem do ogniska. Dołożyłem dREW, płomień buchnęły wysoko, a ja nadziałem dwa kawałki udźca na wierzbowe szpikulce, które przygotował Llew. Postawiłem je na skraju ogniska, aby piekły się powoli, i czekałem, aż Llew się obudzi.

W południe posililiśmy się, delektując się soczystą dziczyzną. Najedliśmy się do syta, a potem zeszliśmy do jeziora, aby się napić i wykapać. Woda była zimna, skóra od niej mrowiła, ale my pływaliliśmy i dokazywaliśmy jak dzieci. Brakowało mydła, a mokre płótno na oczach drażniło. Llew zobaczył, że odwijam bandaże i przyplłynął do mnie.

— Czas sprawdzić, jak się goi — powiedziałem.

— Tak — odparł. — Ja też jestem ciekaw — dodał i zaczął odwijać swój kikut.

— No i co widzisz?

Poczułem jego dotyk na skroni. Odwrócił moją twarz raz w jedną, raz w drugą stronę.

— Będę z tobą szczerzy, bracie — powiedział ze smutkiem w głosie. — To nie wygląda dobrze. Chociaż nie jest tak źle, jak mogłoby być. Myślę, że kolor jest teraz lepszy. — Poczułem jego palce badające delikatnie ranę. — Cięcie przez oczy było głębokie. Czy widzisz coś?

— Nie. I myślę, że wzrok mi już nie wróci.

— Przykro mi, Tegidzie. — W jego głosie nie było nadziei.

— Jak twoja ręka?

— Też się goi. Skóra nadal jest lekko zaogniona i bardzo czerwona. Ale kikut zaczyna zarastać. Nadal sączy się z rany trochę wydzieliny. Jednakże ten płyn jest wodnisty, nie żółty. Zawinę go później, nie zaszkodzi go obmyć. Zimna woda przynosi ulgę.

— Gdybyśmy mieli kociołek, zaparzyłbym dla ciebie wywar przyspieszający gojenie... — W chwili, gdy wymawiałem te słowa, oko wyobraźni otworzyło się w mojej głowie i ujrzałem człowieka stojącego na brzegu jeziora z misą w dłoniach. Podniósł ją nad głowę, słońce błysnęło nad jej skrajem, a on cisnął ją w wody jeziora. Widziałem, jak woda rozprysnęła się i zamigotała w miejscu, w którym misa utonąła.

— O co chodzi, Tegidzie? Co zobaczyłeś?

— Tam jest misa — misa z brązu — tam — zwróciłem się w stronę jeziora. — Była darem władcy dla upamiętnienia śmierci nowo narodzonego syna.

— Tutaj?

— W jeziorze. — Wskazałem miejsce, które zobaczyłem w swej wizji. — Właśnie tam.

— Zaczekaj tu — powiedział Llew. — Znajdę ją, jeśli dam radę.

Zaakceptował mą wizję bez słowa sprzeciwu. Natychmiast zaczął nurkować, szukając pomiędzy krągłymi kamieniami dna misy, którą opisałem. Nurkował raz za razem, ale niczego nie znalazł.

— Poczekaj! — zawołałem do niego. — Posłuchaj, ja tobą pokieruję!

Ruszyłem ku brzegowi. Podobnie jak poprzednio, obraz w mojej wyobraźni przesunął się wraz ze mną. Po prawej zobaczyłem ogromny kamień, leżący częściowo w wodzie, częściowo na brzegu — na nim właśnie stał mężczyzna z mojej wizji z misą w dłoniach. Podszedłem do głazu i wdrapałem się na niego. Ponownie stanąłem twarzą do jeziora. Wyciągnąłem rękę.

— Gdzie jesteś, Llew?

— Tutaj — odpowiedział. — Trochę na lewo od ciebie.

Głos Llewa pozwolił mi ustalić jego położenie. Wyobraziłem go sobie na tle swej wizji — a on pojawił się w tym miejscu przed oczyma mej wyobraźni.

— Podnieś rękę, Llew.

Llew podniósł rękę i wizerunek w mej wizji uczynił to samo: byli jednym i tym samym.

— Misa jest za tobą, z prawej — powiedziałem.

— Jak daleko?

Oceniłem odległość pomiędzy nim i miejscem zatonięcia misy.

— Dwa kroki na prawo — odparłem — i siedem lub osiem w tył.

Llew odwrócił się ode mnie, a moja wizja pociemniała. Usłyszałem chłopot, gdy Llew brodził do wskazanego przeze mnie miejsca — i plusk, gdy zanurkował. Zanurkował raz, potem znowu. Jeszcze

raz zanurkował. Stałem, nasłuchując i czekając, aż się wynurzy. Przez kilka chwil niczego nie słyszałem... a potem... Jednocześnie rozległ się nagły plusk i jego okrzyk.

— Mam ją! — zawołał Llew. — Jest tu, Tegidzie! Znalazłem misę.

Pospiesznie wyszedł z wody. Wyciągnąłem ręce i poczułem chłodny, mokry ciężar, gdy Llew włożył mi misę w dłoń. Była szeroka i płaska; brząz był gruby, a powierzchnia nierówna od uderzeń młotka. Wokół brzegu wryto trzy głębokie linie.

— Jest większa, niż się spodziewałem — powiedział Llew; w jego głosie słyszałem uśmiech. — Leżała do góry dnem. Pod wodą wyglądała jak kamień. Ale była tam, gdzie powiedziałeś. — Przerwał na chwilę. — Ciekaw jestem — dodał — co jeszcze jest w tym jeziorze?

Chciałem odpowiedzieć, ale nim zdołałem wyrzec słowo, usłyszałem rżenie konia.

— Słuchaj!

Rżenie rozległo się ponownie, wyraźne w ciszy doliny.

— Dobiega z drugiej strony jeziora — powiedział Llew.

— Widzisz coś?

Llew nic nie powiedział. Czulem, jak sprężył się obok mnie. Słyszałem lekką bryzę muskającą wodę, wiatr zawiewał ku nam od wzgórz po drugiej stronie jeziora.

— Widzę go — szepnął Llew. — To wojownik. Ma tarczę i włócznię. Zszedł nad jezioro napić konia. Nie dostrzegł nas jeszcze.

— Jest sam?

— Nie widzę z nim nikogo.

— Obserwuj dalej.

Czekaliśmy.

— Nie — nie ma z nim nikogo. Jest sam.

— Co robi?

— Klęka... teraz pije... — Llew umilkł. — Wstaje. Patrzy w naszą stronę...

Llew ścisnął mnie zdrową ręką.

— Zobaczyl nas! — szepnął ostro. — Dosiada konia...

— Jedzie w naszą stronę?

Llew zawahał się.

— Nie — odparł, rozluźniając uścisk na mym ramieniu. — Wraca drogą, którą przyjechał. Odjeżdża... — A po chwili dodał: — Odjechał.

— Chodźmy zatem — powiedziałem. Podałem Llewowi misę z brązu i zszedłem z kamienia. — Zdaje się, że musimy przygotować się na przyjęcie gości.

— Myślisz, że on wróci?

— Tak! — zawołałem przez ramię, gramoląc się po kamiennym brzegu. — Spodziewam się, że wróci i to nie sam.

Na oczekiwaniu spędziliśmy całą noc i cały następny dzień. A choć Llew wspinał się na szczyt wzgórza i obserwował dolinę przez większą część dnia, nikt nie przybył. Zaczynałem już myśleć, że pomyliłem się, spodziewając się powrotu jeźdźca.

— Obszedłem cały grzbiet — powiedział Llew, gdy wrócił do obozu. — Niczego nie zauważyłem ani nie usłyszałem. — Ze znużonym westchnieniem odstawił włócznię i usiadł. — Jestem głodny, Tegid — powiedział zza kręgu wygasłego ogniska. — Rozpalmy ogień i upieczmy sobie trochę mięsa z jelenia.

Wahałem się. Poprzedniej nocy, z obawy przed intruzami, nie pozwoliłem rozpaść ogniska

— Co ty na to? — zachęcał Llew. — Nikt tu nie jedzie. Gdyby ktoś był w lesie, usłyszałbym go. W okolicy nikogo nie ma.

Moja ostrożność zdawała się bezpodstawna i odrobinę śmieszna.

— No dobrze — poddałem się — zbierz drewno. Rozpalimy ognisko.

Llew ułożył drewno w wielki stos, a ja go podpałem. W mgnieniu oka wszystko, co pozostało z koziołka — trzy porcje, których nie zjedliśmy — znalazło się na szpikulcach. Powietrze wypełnił aromat pieczonej dziczyzny. Skwierczał ściekający tłuszcz.

Llew, któremu głód nie pozwalał czekać, odrywał pasma gorącego mięsa, dmuchał na nie i wpychał sobie do ust.

— Miamm — mruczał szczęśliwy — ale pyszne, Tegid! Czekałem na to cały dzień.



Podczas gdy mięso się piekło, przyniosłem misę z brązu do ogniska. W czasie nieobecności Llewa przygotowałem płyn do okładów. W lesie była obfitość różnorodnych ziół i, pomimo ślepoty, w krótkim czasie zebrałem wszystko, czego potrzebowałem. Najtrudniejszym zadaniem było nabranie wody do misy i przyniesienie jej do obozu, aby nie rozlać zawartości po drodze.

Zmieszałem zioła z wodą i odstawiłem. Teraz, skoro już mieliśmy ogień, przyniosłem misę i ustawiłem ją na skraju ogniska, aby dobrze się ogrzała. Czekaając, aż mikstura się zagotuje, przygotowałem sobie leszczynową witkę do mieszania wywaru. Llew nadal odrywał kawałki pieczeni i oblizywał palce, a ja mieszałem zawartość misy, wdychając aromat pokruszonych ziół.

— Co to? — zapytał rozanielony Llew. — Jeśli to...

— Sza... — syknąłem.

Nastawiłem uszu na dźwięki dobiegające z lasu. Słyszałem dziecięcia i drozda, słyszałem delikatny szelest suchych liści pod krzakami... i ciche dzwonienie końskiej uprzęży.

— Są jeszcze kawałek stąd — powiedziałem. — Zostaw ogień. Ukryjemy się w lesie, dopóki nie przekonamy się, czego chcą.

Llew wstał, podniósł włócznię. Ale nim zdążył zrobić krok w moim kierunku, głos za mną powiedział:

— Stój, przyjacielu!

Odwrociłem się na dźwięk tego głosu.

— Nie rób głupstw — usłyszałem.

Inny głos dodał:

— Odłóż włócznię, przyjacielu. — Zwracał się do Llewa z tłumioną groźbą.

A trzeci powiedział:

— Czy to tak się wita wojowników naszej rangi?

Pierwszy odezwał się ponownie:

— Stójcie spokojnie.

Ruch był wszędzie wokół mnie. Zostawili swe konie w pewnym oddaleniu i zaskoczyli nas pieszo. Nie było ucieczki. Byliśmy otoczeni.

## 15. Mordercze przymierza

— Kim jesteście? — zapytał Llew. — Czemu nas napadliście?

W jego głosie usłyszałem groźbę i napięcie, które wywołało przybycie intruzów. Usiłowałem obudzić w sobie wizję, ale oko mojej wyobraźni pozostało zamknięte.

— Odłóż włócznię — rzucił bez ogródek pierwszy z wojowników.

— Nie uczynię tego, dopóki się nie dowiem, czemu napadliście na nasz obóz — upierał się Llew.

— Nie jest naszym zwyczajem odpowiadać na pytania pod groźbą włóczni — odezwał się gdzieś z tyłu drugi z intruzów.

— A jest waszym zwyczajem wdzierać się do cudzego obozu siłą? — zapytał Llew stanowczym tonem.

— Czyżby ten las należał do ciebie? — odparował gładko kolejny wojownik — że masz prawo przepytывать wszystkich, którzy przez niego przejeżdżają?

Usłyszałem szelest kroków, gdy jeden z ludzi przesunął się bliżej nas. Rozłożyłem ręce, aby pokazać, że nie mam broni.

— Pokój — powiedziałem — z naszej strony nie macie się czego obawiać. — Po czym dodałem śmiało: — Zapraszamy do naszego ogniska.

Zapadła cisza. Czuję na sobie ich oczy.

— Kim jesteś? — zapytał jeden z obcych.

— Powiem ci, kim jesteśmy, gdy ty nam powiesz, czemu odtrącasz propozycję pokoju i miejsca przy ognisku? — A gdy nikt na to nie odpowiedział, dodałem: — Być może uważacie, że to poniżej waszej godności, by zasiąść i posilić się z nami?

Pierwszy z wojowników odparł:

— Nie mamy zamiaru nikogo skrzywdzić — oświadczył z powagą. — Rhoedd zobaczył człowieka nad jeziorem. Nasz wódz przysłał nas, abyśmy sprawdzili, kto tu jest. Naszego władcę niepokoją wieści o najeźdźcach.

— Kto jest waszym władcą? — zapytałem.

— Cynfarch z Dun Cruach — odpowiedział wojownik.

— Zapuściliście się daleko na północ, chłopie — powiedział Llew. — A gdzie jest wasz wódz?

— Czekają na nas w jarze nad rzeką — odparł wojownik.

— Przyrowadź go tutaj — powiedział Llew. — Będzie tu mile widziany.

Wojownik zachnął się.

— Przyrowadź go tutaj — powtórzyłem za Llewem. — Powiedz mu, że Llew i Tegid czekają na niego.

— Ale my nie jesteśmy...

— Idź! — rozkazałem, a mój głos zadźwięczał donośnie w ciszy doliny. — Wróc ze swym wodzem, albo nie wracaj wcale!

Nie dyskutując dłużej, odwrócili się i ruszyli tą samą drogą, którą przyszliz. Nasłuchiwaaliśmy, jak pospiesznie przedzierali się przez krzaki, a gdy oddalili się na dobre, Llew odetchnął z ulgą.

— Byli o krok od zaatakowania nas — powiedział.

— Bali się.

— Myślisz, że Cynan jest z nimi?

— Wkrótce się dowiemy. — Podeszedłem do miski. Była gorąca, wywar z ziół gotował się. — Mieszanka gotowa. Zajmijmy się teraz twoją raną.

Odsunąłem misę z ognia.

— Odwiń rękaw i zanurz kikut w wodzie.

— Ale to wrzątek — zauważył Llew.

— Musi być gorąca, aby dobrze działało. Gorący wywar wyciągnie truciznę z twej rany.

Llew z ociąganiem zrobił to, o co go prosiłem, nie przestając przy tym marudzić. Gdy wywar ostygł za bardzo, podgrzałem go znowu, ustawiając misę na ogniu. Llew dalej marudził. Protestował przeciwko moim zaleceniom nawet wtedy, gdy wrócili nasi goście.

Tym razem wjechali prosto do naszego obozu: siedmiu jeźdźców z bronią i tarczami w pogotowiu.

— Kimże wy jesteście, aby rozkazywać moim wojownikom? — zapytał spomiędzy drzew surowy głos. — Wstańcie, przyjaciele, niech was zobaczą.

— Cynan! — Llew poderwał się ze swego miejsca przy ognisku, przewracając misę. Usłyszałem syk pary, gdy wywar wylał się na płonące polana.

— A więc to prawda! — zawołał Cynan. Usłyszałem chrzęst skóry, gdy zsuwał się z siodła. — Powiedzieli, że Tegid i Llew rozbili obóz po drugiej stronie wzgórza, ale im nie wierzyłem. Przyjechałem sam zobaczyć i oto jesteście!

Na chwilę zapanował kompletny chaos. Słyszałem parskanie koni, podniecone głosy ludzi. Usłyszałem głośny śmiech i oto przed nami stanął Cynan.

— Witaj, bracie! — zawołał Llew. — Nasze palenisko jest skromne, a hala nie ma dachu, ale wszystko, co mamy, jest twoje. Cieszę się, że cię widzę, Cynanie.

— Ja również się cieszę... — Cynan musiał wyciągnąć rękę, by uścisnąć ramię Llewa i odkrył jego okaleczenie. — *Clanna na cú!* — rzucił zdławionym głosem. — Co ci się stało, człowieku?

Cynan odwrócił się do mnie.

— Tegidzie, ty...? — Czuję, jak jego gniew rozbłysnął ni czym pożar. — Kto to uczynił? Wymów tylko jego imię, a ja pomścę was dziesięciokrotnie! Stokrotnie!

Llew wymówił to imię.

— Meldron — powiedział.

— Zabiję go! — przysiągł Cynan.

— Nie da się pomścić przelanej przez Meldrona krwi — powiedziałem — nasze rany są wobec niej niczym. Szczerze mówiąc, to najmniejsze z jego dokonań. — Potem opowiedziałem Cynanowi i pozostałym o rzezi bardów na świętym wzgórzu.

Cynan i jego ludzie, oszołomieni, słuchali w milczeniu. Gdy skończyłem, zdawało się, że wtopili się w noc. Nie słyszałem nic poza traskiem ognia i cichym świstem wiatru w sosnowych gałęziach.

W końcu Cynan odezwał się. Jego głos pulsował gniewem i rozpaczą.

— Jest jeszcze gorzej, niż myślicie — powiedział. — Meldron wszczął wojnę z władcami Llogres. Zaatakował główne twierdze

Cruin i Dorathi. Wielu ludzi zostało zabitych, a jeszcze więcej uciekło na wzgórza i w lasy.

— Kiedy to się stało?

— Dowiedzieliśmy się o tym tuż przed Beltain. Przybyli do nas uciekinierzy szukający schronienia i ostrzegli nas, że Meldron wysłał wojowników do Caledonu, aby wybadali słabości naszej obrony.

— Więc to dlatego zapuściliście się tak daleko na północ — stwierdził Llew.

— Tak — przytaknął bez radości Cynan. — Objeżdżaliśmy doliny i rzeki, aby sprawdzić, czy nie mają zamiaru zaatakować nas od strony niebronionych pustkowi.

— Widzieliście kogoś? — zapytałem.

— Nikogo — dopóki dwa dni temu nie zauważył was Rhoedd — odpowiedział Cynan.

— Ale czemu powrót tutaj zajął wam aż dwa dni? — zapytał Llew.

— Obóz rozbiliśmy o dzień jazdy stąd — wyjaśnił Cynan. — Kazałem moim ludziom wracać natychmiast, jeśli dostrzegą jakieś ślady obcych.

— Gdyby się choć do nas odezwał, powitalibyśmy go z radością — powiedział Llew. — A tak komuś mogło się przydarzyć coś złego.

— Przykro mi z tego powodu — odparł ze smutkiem Cynan. — Ale gdybyście byli szpiegami Meldrona, niechybnie zabilibyście mego człowieka — choćby przy okazji powitania. Nie wiedzieliśmy, że to wy.

— No cóż, cieszę się, że tu jesteście. Siądźcie z nami — powiedział Llew — posilimy się wspólnie. Mamy niewiele mięsa, ale serdecznie was zapraszamy.

— Wieziemy własne zapasy, a skoro nieproszeni zjawiliśmy się w waszym obozie, musicie pozwolić, byśmy wnieśli swój udział — zaproponował uradowany Cynan.

— Nie odmówię — odparł Llew i Cynan polecił swym ludziom, by zaczęli przygotowywać posiłek.

Wojownicy zabrali się za noszenie wody i drewna oraz powiększanie naszego obozowiska. Tymczasem Cynan i Rhoedd usiedli

wraz z nami i zaczęli opowiadać o wszystkim, co wydarzyło się w Albionie od czasu naszego ostatniego spotkania na Ynys Sci. Cynan wyliczał, które rody i klany Meldron najechał lub pobił, a ja ze zdumieniem kręciłem głową.

— Cynanie — zapytałem — jak Meldronowi udało się dokonać tego tak szybko? Gdy opuszczaliśmy Sycharth, miał zaledwie stu ludzi. Jakim sposobem pobił klany z większymi i lepiej uzbrojonymi drużynami?

— Łatwo to wyjaśnić — rzekł cierpko Cynan. — Sprzymierzyl się z Rhewtani.

Rhewtani to skory do waśni klan, który włada północnym Llogres. Długo niepokoiili Prydain i Caledon — aż w końcu dzięki serii zwycięskich potyczek Meldryn Mawr położył temu kres. Dziwne, że teraz przyłączyli się do Meldrona, pomagając swemu dawnemu wrogowi rozszerzać swe panowanie. Ciekaw byłem, co takiego obiecał im Meldron, aby zdobyć ich pomoc.

— Rhewtani — powtórzyłem. — Ktoś jeszcze?

— Nie słyszałem o innych — odparł Cynan — ale mówi się, że niektórzy wodzowie z podbitych ziem woleli raczej przyłączyć się do niego, niż się narazić na klęskę i śmierć. Jednakże — dodał zapalczywie — wódz, który by tak uczynił, nie jest godny tego miana.

Rozmawialiśmy o wszystkim, co wydarzyło się w Albionie, czekając na podanie jedzenia. Nasi goście wnieśli bardziej niż hojny wkład ze swych zapasów i posiłek zamienił się w ucztę przyjaciół.

— Nie skłamię, jeśli powiem, że jesteście ostatnimi ludźmi, których spodziewałbym się tu znaleźć — powiedział Cynan, klepiąc się po udzie.

— Po tym, jak Meldron zaatakował święte wzgórze — powiedział Llew — wzięto nas do niewoli. Zostaliśmy rzućeni na łaskę fal i zostawieni na pewną śmierć.—Opowiedział o sztormie i wędrowce w głąb łądu, i przybyciu do tego miejsca — zauważyłem jednak, że nie wspomniał o nemetonie ani o cylencharze.

Cynan i jego towarzysz z zainteresowaniem słuchali tej opowieści. A gdy Llew skończył, Cynan powiedział:

— Pomimo to jest w tym coś dziwnego. Postanowiliśmy wracać do domu, a wtedy Rhoeddowi wydało się, że zobaczył kogoś ukrywającego się wśród drzew. — Cynan zwrócił się do Rhoedda. — Opowiedz im, co widziałeś.

— Widziałem, jak ktoś obserwował nas z drugiego brzegu rzeki — zaczął Rhoedd. — Powiedziałem o tym Cynanowi i poprosiłem, aby pozwolił mi sprawdzić. Znalazłem trop i podążałem nim aż do wodospadu. Ale ponieważ nie widziałem innych śladów, zdecydowałem się zaprzestać poszukiwań. Chciałem właśnie zawrócić, gdy zobaczyłem kogoś na skałach nad wodospadem.

— Widziałeś, kto to był? — zapytałem.

— Nie, panie — odparł Rhoedd. — Ale miał na sobie zielony płaszcz. Jestem pewny.

— Poszedłeś więc za nim dalej?

— Tak. Nielatwo było znaleźć obejście wodospadu — pewnie do teraz bym go szukał, gdybym nie zobaczył łani wbiegającej do szczeliny w skale. Poszedłem za nią i znalazłem ścieżkę; doprowadziła mnie tutaj, do tego grzbietu. Ze szczytu wzgórze zobaczyłem jezioro i zszedłem napić konia. Miałem zamiar wrócić drogą, którą przyszedłem. Gdybym nie zauważył was za wodą, wrócilibyśmy do Dun Cruach. Resztę znacie.

— Gdyby i gdyby — zauważyłem.— Zdaje mi się, że szczęście ci się niebywale.

— Ja też tak sobie pomyślałem — przyznał Rhoedd. — Nie zobaczyłem już więcej człowieka, który doprowadził mnie do tej ścieżki. Wiem, że sam nigdy bym jej nie znalazł.

— Nie — odparłem — ani nie zobaczyłbyś tego, który cię prowadził, gdyby sam ci się nie ukazał. Albowiem to strażnik tego miejsca cię tu przywiódł.

— Kim jest ten człowiek, panie? — zapytał Rhoedd.

— To nie jest człowiek — odparłem. — To jeden z prastarych — dodałem, po czym opowiedziałem im o cyclercharze, o tym, jak byliśmy obserwowani i w końcu zostaliśmy zaakceptowani przez strażnika ukrytej doliny.

Cynan i jego towarzysz słuchali tego zafascynowani. Potem rozmawialiśmy o tym — i o wszystkim, co wydarzyło się w Albionie — do późnej nocy. Świergot porannych śpiewaków już witał świt, gdy ziewając, udaliśmy się na spoczynek.

Następnego dnia Cynan powiedział:

— Wracajcie z nami, serdecznie zapraszamy. W Dun Cruach będzie miejsce i dla was.

— Dziękujemy ci, Cynanie Machae — odparłem — ale nam wypada pozostać tutaj.

— Tutaj? Dlaczego? Przecież tu nic nie ma! — Cynan zwrócił się do Llewa. — Jesteście ranni. Potrzeba wam dobrego jada i odpoczynku. Jedno i drugie znajdziecie w Dun Cruach.

— Jeszcze raz ci dziękujemy — odparł Llew. — Ale jest tak, jak powiedział Tegid: chcemy tu zostać.

— A co zrobicie, jeśli Meldron was znajdzie? — zapytał Cynan. — Jesteś ranny. Nawet nie utrzymasz miecza. Wracajcie z nami. Możemy was obronić.

Llew nie zraził się bezpośredniością Cynana i odparł łagodnie:

— To nie ty masz nas bronić, bracie. Już raczej powinniśmy bronić się nawzajem.

— Jakże to? — zdziwił się Cynan. Odmowa Llewa zaboląła go, ale w jeszcze większym stopniu obudziła jego ciekawość.

— Posłuchaj — powiedział Llew. Mówił cicho, tak że wszyscy przysunęli się do niego bliżej. — Tegid miał wizję — wizję tego miejsca. Widział ogromną twierdzę wznoszącą się z wód jeziora. To wyspa...

— Wyspa? — zapytał z niedowierzaniem jeden ze słuchaczy.

— Ale tu nie ma żadnej wyspy! — zawołał Cynan.

— To prawda — przyznał Llew — nie ma wyspy — jeszcze. To będzie wyspa zrobiona przez ludzi. Będzie się składać z wielu crannogów, warownia z wielu twierdz: zwie się Dinas Dwr. Będzie miejscem schronienia i portem dla ludzi z całego Albionu.

— Widziałeś to? — Pytanie było skierowane do mnie; poczułem rękę Cynana na swym ramieniu.



— Tak, widziałem — odparłem, opierając się pokusie powiedzenia więcej. Llew zaczął, więc lepiej, jak on zakończy. — Jest tak, jak powiedział Llew.

— Dinas Dwr — zadumał się Cynan. — Dinas Dwr — tak, to dobra nazwa.

— Z twierdzą na północy — ciągnął dalej Llew — południe będzie bezpieczniejsze. Będziemy jak dwaj bracia walczący i osłaniający się wzajemnie, ochraniający jeden drugiego, ramię w ramię, tarcza w tarczę.

Wojownicy dostrzegli mądrość tego projektu. Llew przemówił im do wyobraźni tą prostą wizją, a oni głośno wyrazili aprobatę dla tego planu.

— Meldron będzie chciał zaatakować nas w najbliższym miejscu — przyznał Cynan. — Jestem wspaniałym wojownikiem, to prawda — ale nawet ja nie potrafię bronić dwóch miejsc jednocześnie.

— My obronimy północ — zaproponował Llew. — Co ty na to, bracie?

— No cóż — zgodził się Cynan — to plan wart przemyślenia.

— Pomóż mi w tym, Cynanie — powiedział Llew żarliwie, lecz w jego głosie nie było błagalnej nuty. — Wspólnie możemy tę wizję wcielić w życie.

Cynan milczał przez chwilę. A potem poderwał się na nogi i krzyknął z zapałem:

— Tak będzie! Ziemię i niebo biorę na świadków i przyrzekam ci dostarczyć tylu ludzi, ilu będę mógł, by pomóc w tym wielkim dziele!

Wstałem i uniosłem ręce do deklamacji: lewą nad głowę, z otwartą dłońią, a prawą, ściskając w niej laskę, wyciągnąłem na wysokość ramienia.

Złocisty Król w swym królestwie uderzy stopą o Skalę Niezgody — obwieściłem słowami przepowiedni banfaith. — Robak ziejący ogniem zdobędzie tron Prydainu; Llogres będzie bez władcy. Ale szczęśliwy będzie Caledon!

Wojownicy przyjęli to gromkimi okrzykami i przysięgę władcy wsparli własną. Potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, podnie-

ceni i uradowani, a ja wyczułem w ich uniesieniu, że moja wizja zaczyna nabierać konkretnych kształtów, wiara zaś urzeczywistnia się.

Chwilę jeszcze przysłuchiwałem się ich ożywionej rozmowie, potem wstałem, wziąłem laskę i odszedłem do lasu. Chciałem być sam ze swymi myślami, by zrozumieć to, co powiedział nam Cynan: Cruin pobici, i Dorathi; Llogres już się im poddał. Meldron i Rhewtani — było to zaiste mordercze przymierze.

Rozmyślałem nad tym przez chwilę, ale nie potrafiłem jednak zbyt długo się skupić. Słyszałem, jak w wierzchołkach drzew poruszały się gałęzie, wyczułem w powietrzu deszcz. Nie mogłem zobaczyć nieba, ale wiedziałem, że było czyste, a słońce świeciło jasno. Przed wieczorem jednak będzie padać, choć dla tych zgromadzonych przy ognisku przyszłość była bezchmurna.

Przysłuchiwałem się głosom ludzi, żarliwych w solidarności zniszczenia swych planów — solidarność ludzi honoru jest najpotężniejszą z sił. Przymierze Llewa i Cynana, zrodzone z zaufania i szacunku, będzie groźne. A dla każdego, kto próbowałby je zniszczyć zdradą czy przemocą, będzie również mordercze.

Dobra Ręka poczynał sobie nie byle jak: moce z dawna w ziemi uśpione ponownie budziły się do życia; przewodnicy i dobre duchy zbierały się wokół nas, prastare siły w nieoczekiwany sposób przychodziły nam z pomocą.

Szczęśliwy będzie Caledon... Niech więc to nastąpi!

## 16. Stado Kruków

— Wróć, jak będę mógł najszybciej — obiecywał Cynan. — I przywiozę z sobą ludzi, narzędzia i zapasy wystarczające do zbudowania twierdzy, jakiej jeszcze Caledon nie widział!

— Zadowolilibym się rzeczami na zmianę i garścią słomy, aby osłonić głowę od deszczu — powiedział Llew. — Jednakże nic z tego nie zobaczę, jeśli w końcu nie wyruszysz!

Kończył właśnie wymawiać te słowa, gdy deszcz, który od dwóch dni dawał się nam we znaki, przestał padać. Konie zadartły

łby, podzwaniając uprzężą i niecierpliwie oczekując wyruszenia w drogę.

— Dobrze, odjeżdżamy. Ale zostawiam z wami Rhoedda — i broni pod dostatkiem dla wszystkich.

— Sami możemy o siebie zadbać — zaprotestował słabo Llew. — Nie potrzebujemy służącego. Jeśli spotkałbyś Meldrona na szlaku, włócznie Rhoedda przydałaby ci się bardziej.

— Niemniej jednak zostawiam go pod twoją komendą — obstawał przy swoim Cynan. — Nie upieraj się.

— No dobrze, zgadzam się — odparł Llew, po czym pożegnał się z Cynanem. Inni już czekali na szlaku; słyszałem, jak powitali okrzykami Cynana, gdy zajął miejsce na ich czele. Potem dobiegło mnie dudnienie kopyt koni znikających wśród drzew.

— A zatem — powiedział Llew, wracając do miejsca, w którym stałem wsparty na lasce — mamy konia i wojownika na rozkazy. To początek naszej drużyny.

— Kpij sobie, jeśli chcesz — powiedziałem. — Wielcy królowie zaczynali mając jeszcze mniej.

— Skoro tak mówisz, wierzę ci — odparł z beztroską w głosie, której dawno już u niego nie słyszałem. — Co do mnie, to cieszę się, mając przy sobie Rhoedda. Między nami mówiąc, Tegidzie, on mi wygląda na niezłego narwańca.

Rhoedd na te słowa wybuchnął śmiechem.

— Cynan cię ostrzegł! — zawołał wesóło. — A powiedział ci również o moim paskudnym usposobieniu?

Tak zaczęła się nasza przyjaźń, pozwalająca czerpać radość z wzajemnego towarzystwa przy ognisku w tych leśnych ostępach. Rhoedd stał się dla nas dobrodziejstwem i błogostawieństwem: niestrudzenie pomysłowy, bystry i dowcipny, pomagał nam we wszystkim i zadbał o większą wygodę w naszym obozowisku.

Przez większość dni Llew i Rhoedd wczesnym rankiem polowali lub łowili ryby, a resztę dnia spędzali na zbieraniu korzonków i innych jadalnych roślin, które były naszym pożywieniem. Przed wieczorem zażywaliśmy kąpeli w jeziorze, po czym spożywaliśmy wieczerzę przy ognisku. Potem brałem harfę i śpiewałem, a srebrzy-

ste nutki pieśni porywał wysoko pachnący dębem dym z naszego ogniska. W taki sposób spędzaliśmy dni, oczekując rychłego powrotu Cynana.

Pewnego dnia nad jeziorem, gdy nabierałem właśnie świeżej wody, zjawił się zdyszany Rhoedd. Dopiero co wyruszyli z Llewem na polowanie. Odpowiedziałem na jego wołanie i odwróciłem się, czekając, aż do mnie podbiegnie.

— Co się stało? Llew jest ranny?

— Llewowi nic się nie stało — odparł Rhoedd. — Przysłał mnie po ciebie. Widzieliśmy ludzi nad rzeką.

— Hu?

— Sześciu — może więcej. Byli zbyt daleko, aby stwierdzić z całą pewnością. Przybędą, nim minie południe. Llew obserwuje szlak.

Wziąłem swą laskę i Rhoedd poprowadził mnie w górę zbocza na szczyt grani. Zatrzymaliśmy się na chwilę w naszym obozowisku, by zabrać dodatkowe włócznie i tarcze, zostawione nam przez Cynana. Potem ruszyliśmy spiesznie granią na zachód. Po jakimś czasie zeszliliśmy długą, stromą ścieżką. Dołączyliśmy do Llewa skulonego za skałkami w dolnej części zbocza.

— Są prawie pod nami — powiedział Llew. — Myślę, że poradzilibyśmy sobie z nimi, ale potrzebujemy twojej pomocy, Tegidzie. Nie możemy pozwolić, aby wydostali się z tego jaru.

— Szpiedzy Meldrona? Tak myślisz, prawda?

— A któż by inny? Cynan ostrzegął, że penetrują te ziemie. Omówiliśmy taktykę zasadzki. Opracowaliśmy plan, dzięki któremu moglibyśmy pokonać najeźdźców.

— Na wschód stąd jar zweźa się — powiedział Llew. — Skały schodzą aż na brzeg rzeki. Konie na nic im się tam nie zdadzą.

— A jeszcze dalej na wschód? — zapytał Rhoedd.

— Jeszcze dalej jar otwiera się na szeroką równinę.

— A zatem największą szansę będziemy mieć przy przewęzeniu — zgodził się Rhoedd.

Szybko wróciliśmy na szczyt grani, a potem ruszyliśmy nią na wschód do upatrzonego miejsca. Zajęliśmy pozycje z dobrą widocz-

nością na brzeg płynącej w dole rzeki. Usiedliśmy i rozpoczęło się oczekiwanie. Minęło południe, a my nie dojrzeliliśmy gości, ani nie usłyszeliśmy ich nadejścia. Llew zaczął się niecierpliwić.

— Co im zabiera tyle czasu? Co oni robią?

— Może zesli z nadbrzeżnego szlaku? — zastanawiałem się.  
— A może poją konie?

Llew wysłał Rhoedda na dół, aby się rozejrzył, zachowując się przy tym ostrożnie, tak żeby go nikt nie zobaczył. Czekanie na jego powrót było irytujące nie mniej niż czekanie na intruzów. Llew znaczył upływający czas, stukając końcem drzewca w skałę — ten dźwięk przypominał grzechotanie kości.

Wtem stukot umilkł.

— Co go zatrzymuje? — wybuchnął w końcu.

— Cicho!

Chwilę później usłyszeliśmy kroki Rhoedda; skulił się obok nas, ciężko dysząc.

— Zszedłem aż do doliny — powiedział, gdy w końcu udało mu się wydobyć głos. — Znalazłem ich. Rozbijają obóz.

— Ktoś cię widział?

— Nie.

— Znasz ich?

— Nie pochodzą z żadnego znanego mi rodu czy klanu. Myślę, że w ogóle nie są z północy. — Przerwał, po czym dodał lekceważącym tonem: — Wyglądają mi na ludzi z południa.

— Meldron... — mruknął Llew. — Ilu ich widziałeś?

— Jest ich sześciu — odparł Rhoedd.

— Jeśli to Llwyddi — powiedziałem — to może ich znamy. Mógłbym z nimi pomówić.

— Po co? — zdziwił się Llew. — Po tym, co zrobili z bardami, chciałbyś z nimi rozmawiać?

— Zaprowadź nas do miejsca, w którym ich widziałeś — zwróciłem się do Rhoedda.

Choć droga była ciężka i stroma, skradaliśmy się dość szybko. Podczołgał się możliwie najbliżej.

— Powiedz mi, co widzisz — rzekłem, dotykając ramienia Rhoedda.

— Sześciu ludzi z końmi — powiedział Rhoedd. — Tak jak już wam mówiłem.

— Opisz, co widzisz! — ponagliłem go. — Szczegóły!

Rhoedd musiał szukać wzrokiem akceptacji u Llewa, ponieważ ten powiedział:

— Rób, jak mówi; powiedz mu, co widzisz.

— No cóż, sześciu ludzi—odparł wolno Rhoedd.—Mają sześć koni — trzy ryże rumaki, bułanego, gniadego i karego. To dobre konie. A ci ludzie są... no cóż, są jak ludzie...

— Są ciemno- czy jasnowłosi? Jakie mają odzienie?

— W większości są ciemnowłosi; ciemnowłosi i nieogoleni — włosy i brody mają faliste. Odziani są w długie płaszcze, choć jest ciepło. Nie noszą broni, ale widziałem włócznie i miecze przytroczone do koni. Przynajmniej trzech z nich ma tarcze.

— To już lepiej — pochwaliłem go. — Mów dalej — co jeszcze widzisz?

— Noszą bransolety na ramionach i przegubach rąk — złote i srebrne. Jeden z nich ma złotą bransoletę na ramieniu i złotą broszę przy płaszczu. Wygląda na herosa i tylko on nosi torques, ale srebrny, nie złoty. Wszyscy mają na prawym ramieniu niebieski tatuaż — wizerunek ptaka, być może sokoła lub orła — nie potrafię stąd dostrzec. Zdaje się, że długo podróżowali. Wyglądają na zmęczonych, twarze mają wychudzone.

— Wspaniale! — powiedziałem. — Jest w tobie coś z barda, Rhoeddzie.

— Trudno będzie pokonać ich wszystkich naraz — rzekł Llew. — Mamy pięć włóczy, więc powinniśmy powstrzymać trzech, nim zdążą sięgnąć po broń.

— A pozostałych? — zapytałem.

— Będą mieli nad nami przewagę—przyznał Llew. — Pomimo to, jeśli uderzymy dostatecznie szybko, możemy ich pokonać.

— A jeśli poczekamy do zapadnięcia nocy — powiedział Rho-

edd — możemy mieć jeszcze większą szansę. Moglibyśmy zaatakować ich, gdy będą śpali.

— Ale wówczas będą mieli broń w pogotowiu — zauważył Llew. — Żaden wojownik nie śpi na obcym terytorium bez broni pod ręką. A poza tym, pewnie postawią straż na noc. Jestem za tym, aby atakować teraz.

Llew i Rhoedd zaczęli się rozvodzić, kiedy najlepiej zaatakować. Przysłuchiwałem się ich rozmowie i czułem, że ogarnia mnie coraz większy niepokój; nie z lęku — bardziej z poczucia niewłaściwości naszego zachowania.

— Tegidzie, weź to — powiedział Llew, wciskając mi w dłoń nóż. — Gdyby któryś próbował uciekać...

Wypuściłem nóż z ręki, jakby sparzył mi dłoń.

— Nie możemy tego uczynić — rzekłem. — To nie jest właściwe.

— Nie myślę, aby któryś tędy uciekał — zapewnił mnie Rhoedd. — To tylko dla twojej obrony.

— Nie to miał na myśli — powiedział Llew. — O co chodzi, Tegidzie?

— Nie możemy atakować nieuzbrojonych ludzi. Tak postąpiłby Meldron i to byłoby niegodziwe.

— Co chcesz więc zrobić, Tegidzie Tathal? — zapytał Llew gniewnie.

— Powitać ich.

— Powitać ich — mruknął Llew oschle. — No tak, to z pewnością jest coś, czego Meldron nigdy by nie uczynił.

— Szlachetny bardziej — zaczął Rhoedd — jeśli wyjdziemy ich powitać, a oni są szpiegami, to będziemy martwi, nim zajdzie słońce.

— Rhoeddzie, mój przyjacielu, jeśli ich napadniemy, a oni są spokojnymi ludźmi, to będziemy mordercami.

— Co proponujesz? — zapytał Llew.

— Zaprosimy ich do ogniska, tak jak przyjmuje się obcych — mówiąc to, chwyciłem laskę i wstałem.

Llew podniósł się szybko i położył mi dłoń na ramieniu.

— Ja pójdę pierwszy — powiedział i wyszedł nieco przede mną, abym mógł iść za nim, nie potykając się i nie pokazując obcym

swego kalectwa.

Razem wyszliśmy zza osłony drzew i śmiało wkroczyliśmy do obozu obcych.

— Witajcie, przyjaciele! — zawołał Llew. — Pokój wam i waszemu władcy, kimkolwiek jest.

Nasze nagłe pojawienie się zaskoczyło ich. Usłyszałem brzęk rzuconych naczyń i szuranie nogami, gdy obcy rzucili się do broni, aby stawić nam czoło — potem na mgnienie zapanowała cisza. Widocznie zastanawiali się, jak nas przyjąć.

— Witajcie — odparł wolno jeden z obcych. — Zaszliście nas znieścacka.

— To prawda — odparł Llew. — Wybaczcie nam, jeśli wzbudziliśmy tym wasz niepokój. Jeśli jednak nie macie złych intencji, nic wam nie grozi. Lecz gdy przemoc jest waszym celem, gdzie indziej będziecie milej widziani. Jeżeli nic wam tego nie wzbrania, z chęcią poznałbym imię waszego władcy i to, co was tu sprowadza.

— Z radością przyjmujemy twoje powitanie — odparł obcy. — Nasze zamiary nie są złe, przyjacielu, i mamy nadzieję przejechać przez te ziemie, nie czyniąc żadnej szkody nikomu, kto tu żyje. W rzeczy samej, poczytałbym sobie za honor, jeśli powiedziałbyś mi, kto jest panem tego miejsca, abyśmy mogli powitać go stosownie do jego pozycji.

Llew chciał odpowiedzieć, ale go uprzedziłem.

— Dobrze radzisz sobie z mówieniem, przyjacielu. Dlaczego zatem uchylasz się od odpowiedzi na postawione ci pytanie? A może masz powód, by ukrywać imię swego pana?

— Nie odpowiem — odparł obcy ponurym głosem — ponieważ to imię jest mi przykre bardziej od wszystkich innych. Przemilczam je, aby o nim zapomnieć. Nie skłamię, jeśli powiem, że żałuję, iż kiedykolwiek je usłyszałem.

Wówczas domyśliłem się, kim byli owi ludzie i dlaczego tu przybyli.

— Zapomnijcie o waszym bólu i niedoli — rzekłem. — Być może tego nie wiecie, ale to Dobra Ręka przywiódł was tutaj. Jeśli



chcecie złożyć uszanowanie panu tego miejsca, to stoi on właśnie przed wami i jest tym, który was powitał i wyciąga do was rękę na znak pokoju.

— Nie znam tego miejsca i nie spodziewaliśmy się tu zastać nikogo, kto by nas powitał. Jeśli moje słowa czy zachowanie obraziły cię, panie, to proszę o wybaczenie. Nie było to moim zamiarem.

— Zauważyłem, że nie unikasz własnego zdania — odparł Llew swobodnie. — Jednakże nie poczułem się urażony ani twymi słowami, ani zachowaniem. Obozujemy za granią; to proste obozowisko, ale stoi przed wami otworem. Chodźmy tam, odpoczniecie.

Nieznajomi przystali na to i ruszyliśmy w górę zbocza. Llew poprosił, aby Rhoedd prowadził, sześciu nieznajomych szło za nim, prowadząc swe konie. Llew i ja szliśmy na końcu.

— Czemu powiedziałeś im, że jestem panem tego miejsca? — zapytał Llew, gdy tylko pozostali znaleźli się na tyle daleko, że nie mogli nas usłyszeć.

— Ponieważ jesteś.

— A co zrobisz, gdy dowiedzą się, że jestem panem jedynie skrawka ziemi pod drzewami?

— Nie wiesz, kim oni są?

— Nie. — Umilkł na chwilę, zastanawiając się nad tym, co zobaczył i usłyszał. — A ty wiesz?

— Tak.

— Więc?

— Ich przybycie zostało przepowiedziane.

— Powiesz mi wreszcie czy nie? A może chcesz, abym zestarzał się, dociekając, co masz na myśli?

— To są Kruki.

— Kruki? Jakie kruki?

— Szczęśliwy będzie Caledon — powiedziałem, powtarzając słowa przepowiedni banfaith — *Stado Kruków tłumnie ściągnie do jego cienistych dolin, a pieśń Kruków będzie jego pieśnią.*

— Sześciu wojowników — zauważył cierpko Llew. — Nie bardzo wielki tłum.

— Powiększy się — powiedziałem. — Zobacysz.

— Powiem ci, co widzę — odparł Llew z przekąsem. Zatrzymał się i odwrócił mnie ku sobie. — Zdecydowany jesteś wszelkimi sposobami przekonać mnie do tej przepowiedni. Wiesz, że ona nie może się sprawdzić, ale pomimo to uparcie obstajesz przy tym, aby łączyć ją ze mną.

— Obaj jesteśmy równie uparci — ty upierasz się, żeby jej zaprzeczyć — zauważyłem. — Przepowiednia była dana tobie. Awen naczelnego barda tobie został przekazany.

— Tak! — wysyczał z gniewem. — I to również zostało mi dane!

Nie potrzebowałem oczu, aby wiedzieć, że potrząsał przede mną swym kikutem.

— Nie przybyłem tu po to, aby być czyimś królem. Przebyłem po Simona — warknął — i gdy tylko uda mi się wynaleźć sposób, aby go stąd zabrać, uczynię to. To wszystko, co mam zamiar zrobić.

Odrzucił się gwałtownie i począł znowu wspinać się zboczem. Gdzieś z góry doleciał skrzekliwy głos kruka i w mej wyobraźni pojawił się obraz tego ptaka siedzącego na oparciu tronu z jelenich rogów — obraz z mej wizji. Po tym pierwszym kruk zobaczyłem i inne — wiele innych, całe stado krążące nad tronem. A wciąż przybywały nowe, dołączając do stada, jak czynią to kruki — aż w końcu niebo przesłoniła ogromna ciemna chmura. Czarne skrzydła połykiwały w blasku słońca, błyszczały czarne oczy.

— Llew! — zawołałem za nim. — Załatwmy to raz i na zawsze.

Słyszałem, jak milkły jego kroki, ale potem usłyszałem je znowu, gdy zawrócił ku mnie.

— Jak?

— Jesteś gotów to uczynić?

— Jestem gotów — oznajmił. — Co proponujesz?

— Niech wojownicy, którzy do nas przybyli — zacząłem — będą sprawdzianem.

— W jaki sposób?

— Mówię ci, że to Stado Kruków, którego przybycie zostało nam przepowiedziane.

— Znowu przepowiednia...

— Tak, znowu przepowiednia. Przepowiednia jest naszą ścież-

ką. Gofannon, cylenchar, a teraz Kruki—to światła na naszej drodze. Dzięki nim wiemy, że idziemy właściwą ścieżką.

Llew nie odpowiedział, więc chcąc go zmusić do podjęcia decyzji, zapytałem:

— Czy jeśli uwierzysz w prawdziwość przepowiedni, odsuniesz swe wątpliwości i podążysz ścieżką, która się przed tobą otwiera?

Llew zastanawiał się chwilę.

— To trudna sprawa — powiedział w końcu.

— Trudniejsza niż to, żeby jednoręki został królem?

— Chyba nie trudniejsza.

— A zatem czym się martwisz?

— No dobrze — zgodził się, tłumiąc niechęć. — Poddajmy tę przepowiednię ostatecznemu testowi. Powiedz mi teraz, kim według ciebie są ci ludzie.

Odpowiedziałem bez wahania, ufając swemu przeczuciu.

— To są Rhewtani.

— Wspaniale. — Llew splunął. — Tylko tego nam trzeba.

— Ale oni nie są szpiegami ani zdrajcami. To ludzie honoru. Cenią swój honor wyżej od życia. Albowiem, gdy ich zdradliwy pan zawarł niegodziwe przymierze z Meldronem, woleli raczej żyć jak wyrzutki, niż służyć zdrajcy.

— Porzucili swego pana. To nie budzi we mnie zbyt wielkiego zaufania.

— Nie mów, że porzucili swego władcę — odparłem. — Powiedz raczej, że szukają pana, który by był ich wart.

— Rhewtani — zadumał się Llew. — Bardzo interesujące. Ale to nie wystarcza. Co jeszcze?

— Dowiesz się, że ten, który się do ciebie zwracał, jest ich dowódcą, a jego towarzysze to najlepsi z drużyny Rhewtani. Jeśli powiesz im, kim jesteś i co planujesz w związku z tym miejscem, zaofiarują ci swoją służbę.

— Lepiej... — odparł Llew i czułem, że coraz bardziej zapala się do tego wyzwania. — Dorzuc coś jeszcze — ale to musi być coś nadzwyczajnego.

— Drobiazg cię nie zadowoli. — Zastanowiłem się przez chwilę,

utrzymując w swej wyobraźni obraz kruków. — Skoro tak — rzekłem w końcu — poznasz prawdziwość tej ścieżki, gdyż to oni są Krukami.

— Już mi to mówiłeś.

— Tak, ale oni tego nie słyszeli. I to jest ich prawdziwe imię — wyjaśniłem.—Jeśli ich zapytasz, odpowiedzą ci: Jesteśmy Krukami. Teraz się zgadzasz?

Llew wziął głęboki oddech. Wiedziałem, że uczciwie podchodzi do tej próby.

— Zgadzam się. Niech będzie, jak powiedziałeś.

## 17. Wspaniałe projekty

Nieznajomi uwiązali właśnie konie między drzewami, gdy dołączyliśmy do nich w obozowisku. Llew poczekał, dopóki nie skończą i zaprosił ich, aby usiedli z nami. Goście usadowili się wokół ogniska.

— Widzę, że jesteście ludźmi przyzwyczajonymi do lepszej kwatery — powiedział Llew. — Być może jednak bardziej wolicie towarzystwo ludzi prawych pod gołym niebem niż królewską halę i kompanię zdradców.

— Traficie w sedno, panie — odparł najbliższy z wojowników. — Wolimy raczej żyć jak wyrzutki, niż zasiadać przy jednym stole ze zdraźliwymi panami i podłymi mataczami.

— My jednak tacy nie jesteśmy — zapewnił go pospiesznie Llew. — I my woleliśmy porzucić nasze domostwa i krewnych, aby nie cierpieć nieprawości i haniebnych złoczyńców.

Wojownicy poruszyli się niespokojnie. Ich przywódca wahał się przez chwilę, po czym zapytał:

— Ty nas znasz, panie?

— Znam was — odparł z przekonaniem Llew. — Wierzę, że jesteście wojownikami Rhewtani.

— To prawda — odparł dowódca. — Jesteśmy Krukami Rhewtani.

— *Clanna na cú!* — mruknął Llew.

Usłyszałem klepięcie i domyśliłem się, że mężczyzna uderzył się otwartą dłonią po ramieniu.

— Kiedyś ten symbol przynosił nam zaszczyt...

Rhoedd mówił, że wszyscy oni mieli na prawym ramieniu niebieski tatuaż, wizerunek ptaka...

— ...teraz jest nam nienawistny. To znak hańby. — Wojownik ponownie klepnął się po tatuażu, a w jego głosie była gorycz. — Wycięlibyśmy je, gdybyśmy mogli.

— Nie — rzekł mu Llew — niech pozostaną oznakami honoru. Albowiem woleliście raczej wyrzec się swej pozycji i zaszczytów, niż służyć zdradzieckiemu królowi. Meldron mógł pozbawić szacunku waszego króla, ale nie pozwoliliście, aby i was pozbawił honoru. Za to jesteście tu mile widziani.

Nieznanymi wydali pomruk zdumienia na dźwięk imienia Meldrona.

— Kim jesteś, panie, że wiesz o tych sprawach? — zapytał poruszony wódz.

— Zwą mnie Llew. A mąż, który mi towarzyszy, to Tegid ap Tathal, naczelny bard Prydainu.

Wojownicy zakrzyknęli, słysząc te słowa, a ich przywódca powiedział:

— Ależ my o was słyszeliśmy!

— Myśleliśmy, że jesteście martwi! — dodał inny.

— Nie tak martwi, jak niektórzy by sobie życzyli — odparł Llew.

— Mówiono również, że byłeś królem Prydainu — odezwał się wyzywająco jeden z wojowników.

— Byłem... — przyznał Llew. — Ale nie jestem. Meldron zaabął o to, abym nie mógł już dochodzić swych praw.

— Co tu robisz, panie? — zapytał inny z wojowników.

— Przybyliśmy tu w poszukiwaniu schronienia i zostaniemy, aby zbudować twierdzę — odparł Llew i pokrótce opowiedział im o przymierzu z mieszkającymi na południu Galanae.

— A zatem będziesz potrzebował ludzi do pomocy — oświad-

czył zdecydowanym głosem wódz Rhewtani. — Zostaniemy, jeśli nas zechcesz.

Jego słowa były równe zobowiązaniu. A gdy mówił, wizja w mej wyobraźni nabrała ostrości. Rozległ się szelest odzienia, gdy wojownicy jeden po drugim wstawali, zwracając się w naszą stronę.

— Jestem Drustwn — rozległ się niski, uroczysty głos. Ujrzałem barczystego mężczyznę o posepnym obliczu, opanowanego i pewnego siebie.

— Jestem Emyr Lydaw — powiedział następny, a oczyma wyobraźni zobaczyłem jasnowłosego mężczyznę z ogromnym miedzianym rogiem przewieszonym przez ramię na szerokim skórzanym pasku.

— Jestem Niall — odezwał się trzeci beztroskim tonem. Ujrzałem ciemnowłosego wojownika o bystrych oczach i ustach skorych do śmiechu.

— Ja jestem Garanaw — powiedział czwarty mężczyzna głosem zdolnym krzesać iskry — człowieka o niespożytej energii, muskularnego i silnego, o rudych włosach i brodzie.

— Jestem Alun Tringad — rzekł piąty; miał miły, pełen życia głos. W mojej wyobraźni pojawił się obraz szczupłego, długonogiego mężczyzny o wysokim, szlachetnym czole i błękitnych oczach, równie skorego do bitki, co i zabawy.

— A ja jestem Bran Bresal — powiedział przywódca. Czuło się, że jest dumny ze swych ludzi. Przed oczyma mojej wyobraźni pojawił się jako potężny mężczyzna z długą, ciemną brodą i ciemnymi, długimi włosami, które miał splecione. Pewnie spoglądał na Llewa czarnymi oczami. — Prosimy, byś nas przyjął do swego ogniska, panie — powiedział, wskazując na swych ludzi.

Wystąpiłem do przodu i odpowiedziałem, unosząc rękę nad głowę:

— Wasze przybycie zostało przepowiedziane, a serdeczne przyjęcie z góry przesądzone. Oby wam dobrze było z nami i nam z wami. Obyście znaleźli przy nas to, czego szukacie. — Opuściłem rękę. — Kazałbym podać powitalny puchar, ale nie mamy piwa, by go napełnić.

— Wasze serdeczne przyjęcie jest dla nas wystarczającym pokrzepieniem — powiedział Bran. — Nie będziemy dla was ciężarem. Odpłacimy wam za to...

— Odpłacimy hojnie! — wpadł mu słowo jeden z wojowników, chyba Drustwn.

— Tak, odpłacimy bardzo hojnie — ciągnął dalej Bran. — Znajdziecie nas zawsze tam, gdzie będzie coś do zrobienia.

— Dziękujemy wam—odparł Llew. — Ale praca może poczekać; teraz odpocznijcie i odprężcie się. Musicie być zmęczeni podróżą.

— O tak, jesteśmy zmęczeni — odparł Bran — i zakurzeni też. Kąpiel byłaby dla nas błogosławieństwem.

— A zatem zażyjcie jej — powiedział Llew. — Rhoedd ma mydło i pokaże wam, gdzie się kąpiemy.

Sześciu wojowników zeszło z Rhoeddem nad jezioro. Na jakiś czas pozostaliśmy z Llewem sami.

— No to jak? — zapytałem, gdy się oddalili. — Czy teraz uznasz prawdziwość przepowiedni?

— Czy jest coś, czego byś nie wiedział? — zapytał.

— Odpowiedz mi — nalegałem. — Czy zaufasz ścieżce, która się przed tobą otwiera?

— Uczynię to, bracie — odparł Llew i dodał: — Ale chcę od ciebie coś w zamian.

— Nazwij to, a dostaniesz, jeśli będzie to w mej mocy.

— Nie będzie więcej rozmów o królowaniu.

— Llew, to...

— Mówię poważnie, Tegidzie. Nigdy więcej — rozumiesz?

Uznałem, że lepiej zostawić tę sprawę na jakiś czas w spokoju. Uczynił już pierwszy krok na ścieżce przeznaczenia; to na razie dosyć.

— Bardzo dobrze — zgodziłem się. — Nie będę więcej mówił o królowaniu.

— Kruki — mruknął pod nosem Llew. — Któż by się spodziewał?

— Słuchaj! — powiedziałem.

Umilkliśmy, a dźwięk, który zwrócił moją uwagę — początkowo

urywany i niepewny — przeszedł w pieśń: wojownicy śpiewali, schodząc nad jezioro.

— Szczęśliwy będzie Caledon — powiedziałem. — Stado Kruków zaludni jego cieniste doliny...

— A pieśń Kruków będzie jego pieśnią — dokończył zdanie Llew. I rzeczywiście, gdy dotarli na brzeg jeziora, ich głosy rozbrzmiały silnym echem i wypełniły dolinę nowym dźwiękiem. — Dobrze śpiewają.

Llew i ja dołączyliśmy do ludzi nad jeziorem; gdy skończyli się kapać, Llew pokazał im, gdzie zbudujemy twierdzę. Pomysł wzniesienia crannogu zawojował ich wyobraźnię i ochoczo zaoferowali swą pomoc przy budowie. Myślę, że z miejsca zabrałoby się do dzieła, gdybym nie zwrócił im uwagi na brak narzędzi.

Szczęśliwie nie trwało to zbyt długo. Pierwsze wozy z zapasami przybyły trzy dni później. Prowadził je sam Cynan, a towarzyszyła mu grupa ponad dwudziestu ludzi. Osiem ciągnionych przez woły wozów pełnych narzędzi, prowiantu i materiałów. Do tego siedem koni — pięć klaczy i dwa ogiery na założenie stada — i cztery psy myśliwskie, które dadzą początek sforze. W drużynie robotników jedenastu było budowniczymi, niektórzy z nich przywieźli z sobą żony i dzieci.

— Zostaną z tobą do czasu zbudowania twierdzy — wyjaśnił Cynan, gdy skończyliśmy powitanie. — Opowiedziałem ojcu o twoich planach. Cynfarch uznał, że to wspaniały projekt i przysiągł starać się o zaopatrzenie, dopóki sam nie będziesz mógł o nie zadbać. Gorąco pragnie mieć w tobie silnego sojusznika na północy. — Przerwał na widok zbliżającego się Brana. — A wygląda mi na to, że ten dzień nastanie już wkrótce.

— To jest Bran Bresal — powiedział Llew — przywódca Kruków. Zostali z nami, aby pomóc nam w budowie Dinas Dwr.

Zauważyłem, że Llew pominął milczeniem fakt, iż Bran i jego wojownicy pochodzą z ludu Rhewtani.

— Niech Cynan ich najpierw pozna — wyjaśnił mi potem. — Po co go niepokoić? — Uznałem, że w tym wypadku milczenie Llewa było godne pochwały.



Cynan i Bran przywitali się, a potem Cynan kazał podać puchar.

— Wypijmy za nowych przyjaciół i wspaniałe projekty!

— Cynan, jesteś zdumiewający! — roześmiał się Llew. — Z chęcią wzniosłbym toast na powitanie, ale jak wiesz, nie mamy piwa.

— Czyżby? — zdumiał się Cynan. — A co robi ten parujący kocioł na twym palenisku?

Księżę przywiózł własny kocioł do grzania piwa i polecił swym ludziom, aby ustawili go na ogniu. Usłyszałem plusk, gdy napełniano puchar.

— Za nas! — zakrzyknął Cynan. — *Báncaraid gu bráth!*

— *Sláinte môr!* — zawołaliśmy w odpowiedzi, podając sobie z rąk do rąk puchar pełen pianistego piwa.

Tego wieczoru dobrze sobie podjedliśmy, a gdy płomień strzeiliły wysoko, zaśpiewałem Bitwę drzew, pieśń o braterstwie i wspólnej sprawie, pieśń zagrzewającą ludzi do działania.

Następnego ranka zaczęła się praca. Budowniczowie zgromadzili narzędzia i materiały na łące, powyżej miejsca wybranego na jeziorze. Llew, Cynan i ja ustaliliśmy plan z naczelnikiem robotników — mężczyzną o imieniu Derfal, który był mistrzem budowlanym króla Cynfarcha. W czasie naszej rozmowy jego ludzie oczyścili grunt pod kilka chat. Tymczasem wojownicy przystąpili do ścinania drzew na budulec — na chaty i na łodzie. Potrzebowaliśmy sześciu — ośmiu solidnych, szerokich łodzi do przewozu kamieni i drewna na budowę siedziby na wodzie.

Przez pierwsze dni o naszej aktywności świadczył głównie widok wołów ciągnących z lasu kłody na łąkę. Potem szybko wzniesiono chaty dla budowniczych i łodzie zaczęły oblekać się w kształty. W końcu spuszczone je na wodę i prace konstrukcyjne zaczęły się na dobre. Nasz niegdyś spokojny obóz w lesie stał się teraz miejscem pełnym radosnej wrzawy i krzątania.

Od ranka do wieczora w lesie rozbrzmiewały uderzenia siekier i porykiwania wołów. W obozowisku wrzało od głosów kobiet piekących chleb i mięso dla wiecznie głodnych robotników. Brzeg jeziora wypełniały dziecięce śmiechy i psie poszczekiwanie. Powie-

trze tętniło odgłosami energicznych działań; nad doliną rozpostarła się tęcza radości. Chodziłem to tu, to tam, przysłuchując się wszystkiemu. A wszędzie czułem radość. Szczęśliwy Caledon, pomyślałem.

Przygotowano długie drewniane słupy: pięć starannie dobranych dębowych bali, okorowanych i ociosanych, a potem kolejnych pięć. Z wielką ostrożnością i ogromnym trudem spławiono je na środek jeziora. Zostały ustawione na dnie, tak aby czubki wystawały nad powierzchnię wody. Potem budowniczowie i ich pomocnicy zaczęli przeprować łodzie po burty wyładowane kamieniami. Łodzie krążyły bez ustanku. Kamienie zrzucano wokół każdego z dębowych słupów, przytwierdzając je do dna.

Owych pięć słupów połączono pięcioma kłodami, przywiązując je do części wystających nad wodę i formując w ten sposób pięciokąt, którego boki połączyła na koniec solidna plecionka z dębowych gałęzi. Tak powstała platformę najpierw przykryto kamieniami, a potem ziemią. Na pokrytej ziemią platformie zostanie wzniesione pierwsze drewniane okrągłe domostwo.

Do tego siedliska dołączy drugie, a potem kolejne — aż powstanie dwadzieścia małych crannogów, połączonych mostami i kładkami i otoczonych solidną drewnianą ścianą. Nie skończono jeszcze budować pierwszego crannogu, a już zaczęto wznosić następny.

A wszystko odbywało się pod czujnym okiem Llewa. Zawsze można go było znaleźć wśród budowniczych. Pracował z nimi, a wieczorami omawiał z Derfałem plan pracy na następny dzień. Cynan również udzielał się nadzwyczajnie. Prawdę powiedziawszy, traktował wznoszenie Dinas Dwr jak własne przedsięwzięcie. Myślę, że po raz pierwszy miał do wykonania prawdziwe zadanie, zadanie konkretne i ważne. Z pewnością jego ojciec, zdolny władca, nie należał do tych, którzy pokładają w innych zbyt duże zaufanie; w domu swego ojca na Cynanie nie spoczywała pewnie zbyt wielka odpowiedzialność. Toteż przedsięwzięcie Llewa stało się niemal jego własnym i oddał mu się z wielką pasją.

Maffar upłynął na wytężonej pracy. Nastąpiła rhylla, pora zbierania plonów, przynosząc z sobą długo oczekiwaną ulgę chłodniejszych

dni i nocy. Zamierzaliśmy pracować, jak długo utrzyma się dobra pogoda, a jeszcze wiele ciepłych dni czekało nas do lodów i wichrów sollen.

Cynan pozostał, jak mógł najdłużej, ale w końcu oznajmił, że musi wracać na południe.

— Wkrótce zacznie się harvest i będę potrzebny do zbierania daniny dla króla — wyjaśnił. — Ale wrócę przed śniegiem z zapasami, aby zabezpieczyć was na sollen.

— Jesteś mi przyjacielem i bratem — powiedział Llew, gdy Cynan i jego towarzysze dosiedli koni; Cynan zabierał z sobą czterech wojowników, ale reszta zostawała z nami. — Poczekaj z powrotem, aż pogoda się znowu poprawi. Jestem pewny, że dotrzemy do gyd na tym, co nam przywiozłeś pierwszym razem.

Cynan nie zwrócił uwagi na tę propozycję.

— Przyniosę ci wieści ze świata — powiedział.

— Ruszaj zatem — odparł Llew — szczęśliwej podróży! Wróc, gdy będziesz mógł.

Po odjeździe Cynana zeszliśmy nad jezioro. Słyszałem głucho uderzenia siekier, to budowniczowie rąbali i obciosywali bale. Słyszałem powolne dudnienie ziemi, gdy woły ciągnęły kłody na składowisko drewna. Słyszałem, jak dzieci rozpryskiwały wodę, bawiąc się na brzegu jeziora.

Usiedliśmy na kamieniach pomiędzy pachnącymi sosnowym igliwem ścinkami i rozważyliśmy wszystko, czego dokonaliśmy: dwa ukończone crannogi — pierwszy z dwoma dużymi domostwami i składem — i trzeci zaczęty; na łące zagroda dla wołów i koni; dwie chaty budowniczych na narzędzia i materiały i cztery obszerne domostwa na brzegu jeziora. To był dobry początek.

— Dobrze się spisaliśmy — powiedział Llew. — Teraz to na coś wygląda. Szkoda, że tego nie widzisz, Tegidzie.

— Ależ ja to widziałem — rzekłem mu. — Wszystko to widziałem.

— Tak, ale widziałeś to w przyszłości. Tymczasem...

— Widziałem to w przyszłości i takie, jakie jest teraz. — Do-

tknąłem palcami czoła. — Podczas naszego tutaj pobytu moje zdolności zwiększyły się.

— Naprawdę?

— Przychodzi, kiedy chce — jak awen — nie mogę mu rozkazywać. Czasami pojawia się sam z siebie, ale często przywołuje go jakieś słowo. Lub dźwięk. Nigdy nie wiem, kiedy się obudzi. Jednakże za każdym razem widzę więcej.

Chłodne noce rhylla przyniosły mgły nad jeziora i jasne, złociste dni rozpalone blaskiem słabnącego słońca. Słoneczne dni przeszły jednak w szare, niczym ogień w popiół — niczym ogień samhain, który znaczy początek nowego roku: tak jasny, gdy rozbłyśnie na szczycie wzgórza, broniąc swym jasnym blaskiem dostępu pełnej niebezpieczeństw nocy. Ale ogień w końcu zmienia się w szary popiół — szare, deszczowe dni, ciągnące się bez końca, dopóki skradające się ciemności nie dopadną ich i nie porwą w dal.

Po samhain często wyczuwałem w powietrzu zimę. Sierść koni i wołów zrobiła się miękka, gęsta i długa. Wojownicy polowali, łowili ryby i rąbali drewno na porę śniegów. Kobiety zaprawiały mięso — część wędziły, resztę soliły; piekły twarde, czarny chleb, który pozwoli nam przetrwać zimę. Dzieci osłoniły swe opalone ciała ciepłymi wełnianymi płaszczami i nogawkami. Budowniczo wie nacierali na noc tłuszczem swe narzędzia i chowali w chatach, aby ochronić je przed zardzewieniem.

Przenieśliśmy się z naszego obozowiska pomiędzy drzewami do domostw na brzegu jeziora. Była nas niecała trzydziestka, więc cztery duże domostwa pomieściły nas wygodnie... dopóki nie przybyli pierwsi uchodźcy.

## 18. Wyzwanie

Cynan wrócił w pierwszą pełnię po samhain. Przyprowadził z sobą siedmiu wojowników i pięć wozów wyładowanych zapasami — ziarnem na mąkę i siew: owsem, jęczmieniem i żytem — oraz

towarami zbyt drogimi: miodem, solą, ziołami, płótnem i garbowaną skórą. Przywiózł także nowe włócznie, miecze i tarcze dla wszystkich wojowników. A także, jakby po to, byśmy nie popadli w zbyt nie samozadowolenie od tego nadmiaru bogactw, przywiódł z sobą trzydziestu wyczerpanych Eothaeli — umierających z głodu, z poranionymi stopami — niedobitków z plemienia, które odmówiło poddaństwa i płacenia daniny Meldronowi, za co zamordowano na ich oczach króla, drużynę i krewniaków, ich ker spalono, a bydło wprowadzono.

— Nie wiedziałem, co z nimi począć — tłumaczył się cicho zmieszany Cynan. — Błądzili po wrzosowiskach. Przemarznięci i głodni... z dziećmi — nie mieli dokąd pójść.

— Dobrze postąpiłeś — powiedział Llew.

— Bez broni, bez zapasów — szybko by zamarli — mówił dalej Cynan. — Gdybym wcześniej to wiedział, przywiózłbym więcej ziarna. A tak nie mogę...

— Nie martw się, bracie — zapewnił go szybko Llew. — To właśnie dla nich i im podobnych budujemy Dinas Dwr. Przeprowadź ich.

Eothaeli stali na uboczu, niepewni przyjęcia. Llew, Cynan i ja przemówiliśmy do nich—ośmiu mężczyzn, piętnastu kobiet, dzieci, wśród których było kilkoro niemowląt. Llew powiedział im, że nie mają się czego obawiać: otrzymają jedzenie i odzienię, zostaną otoczeni opieką, a jeśli zechcą, będą mogli zostać. Oni jednak nadal nie bardzo skłonni byli uwierzyć w tę szczęśliwą odmianę losu.

Dziecko zakwiliło — cichym, płaczącym głosem — i szybko zostało uciszone przez matkę. Ten dźwięk ożywił oczy mojej wyobraźni i ujrzałem przemoczoną gromadkę wyczerpanych ludzi, zmęczonych i niespokojnych, spoglądających lękliwie i pośpiesznie. Najbliżej nas stał wychudzony mężczyzna ze skamieniałą twarzą. Ramię miał zawinięte przesiąkniętą krwią szmatą. Wyglądał na przywódcę tej grupy — która składała się z niedobitków trzech rodzinnych klanów.

— Nie zasłużyliśmy na tak haniebne traktowanie. Nie jesteśmy wyrzutkami — odpowiedział wychudzony mężczyzna głosem peł-

nym oburzenia. — Zostaliśmy zaatakowani bez powodu; nasza warownia została zniszczona, ludzie wymordowani, a bydło uprowadzone. Uniknęliśmy śmierci — ale nawet śmieć jest lepsza od hańby.

— Jesteście tu mile widziani — powiedział Llew. — Co w tym haniebnego? Chyba że uważacie, iż nasza gościnność uwłacza waszej godności.

— Jesteśmy Eothaeli — poinformował Llewa lodowato mężczyzna. — Nie jesteśmy jakimś mało znaczącym ludem, aby traktować nas nie lepiej od bydła.

Llew pochylił się ku mnie i dotknął mego ramienia.

— Ty z nimi porozmawiaj, Tegidzie. Ja zaczynam się powtarzać.

Eothaeli byli niezależnym plemieniem. Zamieszkują — a raczej zamieszkiwali — południe Llogres, trzymając się swego skalistego wybrzeża z nieustępliwością pijawki. Znali byli z zawziętości, z jaką chronili swe małe klany, chociaż nie wiadomo było, aby posiadali jakieś bogactwa w złocie czy bydło, nie słynęli też z wielkiej biegłości w walce. Nie miałem pojęcia, co Meldron miał nadzieję osiągnąć, napadając na nich. Kilka okrętów, być może, i trochę chudych krów.

Eothaeli zaczęli ponuro pomrukiwać między sobą. Uniosłem laskę i uderzyłem mocno o ziemię.

— Cisz, tępogłowi! — oznajmiłem ostro. — Wysłuchajcie naczelnego barda Prydainu!

To ich uciszyło. Nie śmieli sprzeciwić się bardowi. Llew próbował zapewnień; ja wybrałem bardziej bezpośrednie podejście.

— Wstydu nie macie! Czyżbyście byli aż tak źle wychowanymi i pozbawionymi wdzięczności gośćmi, że odrzucacie zaproponowany wam dar przyjaźni? Przybyliście samotni i z pustymi rękoma, ale my was nie odpędziliśmy. Ciepło naszego ogniska i was może ogrzać, jeśli zgodzicie się na to. Czemu sterczycie tu niczym jeńcy?

Uniosłem laskę i wskazałem na ich przywódcę.

— Jak się nazywasz?

— Iollan — odparł uprzejmie wychudzony człowiek, po czym zacisnął usta.

— Wysłuchaj mnie zatem, Iollanie z Eothaeli. Idź za głosem własnego rozumu. Zaproponowaliśmy wam naszą gošcinę. Tobie pozostaje przyjąć ją lub odrzucić. Wybór należy do ciebie. Jeśli zostanieie, będzie traktowani uczciwie. Jeśli jednakże zdecydujecie się odejść, to odejdziecie tak, jak przyszlście: sami i bez żadnego wsparcia.

Iollan zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział.

— Uparty głupiec — szepnął Cynan.

— Zostawmy ich, niech to sobie przemyślą — powiedział Llew, po czym odwrócił się i odszedł.

Cynan i ja ruszyliśmy za nim, ale nie uszliśmy nawet dziesięciu kroków, gdy przywódca przybyłych zawołał za nami:

— Przyjmujemy waszą propozycję! Zostaniemy — ale jedynie do czasu, gdy nabierzemy dość siły, aby odejść.

Llew odwrócił się.

— Dobrze. Możecie robić, co się wam podoba. Nie stawiamy wam żadnych warunków.

Zaprowadziliśmy ich do domostw na łące i zadbaliśmy, aby każdy z nich znalazł miejsce. Początkowo chciałem przeznaczyć dla nich osobną chatę, ale Llew sprzeciwił się temu.

— Nie, rozproszmy ich lepiej pomiędzy naszymi ludźmi — szybciej wejdą w tutejsze życie. Nikt nie powinien czuć się obcy w Dinas Dwr.

Zgodnie z tą sugestią rozmieściliśmy po kilku uchodźców w każdej chacie. W jeden dzień podwoiła się liczba mieszkańców i cztery domostwa nie były już tak wygodne jak poprzednio. Ale gdy mroźne wichry zawyją nocą w strzechach, będzie nam cieplej dzięki bliskości naszych towarzyszy.

Sollen nadeszła zimna i mokra, ale nas nie zaskoczyła. Nasze domy były przytulne, a na paleniskach trzaskał jasny ogień. Wiele wieczorów spędziliśmy stłoczeni w największej chacie. Brałem wówczas do rak harfę i śpiewałem pieśni, które przetrwały od początków istnienia tego ziemskiego królestwa. Śpiewałem Opowieść o Ptakach Rhiannon, Pieśń o Źródle Mathonwy; śpiewałem o Manawddan i Tylwycie Tegu, o Cwn Annwn oraz Opowieść o Srebr-

nym Kole Arianrhod i wiele innych pieśni. Śpiewałem, aby odpędzić chłód sollen, a dni stawały się stopniowo coraz dłuższe.

Gdy w końcu gyd zachęcił zielone kiełki, aby wystawiły swe główki nad ziemię, uchodźcy nie wspominali już więcej o odejściu. Byli jednymi z nas; a ich przekora — zrodzona z dumy i obawy — ustąpiła miejsca nieugiętemu postanowieniu, by przejąc na swe barki część ciężaru związanego z powiększeniem naszej osady. Palili się, aby odpłacić za okazaną im dobroć, a ich wdzięczność przyjęła formę przygniatającej krzyż harówki: oczyszczali dno doliny pod zasiewy, przewozili łodziami niezliczone ładunki kamieni do budowy crannogów, doglądali koni i wołów, rąbali drwa, orali, gotowali.

Tam, gdzie było coś do zrobienia, zawsze można było znaleźć jednego z Eothaeli, radosnego, niezmordowanego, o ruchach pełnych gracji. Pracowali ciężej niżli niewolnicy. W rzeczy samej, gdybyśmy zrobili z nich niewolników, nigdy nie udałoby nam się zmusić ich do harówki, której sami się podejmowali.

— Ci ludzie nie są tacy jak my, Cynanie — oświadczył Llew pewnego dnia, spoglądając na świeżo zaorane pole. — Nigdy nie widziałem tak ochoczo pracujących ludzi. Upokarzają nas swą pracowitością.

— A zatem musimy pracować ciężej — odparł Cynan. — Nie godzi się, aby szlachetne klany Caledonu dały się prześcignąć komukolwiek.

Usłyszał to stojący w pobliżu Alun Tringad i oznajmił głośno:

— Nie myśl nawet o doścignięciu Eothaeli, dopóki nie przegonisz Rhewtani — a to jest niemożliwe.

Cynan podniósł się, aby stawić czoło przechwałkom Rhewtani.

— Gdyby lud Llogres potrafił tak ciężko pracować, jak się przechwala, to może bym ci uwierzył. Ale widząc to, co widzę, nie wiem, czego mógłbym się bać.

— Czyżby, Cynanie Machae? — odparował Alun. — No to otwórz oczy, chłopie! Czy to pole samo się zaorało? Czy to drewno samo się porąbało? A kłody same powaliły się i sturlały nad jezioro?

— Prędzej zobaczyłbym, jak pole samo się orze, drewno samo



rąbie, a kłody turlają nad jezioro, niżli pług, siekiera lub witka na woła zdążają do twej dłoni, Alunie Tringadzie!

Inni słyszeli tę wymianę zdań i przystanęli, aby popatrzeć; śmiali się głośno z odpowiedzi Cynana. Ktoś zachęcał Aluna, by zmusił Cynana do wyplucia tych słów.

— Bracie, do głębi serca zraniłeś mnie szorstkimi słowami — wyrzekł Alun ponuro. — Widzę tylko jeden sposób uratowania swego honoru. Zmierzymy się, pracując cały dzień, a pożałujesz nierozważnych słów.

— Chyba że namówisz mnie do poddania się — odparł Cynan. — Zmierzę się z tobą w ciągu jednego dnia pracy i zobaczymy, który z nas jest lepszy. — Odwrócił się do mnie. — Jutro będziemy obaj orać, rąbać drewno i ściągać kłody. Od wschodu do zachodu słońca będziemy pracować. A ty orzekniesz, który z nas zrobił więcej.

— Przystajesz na to, Alunie? — zapytałem.

— Oczywiście — odparł beztróskim tonem Alun. — Nawet gdyby miało to trwać siedem wschodów i siedem zachodów słońca — czy nawet siedemdziesiąt siedem — nie uznałbym tego za ciężką próbę. Lecz jeden dzień wystarczy. Nie chciałbym zmęczyć zbytnio Cynana, wiem, jak ceni sobie wypoczynek.

Odpowiedź Cynana była ostra niczym cierni.

— Doceniam twoją dbałość, Alunie Tringadzie, ale nie musisz mieć względem mnie skrupułów. Zaoram dziesięć połaci ziemi i jeszcze będę miał czas na odpoczynek, podczas gdy ty nie zaprzęgniesz nawet wołów!

— Niech więc tak będzie! — zawołałem. — Jutro wszyscy będziemy obserwować ten cud. I przekonamy się, kto jest godny stanąć u boku Eothaeli.

Tego wieczoru przy kolacji czyniono zakłady o to, kto zwycięży. Rhewtani głośno popierali Aluna, a Galanae Cynana. Obie grupy obstały swych przywódców, dodając im otuchy. Zauważyłem jednak, że Eothaeli nie zakładali się z innymi, choć też włączyli się do zabawy, zagrzewając najpierw Cynana, a potem Aluna.

Cynan i Alun dobrze spali tej nocy. Obudzili się następnego ranka o świcie i udali się do zagrody wołów, aby nałożyć jarzmo na swe

zwierzęta i zaprzac je do pługów. Wszyscy poszli za nimi, śmiejąc się i wykrzykując słowa zachęty to do jednego, to do drugiego z zawodników. Dzieci pobiegły przodem, podskakując i wypełniając dolinę echem wesołych okrzyków.

Pokpiwając z siebie dobroduszne, przeciwnicy ujęli jarzma i rozpoczęły się zawody. Cynanowi udało się zaprzac woły, nim Alun zdążył nałożyć jarzmo pierwszemu. Wyprowadzając swój zaprzęg z zagrody, zawołał przez ramię do Aluna:

— Przyzwyczaj się do oglądania mych pleców, bracie! Będiesz się cieszył tym widokiem przez cały dzień!

— Twoje plecy nie są tym, czym można się delectować, Cynanie Machae! Nie taki widok będę oglądać—z wyjątkiem chwili, gdy pochylisz się, aby ucałować me stopy po przegranej.

Cynan opuścił zagrodę dla bydła, dławiąc się ze śmiechu. Poprowadził swa parę wołów na połąć gruntu, który oczyszczono poprzedniego dnia pod orkę; wrył głęboko w nienaruszoną ziemię ostrze pługa i wziął do ręki wierzbową witkę.

— Wio! Wio! — zakrzyknął i usłyszał trzaśnięcie wierzbowego bata, potem ciche stęknienie, gdy pług rozciął ziemię. Poczulem zapach świeżo wzruszonej, dobrej, czarnej ziemi i usłyszałem cichy pomruk wołu. To otworzyło oczy mojej wyobraźni. Zobaczyłem, jak woły napięły karki i pochylały łby. Pług zadygotał i ruszył; Cynan napał całym ciężarem na czepigę, wbijając ostrze w porośniętą trawą ziemię. W miejscu przejścia pługa pojawiła się pośród zieloności czarna szrama.

Cynan nakreślił prostą, głęboką bruzdę do końca oczyszczonego pod orkę placu. Zawrócił woły i ruszył z powrotem przy wtórze zachęcających okrzyków tłumu. Skończył drugą bruzdę, gdy minął go Alun spieszący ze swym zaprzęgiem do rozpoczęcia orki.

— Nie spiesz się, przyjacielu! — zawołał Cynan. — To pole zaraz będzie skończone.

— Orz dalej, Cynanie Machae — odparł wesoło Alun. — Ty będziesz pracował jeszcze na pierwszym polu, gdy ja skończę już dwa następne.

Wszyscy roześmiali się, a ci, którzy postawili na Cynana, zaczęli

nalegać na podniesienie zakładów. Zwolennicy Aluna podjęli wyzwanie i porobiono nowe zakłady.

Alun dotarł na miejsce rozpoczęcia orki; odstawił pług i poszedł na czoło swego zaprzęgu.

— Piękne zwierzęta! — zawołał głośno, by wszyscy go usłyszeli. — Spójrzcie na tę wspaniałą ziemię przed wami. Spójrzcie na błękitne niebo i wschodzące na czerwono słońce. To dobry dzień do orki. Dokonacie dziś cudu. Dalej, pokażmy tym maruderom, jak się orze!

Potem podniósł grudkę ziemi, rozkruszył ją w dłoniach i natarł ziemią pyski wołów. Niektórzy z patrzących wybuchnęli śmiechem, a ktoś zakrzyknął:

— Alunie, czyżbyś chciał, aby wyżarły ci bruzdę w polu?

Pewny siebie Kruk nie odpowiedział. Podszedł jeszcze bliżej do swych zwierząt i szepnął im coś do uszu, a potem zajął miejsce za pługiem. Nie krzyknął ani nie użył witki, ale jedynie cmoknął.

Na ten delikatny rozkaz zwierzęta ruszyły ociężale. Pług gładko ciął ziemię, a Alun Tringad szedł za nim, cmokając i nucąc zachęcająco swemu zaprzęgowi. W ten sposób dotarł do końca pola i ruszył z powrotem — a wszystko to z o wiele mniejszym wysiłkiem, niż można by się spodziewać. Z pewnością mniej się zmęczył niż Cynan.

Zaprzęg Aluna orał równo, krojąc grubo darni i pozostawiając za sobą prostą, głęboką bruzdę. Z kolei Cynan pokonał drogę do końca drugiej bruzdy, zawrócił swój zaprzęg i strzelając wierzbową witką, zaczął z wysiłkiem przeć z powrotem. Pług w rękach Cynana dygotał i podskakiwał, gdy jego ostrze uderzało o kamienie; Cynan napinał swe szerokie bary, mocując się z pługiem i zaprzęgiem. Wydawało mi się, że naciskał zbyt mocno — tak jakby chciał przepchnąć lemiesz przez ziemię własną siłą — i ziemia stawiała mu opór.

Alun, wesoło zachęcając zwierzęta, zdawał się z łatwością przesuwając ostrze w ustępliwej ziemi. Jego zaprzęg ciągnął równo i gładko. Kawałek po kawałku zaczynał odzyskiwać straty do zaprzęgu Cynana.

Orali bruzdę za bruzdą. Lemiesz odwracał długie skiby żyznej, czarnej ziemi. Zleciały się ptaki, aby skakać pomiędzy świeżymi

brzdami. Słońce podeszło wyżej, dzień stał się pogodny i ciepły. Cynan zobaczył, że jego przewaga topnieje i podwoił wysiłki. Pokrzykiwał i smagał woły wierzbową witką, zmuszając je, aby ciągnęły jeszcze bardziej. Silne zwierzęta pochyliły łby, nosami niemal dotykały ziemi; ich wielkie muskularne ciała naparły na drewniane jarzmo, ciągnąc oporny pług.

Pomimo całego wysiłku, Cynan nie potrafił jednak przeszkodzić zbliżaniu się zaprzęgu Aluna. Krok po kroku, delikatnie zachęcane woły Aluna dogoniły ciężko wysiłający się zaprzęg Cynana... i minęły go.

Zwolennicy Aluna okrzykiem powitali zakończenie ostatniej bruzdy. Alun odczepił pług; odprowadził woły od świeżo zaoranego pola, machając do wszystkich radośnie. Cynan, z zaciśniętymi szczękami, pochyłonym czołem, skończył orać pole, wyprzągnął zwierzęta i pospieszył za Alunem, który już zniknął w lesie z siekierą w dłoni. Za nim ciągnął zboczem strumień ludzi.

— Zdaje się, że nikt tu dzisiaj nie będzie pracował oprócz Cynana i Aluna—zauważyłem, gdy tłum się oddalił, spiesząc w ślad za Cynanem.

— Dajmy im dzień wolnego — odparł Llew. — Zasłużyli na to. — Nagle naszły go wspomnienia. — W moim świecie - powiedział wolno — ludzie mieli zagwarantowany dzień wolny od pracy — jeden na każde siedem. Dawniej był to pilnie strzeżony dar, choć dziś nikt go już za taki nie uważa.

— Jeden dzień na siedem—powtórzyłem, rozważając ten pomysł. — To niecodzienny zwyczaj, ale nieobcy. Czasami bardowie domagali się tego i królowie przyznawali wolny dzień swemu ludowi.

— A zatem i my wydajmy podobne rozporządzenie.

— Niech tak będzie! Każdego siódmego dnia lud Dinas Dwr będzie odpoczywał od pracy — zgodziłem się.

— Dobrze, powiemy o tym innym — rzekł Llew. — Ale jeszcze nie teraz. Dołączmy do Cynana i zdopingujmy go do zwycięstwa.

Cynan przystanął na chwilę, aby wybrać solidną siekierę ze składu na brzegu jeziora. Dogoniliśmy go, gdy prowadził woły nadbrzeżną ścieżką do lasu.

— Dobrze się spisałeś, Cynanie — powiedział Llew, a ja nie mogłem się powstrzymać i dodałem:

— Chociaż myślałem, że sporo wyprzedzisz Aluna.

— A ja myślałem, że nigdy nie skończę. Nigdy jeszcze nie orało mi się tak trudno. Widziałeś, jakie wielkie były te kamienie? Głazy! A te woły to najbardziej uparte zwierzęta na ziemi!

— Nie martw się, bracie — powiedział Llew. — Dogonisz go. W siekierze Alun ci nie dorówna!

— Czy j a martwię się kimś takim jak Alun Tringad? — prychnął Cynan. — Niech rąbie, jak chce, i tak wprawię go w osłupienie! Choćby na każde moje uderzenie odpowiadał pięćdziesięcioma, ja i tak powalę więcej drzew od niego!

Nim dotarliśmy do przesieki, gdzie ścinano drewno na budowę crannogów, Alun zdążył zrobić dobry początek. Wielka sosna chyliła się już ku upadkowi. Stojący wokół gapie każdemu uderzeniu siekierzy wtórowali okrzykami.

Cynan wybrał sobie drzewo podobnej wielkości, splunął w dłoń, wziął siekierę i swobodnie, rytmicznie zaczął rąbać. Jego zwolennicy dopingowali go hałaśliwie i wkrótce przesieka rozbrzmiała uderzeniami siekier i wesołymi głosami.

Alun pierwszy powalił drzewo — czym sprawił ogromną radość patrzącym, którzy podnieśli triumfalną wrzawę. Nie tracił ani chwili, natychmiast przystąpił do ścinania górnych gałęzi sosny. Gdy tylko oczyścił pień z największych konarów, obciął czubek drzewa i przyczepił jeden koniec łańcucha do kłody, a drugi do żelaznego koła jarzma.

Potem cmoknął i wół postąpił kilka kroków do przodu. Kłoda się obróciła i Alun szybko zatrzymał zaprzęg; wrócił do drzewa i skończył oczyszczać pień z gałęzi. Szybko rzucił się na czoło zaprzęgu i zaczął ściągać kłodę z przesieki przy wtórze oklasków swych zwolenników.

— Nie martw się, Cynanie! — zawołał, gdy odchodził. — Zostawię ci trochę drzew do ścięcia, tych najmniejszych!

— Mną się nie przejmuj, Alunie Tringadzie — odparł Cynan przez zaciśnięte zęby. Zamachnął się z całej siły siekierą, a jej ostrze

wbiło się głęboko. U jego stóp leżała już okazała sterta odrąbanych kawałków pnia. — To Cynan we własnej osobie będzie czekał na ciebie z pucharem w dłoni, gdy skończysz.

— Chcesz się założyć o to, czyje dłonie będą trzymać ten puchar? — zapytał Alun przystając.

Cynan znowu zamachnął się siekierą. Poleciał kolejny kawałek drewna.

— Ludzie nazwą mnie złodziejem za przejęcie twych skarbów — odparł.

— Niech sobie myślą, co chcą — powiedział Alun. — Dwie złote bransolety za twój torques — co ty na to?

Ci, którzy znali Cynana, pomrukiem powitali tę propozycję. Błękitne oczy Cynana pociemniały, a uśmiech zamarł mu na ustach.

— Twoje złoto nie jest warte dziesiątej części mego torquesu — odparł pośpiesznie.

— A zatem trzy złote bransolety.

— Siedem.

— Cztery.

— Przynajmniej pięć — zażądał Cynan. — I dwa pierścienie!

— Zgoda! — zawołał Alun, po czym odszedł do swego zaprzęgu. Cmoknął i woły mozolnie ruszyły, ciągnąc za sobą kłodę.

Cynan wrócił do pracy. Jeśli przedtem pracował z determinacją, teraz uwijał się nie na żarty — najszybciej, jak mógł. Twarz mu płonęła i zdawało się, że zapalą się od niej jego rude włosy.

— Obawiam się, że Alun przypieczętował swój los — zauważył Llew po tej wymianie zdań. — Cynan mógł pozwolić, by Alun go pokonał, ale nigdy nie dopuści do utraty tego torquesu.

Przy dźwiękach siekiery Cynana Llew opowiedział mi, jak zaprzyjaźnił się z Cynanem w szkole Scathy.

— To wszystko dzięki temu torquesowi — powiedział Llew. — Wówczas cenił go sobie bardziej od życia, choć zdaje mi się, że teraz ceni go nieco mniej. — Zachichotał. — Był nie do wytrzymania! Hardy, nadęty... Będę z tobą szczerzy, Tegidzie, słońce nigdy nie przyćmiło jego próżności.

Rozległ się głośny trzask i przeciągły, niski jęk, gdy drzewo się

pochyliło, a potem uderzyło o ziemię. Cynan już przy nim był, odrąbywał konary i gałęzie. Jego zwolennicy wspierali go okrzykami, on tymczasem podczepił woły do kłody, obrócił ją i skończył oczyszczać, odrąbując wierzchołek, już gdy woły zaczął ją odciągać.

Alun wrócił na przesiekę i zaczął zrąbywać następne drzewo. Ale bardzo szybko do uderzeń jego siekiery dołączyła siekiera Cynana, który pędem powrócił na przesiekę. Alun nie zdawał sobie sprawy z burzy, jaką obudził, ale wkrótce miał poznać jej siłę, albowiem następnym powalonym drzewem była sosna Cynana, ten zaś oczyścił pień i odrąbał wierzchołek, nim on powalił swoją.

Zwolennicy Cynana na widok odciąganej kłody wznieśli radosne okrzyki. Zwolennicy Aluna poczęli zachęcać go do większej szybkości, czym przyspieszyli rytm uderzeń jego siekiery. Drzewo zajęczało pod ostrzem, a potem runęło. Wkrótce oczyścił je i odrąbał wierzchołek, a woły poczęły wolno odciągać kłodę.

Zawody zaczęły się na dobre. Po pierwszych padły następne drzewa, zostały oczyszczone i odciągnięte na brzeg jeziora — zawodnicy przystanęli jedynie po to, by wziąć kilka łyków wody i pobiegli do dalszej pracy. Słońce podniosło się jeszcze wyżej, zalewając światłem wierzchołki drzew i przesiekę. Dwaj rywale oczekali z wysiłku potem. Zdjęli koszule i rąbali drzewa, znosząc dzielnie trudy pracy, jak na prawdziwych wojowników przystało. Torques Cynana połyskiwał na jego szyi; niebieski kruk na ramieniu Aluna zdawał się wzbijać w powietrze, gdy pod skórą kurczyły się mięśnie.

Zakłady podwojono, a potem potrojono — najpierw na korzyść jednego, potem drugiego, w zależności od tego, który z zawodników obejmował prowadzenie. Nawet Eothaeli dali się wciągnąć w zakłady, przyłączając się do zabawy. Llew dołączył do hałaśliwych gapiów, a ja odszedłem nieco na bok i usiadłem na stercie wiórów. Wyciągnąłem nogi i oparłem plecy o pień.

Przesieka rozbrzmiewała wesołymi okrzykami tłumu, które przechodziły w śpiewy, gdy ludzie dawali się porwać staraniom swych wybrańców. Krzyki ludzi wypełniały mi uszy, stawały się w mej

głowie coraz głośniejsze, niczym wrzask zwycięskiej drużyny. Oczyma wyobraźni ujrzałem Dinas Dwr, solidną i mocną, unoszącą się nad błyszczącą powierzchnią jeziora. Zobaczyłem żyzne pola w dolinie i gonitwy za zwierzem w lasach na okalających Druim Vran wzgórzach. Ujrzałem odważnych ludzi, powstających, aby zdobyć sobie miejsce pośród wielkich i potężnych tego ziemskiego królestwa.

Otrząsnąłem się z tych rozmyślań i stwierdziłem, że jestem sam. Słońce nie grzało już skóry — przesieka była pogrążona w cieniu. W niewielkim oddaleniu słyszałem głosy ludzi schodzących zboczem za Ałunem i Cynanem, którzy sprowadzali swe zaprzęgi na brzeg jeziora, gdzie składowano zrąbane przez nich kłody. Chciałem się podnieść, gdy poczułem, jak ktoś chwyta mnie za ramię, aby pomóc mi stanąć na nogi.

— Myślałem, że już poszedłeś — powiedział Llew. — Spałeś?

— Nie — odparłem. — Ale śniłem.

— Chodźmy już. Słońce wkrótce zajdzie i poznamy zwycięzcę. Nie chciałbyś chyba tego przegapić?

Pospieszaliśmy ścieżką na brzeg jeziora, gdzie wszyscy zgromadzili się w oczekiwaniu na werdykt.

Bran Bresal podjął się przemowy do zgromadzonego tłumu.

— Na dzisiejszą próbę złożyły się trzy zadania: orka, ścinanie drzew i zwózka drewna. Próba przebiegała od wschodu do zachodu słońca... — przerwał, gdy zbliżyliśmy się do oczekujących niecierpliwie widzów i chciał ustąpić miejsca Llewowi.

— Proszę, mów dalej — powiedział uprzejmie Llew. — Dobrze zacząłeś.

Ale Bran nie chciał.

— Panie, to ty powinieneś rozsądzić między nimi — rzekł. — Taka była umowa.

— Masz słuszność. — Llew zajął jego miejsce na stercie kłód. — Słońce chyli się ku zachodowi; praca skończona — powiedział, a jego głos wzbił się w zapadającym zmierzchu. — Dwa pola zostały zaorane równą ilością bruzd. Dlatego też uważam, że obaj zawodnicy spisali się równie dobrze.



— Równie dobrze! — krzyknął Cynan. — Moje pole pełne było korzeni i kamieni! Orka na nim było o wiele trudniej sza. Mnie należy się pierwszeństwo!

— Ja zacząłem ostatni, a skończyłem pierwszy — odparował Alun Tringad. — Moje pole było równie trudne jak jego. Mnie należy się pierwszeństwo!

Zwolennicy obu zawodników podnieśli wrzawę. Ale Llew powstrzymał ich.

— Próba odnosiła się do ilości wykonanej pracy — nie jej trudności. Obaj zaojali tę sama liczbę bruzd, toteż wykonali jednakową pracę. Musimy gdzie indziej poszukać sposobu rozsądzenia tej sprawy.

— Zliczyć kłody! — zaczęto wołać. A tłum natychmiast to podchwycił: — Kłody! Kłody! Kłody!

Krzyki ucichły, a wtedy odezwał się Llew:

— Dobrze — powiedział — kłody przesądzą. Branie, ty je policzysz.

Bran podszedł do sterty Cynana i zaczął głośno liczyć, dotykając przy tym każdej kłody dłonią.

— Jedna... dwie... trzy... cztery... pięć...

Tłum w ciszy, z zapartym tchem, czekał na zliczenie całości.

— ... dziewięć... dziesięć... jedenaście... Dwanaście! Cynan Machae zrząbał i obrobił dwanaście drzew!

Zwolennicy Cynana głośnym okrzykiem wyrazili aprobatę. Cynan zawołał coś do Aluna, ale jego słowa zginęły w ogólnym hałasie. Llew, nadal stojąc na stercie drewna, ruchem ręki nakazał ciszę.

— Dwanaście kłód dla Cynana. Teraz policzymy drewno zwiezione przez Aluna.

Bran podszedł do drugiej sterty.

— Jedna... dwie... — zaczął.

Ale nie dowiedzieliśmy się, ile drzew powalił Alun, gdyż w tej chwili rozległ się przeraźliwy dźwięk rogu bojowego, dobiegający ze szczytu wzgórza — przeciągły, donośny niczym ryk wściekłego byka, niósł się wibrującym echem po jeziorze i w głąb doliny.

## 19. Inwazja

Zwróciliśmy oczy ku skalistemu szczytowi wzgórze. Róg bojowy zabrzmiał ponownie, niosąc się po cichej dolinie niczym dreszcz lęku. W jednej chwili przed oczami mej wyobraźni zapłonął obraz rozognionego nieba, czerwieniejącego i złocącego się w promieniach zachodzącego słońca. Z lasu wyłoniła się drużyna wojowników: setka silnych ludzi z bronią w pogotowiu. Ujrzałem ich tarcze połyskujące w gasnącym świetle. Ujrzałem ich przywódcę jadącego na czele w otoczeniu konnej świty.

Llew rozkazał wojownikom schwycić za broń, a wszystkim pozostałym uciekać na crannog, choć bowiem nie miał jeszcze palisad, ludzie na wyspach byli bezpieczniejsi niż w domach na brzegu. Kruki rzucili się do chat po broń, a wszyscy pozostali pospieszili nad jezioro. Cynan rozkazał swym wojownikom przyprowadzić konie, w mgnieniu oka zapanował chaos. Wojownicy pędzili to tu, to tam, zbierając włócznie, miecze, zakładając koniom wędzidła. Mężczyźni ciągnęli łodzie, kobiety wsiadały do nich pospiesznie, tuląc do siebie niemowlęta; wśród krzyków dzieci łodzie wreszcie zsunęły się na wodę.

— Stawimy im czoło na łące! — zawołał Cynan, wskakując na siodło.

— Tam gdzie strumień przecina dolinę! — odkrzyknął Llew. — Ludzie będą mieli więcej czasu, aby dotrzeć na wyspę!

Garanaw przyniósł Llewowi miecz i zaczął mu go przypasywać, ale Llew go odesłał.

— Dwudziestu przeciwko setce — powiedział, gdy do niego dołączyłem. — Jak widzisz nasze szanse, Tegidzie?

— Myślę, że mądrzej byłoby poczekać i zobaczyć, kim są ci ludzie i po co tu przybyli — odparłem.

Llew przestał szarpać skórzany pasek.

— Co widziałeś?

— Jedynie to, co ty: wojowników jadących do naszej osady. Zważ jednak, że oni oznajmili nam swe przybycie dźwiękiem bojo-

wego rogu — zauważyłem. — Rzecz raczej dziwna, gdyż zaskoczenie mogło zapewnić łatwe zwycięstwo.

Llew znowu zaczął zdrową ręką szarpać rzemień.

— Chcieli nas tym przestraszyć. Woleliby pewnie, abyśmy się poddali bez walki.

— A może chcieli nas ostrzec?

W tym momencie wrócił Cynan.

— To wyzwanie — nie ostrzeżenie — zapewnił. — Podejmijmy z nimi walkę, nim uda się im nas okrążyć.

— Walka lub rozmowy, decyzja należy do ciebie.

Llew zawahał się, rozważając konsekwencje swej decyzji. Cynan poruszył się niespokojnie.

— Musimy podjąć z nimi walkę! Nie możemy pozwolić, aby nas okrążyli.

— No to jak? Co zamierzasz zrobić? — zapytałem.

— Cynan ma rację. Przybyli z wyciągniętymi mieczami. Musimy stawić im czoło.

— Tak! — odparł Cynan. Szarpnął gwałtownie wodzami. — Wio! — Kopnął piętami boki wierzchowca. Koń ruszył galopem.

Przybiegł Rhoedd, prowadząc deresza. Podał Llewowi wodze, podstawił złożone dłonie pod jego stopę i pomógł mu wsiąść; następnie podał tarczę, którą Llew założył na swe okaleczone ramię; na koniec wręczył mu włócznię o solidnym drzewcu.

Bran Bresal podjechał do nas na bułanej klaczy.

— Pojedziesz z nami, panie?

— Tak.

Po łące niósł się ryk bojowego rogu. Konie przestępowały niespokojnie z nogi na nogę, podrzucając łbami i tańcząc na brzegu.

— Wesprzyj nas, Tegidzie — powiedział Llew.

Uniosłem ku niemu laskę.

— Niech twój miecz będzie szybki i lekki. Niech twa włócznia trafia celnie.

Bran zawrócił konia; Llew pognał swego wierzchowca i obaj odjechali galopem. Poszedłem na brzeg, gdzie ostatni ludzie czekali na powrót łodzi.

Usłyszałem szybkie kroki na kamienistym brzegu. Odwróciłem się. Podeszedł do mnie Rhoedd z włócznią w dłoni.

— Mam zostać z tobą — mruknął. Był wyraźnie rozczarowany, że kazano mu pozostać i strzec ślepego barda.

— Nie złość się, Rhoeddzie — powiedziałem, chcąc go uspokoić. — Staniemy tam, skąd będzie dobrze widać, co się dzieje.

Wojownik był zdziwiony, ale ja się nie trudziłem, aby wyjaśnić mu, że widzę oczyma wyobraźni. Łodzie wróciły po ostatnich pasażerów i jeden z ludzi zakrzyknął, byśmy się pospieszyli.

— Powiedz, żeby odpływali bez nas.

Rhoedd machnął im, aby ruszali i powiedział, że zostajemy na brzegu. Potem dołączył do mnie.

— Co zamierzasz robić, panie?

— Chodź za mną. — Wziąłem laskę i ruszyłem przez łąkę. Rhoedd szedł po mej prawicy i rzucając mi ukradkowe spojrzenia, usiłował dociec, jakim sposobem widziałem.

Llew, Bran i Kruki podążali ku Druim Vran. Cynan z drużyną Galanae posuwał się trochę na południe od nich. Najeźdźcy kierowali się ku strumieniowi. Zbliżali się powoli, na przedzie konni wojownicy z bronią w pogotowiu. Ostatni z nich wyjeżdżali właśnie z lasu.

— To daje dwie pięćdziesiątki i dziesięciu — powiedziałem.

Rhoedd dokonał pospiesznego oszacowania.

— Tak — odparł i znowu spojrzął na mnie z zaciekawieniem.

Przed oczami wyobraźni błysnęło słońce odbite od metalu i ponownie rozległ się głos rogu: donośny niczym grom, dokuczliwy jak rana.

Wrogowie rzucili się z krzykiem do przodu. Konie przejechały strumień i wpadły na łąkę, waląc kopytami o ziemię.

Stado Kruków przynagliło konie. Rzucili się prosto ku napastnikom. Pognali wraz z Llewem po świeżo zaoranym polu, spod kopyt ich koni tryskała ziemia. Szybkość ataku zapierała dech w piersi. Lecieli niczym wprawnie ciśnięta włócznia, prosto do celu.

Atakujący wrogowie zwarli szeregi, zebrali w sobie niczym mięśnie napinające się przed uderzeniem. Nastawili okrutnie błyszczące włócznie.

Zatrzymałem się, czekając na zwanie.

W ostatniej chwili Bran skierował Kruki na bok: z dala od przygotowanych na ich przyjęcie wojowników i ku nowemu celowi. Nieprzyjaciel spostrzegł nagle zmianę kierunku ataku. Zrozumiał, że śmierć zajaśniała mu w oczach, gdyż nie było czasu na przygotowanie odparcia tego uderzenia.

Rozległ się przeraźliwy dźwięk, taki, jaki wydaje orzeł pikujący na ofiarę. Zaintrygował mnie ten niesamowity odgłos: ostry, przesywający uszy i serce. To Bran i jego wojownicy wznosili straszliwy okrzyk bojowy Kruków.

Posuwający się do przodu szereg zachwiał się. Napastnicy rozproszyli się. Konie potykały się, zrzucając bezradnych jeźdźców. Piesi padali na ziemię, aby uniknąć stratowania.

Środek linii napastników rozstał się przed Stadem Kruków. Cynan, który rozpoczął już atak, dostrzegł tę wyrwę i skierował się prosto ku niej. Ludzie, którzy ledwie uciekli Krukom, teraz ujrzeli pędzące na nich śmiertelne niebezpieczeństwo.

Piesi zawrócili i przebiegli na drugi brzeg strumienia. Jeźdźcy zdecydowani byli dotrzymać pola. Obrócili konie i pochylili włócznie. Starli się. Ziemia zadrżała. Usłyszałem trzask, jakby rozrąbywano pień drzewa.

Wróg zniknął. Zmiotła go siła ataku Cynana.

— Hurra! Hurra! — krzyknął Rhoedd, podnosząc włócznię. — Wygramy!

Atak Kruków był niczym cięcie noża Cynana — niczym pchnięcie włócznią, które dopełniło miary. Wobec przerwania linii ataku, dowódca nieprzyjaciela nakazał odwrót. Musieli się przegrupować, jeśli chcieli ponownie ruszyć jednym frontem.

Ale Bran nie miał zamiaru pozwolić im na zmianę szyków. Jeszcze nie przebrzmiał głos rogu, wzywającego do odwrotu, gdy zajaśniał wroga od tyłu. Gdy więc wojownicy nieprzyjaciela zawrócili, stanęli znów oko w oko z szybko nacierającymi Krukami.

Ci, którzy znaleźli się na ich drodze, zostali ścięci. Ci, którzy biegi, padli pod kopytami. Pochód wroga został powstrzymany, szyk

złamany, wojownicy rozproszeni. Nieprzyjaciele uciekali za strumień, szukali schronienia w lesie. Dowódca usiłował ich zawrócić. Ujrzałem, jak rozkazywał swej drużynie, próbując zebrać wojowników, gdy tymczasem Kruki przygotowywali się do kolejnego ataku.

Róg rozbrzmiewał co chwila. Ale to Cynan odpowiedział na jego wezwanie. Płomiennowłosa zapaleniec pochylił włócznię i wojownicy Galanae rzucili się do przodu jak burza. Furkotały za nimi płaszczce, tarcze połyskiwały w rękach.

Wówczas ujrzałem samotnego jeźdźca wynurzającego się na srokaczu zza osłony drzew. Serce zamarło mi w piersi, a z ust wyrwał się jęk. Zachwiałem się i ścisnąłem mocniej laskę, aby nie upaść. Rhoedd podtrzymał mnie za ramię.

— Co się stało? Jesteś niezdrów?

— Przerwij to!

— Słucham?

Ścisnąłem ramię Rhoedda.

— Musimy to przerwać!

— Przerwać... bitwę? — zdziwił się, gdy zacząłem biec w kierunku strumienia. — Poczekaj!

Potknąłem się na świeżo zaoranej ziemi; nie mogłem biec dostatecznie szybko. Nie zatrzymując się, zacząłem krzyczeć.

— Stójcie! Stójcie! Llew! Stójcie!

Być może widok ślepego barda, który jak oszalały pędził przez pole, potykając się o bruzdy, zwrócił czyjąś uwagę. Nie wiem. Ale usłyszałem krzyk i Llew odwrócił się w siodle; nie widział mnie, przeszukiwał wzrokiem łąkę.

— Llew! — krzyknąłem.

Zauważył, że biegnę w jego kierunku, zawołał coś do Brana przez ramię. Wziąłem głęboki oddech i krzyknąłem z całych sił:

— Calbha!

Chyba mnie usłyszał, ponieważ zatrzymał się i odwrócił.

— To Calbha! — krzyknąłem, wskazując na samotnego jeźdźcę laską. — Calbha! — Ponownie zacząłem biec w jego stronę.

— O co chodzi? — zawołał za mną Rhoedd.

— Pomyłka! — krzyknąłem i razem popędziliśmy do strumienia.

Kilka szybkich kroków i byliśmy już po drugiej stronie wody. Gdy wspinaliśmy się na suchy grunt, usłyszałem przeciągły, drżący głos bojowego rogu Emyra. Drugi zew zatrzymał Kruki, którzy jednak nadal trwali w pozycji gotowej do ataku.

Llew przygalopował do mnie.

— Tegid! — krzyknął. — Jesteś pewny?

— To Calbha! — powiedziałem, wskazując laską nadjeżdżającego jeźdźca. — To jego koń! Spójrz na niego! Zaatakowałeś przyjaciela!

Llew okręcił się w siodle i spojrzał tam, gdzie wskazywałem.

— *Ciemna na cú!* — krzyknął. — Co on tu robi?

— Powstrzymaj Cynana!

Llew ściągnął wodze tak mocno, że jego rumak stanął dęba i zawracając, niemal się przewrócił. Potem smagnął konia po kłębice i skierował galopem ku czołu natarcia Cynana. Bran wyjechał mu na spotkanie. Llew zwolnił na chwilę, aby rzucić komendę dowódcy, po czym ponownie pognął swego konia. Bran krzyknął coś do Emyra, który zaczął dąć z całych sił w róg.

Spojrzałem tam, gdzie drużyna Cynana ścigała uciekających wrogów. Dostrzegłem błysk rudych włosów i moja zdolność widzenia poczęła stopniowo zanikać, aż w końcu oczy wyobraźni przesłoniła ciemność. Nagle znowu byłem ślepy.

— Rhoedd! — wrzasnąłem. — Gdzie jesteś?

— Tutaj, panie — padła odpowiedź za moimi plecami.

— Rhoedd, nie widzę! Patrz i mów, co się dzieje.

— Ale myślałem...

— Mów, człowieku! Co się dzieje?—nalegałem. — Czy Cynan nadal atakuje?

— Tak, panie, nadal posuwa się do przodu. Nie — zaraz! Zatrzymują się!

— Opisz to, Rhoeddzie. Opowiedz mi o wszystkim — tak jak czyniłeś to poprzednio.

— Cynan podniósł się w siodle... odwraca się na boki... Krzyczy... widzę, jak porusza ustami. Zdaje się, że wydaje drużynie rozkazy. Słuchają, co mówi... a teraz... Cynan samotnie rusza do przodu. Chyba jedzie na spotkanie Llewa... Tak!

— A co z jeźdźcem nieprzyjaciela? Tym na srokaczu — co on robi?

— Zatrzymał się. Czeka.

— Jak wygląda? Widzisz?

— Nie, panie, jest zbyt daleko.

— Co jeszcze?

— Teraz Llew i Cynan jadą ku sobie. Llew czyni znak pokoju — daje znaki drużynie. Galanae zatrzymują się i Cynan podjeżdża do Llewa.

— A co z Branem?

— Kruki rozjeżdżają się na boki — odparł Rhoedd po chwili. — Jadą w kierunku leżących na polu bitwy. — Odwrócił się znowu w stronę Llewa i Cynana. — Llew i Cynan jadą tam, gdzie czeka obcy.

— Zaprowadź mnie do nich — poleciłem, chwytając go za rękaw. — Prowadź! Szybko!

Rhoedd ruszył przed siebie, a ja uczepiłem się mocniej jego opończy.

— Podjeżdżają na spotkanie obcego. Cynan trzyma włócznię pionowo... Obcy czeka na nich.

Teren począł się wznosić, pnąc się ku grzbietowi wzgórza. Rhoedd przystanął.

— Leży tu wojownik nieprzyjaciela, powalony. — Stanął nad ciałem. — Nie żyje, panie.

Pośpieszyliśmy dalej. Nalegałem, aby mój przewodnik nadal opowiadał mi, co widzi.

— Spotkali się. Zdaje się, że rozmawiają... — Rhoedd zatrzymał się.

— Słucham?... Rhoedd? Co się dzieje? Powiedz...

— Nie wierzę temu, panie — odparł głosem pełnym zdziwienia.

— Mów, człowieku! Co się stało?



— Oni obaj... oni... oni... — bełkotał w podnieceniu.  
— Słucham? Słucham?  
— Wyciągnęli do siebie ręce! Oni się obejmują!  
Poczułem ulgę w sercu.  
— Chodźmy, Rhoeddzie. Spieszmy się.  
Llew i nieznamy z koni. Gdy doszliśmy na miejsce, rozmawiali.  
— Tutaj, Tegidzie! — zawołał Llew, naprowadzając mnie. Poszedłem za dźwiękiem jego głosu i poczułem, że łokciem ocieram się o jego kikut.  
— Witaj, Calbho — powiedziałem. — Gdybym wiedział, że to ty, oszczędzilibyśmy ci walki — i życia dzielnych ludzi.  
— Twe słowa napawają mnie goryczą, Tegidzie Tathal — lecz wiem, że są one prawdziwe. Ja ponoszę winę; ja sam jestem winny przelanej krwi. — Jego skrucha była prawdziwa; stał przed nami człowiek do cna przybity. — Przykro mi. A choć jestem królem bez królestwa czy bogactw, klęczę na mój honor, uczynię temu zadość w sposób, jaki uznacie za stosowny.  
— Calbho — powiedział Llew — nie mów o zadośćuczynieniu. Nie doznaliśmy dziś najmniejszej krzywdy.  
Wówczas zabrał głos Cynan.  
— Nie straciliśmy ani jednego człowieka — żaden nie został ranny.  
— Pociesz swych ludzi, Calbho — powiedział Llew. — To wy ponieśliście stratę i przykro nam, że przyczyniliśmy się do tego.  
— Calbho — powiedziałem — jesteś daleko od domu.  
— Nie mam domu — rzekł król posepnie. — Nie mam ziemi, królestwa, tronu. Ziemie mi skradziono, królestwo utraciłem, mój lud został wypędzony. — Przerwał, głos mu się załamał. — Moja królowa... moja żona nie żyje.  
— Meldron go zaatakował — wyjaśnił Llew, choć sam się już domyśliłem, co się wydarzyło.  
— Tak, Meldron mnie zaatakował — zaatakował wszystkich w Llogres — wyjaśnił król Cruin. — Broniliśmy się, jak mogliśmy

najdłużej, ale jego wojska były lepiej uzbrojone i o wiele liczniejsze. Wielu do niego dołączyło. Ci, których nie dał pod miecz, zostali zmuszeni do przymierza. Opieraliśmy się jakiś czas, ale to nie miało sensu.

— Skąd przyszło ci do głowy, aby tu przybyć? — zapytałem.

— Słyszeliśmy, że na północy, w Caledonie, jest bezpieczna przystań.

— Czemu zatem przybyłeś z wyciągniętym mieczem, człowieku? — wybuchnął z irytacją Cynan. — *Mo anam!*

Calbha w odpowiedzi jęknął:

— Och... bałem się... działałem pochopnie.

— Głupio! — szepnął Rhoedd. Zajął miejsce obok mnie.

Wówczas dołączył do nas Bran.

— Ośmiu zabitych — relacjonował. — Sześciu rannych... są właśnie opatrywani.

— Na mnie spoczywa brzemię przelanej krwi — wyszeptał Calbha. — Wstyd mi.

— Ilu masz z sobą ludzi? — zapytał Llew.

— Trzystu — nie licząc dzieci.

— Trzystu! — powtórzył zdumiony Rhoedd.

— Są tu z tobą? — zapytał Llew.

— Tak — odparł Calbha. — Czekają w lesie.

— Zbierz ich i przyprowadź nad jezioro. Tam ich przyjmimy.

— Co zrobisz z taką gromadą ludzi? — dziwił się głośno Rhoedd.—Trzystu...

— Nie tylko Cruin — dodał z wahaniem Calbha. — Po drodze spotkaliśmy innych: Addani i Mereridi. Są bez pana, nie miał ich kto bronić. Są także Mawrthoni, Catrini i Neifioni, którzy włóczyli się po wzgórzach... widzieliśmy ich. — Umilkł, jakby przytłoczyl go ogrom nieszczęścia. — Wrze w całym Llogres — nie ma bezpiecznego miejsca.

Przyszła mi na myśl przepowiednia banfaith.

— Llogres będzie bez władcy — szepnąłem do siebie.

— Zapamiętajcie dobrze moje słowa — powiedział Calbha po-

nurym tonem. — Gdy Meldron skończy z Llogres, zwróci się ku Caledonowi. Jego żądza podbojów nie zna granic. Chce zawładnąć całym Albionem.

Mówiąc to, król Cruinów dosiadł konia i wrócił do lasu, by przywołać swych ludzi. Najazd na Dinas Dwr rozpoczął się.

## 20. Wielki Pies Zniszczeń

Calbha zniknął w lesie, a my wróciliśmy nad jezioro, by tam oczekiwać na przybycie ludzi. Wkrótce wylali się spomiędzy drzew. Przybywali całymi dziesiątkami plemiona, klany, rodziny ocalałe z pogromu Meldrona. Nadchodzili znużeni, umęczeni wędrówką, wyczerpani, żalonym pochodem ciągnąc z ukrycia. Zachodzące słońce rozjaśniło wychudłe twarze i wypełniło ich oczy blaskiem.

— Rhoedd ma rację—zauważył Bran, obserwujący jak strumienie uchodźców zlewają się w jedną powodziową falę. — Są zbyt liczni. Jak ich wykarmimy?

— Lasy są pełne zwierzyny — powiedział Llew — a jezioro pełne ryb. Damy sobie radę.

Cynan nie był tego taki pewien.

— Nie mogą tu zostać — rzekł z żalem. — Nie — pozwól mi to powiedzieć. Przemyślałem wszystko, nie mamy środków, aby ich wesprzeć.

— Powiedziałem już Calbhie, że mogą zostać — odparł Llew.

— *Clanna na cú* — mruknął Cynan. — Dzień... najwyżej dwa. Potem muszą odejść. Niechętnie to mówię, bracie, ale ktoś musi to powiedzieć: twa godna pochwały wielkoduszność jest także nieroztropna.

— Skończyłeś?

— Człowieku, mówię ci, jeśli oni zostaną, wymrzemy z głodu. To oczywiste.

— Jeśli mamy umrzeć z głodu — powiedział pewnym głosem Llew — umrzemy wszyscy razem. Zgoda?

Cynan wziął oddech, aby przemówić. Nie widziałem go, ale wyobrażałem sobie, jak z irytacją kręci głową lub czochra rude włosy wielką dłonią.

— Wszystko będzie dobrze, bracie — powiedział Llew. Usłyszałem lekkie klepięcie po plecach. — Po to właśnie zatrzymaliśmy się w tym miejscu. Trzy setki! Pomyśl, ile możemy zrobić z tyloma parami rąk. Dinas Dwr powstanie z dnia na dzień!

— Jeśli pierwiej nie zatonie pod własnym ciężarem — mruknął pod nosem Cynan.

Później, gdy rozlokowaliśmy przybyszów na noc — zostali umieszczeni w kilkudziesięciu obozowiskach rozbitych wzdłuż brzegu jeziora — zasiedliśmy z ponuro milczącym Calbhą i jego posępnymi wodzami wokół paleniska na crannogu. Przenieśliśmy się tam, aby naradzić się w spokoju, bez obawy, że nas ktoś podsłucha. Jedliśmy chleb i mięso, zapijając z krążących z rąk do rąk pucharów w oczekiwaniu, by Calbhą powiedział to, co najbardziej spodziewaliśmy się usłyszeć — a co było dla niego szczególnie bolesne.

Puchar spełnił swe zadanie i w końcu Calbhie rozwiązał się język. Zaczął mówić bardziej swobodnie, a my kierowaliśmy rozmowę na interesujący nas temat.

— Meldron wymordował bardów Caledonu i Llogres — powiedział. — Tym czynem prześcignął nawet Pana Nudda, który wymordował jedynie bardów Prydainu.

— Nas również chciał zabić — wtrącił Llew. — Dlatego straciłem rękę, a Tegid oczy.

— Meldron jest szalony — jęknął Calbhą. — Zajmuje ziemie i kradnie bydło; czego nie może zabrać, pali. Sieje wokół zniszczenie, zostawiając za sobą jedynie zgliszcza. Widziałem głowy wojowników ułożone w stosy, które sięgały mi brody i ręce na stosach po pas. Widziałem dzieci z powyrywanyimi językami... Czym zawiniły, aby je tak potraktować? — zapytał z gniewem.

To pytanie nie potrzebowało odpowiedzi i nie udzieliliśmy jej. W milczeniu pociągaliśmy piwo, wsłuchując się w cichy trzask ognia przed nami.

— Opowiedz nam, co się wydarzyło — rzekł cicho Llew.

Calbha pociągnął ostatni łyk z pucharu, otarł wąsy rękawem koszuli i rozpoczął opowieść.

— Napadli na nas bez ostrzeżenia. Moi ludzie objeżdżali kraj, ale pewnie zostali zabici; żaden z nich nie powrócił. Tego dnia, gdy nas opuszczasz, zarządziłem wzmoczoną czujność i wystawiłem strażę, inaczej byłoby po nas. Żałuję teraz, że cię nie posłuchałem — gdybyśmy wyruszyli przeciwko Meldronowi, jak proponowałeś, być może udałoby nam się go pokonać, nim urósł w siłę.

— Ilu wojowników ma w swej drużynie? — zapytał Bran.

— Dwustu konnych i trzystu pieszych. — Calbha przerwał, po czym głosem pełnym rozgoryczenia dodał: — Większość konnych to Rhewtani. Oni i ich wódz służą pod rozkazami Meldrona. Przykro mi, ale musiałem to powiedzieć.

— Gdzie niesprawiedliwość wielka — odparł Bran — wszyscy muszą dźwigać część hańby. Dobrze znam brzemię, które dźwigam.

— Ale czy wiesz, co znaczy widzieć własnego syna stratowanego pod kopytami koni nacierających wojowników Rhewtani? — zapytał głosem rozdartym niczym krwawiąca rana jeden z dowódców Calbhy.

— Przykro mi — powiedział cicho Bran Bresal.

— Wszystkim nam przykro — mruknął Calbha. Ponownie pociągnął łyk, po czym podjął opowieść.

— Broniliśmy bram i murów przez dzień — nie byłem na tyle głupi, aby stawić im czoło w otwartym polu. Mieli przewagę liczebną i wiedziałem, że nie mam szans w polu. Ale myślałem, że uda nam się ich przetrzymać. Straty mieliśmy niewielkie, byliśmy dobrze zaopatrzeni, a oni nie mogli przedrzeć się przez mury, choćby mieli nie wiem ile koni. Opieraliśmy się im przez trzy dni i mogliśmy wytrwać jeszcze dłużej. Ale Meldron zaatakował kilka mniejszych warowni i wziął więźniów. Sprowadził tych zakładników do Blar Cadlys i zaczął ich zabijać przed bramami. Ale nie zadowalało go samo zabijanie. — Głos załamał mu się i przeszedł w jęk. — Kazał rozżarzyć osie kół w wielkim ognisku. Płonące pręty wbijał w ciała więźniów. Jednym przebijał gardła, innym brzuchy. Krzyki... krzy-

ki... Czy wiesz, co znaczy umierać w ten sposób? Masz pojęcie, jakie temu towarzyszą jęki?

— Co potem uczyniłeś? — zapytał łagodnie Llew.

— A co mogłem uczynić? — zapytał król Cruinów. — Nie mogłem pozwolić, by moi ludzie tak cierpieli. Rozkazałem atakować. Mogliśmy wszyscy zginąć — wiem i bardzo tego żałowałem — ale padlibyśmy w walce.

— Lepiej umrzeć z honorem jak mężczyzna, niż dać się zarznąć jak zwierzę — rzekł Cynan.

— Żadne zwierzę nigdy nie zostało zarżnięte w tak haniebnym sposób — oznajmił Calbha. — I myślę, że Meldronowi przyjemność sprawiało osobiste torturowanie ludzi. Kobiety i dzieci również cierpiały.

— Co zrobisz? — zapytał Llew.

— Zaatakowaliśmy w warknął jeden z dowódców Calbhy. — *Mor Cu* ścinał nas niczym młodnik.

— *Mor Cu*? — zdziwił się Llew. — Dlaczego nazywacie go Wielkim Psem?

— Ten Meldron jest jak wściekłe psisko — odparł dowódca — uganiające się po kraju i niszczące wszystko na swej drodze — wielkie psisko zniszczenia.

— Ponieśliśmy ciężkie straty — powiedział Calbha. — Nie potrafiliśmy stawić im czoła — było ich zbyt wielu i chcieli nas zniszczyć.

— Jak udało wam się uciec?

— Przyszedł zmierzch; było za ciemno na walkę. To stało się naszym błogosławieństwem. Zgromadziłem więc wszystkich, którzy mogli iść lub jechać i uciekliśmy pod osłoną ciemności. — Calbha przerwał; usiłował opanować drżenie głosu. — Wielki Pies nie pozwolił nam nawet na hańbę ucieczki. Ścigał nas całą noc, wypatrując blasku pochodni. Pędzili nas niczym zwierzynę i zabijali każdego, kto padł: szczęśliwcy ginęli od pchnięć włócznią; tych, którym szczęście nie dopisało, rozszarpały psy .

Głos Calbhy przycichł i przeszedł w szept.

— Moja żona, moja ukochana... nie dopisało jej szczęście.

Wiatr zmarszczył powierzchnię jeziora. Słyszałem drobne fale rozbijające się o pale crannogu. Było mi ciężko na sercu z żalu z powodu nieszczęścia Calbhy; ciążyło mi w sercu niczym kamień.

Po długiej chwili król Cruinów ponownie zabrał głos.

— Nie wiem, jak przetrwaliśmy tę noc — powiedział, uspokoiwszy się trochę. — O świcie odkryliśmy, że Wielki Pies już nas nie goni. Gdyby nie przerwał pogoni, żaden z nas by nie przeżył. — Z trudem przełknąłem ślinę.

— Ruszyliście na północ — odezwał się Llew, by zachęcić go do dalszego mówienia.

— Ruszyliśmy na północ. W Llogres nie było już bezpiecznego miejsca. Ale pomyślałem, że jeśli uda nam się zgubić ślad na odludnych wzgórzach Caledonu, to możemy uciec. Wędrowaliśmy nocą, aby nie wpaść w oko zwiadowcom Meldrona; czyniliśmy tak przez wiele nocy, dopóki nie zaszliśmy daleko w głąb Caledonu. A wówczas napotkaliśmy innych — klany i plemiona, które wcześniej uciekły lub wołały schronić się na wzgórzach i w dolinach, niż czekać na atak i zagładę.

— Skąd wiedziałeś, jak tu dotrzeć? — zapytał Llew, gdy Calbha ponownie umilkł.

— Catrini i inni słyszeli o miejscu na północy Caledonu, gdzie moglibyśmy znaleźć schronienie. Postanowiliśmy je odszukać.

— Człowieku, to dlaczego nas zaatakowaliście? — zapytał z wyrzutem w głosie Cynan. W pytaniu pobrzmiwała uraza, ale bardziej jeszcze wyczuwało się zdumienie. — Skoro szukałeś schronienia, wybrałeś na jego znalezienie osobliwy sposób.

Wodzowie Calbhy, słysząc te słowa, głośnie pomrukami wyrazili niezadowolenie, uważając je za obrazę godności swego króla. Ale Calbha uciszył ich, mówiąc:

— To był mój błąd i żałuję go — powiedział. — Okryłem hańbą siebie i swój lud. Długo będę dźwigał piętno wstydu. — Wyprostował się; przybrał uroczysty ton. — Domagam się od ciebie *naud*.

Żądanie *naud* było najpoważniejszą prośbą o wybaczenie i odpuszczenie win i jedynie król mógł go udzielić. Llew odpowiedział mu z należytą delikatnością.

— Słyszałem to żądanie i z chęcią uczyniłbym mu zadość, ale nie jestem królem, byś mógł u mnie szukać naud. Nikt z tu obecnych nie potępia cię.

— Ludzie z mego klanu... moi rodacy!... legli dziś sztywni pod darnią!—wykrzyknął Calbha.—Krew tych dzielnych ludzi skazuje mnie na potępienie.

— Calbho — powiedziałem — obiecaliśmy ci pokój, a miast tego daliśmy wojnę. My również popełniliśmy pomyłkę, a nasza wina wcale nie jest mniejsza.

Król Cruinów zamyślił się na chwilę.

— Dziękuję, Tegidzie Tathal — powiedział w końcu — ale wiem, co uczyniłem. Zauważyłem obozowisko i dostrzegłem konie, lękałem się jednak, jak zostaniemy przyjęci. Bałem się i zaatakowałem ze strachu. Żadnymi słowami tego nie zmienisz. — Przerwał na chwilę, po czym dodał: — Straciłem nadzieję.

— Teraz jesteś już tutaj — powiedział Llew. — Już po wszystkim.

— Już po wszystkim — przyznał ponuro Calbha. — Nie jestem już godzien być królem.

— Nie mów tak, panie! — zakrzyknął jeden z wodzów Cruin. — Kto inny doprowadziłby nas w bezpieczne miejsce?

— Każdy tchórz mógłby wam w tym pomóc, Teirtu — odparł Calbha.

— Ty nie jesteś tchórzem, panie — oznajmił wódz.

— Wszyscy jesteśmy tchórzami, Teirtu — odpowiedział Calbha cicho — w przeciwnym razie Meldron nie urósłby w siłę. Oddaliśmy ze strachu to, czego z odwagą powinniśmy bronić.

Spaliśmy pod niebem pełnym gwiazd tej nocy i przez wiele następnych. Upłynęło dużo czasu, nim zbudowaliśmy wystarczającą liczbę schronień dla naszego rozrastającego się klanu. A miał się on nadal powiększać. Tak, jak mówił nam Calbha, po wzgórzach włóczyło się wiele bezdomnych plemion. W Albionie wrzało; ludzie wędrowali w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. Klany południowego Caledonu i Llogres były niczym stada owiec pędzone



przez zgłodniałego Psa. Nie wątpię, że znajdą drogę do Dinas Dwr, bezpiecznej przystani na północy.

Przybywali przez cały ten długi maffar, porę słońca. Mawrthoni, Catrini i Neifioni, których widział Calbha, dotarli pierwsi. Inni przybyli po nich: Dencani, Saranae i Vynii z południowego wschodu; Ffotlae i Marcanti z urodzajnych obszarów centralnych; Iuchari ze wschodniego wybrzeża; Goibnui, Taolentani i Oirixeni ze wzgórz północnego Llogres.

Przepytaliśmy każde plemię i klan, które do nas przybywało i wysłuchiwaliśmy ich ponurych opowieści. Wszystkie były do siebie podobne: Meldron, Wielki Pies Zniszczenia, szalał po krainie, dysząc żądzą mordu. Śmierć i zniszczenie jechały wraz z nim, a w ślad za nim wędrowało spustoszenie.

Wielu opowiadało, że słyszeli o naszym schronieniu na północy. Ale gdy pytaliśmy, skąd wiedzieli, gdzie nas szukać, wszyscy odpowiadali, że ktoś im powiedział. Zdawało się, że to wiatr niósł z sobą wieści; ludzie wędrujący po krainie chwyтали niesione wiatrem słowa i podążali za nimi. Zwołaliśmy radę, aby ustalić, co powinniśmy robić, ponieważ zdawało się jedynie kwestią czasu to, kiedy wieść dotrze do Meldrona, a wtedy ten przyjedzie nas zniszczyć.

— Nie możemy wечно się przed nim ukrywać — powiedział Cynan. — Najedzie nas. Ale jeśli wzdłuż grzbietu przygotujemy ostrzegawcze ogniska, przynajmniej nie damy mu się zaskoczyć.

Tak też uczyniliśmy.

Ale to nie sygnalizacyjne ognie ostrzegły nas przed wojskami Meldrona. Ostrzeżenie przyszło wraz z niedobitkami rodu z małego klanu ze wschodniego wybrzeża — pięcioma braćmi i ich umierającą matką, którzy przynieśli wieści o okrętach pełnych wojowników, kierujących się na Ynys Sci.

## 21. Atak na Sci

Ujrzałem ich oczami duszy — trzy razy po trzydziestu wojowników stojących na brzegu, obserwujących statki wpływające do zatoki. Od wschodu sunęły nisko groźne czarne chmury; wiatr rozwiewał

płaszcze. Ale osłonięta zatoka pozostawała gładka niczym stopiony ołów. Zwróciłem niewidzące oczy ku niebu i ujrzałem nad sobą czysty przestwór błękitnego nieba. W powietrzu czułem deszcz, słyszałem, jak fale morskie rozbijają się z hukiem o skaliste wybrzeże.

Cztery okręty o prostokątnych żaglach rozpiętych na rejach i solidnych masztach podpływały bliżej. Głęboko zanurzone mknęły z wydętymi żaglami przed nadciągającą burzą. Nasze konie, wyczuwając bliskość sztormu, szarpały się i parskwały, rzucały łbami i przebiebrały kopytami. Dwóch mężczyzn i czterech chłopców miało je odprowadzić do Dinas Dwr, gdzie czekał Calbha. Tam, dokąd się udawaliśmy, konie na nic nam się nie zdadzą, a jeśli nam się nie powiedzie, Calbha będzie ich potrzebował.

Był wieczór trzeciego dnia od odpuszczenia Dinas Dwr. Na spotkanie z nami przyplynęły okręty z południowego Caledonu.

— Po trzech dniach jazdy grzbietem górskiego pasma znajdziecie się w tym miejscu wybrzeża — powiedział Cynan, stukając patykami w punkt na naszkicowanym na ziemi planie. — Tam przyplyną po was okręty. — Ponownie postukał w ziemię. — Cztery okręty to wszystko, co mamy — dodał, jakby chcąc nas ostrzec.

— Cztery wystarczą — oznajmił zdecydowanym tonem Llew.

— Nie będziemy mogli zabrać koni.

— Konie na nic się nam nie zdadzą — odpowiedział Llew

— Niewiele wskóramy przeciwko armii Meldrona — zauważył Bran. — On ma przynajmniej pięciuset ludzi...

— Jeśli wierzyć naszym zwiadowcom — wtrącił sceptycznym tonem Calbha. — Ich relacje nie są zgodne.

— Meldron może sobie wziąć tyle ludzi, ile uda mu się za sobą pociągnąć — odparł z naciskiem Llew. — My nie możemy zabrać z sobą więcej, niż mamy.

— Ale jeśli dojdzie do bitwy na otwartym polu... — upierał się Calbha. Król protestował, ponieważ postanowiono, że powinien zostać i sprawować pieczę nad ludźmi w Dinas Dwr.

Llew pokręcił łagodnie głową.

— Pewnego dnia stawimy czoło Meldronowi w otwartym polu

— i wówczas będziemy pragnęli dorównać mu siłą. Ale jeszcze nie teraz. — Wstał, otrzepując ręce z ziemi. — Będziesz miał swój dzień zemsty, Calbho.

Na tym zakończyła się narada wojenna.

Cynan wyruszył natychmiast z czterema wojownikami, spiesząc do Dun Cruach na południu, by przyprzewodzić okręty swego ojca. Następne dni spędziliśmy na przygotowywaniu broni i koni do podróży na wybrzeże. Czekaliśmy dnia odjazdu, pocieszając Calbhę, strapionego tym, że nie został włączony do drużyny.

Trzy dni później, o świcie, ruszyliśmy przez cichą dolinę, wzdłuż długiego, gładkiego niczym szkło jeziora. Gęsty welon mojej ślepoty rozstępował się — od czasu do czasu i bez ostrzeżenia widziałem jaskrawe obrazy otaczającego mnie świata: ludzi na koniach wędrujących głębokimi, zielonymi dolinami... srebrzystą mgiełką spływającą po zboczach wysokich grzbietów... metal połyskujący w promieniach słońca... wojowników w czerwonych płaszczach, trzymających białe, okrągłe tarcze... błękitne jezioro i jeszcze bardziej błękitne niebo poznaczone szarymi obłoczkami — zmierzch przesłaniający cieniem nieboskłon i gwiazdy płonące niczym ogniska na posepnej równinie...

Słyszałem przejmujący krzyk orłów szybujących wysoko na skrzydłach wiatru. Słyszałem ciężkie stąpania końskich kopyt i ciche podzwanianie uprzęży. Słyszałem, jak ludzie przekomarżają się, dodając sobie animuszu przed czekającą ich walką.

To był ryzykowny plan — jak każdy w naszym położeniu, biorąc pod uwagę znikomość sił. Jedyne zaskoczenie mogło nam dać przewagę. Tylko raz mogliśmy zaskoczyć Meldrona w ten sposób, gdyż potem będzie już wiedział, że ku jego utrapieniu Llew i ja ciągle żyjemy. Mamy szansę, tylko tę jedną. Być może, jeśli wszystko pójdzie dobrze, ta jedna szansa wystarczy.

Llew dobrze znał wyspę. Sześć lat spędzonych tam pod kuratelą Scathy przygotowało go do tego przedsięwzięcia. Wiedział, w jakim miejscu nasze okręty mogą przybić niezauważone; wiedział, które wzgórza i doliny zapewnią nam ochronę; wiedział, jak z najlepszym

skutkiem zaatakować ker. Nasz plan opierał się na gruntownej wiedzy Llewa o Sci. A i Cynan znał wyspę niemal równie dobrze. Po drodze próbowałem — jak czyniłem to wiele razy przedtem — dostrzec choć trochę z tego, co nas czeka, odsunąć welon przesłaniający przyszłość i zobaczyć, czego możemy się spodziewać po spotkaniu z Meldronem. Ale niczego nie mogłem dostrzec; nie miałem żadnej wizji, więc dałem temu spokój. Jedynie Dagda może obdarzyć mnie tą wiedzą. Niech zatem tak będzie!

Staliśmy, przyglądając się, jak statki Cynfarcha wpływały do zatoki — jednej z tysięcy bezimiennych zatoczek, które morze wyrzeźbiło w skalistym brzegu północnego przylądka. To miejsce powinno nazywać się: *Cuan Doneann*, Burzowa Zatoka, pomyślałem, przysłuchując się falom obmywającym brzeg i odległemu hukowi przybierającego na sile wiatru.

Usłyszałem kroki Llewa, nadchodzącego po kamienistej plaży od strony brzegu. Przed chwilą rozmawiał z Branem.

— Lubię tego człowieka coraz bardziej, Tegidzie — powiedział, stając obok mnie.

— Będiesz miał z niego dobrego dowódcę — powiedziałem. — Dzięki niemu Stado Kruków wzbije się wysoko. On pójdzie za tobą wszędzie, bracie.

Llew nic na to nie powiedział.

— Widziałeś cokolwiek z przyszłych wypadków na Ynys Sci? — zapytał.

— Jeszcze nic — wyznałem. — Bądź pewien, że powiem ci, jeśli cokolwiek ukaże się mym oczom.

— Myślisz, że daremnie tracimy czas?

— Tak — odparłem. — Ale cóż z tego? Nie możemy stać z boku, jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa, że ich uratujemy.

— Mam nadzieję, że nie jest za późno — mruknął posepnie Llew.

— Co chcesz ode mnie usłyszeć? Powiem ci wszystko, co zechcesz! — odezwałem się trochę zapalczywie, choć tego nie chciałem, lecz zagłuszałem tym niepewność, która czała się w głosie Llewa.

— Chcę prawdy — odparł Llew. — Jak myślisz, co tam zastaniemy?

— Chcesz prawdy? A zatem powiem ci prawdę: nie wiem. Dopóki nie przybędziemy na Sci, nie będziemy wiedzieć, co tam zastaniemy!

— Uspokój się, bracie — powiedział Llew. — Tylko pytałem.

— Ale powiem ci coś jeszcze — rzekłem, łagodniejąc nieco.

— Co takiego?

— Jeśli nam się powiedzie, wiele czasu minie, nim Meldron ośmieli się kogoś zaatakować. Myślę, że dlatego warto się na ten krok odważyć.

Nad wodą rozległ się grzmot i przetoczył echem wzdłuż przylądka.

— Czeka nas żeglowanie po burzliwym morzu — powiedział po chwili Llew.

— Tym lepiej. Nie przyjdzie im na myśl, by wypatrywać okrętów żeglujących w czas burzy.

Z brzegu doleciało nas wołanie.

— Chodź — powiedział Llew — musimy już wejść na pokład. Nie powinniśmy się ociągać.

Poszliśmy na brzeg, a potem wplaw na okręt. — Llew z włócznią i tarczą, a ja z jesionową laską. Ludzie pospieszyli za nami i też wspięli się na pokład. Podróż nie będzie spokojna, ale okręty pomkną niczym mewy uciekające przed burzą.

I pomknęliśmy! Choć morze pod nami wznosiło się i opadało, żagle wydymały się a maszty jęczały, ostre dzioby okrętów dzielnie pruły spienione fale. Tego dnia i niekończącej się, niespokojnej nocy stawiliśmy czoło wzburzonemu morzu.

O świcie oczom naszym ukazał się cel podróży: srebrzystozielone urwiska Ynys Sci wyrastające z ciemnoszarego morza. Jednakże nie skierowaliśmy się ku brzegowi, ale opuściliśmy żagle i poczekaliśmy na zapadnięcie nocy. Słońce zdawało się przykute do nieba, tak wolno się przesuwawało. Statki kołysały się na falach, ludzie drzemali niespokojnie lub dręczeni beczynnością ostrzyli miecze. Poszarpane chmury nad nami mknęły na spotkanie horyzontu.

W końcu słońce, częściowo skryte za postrzępionym płaszczem chmur, utonęło pod krawędzią świata, by rozpocząć wędrówkę po królestwach piekieł. Ciemności gęstniały, wypływały na wschodzie i rozlewały się po morzu. Gdy nie można nas już było dostrzec z wyspy, Llew dał sygnał i podniesiono żagle.

Zbliżyliśmy się do Ynys Sci od wschodu i wpłynęliśmy do znanej Llewowi zatoczki. Wojownicy zsunęli się po burcie i ruszyli na brzeg, gdzie jeden po drugim znikali w ciemnościach. Fala była wysoka, a brzeg zdradliwy — skaliste zbocza urwisk schodziły ku kamienistym brzegom — więc gdy ostatni z ludzi wyszedł na brzeg, okręty ponownie wycofały się na otwarte morze. Zebraliśmy się na wąskiej plaży, po czym zaczęliśmy się wdrapywać na urwiste zbocze. Po dotarciu na jego szczyt ruszyliśmy spiesźnie w głąb łądu, aby przed świtem dotrzeć na upatrzone pozycje.

Wędrowaliśmy bez dobrotczynnego wsparcia blasku pochodni, a musieliśmy iść szybko; wielu potykało się w ciemnościach na niełatwej ścieżce. Llew prowadził, nieomylnie odszukując drogę w tej dzikiej okolicy; trzy kolumny ludzi spieszyły wśród nocy, by dotrzeć przed wschodem słońca do wyznaczonego miejsca.

Urwista ścieżka ustąpiła miejsca łagodnym zboczom wzgórz; nasze przejście znaczył jedynie szelest trawy pod nogami. Przeszliśmy wzgórze, strumyczki, pokonaliśmy wysoki garb wyspy, przybывая o czasie do celu naszego marszu. Ludzie odpoczywali w dolince, czekając na świt, tymczasem Llew, Cynan, Bran i ja wspięliśmy się na szczyt, z którego widać było osadę Scathy: garstkę domków — kuchnie, spichlerze, składy i chaty mieszkalne — skupionych wokół dużej hali o wysokim dachu.

Siedziałem oparty plecami o zbocze wzgórze, inni leżeli na brzuchach i przyglądali się, jak świt stopniowo oświetla osadę w dole.

— Jest tam—powiedział Bran. — Plac ćwiczeń pełen jest koni. Dopatrzyłem się około dwustu.

— *Clanna na cú!*—zaklął cicho Cynan. — To bezczelne psisko. Dopadnijmy go teraz.

— Spokojnie, bracie—przestrzegł go Llew. — Najpierw Scatha i inni. Szarpanina z Meldronem im nie pomoże.

— Ale on się niczego nie spodziewa, a my jesteśmy gotowi do walki. Nie może uciec ani sprowadzić więcej ludzi. Mówię ci, dopadniemy go teraz. Możemy go pobić.

— Bardziej prawdopodobne, że zginiemy, usiłując to zrobić — powiedział Llew. — Zastanów się, Cynanie, jest ich pięciokrotnie więcej. Wytną nas w pień na miejscu.

— Nigdy nie nadarzy nam się lepsza okazja — mruknął Cynan.

— Posłuchaj — powiedział Llew — gardzę Meldronem jak każdy z was. Ale gdy damy się zabić z powodu nienawiści, nie przysporzymy tym nikomu niczego dobrego. W Dinas Dwr życie setek ludzi zależy od naszego powrotu. Zrobimy jedynie to, po co tu przybyliśmy. Zgoda?

Cynan przystał na to niechętnie.

— A co, jeśli już ich pozabijał?

— Nie widzę śladów walki — orzekł Bran. — Nie sądzę, aby tam stoczono jakąś walkę.

— Chyba że wymordował ich bez walki — zauważył Cynan. — On jest do tego zdolny.

Przesunąłem się w bok i dołączyłem do pozostałych.

— Meldron przybył tutaj w poszukiwaniu czegoś — powiedziałem. — I nadal tam jest.

— A więc nie ma jeszcze tego, po co tu przybył—czy to chcesz powiedzieć? — zastanawiał się głośno Cynan. — A zatem nie przybyliśmy za późno. — Usłyszałem, jak przesuwają się po trawie. — Llew... Llew?

Llew nie odpowiedział. Za plecami usłyszałem szelest i cichy tupot szybko oddalających się kroków. Oczami duszy ujrzałem, jak Llew wstaje i idzie na szczyt wzgórza. W lewej dłoni ścisnął włócznię. Wzniósł ją nad głowę w geście cichego wyzwania. Nad nim rozbłyły złotoczerwone promienie wschodzącego słońca. Zdawało się, że Llew lśni Blaskiem Bohatera. Stał tak przez chwilę, po czym odwrócił się i zszedł wolno zboczem ku czekającej drużynie.

— Co o tym myślisz, bracie? — zapytałem, gdy do niego dołączyłem. Przez długą chwilę panowało pełne napięcia milczenie. Ujrzałem, jak wspiera czoło na drzewcu włóczni. — Llew?

— Myślę o tym, że stanę dziś twarzą w twarz ze swym przyjacielem — odparł. — Simon — Siawn — był kiedyś mym przyjacielem, najbliższym kompanem — razem jedliśmy, mieszkaliśmy... Nigdy nie śniłem, że do tego dojdzie. Powiem ci prawdę, Tegidzie; nie rozumiem tego.

— Smutek po stracie przyjaciela to słuszna sprawa — pocieszałem go. — Smuć się zatem, ale nie daj się zwieść. Ci ludzie tam w dole to nikczemnicy ogarnięci żądzą władzy. W swej nikczemności cały Albion splamili krwią pomordowanych przez siebie niewinnych ludzi. Trzeba powstrzymać zło, które zasiało w nich tyle podłości. Dziś uczynimy pierwszy krok w tym kierunku.

— Wiem... wiem... — odparł cicho Llew. — Niedobrze mi się robi na myśl o tym. Jakbym miał nóż w brzuchu, Tegidzie. Simon był moim przyjacielem!

— Opłakuj utraconą przyjaźń, ale nie płacz po Siawnie Hy. Wiedz o jednym: on był przeciwko tobie od chwili, kiedy tu przybyłeś. On zawsze dbał tylko o siebie. On i Meldron to wściekłe bestie, które trzeba zniszczyć.

Usłyszałem za nami kroki Cynana. Llew wyprostował się.

— Czas już — powiedział Cynan. — Niebawem okręty wpłyną do zatoki. Musimy zająć dogodne pozycje.

— Idź do swych ludzi — powiedziałem mu. — Dołączymy do was.

— Nie ma czasu na...

— Jeszcze tylko chwilę, Cynanie. Proszę.

— Dobrze — rzekł Cynan i odszedł.

— O co chodzi? — zapytał Llew po jego odejściu.

— Zastanawiałem się — odparłem — nad śpiewającymi kamieniami.

— Słucham?

— Jeśli Meldron przywiózł z sobą kamienie na Ynys Sci, to musimy spróbować je odzyskać. Niedobrze mi się robi na myśl, że Pieśń Albionu jest w rękach Meldrona, który wykorzystuje ją dla własnych celów. Musimy odzyskać kamienie i złożyć je w Dinas Dwr, gdzie możemy ich strzec.



Nim Llew zdążył odpowiedzieć, dobiegł nas okrzyk Brana, który pozostał na szczycie wzgórza.

— Nadpływają!

— Musimy iść, Tegidzie. — Llew chciał się odwrócić, ale złapałem go za rękaw. — O co chodzi? — zapytał niecierpliwie.

— Śpiewające kamienie — powiedziałem dobitnie. — Musimy je odzyskać.

— Tak, tak — zgodził się pośpiesznie — jeśli to możliwe. Ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, obejdzie się bez walki z Meldronem. Być może nie nadarzy się okazja do poszukiwania kamieni — a jeśli nawet, to najprawdopodobniej on wcale ich z sobą nie zabrał.

— Zawsze je ma przy sobie.

— Skąd wiesz?

— Znam Meldrona — odparłem.

— Posłuchaj, Tegidzie, nie czas na rozważania. Mogłeś powiedzieć o tym wcześniej. Musimy ruszać. Okręty wpływają do zatoki.

— A jeśli śpiewające kamienie są jednak na Ynys Sci?

— Wówczas zdobędziemy je, jeśli się da — obiecał Llew. — W porządku?

— Dobrze — ustąpiłem i ruszyliśmy, aby dołączyć do pozostałych.

Drużyna podzieliła się na dwie grupy — jedna poszła za Cynamem, a druga za Branem. Ja z Llewem ruszamy za Branem do osady, a tymczasem Cynan poprowadził swych ludzi do zatoki poniżej keru Scathy.

Ruszyliśmy na znak Brana. Llew wiedział, jak blisko możemy podejść niezauważeni. Wzgórza za kerem zapewniały nam osłonę przez większość drogi, a pola za chatami porośnięte wysokimi zbożami pozwalały podejść bardzo blisko.

Szliśmy w milczeniu. Gruba, wilgotna darń tłumiła nasze kroki. Zakradliśmy się zboczem ku polu, serca łomotały nam w piersiach. Posuwaliśmy się z pochylonymi głowami i plecami pomiędzy rzędami szeleszczących kłosów.

Skuliliśmy się pośród kruchych łądyg, w nozdra uderzył zapach wilgotnej ziemi i suchego ziarna; nasłuchiowaliśmy odgłosów świad-

czących o tym, że nas odkryto. Ale żaden ostrzegawczy okrzyk nie powitał naszego nadejścia, więc usadowiliśmy się na skraju pola, czekając.

Nasze okręty nie próżnowały. Opłynęły wschodni przylądek i skierowały się ku południowej zatoce, która służyła za jedyny port Ynys Sci. Każdy ze statków miał jedynie dwuosobową załogę. O świcie okręty wpłyną do zatoki, z ciemniejszymi żaglami i lasem włóczy wzniesionych po obu burtach.

Nam pozostawało jedynie czekać, aż wartownicy Meldrona zauważą okręty i podniosą alarm.

## 22. Odsiecz

Najpierw dobiegły nas krzyki — stłumione i niewyraźne. To był alarm wszczęty przez jednego z wartowników, który podczas obchodu zauważył nasze okręty. Niemal natychmiast w pobliżu odpowiedział mu krzyk.

Większość wojowników z drużyny Meldrona musiała obozować na zewnątrz hali, ponieważ ich reakcja była natychmiastowa. Rozległo się podzwanianie chwytanym w pośpiechu mieczy, włóczni i tarcz, a potem tupot stóp, gdy wojownicy popędzili na skraj nadbrzeżnych urwisk. Chwilę później wysypali się ludzie z hali i domów dla wojowników, po czym pobiegli w ślad za swymi towarzyszami zebranymi nad zatoką.

— Mam nadzieję, że nie przeceniliśmy próżności Meldrona — szepnął Llew.

— Trudno byłoby ją przecenić — odparłem. — Słuchaj!

Nie skończyłem jeszcze mówić, gdy rozległ się straszliwy ryk wielkiego rogu.

— Tam! — powiedział Llew. — Ruszaj, Meldronie. Niech się zacznie.

Czekaliśmy przyczajeni w polu. Róg odezwał się ponownie, a jego ryk echem przetoczył się po wzgórzach. Odpowiedziało mu rżenie koni i podniecone okrzyki ludzi. Uśpione oko mojej

wyobraźni ocknęło się i ujrzałem rzędy koni, nerwowo tańczących w zagrodzie za halą, i ludzi w rozwianych płaszczach, spieszących do swych koni.

— Widzisz go? — zapytałem.

— Nie — odparł Llew, rzucając mi szybkie spojrzenie. — A ty? Pokręciłem głową.

— Nie. Meldrona pomiędzy nimi nie ma.

Jeźdźcy zgromadzili się na placu. Róg zagrzmiał ponownie i usłyszałem głucho dudnienie odjeżdżających galopem koni.

Na to właśnie czekaliśmy. Na znak Brana Niall wyczołgał się zza osłony jęczmienia i przeskoczył niewielką odległość dzielącą pole od najbliższych zabudowań, w których mieścił się spichlerz. Przystanął na moment, po czym zniknął za rogiem. Po chwili pokazał się i przywołał nas ręką.

W grupkach po trzech, czterech pokonywaliśmy otwarty teren dzielący pole od spichlerza. Podwórzec był już pusty, koni nie było; nie było też widać wojowników.

Bran ponownie dał znak i w mgnieniu oka popędziliśmy przez opustoszały podwórzec ku hali. Pośpiesznie przebiegliśmy pod ścianą do wejścia. Bran i Niall byli na czele, Llew i ja pomiędzy ostatnimi. Wypadliśmy zza rogu i zderzyliśmy się z tymi, którzy pobiegli przed nami. Stali niczym wrośnięci w ziemię, spoglądając na coś w osłupieniu.

— O co chodzi? — zapytał Llew, przepychając się do przodu. — Czemuście się zatrzymali?

Llew, za którym szedłem, zatrzymał się obok Brana. Podobnie jak inni zastygł w osłupieniu. Wyciągnąłem rękę i schwyciłem go za ramię. Odwrócił się ku mnie. Twarz miał pobielaną.

— Llew?

Oczy mej duszy powędrowały ku źródłu jego wzburzenia: rzędy włócznie wbite do połowy w ziemię, a na ostrzu każdej z nich zatknięta głowa chłopca. Meldron wymordował uczniów Scathy i wystawił ich głowy przed halą, aby w ten sposób zdrwić okrutnie ze zgromadzenia wojowników. Ptaki już uctowały na głowach i puste oczodoły spoglądały na nas oskarżycielsko.

Llew odwrócił się od tego okropieństwa i ruszył ku wejściu. Ale Bran pochwycił go za ramię i powstrzymał. Dał znak Krukowi, aby do niego dołączyli i rzucił się do środka, ściskając mocno miecz i wyciągając w pogotowiu tarczę.

Kruki deptali mu po piętach, pozostali również cisnęli się do przodu. Wpadliśmy do hali tak szybko, jak to było możliwe, by stawić czoło tym, którzy byli w środku.

Ale Meldrona tam nie było, a z dwoma wojownikami pozostawionymi na straży szybko się rozprawiono — dwa szybkie pchnięcia włócznią uciszyły ich na zawsze.

Llew opuścił włócznię i ukląkł przy nagim ciele leżącym na zakrwawionym ruszcie paleniska.

— Boru?

Ku memu zaskoczeniu leżący otworzył oczy i uśmiechnął się słabo.

— Llew... — Głos był chrapliwym zgrzytem. — Przybyłeś...

— On jeszcze żyje. Przyniesicie wody. — Niall pobiegł wypełnić moje polecenie.

Klęknąłem obok Llewa. Bran zaczął rozcinać rzemienie krępujące ręce i nogi Boru. Torturowano go. Z brzucha, ud i pleców wykrojono długie paski ciała. W miejscach, gdzie jego głowę trzymano w płomieniach, włosy miał osmalone. Bok ciała, który przypiekano mu na palenisku, miał zwęglony.

— Boru, wysłuchaj mnie, proszę, jeśli możesz — powiedział Llew. — Nie mamy zbyt wiele czasu do powrotu Meldrona. Gdzie jest Scatha?

Boru wyteżał się, by przemówić, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Niall wrócił z wodą.

— Wyprowadź ludzi na zewnątrz i tam czekaj — powiedział mu Llew i znowu zwrócił się do Boru. Bran delikatnie unióś jego głowę i Llew przechylił puchar. Nieszczęsny Boru wziął łyk wody i zakrztusił się. Gdy atak minął, Bran ponownie położył mu głowę na palenisko.

— Scatha... ona... — zaniósł się kaszlem, a potem zaczął łapczywie chwytać powietrze.

— Tak, Scatha — szepnął Llew. — Gdzie ona jest, Boru?  
— ...wiedziałem, że wrócisz... aaa — Boru ponownie się uśmiechnął, rozchylając z trudem wargi. Z popękanych ust wysunął się poczerńiały język. Llew zwilżył palce w wodzie i strząsnął kilka kropel na język Boru.

— Gdzie jest Scatha? I jej córki? Boru, wiesz, gdzie one są?

Boru zamrugał powiekami i jego umęczonym ciałem wstrząsnęły konwulsje. Po chwili atak minął i biedak westchnął tak głęboko, iż myślałem, że uleciała z niego dusza. Ale Llew ciągle podtrzymywał w nim iskierkę życia. Pochylił się nad nim jeszcze niżej.

— Tylko ty możesz nam pomóc. Powiedz mi, Boru: czy Scatha żyje?

Boru uniósł powieki z wysiłkiem, oczy mu płonęły.

— Llew... jesteś tutaj...

— Gdzie jest Scatha i jej córki, Boru? Są tutaj? Żyją?

Boru zeszczywniał, jego poczerńiały język z najwyższym trudem wypowiadał słowa.

— Groty... groty nad morzem... — wydyszał, a ja miałem wrażenie, że ten głos doleciał zza grobu, ponieważ gdy Boru wymawiał ostatnie słowa, jego oczy zaszyły mgłą, a ciało zwiotczało; przestał się trzymać kurczowo życia i ono z niego uleciało.

— Spoczywaj w pokoju, bracie — powiedział cicho Llew i delikatnie ułożył jego głowę na kamieniach paleniska.

— Groty nad morzem — odezwał się Bran. — Znasz je?

— Tak. Po zachodniej stronie wyspy są groty. Czasami tam jeździliśmy.

— Daleko stąd?

— Nie — powiedział Llew — ale potrzebne nam konie, jeśli mielibyśmy dotrzeć tam przed Meldronem.

Bran dokonał pospiesznej inspekcji hali i wrócił z poszarzałym obliczem.

Llew spojrzął na niego.

— Co znalazłeś?

Zamiast odpowiedzi wódz dał znak, abyśmy poszli za nim. Zaprowadził nas do komnaty Scathy na końcu hali. Govan leżała na

owczych skórach posłania z podciągniętą do bioder opończą. Zgwałcono ją, a gdy napastnicy zmęczeni się tą zabawą, poderżnęli jej gardło. Jej skóra była biała jak futra, na których leżała, poznaczona plamami zakrzepłej krwi. Głowa dziewczyny wykręcona była w bok, szkliste oczy wpatrywały się w górę. Llew jęknął i oparł się o mnie.

— Ciało jest zimne — powiedział cicho Bran. — Zmarła przed naszym przybyciem.

Llew ruszył przed siebie. Schwyciłem go za ramię i powstrzymałem.

— Nie ma czasu. Ocalmy lepiej żywych, póki jeszcze mamy szansę.

Llew stracił moją dłoń i podszedł do posłania. Drżącą ręką wyprostował nogi Govan, najpierw prawą, potem lewą, po czym przykrył je opończą. Złożył jej ręce na piersiach, delikatnie wyprostował głowę i muśnięciem palców zamknął oczy. Stał przez chwilę, spoglądając na nią, a gdy od niej odstąpił, zdawało się, że dziewczyna śpi — przeczyła temu tylko krew i okrutna rana na szyi.

Llew bez słowa wyszedł z komnaty i ruszył ku wyjściu z hali. Bran dogonił go na progu.

— Jeden człowiek miałby większą szansę — zauważył. — Ja pójdę.

— Nie wiesz, gdzie są grotty — powiedział Llew. — Pójdziemy razem. — Odwrócił się do Nialla, który czekał tuż za progiem. — Zaprowadź ludzi na brzeg i czekajcie na okręty. Dołączymy tam do ciebie.

— Jak do nas dołączycie? — zapytałem. Nasze statki, z włóczniami sterczącymi z pokładu, pozęgłowały do zatoki, aby odciągnąć wojowników Meldrona od hali. Gdy wróg dotrze do zatoki, aby stawić czoło fałszywemu atakowi, nasze statki pozęglują dalej wokół wyspy, tak jakby szukały dogodnego miejsca do wysadzenia wojowników na brzeg. Meldron, mieliśmy taką nadzieję, puści się za nimi w pościg, dając nam czas na uratowanie więźniów. Ludzie Cynana mieli czekać w ukryciu na odejście wroga, a potem zniszczyć jego okręty. Po wykonaniu zadań obie drużyny miały wrócić do miejsca,

w którym wysiedliśmy na brzeg. Tam mieliśmy spotkać nasze okręty, które tymczasem opłynęłyby wyspę.

Zdawało się, że siły Meldrona zostały już odciągnięte znad zatoki, tak jak planowaliśmy — ale w tym samym kierunku musieliśmy wyruszyć Llew, by odnaleźć Scathę i jej córki. Nie mogliśmy uratować ich niepostrzeżenie, a jednocześnie nie mogliśmy ryzykować, by nas zobaczono.

— Nie przechodź przez wyspę za dnia — to zbyt niebezpieczne i odległość jest zbyt wielka.

— Nie mamy innego wyjścia — warknął Llew, opuszczając podwórzec. Spojrzał na zatokę i dostrzegł dym unoszący się nad brzegiem, gdzie Cynan zamienił flotę Meldrona w pochodnię. — O ile nie da się powstrzymać Cynana.

Pobiegliśmy na skraj nadbrzeżnych urwisk. Na sześciu okrętach płonęły zagle, a w kadłubach ziały dziury. Cynan i jego ludzie zniknęli; wypełnili swe zadanie i odeszli.

— Za późno — powiedział Llew. — Moglibyśmy się posłużyć jednym z tych okrętów.

— Idźcie do grot i zostańcie tam. O zmierzchu przyślemy po was statek.

Bran i Llew biegiem opuścili brzeg. Ja zaś zwróciłem się do Kruków.

— Niall, ty poprowadzisz ludzi z powrotem do zatoczki, by czekali tam na okręty — powiedziałem. — A wy — Garanaw, Emyr, Alun i Drustwn — chodźcie ze mną.

Niall i wojownicy odeszli, a pozostali z Kruków udali się ze mną z powrotem do hali. Garanaw i Drustwn podnieśli zmaltretowane ciało Boru, a ja zdjąłem swój płaszcz, rozłożyłem go na ziemi, natomiast Emyr i Alun owinęli nim zwłoki. Garanaw i Drustwn wynieśli ciało z hali, ja zaś zaprowadziłem Emyra i Aluna do komnaty Scathy. Owinęliśmy ciało Govan w skóry z postania i w ślad za Garanawem i Drustwnem wyruszyliśmy z hali, kierując się na pole jęczmienia. Na wzgórzu nad kerem Krukowie wykopali mieczami płytki grób. Złożyliśmy w nim ciała i pospiesznie przykryliśmy je darnią.

Spojrzałem ku zatoce, ale nie mogłem jej dostrzec z miejsca,

w którym stałem. Nie mogłem również dojrzeć drużyny Meldrona. Odwróciłem się ku wzgórzom, poznaczonym cieniami przesuujących się ponad nimi chmur; ich ruch pozwoli zamaskować nasze poruszenia. To był ostatni widok, zanim ślepotą spłynęła na mnie kolejny raz i ciemności przesłoniły mą wizję.

Powędrowaliśmy z powrotem przez wzgórze i w dół urwiska ku małej skalistej zatoczce, w której wylądowaliśmy o świcie. Drustwn wyszukał suchy głąz, dogodny do obserwacji, i usiedliśmy na nim razem.

— Cynan powinien już tu być — powiedział Drustwn po chwili. Wstał i począł niecierpliwie spacerować po brzegu.

Wiał wiatr od morza, fale uderzały z westchnieniem o skały. Czekaliśmy.

Drustwn wrócił i stanął nade mną.

— Coś poszło nie tak — powiedział. — Powinni już dawno tu być.

Na te słowa w mej wyobraźni pojawił się wizerunek okrętu: statek płynął wolno wzdłuż skalistego wybrzeża. W tej samej chwili z brzegu doleciał okrzyk:

— Okręt! Okręt nadpływa!

Drustwn rzucił się na brzeg. Odbiegł kilka kroków po kamienistej plaży, po czym wrócił.

— To statek Meldrona — powiedział.

Starałem się zatrzymać wizerunek okrętu, ale rozplynął się, nim udało mi się zobaczyć coś więcej. Wojownicy na brzegu podnieśli wrzawę na widok okrętu, szykowali się do walki. Podniosłem łaskę, wstałem i przywołałem do siebie Drustwna.

— Opowiedz mi, co widzisz — powiedziałem.

Nie skończyłem jeszcze mówić, gdy wrzawa na brzegu zmieniła się w okrzyki powitania.

— To Cynan! — wołano.

— Tak! Tak, to Cynan! — potwierdził Drustwn. — Zabrał jeden z okrętów Meldrona.

Od brzegu znowu doleciał okrzyk, gdyż pojawił się kolejny okręt. — Jeszcze jeden! Zabrał dwa!



— Wprowadź ludzi na pokład! — powiedziałem. — Szybko! Ta odsiecz może się jeszcze zakończyć powodzeniem.

Drustwn polecił ludziom wejść na pokład, potem wziął mnie pod ramię i poprowadził do najbliższego okrętu; pomógł mi się wspiąć na pokład i rozkazał, aby okręt ponownie wypłynął w morze. Gdy sam wchodził na pokład, okręty zawróciły i skierowały się na głęboką wodę.

— Gdzie jest Llew? — zapytał Cynan na nasz widok.

— Poszedł odszukać Scathę — odparłem i opowiedziałem, co znaleźliśmy w hali. Wśród wymordowanych uczniów byli również chłopcy z jego klanu.

— Zabiję Meldrona — przysiągł Cynan, gdy skończyłem. — Wydrę mu jego czarne serce gołymi rękoma.

— Jak poradziłeś sobie w zatoce?

— Nie mogło być lepiej — odparł Cynan. — Osiem statków było zacumowanych blisko siebie — te były najlepsze. Musieliśmy tylko poczekać, aż nasz okręt wypłynie z zatoki i Meldron puści się za nim w pogoń. Wyrąbaliśmy dziury w burtach i podpaliliśmy żagle. — Klepnąłem dłonią w reling. — Na wszystkich, z wyjątkiem tych dwóch. Są większe i szybsze od naszych. Nie potrafiłem oprzeć się pokusie i przejąłem je.

— To dobrze — rzekłem i opowiedziałem mu, dokąd udali się Llew i Bran.

Na wieść o tym Cynan odwrócił się i rzucił rozkaz sternikowi, by skierował statki ku zachodniej stronie wyspy.

— Wielki Pies połknął przynętę — powiedział, odwracając się ku mnie. — Być może zajęty pościgiem za okrętami, nie będzie się oglądał za siebie.

— A jeśli to uczyni?

— No cóż — przyznał Cynan ze złośliwą satysfakcją — ujrzy jedynie dwa ze swych statków goniące najeźdźców. Gdy przypomni sobie, że nie nakazał pościgu, będziemy już poza jego zasięgiem.

Jeśli krótka podróż wzdłuż wybrzeża do zatoki poniżej kem Scathy dłużyła nam się, to podróż z zatoki na zachodnią stronę Ynys Sci dłużyła się nieskończenie bardziej. Z każdą chwilą moje obawy rosły. Im bliżej byliśmy, tym większy czułem niepokój. Pozwoliłem

swym myślom wybiec daleko w przód, abym mógł odkryć, co mnie tak niepokoi. Ale niczego nie dojrzałem i moje obawy jeszcze wzrosły.

Okrzyk Drustwna przywołał mnie do porządku.

— Tam! Widzę ich! Bran! Tutaj!

Na krzyk Kruka ciemności opadły i ponownie otworzyło się moje wewnętrzne oko. Drustwn schwycił się jednej z lin, stanął na relingu i począł szaleńczo wymachiwać wolną ręką. Zwróciłem niewidzące oczy ku ładowi i przebiegłem wzrokiem wyobraźni linię brzegu.

Nadbrzeżne urwiska były poszarpane, pełne skalnych rumowisk i zdradzieckich rozpadlin. Niektóre nie były większe od dziur w skale, inne skrywały w sobie groty wystarczająco duże, aby pomieścić łódź. Przez głęboką po pas wodę szedł ku nam Llew z Goewyn na rękach. Za nim podążali Bran i Scatha.

Zgromadzeni przy burtach ludzie wzniesli radosne okrzyki. Wkrótce jednak zamarły one w powietrzu, gdyż na skraju urwiska pojawił się rząd wojowników nieprzyjaciela. Natychmiast pięćdziesięciu lub więcej ruszyło skałami w dół, podczas gdy ci na górze poczęli ciskać włócznie za uciekającymi.

— Bliżej! — krzyknął Cynan. Sternik coś odpowiedział, ale nie dołyszałem. Cynan nie zwrócił na to uwagi. — Bliżej! — zawołał, waląc pięścią w reling.

Z krawędzi urwiska posypały się do wody włócznie. Cynan wychylił się za burte, jak mógł najdalej, i przyłożył zwinięte dłonie do ust.

— Płyn! — krzyknął, a jego głos poniósł się po wodzie.—Płyn!

Włócznie leciały z wysoka, szerokim łukiem przecinały powietrze i uderzały w wodę. Do tego pierwszy z nieprzyjaciół dotarł już na brzeg i rzucił się w pościg do wody.

Wojownicy na pokładzie poczęli krzykiem zachęcać Llewa i Brana do większego pospiechu. Llew z tulącą się do niego Goewyn potknął się i oboje zniknęli pod wodą. Ponownie jednak wstał, pochwycił Goewyn w ramiona i rzucił się do przodu.

— Nie uda im się! — wrzasnął Cynan. Twarz miał poczerwieniałą i wielkimi dłońmi walił w reling.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy okręt przechylił się na burtę i rozległo się głucho uderzenie. Kil trafił na skały. Ludzie rzucili się na burtę z długimi drągami i poczęli odpychać okręt od skał. Na widok naszych kłopotów, z urwiska rozległy się radosne okrzyki. Co popędliwsi cisnęli w naszym kierunku włócznie. Nie doleciały do nas, ale spadły niedaleko.

Cynan przerzucił nogę za reling i skoczył do wody. Za nim rzucili się Kruki, a potem wojownicy z drużyny Cynana. Pierwszy dotarł do Llewa i pomógł mu zanieść Goewyn na okręt. Pozostali podążyli za Cynanem na spotkanie nieprzyjaciół. Bran zobaczył swych ludzi biegnących ku niemu, odwrócił się i odesłał Scathę na okręt.

Llew i Niall dotarli do statku i dźwignęli Goewyn do góry; szybko wciągnięto ją na pokład. Llew wdrapał się w ślad za nią. Pospieszyłem do miejsca, gdzie Llew klęczał obok dziewczyny.

Goewyn była półprzytomna. Leżała przemoczona, wspierając się o burtę, oddech miała szybki i płytki. Jedna strona twarzy była obrzmiała i posiniąta; na szyi miała czerwone pręgi, a ramiona i dłonie poranione, jakby przedzierała się przez cierniste krzaki.

Scatha dotarła do okrętu, wyciągnęła ręce do ludzi czekających na pokładzie i wciągnięto ją do góry. Jej ręce i ramiona również były poranione, ale nie mogłem się dopatrzeć innych ran. Ukłękła obok Llewa. Ktoś podał jej płaszcz, którym przykryła Goewyn.

— Idź już. Ja się nią zajmę — powiedziała do Llewa.

Llew wstał i odwrócił się do mnie. Nim zdążył przemówić, z urwiska rozległ się donośny, gniewny ryk rogu.

— To Meldron! — krzyknął ktoś. Rzeczywiście, zobaczył okręty i przerwał pościg, by tu powrócić. Jedno szybkie spojrzenie wszystko mu powiedziało. Róg rozległ się ponownie i setki wojowników dołączyły do spieszących w dół po skałach towarzyszy.

— Zawrócić okręt! — zawołał Llew.

Ludzie z całych sił poczęli napierać na drągi i dziób powoli skierował się ku pełnemu morzu.

Cynan i Krukowie wszczęli walkę z przeciwnikiem. Nadbrzeżne skały rozbrzmiały szczękami broni. Przed oczami duszy zawirowały obrazy: blask słońca odbity od tarczy i ostrza miecza; krew znacząca

czerwono zielonkawe wody morza; ciała unoszące się na wodzie; spienione fale wokół nóg walczących...

Wrogowie na szczycie urwiska wszczęli hałas. Białe mewy z krzykiem poderwały się w powietrze. Niall krzyknął, aby wojownicy przerwali atak. Natychmiast Emyr zadał w róg, a Cynan uniósł swój miecz i zawrócił. Po chwili ludzie na pokładzie schylali się już za burtę i wciągali swych towarzyszy na okręt.

Przed oczami mojej duszy zapłonął obraz człowieka na koniu — to był Meldron, którego rozwścieczył na widok skradzionych okrętów; w furii zgrzytał zębami na myśl o tym, że dał się wywieść w pole, a nieprzyjacielowi uda się uciec.

Ujrzałem coś jeszcze — Siawn Hy siedział spokojnie w siodle. On, podobnie jak Meldron, również przyglądał się, jak nasz okręt wycofuje się na pełne morze. Ale w odróżnieniu od Meldrona nie był rozgniewany; uśmiechał się. Jego uśmiech zaś był potwornie zimny i okrutny. Zobaczyłem, jak pochylił się do przodu i powiedział coś do Meldrona, który odwrócił się i spojrzał uważniej na Siawna.

Siawn znowu coś powiedział i oblicze Meldrona pojaśniło. Odwrócił się w siodle i zawołał coś do swej drużyny. Z jego twarzy zniknął już gniewny grymas, a rysy były znowu spokojne; zmrużone oczy rozblęły przebiegłym blaskiem.

Spomiędzy wojowników wyjechał jeździec, był barczysty i wysoki. Na głowie miał hełm z brązu; jego tarcza była długa, u pasa wisi obnażony miecz. Nim jeszcze ujrzałem jego twarz, wiedziałem, kim był — poznałem go po sposobie, w jaki dosiadał konia.

— Paladyr!

## 23. Ucieczka

— Paladyr! — wrzasnął Llew. — Tegid! To Paladyr!

— Widziałem go — odparłem, a wewnętrzne oko podsunęło mi obraz Meldrona zwracającego się do swego herosa. Paladyr zawrócił konia i oddalił się od krawędzi skały.

— Dokąd odjechał? — zastanawiał się Llew. — Czy widzisz to, Tegidzie?

— Nie — odrzekłem, czując w dołku wzbierający strach. Podszedł do nas Cynan. Z rany na jego ramieniu spływała prze mieszana z wodą krew. — Gdzie są pozostali? — zapytał.

— Boru nie żyje — powiedział Llew. — Wraz z nim zginęli wszyscy ze szkoły wojowników. — Zniżył głos. — Govan też jest martwa, ale Scatha chyba jeszcze o tym nie wie.

— A co z Gwennlian?

— Nie wiem—przyznał Llew. — Scatha mówiła, że zabrali ich, gdy nie chciała przyłączyć się do bandy Meldrona. Jej i Goewyn udało się uciec.

— Może Gwennlian też uciekła — w głosie Cynana zabrzmiały tony nadziei.

Po tych słowach przerażenie uderzyło we mnie niczym silny cios w plecy. Zachwiałem się. Aby nie upaść, musiałem złapać dłonią za poręcz, natomiast drugą przycisnąłem do czoła.

Widząc, co się dzieje, Llew podtrzymał moje ramię. — Co się stało? — Nie uzyskawszy odpowiedzi, mocno mną potrząsnął. — Tegidzie, co z tobą? Co ci jest?

Otworzyłem usta, lecz wydobył się z nich jedynie niezrozumiały jęk, który szybko urósł do skowytu. Nie byłem w stanie go powstrzymać, nawet tego nie próbowałem.

— Patrzcie! — wykrzyknął Bran. Llew i Cynan odwrócili się ku grani. Paladyr powrócił. Stał na skraju nadmorskiej skały, a w jego ramionach spoczywało jakieś brzemie.

— Co to takiego? Co on tam ma? — gorączkował się Cynan.

— Nie... — mruknął Llew zbolalym głosem.

Paladyr rzucił swój ciężar na ziemię, po czym poderwał go do góry. Choć wiedziałem już, co ściska w łapach, moje serce ogarnęła rozpacz.

— *Mo anam!* — zaklął Cynan.

Llew także wycedził przekleństwo przez zaciśnięte zęby. Bran głośno przeklinał Meldrona i wszystkich, którzy mu towarzyszyli. Scatha patrzyła zdjeta niemym przerażeniem: jej córka chwiała się na szczycie urwiska, zdana na łaskę Meldronowego herosa.

Na skale ponad nami Paladyr schwycił za kaptur płaszcz, w któ-

ry spowita była jego branka i jednym szarpnięciem zrzucił go na ziemię. Dziewczyna miała skrępowane w nadgarstkach dłonie, a mimo to próbowała stawiać opór. Paladyr zdzielił ją zaciśniętą pięścią w twarz. Głowa nieszczęsnej odskoczyła do tyłu, nogi odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się do stóp swego prześladowcy.

— Gwenllian! — zatkała Scatha.

Inni mogli odwrócić wzrok, ja zaś żadną miarą nie byłem w stanie zakryć obrazu utrwalonego przez me wewnętrzne oko. Żaden szczegół nie umknął jego przenikliwej źrenicy, sprawiając, iż po raz kolejny żałowałem, że nie jestem ślepcem.

Paladyr zamknął Gwenllian w uścisku swych potężnych ramion, po czym wolno dźwignął ją nad głowę. Dziewczyna gięła ciało na wszystkie strony, wymachując przy tym nogami, on jednak trzymał ją wysoko. Postąpił na sam skraj urwiska i poluzował chwyt.

Krótki krzyk Gwenllian urwał się, gdy uderzyła o skały. Siła upadku zdruzgotała kręgosłup, cisnęła na kamienie jej ciało z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami. Odcinające się bielą od czarnych, omywanych morską wodą skał, zakołysało się, obróciło, a zaraz potem spłynęło na głębiny, ciągnąc za sobą lśniąca smugę purpury.

— Gwenllian! — zawyla Scatha, a jej wrzask szybko przerodził się w łkanie.

Ścisnąłem dłońmi głowę, pragnąc wygonić z niej odrażający widok. Moje wewnętrzne oko powędrowało jednak ku nadbrzeżnej grani i ujrzałem zapatrzonego ponuro w wodę Paladyra. Meldron zagadał do swego herosa, ten zaś odwrócił się, by mu odpowiedzieć. Później Paladyr nachylił się, podniósł płaszcz Gwenllian i rozpostarł, byśmy go dobrze widzieli. W następnej chwili rozwarł palce, pozwalając, aby płaszcz powędrował śladem właścicielki. Meldron zawrócił wierzchowca, odjechał w głąb łądu. Siawn Hy nie poszedł za jego przykładem. Siedział nieruchomo na końskim grzbiecie i obserwował z góry okręty. Kiedy zorientował się, że na niego patrzymy, posłał nam uśmiech, po czym wolno wznosił włócznie w zuchwałym salucie.

Wtedy zniknął także i on, a mnie pozostał już tylko obraz zgrabnego kobiecego ciała, unoszącego się bez życia na morskiej fali...

pokrytej ranami mlecznobiałej skóry... rudych włosów czule splecionych z wodorostami... wielkich zielonych oczu pozbawionych zwykłego blasku... pełnych wody, szeroko rozwartych ust...

Obraz rozplątał się w przywodzącej na myśl czarną mgłę ciemności. Ogarnęła mnie ślepotą.

Pozostawiwszy wroga szalejącego na skalistym wybrzeżu, skierowaliśmy skradzione okręty wzdłuż zachodniego brzegu Ynys Sci. Pod wieczór spostrzegliśmy nasze własne łodzie. Początkowo ich załogi rzuciły się do ucieczki, jednakże okręty Meldrona były szybsze, więc wkrótce zrównaliśmy się z nimi. Ustawiliśmy całą flotę w ciasnym szyku, kadłub przy kadłubie, nie bacząc na rozkołysane morze, przenieśliśmy wojowników na lżejsze jednostki i obraliśmy kurs na stały ląd.

Llew umieścił Scathę wraz z córką w namiocie przed masztem, mnie zaś poprosił, bym opowiedział im o śmierci Govan. Przedstawiłem więc ponurą historię jej cierpienia, opisałem przebieg pogrzebu. Goewyn przycisnęła płaszcz do twarzy i zaniosła się gorzkim płaczem. Scatha natomiast przyjęła wieść o stracie z wielką godnością, nie roniąc przy tym ani jednej łzy.

— Dziękuję ci, Tegidzie Tathal — powiedziała, obejmując Goewyn. — A teraz zostaw nas same. Proszę.

Nad cieśniną utrzymywał się rzeński, wiejący z niezmienną siłą wiatr, toteż o świcie wpłynęliśmy do osłoniętej zatoczki u zachodnich wybrzeży Caledonu. Przybiliśmy do brzegu, aby odpocząć i zastanowić się nad dalszym ciągiem naszego planu. Kiedy wyladunek dobiegł końca, Bran, Cynan, Llew i ja zebraliśmy się nieco na uboczu, na trawiastej wyniosłości górującej nad białym piaskiem plaży. Szum przewalających się fal przyprływu brzmiał niczym melancholijna pieśń.

— Dług krwi jest wielki i Meldron go zapłaci — bez ogródek zaczął Cynan. — Upłynie sporo czasu, zanim zdoła on opuścić wyspę. Powiadam wam, powinniśmy zaatakować teraz i w zarodku zdusić tych, którzy go popierają.

— Zgadzam się — wtrącił Bran. — Uderzmy teraz, gdy jego

główne siły znajdują się gdzie indziej. Możemy więcej nie mieć takiej sposobności.

Cynan z Branem jęli roztrząsać zalety takiego rozwiązania, Llew zaś z uwagą przysłuchiwał się ich słowom. Nieoczekiwanie poczułem na ramieniu jego dłoń. — I cóż, Tegidzie? Co ty nam powiesz?

— Czy można rzec coś, co nie zostało jeszcze wypowiedziane? Zadaliśmy Meldronowi bolesny cios. Zbierzmy wszystkie siły i wydajmy mu bitwę.

Llew wychwycił w mym głosie nutę dezaprobaty.

— O co chodzi, Tegidzie? Co cię martwi?

— Czy ja powiedziałem, że coś mnie martwi?

— Nie, ale ja to wiem. — Ponownie trącił mnie w ramię. — No, co cię gryzie? Nie każ nam zgadywać.

— Śpiewające kamienie... — zacząłem.

— Ach tak — rzucił z rozdrażnieniem. — Co się z nimi stało?

— Atakujcie warownię Meldrona, proszę bardzo — odparłem. — Będzie to jednak daremny trud, jeśli nie odzyskamy tych kamieni.

— Mówiłeś, że Meldron zabiera je wszędzie ze sobą — przypomniał mi Llew.

— Mówiłem, iż uważam to za wielce prawdopodobne. Ponieważ jednak nie możemy przeszukać Sci, myślę, że powinniśmy przetrząsnąć jego warownię.

Do naszej rozmowy wmieszał się Bran. — Te śpiewające kamienie, o których wspomniłeś, muszą być bardzo cenne. Tak się jakoś składa, że nigdy o nich nie słyszałem.

— Opowiedz mu, bardziej — poparł go Cynan. — Słyszałem tę historię już wcześniej, ale chętnie ją sobie przypomnę.

Przystałem na ich prośby. Umilkłem na chwilę, aby pozbierać słowa, po czym zacząłem mówić:

— Zanim słońce i księżyc, i gwiazdy zostały pchnięte na swe niezmiennie szlaki, zanim żywe istoty zaczęły oddychać, nim nastął początek tego wszystkiego, co jest lub będzie, rozbrzmiewała już Pieśń Albionu. Ta pieśń wspomaga porządek tego świata, podtrzymuje wszystko, co istnieje. Jest największym skarbem na ziemi,



którego nie wolno szargać istotom o małej duszy czy niegodnym sługom.

Gdy już zacząłem, spływające z mego języka słowa samoistnie układały się w akordy śpiewnej mowy bardów.

— Meldryn Mawr, Wielki Król, wzorem potężnych królów Prydainu władających przed nim, strzegł Pieśni przez długie lata dominacji naszego klanu. Głęboko pod górską twierdzą Findargad, Phantarch Albionu spał zaczarowanym snem, bezpieczny pod osłoną Prawdziwego Króla.

Ale czerw o płonącym oddechu ugryzł głęboko, a z rany wylała się zepsucie. Królestwo Prydainu dotknęła choroba zgnilizny i rozkładu. Prawowita władza straciła na znaczeniu; obrońcy nie stało odwagi. Wrogowie Pieśni tylko na to czekali. Phantarch został zabity, aby wraz z nim zamilkła Pieśń. Lecz kunszt jego przetrwał, albowiem moc jego była mocą samej Pieśni Albionu. Choć Phantarch, Bard Bardów, poniósł śmierć, Pieśń ocalała.

Bran wyznał, że nie pojmuję, jak coś takiego było możliwe. — Też się nad tym zastanawiałem, gdy usłyszałem tę historię po raz pierwszy — oznajmił Cynan. — Lepiej posłuchaj, co było dalej. — W moją zaś stronę rzucił: — Opowiadaj.

— Ty też znasz tę opowieść — odparłem. — Opowiedz ją sam.

— Z przyjemnością — zgodził się Cynan z zapalem. — Szło to mniej więcej tak: Przy pomocy potężnych czarów Phantarch zaklął Pieśń w tych samych kamieniach, które go zabiły. Nie bacząc na uciekające życie, Mędrzec tchnął bezcenną Pieśń w kamienie swego grobowca. Uczynił tak, aby Pieśń Albionu nie uległa zatracie. — Skończywszy, zapytał: — Czy dobrze wszystko zapamiętałem?

— Słowo w słowo — zapewniłem.

— Wybaczcie — odezwał się Bran — ale czegoś tutaj nie rozumiem. Jeżeli Meldronowi zależy na tym, by uciszyć Pieśń, to dlaczego przechowuje śpiewające kamienie? Czy nie powinien raczej zniszczyć ich natychmiast, skoro nadarzyła się po temu sposobność?

— Jesteś spostrzegawczym człowiekiem, Branie — powiedziałem. — Trafiłeś w samo sedno.

— Oświeć mnie, jeśli potrafisz — poprosił wódz.

Nim zdążyłem otworzyć usta, ubiegł mnie Llew. — To wszystko sprawka Siawna Hy — wyjaśnił. — On nie jest z tego świata. Jest tutaj obcy, tak samo jak ja. Jednakże, w przeciwieństwie do mnie, Simon — tak brzmi jego imię w moim świecie — nie wierzył w moc Pieśni Albionu. Myślał, że uciszając Phantarcha, zdoła zagarnąć władzę dla siebie. Przekonał do swoich planów także Meldrona.

— Tak więc, na jakiś czas Pieśń umilkła — wtrąciłem. — Gdy jej nie stało, Cythrawl, Potwór Podziemi, odzyskał wolność. Najwyższy bard Ollathir, za cenę własnego życia przegrał ten piekielny pomiot, który jednak wcześniej zdążył zawezwać Pana Nudda, Księcia Uffern, wraz z jego Hordą Demonów. Miał on przynieść zagładę ludowi Prydainu za to, że ośmielił się chronić Pieśń. Przeżyliśmy wiele trudnych chwil, ale w końcu nasz odwieczny wróg został pobity u wrót twierdzy Findargad.

Cynan znów zabrał głos.

— Tam, na murach, Llew dokonał bohaterskiego wyczynu! — zawołał w podnieceniu, po czym opowiedział, jak odnaleźliśmy śpiewające kamienie i jak to Llew, prowadzony przez awen najwyższego barda, posłużył się nimi dla ratowania Albionu. — A wtedy Nudd i nikczemni Coranyid zostali odrzuceni z powrotem do Annwn.

— Po bitwie pozbieraliśmy odłamki nasyconych pieśni kamieni — wyjaśnił Llew — a Meldron je zabrał.

— Nie znaleźliśmy wówczas jego planów — dodałem. — W przeciwnym razie nigdy byśmy na to nie pozwolili. Meldron widział drzemiącą w kamieniach moc i teraz przemyśliwuje, jak dzięki niej zostać Najwyższym Królem Albionu.

— Nie stanie się tak, dopóki żyję i oddycham — poprzysiągł Bran. — Nigdy nie uznam w nim Najwyższego Króla.

— Ani ja — zawtórował mu Cynan. — Nie spoczniemy, póki nie wydrzemy śpiewających kamieni z łap Wielkiego Psa.

Przez czas jakiś rozmawialiśmy o tej i o innych sprawach, po czym Bran i Cynan wrócili do swoich ludzi. Kiedy odeszli, rzekłem: — Nie powiedziałeś, co sądzisz o szturmie na warownię Wielkiego

Psa. Przemawiali Cynan, Bran, lecz ty powstrzymałeś się od zatwierdzenia ich planu. Czyżbyś się z nimi nie zgadzał?

— Nie — odparł — choć pora jest odpowiednia. Meldron siedzi osaczony na Ynys Sci. Będzie miał pełne ręce roboty przy naprawie swych okrętów.

— Możemy odzyskać kamienie i wrócić do Dinas Dwr, zanim on spuści na wodę choćby jeden zdatny do żeglugi kadłub. Dlaczego chcesz przepuścić taką okazję?

Llew nieco się zirytował

— Niczego nie chcę przepuścić, Tegidzie. Myślę sobie tylko, że całe to gadanie o kamieniach jest nieroztropne.

— Jakże to?

— I bez śpiewających kamieni mamy dosyć powodów do zmartwień. W każdym razie, Meldron zapewne wozi je ze sobą, dokądkolwiek się udaje — sam tak mówiłeś. To tylko strata czasu. W ten sposób nic nie zyskamy.

— Dlaczego boisz się je odnaleźć?

— A kto mówi, że się tego boję? — warknął. — No, dalej — jeśli ci to sprawi przyjemność, dośpiewaj sobie, co tylko chcesz.

— Llew... — zacząłem, próbując go uspokoić. — To trzeba zrobić. To się nie skończy, dopóki nie odzyskamy kamieni Pieśni i...

— Tegidzie, to się nie skończy, dopóki Simon nie wróci tam, skąd przybył!

Gwałtownie poderwał się na nogi i odszedł, a przez resztę dnia wyraźnie mnie unikał. Wieczorem, gdy obozowe ogniska strzeliły wysokim, jasnym płomieniem, odśpiewałem *Pwylla*, Księcia Prydainu, zaczął opowieść. Scatha i jej córka spędziły noc na jednym z okrętów, my zaś przespaliśmy się pod gołym niebem. Świt zastał nas już na nogach, a kiedy słońce rozpoczęło swą wędrówkę po błękitnym nieboskłonie, wyruszyliśmy w podróż na południe, do Prydainu.

Maffar, najpiękniejsza z pór roku, obdarzyła nas spokojnym morzem oraz stałymi wiatrami. Nasze statki pomknęły jak mewy, lekko ślizgając się po szklistej, zielonkawej tafli. Nocowaliśmy w rozrzuconych wzdłuż brzegu zatoczkach, natomiast długie dni

upływały nam na żegludze. Od czasu do czasu oczom naszym ukazywały się opuszczone ludzkie sadyby i leżące odłogiem nadbrzeżne pola. Co niektórym udawało się nawet dostrzec przemykającego między wzgórzami wilka. Widywaliśmy jastrzębie, lisy, dzikie ptactwo i inne stworzenia, natomiast człowiek zniknął z tych stron bez śladu.

Prydain zamieniło się w pustkowie. Meldron, zamiast poświęcić wszystkie siły ożywieniu szlachetnej ziemi naszego ludu, jedynie pogłębił zniszczenia dokonane przez Nudda i Coranyid. Przyniósł bowiem zagładę miejscom, do których nienawistny Nudd nigdy nie dotarł. To przez jego okrutną zachłanność Llogres i Caledon broczyły dzisiaj krwią.

Zastanowiłem się. Prawdę mówiąc, roztrząsałem tę kwestię często i długo. Dlaczego podły Nudd zaatakował tylko Prydain? Dlaczego Llogres albo Caledon nie odniosły najmniejszego uszczerbku? Czy Prydain był z jakiejś przyczyny bardziej bezbronny niż tamte królestwa?

Być może wyjaśnienie miało coś wspólnego z Phantarchem oraz Pieśnią. Albo też kryło się za tym coś zupełnie innego, coś, co należało dopiero odkryć.

Jakkolwiek by było, obraz wyludnionego kraju poczynił spustoszenia w mej duszy. Czułem w sobie pustkę wszystkich tych opuszczonych domostw. Dźwigałem brzemień żalu po śmierci wszystkich mieszkańców Prydainu: tych nieopłakanych, nieopogrzebanych i nieznanych, o których nie zatroszczył się nikt, oprócz samego Dagdy. Nasza podróż dobiegała kresu, a mnie opadła żałość, jakiej dotąd nie znałem. Wszystkie te spustoszenia, okrucieństwa, grabieże i cierpienia można było ogarnąć jedynie poprzez własne nieszczęście.

Pograżona w rozpacz Scatha oczekiwała ode mnie choć paru słów pociechy, ja jednak nie byłem w stanie powiedzieć jej czegokolwiek. Jak mógłbym bowiem koić jej ból po stracie, gdy całe Prydain pełnym głosem domagało się ode mnie niosących ulgę słów, a ja nie miałem mu nic do zaoferowania? W obliczu takiego ogromu niedoli pozostawałem niemy.

Poddaj się smutkowi, Albion otrzyma potrójną miarę wielkiego

nieszczęścia, powiedziała banfaith. Ach, Gwenllian, jakże prawdziwe były twe słowa.

## 24. Dolina nieszczęścia

— Pozwól mi to zrobić — powiedział Cynan. — Uczynię to z ochotą.

Llew zamierzał odmówić po raz kolejny, ale wtedy do rozmowy wmieszał się Bran.

— Ryzyko jest wielkie, jednakże Cynan ma rację. Taki plan może się powieść.

— A jeśli nie? — nie dawał za wygraną Llew.

Bran wzruszył ramionami, natomiast Cynan rzekł:

— Wówczas zaatakujesz ker. Lecz jeśli się nam uda, wielu ludziom uratujemy życie.

Llew zwrócił się ku mnie.

— Co o tym myślisz, Tegidzie?

— Po cóż brać siłą, co można zdobyć podstępem? — Natomiast w stronę Cynana rzuciłem: — Ale nie idź w pojedynkę; weź ze sobą Rhoedda.

— A zatem dobrze — ustąpił Llew. — Skoro nic cię nie powstrzyma, możesz iść. Zaczekamy tutaj na ciebie. Jeśli znajdziesz się w opałach, uciekaj. Znasz sygnał.

— Znam, znam—uspokoił go Cynan. — Rozmawialiśmy o tym tak często, że nawet nasze konie zdążyły się go nauczyć. Nic nam nie będzie, bracie. Jeżeli te kamienie tam są, odnajdę je.

Cynan i Rhoedd zebrali swój rynsztunek, pożegnali się z nami i ruszyli naprzód. Llew wraz z Branem obserwowali z ukrycia podchodzącą do keru Modornn dwójkę. Tym razem nie otrzymałem daru wewnętrznego widzenia, wsparłem się więc na lasce i zastygłem w oczekiwaniu. Dzień był ciepły, powietrze nieruchome. Czulem silny zapach gnijących liści, butwiejącego drewna oraz wilgotnej ziemi. Zalegliśmy w ukryciu, w gęsto porośłym ustroniu nad rzeką, nieco poniżej keru Modornn — na tyle blisko, by widzieć, samemu

nie będąc widzianym. Było nas tylko dziesięciu, reszta obozowała w pewnym oddaleniu, dobrze zabezpieczona przed niepowołanym wzrokiem.

— Już stoją pod bramą — oznajmił po chwili Bran. — Straże kazały im się opowiedzieć. Na wałach widać teraz więcej wojów.

— Cynan z nimi rozmawia — dodał Llew. — To dobry znak. On potrafi zagadać nawet stołową nogę.

— Wrota się otwierają — meldował Bran. — Wychodzą przez nie ludzie — trzech... nie, czterech. Tamten... widzisz go? — to pytanie skierował do Llewa. — Ten śniadolicy, który teraz coś mówi...

— Widzę — przytaknął Llew.

— To Glessi, wódz Rhewtani... to znaczy, był nim kiedyś. Wygląda na to, że dogadał się z Meldronem. To i nie dziwota, zawsze był chytry jak wąż.

— Co się dzieje teraz? — spytałem.

— Wciąż gadają — odparł Llew. — Ten Glessi zdaje się coś rozważać. Krzyżuje ramiona na piersi... drapie się w brodę. Cynan bez przerwy trzepie językiem; szkoda, że nie słyszę jego słów. — Urwał na chwilę, po czym dodał: — Cokolwiek by to jednak było, przynosi zamierzony skutek. Wchodzą do keru. Nareszcie!

Usłyszałem odgłos lekkiego klepnięcia w ramię.

— Udało mu się! — zawołał Llew. — Jest w środku.

— Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać — oznajmił Bran. — Będę czuwać pierwszy.

Llew dzwignął się na nogi i poprowadził mnie na brzeg rzeki, do naszych Kruków, przyczajonych w gęstwinie głogu i wierzby. Niektórzy z nich drzemali, inni gwarzyli przyciszonymi głosami. Przystałem pośród nich, czując, jak na powrót ogarnia mnie posępna zaduma, która niemal nie opuszczała mnie od chwili, gdy przed sześcioma dniami przybiliśmy do brzegów Prydainu. Przygnębiająca podróż na południe wzdłuż zachodniego wybrzeża przywiodła nas do Muir Glain, szerokiego, połyskującego srebrzyście ujścia rzeki, umiejscowionego na wschód od zrujnowanego Sycharth. Meldryn Mawr miał tutaj swoje stocznie. W czasie, jaki upłynął od mego

ostatniego pobytu w tych stronach, gęstwa przemieszanego z brzozą wrzośca zarosła miejsca, gdzie przedtem wznoszono mocne, dębowe kadłuby. Tam, gdzie wcześniej ziemię otulała głęboka niczym śnieg warstwa ostrużyn, dzisiaj pieniały się pokrzywy.

Żeglowaliśmy w głąb ujścia i dalej w górę rzeki, dopóki tylko się dało, a kiedy woda stała się zbyt płytka, rzuciliśmy kotwicę. Rozbiliśmy obóz na śródleśnej polanie i tam też pozostawiliśmy nasze główne siły. Nazajutrz rano, wraz z liczącą czterdziestu wojów drużyną zapuściliśmy się w dolinę Modornn, pozostawiając okręty pod strażą naszych towarzyszy.

Scatha nie miała ochoty na tę wyprawę, toteż została w obozie, by pielęgnować Goewyn. Zarówno owego pierwszego dnia, jak i przez pięć następnych podążaliśmy na północ, cały czas trzymając się koryta połyskującej srebrzyście rzeki. Gdy osada była już całkiem blisko, pozostawiliśmy trzydziestu ludzi w odwodzie, a z resztą zaczailiśmy się w kryjówce poniżej umocnień. Meldron uparł się wybudować swą warownię na miejscu starego, drewnianego keru, który służył mieszkańcom północnego Prydainu. Z keru Modornn korzystano jedynie w porze wojny; nigdy nie pełnił on roli prawdziwej osady. Kiedyś odradzałem Meldronowi wybór tego miejsca na budowę książęcej siedziby; dzisiaj już wiem, dlaczego tak bardzo obstawał przy swoim. Królowi mającemu na względzie rozwój Prydainu znacznie bardziej odpowiadałyby twierdze na południu, albowiem to one kontrolowały cały handel morski.

Tymczasem Meldron mierzył znacznie wyżej. Wielki Pies Zagłady śnił o władzy nad całą wyspą, zaś ker Modornn leżał w miejscu niezmiernie dogodnym do przeprowadzania łupieżczych najazdów na Llogres oraz Caledon. Och, gdybym wówczas znał jego zamiary, gdybym wiedział, jak głęboko sięga jego zdrada i jak ogromna jest jego chciwość, zabiłbym go jak wściekłego psa.

Iluż wojowników spało przez niego pod darnią? Ile kobiet opłakiwało po nocach swoich mężczyzn? Ile dzieci na próżno przyzywało matki? Gdybym tylko wiedział, co kryło się w sercu tego człowieka, zabiłbym go z radością. Z radością czy też z głębokim żalem,

powiniennem był go zabić, zanim jeszcze skaził ten kraj swym zepsuciem.

Obserwowaliśmy ker z głębi zarośli i zastanawialiśmy się nad sposobem odnalezienia śpiewających kamieni. Cynan przekonywał wszystkich do rozwiązania prostego, a zarazem niezwykle zuchwałego: należy po prostu podejść do wrót grodu i poprosić o gościnę należną wędrującym wojownikom.

— Oni mnie nie znają — przekonywał. — Podejdę tam tylko z Rhoeddem. Nie podniosą alarmu na widok dwóch mężczyzn, nie dostrzegą w nas żadnego zagrożenia.

— To mi się nie podoba — oponował Llew, według którego cały pomysł był czystym szaleństwem.

— I właśnie dlatego może się powieść, bracie. Oni nie będą niczego podejrzewać — odparł Cynan. Po długotrwałych naradach postawił w końcu na swoim i teraz mogliśmy już tylko czekać.

Dzień z wolna chylił się ku końcowi. Poczułem na skórze chłód nadsiadającej nocy. W miarę, jak gęstniał mrok, w gałęziach drzew oraz otaczających nas zaroślach poczęły odzywać się nocne stworzenia. Nagle pochwyciłem odgłos cichych kroków.

— Nic się nie działo — oznajmił Bran.

— Teraz ja obejmę straż — usłyszałem szelest odzienia Llewa, gdy ten wstał i wyruszył na czaty.

Bran zajął miejsce Llewa u mego boku.

— Wkrótce zapadną ciemności — powiedział po chwili. Wyczuwałem, że mi się przygląda. Miałem nawet wrażenie, iż dostrzegam, jak wodzi oczami, bacznie przypatrując się mej twarzy.

— Tak? — zagadnąłem. — O co chcesz mnie zapytać?

Zaniósł się suchym chichotem.

— Wiesz, że się na ciebie gapię. Jakże może to być?

— Niekiedy wyobrażam sobie to, co się dzieje i wtedy mogę popełnić omyłkę — odparłem. — Natomiast kiedy indziej widzę wszystko o, tutaj. — Dotknąłem palcem czoła. — Widzę wówczas więcej, niż mógłbym sobie wyobrazić.

— Tak jak na Ynys Sci?

— Tak — przyznałem, po czym opowiedziałem mu o spotkaniu



z Gofannonem w świętym gaju. — Od tej pory — rzekłem na koniec — otrzymuję wzrok, ilekroć jest mi on koniecznie potrzebny. Zdolność widzenia pojawia się jednak i znika według własnego uznania; nie mam na to żadnego wpływu.

Wieczór upłynął nam na rozmowie. Potem zjawił się Niall, przynosząc chleb oraz suszone mięso z naszych zapasów. Zjedliśmy wieczerzę, a wtedy Bran przywołał Aluna Tringada i polecił mu objąć następną wartę. Wkrótce zapadłem w lekki sen.

Obudził mnie nagłący szept Emyra.

— Wrota stoją otworem.

— Na dźwięk tych słów natychmiast usiadłem. Bran również był już na nogach.

— Obudź pozostałych i powiedz Llewowi, by do nas dołączył — polecił Emyrowi, sam zaś pośpieszył do naszej czatowni. Uczyniłem to samo, a kiedy tam dotarłem, usłyszałem szelest i trzask łamanych gałązek. To Bran rozchyłał chaszczę, chcąc mieć jak najlepszy widok.

— Co widzisz?

— Brama jest... —urwał, a po chwili rzekł: — Ktoś nadchodzi. Kieruje się w naszą stronę.

— Czy to Cynan?

— Nie widzę z tej odległości, jest zbyt ciemno. Ale to musi być on. Idzie prosto tutaj. — Umilkł ponownie. — Nie, to chyba jest Rhoedd.

Po krótkim oczekiwaniu usłyszeliśmy pośpieszne kroki. — Tutaj! Tędy! — półgłosem rzucił Bran. — Gdzie Cynan?

Rozległ się głos Rhoedda.

— Pan Cynan wkrótce nadejdzie. Posłał mnie przodem, żebyśmy otworzył bramę i wszystkich obudził. Być może, gdy się tu zjawi, będziemy musieli się śpieszyć.

— Dlaczego? — spytał Llew, stając u mego boku. — Co on zamierza?

— Znaleźliśmy miejsce, w którym przetrzymują kamienie. Nie ma tam straży, są za to zamknięte drzwi. Cynan chce je wyważyć i zabrać skarb.

— On jest szalony! — obruszył się Llew. — Nigdy nie zdoła wynieść kamieni w pojedynkę. Ktoś musi tam wrócić i mu pomóc.

Od strony keru doleciał okrzyk. Zawtórowało mu wściekle ujadanie psa i dalsze głośny.

— No tak — warknął Llew — zaczyna się zabawa! — Usłyszałem jak dobywa z pochwy miecza. — Teraz nie mamy odwrotu. Przygotujcie się.

— Patrzcie! — Wpadł mu w słowo Bran. — Ktoś biegnie. To Cynan. Więc jednak jest wolny!

Wkrótce rozległ się tupot nóg. Przybierał na sile, był coraz bliższy. — Uciekajcie! — wrzasnął Cynan. — Gonią mnie!

Nie musiał mówić nic więcej, gdyż niemal w tym samym momencie z tyłu podniosła się niesamowita wrzawa: psy szczekały, ludzie krzyczeli, szczekał oręż.

— Tędy! — ryknął Bran.

Czyjaś dłoń ujęła mnie pod ramię. — Chodź ze mną! — powiedział Llew.

Puściliśmy się pędem ku rzece i z impetem skoczyliśmy do wody. Bardziej bądź mniej wprawnie wszyscy przepawiliśmy się na drugi brzeg.

— Oni najpierw przeszukają zarośla— stwierdził Bran.—Jeśli zostaniemy po tej stronie, możemy ich zgubić.

— Ruszajmy na północ — doradziłem.

— Ale przecież nasza drużyna została na południe stąd — przypomniał mi Rhoedd.

— O ile nie chcemy bitwy, lepiej będzie odciągnąć ich od naszych ludzi — wyjaśniłem. — Potem wrócimy inną drogą.

— Najpierw sami musimy odzyskać swobodę ruchów—wtrącił Alun. — Wynośmy się stąd, dopóki jeszcze jest to możliwe!

— Gdzie są kamienie? — spytał Llew.

— Tam ich nie było — oznajmił Cynan, z trudem łapiąc oddech. — Meldron musiał zabrać je ze sobą.

— Jesteś pewien?

— A jak myślisz, po co rozwalilem skrzynię?

— Rozwalileś skrzynię?

— Oczywiście — wydyszał Cynan. — Musiałem się upewnić.

— W drogę — przynaglił Bran. — Gadać będziecie później!

Podczas gdy pogoń buszowała w chaszczach porastających przeciwnie brzeg, wpełzliśmy w niskie krzaczki i ostrożnie ruszyliśmy na północ. Z początku zanosilo się na to, iż z łatwością wywieziemy w pole naszych prześladowców, wkrótce jednak paru z nich przeprawiło się na drugą stronę i już po chwili psy podjęły trop, co oznajmiły głośnym ujadaniem.

A zatem wszystko zależało od chyżości naszych nóg. Pognaliśmy na łeb na szyję, klucząc pośród skał i niskich drzew. Gałęzie siekły nas po twarzach, chwyciły za rękawy i poły płaszczy. Bran biegł na czele. Narzucił zabójcze tempo, a przecież i tak odgłosy pościgu rozbrzmiewały w naszych uszach niepokojąco głośno. Potykając się i koziołkując, wpadając na wszystkie korzenie po drodze, brnąłem uparcie do przodu. Po bokach miałem Llewa oraz Garanawa, którzy dźwigali mnie, gdym padał i niemal ciągnęli za sobą, gdym był na nogach.

Stopniowo jazgot pogoni za naszymi plecami zaczął cichnąć — znak, że odległość między nami rosła coraz bardziej. Gdy znaleźliśmy się u brodu, Bran poprowadził nas z powrotem na drugą stronę Modornn. Potem przekraczaliśmy rzekę jeszcze dwukrotnie, a świt zastał nas szmat drogi na północ od warowni. Przystanęliśmy wówczas i wytężyliśmy słuch, lecz wokół panowała niczym niezmacona cisza.

— Myśle, że oni zawrócili — powiedział Cynan. — Teraz możemy już odpocząć.

Bran nie chciał jednak o tym słyszeć.

— Jeszcze nie — oznajmił krótko, po czym poprowadził nas w stronę wysokiego, porośniętego wrzosem urwiska, widocznego w pewnej odległości na wschód od nas. Mogliśmy na nim odpocząć, nie tracąc przy tym z oczu doliny. Rozsiedliśmy się we wrzosach bądź zalegli na skałach, czekając, aż wrócą nam nadwątlone siły.

— No to jak — odezwał się po dłuższej chwili Llew — czy wszystko musimy z ciebie wyciągać? Co tam się działo?

Cynan wypiął pierś.

— Szkoda, żeście mnie nie widzieli — oznajmił. — Byłem znakomity. — Przywołał Rhoedda. Byłem znakomity, prawda?

— Byłeś, panie — przytaknął Rhoedd. — Naprawdę.

— Opowiedz nam o swych przewagach — dodał Alun Tringad — abyśmy w pełni mogli docenić twą odwagę.

— Wtedy też — dorzucił swoje trzy grosze Drustwn — będziemy mogli pełnym głosem słać tve bohaterskie czyny.

— Coś mi się widzi, że w tym akurat nasza pomoc nie będzie ci potrzebna — zauważył Emyr. — W tych sprawach zawsze świetnie radziłeś sobie sam.

Cynan podniósł się z miejsca.

— A zatem posłuchajcie — zaczął — i przygotujcie się na rzeczy niezwykłe.

— Mówże wreszcie! — zawrzasnął Llew.

— Do keru podszedłem wraz z Rhoeddem. Szliśmy sobie spokojnie, ot dwóch włączających się wojowników. Któżby nas tam rozpoznał, no nie?

— Tak, tak — wpadł mu w słowo Alun — to wszystko wiemy. Widzieliśmy was. Powiedz lepiej, co się działo, gdy weszlście już do środka.

— Razem z Rhoeddem podeszliśmy do keru — powtórzył Cynan z niezmaconym spokojem. — Tak więc idę tam i myślę, co by też powiedzieć czuwającym przy wrotach strażom. Jesteśmy coraz bliżej, a ja wciąż myślę...

— To już wiemy! — jęknął Alun. — Otworzyli wam wrota i wpuścili do środka. Co było dalej?

Cynan zupełnie go zignorował.

— Idziemy, a ja bez przerwy myślę. W pewnej chwili powiadam do Rhoedda: „Wiesz, Rhoeddzie, ci ludzie przywykli do kłamstw. Podejrzewam, że Meldron i jego kompani bez przerwy ich okłamują”.

„Niezwykle trafne spostrzeżenie, panie Cynan”, odpowiada Rhoedd. „Niezwykle trafne”.

Kruki wydali głośny pomruk, lecz Cynan udał, że ich nie słyszy. „Dlatego właśnie”, prawie do Rhoedda, „powiem im prawdę. Opowiem im dokładnie, co spotkało Meldrona, a to wprawi ich w zdumienie tak ogromne, iż zaproszą mnie do swego stołu, by móc wysłuchać całej historii”. I tak też uczyniłem.

Podchodzimy do bramy, jesteśmy już zupełnie blisko. Tamci nas widzą. „Stać!”, krzyczą zza wału. „Kim jesteście? Czego tu szukacie?” A ja im na to: „Jestem Cynan ap Cynfarch. Przybywam z Ynys Sci i przynoszę wieści o waszym panu Meldronie”.

— I cóż na to odparł wartownik? — spytał Garanaw. Kruki nie posiadali się z ciekawości.

Cynan zachichotał.

— Co odparł? Powiada: „O naszym panu Meldronie?” „Człowieku”, odpowiadam, „czy sądzisz, że na tym świecie istnieje jeszcze jakiś inny pan Meldron?” Czyż nie powiedziałem właśnie tak, Rhoedd?

— Dokładnie tak, panie — przytaknął zagadnięty. — Słowo w słowo.

— No. Nasz bohater myślał nad tym przez dłuższą chwilę, a potem zawołał swych towarzyszy, jak sądzę po to, by pomogli mu myśleć. W tym czasie my dwaj stoimy śmiało i nawet nie drgnie nam powieka. W końcu wrota się rozwierają, a na spotkanie wychodzi nam czterech wojów. Jeden z nich ma okazałe, sumiaste wąsiska...

— Nazywa się Glessi — wtrącił Bran.

— Tak jest — potwierdził Cynan. — Glessi marszczy brwi, drapie się po piersi. „No to, co niby wiecie o Meldronie?”, pyta i od razu dodaje: „A tak w ogóle, to kim jesteście?” Nasz przyjaciel nie jest obeznany z dobrymi manierami. Mówię mu, że przybywam z wieściami od jego pana, a wtedy nie pozostaje mu nic innego, jak tylko godnie mnie przyjąć. „Czego chcesz?”, pyta.

„Czego chcę? Chcę zimnego napitku i gorącego jadła, a także posłania przy ogniu — oto czego chcę”. Glessi marszczy się jeszcze bardziej, po czym rzecze: „No cóż, jeśli przybywacie od Meldrona,

to chyba będzie najlepiej, jeśli wejdziecie do środka". I co wtedy robimy, Rhoedd?

— Maszerujemy dumnie za umocnienia, panie — Rhoedd z zadowoleniem wniósł swój wkład w opowieść.

— I co było dalej? — spytał Llew

— No cóż, w miarę szybko przynoszą nam szklance, pijemy i trochę rozmawiamy. „Co słyhać na Sci?“, pytają. A ja im na to: „Mają tam piękną pogodę, a powietrze jest wyśmienite“. „Miło nam to słyszeć, ale co z Meldronem?“ Wtedy im mówię: „Przyjaciele, doprawdy macie szczęście, że dzisiejszą noc spędzacie tutaj, a nie z waszym panem“.

„Jakże to?“, pytają.

„Powiem wam prawdę. Sprawy Meldrona na Sci nie przedstawiają się najlepiej! Został zaatakowany. Sześć spośród jego okrętów poszło na dno, dwa zaś zostały skradzione. Upłynie wiele czasu, nim naprawi choć jeden okręt, czyniąc go zdatnym do żeglugi“.

— A co oni na to? — chciał wiedzieć Niall.

— Oni? „To straszne!“, powiadają. „Takie nieszczęście!“ „Ano tak“, wtóruję im. „Ledwo uszliśmy z życiem i przybyliśmy tutaj tak szybko, jak tylko było można.“ — Cynan wybuchnął śmiechem, a Kruki mu zawtórowali.

— Podziękowali nam za wieści, czyż nie tak, Rhoedd?

— Tak właśnie uczynili, panie Cynan. Zaiste, tak uczynili.

— Później jemy wieszczę i popijamy. Dokładam starań, by puchary krążyły bez ustanku, pilnie bacząc zarazem na to, co oni robią i dokąd chodzą. W końcu mówię im, że muszę wyjść za potrzebą i razem z Rhoeddem idziemy na dwór. Myszkuje nieco w najbliższej okolicy, ale jest ciemno, więc niewiele mogą dojrzeć. Mimo mroku wypatrzyłem jednak sąsiadujący z hałą lamus, którego drzwi zabezpieczono grubym łańcuchem. Po powrocie odciągam Glessiego na bok i powiadam, „Meldron musi posiadać ogromne skarby, skoro zapełnił tak wielki lamus“.

— Tak powiedziałeś? — upewnił się Bran.

— Tak — potwierdził Cynan. — Po paru kolejkach nasz Glessi

stal się rozmowniejszy, a nawet chełpliwy. „Skarby!”, zakrzyknął. „Przecież to są ni mniej, ni więcej, tylko śpiewające kamienie Albionu. Niesłuchanie rzadkie i potężne, wprost bezcenne. Ich największą zaletą jest to, że zapewniają zwycięstwo w boju”. Glessi gada i gada, mnie zaś nie pozostaje nic innego, jak tylko czekać, dopóki wszyscy nie zapadną w sen. Wówczas wraz z Rhoeddem wymykamy się z hali i włamujemy do lamusa. Tam znajdujemy skrzynię. Drewnianą, okutą żelazem i oplecioną łańcuchami.

— Co wtedy zrobiliście? — zagadnął Drustwn.

— Powiedz mi, Rhoedd.

— Pan Cynan posłał mnie, abym otworzył bramę. Powiedział: „Rhoedd, obawiam się, że narobię nieliczego hałasu. Musimy być gotowi do ucieczki”. Wówczas otworzyłem wrota i przyszedłem po was.

— Obserwuję go, stojąc w progu—podjął Cynan.— Kiedy już uporął się z bramą, unoszę z ziemi skrzynię. Jest ciężka, to prawda, ale nie tak, jak to sobie wyobrażałem. Wynoszę ją z lamusa, dźwigam w górę i ciskam na dziedziniec. Och! ten hałas!

— No i co? — dopytywał się Llew. — Co ujrzałeś?

— Ano to, że skrzynia jest calusienka. Muszę spróbować jeszcze raz. Biorę zamach i... łubudu! — kufer rozpada się na kawałki. Ja zaś padam na kolana i zaczynam przetrząsać stertę szczap. I cóż znajduję?

— Co znajdujesz? — niecierpliwie powtórzył Alun. — Pośpiesz się, człowieku.

Ale Cynan zupełnie się nie śpieszył.

— Szukam śpiewających kamieni. Szukam, lecz ich nie widzę. Cóż natomiast widzę?

— Cynan! — ryknął Llew. — Wyduście to wreszcie!

— Widzę piasek — oznajmił Cynan. — Piasek i glinę z rzecznego brzegu; oto, co widzę! W skrzyni nie było tych kamieni. Proszę! Przekonajcie się sami. — Wyczułem jakiś ruch, a po chwili usłyszałem słaby szelest spadającego na kamień piasku.

— To właśnie było w tamtej skrzyni? — upewnił się Llew.

— Tylko i wyłącznie — przytaknął Cynan.

Llew ujął moją dłoń, po czym napełnił ją suchą, przypominającą

żwir substancją. Zbliżyłem dłoń do twarzy, uważnie obwąchałem jej zawartość. Nie wyczułem niczego poza zapachem ziemi i drewna. Strząsnąłem żwir z dłoni, a następnie dotknąłem językiem palca. Piasek.

— Tak oto przedstawia się moja opowieść — zakończył Cynan. — Bardzo bym chciał, by miała lepsze zakończenie, lecz jest tak, a nie inaczej.

— Może kamienie są ukryte w innym miejscu? — podsunął Bran.

— Nie — odparłem. — W kerze Modornn ich nie znajdziemy. Wracajmy na okręty i żeglujmy do domu.

— Nie możemy wracać tą samą drogą — zauważył Llew. — Będziemy musieli obejść ker od zachodu.

— Tym lepiej — odrzekłem. — Zauważymy się w głąb lądu i zobaczymy, jak Prydain znosi rządy Meldrona.

Odbiliśmy na zachód, zostawiając rzekę za sobą, a kiedy straciłmy ker z oczu, pomaszerowaliśmy na południe. Niebawem natknęliśmy się na osadę, choć po prawdzie była to zaledwie garść nędznych lepianek przycupniętych nad brzegiem strumienia. A jednak, w tych cuchnących norach żyło przeszło siedemdziesięciu ludzi z klanu Mertani, którym zabito króla i całą szlachtę. Siedemdziesięciu obdartych, wygłodniałych nieszczęśników. Meldron obiecywał im pomoc, a tak naprawdę uczynił z nich niewolników.

Weszliśmy między lepianki. Obszczekał nas wychudły pies, alarmując mieszkańców, którzy wysypali się z domostw. Pod wpływem ujadania obraz w mej głowie zapłonął z pełną mocą i mogłem się wszystkiemu przyjrzeć. Półnogie dzieci, bose i wielkookie, kryły się za rodzicami, zgarbionymi i wychudłymi. Wszystkie twarze miały ów ponury, pusty wyraz właściwy ludziom, dla których życie stało się ciężarem nie do zniesienia.

Cynan pozdrowił starszego osady, mężczyznę imieniem Ognw. Usłyszeliśmy od niego, że wszystkich zmuszano do pracy w polu, nie pozwalając zarazem, by korzystali z owoców swego trudu.

— Meldron zabiera wszystko — poskarżył się, a ludzie za jego plecami potwierdzili to głośnym pomrukiem. — Daje nam same odpadki. Tylko odpadki.



— Ale przecież możecie polować—zdumiał się Bran.—Wcale nie musicie cierpieć głodu.

— Ano niby tak, wolno nam polować — w głosie Ognwa zabrzmiała gorycz — ale nie mamy ani włóczni, ani noży.

— Dlaczego?

— Zakazano nam używania broni — wymamrotał starszy. — Czy próbowałeś kiedy powalić jelenia gołymi rękami? Albo dzika?

— Nie mamy mięsa! — wykrzyknął jeden z zebranych. — Dostajemy tylko spleśniałe ziarno i kwaśne mleko.

Mężczyzna z jednym okiem opowiedział, jak to król posłał wojów, aby odebrali cały plon, choć żniwa jeszcze trwały.

— Powiedzieli nam, że zawsze, gdy poprosimy, dostaniemy tyle ziarna, ile nam będzie potrzeba — dodał ze złośliwym chichotem. — Prosimy, a jakże, prosimy, lecz na to, co dostajemy, nie warto nawet splunąć.—Przy tych słowach z rozmachem splunął na ziemię.

— Dwóch naszych wybrało się do króla po mięso — wtrącił Ognw. — Po trzech dniach przywieźli nam ich ciała, abyśmy sprawili im pochówek. Powiedzieli, że na naszych ludzi napadła dzika bestia.

— To nie była żadna bestia — stwierdził jednooki — tylko Meldron.

— Meldron zabiera wszystko dla siebie — odezwała się jakaś kobieta. — Wszystko zabiera i nie daje nic w zamian.

Zostawiliśmy ich i podjęliśmy marsz. Im bardziej zbliżaliśmy się do keru Modornn, tym więcej napotykaliliśmy osad. A w każdej z nich widzieliśmy to samo — uderzającą nędzę i brud, w każdej słyszeliśmy te same, pełne rozpaczy opowieści: królewskie żądania, królewskie pragnienia, królewskie oszustwa bez ustanku podsycaly cierpienia ludu. Za sprawą Meldrona rozległa, bogata dolina Modornn przekształciła się w Dolinę Nieszczęścia. Jej mieszkańcy jęczeli pod brzemieniem coraz to nowych powinności.

Kiedym tak przysłuchiwał się tym pełnym rozpaczy narzekaniom, stało się dla mnie całkiem jasne, dlaczego Meldron tak dobrze poradził sobie z królami Llogres. Słabszych od siebie podbił, silniejszych ugłaskał obietnicami albo zjednał szczodrymi darami, korzy-

stnymi przymierzami czy też traktatami handlowymi. A wszystko to ze szkodą dla własnego ludu.

Nawet Llwyddi, należący do tego samego klanu co Meldron — i ja! — nie uniknęli prześladowań swego okrutnego pana. Wiedli dziś życie nie lepsze niż było wypasane przez nich pośród lesistych wzgórz. Wewnętrzne oko podsuwało mi obraz moich współplemieńców, a ja nie potrafiłem ich rozpoznać!

— Powiedzcie, jaką popełniliśmy zbrodnię — rzekł jeden z mężczyzn, który wiernie służył Meldrynowi Mawrowi, a potem przetrwał piekło Nudda i trudy Findargadu. — Powiedzcie, co takiego uczyniliśmy, by zasłużyć na taki los. Nasze bydło jest traktowane lepiej niż my. Jeśli ktoś ośmieli sieje tknąć, musi odpowiadać przed samym Meldronem.

Kobieta o zapadłych policzkach, do piersi której tuliło się nagie, chorowite dziecko, wyciągnęła ku nam rękę.

— Proszę, panie, dopomóżcie nam. Przecież my tutaj umieramy.

Cynan popatrzył na Llewa.

— No to jak, wydasz rozkaz, bracie, czy też mam to zrobić ja?

— Ja go wydam — odparł Llew — i uczynię to z radością. Zaraz też zwrócił się do Kruków: — Drustwnie, Emyrze, Alunie, przyprowadźcie tu bydło. Zarżniemy je na mięso. Garanawie i Niallu, nazbierajcie drewna i rozniećcie ogień. — W stronę mieszkańców rzucił: — Dzisiaj najecie się do syta!

— Nie — odpowiedział mu chór przerażonych głosów. — Jeśli Meldron dowie się o tym, pozabija nas wszystkich!

— Meldron się nie dowie — uspokoił ich Cynan. — Wyjechał i jeszcze długo nie wróci. A kiedy już się zjawi, powiecie, że to Llew z Cynanem wybili bydło, aby zrobić mu na złość.

Z gór spędzono żywinę, rozpalono ogniska. Trzy krowy od razu poszły pod nóż, resztę rozdzielono po okolicznych osadach. W każdej zwierzęta szły na rzeź, aby nakarmić głodujących ludzi. Ci mięso wprawdzie przyjmowali, lecz nie potrafili wyzbyć się lęku przed gniewem Meldrona i ów lęk rzucał ponury cień na ich ucztę.

— Nie powinniśmy zostawać tutaj dłużej — ostrzegał Bran. — Zrobiliśmy dla nich wszystko, co było możliwe.

— A jednak ja zrobię jeszcze więcej — odrzekł Llew, podchodząc do mnie. — Jak myślisz, czy możemy zabrać ich ze sobą?

— Jeżeli zechcą iść. Nie sądzę, aby przystali na opuszczenie swych sadyb.

Cynan był odmiennego zdania.

— Nie pójdą? Gdybyś był Meldronowym niewolnikiem, to czy pozostałbyś tu choć przez chwilę, jeżeli ktoś ofiarowałby ci wolność?

— Ofiaruj ją zatem — odparłem.

Cynan i Llew natychmiast to uczynili. Zaproponowali wolność każdemu, kto zechce ją przyjąć, lecz skutek był taki, że nikt się nie zdecydował do nas dołączyć. Wszyscy jak jeden mąż woleli pozostać w swych chatach i dalej wieść nędzny żywot. I choć namawialiśmy ich długo, nie zdołaliśmy nikogo przekonać, iż nie zwrócimy się przeciw nim, jak był to uczynił Meldron. Nie zdołaliśmy sprawić, by uwierzyli, że dajemy im życie zamiast śmiertelnego letargu, w jakim obecnie trwali.

Ta odmowa porzucenia niewoli zasmuciła mnie bardziej niż wszystko, co dotychczas widziałem. Moja dusza roniła łzy w rozpaczy, od której serce krwawiło nie mniej niżli od wrażeń ostrza. Chciało mi się płakać nad ich głupotą. Meldron tak ich wystraszył, tak namieszał w głowach, że nie potrafili już myśleć i czuć jak istoty ludzkie. Nie pojmowali, iż ofiarowujemy im powrót do wolności i godności. No bo niby jak mieli pojąć, skoro słowa te straciły dla nich jakikolwiek sens?

Zaproponowaliśmy wolność następnej niewielkiej osadzie i znowu spotkała nas odmowa. Starszy wioski bez słowa zawiódł nas na szczyt pobliskiego wzgórza, gdzie piętrzył się niewielki kopczyk. Szliśmy, dziwiąc się jego zachowaniu, ale kiedy byliśmy już blisko, w powietrze wzbilo się stado rozwrzeszczanych kruków. Dopiero wówczas zobaczyliśmy, iż sięgający bioder stos ułożono nie z kamieni, lecz z ludzkich czaszek. Do wielu wciąż jeszcze przylegały strzępy zeschniętego na słońcu ciała i zmierzwione włosy. Ptaki zrobiły już jednak swoje, gdyż w słońcu połyskiwały białą obrane do czysta kości.

Tym razem straszliwy widok został mi oszczędzony, ale Llew

opisał wszystko z dokładnością wystarczającą, by wzbudzić naszą wściekłość.

— Co tu się stało — zapytał cicho Llew.

— Meldron uznał, że nasze zbiory były za małe — wyjaśnił starszy. — Oskarżył nas o ukrywanie części plonów, a kiedy niczego nie znalazł, zaczął mordować ludzi. — Wskazał dłonią kopczyk. — To zostawił nam na pamiątkę.

— Człowieku — nie wytrzymał Cynan — i po czymś takim nie chcecie iść z nami?

— Żeby dać Meldronowi następny pretekst do zabijania? Jeśli nas złapie, nikt nie ujdzie z życiem.

— Z nami będziecie bezpieczni — zapewnił Bran.

Starszy uśmiechnął się ponuro.

— Nikt nie jest bezpieczny, dopóki Meldron żyje.

— Mam tego dosyć — oznajmił Cynan. — Wynośmy się stąd.

Llew niechętnie przyznał mu rację.

— Nic więcej nie możemy dla nich zrobić, a zostając dłużej w tej okolicy, sami narażamy się na niebezpieczeństwo. Opuściliśmy wioskę Llwyddi, zaś na noc rozbiliśmy obóz w niewielkiej odległości od keru Modornn. Wraz z nastaniem świtu wyminęliśmy warownię, kierując się ku ujściu rzeki, gdzie czekały nasze okręty. Po drodze, w umówionym miejscu, dołączyła do nas reszta drużyny. Chociaż codziennie przyświecało nam słońce, to jego promienie nie mogły poprawić naszych nastrojów. Prydain stał się smutny i ponury niczym najciemniejsze moczary. Wiedza o zbrodniach Meldrona zatruwała nam dusze, toteż nawet w pełnym blasku dnia wszystko wokół wydawało się mroczne i groźne.

Po wejściu na pokład niezwłocznie podnieśliśmy żagle i wypłynęliśmy w morze, niesieni falami odpływu. Niestety, osiągnęliśmy bardzo niewiele z tego, co sobie zaplanowaliśmy. Gwenllian, Govan, Boru oraz cała młodzież ze szkoły Scathy straciła życie. Kamienie z zaklętą pieśnią wciąż znajdowały się w niewiadomym miejscu. Uratowaliśmy natomiast Scathę i Goewyn. A Meldron otrzymał cios, po którym nieprędko się pozbiera.

Tak więc, mieliśmy też powód do radości, a jednak to smutek towarzyszył naszemu powrotowi do Caledonu. Nasze serca przygniałał ogromny ciężar nieszczęść, jakie widzieliśmy w królestwie Meldrona. Każdy z nas opłakiwał cierpienia tej udreżonej krainy, każdy z nas poprzysiągł je pomścić.

## 25. Dinas Dwr

W Caledonie, na dalekiej północy, rosło w tajemnicy królestwo. Żołądź kielkował, zapuszczał głęboko korzenie, strzelał do góry delikatnym zaczątkiem pnia; tworzyły się gałęzie, wokół których wyrastały coraz to nowe skupiska lśniących liści... górski dąb. Takie właśnie było Dinas Dwr — przypominało rosnący w górach dąb. Młody i zielony, ale szybko nabierający sił. W odległym Caledonie, w Dinas Dwr, stawaliśmy się ludźmi.

Mozół temu towarzyszący był zaiste ogromny. Karczowaliśmy lasy pod uprawne pola; hodowaliśmy bydło, z którego w przyszłości miały powstać liczne stada; budowaliśmy nowe chaty, aby dać dach nad głowę ciągle napływającym osiedleńcom; z okolicznych wzgórz dobywaliśmy rudę, a wytopione z niej miedź oraz żelazo trafiały do rąk naszych kowali; zadbaliśmy, by dzieci pobierały nauki, wojownicy zaś wprawiali się we władaniu bronią; wynaleźliśmy rzemieślników potrafiących wnieść w nasze życie odrobinę piękna oraz ludzi zdatnych na wodzów.

Piędz po piędzi powiększaliśmy nasze pola. Uprawialiśmy żyto i owies, a kiedy ziarno zapełniło magazyny, zbudowaliśmy następne, by wkrótce napełnić także i te. Wypasane na obfitujących w trawę łąkach krowy nabrały ciała, ich sierść zaś była gładka i lśniąca. Wiele z nich doczekało się przychówku. Pomiedzy wzgórzami wydobywaliśmy rudę. Wytapialiśmy z niej miedź, żelazo, a nawet złoto, przeznaczone na potrzeby rzemieślników. Miasto na wodzie rosło, jako że nasi budowniczo wie bez ustanku powiększali wyrastające z jeziora crannogi. Wybraliśmy wodzów, przywódców ceniących lojalność

i sprawiedliwość; daliśmy im władzę, oni zaś odpłacali nam wiernością.

Niesnaski i swary nigdy nie dostały się w obręb naszych wysokich obwałowań. Bez przeszkód przepływał przez nie natomiast niemający końca, podążający od Druim Vran posępny strumień uchodźców. Wraz z nastaniem zdatnej do wojowania pory roku nadciągali całymi rzeszami, szukając bezpiecznego schronienia przed pustoszącą te ziemie krwawą nawałnicą. Dzięki nim docierały do nas wieści z szerokiego świata, a nie były to wieści pomysłne.

Wiedziałem, że Meldron bardzo był ciekaw, co się z nami dzieje. Od czasu do czasu mój wewnętrzny wzrok rozbłyskał nagle pełną mocą i wówczas, niby przez rozdartą zasłonę burzowych chmur, dostrzegałem gniewne oblicze Wielkiego Psa. Widziałem jego nienawistne oczy omiatające dalekie horyzonty, widziałem, jak na szczękach występowały mu sploty mięśni, gdy zaciskał zęby, i wówczas miałem pewność, że gdzieś popłynie krew, a pożoga pochłonie kolejne ofiary.

Którego dnia staniemy naprzeciwko siebie w bitwie. Czy była to chwila bliska, czy wciąż odległa, nie potrafiłem powiedzieć. Wszelako powoli nabierałem przekonania, iż póki pozostawaliśmy w naszej ukrytej dolinie za wysokimi bastionami Druim Vran, nic nam nie groziło. Być może jakaś moc chroniła nas i czyniła niewidocznymi dla przenikliwych oczu Meldrona. Może to Szybka Pewna Ręka rozpostarła nad nami *Llengel*, niewidzialny płaszcz Mathonwy. Któż mógł to wiedzieć? I choć wyteżałem uwagę przy każdym obrocie rocznego koła, nie dostrzegałem jakichkolwiek wyraźniejszych znaków.

W owych dniach służyłem naszemu złożonemu z wielu szczepów klanowi jako naczelnny bard. Śpiewałem często, ale wyłącznie w dni święte. Nie była to służba uciążliwa, lecz w miarę jak pory roku przemijały jedna za drugą, mój niepokój narastał. Myślałem bowiem o sobie jako o ostatnim bardzie i widziałem związane z tym zagrożenia. Gdybym padł na skutek jakiegoś wypadku albo poległ w bitwie, wielkie, cudowne opowieści Albionu przepadłyby bezpowrotnie, ogromna zaś wiedza o naszym świecie poszłaby w zapomnienie.

Coraz częściej wyobrażałem sobie siebie jako wąty kaganek płonący w pełnej przeciągów izbie: jeden przypadkowy podmuch, jedno lekkie tchnienie zbłąkanego wiatru i to, co jest istotą ducha naszej rasy, zniknie na zawsze.

Wolałem nie myśleć, jak wielkie straty pociągnęła za sobą zagłada Uczzonego Bractwa. Ja również byłem bardem — Naczelnym Bardem Wyspy Potężnego. Jeżeli upadek, którego się obawiałem, mógł zostać powstrzymany, a następnie odwrócony, moim obowiązkiem było podjąć taką próbę.

Przebywałem w Gyd, a kiedy Słodka Pora dotknęła kraju ciepłą pieszczotą, postanowiłem stworzyć szkołę bardów. Długo rozważałem ten pomysł, aż w końcu poszedłem z nim do Llewa. Był akurat ranek, a on stał i przyglądał się Garanawowi ćwiczącemu z grupką chłopców rzut włócznią.

— On jest doskonały — Llew podsumował prowadzone przez Garanawą zajęcia. — Gdybyś tylko mógł go zobaczyć, Tegidzie. Wiesz, jak dzieciaki teraz na niego wołają? Garanaw Braichir — Garanaw Długie Ramię. Jego wprawa w ciskaniu włócznią przypomina mi Boru.

Scatha rozpoczęła dzieło odbudowy swej szkoły wojowników równo przed rokiem. Wraz z Branem wybrali najsprawniejszych spośród młodych chłopców, a potem, korzystając z pomocy Kruków, zabrali się do pracy.

— Wojownicy będą nam potrzebni — stwierdził Llew. Wypowiedział te słowa bez jakiegś konkretnej myśli, lecz ja ujrzałem wizję zasnutego dymami bitewnego pola. Choć dym i ciemności przesłaniały widok, miałem wrażenie, iż gdzieś w pobliżu trwa zażarta walka. Nie wiedziałem natomiast, czy to, co widzę, dotyczyło chwili obecnej, czy też czasu, który dopiero miał nadejść.

— Tak, wojownicy zawsze będą nam potrzebni — przytaknąłem, wyganiając spod powiek niepokojący obraz. — Podobnie jak bardowie. Ci ostatni może nawet bardziej niż wojownicy.

— To prawda. — Chociaż go nie widziałem, poczułem, że bacznie mi się przygląda. — No, bracie bardzie, wyrzuć to z siebie. Powiedz, co cię trapi.

— Scatha i Bran ćwiczą młode dłonie w wymachiwaniu mieczem — odrzekłem. — Ja zaś muszę przystąpić do szkolenia młodych języków, by nieobce im były nasze pieśni. Potrzebujemy wodzów w boju, nikt w to nie wątpi. Ale mistrzowie pieśni są nam nie mniej potrzebni!

— Uspokój się, bracie — łagodnym głosem rzucił Llew. — Szkoła dla bardów — czy tego pragniesz? Powiedz mi to wprost.

— Tak, tego właśnie pragnę. Chciałbym zacząć natychmiast. I tak czekałem z tym zbyt długo.

— To świetnie. Wspaniale.

Ruszyliśmy na przechadzkę w stronę jeziora. Wzdłuż brzegu stała teraz pokaźna liczba chat. Jedni z pierwszych wzniesli domostwa na stałym łądzie rzemieślnicy — kamieniarz, brązownik i cieśla.

— Dinas Dwr — powiedział Llew, napawając się brzmieniem tych słów. — To dzieje się naprawdę, Tegidzie. Wojownicy, bardowie, rzemieślnicy, chłopci — dodał, gdy wkroczyliśmy między zabudowania. — Marzenie się ziszcza. Dinas Dwr jest prawdziwym królestwem.

— Brakuje mu tylko króla — zauważyłem, lecz Llew pominął me słowa milczeniem.

Przeszliśmy jeszcze kawałek i wtedy do uszu mych dobiegł plusk wiosel. Do brzegu dobijała łódź z crannogu. Wyczułem, że Llew przygląda się jej z uwagą. Kiedy drewniany kadłub z chrzęstem osiadł na kamienistej plaży, moje wewnętrzne oko rozwarło się, ukazując mi siedzącą w łodzi postać. To była kobieta, przyodziana w prostą, luźną, bladeżółtą opończę; taki kolor miało słodkie masło. Słońce kładło się blaskiem na jej włosach, przydając im złocistego połysku. Na szyi zawiesiła naszyjnik z drobnych, złotych kótek przyozdobionych niebieskimi kamieniami.

— Witaj, Goewyn! — wykrzyknąłem, nim Llew zdążył otworzyć usta. Widziałem, jak dziewczyna posyła mu szybkie spojrzenie, a następnie z uśmiechem zerka na mnie.

— Witaj, Goewyn — powtórzył Llew ponurym głosem.

— Myślę, że wcale nie jesteś ślepy, Tegidzie Tathal — rzekła wesoło, podchodząc bliżej. — Ty tylko udajesz ślepca.



— Jakże to? — spytałem. — Po cóż miałbym się uciekać do tak niemądrego podstępny?

— To wcale nie jest takie niemądre — obstawała przy swoim. — Człowiek uznawany za ślepcę, a tak naprawdę cieszący się dobrym wzrokiem, zobaczy więcej niż ktokolwiek inny. Przekona się, w jaki sposób traktują go inni, gdyż przed niewidomym nie będą ukrywać swych poczynań. Ujrzy ludzi takimi, jakimi są i pozna ich prawdziwe zamiary. Wynik zaś będzie taki, że stanie się najmądrzejszy ze wszystkich.

— Zaiste, przenikliwy to osąd — przyznałem. — Niestety, mnie on nie dotyczy. Możesz być tego pewna.

— A właśnie, że nie mogę — odrzekła z przekorą. — Witaj, Llew. Myślałam, że zastanę cię na placu ćwiczeń razem z Garanawem.

— Przyglądaliśmy się jego ćwiczeniom nieco wcześniej — powiedział Llew — ale Garanaw od nikogo nie potrzebuje pomocy, a już zwłaszcza od jednorękiego wojownika.

Jego słowa były uprzejme, lecz głos nie zabrzmiał zachęcająco. Goewyn pożegnała się z nami i poszła swoją drogą. Natychmiast natarłem na Llewa.

— Dlaczego próbujesz ją odtrącić?

— Co takiego? Odtrącić? Ja wcale nie próbuję jej odtrącić.

— Ona ciebie kocha.

Llew zaniósł się śmiechem, w którym nie było cienia wesołości.

— Zbyt długo stałeś na słońcu! Ja lubię Goewyn; lubię jej widok i towarzystwo.

— Dlaczego zatem tak bardzo ją zniechęcasz?

— Wścibski bardziej, o czym ty gadasz? — powiedział to dosyć przyjaznym tonem, ale nagle napięcie w głosie zdradziło prawdziwy stan jego ducha.

— Czy myślisz, że obchodzi ją długość twoich ramion? Ona kocha ciebie, a nie twoją prawą rękę.

— Opowiadasz jakieś bzdury.

— A może przeszkadza ci, że wykorzystają ją wilki Meldrona?

— Kto ci o tym powiedział?

— Ona sama — zeszej zimy. Długo leczyła się z ran, jakich doznała z rąk Meldrona. Uratowałeś ją; widziałeś, w jakim była stanie, przypuszczała więc, że wiesz. Kiedyś przyszła do mnie i spytała, czy to z tego powodu nią wzgardziłeś.

— Przestań, Tegid. Sam wprawiasz się w zakłopotanie.

— Czyżby?

— Tak.

Czułem bijącą od niego gwałtowną złość, gdy zawrócił na pięcie i pośpiesznie odszedł. Jego zaprzeczenie, stanowcze i głośnie, dowodziło, iż to, co rzekłem, było prawdą. A prawda ta przeniknęła głęboko, aż do zranionego miejsca, które w sobie nosił.

Podjąłem powolny marsz wokół jeziora. Wiedziałem, iż na zalesionych stokach wzgórz znajdę wyrastający spośród sosen brzo-zowy zagajnik, który mógłby mi posłużyć za pierwsze spomiędzy wielu miejsc nauczania. Obmacując nierówne podłoże końcem laski, zacząłem powtarzać w pamięci hierarchię Uczzonego Bractwa. Najniżej stali mabinogi. Po nich szli cawganog i cupanog. Ci, których wybiorę, mieli szansę dołączyć kiedyś do ich grona. Zacznę ćwiczyć umysły mych podopiecznych, szykując je do Bohaterskiego Czynu pamięci, będącego przejawem prawdziwej sztuki barda. Być może, natknę się wśród nich na takiego, w którego duszy, na podobieństwo rozżarzonych węgli, tli się już awen—tak by było najlepiej. Każdy, kto potrafił okiełznać moce duchowe, zostawał filidhem, potem brehonem, następnie gwyddonem i wreszcie derwyddem. Spomiędzy wszystkich derwyddi dokonywano wyboru penderwyddi, naczelnych bardów, po jednym dla każdego z trzech starodawnych królestw Albionu. A pewnego dnia, spośród naczelnych bardów Prydainu i Llogres, i Caledonu wyłoniony zostanie Phantarch — Najwyższy z Najwyższych, ten, który w ukrytej komnacie śpiewa Pieśń Albionu, podtrzymującą porządek tego świata.

Pod wpływem tej myśli zacząłem się zastanawiać: Czy kiedykolwiek będziemy znowu mieć Phantarcha? Czy w Domhain Dorcha « ponownie będzie rozbrzmiewać Pieśń Albionu? Czy wspomagająca życie Pieśń jeszcze raz rozbłyśnie niby światło w Głębokiej Ciemności?

Przystanąłem na brzegu jeziora. Słońce ogrzewało mi twarz i szyję; lekki wiatr znad wody wicherzył mi włosy; w moich uszach czysto i wyraźnie rozbrzmiewał krzyk ptaków. W tym chronionym miejscu byliśmy bezpieczni. A przecież, bezpieczeństwo to nie mogło trwać długo, jeżeli słowa prococtwa banfaith miały okazać się prawdą. Jak dotąd, wszystko, co przepowiedziała, sprawdziło się co do joty. Tak będzie i teraz!

Pomiędzy wysmukłymi, białymi brzożami panował chłód. Stałem w bezruchu, a ponad moją głowę łagodnie kołysały się młode gałązki. Nowe listki trzepotały niczym piórka, ja zaś dzięki memu wewnętrznemu oku ujrzałem cętki światła igrające na strzelistych pniach oraz w gęstej, zielonej trawie poszycia. Właśnie tutaj, pomyślałem, zacniemy. Tutaj, w tym zagajniku, jeszcze raz odrodzi się sztuka bardów Albionu.

Miałem przed sobą huk roboty, wkraczałem na ścieżkę wiodącą ku odległemu celowi. Jutro przystąpię do dzieła; wyszukam młodzieńców, którzy wraz ze mną wyruszą w tę podróż poprzez język drzew, ptaków i zwierząt; poprzez wiedzę o drewnie i wodzie, ziemi i powietrzu, i gwiazdach; przez wszystkie rodzaje opowieści: te, w których występują Anruth i Nuath, i Eman, przez Dindsenchas oraz Cetals, Wielkie Przemowy; poprzez *Bretha Nemed*, Prawa Przywilejów i Zwierzchnictwa; Cztery Sztuki Poezji; Prawa Bardów; a także przez *Taran Tafod*, Tajemny Język i wszystkie uświęcone obrzędy naszego ludu. Kto wie, może znajdę takiego, w którego duszy płonie jasno *Imbas Forsnai*, Światło Przewidywania — kogoś na miarę Ollathira.

Przystąpiłem do obrzędu błogosławieństwa. Z trzech brzoż wyciąłem trzy cienkie gałęzie, po czym spłotłem z nich zieloną obręcz. Podążając zgodnie z kierunkiem ruchu słońca, potoczyłem obręcz skrajem zagajnika, a gdy zakończyłem trzeci krąg, ułożyłem ją w samym środku brzeziny. Wyciągnąłem mieszek z nawgłanem i ułożyłem nieco Świętej Dziewiątki na środek wyznaczonego obręcza koła. Potem skropiłem nią jeszcze trzy linie, odtwarzając kształt *Gogyrven*, Trzech Promieni Prawdy. Uczyniwszy to, wyrzekłem słowa błogosławieństwa:

Na stromej ścieżce naszego powołania,  
Czy łatwe czy trudne będzie to dla ciała,  
Czy w świetle czy w mroku przyjdzie nam iść,  
Po kamienistych wertepach czy po równej drodze,  
Użycz nam, O Dobry-Mądry, swego doskonałego  
przewodnictwa;  
Albowiem bez niego przepadniemy albo wkroczymy na  
błędne szlaki.

Pod osłoną tego zagajnika,  
Bądź naszym przeznaczeniem i przewodnikiem; Aird  
Righ, poprzez moc Dwunastki:  
Wiatru porywów i zawieruch.  
Grzmotu sztormowych fal,  
Promienia słonecznego blasku,  
Niedźwiedzia siedmiu bitew,  
Orła z wysokiej skały,  
Dzika z kniei,  
Łososia ze strumienia,  
Jeziora z górskiej doliny,  
Kwiecia z wrzosowiska,  
Kunsztu rzemieślnika,  
Słowa poety,  
Ognia rozumnej myśli.

Któż podtrzymaże gorsedd, jeśli nie Ty?  
Któż oblicza wiek tego świata, jeśli nie Ty?  
Któż zarządza Kołem Niebieskim, jeśli nie Ty?  
Któż tchnie w łono nowe życie, jeśli nie Ty?  
A zatem, Boże Wszelkich Cnót i Mocy,  
Błogosław nas i ochraniaj swą Szybką Pewną Ręką,  
I doprowadź nas w pokoju do kresu naszej podróży.

Zakończywszy recytację, dźwignąłem się na nogi i opuściłem zagajnik, zmierzając na powrót w stronę jeziora. Gdy byłem już na nadbrzeżnej ścieżce, usłyszałem gdzieś za sobą cichy plusk. Pomy-

ślałem, że to ryba się rzuciła albo żaba skoczyła do wody i nie zaprzętałem nim sobie uwagi. Spokojnie szedłem dalej, badając drogę laską, kiedy jednak zbliżyłem się do pierwszej ze wzniesionych na brzegu chat, usłyszałem ten odgłos jeszcze raz — coś wpadło do płytkiej wody.

Przystanąłem, z wolna odwróciłem głowę i zawołałem:

— Chodź tutaj!

Moje wezwanie pozostało bez odpowiedzi, wychwyciłem natomiast niezbyt odległy szmer oddechu.

— No chodź — powtórzyłem. — Chcę z tobą porozmawiać.

Na kamienistym podłożu zatupały bose stopy.

— Czekam — dorzuciłem.

— Skąd wiedziałeś, że tam byłem? — rozległo się z boku. Głos był czysty i śmiały, choć rozbrzmiewały w nim zarazem nuty szacunku; mój rozmówca był młodym chłopcem.

— Powiem ci — odrzekłem — jeśli najpierw ty mi wyjaśnisz, dlaczego mnie śledzisz. Zgoda?

— Zgoda — przytaknął mój młody cień.

— Bardzo dobrze.

Chłopak zrobił głęboki wdech, milczał przez chwilę, a następnie rzekł:

— Poszedłem za tobą, żeby sprawdzić, czy będziesz śpiewał. — Nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, dodał: — Teraz twoja kolej.

— Wiedziałem, że jesteś za mną, ponieważ cię słyszałem. — Po tych słowach odwróciłem się i zacząłem wodzić laską po usianym kamykami brzegu.

Moja odpowiedź nie przypadła chłopcu do gustu. Podbiegł bliżej i zaprotestował:

— Ale przecież ja byłem bardzo cicho!

— Tak — przyznałem — byłeś bardzo cicho. Tylko że moje uszy są bardzo długie.

— Wcale nie są takie długie.

— Wystarczająco długie, żeby usłyszeć kogoś tak hałaśliwego jak ty.

— Ależ ja nie jestem hałaśliwy! — obstawał przy swoim mój

młody towarzysz, a już w następnej chwili zupełnie zmienił temat — Czy bolą cię oczy?

— Kiedyś na początku bolały. Teraz już ich nie czuję. Ale musisz wiedzieć, że nie jestem aż tak ślepy, jak by ci się mogło wydawać.

— To dlaczego cały czas macasz wokół siebie laskę? — Choć poczynał sobie zuchwale, w jego głosie nie znalazłem śladów lekceważenia.

— Dlaczego zadajesz tak wiele pytań?

— A jakże dowiem się czegokolwiek, jeśli nie będę pytać?

— Dlaczego chcesz usłyszeć mój śpiew?

— Nie tylko ja zadaję mnóstwo pytań — bez namysłu odciął się chłopak.

Parsknąłem śmiechem, a jemu fakt, że wzbudził moją wesołość, sprawił najwyraźniej przyjemność. Wysforował się o kilka kroków do przodu i przystanął; usłyszałem plusk wpadających do jeziora kamieni.

— Jak się nazywasz, chłopcze?

— Jestem Gwion Bach — odparł zadowolony. — Tak jak w pieśni.

— Z jakiego jesteś klanu?

— Z Oirixeni w Llogres. Nie jesteśmy już tak liczni jak dawniej — wyjaśnił. W jego głosie dźwięczała duma, natomiast nie mogłem doszukać się w nim smutku. Zapewne Gwion był jeszcze za młody, by pojąć, co spotkało jego klan, bądź co to oznaczało.

— Witaj, Gwionie Bach. Ja jestem Tegid Tathal.

— Wiem, jesteś naczelnym bardem. Każdy cię zna.

— Dlaczego chciałeś posłuchać mego śpiewu?

— Bo po raz pierwszy usłyszałem barda dopiero tutaj — wyjaśnił.

— I jak ci się to podoba?

— Lubię harfę.

— A co powiesz o pieśniach?

— Moja matka śpiewa lepiej.

— Wobec tego może powinieneś wrócić do matki.

— Nie ma jej z nami — wymamrotał. — Zginęła, kiedy najeźdźcy spalili nasz gród.

Stałem jak wryty.

— Przepraszam, Gwionie Bach. Uczyniłem niemądrze, mówiąc w ten sposób.

— Rozumiem — odrzekł. Ta prosta wypowiedź sprawiła, iż powrócił mój wewnętrzny wzrok. Ujrzałem przed sobą chłopca o kędzierzawych, ciemnych włosach, szczupłego, lecz prędkiego jak myśl. Z otwartej twarzy patrzyły na mnie wielkie, ciemne oczy. Mógł sobie liczyć osiem, najwyżej dziewięć lat, a mimo to zdradzał inteligencję tudzież pewność siebie, jakiej nie powstydziliby się młodzian dwakroć starszy.

— Powiedz mi, Gwionie Bach — spytałem — czy chciałbyś nauczyć się pieśni?

Nie odpowiedział mi od razu. Namyslał się czas jakiś, po czym rzekł:

— Czy będę miał własną harfę?

— Jeżeli opanujesz sztukę gry na tym instrumencie, to tak, oczywiście. Jest to jednak niezmiernie trudne, musisz więc ciężko pracować.

— W takim razie będę pracować — oznajmił takim tonem, jak gdyby ofiarowywał mi jakiś niezwykły dar.

— Kto jest twoim ojcem? Spytałem go, czy pozwoli mi kształcić cię na barda.

— Moim ojcem jest Conn, ale jego też zabili. — Twarz Gwiona spochmurniała na wspomnienie bolesnych przeżyć.

— Któż więc opiekuje się tobą obecnie?

— Cleist — odparł krótko, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia.

— Czy teraz mnie widzisz?

Usłyszawszy to pytanie, omal nie zapomniałem języka w gębie. —

Tak — przyznałem — w pewnym sensie. Czasami dostrzegam to i owo, lecz nie za pośrednictwem oczu, tylko wprost w głowie.

Gwion posłał mi baczne spojrzenie.

— Jeżeli mnie widzisz, to powiedz, co trzymam w rękę?

— Srebrzystą gałązkę — odrzekłem. — Gałązkę brzozy. Wiedziałeś, jak ścinam je w zagajniku, więc jedną zerwałeś dla siebie.

Chłopak mocno zacisnął powieki, przytknął palec do środka czoła. Po chwili otworzył oczy i oznajmił:

— Nic nie widzę. Czy nauczysz mnie, jak to się robi?

Z jego drobnej twarzy bił taki zapał, że nie mogłem powstrzymać śmiechu. — Nauczę cię rzeczy znacznie od tego pożyteczniejszych, Gwionie ap Conn.

— O ile Cleist się zgodzi.

— Tak, o ile Cleist się zgodzi.

Razem wkroczyliśmy między chaty. Gwion powiódł mnie do domku, w którym mieszkał wspólnie z paru innymi Oirixeni. Zapytam Cleista; omówimy wszystko jak należy. Lecz już teraz wiedziałem, że znalazłem mego pierwszego mabinoga. Albo raczej to on znalazł mnie.

## 26. Martwa woda

Osy napełniały cienisty gaj jednostajnym brzęczeniem, latając leniwie w skwarze południa. Gwion oraz jego dwaj towarzysze — bystry Iollo z Taolentani i nieśmiały, uśmiechnięty Daned z Saranae — siedzieli na brzozowej kłodzie, darli z niej przypominające papier strzępy kory i z ogromnym wysiłkiem próbowali zapamiętać język drzew. Zamknąwszy oczy, na poły drzemałem, przysłuchując się śpiewnej recytacji moich trzech mabinogi.

— *Beith* — brzoza — powtarzali chórem. — *Luis* — jarzębina, *nuinn* — jesion, *fearn* — olcha, *saille* — wierzba, *huath* — ... dąb...

— Nie. Czekaście. Stać. — Uniosłem głowę. — Huath to dąb? |Czy aby na pewno?

Na moment zapadła cisza.

— Może to ostrokrzew? — niepewnie podsunął Daned.

— Nie, ale jesteś już bliżej. Pomyślcie. Co to takiego?

— Głóg? — zaryzykował Iollo.

— No właśnie. Powtarzajcie dalej.



— *Huath* — głóg, *duir* — dąb...

— Od początku — poleciłem. — Zaczynjcie jeszcze raz.

— Jeszcze raz? — zaprotestował Gwion. — Jest za gorąco na myślenie. A poza tym, mam dosyć drzew. Chcę porozmawiać o czymś innym.

Kiedy indziej nalegałbym na dokończenie wyliczanki, jednak dzisiaj Gwion miał rację. Rzeczywiście było zbyt gorąco na myślenie, a nawet na jakikolwiek ruch. Od *Alban Heruin*, Najwyższego Światła, dni stały się niesamowicie upalne. Słoneczny żar spływał z białego nieba niczym roztopiony metal z pieca, niosąc zgubę wszystkiemu, co zieleniło się na ziemi. Ciężkie, zatęchłe powietrze trwało w całkowitym bezruchu, tafli jeziora nie marszczył najłżejszy podmuch, w koronach drzew nie zaszeleścił choćby jeden listek.

— Bardzo dobrze — ustąpiłem — o czym chcielibyście porozmawiać?

— O rybach — podsunął Gwion.

— Doskonale, powtarzajcie zatem ryby.

— Proszę, penderwydd — jęknął Iollo — czy musimy to robić?

Milczałem przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią, co skwapliwie wykorzystał Gwion.

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś o łososiu — powiedział szybko.

Wyczuwałem, że zastawia na mnie pułapkę, toteż odrzekłem ostrożnie:

— Tak?

— No więc — zaczął poważnie — dlaczego w naszym jeziorze nie ma łososi?

— Przecież ty znasz odpowiedź na to pytanie — przypomniałem mu. — W każdym razie powinieneś ją znać.

— Bo to są morskie ryby — wyrwał się Daned.

— No właśnie.

— A w naszej rzece w Llogres były łososie — zaoponował Gwion — choć do morza mieliśmy bardzo daleko.

— Iollo — zagadnąłem — jaka jest najistotniejsza różnica między rzeką a morzem?

— Wody rzek i strumieni są słodkie, podczas gdy morze jest słone. — Myślał nad czymś przez chwilę, po czym spytał: — No to wobec tego, skąd biorą się łososie w rzece?

— No właśnie, skąd?

Gwion zorientował się, że rozmowa zbacza z wytyczonego kierunku, więc natychmiast spróbował naprowadzić ją na właściwe tory. — No dobrze, ale dlaczego nie ma łososi w naszym jeziorze?

Iollo miał gotową odpowiedź.

— Nasze jezioro nie łączy się z żadną rzeką, więc łososie nie mają którędy do niego wpłynąć.

— Łączy się przynajmniej z jedną — poprawił go Gwion. — Ta rzeka płynie po drugiej stronie Druim Vran. W pewnym momencie znika pod którymś ze wzgórz, by na koniec wpaść do jeziora.

— Czy to prawda, penderwydd? — upewnił się Daned.

— Prawda — przytaknąłem.

— Pokażę mu, gdzie to jest — zaproponował Gwion, jak na mój gust nazbyt gorliwie podrywając się na nogi. — Czy mogę, penderwydd?

Zawahałem się nad odpowiedzią. Gwion wstrzymał oddech. Siedziałem na trawiastym pagórku, z laską ułożoną na kolanach, a moje myśli powędrowały ku innemu upalnemu, rozleniwiającemu popołudniu w innym, pełnym cienistej zieleni gaju — do dnia, kiedy to ja sam siedziałem na takiej kłodzie i, ogłupiały od gorąca, walczyłem o to, by zapamiętać choćby strzępki ulotnych wiadomości, z jednakowym zapałem marząc o chwili drzemki, i o pochwałach Ollathira.

— A więc dobrze — ustąpiłem. — Poszukajmy rozwiązania tej zagadki. Nad jezioro! Wskazuj nam drogę, Gwionie!

Chłopak popędził naprzód.

— Posłusznie spełnię twe polecenie, o Mądry!

— Zatem ruszajmy!

Moi podopieczni wypadli z zagajnika i co sił w nogach pognali ku wodzie. Brzozowe listki wciąż jeszcze drżały od głośnych okrzyków radości, gdy na ścieżce znów usłyszałem kroki kogoś z nich. W chwilę później objęła mnie para chudych ramion, do mego brzucha zaś przytuliła się spocona głowa. Gwion nie wyrzekł ani słowa, lecz ten

gest był dostatecznie wymowny. Przeczesałem palcami mokre włosy, a chłopak zawrócił na pięcie i jak szalony popędził z powrotem.

Ujawszy w dłoń laskę, ruszyłem w dół zbocza, dobrze znaną drogą z gaju do jeziora. W pewnym momencie przystanąłem na otwartej przestrzeni, gdzie bez przeszkód docierały ostre słoneczne promienie. Moja twarz oraz ramiona przypiekał żywy ogień; upał odbierał mi zarówno siły, jak i wolę.

Gdym tak stał pogrążony w zadumie, od strony jeziora doleciał mnie okrzyk, któremu towarzyszył głośny plusk wpadającego do wody chłopca. Dźwięk ów pobudził me wewnętrzne oko i ujrzałem wizerunek innej młodej twarzy — bez wątpienia dziewczęcej. Twarz była wychudzona i blada z wyczerpania, czego nie ukryła nawet gruba warstwa przemieszanego z potem kurzu, ale oczy patrzyły pewnie, z wyrazem krańcowej determinacji. Znałem tę twarz, widziałem ją już wcześniej...

— Penderwydd! — zawołał Gwion. — Chodź popływać z nami!

Zszedłem na brzeg i usiadłem na kamieniach. Ściągnąłem koszulę i buty, po czym wkroczyłem na przybrzeżną płyciznę. Chłodna woda wspaniale koiła moje rozpalone stopy. Widząc, iż stoję zanurzony ledwie po kostki, Gwion zaczął głośno zachęcać mnie, bym wszedł głębiej.

Czemu nie? Zrzuciłem spodnie i postąpiłem naprzód. Woda dawała prawdziwą ulgę. Zanurzyłem się po szyję, stąpając ostrożnie po zalegających dno okrągłych kamieniach.

— Tutaj! Prosimy tutaj, Mądry Mistrzu! — darli się moi mabionogi.

Zanurkowałem i popłynąłem pod wodą, kierując się ku ich głosom. Wkrótce baraskowaliśmy wszyscy razem, a nasze wesole okrzyki wprawiały w drżenie nieruchome, martwe powietrze. Po niedługim czasie odpowiedziały nam nowe wrzaski — dzikie, głośne, szczęśliwe. To młodzi wojownicy przybiegli szukać ochłody w jeziorze. Garanaw, idąc za naszym przykładem, zezwolił swym hałaśliwym uczniom na kąpiel.

Odsunęliśmy się dalej od brzegu, by zrobić miejsce przybyłym.

— Tutaj jest chłodniej! — oznajmił Iollo.

— Popatrzcie na to! — zawołał Gwion.

Zanurkował z głośnym pluskiem, a po chwili był z powrotem na powierzchni. — Tam na dole jest zimno — zameldował, kiedy już wypłuł wodę z ust.

— Ja mogę nurkować dłużej! — rzucił wyzwanie Daned i rozpoczęły się zawody. Chłopcy kolejno opadali na dno jeziora, gdzie przytrzymywali się kamieni, aby nie wypłynąć zbyt szybko na powierzchnię. Współzawodnictwo trwało dłuższy czas, dzięki czemu miałem okazję spokojnie popływać, lecz ten spokój został nagle zburzony przez okrzyk podnieconego Gwiona.

— Penderwydd! Coś znalazłem! Penderwydd!

Podpłynąłem bliżej.

— Co się stało?

— Zobacz sam — powiedział. Woda nie była w tym miejscu zbyt głęboka, więc stanąłem, a Gwion wcisnął mi do ręki jakiś metalowy przedmiot. — Myślałem, że to kamień — dodał.

Obmacałem przedmiot ze wszystkich stron, wyczuwając pod palcami boki oraz krawędź.

Iollo i Daned również przyplnęli bliżej.

— Czarka! — zdziwił się Iollo. — Gdzie ją znalazłeś?

— W wodzie — odparł Gwion. — Leżała na dnie.

— Pan Llew znalazł w jeziorze kociołek, kiedy przybyliśmy tu po raz pierwszy — dodałem.

— Skąd on się tam wziął? — spytał Daned.

— Kiedyś w tych stronach żyli ludzie — odparłem. Pokryty ornamentem bok czarki, w miejscu gdzie porosły go glony, był śliski i gładki jak futro foki.

— Ja też taką znajdę! — zapewnił Iollo.

Dopiero teraz nurkowanie zaczęło się na dobre. Chłopcy gotowi byli się potopić, byleby tylko prześcignąć rywala. Pomyślałem, że mieli bardzo nikłe szanse na odkrycie czegoś wartościowego, i rzeczywiście, ich wysiłki spełzały na niczym, dopóki...

— Penderwydd! — krzyknął Iollo. — Mam! Coś znalazłem — i to jest całe ze srebra!

Rozbryzgując wodę, popędził w moją stronę, ja zaś wyciągnąłem ku niemu rękę.

— Co to jest?— dopytywał się niecierpliwie.

— Wy to przynajmniej widzicie. Nie możecie opisać mi jego wyglądu?

Położył przedmiot na mojej dłoni. Zmacałem palcami niezwykle kształt: mały i płaski, o metalicznej, gładkiej powierzchni, którą jednakże przecinały jakieś zadrapania czy też może wyżłobienia zawiłego wzoru.

— To wygląda jak ryba — zaryzykował Gwion. — Jest jednak zupełnie płaskie, nie ma też płetw ani ogona.

— Jest za to napis — wtrącił Daned. — O tutaj. — Drobną ręką złapała mnie za palec i przycisnęła go do blaszki.

— Wiecie, co to takiego? — spytałem. — Nigdy tego nie widzieliście?

— Trochę przypomina liść — podjął kolejną próbę Gwion.

— Bo też to jest liść — odparłem.

— Zrobiony ze srebra? — zdziwił się Iollo.—Wobec tego musi być bardzo cenny.

— Tak, i to bardziej niż myślisz — wyjaśniłem. — To ofiara złożona bogu tego miejsca: brązowy listek sporządzony ze srebra na cześć pana zagajnika.

Odkrycie srebrnej ofiary tchnęło w chłopców świeże siły. Niebawem o znalezisku usłyszeli młodzi wojownicy i z zapalem przyłączyli się do poszukiwań. Wyszędłem wówczas na brzeg, wspiąłem się na pobliskie skały i zaległem na ciepłych kamieniach, pozwalając, by słońce mnie wysuszyło.

— Tegid! A więc tu jesteś. Nareszcie cię znalazłem.

Powoli usiadłem.

— Tak, Drustwnie, tu jestem.

— Llew przysłał mnie po ciebie — powiedział śniadolicy Kruk.

Wychwyciłem w jego głosie tony niepokoju, więc spytałem:

— Co się stało?

— Przybył konny z Dun Cruach. Llew poprosił, żebym cię odnalazł. Są z nim Bran oraz Calbha.

— Pójdziemy szybciej, jeśli mnie poprowadzisz — rzekłem, pośpiesznie naciągając odzienie. Na koniec ująłem w dłoń laskę.

Drustwn sprowadził mnie nad jezioro, dopomógł usadowić się w łodzi, a następnie jednym ruchem szerokich barków zepchnął czółno na wodę. W tej samej chwili także i on wskoczył do środka, złapał za wiosło, po czym równo nim pracując, powoził nas do crannogu.

Nasze pływające miasto rosło, gdyż przybywało coraz więcej mieszkańców. Obecnie przypominało już wyspę, z krzewami i drzewami rozrzuconymi pomiędzy gęsto skupionymi domostwami oraz gęstwą jagód porastających obwałowania poza drewnianymi fortyfikacjami. Stado młodych dziewcząt łowiło ryby na skraju pomostu. Słyszałem plusk, z jakim ich rozkołysane stopy dotykały wody, słyszałem przywodzący na myśl ptasie trele ich szczęśliwy szczebiot.

Drustwn wygramolił się z łodzi, gdy tylko dziób dotknął pomostu. Podniosłem się na nogi i natychmiast poczułem na ramieniu jego dłoń, która wspierała mnie aż do chwili, kiedy pewnie stanąłem na nie heblowanych deskach przystani. Przez otwarte bramy pośpieszyliśmy na pierwszy z wielu połączonych ze sobą podwórców, przebyliśmy następny i jeszcze jeden, aż wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie na podwyższeniu usypanym z ziemi tudzież kamienia wznosiła się hala.

Po wejściu do środka poczułem woń zastałego dymu; z odległego kąta hali, gdzie zebrali się Llew i cała reszta, dolatywał cichy pomruk głosów.

Przybyły jeździec, kimkolwiek był, cuchnął koniem i potem. Popijał z kubka piwo, łykając je pośpiesznie wielkimi haustami, tak jak tylko ogromnie spragniony człowiek to potrafi. Llew trącił mnie kikutem prawej ręki, gdy tylko znalazłem się w jej zasięgu — ów gest wykonywał już odruchowo. Ilekroć uczestniczył w jakiejś naraździe, nieodmiennie pragnął, bym zasiadał u jego boku. I za każdym razem dawał mi kuksańca w ramię, jak gdyby chcąc upewnić niewidomego o ważności przynależnej mu pozycji. Albo raczej, pomyślałem, uspokoić siebie samego.

— No, jest już Tegid — powiedział Llew. — Przepraszam za przerwanie twojej lekcji, pomyślałem jednak, że zechcesz tego wysłuchać.

— Witaj, Tegidzie — odezwał się posłaniec.

Natychmiast rozpoznałem ten głos.

— Witaj, Rhoedd — odrzekłem. — Gnałeś na złamanie karku. Wieści, które przywozisz, muszą być niezwykle pilne.

— Osusz kubek — wtrącił Llew — a potem powiedz, co nam przywozisz.

Rhoedd wlał w siebie ostatnie łyki trunku i głęboko odetchnął.

— Ach, dziękuję, panie Llew. Nigdy nie kosztowałem lepszego napoju i więcej mi nie trzeba.

Przy tych słowach w mej głowie rozbłysnął obraz obrzeżonej sitowiem sadzawki, spokojnej jakimś nienaturalnym spokojem. Jej wody połyskują ciemno w promieniach zamglonego słońca, najbliższy podmuch nie marszczy obrzmiałej powierzchni, wśród zeschniętych kęp sitowia nie widać ani jednego ptaka. Martwa woda, pozbawiona życia i milcząca. Gdym spojrzał wyżej, zauważyłem gnijący szkielet owcy, po części pogrążony w mule u brzegu tego złowieszczonego jeziora.

— Napełnijcie jego kubek jeszcze raz — poleciłem. — Od trzech dni Rhoedd nie miał nic do picia.

— Czy to prawda? — spytał Llew.

— Tak, panie, to prawda — przytaknął zagadnięty, a jego słowom towarzyszył bulgot lanego w kubek piwa. — Zapas wody, jaki miałem ze sobą, wystarczył tylko na dwa dni.

Ponownie zajął się zawartością naczynia, my zaś czekaliśmy, aż wleje w siebie ostatnie krople słodkiego, brązowego płynu.

— Jeszcze raz dziękuję — wysapał po chwili. — Przywożę pozdrowienia od Cynana.

— Pozdrowienia? — zdumiał się Bran.

Calbha był bardziej bezceremonialny.

— Człowieku, prawie zajeździłeś konia na śmierć, aby powiedzieć, że Cynan Machae nas pozdrawia?

— Pozdrawia — sztywno powtórzył Rhoedd — i ostrzega. Ostrzeżenie brzmi: strzeżcie waszej wody.

Zaskoczenie było powszechne. W hali zapanowała cisza. Ja jednak miałem wciąż w pamięci wizję martwej sadzawki, toteż rzekłem:

— Trucizna.

— Szczera prawda — przytaknął Rhoedd. — Nasza woda została zatruta. Teraz jest skażona i każdy, kto jej skosztuje, zaczyna chorować. Niektórzy nawet umierają.

— Zatruta woda — ponuro rzucił Calbha. — To okrutne.

— Gdzie to się stało? — spytał Llew.

— W całym Galanae. Wszędzie jest tak samo. Nie wiadomo jak bardzo trucizna się rozprzestrzeniła i dlatego jadąc tutaj, nigdzie po drodze nie brałem wody.

— Ale nasza woda jest dobra — stwierdził Drustwn. — Czyż tego nie widzisz?

— Powiem ci, co widziałem — odrzekł mu Rhoedd. — Widziałem niemowlęta powykręcane w męce konania; i widziałem ich matki wyjące po nocach. Widziałem też silnych mężczyzn, którzy nie byli w stanie zapanować nad swymi żołądkami i padali jak muchy w kałuże własnych odchodów; widziałem też dzieci oślepte od gorączki. Oto co widziałem. Trucizna sięga daleko — nie wiem dokąd. Dlatego właśnie nie odważyłem się czerpać wody z napotykanych po drodze wodopojów.

— No, ale nasze piwo możesz pić bez obaw—zapewnił go Bran. — Tutaj nie ma trucizny.

— Co należy uczynić? — zadał pytanie Llew. — Jakiej pomocy możemy udzielić Dun Cruach? Czy możemy zawieźć im wodę?

— Król Cynfarch nie prosił o pomoc — odrzekł Rhoedd. — Chciał tylko ostrzec was przed niebezpieczeństwem.

— Wszystko jedno — stwierdził Llew. — I tak pojedziemy do niego. Zabierzemy też tyle wody, ile tylko zdołamy udźwignąć.

— Czyli niezbyt wiele — zauważył Bran.

— Ale to wystarczy, aby umożliwić im przyjazd tutaj — odparł Llew. — Wyruszymy, gdy tylko kadzie będą pełne.

Choć byłem odmiennego zdania, postanowiono, iż powinniśmy zawieźć wodę do Dun Cruach i sprowadzić tamtejszą ludność do Dinas Dwr. Decyzja ta zupełnie mi nie odpowiadała. Nie żałowałem Cynanowi wody — nawet mi to nie przyszło do głowy! Nie miałem też nic przeciwko temu, żeby Llew niósł im pomoc. Prawdziwym niepokojem napawała mnie myśl o opuszczeniu Dinas Dwr.



Llew pragnął poznać powody mego niezadowolenia.

— Opuszczając Dinas Dwr, nie uczynimy zbyt mądrze. — To było jedyne wyjaśnienie, na jakie mogłem się zdobyć.

Przez następne dwa dni szykowano wozy do przewozu wody, napełniano beczki. Wieczorem dnia poprzedzającego nasz wyjazd zaczękałem, aż Llew wyjdzie z hali i uda się do swej komory.

— Nie wolno nam jutro wyjeżdżać — oznajmiłem, wchodząc w ślad za nim. — To niebezpieczne oddalać się od Druim Vran w taki czas.

— Witaj, Tegidzie. Cóż cię trapi?

— Czyżbyś nie słyszał, co powiedziałem?

— Słyszałem i, prawdę mówiąc, oczekiwałem ciebie przez cały dzień. — Usłyszałem miękki szelest jego stóp na kamieniach posadzki, gdy podchodził do stołu. Tam musiał sięgnąć po dzban, gdyż rozległo się bulgotanie rozlewanego do kubków płynu. Potem podszedł i trącił mnie kikutem w ramię. — Trzymaj — powiedział. — Siadaj i mów.

Sam opadł na stos cielejących skór, więc zająłem miejsce naprzeciwko, złożwszy w nogach laskę. Llew wzniosł do góry swój kubek.

— *Sláinte!*

— *Sláinte mór* — odrzekłem, on zaś trącił swoim kubkiem brzeg mojego, po czym spełniliśmy toast. Piwo było ciepłe i zwietrzałe, miało kwaśny posmak.

— No więc, cóż cię niepokoi? — zagadnął po chwili. — Założyłeś szkołę bardów. Powtarzałeś nam, że jesteśmy tutaj bezpieczni, że dolina jest chroniona.

— Dolina jest chroniona i w jej obrębie nie spadnie na nas żadne nieszczęście — przytaknąłem. — Dlatego właśnie nie wolno nam opuszczać tego miejsca.

— Nie rozumiem cię, Tegidzie. Pożegnaliśmy na Ynys Sci, a nawet zapędziliśmy się do warowni Meldrona. Ani słowem nie wspomniałeś wówczas o pozostaniu w dolinie. Popraw mnie, jeżeli jestem w błędzie, ale to właśnie ty ponaglałeś nas do działania.

— Wtedy to było co innego.

— A to niby dlaczego? — zapytał. — Chcę wiedzieć, na czym polega różnica.

Poczułem skurcze żołądka. Jakże miałem wytłumaczyć mu coś, czego sam nie pojmowałem do końca? Powiedziałem więc tylko:

— Wykorzystaliśmy wtedy niewiedzę Meldrona. Ale to mogło udać się tylko raz.

— To żaden powód.

— Meldron z pewnością wie, że ukrywamy się gdzieś w Caledonie. Nawet w tej chwili jego wojownicy próbują nas wytropić. Jeżeli tylko wystawimy stąd nos, zostaniemy odkryci, a nie mamy jeszcze dość sił, by stawić mu czoło w otwartej bitwie.

— Zdumiewasz mnie, Tegidzie. Jedziemy z wodą tylko do Dun Cruach, a nie do Meldrona, by rzucić mu wyzwanie prosto w twarz. I tak jest to niewiele w porównaniu z tym, co uczynili dla nas Cynan wraz ze swym ojcem.

— W niczym nie umniejszam naszego długu względem Cynfarcha i jego syna. Masz rację, rozumując w ten sposób. Ale teraz doliny opuścić nie możemy.

— Tylko że woda właśnie teraz jest im potrzebna — łagodnie, choć z coraz większym uniesieniem tłumaczył Llew. Teraz — a nie w następnym Lugnasadh.

— Jeżeli wyjedziemy z Dinas Dwr, popadniemy w tarapaty — stwierdziłem przygaszonym głosem.

— Tarapaty — powtórzył wolno. — Jakiego rodzaju?

— Tego nie umiem powiedzieć — przyznałem. — Klęska.

— Powiadasz, klęska. A czy ją widziałeś?

— Nie — wyznałem szczerze. — Ale czuję to przez skórę.

— Jest zbyt gorąco, aby się o to spierać, Tegidzie — oznajmił Llew i w tej samej chwili, pobudzone jego słowami, otwarło się me wewnętrzne oko.

Ujrzałem, jak odrywane przez rozszalałe wiatry od spieczonej ziemi, kłębią się w powietrzu ciemne chmury pyłu. Na brązowym niebie wisiało pozbawione zwykłego blasku, obwiedzone żółtawym pierścieniem bladej słońce. Czy to w przestworzach, czy to na

ziemi — nigdzie nie mogłem dostrzec śladów żywego stworzenia. W mej głowie rozbrzmiało proroctwo banfaith.

— Prochy Starożytnych zawirują w obłokach — zaintonowałem miękko — istotę Albionu rozniosą walczące wichry.

Llew milczał przez chwilę. — Co to znaczy? — zapytał w końcu.

— Meldronowe królowanie jest splugawione — odrzekłem. — Profanacja, jakiej się dopuszcza, zaczęła niszczyć cały kraj. Jego nieprawie rządy budzą odrazę, która krocząc przez nasze ziemie zatrzuwa je i zabija. Ale najgorsze dopiero nastąpi.

Llew słuchał w milczeniu. Podniosłem kubek do ust, upiłem łyk i odstawiłem na podłogę.

— W Dniu Zmagaiń korzeń zamieni się miejscem z konarem, a świeżość uchodzić będzie za cud — wyrecytowałem.

— Tak? Oświeć mnie — powiedział znużonym tonem.

— Korzeń i konar zamieniają się miejscami, rozumiesz? W duszy Meldrona król oraz królestwo zajmują nie swoje miejsca.

— Przepraszam, Tegidzie... jest już późno; jestem zmęczony... ja nic z tego nie rozumiem.

— Słowa proroctwa...

— Wiem, wiem, proroctwo... no tak. Cóż ono znaczy?

— Najwyższa władza, Llew. Meldron wziął w swoje ręce władzę przynależną wyłącznie bardom. Sam obwołał się królem i teraz rości sobie prawo do sprawowania najwyższej władzy. W ten sposób odwrócił porządek rzeczy.

— I właśnie to zatręło wodę? — Na twarzy Llewa malował się wysiłek, z jakim próbował to wszystko zrozumieć. — Naprawdę?

— Jestem o tym przeświadczony. Jak długo, według ciebie, tak wielkie zło może panoszyć się w królestwie bez zatrąwania całej ziemi? Przecież ziemia żyje. Czerpie życie z uprawiających ją ludzi, tak jak oni czerpią życie ze swego króla. Jeżeli zepsucie skazi króla — lud ucierpi, to prawda, ale na końcu ucierpi również ziemia. Tak jest kolej rzeczy.

— Tak właśnie czyni Simon — Llew postąpił się dawnym imieniem Siawna Hy. — To wszystko przez niego. To on podpowie-

dział Meldronowi, że panowanie można zdobyć siłą. A teraz z tej przyczyny Albion umiera.

Zamilkł na moment, lecz podjął swój wywód, nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. — Gdybym wypełnił cel, z jakim tu przybyłem, nigdy by do tego nie doszło.

— Bezsensowną rzeczą jest mówić w ten sposób — stwierdziłem. — Robimy tylko to, o czym wiemy; robimy to, co potrafimy.

— A więc tym bardziej mamy powód, by obecnie wspomóc Cynana.

Nic nie mogło zmienić raz powziętej decyzji. Powiedziałem, co miałem do powiedzenia, a on przyjął to ze spokojem.

— A więc dobrze — ustąpiłem. — Pojedziemy. Dostarczymy wodę do Dun Cruach, a potem stawimy czoło następstwom tego posunięcia.

— Jak sobie życzysz, bracie — dobroduszenie przytaknął Llew. — A co będzie z twoimi mabinogi?

— Zajmie się nimi Goewyn.

— Tak więc, wszystko uzgodnione. Wyruszamy o świcie.

Wyszedłem na dwór. Byłem zbyt poruszony i zdenerwowany, a nieruchome powietrze zbyt gorące, bym mógł w ogóle zasnąć tej nocy.

## 27. Głaz Olbrzyna

Czuwałem w moim gaju. Siedziałem nagi na podwyższeniu z darni, odbierając przez skórę żar nocy. Wsłuchiwałem się w nienaturalną ciszę, a równocześnie, za pośrednictwem wewnętrznego wzroku usiłowałem dojrzeć to, czego kiedyś wypatrywałbym we wróżebnej misie. Przebiegałem cieniste ścieżki przyszłości w poszukiwaniu źródła mego przecucia. Przez mą głowę przewijały się liczne obrazy — wszystkie jednakowo ponure i przygnębiające: głodujące dzieci o wychudłych członkach i sterczących brzuchach, martwe, rozdęte sztuki bydła leżące w poprzek zatrutych strumieni, pogrążone w ciszy osady, uschłe plony, kruki panoszące się niepodzielnie pomiędzy lśniącymi żebrami obranego do czysta szkieletu.

Miałem uczucie, że gęste, ciężkie opary ucisku rozpościerały się ponad krajem na podobieństwo tłumiącej ogień skóry, oślizgłej od zgnilizny, duszącej wszystko, co znalazło się w jej zasięgu.

Przygnębiony, dźwignąłem się na nogi, wciągnąłem na grzbiet odzienie i szedłem ścieżką nad jezioro, gdzie konie oraz wozy czekały na sygnał do odjazdu. Wśród nielicznej grupki odprowadzających znalazła się Goewyn.

— Żegnaj, Tegidzie. O nic się nie martw — pod twoją nieobecność ja sama zajmę się mabinogi — powiedziała, chwytając mnie za rękę. Jej dłonie były cieplejsze od moich.

— Dziękuję, Goewyn.

— Jesteś strapiony. Co się stało? — Mocniej zacisnęła palce. — Co zobaczyłeś?

— Nic... Sam nie wiem... Nic dobrego. Gdyby to ode mnie zależało, wcale byśmy stąd nie wyjeżdżali.

Przysunęła się bliżej — poczułem na policzku jej ciepły oddech — po czym mnie pocałowała.

— Podróżuj w pokoju i wracaj do nas bezpiecznie — powie działa.

Akurat wtedy nadeszli z końmi Llew i Bran. Goewyn pożegnała także i ich, a widząc obojętność Llewa, zaraz odeszła.

— Razem z Ałunem poprowadzicie wozy — rzekł Llew, zwracając się do Brana. — Ja pojedę z tyłu wraz z Tegidem, Rhoeddem i całą resztą.

Dosiedliśmy wierzchowców i na dany znak tabor ruszył z miejsca. Wśród chrzęstu kamieni i skrzypienia drewnianych kół wozy potoczyły się z wolna brzegiem jeziora w stronę górskiego grzbietu. Zaczekaliśmy, aż wszystkie nas wyminą, po czym zajęliśmy nasze miejsce na końcu kolumny.

Mieliśmy do dyspozycji sześć wozów o wysokich bokach, które w całości napełniono skórzanymi workami oraz beczkami z wodą. Strzegło ich dziesięciu wojowników pod rozkazami Brana i dwóch Kruków. Reszta naszego wojska, dowodzona przez Calbhę oraz Scathę, pozostała na miejscu, by bronić Dinas Dwr.

Choć słońce dopiero co wzeszło, powietrze już było gorące.

Podążaliśmy za jęczącymi wozami w górę stoku Druim Vran, a następnie, z wielką ostrożnością i wkładając w to mnóstwo wysiłku, zjechaliśmy w dół stromego zbocza. Nim osiągnęliśmy dno doliny po drugiej stronie grzbietu, musieliśmy się niełicho natrudzić, a przecież był to dopiero początek podróży.

Posuwaliśmy się wzdłuż koryta rzeki, skręcającego w tym miejscu na południowy wschód. Dwójka naszych Kruków, Alun Tringad i Drustwn, wysforowała się mocno do przodu, wypatrując w okolicy szpiegów Meldrona. Choć bez ustanku wyteżali wzrok, nie znaleźli ani jednego. W ogóle, północny Caledon wydawał się być jeszcze wolny od Meldronowej zarazy. Woda w rzekach i strumieniach była jasna i czysta; jeziora tchnęły świeżością. A mimo to, pomni ostrzeżeń Rhoedda, ani razu nie korzystaliśmy z napotykanym po drodze źródeł.

Przez pierwsze dwa dni naszej wyprawy bacznie wychwytywałem wszelkie, choćby najlżejsze odgłosy bądź zapachy, poszukując pierwszych oznak nieszczęścia, które — jak czułem — w miarę oddalania się od Dinas Dwr, czaiło się coraz bliżej. I choć jak dotąd podróż przebiegała pomyślnie, mój niepokój nie osłabł ani na chwilę.

Na trzeci dzień rozstaliśmy się z rzeką i wjechaliśmy na Sarn Cathmail, stary górski szlak, łączący ciemne lasy północy z porośniętymi wrzosem wzgórzami południa. Nasi wywiadowcy zapuszczali się coraz dalej, z należytą starannością przeczesując otwierające się przed nami szerokie przestrzenie, a mimo to wciąż nigdzie nie mogli dostrzec żywego ducha. Tak więc podróż przebiegała spokojnie — a moje złe przeczucie nieustannie się potęgowało.

W południe czwartego dnia oczom naszym ukazał się przydrożny kamień, który ustawiono w połowie długości Sarn Cathmail. *Carreg Cawr*, Głaz Olbrzyma, to ogromna, błękitnoszara płyta, co najmniej trzykrotnie wyższa od dorosłego mężczyzny, na podobieństwo wieży górująca nad brukowanym gościńcem. Jak wiele innych kamieni tego rodzaju, na całej powierzchni jest pokryta rzeźbionymi symbolami błogostawieństwa, które strzegą drogi oraz wędrujących nią ludzi.

— Jeszcze jeden dzień — powiedział Llew. — Pomimo upałów

poruszamy się dosyć szybko. Strasznie tutaj sucho, trawa jest całkiem brązowa.

Nim skończył mówić, ponownie dał o sobie znać mój wewnętrzny wzrok i ujrzałem długą drogę łupkowej barwy, przecinającą trawiastą równinę obramowaną przez niewysokie wzgórza, ponad którymi rozciągało się białe, wypalone niebo. Widziałem rząd wyładowanych wozów, kołyszących się i podskakujących na nierównościach drogi oraz wypiętrzony wysoko Carreg Cawr, czarny w ostrych promieniach słońca.

Zwiadowcy minęli Głaz Olbrzyna, po czym bez przeszkód ruszyli dalej. Za Branem i wojownikami jeden po drugim potoczyły się wozy. Ja również zbliżałem się do kamienia, lecz z każdym krokiem przecucie, które nie opuszczało mnie od chwili wyjazdu, dawało o sobie znać ze wzmożoną siłą, przybierając w końcu postać trwogi.

W bezpośredniej bliskości głazu ściągnąłem wodze mego wierzchowca, osadzając go w miejscu. Llew przejechał jeszcze parę kroków i również stanął, niemal dokładnie pod ciężką bryłą. Omiótł spojrzeniem starodawne ryty.

— Są tu symbole — rzucił w moją stronę. — Czy możesz je odczytać?

— Mogę — odpowiedziałem uprzejmym tonem. — Są świadectwem ochrony. Oddają cześć drodze.

— Tyle to i ja wiem — powiedział z rozdrażnieniem. — Chodzi mi o to, co dokładnie jest tam zapisane.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się w siodle i przynaglił konia do truchtu. Ja pozostałem w bezruchu i przez jakiś czas uważnie nasłuchiwałem. Do moich uszu docierał jedynie szelest wysokich traw, kołyszących się w niespokojnych podmuchach wiatru oraz odległy pisk jastrzębia. A potem usłyszałem jeszcze coś — krzyk Llewa.

Był to raczej okrzyk zaskoczenia niż bólu. Podczas gdy Llew rozglądał się dokoła, ja obserwowałem Głaz Olbrzyna i w pewnym momencie spostrzegłem przemykający za nim cień.

— Co to było? — spytał Llew. — Czy coś słyszałeś?

— Nie.

— Przed chwilą coś mnie uderzyło, chyba kamień. Dostałem nim w plecy. Mógłbym...

— Ciii! Posłuchaj!

Llew natychmiast umilkł, a od strony skały doleciał słaby chrzęst. Po chwili rozległ się stłumiony szcęk, coś jakby odgłos uderzających o siebie ogni w żelaznego łańcucha, a po nim... zapadła cisza.

— Ktoś czai się za Głazem Olbrzyma — powiedziałem, na co Llew niezwłocznie wyciągnął spod siodła włócznię.

Spoglądając na kamień, zawołał:

— Wychodź! Wiemy, że tam się chowasz. Wychodź natychmiast!

Czekaliśmy, lecz odpowiedź nie nadchodziła. Llew szykował się, by ponowić próbę, ja jednak powstrzymałem go ruchem dłoni.

— Posłuchaj! — krzyknąłem w stronę głazu. — Teraz przemawia do ciebie naczelny bard Albionu. Żądam, abyś natychmiast nam się pokazał. Nie zrobimy ci krzywdy.

Przez chwilę panowała cisza, po czym usłyszałem miękkie, powolne, ostrożne kroki kogoś, kto skradał się w wysokiej, zeschniętej trawie u podstawy Głazu Olbrzyma.

Wyłoniła się zza niego drobna postać przyodziana w strzępy koszuli i zielonego płaszcza. A u boku tej tajemniczej osoby kroczył ogromny, stalowoszary pies z charakterystyczną białą łatą na grzbiecie. Rozpoznałem obdartuskę, jeszcze zanim Llew zawołał:

— Ffand!

Zaraz też zeskoczył z siodła i podbiegł do nędznie przyodziejanej dziewczyny. Pies zaszczekał, lecz został uciszony krótkim, prostym:

— Twrch!

— Ffand! — wykrzyknął Llew. — Ach, dzielna Ffand! — Porwał ją w ramiona, bez trudu odrywając od ziemi, ona zaś śmiała się, gdy całował ją w umorusane policzki. — Co ty tutaj robisz, sama na takim pustkowiu? — zagadnął, zwalniając wreszcie uścisk.

— Wcale nie jestem sama—zaoponowała Ffand. — Jest ze mną Twrch. — Poklepała zwierza po grzbiecie sięgającym jej bioder.



— Twrch! — Llew wyciągnął w stronę psa swą zdrową rękę.

Twrch podniósł głowę, po czym obwąchał dłoń Llewa. Czy rozpoznał woń dawnego pana? Rozpoznał bez wątpienia, albowiem zaraz zaczął ujadać jak szalony, podskoczył radośnie do góry, zarzucił mu na ramiona swe potężne łapy i z zapamiętaniem zabrał się za lizanie jego twarzy. Llew przytrzymał głowę psiska zdrową ręką, natomiast kikutem gładził go po karku.

— Spokój! Spokój, Twrch! — Llew zerknął na Ffand. — Co tutaj robisz? — zapytał ponownie. — Jak się tu dostałeś?

— Szukam cię — usłyszał w odpowiedzi.

— Szukasz mnie? — niezbyt mądrze powtórzył Llew.

— Ludzie gadają, że Llew buduje na północy królestwo. Mel-dron rozpoczął poszukiwania, więc ja też wyruszyłam na północ, żeby ciebie odnaleźć.

— Bardzo mądrze — pochwalił ją Llew.

— Powiedziałaś, że przyjdiesz po psa — ze złością rzuciła Ffand. — Wprawdzie przyszedłeś, ale na nas nie zaczekałeś — powiedziała oskarżycielskim tonem, lecz już w następnej chwili jej głos złagodniał. — Dlatego postanowiliśmy przyjść do ciebie.

— Nie czekałem? O czym ty mówisz?

— Wtedy, gdy przybyliście do ker Modornn.

Zsiadłem z konia i podszedłem bliżej.

— To prawda, zajechaliśmy do ker Modornn, ale ciebie tam nie widzieliśmy, Ffand.

— Zapomnieliście o mnie. — W głosie dziewczyny zabrzmiała nuta urazy.

— Tak — przyznał Llew. — Przepraszam. Gdybym wiedział, że na nas czekałaś, nigdy byśmy bez ciebie nie odjechali.

— A ja nie musiałabym rzucać w ciebie kamieniami. — Po tych słowach mój wewnętrzny wzrok podsunął mi obraz pięknej, młodej kobiety o długich, brązowych włosach, dużych oczach tej samej barwy oraz pociemniałej nieco od słońca skórze. Niewątpliwie miała za sobą długą wędrówkę, a mimo to sprawiała wrażenie zdrowej i silnej, choć oczywiście była obdarta i nieco wychudzona.

Wydoroślała od czasu, gdy ją widział po raz ostatni, choć wciąż

miała w sobie wiele z dziecka. Dzika w ruchach tudzież w obejściu, przypominała jakieś leśne stworzenie. Jej opowieść o tym, co robiła, jak nas uratowała, potwierdziła moje spostrzeżenia.

Nigdy nie miała jadała pod dostatkiem, toteż razem z Twrchem zapuszczała się do lasu. Całe dni upływały im na polowaniu, a wszelką zdobycz — jakakolwiek by ona była — znosili potem do osady. — Nawet zająca czy wiewiórkę — opowiadała. — To było jedyne mięso, na jakie mogliśmy sobie pozwolić.

— Ffand — odezwał się Llew — jesteś cudowna. Czy jesteś głodna?

— Bardziej spragniona niż głodna — odparła. Woda w okolicy nie jest zdrowa.

Wróciłem do swego wierzchowca i z sakwy przy siodle wydobylem kawałek twardego sera oraz mały bochenek chleba z owsa. Podałem je dziewczynie, a ona przyjęła to pożywienie z wdzięcznością. Potem wręczyłem jej skórzany bukłak z wodą, który opróżniła niemal do końca, a tym, co zostało, napiła Twrcha.

Ffand rozłamała bochenek i natychmiast przystąpiła do jedzenia. Przypuszczam, że musiała być mocno wygłodzona. Siedzący obok niej pies oblizywał bez ustanku pysk, lecz to było wszystko — najmniejszym ruchem czy piskiem nie próbował się poskarżyć.

— Wcale się nie dziwię, że Meldron tak bardzo się was lęka — powiedziała, pakując do ust wielki kawał chleba.

— Skąd wiesz, czy Meldron w ogóle się nas lęka? — spytałem.

— Od momentu gdy przybyliście do ker Modornn, Meldron was poszukiwał — oznajmiła z zadowoleniem. — W Albionie nie ma nikogo, kto uniknąłby pytań Wilczej Sfory Meldrona: Gdzie jest kaleki Llew? Gdzie jest ślepy Tegid? — Przełknęła chleb i rzekła:

— On poprzysiągł, że was zniszczy. Powiedział, że każdy, kto was odnajdzie, otrzyma ziemię i bogactwo — wielkie bogactwo.

— A więc — wtrącił Llew — wyruszyłaś, żeby mnie znaleźć.

Ffand potraktowała te słowa z powagą:

— Ale nie dla niego! Nigdy nic nie zrobię dla Meldrona! — wydyszała, zdjęta nagłym przestrawem, że Llew naprawdę mógł tak pomyśleć. — Przychodzę, żeby cię ostrzec i oddać ci Twrcha. To

dobry pies — sama go wyuczyłam — a każdy król powinien mieć dobrego psa.

— Dziękuję ci, Ffand — ciepło odparł Llew. — Dobry pies z pewnością mi się przyda, nawet jeśli już nie jestem królem. Wygląda na to, że znowu zostałem twoim dłużnikiem.

Ostatnie wozy zniknęły poza grzbietem wzgórza.

— Musimy ruszać — powiedziałem. Odwróciłem głowę, kierując mój wewnętrzny wzrok ku przydrożnemu głązowi. — Nie powinniśmy tutaj zostawać ani chwili dłużej.

— Tegid ma rację, powinniśmy dołączyć do pozostałych.

— Chodź, Ffand, pojedziesz ze mną, dopóki nie dogonimy wozów. — Podszedłem do konia, wskoczyłem na siodło i wyciągnąłem dłoń do dziewczyny.

Popatrzyła na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, zagryzła wargi.

— Czy ty mnie widzisz?

— Tak — odparłem bez jakichkolwiek wyjaśnień — więc lepiej przestań się na mnie gapić i dawaj rękę.

Podniosłem ją do góry, a ona usadowiła się za mną. Llew także wskoczył na koński grzbiet i ruszyliśmy w drogę. Twrch biegł pomiędzy nami, chyba szczęśliwy, że może obdzielić swą obecnością aż dwóch panów.

Zanim moja zdolność widzenia ponownie zgasła, ujrzałem wielkiego zwierzaka. Jego wysoko uniesione nozdrza baczenie sprawdzały wszelkie zapachy, a długie nogi z gracją drobiły u boku Llewa, jak gdyby psisko czerpało przyjemność ze swej uprzywilejowanej pozycji.

W chwilę później ogarnęły mnie ciemności i spokojnie mogłem zastanowić się nad wymową ostatnich wydarzeń. Obecność Ffand z pewnością nie była dla nas zagrożeniem. A mimo to, prześladowające mnie uczucie niepokoju ani trochę się nie zmniejszyło i w dalszym ciągu przezuwałem coś niedobrego. Głaz Olbrzyma, ciemny i złowieszczy, wciąż górował ponuro nad drogą, ale my minęliśmy go bezpiecznie.

Wydało mi się, iż w piersi i żołądku odczuwam niezwykle pulsowanie. Jeszcze chwila i pochwyciłem ów dźwięk: coś bardzo ciężkiego wlokło się z łomotem przypominającym młyńskie kamienie. Ściągnąłem wodze, zawracając konia w miejscu.

— Ffand — rzuciłem nagłaco. Popatrz na przydrożny kamień, na Głaz Olbrzyma. Popatrz i powiedz mi, co tam się dzieje. Co widzisz?

— Ja nie...

— Szybko, dziewczyno! Mów, co widzisz!

Mój krzyk zaalarmował Llewa. On także osadził wierzchowca i zawołał:

— Co się dzieje, Tegid?

— Widzę kamień — oznajmiła Ffand. — I nic więcej. To jest...

— Urwała. — Co to było?

— Czy coś zobaczyłaś?

— Nie, poczułam... tutaj, w brzuchu.

Koń zaczął się niepokoić, kwiczał i nerwowo przebierał nogami.

— Nie spuszczać oczu z głazu — poleciłem. — I mów, co widzisz.

— No — zaczęła — on tam jest. Jak już powiedziałam, nic...

— Jęknęła. — Patrz!

— Co, Ffand! Mów, co się dzieje!

— Tegid! — wrzasnął Llew. Usłyszałem ostry grzechot podków na kamieniach drogi. To jego spłoszony koń usiłował umknąć do tyłu.

Mój rumak rzucał głową i rzęził zdjęty trwogą. Ściągnąłem z całej siły cugle. Ffand kurczowo wczepiła się w poły mego płaszcza.

— Gadaj, dziewczyno!

Llew przycwałował do miejsca, gdzie staliśmy. — Głaz się rusza — powiedział. — Drży nieznacznie, a ziemia wokół niego rozsuwa się na boki.

Usłyszałem dźwięk przypominający jęk wrywanego z korzeniami drzewa, po czym nastała cisza. — No i co? Czy dzieje się coś jeszcze?

— Nie — odparł po chwili Llew. — Teraz znieruchomiał.

Do mych uszu dobiegł znowu głęboki grzmot. Dopiero po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że ów złowieszczy dźwięk dobywał się z gardła Twrcha. — Cicho — Ffand próbowała uspokoić psa.

Rozległ się ptasi świergot... nie, gwizd. To był sygnał, ktoś dawał sygnał gwizdkiem...

Twrch zaszczekał. Pazury zadrapały o bruk, Ffand zawołała.

— Twrch! Wracaj!

— Mówcie, co się dzieje! — ryknąłem. — Nic nie widzę!

— Pies — powiedział Llew. — Twrch pędzi w stronę głazu. Nie widzę...

— Patrzcie! — wrzasnęła Ffand. — Czułem, jak jej szczupłe ciało drży z podniecenia. — Tam coś jest...

— Mów! Mów!

— To zwierzę — odezwał się Llew. — Chyba lis. Nie, ma za krótkie nogi i za dużą głowę. Może raczej borsuk... — Urwał. — Nie, on jest zbyt daleko; nie mogę dojrzeć wyraźnie. Wiem tylko, że wybiegł zza tamtego głazu.

Twrch zaszczekał jeszcze raz. Jego głos dobiegł z większej niż poprzednio odległości.

— Zwierzak zauważył Twrcha. Ucieka.

— Którędy?

— Biegnie w naszą stronę, na ukos od kamienia. Twrch pędzi za nim. Zaraz go dopadnie...

— Twrch! — rozległ się za moimi plecami okrzyk Ffand. — Nie! Złapała mnie mocniej w pasie, wychyliła się w bok i, zeskoczywszy z konia, pognała co sił w nogach za psem.

— Twrch! Przestań! Wracaj!

Gdzieś z boku nadleciało gorączkowe ujadanie Twrcha zbliżającego się do ściganego zwierzęcia. Po chwili usłyszałem głucho warczenie — to zaatakowane stworzenie szykowało się do obrony. Jeszcze chwila i warczenie ustąpiło miejsca przeraźliwemu piskowi, który momentalnie ucichł. Nawet z tej odległości dał się słyszeć chrzęst miażdżonych kości. Wielki pies dopadł swą ofiarę i jednym ruchem wytrząsnął z niej życie.

— No tak — powiedział Llew. — Już po wszystkim. Cokolwiek to było, zostało uśmiercone przez Twrcha. Chodź, popatrzmy sobie z bliska.

Zjechaliśmy z bitej drogi na łąkę i wkrótce dołączyliśmy do Ffand, przytrzymującej za sporządzoną z łańcucha obrozę pracącego

do przodu psa. Uradowany zwycięstwem Twrch zaszczeakał na nasz widok.

— Nie —jęknał Llew. — Och, proszę, nie...

— Co to takiego? — spytała Ffand ze zdumieniem.

— Czy znasz to stworzenie, Llew? — zagadnałem.

— To pies, pewna odmiana psa — odrzekł glosem, w którym pobrzmiwały nuty zału.

## 28. Dyn Dythri

— Pies? Jesteś tego pewien? — Ffand wciąż nie mogła ochłonać ze zdumienia.

— Myślę, że to corgi.

Pod wpływem tego dziwnego słowa wewnętrzny wzrok podsunął mi obraz cudaczno krótkonogiego zwierzęcia o gęstej, skłębionej sierści w kolorze czerwieni, żółci i brązu. Stworzenie miało sterczące jak u lisa uszy oraz krótki pysk, a jego tułów był mocny, krępy, niezakończony ogonem. Zaiste, niezwykle stwór. Na poły lis, na poły borsuk, ale tak naprawdę, nie miał z nimi nic wspólnego.

Obraz zaczął blaknąć, lecz nim straciłem wzrok do końca, zdążyłem jeszcze dostrzec, jak Llew śle niespokojne spojrzenie w stronę Głazu Olbrzyma.

— Chyba powinniśmy już jechać — rzucił wyraźnie zdenerwowany.

Ledwie wskoczyliśmy na siodła, ponownie rozległ się grzechot rozdygotanej skały, a nasze trzewia przeniknął płynący z głębi ziemi dreszcz. Konie zarżały. Ściągnąłem mocno wodze mego wierzchowca, gdyż niesamowity odgłos przybierał na siłę, a grunt pod naszymi stopami przebiegało wyraźnie wyczuwalne, rytmiczne drżenie.

Twrch warknął, po czym popędził do Głazu Olbrzyma. Ffand z krzykiem pobiegła za nim, zaś Llew przynaglił konia do kłusu, chcąc powstrzymać dziewczynę.

— Ffand! Zaczekaj!

Koń pode mną zatańczył niepewnie. Przytrzymałem go, aby nie stanął dęba.

Głębokie drzenie ustało.

— Trzymaj go, Ffand! — zawołał Llew.

Przeklinałem swoje kalectwo, gdyż tym razem nic nie widziałem.

— Co się dzieje? — rzuciłem nagłaco, podążając za Llewem. — Opowiadaj!

— Dziura, u podstawy głazu otworzyło się przejście — wyjaśnił. — Spostrzegłem w nim jakiś ruch. Teraz nic się nie dzieje, ale myślę, że tam był człowiek.

Zeskoczył z siodła, po czym wcisnął mi wodze w dłonie.

— Trzymaj! Twrch rozerwie go na strzępy.

Nim zdążyłem cokolwiek odrzec, rozległo się pełne wściekłości szczekanie Twrcha. Ffand usiłowała go poskromić, ale psisko nie zwracało na nią najmniejszej uwagi. Niemal w tym samym momencie od strony kamienia doleciał głośny okrzyk. Męski głos wykrzyknął słowo, którego nie rozumiałem.

Llew zdołał zmusić Twrcha do posłuchu.

— Trzymaj go, Ffand! — polecił. — Cokolwiek się wydarzy, nie puszczaj obroży.

Usłyszałem jeszcze jedno zawołanie w dziwnym języku. Llew odpowiedział na nie równie niezrozumiale, a zaraz potem wrzasnął.

— Tegid, rzuć się na ziemię!

W tym samym momencie powietrze rozdarł krótki grom. Niemal czułem, jak jego łoskot napiera na mą skórę, niosąc ze sobą coś, co ze świstem przemknęło mi koło ucha.

— Twrch! — ryknął Llew. — Nie!

Ostry grzmot rozdarł ciszę jeszcze raz. Zawtórowały mu pisk Ffand oraz głęboki, gardłowy skowyt Twrcha, w którym znać było nuty śmiertelnej groźby.

— Twrch! — darł się Llew napiętym, rozgorączkowanym głosem. — Twrch, nie! Powstrzymaj go, Ffand!

Coś trzasnęło po raz trzeci i nim łoskot ucichł, usłyszałem krzyk

jakiegoś mężczyzny, warczenie Twrcha i przekleństwa Llewa. Puściłem się biegiem w kierunku zamieszania.

— Llew!

— Twrch!

— Llew! Co się dzieje?

W uszach mi szumiało, a głowę rozsadał spowodowany hałasem ból. W powietrzu wisiał kwaśny zapach dymu. Llew ciągle krzyczał na Twrcha, każąc mu czegoś zaprzestać. A potem nagle, w jednej chwili wszystko ucichło. Jedynie Twrch powarkiwał miękko, jakby z zadowoleniem. Llew wymamrotał coś, co zabrzmiało jak: „On to zrobił”.

Podszedłem szybko bliżej.

— Co się stało?

— To człowiek, obcy — Dyn Dythr — odrzekł, wskazując tym samym, że mężczyzna ów był przybyszem z jego świata. — Miał przy sobie rewolwer — taką broń.

— I to broń narobiła tyle huku?

— Tak. — Jego głos nadal drżał z podniecenia i niepokoju. — Był przestraszony. Zaczął do nas strzelać...

— Strzelać?

— Przepraszam — używać broni, to znaczy... zaatakował nas tą bronią. Twrch go zabił.

— To niedobrze. Ten obcy wykazał niezwykle brak ostrożności.

— Masz rację — kwaśno przytaknął Llew. — Był też głupi...

Nim skończył, od strony Carreg Cawr dobiegł głośny chrobot. Llew znieruchomiał w napięciu.

— *Clanna na cú!* Jest ich więcej! — Pośpiesznie przyskoczył do psa. — Twrch! Siad! W moją stronę rzucił. — Nie ruszaj się, Tegid. Spróbuję z nimi pomówić.

— Ilu przybyło?

— Dwóch. Nie, zaczekaj... trzech. O, teraz wychodzi jeszcze jeden... — urwał w pół zdania, a potem wykrzyknął dziwnie brzmiące słowo. — Nettles!

Pod wpływem tego niezwykle zawołania rozwarło się moje wewnętrzne oko. Poprzez rzednące ciemności dojrzałem ziejący



u podnóża Głazu Olbrzyma wlot do jaskini, a przed nim trzech wystraszonych mężczyzn mizernej postury. Ubrani byli z cudzoziemska i mieli włosy obcięte blisko skóry, której niezdrowa, żółtoszara barwa dobitnie świadczyła, że płomień życia tlił się w nich z niezbyt wielką siłą.

Dyn Dythri stali zbici w gromadkę, zasłaniaли twarze dłońmi, a z ich wyteżonych oczu płynęły strumienie łez. Kiedy w końcu odważyli się zerknąć przez palce na świat, zobaczyli nas i zastygli z otwartymi ze zdumienia ustami, a ich wyniszczone członki zatrzęsły się ze strachu. Ci tchórzliwi obcy nie byli doprawdy silni duchem.

— Nettles! — zawołał jeszcze raz Llew. Jeden z cherlaków na dźwięk tego słowa spojrział w naszą stronę. Pojąłem wówczas, że tak właśnie musiało brzmieć jego imię. Człek ten był mniejszy od pozostałych i miał okrągłą twarz, okoloną mgiełką srebrnych włosów, która unosiła się ponad jego głową na podobieństwo chmury spowijającej górski szczyt. Jego oblicze zdobił osobliwy ornament — dwa okrągłe kryształy oprawne w metalowe pierścienie, złączone ze sobą cienkimi paskami srebra.

Ukryte za kryształami, szeroko otwarte oczy wlepione były w Llewa. Trwało to jakiś czas, aż w końcu jego twarz rozjaśnił uśmiech świadczący o tym, że osoba została rozpoznana. Jeden z towarzyszących mu mężczyzn, wciąż drżąc na całym ciele, zaczął coś mamrotać. Uświadomiłem sobie, że słyszałem tę mowę już wcześniej: tak właśnie mówił Llew, kiedy do nas przybył. A zatem ci ludzie pochodzili z jego klanu.

— Tegid! To jest Nettles — profesor Nettleton. Opowiadałem ci o nim, pamiętasz? — Llew odwrócił się i podszedł do małego człowieczka. Ci dwaj, którzy stali obok niego, skurczyli się jeszcze bardziej, jak gdyby mieli zamiar zniknąć zupełnie.

Llew rzekł:

— *Mo anam*, Nettles! Co ty tutaj robisz? Nie powinienes być przychodzić. — Llew gadał, a tamten przypatrywał mu się z przylepionym do twarzy niepewnym uśmiechem. Wtedy Llew przypomniał sobie swój dawny język, rzucił coś niezrozumiale, a mały mu odpowiedział. Po chwili rozmowy Llew spojrział na pozostałą dwójkę przybyszów i przyprowadził swego znajomego do mnie.

— To jest Nettles. Jest kimś, kto w naszym świecie najbardziej przypomina barda. To właśnie on mi pomógł.

— Pamiętam — odparłem. Miałem w głowie jego obraz, dostrzegłem więc, iż mimo kruchości i brzydoty w oczach tego człowieka połyskuje jasno inteligencja dociekliwego i przenikliwego umysłu.

Rozmowa w obcym języku, choć pełna zająknięć i przerw, potoczyła się dalej, toteż skupiłem uwagę na obcych, którzy roztrzęsieni pozostali u podnóża głazu. Zobaczyli zabitego przez Twrcha człowieka — jego ciało leżało twarzą w dół w odległości zaledwie paru kroków — i widok ten głęboko nimi wstrząsnął.

Jeden z przybyszów, mniej więcej o dłoń wyższy od drugiego, miał w sobie coś z wodza. Z wahaniem zbliżył się do zwłok, a Twrch zawarczał ostrzegawczo i zjeżył sierść na grzbiecie. Mężczyzna natychmiast postąpił krok w tył i pies się uspokoił.

Mały człowieczek przeniósł wzrok na ciało, po czym rzekł coś Llewowi. Ten odpowiedział mu w tej samej mowie, zaś po chwili zwrócił się do mnie.

— Powiedziałem mu, co się tutaj stało. Zapytałem też czy oni nie mają więcej... hm, broni. Nettles tego nie wie. — Oczy Llewa zmieniły się w szparki, gdy spoczęły na unieruchomionej pod kamieniem parze. — To klęska, bracie — stwierdził ponuro. — Wiesz, ile zamieszania narobił tu Simon. Ci ludzie są jeszcze gorsi. Widziałem ich kiedyś, ale oni mnie nie poznają. Ten wysoki — Weston — jest ich przywódcą. Twrch zabił jednego z nich.

Z trudem dobierając słowa, Llew znowu zaczął coś tłumaczyć Nettlesowi, po czym rzekł do mnie:

— Trzeba ich pilnować i jak najszybciej odesłać do tamtego świata. Nettles też tak uważa; próbował ich powstrzymać. Udawało mu się to przez długi czas, ale dzisiaj Weston miał nareszcie szczęście. .. albo raczej pecha.

Słowa Llewa nie były dla mnie do końca zrozumiałe, wiedziałem jedynie, że dotyczyły przybycia obcych. Llew popadł z tego powodu w złość i chciał jak najszybciej odprawić ich z powrotem.

Po krótkiej naradzie Llew wraz z niskim człowieczkiem podeszli

do tamtej dwójki. Na widok zbliżającego się wojownika nieznanymi ogarnął popłoch. Prawdę mówiąc, mieli po temu wszelkie powody, albowiem nawet jednoręki, Llew uśmierciłby każdego z nich jednym ciosem.

Patrząc na tę scenę, uprzytomniłem sobie, jak bardzo Llew się zmienił. Jego barki stały się szerokie, a kark gruby; na ramionach przeżyły się węzły mięśni, długie nogi zaś znamionowały siłę. Tak jak Głaz Olbrzyma przytłaczał go swym ogromem, tak on górował nad kulącymi się przed nim, kruchymi istotami.

Widziałem ich wykrzywione strachem, nikczemne twarze, słyszałem, jak w swoim dziwnym języku rozmawiają o czymś z Nettlesem.

Llew powiedział.

— Nettles tłumaczy im, co... — urwał raptownie i odwróciwszy się, powiódł wzrokiem dookoła. — Czekaj! Gdzie jest Ffand?

Nie czekając na odpowiedź, popędził gdzieś przed siebie.

— Trafili ją! — zawołał. — Tamten idiota postrzelił Ffand!

— Co takiego?

— Chodź tutaj, Tegid! Szybko!

Dziewczyna leżała bezwładnie na ziemi, niemal niewidoczna spod spowijającego ją płaszcz. Na jej boku powoli wykwiłała czerwona plama.

— Ona krwawi. Źle z nią, Tegid. — Delikatnie obmacał ranę palcami zdrowej ręki. — Kula... przeszła chyba na wylot. Rana jest czysta, ale paskudnie krwawi.

Oderwałem pas tkaniny ze skraju jej płaszcz, złożyłem kilkakrotnie i przytknąłem do rany.

— Obwiążemy krwawiące miejsce — rzekłem. — To wszystko, co możemy zrobić przed przyjazdem do Dun Cruach.

Llew przytrzymał szmatę przy ranie, podczas gdy ja oderwałem jeszcze jeden strzęp z płaszcz dziewczyny i zawiązałem go na mocny supeł.

— Mam nadzieję, że ten opatrunek wystarczy do Dun Cruach — odezwał się Llew. — Musisz ją zabrać do wozów, Tegid. Ja

zrobię porządek z tymi... intruzami. — Ostatnie słowa rzucił przez zaciśnięte zęby. — Czy teraz widzisz?

— Całkiem dobrze. — Pochyliłem się, by dźwignąć Ffand w ramiona i usłyszałem za sobą tętent nadjeżdżających koni: przybywali Bran z Alunem. Nagłe pojawienie się Kruków, ich wymalowane na niebiesko ciała, opaski na ramionach, włócznie i tarcze, wszystko to wzbudziło na nowo przerażenie obcych. Cofnęli się głębiej pod osłonę Głazu Olbrzyma, skąd obserwowali wojowników szeroko rozwartymi, pełnymi lęku oczami.

— Usłyszeliśmy dziwny huk — wyjaśnił Bran, przypatrując się obcym — więc postanowiliśmy sprawdzić, czy nic się wam nie stało.

Alun na widok przybyszów ściągnął brwi.

— Dyn Dythri — mruknął.

— Nie martw się, Alun — zimno odrzekł Llew. — Oni nie zostaną tutaj długo. Wrócą tam, skąd przybyli, tak szybko, jak tylko będzie można.

— Zrobisz to teraz? — Alun machnął ręką w stronę Głazu Olbrzyma. — Tutaj?

— Nie. Brama jest teraz zamknięta. Musimy znaleźć jakieś inne przejście. Na razie zaprowadź ich do taboru, Alun. — Do Brana zaś rzekł: — Zabierz Ffand. Przygotuj jej wygodne miejsce. Tegid i ja wkrótce do was dołączymy; najpierw musimy jeszcze coś zrobić.

Wziąłem Ffand na ręce i podałem Branowi, a ten usadził nieprzytomną dziewczynę na siodle przed sobą i natychmiast odjechał. Alun zniżył włócznie, po czym zbliżył się do bełkoczących strachliwie obcych. Grotem wskazał im kierunek marszu, a oni posłusznie ruszyli skrajem Sarn Cathmail. Zaczekaliśmy, aż znikną za wypukłością wzgórza, a następnie zabraliśmy się za pochówek spoczywającego w cieniu Carreg Cawr trupa.

Llew naciął mieczem darń i odgarnął na bok wielki jej płat.

Zmiękczył nożem odsłoniętą ziemię, tak by dała się wybrać gołymi rękami; Twrch z zapalem pomagał nam w kopaniu. Kiedy płytki grób był gotowy, Llew podszedł do ciała. Zaczął przeszukiwać trawę wokół niego i po chwili schylił się, podnosząc z ziemi jakiś

dziwny przedmiot: mały, kwadratowy, ze sterczącym z jednej strony krótkim wałkiem. Przedmiot ów miał błękitnoszarą barwę, a jego powierzchnia lśniła metalicznie.

— To ta broń... rewolwer — wyjaśnił. To, co trzymał w dłoni, było zbyt małe, by poza ogłuszającym hałasem wyrządzić jakąkolwiek szkodę. Llew przełamał broń i wytrząsnął z niej kilka małych, przypominających żołędzie, przedmiotów.

— To są kule — powiedział. Włożył jedną z nich do ust i odgryzł czubek. Z rozmachem wypluł go na ziemię, a z mosiężnego naczynka, jakie pozostało mu w dłoni, wysypał odrobinę czarnego proszku. W ten sam sposób postąpił z pozostałymi kulami, na koniec zaś wrzucił rewolwer do grobu. — No — powiedział tonem ponurej satysfakcji — ten już więcej nie wystrzeli.

Przeciągnięliśmy ciało na skraj mogiły, po czym zsunęliśmy je do środka. Człowiek ten miał rozdarte gardło; płynąca z rany krew wsiąkała w koszulę uszytą z cienkiego materiału. Przysypaliśmy trupa piaskiem i nałożyliśmy z powrotem darń, a nasze wysiłki w milczeniu obserwował Twrch.

Gdy było już po wszystkim, dosiedliśmy koni i puściliśmy się cwałem, by jak najszybciej dołączyć do naszych towarzyszy.

Tej nocy obozowaliśmy na wrzosowisku przy Sarn Cathmail. Przy Dythri ustawiliśmy warty, gdyż chcieliśmy mieć pewność, że nam nie uciekną. Rankiem następnego dnia podjęliśmy podróż. Stopniowo wygląd okolicy zaczął się zmieniać. Coraz suchszą ziemię przecinały pęknięcia, upodabniając ją do wypalanej słońcem skorupy; resztki traw były niemal do cna wysuszone, a krawędzie mizernych źdźbeł zbieleły. Wrzos przybrał brązową barwę, zakurzone niebo połyskiwało niezdrową żółcią.

Powracający zwiadowcy potwierdzili, iż strumienie i bagienne źródła zostały zatrute. Wkrótce przekonaliśmy się o tym sami, gdy dotarliśmy na brzeg małego, martwego jeziora. Jego wody cuchnęły, a na powierzchni unosiła się czarna piana. Ponad brzegiem, gdzie wiatr przygnał wzdęte ciała ryb, wirowały roje much.

Posuwaliśmy się naprzód, mijając strumienie, sadzawki i jeziora i wszędzie natrafialiśmy na czarną, niezdrową wodę. Brzegi pokry-

wał cuchnący, żółtobrazowy nalot oraz poskręcane, brązowe resztki zeschniętych roślin. Tu i ówdzie w słońcu połyskiwały kości zatrutych zwierząt, a w ich pobliżu szkielety padlinożernych ptaków.

Jechaliśmy przez pustą, pogrążoną w ciszy krainę. Cisza ta była złowieszcza, pustka zaś nosiła znamiona spokoju, jaki przynieść może jedynie śmierć. Powietrze przenikał chorobliwy smród zgnilizny i rozkładu. W połączeniu z upałem zaduch dawał się nam mocno we znaki. Piekły nas oczy, bolały żołądki; kołysaliśmy się w siodłach, gnębieni atakami mdłości. Nawet nasze konie ucierpiały od złego powietrza. Z pysków ciekła im piana, dostawały skurczów i zupełnie nie chciały jeść.

— Jest gorzej niż wtedy, gdy wyjeżdżałem — ponuro mruknął Rhoedd. — Nawet powietrze jest zatrute; nie śmierdziało tak, kiedy jechałem w tamtą stronę.

— W miarę upływu czasu wszystkie trupy będą cuchnąć coraz bardziej — rzucił Bran.

Rhoedd przekazał nam ostrzeżenie, ale rzeczywistość okazała się znacznie gorsza. Rozciągnięta pod poasepnym, żółtym niebem kraina wydawała się bezpowrotnie zniszczona. A każdy następny krok odsłaniał coraz większe spustoszenia. Tajemnicze skażenie wniknęło głęboko, niepostrzeżenie zalewając Albion swą trucizną.

## 29. Złe powietrze

Z powodu ciężkich wozów nasza podróż do Dun Cruach wlokła się niemiłosiernie i jeszcze przez dwa dni musieliśmy znosić straszliwy żar oraz wdychać przemieszany z wszechobecnym pyłem odór.

Słońce wypaliło niebo do cna i obróciło ziemię w popiół. Wyszuszające oczy światło niewiele mogło mi zaszkodzić, za to nieruchome, ciężkie powietrze zalegało w mych płucach na podobieństwo wełnianego kłaka, zamieniając każdy oddech w prawdziwą udrękę. Jechaliśmy w milczeniu, ze zwieszonymi głowami, udęczeni przez bezlitosny skwar.

Ponieważ jazda wozem powodowała zbyt wiele wstrząsów, nieśli-

śmy na zmianę Ffand na rękach. Dziewczyna była bardzo lekka; rzadko odzyskiwała przytomność, a wtedy podawaliśmy jej wodę, a także omywaliśmy twarz i szyję mokrą szmatką. Rana była jednak poważna i nie sądziłem, by Ffand wytrzymała tę wędrówkę przez długi czas.

Do Dun Cruach dotarliśmy o zmierzchu — półprzytomni od upału, na wyczerpanych koniach, utrudzeni po kres wytrzymałości. A przecież na widok grodu i jego mieszkańców wysypujących się nam na spotkanie w nasze serca wstąpiła nadzieja. Ludzie dostrzegli beczki i puścili się ku nim biegiem. Otoczyli wozy, a nieruchome powietrze zadrżało od okrzyków radości. Na ich dźwięk siedząca w siodle przede mną Ffand poruszyła się lekko, lecz nie odzyskała świadomości.

Ponad ogólną wrzawę wzniosł się głos Cynana.

— Witajcie, bracia! — wykrzyknął. — W Dun Cruach jeszcze nigdy nie było bardziej oczekiwanych gości. A jednak, nie dostaniecie pełnych pucharów na powitanie. Wczoraj skończyło się nam piwo:

— Witaj, Cynan — odparł Llew, zeskakując z siodła. — Przyjechaliśmy najszybciej, jak było można.

— I w samą porę. — Usłyszałem głośne klepięcie — to Cynan witał Llewa. W następnej chwili podszedł do mnie, a ponieważ siedziałem wciąż na końskim grzbiecie, położył mi dłoń na kolanie. — Dziękuję, przyjaciele. Nie zapomnimy wam tego.

— Spłacamy tylko drobną część długu wdzięczności, jaki mamy względem was — odrzekł Llew.

— Kogo nam przywozisz, Tegidzie? — spytał Cynan. — Chyba nie powiesz, że to twoja żona.

— To jest Ffand — wyjaśniłem. — Znaleźliśmy ją na drodze.

— To ona dopomogła nam w ucieczce z rąk Meldrona na Sycharth — dodał Llew.

— Ach tak?

— I jest ranna... — Chciał mówić dalej, ale w tym momencie nadeszli Bran z Ałunem i spytali, co należy uczynić z obcymi. — Przyrowadźcie ich do mnie — polecił Llew.

— Wśród nas są Dyn Dythri? — zdziwił się Cynan. Musiał

spojrzeć na wozy, gdyż zamilkł na chwilę, po czym rzekł: — Oni są związani.

— To było najlepsze, co mogliśmy zrobić. Oni są naszymi wrogami. Ten, który zranił Ffand, nie żyje — wyjaśnił Llew, po czym opowiedział, jak doszło do pojmania przybyszów. — Odeślemy ich do ich świata, gdy tylko pojawi się taka sposobność. Dopóki to nie nastąpi, musimy mieć pewność, że nam nie uciekną. — Przez jakiś czas rozważał coś w myślach, po czym rzekł: — Ten o włosach jak skóra jagnięcia jest właściwie naszym przyjacielem.

— Dziwny sposób okazywania przyjaźni. Ale jeżeli sprawy tak właśnie się mają, polecę przygotować klatkę dla tych ptaszków. Mój ojciec nigdy nie zrobił użytku z dołu dla zakładników. — Wydał rozkazy Branawowi i Ałunowi, po czym odwrócił się i zaprosił nas do hali. — Jest zbyt gorąco, aby tak stać na słońcu. W środku zażyjecie nieco ochłody.

Cynan przywołał kilku swych ludzi i nakazał im zająć się Ffand, opatrzyć jej ranę oraz przygotować postanie.

— Wkrótce do niej przyjdę — zapewniłem, przekazując dziewczynę w ich ręce.

Weszliśmy do hali, aby pozdrowić Cynfarcha. Król powitał nas sztywno, niemal ze złością. Zaraz odwrócił się od nas i zaczął wydawać rozkazy dotyczące podziału wody.

— Ciężko mu przyjąć waszą pomoc — wyjaśnił Cynan. — To spadło na nas tak nagle, bez żadnego ostrzeżenia. Trucizna poczyniła wielkie spustoszenia. Próbowaliśmy kopać nowe studnie, ale przy tej suszy...

— Przybyliśmy, żeby zabrać was do Dinas Dwr — powiedział Llew. — Woda, którą przywieźliśmy, jest zapasem na drogę. Jak szybko możecie przygotować się do podróży?

Cynan myślał przez chwilę.

— Możemy wyruszyć choćby zaraz — stwierdził — jednak nie sądzę, aby Cynfarch zechciał jechać.

— Porozmawiamy z nim na ten temat.

— Spróbujcie — zgodził się Cynan. — Nie liczcie jednak, że zmieni zdanie. Wszystko, co zdołałem osiągnąć, to wysłanie Rhoed-



da, ale i tak nie wolno mi było prosić was o pomoc za jego pośrednictwem. Ojciec potrafi być bardzo uparty.

— Może teraz, kiedy już tu jesteście, zmieni zdanie — powiedział Llew.

— Może — bez przekonania przytaknął Cynan. — Pozwól, że po kolacji porozmawiam z nim jeszcze raz.

Nasz wieczorny posiłek był nad wyraz przygnębiający. Cynfarch, zakłopotany tym, że nie może podjąć nas we właściwy sposób, siedział milczący ze zmarszczonym czołem, zaszczycając nas swym ponurym towarzystwem. Ludzie, choć zadowoleni z zapasu wody, nie mogli okazywać radości, widząc malujący się na obliczu ich władcy smutek. Pośród wyjałowionych pól Dun Cruach było miejscem emanującym niepokojem i rozpaczą.

— Jest gorzej, niż myślałem — wyszeptał Llew, gdy w końcu nadarzyła się sposobność, by wstać od stołu. Przystanęliśmy przed halą, lecz powietrze na zewnątrz ciągle było gorące i pozbawione ożywczego tchnienia wiatru.

— Nie powinniśmy byli przyjeżdżać — odparłem.

— Przecież oni pomarliby tutaj bez wody — kwaśno rzucił Llew.

Dołączył do nas Cynan. Na widok miny Llewa rzekł:

— Jeżeli planujecie spisek przeciw Meldronowi, to jestem z wami.

— Czy rozmawiałeś już z Cynfarchem? Nie chcemy zostawać tu dłużej, niż jest to naprawdę niezbędne.

— Rozmawiałem — odparł Cynan przygnębionym głosem. — Ojciec pierwaj umrze, niż straci swoje królestwo.

Głos Llewa przypominał syk.

— Ono już jest stracone! Teraz co najwyżej może stracić życie!

— Myślisz, że o tym nie wie?

Na moment zapadła cisza. Wodzowie stali naprzeciwko siebie spięci i źli, i w milczeniu mierzyli się wzrokiem.

— Czy zmieni swą decyzję w imię dobra ludu? — spytałem.

— Dla dobra ludu tak, ale tylko i wyłącznie z tej przyczyny.

— Musimy zatem go przekonać, iż jeśli zostaniemy tutaj choćby dzień dłużej, ludzie zaczną umierać.

— Łatwo ci tak mówić, ale trudniej zrobić — zaproponował Cynan. — Ojciec sądzi, że spadnie deszcz i położy kres suszy. Łudzi sam siebie. Powiedziałem mu to, ale on nie chce mnie słuchać.

— Powinniśmy z nim pomówić — stwierdził Llew — i wyjaśnić sprawę do końca.

— Jest już późno, a ojciec nie ma ochoty do rozmowy — niechętnie zauważył Cynan. — Lepiej zaczekajmy z tym do rana.

I znowu popadliśmy w milczenie, niezręcznie, pełne źle skrywanej niechęci. Wszyscy myśleliśmy o czekającym nas zadaniu, rozważając w duchu, czy lepiej udać się na posłuchanie u Cynfarcha teraz, czy też zaczekać z tym do świtu.

Rhoedd wybawił nas od podjęcia niełatwej decyzji. Podszedł i oznajmił, że Cynfarch pragnie zobaczyć obcych.

— Król życzy sobie widzieć ich natychmiast — powiedział.

Llew wahał się przez chwilę, po czym wolno rzekł:

— Proszę bardzo. — Chyba nie podobał mu się pomysł, aby użyć obcym choćby chwilowej swobody. — Zaprowadźcie ich. — Razem z Cynanem ruszyli w stronę hali. — Idziesz z nami, Tegidzie?

— Zaraz przyjdę, tylko zajrzę do Ffand.

Usłyszawszy to, Cynan przydał mi do pomocy jakąś kobietę, która zaprowadziła mnie do pobliskiej chaty. — To tutaj — powiedziała moja przewodniczka, a jej głos pobudził mój wewnętrzny wzrok. Ujrzałem Ffand pogrążoną we śnie na miękkim pościu o owczych skór. Czuwała przy niej kobieta, doglądająca od czasu do czasu płonącego ognia. W izbie było ciepło, toteż Ffand była rozebrana do naga i okryta jedynie cienką, żółtą tkaniną. Choć woda była bezcenna, dziewczynę umyła i na nowo opatrzonej jej ranę, a włosy starannie rozczesano.

Klęknąłem u wezgłowa i wymówiłem jej imię.

— Ffand, to ja, Tegid. Czy mnie słyszysz? — Dotknąłem nagie go ramienia. — Czy mnie słyszysz, Ffand?

Poruszyła się i wolno rozwarła powieki.

— To nie jest twierdza Llewa — oznajmiła cienkim, drżącym głosem.

— Nie. Przebywamy w Dun Cruach, grodzie naszych sprzymierzeńców, Cynana Machae oraz jego ojca, króla Cynfarcha.

— Och — westchnęła z ulgą.

— Myślałaś, że to Dinas Dwr?

— Powiadają, że Dinas Dwr jest zaczarowanym grodem o ścianach ze szkła i dlatego nie można go zobaczyć — wyszeptwała.— To z tej przyczyny Meldron nie może go znaleźć. Wcale nie myślałam, że to Dinas Dwr—oświadczyła z głębokim przekonaniem, po czym zamknęła oczy, jakby chciała ukryć rozczarowanie.

— Jak się czujesz, Ffand? Boli cię? — Lekko pokręciła głową.  
— Czy jesteś głodna?

Spojrzała na mnie z nagłym ożywieniem.

— Czy on był wysłannikiem Nudda?

— Kto?

— Tamten obcy — wyjaśniła słabym głosem. — Czy to dlatego chował się pod Głazem Olbrzyma?

Przez chwilę zastanawiałem się nad odpowiedzią.

— Tak, to był człowiek Nudda i rzeczywiście chował się pod Głazem Olbrzyma.

— Wobec tego rada jestem, że Twrch go zabił. — Przełknęła ślinę. Mięśnie gardła były posłuszne jej woli, ale usta pozostały suche. Uniosłem jej głowę, podałem kubek. Wypiła łyk i podziękowała.

Dźwigałem się na nogi.

— Niedługo tu przyjdę — zapowiedziałem pielęgnującej Ffand niewieście. — Dajcie mi znać, gdyby obudziła się wcześniej.

Kobieta w milczeniu skinęła głową i wróciła do swych zajęć, ja zaś poszedłem do hali. Korzystając z tego, że zdolność widzenia jeszcze mnie nie opuściła, chciałem obejrzeć obcych. Zastałem ich przed obliczem Cynfarcha. Na ramieniu każdego spoczywała ciężka ręka wartownika. Obcy mrugali oczami i gapili się na zgromadzonych wokół ludzi. Zająłem miejsce przy stojącym nieco na uboczu Llewie.

Cynfarch, jak zwykle demonstrujący władzę, siedział dumnie na tronie. Wpatrywał się w przybyszów z zimną ciekawością, po czym

skinieniem dłoni przywołał ku sobie najwyższego z nich. Mężczyzna z trudem przełknął ślinę i wzniosłszy ręce w błagalnym geście, zaczął żałośnie skomleć w swym odrażającym języku. Nawet nie rozumiejąc sensu słów, pojąłem, że prosi, aby darować mu jego nędzne życie.

— *Rhoi taw!* — ostrzegawczo rzucił Cynan. Obcy musiał zrozumieć, o co mu chodzi, gdyż drżąc na całym ciele, natychmiast zamknął gębę. — Szlachetny Ojczy — przemówił Cynan, zwracając się do króla — tak jak rozkazałeś, przywiódłem przed twe oblicze Dyn Dythri. Spójrz na nich, panie, i przekonaj się, że są inni niż my.

— Widzę to doskonale — odrzekł Cynfarch. — Chcę wiedzieć, dlaczego tutaj przybyli.

— Zapytam ich, lecz nie sądzę, by znali nasz język.

— Może tak być — przyznał król. — Jednakże jeżeli ten człowiek potrafi, niech odpowie sam. Zapytaj go.

Cynan podszedł do tego, którego zwano Westonem, i powiedział:

— Jak się nazywasz, obcy? I dlaczego tutaj przybyłeś?

Zagadnięty zmartwił. Zamiauczał żałośnie, po czym bezradnie rozłożył ręce. Część z obecnych w hali parsknęła śmiechem, nie był to jednak śmiech wesoły i szybko ucichł. Przesłuchiwany obcy skurczył się w sobie, wodząc dokoła przerażonym spojrzeniem.

Cynan popatrzył na ojca.

— Wygląda na to, że obcy nie pojmuje nas, panie.

— Patrząc na niego, nie mam co do tego żadnych wątpliwości — powiedział król. — A jednak chcę wiedzieć, dlaczego on tudzież ci, którzy są z nim, przybyli w te strony. Czy ktoś zna jego mowę?

— Zaraz sprawdzę — odrzekł Cynan i przybliżył się do Llewa.

— No to jak, bracie? Pogadasz z nim?

— Nic dobrego z tego nie wyjdzie — wymamrotał Llew, postępując zarazem krok naprzód. Nawet nie spojrzał na Westona, tylko zawezwał do siebie siwowłosego człowieczka.

— Ten obcy nazywa się Nettles — wyjaśnił Llew królowi.

— Znam go; jest moim przyjacielem. Bardzo przypomina barda, więc można polegać na jego prawdomówności. Pod tym względem

całkowicie różni się od pozostałych. — Llew podszedł do Nettlesa i położył zdrową rękę na jego wątłym ramieniu. — To uczony — człowiek honoru i wielkiej wiedzy. Walczył, aby powstrzymać tamtych przed przybyciem tutaj i pomoże ci osądzić całą sprawę. — Urwał, by posłać swemu znajomemu ciepłe spojrzenie. — Rozumiem jego mowę. Pytaj, o co chcesz, panie, a ja przełożę ci wszystko, co on powie.

— To dobrze — ucieszył się król. — Niech powie, dlaczego przybyli do naszego świata i co zamierzają.

Ku niepomniemu zdumieniu obecnych w hali, siwowłosa przybysz bez najmniejszego wahania zaczął przemawiać w języku jako żywo przypominającym nasz własny, choć zupełnie dla mnie niezrozumiałym.

— Co on mówi? — spytałem uśmiechającego się ponuro Llewa.

— Nie mam pojęcia — odparł. To język gaelicki.

— Czy to ty doradziłeś mu, by tak postąpił?

— Nie — usłyszałem w odpowiedzi. — On sam wpadł na taki pomysł. Myślał, że tak będzie lepiej. — W dalszych wyjaśnieniach przeszkodził mu głos króla. — Słowa tego człowieka brzmią szczerze, o co mu jednak chodzi?

— Szlachetny panie, pozwól, że najpierw z nim porozmawiam — odparł Llew, a uzyskawszy przyzwolenie Cynfarcha, przez dłuższą chwilę naradzał się z Nettlesem. Kiedy skończyli, ten ostatni przemówił donośnie i śmiało. Potem przyszła kolej na Llewa. — Wielki Królu — powiedział — on twierdzi, że cała ich trójka przybyła z miejsca nienależącego do tego ziemskiego królestwa. Prosi też, abys uwierzył, iż towarzyszący mu mężczyźni są źli. Wiele czasu strawili na odnalezienie furtki wiodącej do Albionu, lecz jak sam widzisz, w końcu dopisało im szczęście.

Llew zbliżył głowę do głowy przyjaciela i szeptał z nim o czymś przez chwilę. Weston usiłował przesunąć się bliżej, aby usłyszeć, o czym mówią, lecz strażnik twardo osadził go na miejscu.

Nettles przemówił ponownie, a Llew przetłumaczył jego słowa.

— Nie pozwól się oszukać. Choć wydać ci się mogą słabi i nic nieznaczący, niosą ze sobą straszliwą moc, pragną szerzyć zepsucie

i plugastwo. Niewiele wiedzą o tym, co czynią, ale nawet tę odrobinę wykorzystują w złych celach. Dobrze, że uczyniono z nich więźniów, albowiem żadną miarą nie można im ufać.

Król wysłuchał Llewa z ponurą miną, po czym skupił uwagę na Westonie. Przenikliwe spojrzenie Cynfarcha sprawiło, iż twarz i szyja obcego spływały potem, a kiedy nie mógł już dłużej znieść królewskiego wzroku, wyciągnął ręce do Nettlesa i zaskowytał coś w tym swoim ohydnyim języku.

— Ten człowiek nazywa się Weston — oznajmił Llew po krótkiej naradzie z Nettlesem. — Domaga się wyjaśnienia, dlaczego jest przetrzymywany niczym jakiś więzień. Mówi, że nie macie prawa tak go traktować i żąda natychmiastowego uwolnienia.

Żądania obcego rozwścieczyły króla, który w jednej chwili postanowił, co zrobić z Dyn Dythri.

— Ciemnota tego obcego jest zupełnie oczywista — rzekł Cynfarch głosem, który zabrzmiał niczym złowróżbny grom. — Czyż nie wie, że ja jestem królem? Sprawiedliwość jest mym obowiązkiem, jej zaś ferowanie moim prawem. Czy on nie potrafi tego zrozumieć?

— Jestem przekonany, że on nie ma króla, panie — wyjaśnił Llew. — Z całą pewnością możemy powiedzieć, iż ci obcy królewskiej władzy nie darzą szacunkiem ani nie potrafią jej docenić — zarówno w swoim kraju, jak i w innych.

Błękitne oczy Cynfarcha zmieniły się w szparki.

— To również jest oczywiste. Żaden rozumny mąż nie staje przed obliczem panującego władcy, aby żądać czegoś, do czego nie nabył prawa, będąc jego wiernym poddanym.

— Ojczy — wtrącił Cynan — Llew doradza, żeby tych obcych jak najszybciej odesłać z powrotem do ich świata.

Cynfarch przeniósł spojrzenie na Llewa.

— Czy tak?

— Tak, panie — odrzekł Llew. — Naczelny bard wie, jak można tego dokonać.

— A zatem przeprowadź to w sposób według ciebie najlepszy — oznajmił król. — Jeżeli wygnanie Dyn Dythri do ich świata ustrzeże nas od nieszczęść, a i im nie przyniesie szkody, niechże tak

będzie. — Machnął ręką ku strażom: — Wyprowadźcie ich. Koniec posłuchania.

Obcy natychmiast zostali zabrani z hali. Weston ciągle głośno protestował i nie chciał iść dobrowolnie, toteż musiało go ciągnąć dwóch wojowników. Król z niezadowoleniem kręcił głową. Oblicze miał wciąż nachmurzone, ponieważ grubiaństwo przybyszów wprawiało go w zakłopotanie.

Llew dostrzegł w tym sposobność, aby powiedzieć:

— Królu, sam widzisz, jak stoją sprawy. Woda jest zatruta; nieokrzesani obcy bezkarnie nawiedzają Albion; w Caledonie panoszy się Meldron, niosąc zgubę każdemu, kto podniesie przeciw niemu rękę.

— Mamy bardzo ciężkie czasy — przyznał król.

— A nadejdą jeszcze gorsze — zapewnił go Llew. Tymczasem w Dinas Dwr jest pod dostatkiem wody dla wszystkich, jedzenia też nie zabraknie. Po drugiej stronie Druim Vran jesteście bezpieczni. Zapraszam cię, abys wraz z nami przeniósł się na północ, przynajmniej dopóki nie pokonamy Meldrona.

— Ale jak można go pokonać, skoro nikt nie dotrzyma mu pola? — spytał Cynfarch.

— Właśnie my stawimy mu czoło — zapewnił Llew. — Kiedy nadejdzie właściwa pora, nie będziemy czekać z założonymi rękami. Przywieźliśmy wodę; starczy jej na podróż do Dinas Dwr, o ile nie będziemy zwlekać. Najlepiej wyruszyć od razu.

— Wysłuchałem twych słów — odparł król po krótkim namyśle. — Rano dowiecie się, co postanowiłem.

Llew miał ochotę jeszcze nalegać, ja jednak wiedziałem, iż w ten sposób wzmoże co najwyżej upór Cynfarcha. Uprzedziłem go więc, mówiąc:

— Będziemy czekać na twoją decyzję, panie.

Król odszedł na miejsce spoczynku, a ludzie za jego przykładem także porozchodzili się. Pozostaliśmy sami — Llew, Cynan, Bran i ja — i nareszcie mogliśmy swobodnie porozmawiać.

— Jakże mógłby odmówić? — zastanawiał się Llew. — Bez wody nie możecie tu zostać ani chwili dłużej.

— A jednak nie możemy stąd odejść, dopóki król nie wyrazi na to zgody — stwierdził Cynan. — Tak to wygląda. Musimy zaczekać do jutra, by dowiedzieć się, co on postanowi.

— Trudno — odezwał się. — Wobec tego idę do łóżka. — Usłyszałem, jak wstaje z miejsca i oddala się w róg hali, by lec na cielecej skórze rozścielonej wprost na przykrytej słomą podłodze.

— To dobry pomysł — przyznał Cynan. — Chodźcie, pokażę wam wasze postania.

Dźwignęliśmy się na nogi i ruszyli ku drzwiom hali. Przy wyjściu czekała na nas jedna z doglądających Ffand kobiet.

— Panie bardzo—zwróciła się do mnie— musisz natychmiast pójść ze mną. To dziecko cię wzywa.

Poszliśmy do Ffand we trójkę. Gdy tylko przekroczyliśmy próg słabo oświetlonej izby, czuwająca przy rannej niewiasta powiedziała:

— Jest już twój bard, dziecino. Llew przyszedł razem z nim.

W tym momencie wróciła mi zdolność widzenia i ujrzałem zarys szczupłego, dziewczęcego ciała, rozciągniętego nieruchomo na łożu. W mdłym świetle rzucanym przez świecę o knocie z sitowia, jej skóra wydawała się niezmiernie blada.

— Tegid? — spytała.

— Jestem tutaj, mała — rzekłem, klękając przy postaniu. — Jestem tutaj, Ffand.

— Zimno mi — poskarżyła się słabym głosem.

W wypełnionej zastałym powietrzem chacie było nieznośnie gorąco, a mimo to dziewczyna trzęsła się z zimna.

— Przyniescie jeszcze jeden płaszcz — poprosiłem którąś z kobiet.

Llew klęknął obok mnie.

— Boli cię, Ffand?

Ffand z trudem zaczerpnęła tchu.

— Nie, ale tak mi zimno... tak strasznie zimno.

— Co chciałaś mi powiedzieć? — spytałem.

Przez moment trwała w milczeniu, po czym rzekła:

— Gdzie jest Twrch?



— Na dworze. Czeka na ciebie. Przez cały dzień ani na chwilę nie odszedł od drzwi.

— Chcesz go zobaczyć? — wtrącił Llew.

Prawie niedostrzegalnie pokręciła głową.

— Ciężko mu będzie beze mnie — wyszeptala.

— Ty wyzdrowiejesz — zapewnił ją Llew — i wkrótce znów się nim zajmiesz.

— Zaopiekujcie się nim — poprosiła słabnącym głosem. — To wszystko, co mam.

— Ffand, posłuchaj... — zaczął Llew, ujmując ją za rękę. — Ffand?

Ale jej duch już odleciał. Nie drgnąwszy, nie wydawszy najłżejszego westchnienia, Ffand umarła.

Czas jakiś Llew siedział z dłonią dziewczyny zamkniętą w swojej dłoni. Potem pochylił się, pocałował ją w czoło i pośpiesznie wypadł z chaty. Po chwili nadeszła kobieta z płaszczem. Dopomogłem jej przykryć ciało Ffand, po czym dołączyłem do pozostałych.

— ... a potem ściągnij Brana i Aluna — komenderował Llew. — Ja przyprowadzę konie.

Cynan popędził w mrok, natomiast Llew zbliżył się do mnie. — Dyn Dythri odejdą jeszcze tej nocy! Sam tego dopilnuję — powiedział ze złością.

— Ale przecież musimy...

— Tej nocy! — wrzasnął. — A ty, Tegidzie, pojedziesz z nami!

### 30. U zbiegu dwóch dróg

Spiekota dnia zelzała tylko nieznacznie i nawet głęboka noc nieniosła ze sobą większej ulgi. Lecz my, zupełnie na to nie bacząc, szybko gnaliśmy przed siebie: Llew, ja oraz czterech Cynanowych wojowników strzegących obcych, którzy podróżowali w dwóch rydwanach należących do Cynfarcha. Cynan z pochodnią w dłoni wysforował się do przodu, natomiast naszą kawalkadę zamykali Bran z Ałunem.

Naszym celem było miejsce, gdzie krzyżowały się Sarn Cathmail, nasz szlak z północy oraz trakt wiodący na zachód, ku wzgórzom środkowego Caledonu. Według Cynana, ponad owym rozstajem wznosił się pagórek, na wierzchołku którego rósł brzozowy zagajnik. Miejsce owo uznawano za święte i właśnie stamtąd zamierzaliśmy odesłać Dyn Dythri do ich świata.

Llew obstawał przy tym, aby obcych odesłać natychmiast, my zaś nie widzieliśmy powodu do sprzeciwu. Dlatego też niezwłocznie wyjechaliśmy z grodu, mając nadzieję dotrzeć do rozdroża o świcie, gdy panować będzie czas-pomiędzy-czasem, i gdy drzwi pomiędzy światami na krótką chwilę staną otworem.

Tym razem noc nie była naszym sprzymierzeńcem. Wobec braku rozświetlającego drogę księżycy jechaliśmy znacznie dłużej niż to sobie obliczyliśmy i teraz musieliśmy gnać na łeb na szyję, byleby tylko zdążyć na czas.

— To niemożliwe — mruczał pod nosem Cynan. — Znam te strony. W ciemnościach musieliśmy przeoczyć te rozstaje z pagórkami. — Ściągnąwszy wodze, osadził wierzchowca na miejscu, po czym zwrócił się do mnie: — Może powinniśmy zawrócić?

W cieniu za naszymi plecami rozległ się zdecydowany głos Llewa.

— Nic z tego, nawet w mroku dostrzegliśmyby zarys pagórka. Jedziemy dalej.

— Dostrzegliśmy!—obruszył się Cynan. — Nie widzę własnej ręki, a co dopiero mówić o drodze przed nami.

Llew pozostał jednak niewzruszony.

— Jedziemy dalej, Cynanie. Nie zniosę ich obecności w Albionie choćby przez jeszcze jeden dzień.

Cynan ciężko westchnął, ale przynaglił wierzchowca do szybszego biegu.

Jaskrawe południe czy też najczarniejsza z nocy, dla mnie nie robiło to żadnej różnicy. Moje wewnętrzne oko pozostawało ślepe. Pozbawiony wzroku, bacznie nastawiałem ucha, łowiąc wszelkie odgłosy wypełniające nieruchome, nocne powietrze: miękki krok Trwcha, obwążującego od czasu do czasu ziemię; trzepot płomie-

nia pochodni, parskanie koni oraz pisk kół rydwanów. W pewnym momencie usłyszałem ptaka, który zaskoczony naszym przejściem, wydał pojedynczy, ostry krzyk, a następnie załopotał skrzydłami i zniknął w bezkresnej dali.

Po jakimś czasie zjechaliśmy długim zboczem w dolinę. Cynan przystanął, by określić nasze położenie. W chwilę później z łoskotem nadjechały rydwany i zatrzymały się obok nas.

— Nic nie widać — poskarżył się Cynan. — Tegid ma większe szanse na odnalezienie tego rozdroża w ciemnościach.

— Nie mogliśmy dużo zboczyć — przekonywał Llew. — Czy znasz tę dolinę?

— Nie znam — odparł Cynan, a w jego głosie znać było zniecierpliwienie.

— Ale przecież musisz mieć jakieś pojęcie o tym, gdzie teraz jesteśmy — obstawał przy swoim Llew.

— Może i miałbym, gdybym tylko zdołał cokolwiek dojrzeć — odburknął Cynan.

Zapadła cisza, przerywana jedynie skwierczeniem pochodni.

— I co dalej? — zapytał w końcu Cynan.

— Pojedziemy przed siebie — postanowił Llew. — Ta ścieżka może zaprowadzić nas do Sarn Cathmail...

— Ano może — bez zapału przytaknął Cynan — ale wcale nie musi.

Llew cmoknął na konia. Po chwili usłyszałem także odgłos napinania rzemieni i skrzypienie kół ruszających rydwanów. Dołączyłem do kolumny, a jadąc za innymi, żałowałem, iż mój wewnętrzny wzrok pozostaje w uśpieniu. Niestety, żal na niewiele się tu przydał i tak jak wszyscy, poruszałem się po omacku.

Miałem wrażenie, że jechaliśmy przez długi czas, nie mogąc natrafić na wzgórek, czy choćby trakt. Każdy z nas trwał w milczeniu; towarzyszyły nam jedynie tętent końskich kopyt oraz stukot podskakujących na kamieniach kół. Nie zdając sobie z tego zupełnie sprawy, musiałem zdrzemnąć się w siodle, gdyż nieoczekiwanie poczułem, jak wspinamy się w górę łagodnego stoku, a gdzieś z przodu dobiegł mnie głos:

— Zaczyna jaśnieć na wschodzie.  
Niemał w tym samym momencie Cynan zakrzyknął:  
— Widzę je! Tam jest!  
W okamgnieniu strząsnąłem z siebie resztki snu.  
— Jest nasze wzgórze — powtórzył Cynan. — Musimy skręcić na południe.  
— Czy to daleko? — spytałem, kierując się w stronę jego głosu.  
— Niedaleko. Jeśli się pośpieszymy, zdążymy na czas. — Usłyszałem, jak trzasnął wodzami. — Naprzód!  
Popędziliśmy na łeb na szyję poprzez rzednący mrok. Mając za przewodnika łomot kopyt galopujących koni, z łatwością utrzymywałem kierunek i przybyłem na miejsce niemał równocześnie ze wszystkimi.  
— Sarn Cathmail! — zawołał Llew, zeskoczywszy z siodła. Podbiegł do mego konia i złapał go za uzdę. — Pośpiesz się, Tegidzie. Nie mamy czasu do stracenia.  
Ześlizgnąłem się z grzbietu wierzchowca, a gdy tylko moje stopy dotknęły ziemi, schwyciłem umocowaną z tyłu siodła laskę.  
— Zaprowadź mnie tam, gdzie krzyżują się drogi.  
Llew niezwłocznie powiodł mnie ku miejscu, w którym pradawny szlak, omijając wzgórze, przecinał Sarn Cathmail. Tam, uniósłszy laskę w górę, zwróciłem się ku czterem stronom świata, sławiąc kolejno ich zalety. Dzięki temu rozstaje mogły zostać obrane za święty środek. Potem obróciłem się na wschód, skąd nadciąga ciemność. Dotknąłem ziemi końcem laski i zacząłem kreślić koło, wypowiadając zarazem ożywcze słowa Taran Tafod.  
— *Modrwy a Nerth... Noddi Modrwy... Noddi Nerth... Modrwy Noddi... Drysi... Drysi... Drysi Noddi... Drysi Nerth... Drysi Modrwy...* — powtarzałem raz za razem, awen zaś rozgorzał we mnie niczym jasny płomień. Mój język zdawał się płonąć żywym ogniem, a wyrazy Ciemnej Mowy strzelały zeń na podobieństwo snopa iskier.  
Nie przerwałem recytacji, dopóki nie wróciłem do miejsca, z którego zacząłem, zamykając rozstaje w jednym pierścieniu. A gdy tylko koniec laski zwarł dwa jego końce, poczułem, jak powstają włosy na moim ciele, a skóra cierpnie od opływającej mnie mocy.

— Przeprowadźcie Dyn Dythri! — wykrzyknąłem. Odgłos pośpiesznych kroków świadczył, iż moje polecenie zostało wykonane.

— Czy widzicie wyrysowany na ziemi okrąg? — spytałem. — Niech on was prowadzi. Cynanie, dobieierz sobie jeszcze dwóch ludzi. Niech każdy z was weźmie jednego obcego i trzy razy obejdzcie z nim okrąg, podążając zgodnie z ruchem słońca — tłumaczyłem, moja dłoń zaś wskazywała właściwy kierunek.

— Teraz? — upewnił się Cynan.

— Teraz. Szybko!

Cynan przywołał do pomocy Brana i Aluna, i już po chwili wokół nakreślonej przeze mnie linii zaczęły krążyć trzy pary. Gdy zatoczyły trzecie koło, powiedziałem:

— Teraz ustawcie obcych na środku, gdzie zbiegają się dwie drogi. Tylko szybko!

— Gotowe — oznajmił Bran w chwilę później. — Co jeszcze mamy zrobić?

— Rozwiążcie ich, żeby nie zrobili sobie jakiejś krzywdy.

Gdy spadły krępujące ich więzy, Cynan rzekł:

— Już są wolni.

— Zostawcie ich tam, gdzie stoją, natomiast sami zajmijcie miejsca na zewnątrz koła i trzymajcie włócznie w pogotowiu.

Wojownicy posłusznie spełnili me polecenie, a wówczas Llew zapytał:

— I co teraz?

— Teraz będziemy czekać.

— A co się wydarzy? — chciał wiedzieć Bran.

— Wkrótce sam się przekonasz — odparłem — i opowiesz mi, co widziałeś.

Wszyscy zastygliśmy w oczekiwaniu. Wyteżałem słuch, lecz nie słyszałem niczego oprócz oddechów otaczających mnie mężczyzn.

— Nic się nie dzieje — rzucił Cynan z pretensją.

— Zaczekaj jeszcze trochę — poradził mu Llew.

— Ale już prawie dnieje i...

— Bądźże cicho!

Nim Cynan zdołał coś odpowiedzieć, jeden z obcych poruszył się — usłyszałem jak zaszurał stopami na bruku gościńca.

— Widzieliście? — wysapał Alun Tringad.

— Co? — zdziwił się Llew. — Ja nic nie widziałem.

— Patrzcie! — zawołał Cynan z nagłym ożywieniem. Podniecony złapał mnie za ramię. — Coś się dzieje!

Twrch zaszczekał ostro.

— Mów, co widzisz! Opisz to dokładnie!

— Widzę wodę! To wygląda jak woda i zdaje się ich przykrywać!

Zadałem kolejne pytanie:

— Czy oni pogrążają się w tej wodzie?

— Nie, stoją tak, jak przedtem; nawet się nie poruszyli — wyjaśnił Llew. — Tyle tylko, że zmieniają kształt, zaczynają falować, tak jakbym patrzył na ich odbicie w wodzie.

Wtedy pojąłem, co miała na myśli. To był czas-pomiędzy-czasem. Dyn Dythri stali na progu, ale należało jeszcze sprawić, by go przekroczyli i na powrót wstąpili do swego świata.

— To dobrze — rzekłem. — A teraz, Cynanie, ty i twoi wojownicy chwycie za włócznie. Na mój znak uczynicie wrzawę i rzućcie się ku obcym tak, jakbyście zamierzali ich ścigać, lecz niech żaden z was nie wkracza w obręb koła. Zrozumiałeś?

— Tak — zapewnił, po czym polecił strzegącym kręgu wartownikom przygotować się do pozorowanego ataku.

— Szybciej! — ponaglał Llew.

Machnąłem uniesioną wysoko do góry laską.

— Teraz!

Wydając dzikie wrzaski, Cynan wraz z wojownikami rzucili się na obcych. W środku koła podniósł się krzyk przerażenia, ktoś . potknął się i z głośnym sieknięciem upadł na ziemię.

— Co się dzieje?

— Oni... odchodzą—powiedział Llew. — Przechodzą na drugą stronę. Jeden już zniknął — zupełnie go nie widać! Teraz znika Weston... On... — Llew zamilkł w pół słowa.

— Llew? Co się stało?

Nie uzyskałem odpowiedzi, poczułem natomiast, że zrywa się do biegu.

— Nie! Llew, wracaj!

— Nettles! — usłyszałem głos Llewa. — Zaczekaj! Wyciągnąłem ręce przed siebie i zdołałem schwycić go za skraj rozwianego płaszcza.

— Llew! Stój!

Mocno zacisnąłem palce, powstrzymując jego gwałtowne ruchy.

— Puszczaj! — wrzasnął ze złością.

— Llew! Zostań!

Twrch ujadł jak szalony.

Llew zrzucił z ramion płaszcz i przekroczył obrys koła. Cynan głośno przyzywał go z powrotem, słyszałem też wystraszonego Brana, ale było już za późno. Llew zniknął.

Oszołomieni, staliśmy w milczeniu. Trójka obcych rozwiła się bez śladu, a wraz z nimi przepadł Llew.

— Dlaczego on odszedł? — spytał Cynan, odzyskawszy zdolność mówienia.

— Nie wiem. Może coś zobaczył...

— Co? Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego nas opuścił?

— Nie mam pojęcia.

Wydarzenia sprzed chwili poruszyły nas do głębi. Czas jakiś trwaliśmy w niezręcznym milczeniu, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Wraz ze wschodem słońca nadciągnął lekki wiatr, a wówczas Cynan dotknął mego ramienia.

— Myślę, że powinniśmy stąd odejść. — Jego wstrząśnięty, przepojony żalem głos wydał mi się dziwnie obcy.

— Masz rację — przytaknąłem.

Widząc, że nadal stoję w miejscu, trącił mnie ponownie. — Wkrótce zrobi się całkiem widno.

— Wkrótce stąd odjedziemy.

Zakrzyknął na swoich ludzi, a ci ruszyli do koni i rydwanów. Pozostałem sam, a mój umysł nieustannie usiłował pojąć to, co się stało. Na drodze za moimi plecami załomotały końskie kopyta. Nad-

jechał Bran i, nie zsiadając z siodła, wcisnął mi do ręki cugle mego wierzchowca.

— Chodź — mruknął. — On odszedł.

Wolno dzwignąłem się na siodło. Moi towarzysze już odjechali; słyszałem dobiegające gdzieś z przodu odgłosy przemarszu niewielkiej kawalkady. Zwlekałem jeszcze przez chwilę, łudząc się nadzieją, iż być może mój wewnętrzny wzrok da o sobie znać i dostrzegę coś ważnego... Niestety, nic takiego nie nastąpiło. Rad nierad, ściągnąłem wodze i zawróciłem konia, aby dogonić pozostałych.

Miałem właśnie spać go ostrogami, gdy usłyszałem żałosne, ciche skamlenie Twrcha, który oplakiwał swego zaginionego pana. Nie potrzebowałem wzroku, by odgadnąć, że psisko wciąż warowało z oczami utkwionymi w miejscu, gdzie zniknął Llew.

Gwizdnąłem cicho, a gdy to nie poskutkowało, zawołałem:

— Chodź, Twrch.

Pies nawet nie drgnął.

— Twrch! — podniosłem głos. — Chodź tu natychmiast! Ponieważ także i teraz moje polecenie zostało zlekceważone, zawróciłem na rozstaje. Zsiadłem z konia, a następnie, kierując się słuchem, podszedłem do psa i wymacałem łańcuch obroży. Pociągnąłem łagodnie, lecz Twrch nie zwrócił na moje wysiłki najmniejszej uwagi. Choć oderwałem mu od ziemi przednie łapy, zad trzymał się drogi jak przyrośnięty.

Szarpnąłem żelazne ogniwa ze znacznie większą siłą.

— Daj spokój, Twrch! — Tymczasem uparte zwierzę ani myślało dać za wygraną. Szarpnąłem jeszcze raz, ale osiągnąłem tylko tyle, że pies zaskowytał z bólu.

Wcale nie miałem zamiaru pastwić się nad nim, z drugiej jednak strony nie mogłem go tak zostawić. Potrzebowałem kawałka liny, by pociągnąć go za koniem, odwróciłem się więc i przywołałem na pomoc Cynana.

Kiedy ponownie sięgnąłem ku psiej szyi, Twrch zaszczekał ostro. Zmyślna bestia musiała wyczuć me intencje, gdyż umknęła w bok, nim zdążyłem schwycić za obrozę.



— Twrch! Przestań! Dobry piesek.

Mocno wychylony do przodu, zawadziłem stopą o sterczący na drodze kamień i padłem na kolana. Upuściłem laskę. Macając wokół siebie, natrafiłem na psa i ze wszystkich sił zacisnąłem palce na zmierzwionej sierści. Wodząc drugą ręką w poszukiwaniu obroży, wolno podniosłem się na nogi. Twrch zaszczekał jeszcze raz, głośno, zajadle, po czym rzucił się do przodu, pociągając mnie za sobą.

Rymnąłem na bruk jak długi, co skrętnie wykorzystał Twrch i w okamgnieniu odzyskał wolność.

— Twrch! — wrzasnąłem, gramoląc się na nogi. — Chodź tu! Chodź, Twrch!

Zrobiłem krok naprzód. Twrch szczeknął raz, potem drugi... Wydawało mi się, że jego głos dociera do mnie z oddali. Jeszcze chwila i nie słyszałem już niczego oprócz własnych kroków na kamieniach rozdroża.

Przykucnąłem, sposobiąc się do odnalezienia laski. Po chwili usłyszałem coś na podobieństwo gwałtownego wichru, ale powietrze nie poruszył nawet najłżejszy powiew. Instynktownie wyciągnąłem przed siebie ręce.

Me wędrujące na oślep dłonie zetknęły się z żywym ciałem.

Chciałem się cofnąć, nim jednak zdążyłem cokolwiek uczynić, ciało zważyło się na mnie całym ciężarem, i po raz kolejny tego ranka zostałem rzucony w pył drogi. Broniąc się przed nieznanym napastnikiem, zacząłem na chybił trafił kopać oraz tłuc pięściami.

— Tegid! — wrzasnął czyjś głos, a ja natychmiast wyprowadziłem w stronę, skąd dochodził, silny cios. Ktoś złapał mój nadgarstek, nim pięść dotarła do celu. Złapał i przytrzymał. — Tegid! Przestań, Tegid!

To był głos Llewa i w rzeczy samej, to Llew pochyłał się nade mną.

— Llew! Wróciłeś.

Puścił moją rękę, po czym ciężko dysząc, osunął się na kolana u mego boku. Był tak zasapany, że musiało upłynąć nieco czasu, nim zdołał cokolwiek powiedzieć. Wziąłem go w ramiona i serdecznie uściskałem.

— Llew! Co ty wyprawiasz? Dlaczego odszedłeś?

— Lepiej mi pomóż — usłyszałem w odpowiedzi. — Nettles... Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, o co mu chodziło. — Nettles jest z tobą?

— T... tak — Llew z trudem łykał powietrze. — Poszedłem... za nim i... przywodziłem z powrotem...

U mego boku pojawił się Bran. Wziął mnie pod ramię i dopomógł stanąć na nogi.

— Co tu się stało? — zapytał niemniej zaskoczony nagłym powrotem Llewa, jak przedtem jego zniknięciem.

— On przekroczył most między światami, żeby ściągnąć tego obcego z powrotem.

— Po co?

— Nie wiem.

— A gdzie jest Twrch?

— Pies podążył za swoim panem — odrzekłem — lecz w przeciwnieństwie do Llewa, nie wrócił.

— Twrch poszedł za mną? — zdumiał się Llew.

— Tak — rzuciłem oschle, gdyż byłem na niego zły. — Próbo-  
wałem temu zapobiec, ale nie zdołałem go przytrzymać. Twrch  
zniknął i nie sądzę, żeby udało mu się do nas wrócić.

Z tyłu, na kamieniach gościńca zadudniły żelazne podkowki, a w chwilę później z głośnym krzykiem wpadł między nas Cynan. Widocznie uznał, że toczone walkę, albowiem usiłował oderwać mnie od Llewa.

— Uspokój się! — zawołał Bran. — Cynanie, uspokój się! To Llew!

— Llew! — Cynan z niedowierzaniem popatrzył na nas z wysokości końskiego grzbietu.

Słońce musiało wzniesć się już całkiem wysoko, gdyż czułem na twarzy ciepło jego promieni. Podszedłem do Cynana.

— Jak myślisz, czy odnajdziesz drogę do domu?

Cynan pogardliwie prychnął.

— Przecież przywodziłem was tutaj w zupełnych ciemno-  
ściach, no nie?

— A zatem prowadź. I tak przebywamy tutaj za długo.

Cynan polecił, by przywieziono wierzchowca Llewa, ja natomiast ruszyłem do miejsca, gdzie ten ostatni pochylał się nad chudym ciałem Nettlesa. Llew rozmawiał z małym człowieczkiem w tej ich chropawej mowie, lecz wyprostował się, gdy poczuł mój dotyk.

— Nic mu nie jest. Może jechać w jednym z naszych rydwanów.

— A co z tobą?

— Wszystko w porządku — odrzekł, kładąc mi dłoń na ramieniu. — Przepraszam, Tegidzie. Powinienem być cię ostrzec, ale pomyślałem o tym zbyt późno.

Nettles wychrypiał coś w swoim języku, a Llew mu odpowiedział. Do mnie zaś rzekł:

— Musiałem to zrobić, Tegidzie. Oni by go zamordowali. Weston zabiłby Nettlesa natychmiast po powrocie. Poza tym, myślę, że on będzie nam potrzebny. Jego wiedza może się nam przydać.

— Bardzo dobrze — odparłem. — Nie wątpię, że tak będzie dla nas najlepiej. Chodźmy...

— Będziemy musieli nauczyć go języka — ty możesz tego dokonać, Tegidzie. W końcu ze mną ci się udało. A Nettles będzie się uczyć bardzo szybko. Już teraz wiele umie. Jak ci wspominałem...

— Już nic nie mów — wpadłem mu w słowo. — Po prawdzie, nie mam nic przeciwko temu, ale pogadamy sobie później. Teraz musimy stąd zniknąć.

Łoskot powracających rydwanów nappełnił nasze uszy głuchym grzmotem i dlatego usłyszeliśmy wroga dopiero wówczas, gdy wypadł prosto na nas.

## 31. Trafferth

— Ruszajcie! Odjedźcie wszyscy! — krzyknął Cynan. Usłyszałem szczęk wyciąganego z pochwy miecza. — Z drogi! Już ja zgotuję im powitanie!

— Ilu ich jest? — spytałem.

— Ze dwudziestu — odrzekł Llew — może więcej. Nie mogę ich zliczyć.

— No, już was tu nie ma! — ponaglił Cynan.

— Zostajemy wszyscy — oznajmił Llew. Bran, Alun i reszta wojowników poparli jego decyzję. — I tak wypada po dwóch na każdego z nas — dodał po chwili. — Co radzicie?

— Mamy rydwany — wtrącił Cynan. — Z ich pomocą możemy zdrowo napsuć im krwi. Ja wezmę jeden, Bran będzie powozić drugim.

— Racja — Llew wydał krótki rozkaz Branowi, po czym zwrócił się do mnie. — Tegid, zabierz ze sobą Nettlesa. Trzymaj się drogi. Dołączymy do was, gdy tylko będzie można.

— Ja też zostaję.

— Możesz odjechać, przecież...

— Zostaję.

Llew nie miał czasu na dalsze spory.

— A zatem zostań — ustąpił.

Wokół siebie słyszałem skrzypienie końskich uprząży, wykrzykujące komendy męskie głosy, stukot uderzających o bruk kopyt, w oddali zaś rozbrzmiewał wrzask nadciągającego wroga.

Ktoś do mnie podbiegł.

— Przytrzymaj nasze konie! — poprosił Alun Tringad. Wcisnął mi wodze w dłonie i natychmiast popędził dalej.

— Za mną! — ryknął Cynan.

Przy wtórze grzmotu podków poczet zbrojnych pomknął na przód. Łoskot uderzającego o kamienie żelaza w jednej chwili rozbudził mój wewnętrzny wzrok i ujrzałem równą drogę, po której sunęły dwa rydwany. Cynan jechał w pierwszym, wiodąc naszych ku zbitej ciasno gromadzie nieprzyjaciół. W drugim, obok powożącego Aluna, stał Bran. Na prawo od Cynana cwałował Llew z pozostałymi wojownikami.

Obok mnie rozległ się czyjś głos.

— *Trafferth?*

Spojrzałem w dół. Przy moim siodle, zadzierając głowę, stał Nettles.

— Trafferth? — powtórzył pytanie.

Próbował rozmawiać ze mną w naszym języku i choć wymawiał słowa chropawo, rozumiałem, o co mu chodzi.

— Tak — odrzekłem — kłopoty.

Nie wiem, czy mnie zrozumiał, w każdym razie pokiwał głową i przeniósł wzrok na pole bitwy. Moja wizja uległa zmianie i także mogłem oglądać dwie pędzące ku sobie linie, tyle że widziałem je z wielkiej wysokości, tak jakbym był krążącym na niebie jastrzębiem.

Nie umknął mi żaden szczegół: wyciągnięte szyje koni, rozdęte chrapy, spadające z pysków płaty piany. Zobaczyłem Cynana, grzywę ognistorudych włosów powiewającą ponad lśniącymi ramionami, naprężonymi od wysiłku, jaki wkładał w kierowanie rydwanem; pęk naszykowanych na podorędziu włóczni. Zobaczyłem Llewa galopującego z mieczem u boku i wysoko uniesioną włócznią, i Brana tkwiącego niczym dąb pośrodku drugiego rydwanu, podczas gdy Alun, ze spuszczoną nisko głową i dłońmi zaciśniętymi mocno na lejcach, krzykiem zachęcał konie do szybszego biegu. Zobaczyłem palących się do boju wojowników, ich wyostrzone miecze oraz groty włóczni, połyskujące groźnie w jasnym, porannym słońcu.

Nogi rozpędzonych rumaków zlewały się w zamazaną plamę, a kopyta waliły w ziemię, dobywając z niej głuche dudnienie.

Wróg był coraz bliżej. Jego linia wygięła się w szeroki łuk, w którym — korzystając z liczebnej przewagi — zamierzał nas zamknąć. Rycerze przeciwnika uzbrojeni byli we włócznie oraz długie tarcze, konie ich zaś nosiły brązowe napierśniki, nagolenniki i zaopatrzone w długie rogi naczółki. Rogi zdobyły także hełmy kilku wojów. Twarze atakujących miały twarde rysy, w ich zwężonych oczach płonęła zawziętość. Z wyglądu sądząc, mieliśmy przeciwko sobie jakąś drużynę z Wilczej Sfory Meldrona, co znaczyło, że i sam Wielki Pies nie mógł być daleko.

Odległość między dwoma szeregami stale malała. Zacisnąłem zęby, szykując się na coraz bliższe starcie.

Cynan i Alun skierowali rydwany w środek nieprzyjacielskiego szyku i rozcięli go bez trudu, jako że konni odskoczyli w bok, unikając rozpędzonych wozów i gotując się na przyjęcie jazdy.

Tymczasem Llew z resztą drużyny trzymał się przezornie z tyłu i ani myślał atakować.

Rydwany zwolniły i, niknąc w kłębach kurzu, zawróciły na tyłach poszarpanej linii wroga, której kawałki wijąc się niby przepołowiony wąż, szybko utworzyły dwa mniejsze oddziały. W tym właśnie momencie uderzyli nasi konni.

Wypadłszy zza pleców Cynana, jeźdźcy wbili się w ciżbę przeciwnika szybko i pewnie, niczym ciśnięta wprawnym ramieniem włócznia. Impet starcia wprawiał w drżenie ziemię i obalał konie, które z głośnym kwikiem waliły się z nóg. Z trzaskiem pękały drzewca włóczni, połyskiwały miecze.

Cynan wraz z Ałunem zaatakowali z flanki, wiodąc swe rydwany w największy gęszcz walczących. Wrogowie nasi natychmiast ustąpili pola, cofając się na podobieństwo morskiej fali, krzycząc i wpadając na siebie.

Bran uniósł wysoko ramię i cisnął włócznią w sam środek kłębowiska. Pocisk, którego impet powiększony został o pęd rydwanu, gładko rozłupał tarczę i przeszył na wylot jednego z jeźdźców, wyrzucając go z siodła jak z procy.

Cynan siał spustoszenie w szeregach przeciwnika, szarżując z zadłością rozjuszonego byka. Ze wzniesionym dumnie czołem, z głośnym rykiem na ustach, wywijał śmiertelnie groźną w jego dłoniach włócznią. Ryk ów budził lęk wrażeń wojowników, włócznia zaś razila ich ze straszną siłą.

W okamgnieniu hufiec przeciwnika został zdruzgotany i poszedł w rozsypkę. Wówczas rydwany zawróciły i natarły na drugą część sił wroga, która zdążyła opanować zamęt i zwarła szyki, gotując się do uderzenia. Także i tym razem szybkość rydwanów tudzież siła ataku Cynana i Brana okazały się miażdżące.

Wozy wdarły się w środek nacierających. Na chwilę zniknęły w gęstwie konnych, usiłujących okiełznać stojące dęba rumaki, po czym wypadły na tyłach wroga i natychmiast zawróciły, aby powtórzyć atak. Poprzez opadające kłęby kurzu dojrzałem na ziemi ciała pięciu wojowników oraz trupy trzech koni. Ocalałych pięciu zbrojnych kręciło się bezradnie po polu.

Zaraz też zajął się nimi Llew z resztą drużyny. Ujrzałem rozbłyśki słońca na opadających w dół ostrzach i już po chwili traktem pognąło pięć bezpańskich wierzchowców. Zerknąłem na Nettlesa Stary klęczał w pyłe drogi, przesłaniając dłonią oczy, a jego ramiona mocno drżały.

Niedobitki wroga skrzyknęły się do ostatniej szarzy. Cynan i Alun ustawili rydwany jeden przy drugim. Cynan podniósł włócznię, krzykiem zachęcił konie do dalszego wysiłku. Rumaki wspięły się na zadnie nogi i popędziły naprzód. Alun krzyknął przeciągle, a na ten znak jego rydwan pomknął jak strzała. W połowie drogi do wozów dołączyli konni Llewa.

Tego dla naszych przeciwników było już za wiele. Ich linia zachwiała się teraz i poszła w rozsypkę, umykający zaś przed śmiercią wojownicy pognali na łeb na szyję tam, skąd przybyli. Z liczącej dwudziestu chłopów drużyny pozostało ich zaledwie sześciu. Ludzie Llewa pokłusowali w ślad za nimi, lecz odległość między pogonią a uciekającymi bardzo szybko rosła i tym sześciu udało się ująć z życiem.

Cynan zakrzyknął triumfalnie, po czym nie czekając, aż rydwan stanie, zeskoczył na ziemię, dobył miecza i szybkim ruchem odrąbał głowę najbliższemu z martwych najeźdźców. Potem podniósł włócznię, nadział na nią głowę, a drzewce wetknął w ziemię.

Przepelniony radością oraz ulgą, zaintonowałem pieśń zwycięstwa. Mój głos był mocny, podniosły; pragnąłem, by wyśpiewał pieśń zdolną dolecieć do odległego pasma wzgórz. Popatrzyłem na Nettlesa.

— Już po wszystkim! Pobiliśmy ich!

Opuściwszy ręce, gapił się na mnie szeroko otwartymi oczami; nie rozumiał mnie, ale jakie to miało znaczenie!

— *Gorfoleddu!* — powiedziałem. — Raduj się!

Siwowłosy człowieczek odpowiedział uśmiechem.

— *Gorfoleddu* — powtórzył, kiwając głową.

Bran z Ałunem powrócili pierwsi. Tuż za nimi nadjechali konni Llewa, a ostatni przybył Cynan.

— Powinniśmy ich ścigać — skarżył się głośno. — Przecież oni powiedzą Meldronowi.

— Tym razem mieliśmy szczęście — odparł Bran. — Oni nie

byli przygotowani na walkę z rydwanami. W przyszłości nie pójdzie nam tak gładko.

— Tym bardziej należy dokończyć to, cośmy zaczęli.

— Bran ma rację — wtrąciłem. — Kto wie, czy Meldron nie stoi obozem tuż za grzbietem najbliższego wzgórza? Powinniśmy wracać do Dun Cruach, skoro mamy po temu sposobność.

Cynan nie dał się przekonać.

— Proszę bardzo, niech zawezwą Wielkiego Psa we własnej osobie. Ja się go nie boję.

— Będą jeszcze inne bitwy — rzekł Llew. — Przyjmijmy zwycięstwo, jakim nas obdarzono, a walkę odłóżmy na inną okazję. Czekają na nas ludzie, bracie. Prowadź do domu.

Na powrót dosiedliśmy koni i bez dalszej mitręgi wyruszyliśmy w drogę. Nettles siedział za moimi plecami, ale nawet z tym dodatkowym ciężarem wierzchowiec bez trudu dotrzymywał kroku reszcie kolumny. Dzień nastał gorący i duszny, jednak Cynan narzucił równe tempo przemarszu poprzez suche, wypalone wzgórza, dzięki czemu przybyliśmy do Dun Cruach w porze, gdy słońce zamieniło się w przymglony, biały krąg wiszący nisko nad zachodnim horyzontem.

Na miejscu dowiedziałem się, że Ffand pogrzebano o świcie.

— Jest tak gorąco — tłumaczyła opiekująca się nią niewiasta — że nie można było zwlekać z pochówkiem, ja zaś nie wiedziałam, kiedy możecie wrócić. Czy jesteś niezadowolony, panie?

Nie czyniła mi wyrzutów, a jednak słuchając jej słów, poczułem klucie w sercu.

— Nie — zapewniłem. — Postąpiłaś słusznie. Powinienem był sam się tym zająć.

Potem zaprowadziła mnie i Llewa na mogiłę — niewielki spłachetek ziemi, ocieniony ścianą hali.

— Tutaj jest chłodniej — powiedziała. — To najlepsze miejsce, jakie udało mi się znaleźć.

Podziękowałem jej, a gdy odeszła, Llew dłuższy czas stał w milczeniu ze wzrokiem wbitym w kopczyk świeżego piasku.

— Sam widzisz, jak to jest — powiedział wreszcie. — My, obcy, nie należymy do tego miejsca, Tegidzie.



Nie możemy tutaj zostać — nie wolno nam.

Po wczesnej wieczerzy zebraliśmy się w hali Cynfarcha i, popijając wodę, wysłuchaliśmy opowieści Cynana o zdarzeniach minionego dnia. Ci z naszych towarzyszy, którzy zostali w kerze, by zająć się przygotowaniami do powrotnej drogi na północ, głośno narzekali, że ominęła ich taka piękna walka. Co chwila musieliśmy opowiadać wszystko od początku, tak by każdy mógł się nacieszyć nowinami. Nic więc dziwnego, iż nastąpiła głęboka noc, nim mogliśmy wreszcie porozmawiać z Cynfarchem.

— Panie — rzekł Llew, wstając, by wyrazić królowi swój szacunek. — Dobrze jest siedzieć wraz z tobą i opowiadać ci o naszym zwycięstwie. Pragnę jednak przypomnieć, iż straciliśmy kolejny dzień, a twoja decyzja wciąż jest dla nas nieznana. Czy pojedziesz z nami do Dinas Dwr?

Król zmarszczył czoło.

— Postanowiłem...

Llew czekał w milczeniu na dalsze słowa Cynfarcha, te jednak nigdy nie padły, gdyż akurat w tym momencie usłyszeliśmy krzyk czuwającego na wałach strażnika. Jeszcze chwila i nocną ciszę rozdarł ostry dźwięk grającego na alarm rogu.

Bodziec ten zdarł z mych oczu zasłonę ślepoty. Ujrzałem drewniany wał... przyczajonych wojowników oświetlonych srebrzystym światłem księżyca... jasne gwiazdy świecące ostro z głębokiej czerni nieba... rozwarte na oścież wrota hali i wojów wypadających na dwór przez prostokąt bladożółtego światła...

Wraz z innymi wspiąłem się na wały i przycupnąłem pod osłoną umocnień. Dookoła ciągnęły się spowite w ciemność ziemie i tylko w oddali słabo migotało samotne ognisko. Postanowiłem zapytać stojącego opodal wartownika, co było przyczyną alarmu. Nim jednak otworzyłem usta, kątem oka pochwyciłem jakiś drżący ruch: następne ognisko.

Wartownik pokazywał coś w mrocznej dali. Popatrzyłem we wskazanym kierunku — ów drugi ogień rozpadł się na kilka mniejszych płomieni. Te zaś dzieliły się dalej i dalej, i już po chwili

przed naszymi oczami popłynęła długa kolumna świetlnych punktów.

U mego boku pojawił się Bran.

— Co to jest?

— To Meldron — odparłem. — Znalazł nas.

Na wałach zaroilo się od wojowników. Wkrótce dołączyli do mnie Llew z Cynanem i razem oglądaliśmy sunące po cichej równinie płomyki pochodni. Ich liczba urosła już do setki, a z każdą chwilą przybywały dziesiątki nowych.

— Więc on zamierza uderzyć w nocy — ocenił sytuację Cynan. — Bardzo dobrze. Zgotujemy mu powitanie, którego długo nie zapomni.

Llew milczał. Z napięciem wpatrywał się w ciemność, jak gdyby zamierzał ją rozedrzeć siłą wzroku. Twarz stężała mu w grymasie wysiłku, zmrużone oczy przypominały szparki, ściągnięte brwi tworzyły jedną linię, na szczękach zaś wystąpiły węzły mięśni.

Widok ten poraził mnie bardziej niżli nadciągające wojska Meldrona.

— Llew? — dotknąłem jego ramienia; było twarde niczym sterzący z ziemi korzeń drzewa. Wystraszyłem się nie na żarty. — Llew!

Zwrócił twarz w moją stronę. W świetle księżycy jego oczy lśniły dziwnym blaskiem — wpatrywały się we mnie, lecz z pewnością niczego nie widziały.

— Powiedz coś, Llew — poprosiłem, kładąc rękę na jego nienaturalnie naprężonym ramieniu. — Co widzisz?

Powoli otworzył usta... i właśnie wtedy dostrzegłem na jego brodzie drobne ślady piany. Już wiedziałem! Czuję, jak serce w mej piersi uderza szybciej. Wiedziałem, co mu się stało. Wiedziałem, a wiedza ta niosła ze sobą nadzieję, ale też i strach. Kiedyś bowiem widziałem już coś takiego i znałem źródło takiego zachowania.

Cynan również zauważył przeobrażenie Llewa.

— Co się dzieje? — spytał. — Tegid! Co mu się stało?

Llew zaczął drżeć na całym ciele. Zwrócił się do mnie, po czym wbił w moje ramię palce zdrowej ręki. Cynan objął go w pół, próbując zatrzymać na miejscu.

— Tegid! Pomóż mi! Nie zdołam go utrzymać!

### 32. Ognista burza

Cynan zamknął ramiona Llewa w zapaśniczym uścisku. Przez chwilę zmagali się w milczeniu, po czym Llew zaczął przewracać oczami, a z jego szeroko otwartych ust wydobył się głośny okrzyk, groźny i przenikliwy, niczym wycie polującego wilka albo zew kołującego w przestworzach orła. Podniósł ręce i strząsnął z siebie Cynana; odrzucił go daleko, a uczynił to z taką łatwością, jakby zrzucił z pleców nie rosnącego męża, lecz wypchany szmatami worek.

Zaraz też zeskoczył z wału i popędził przez dziedziniec w stronę hali. Cynan poderwał się na nogi, by za nim pobiec, ja jednak zatrzymałem go na miejscu.

— Zaczekaj! — powiedziałem. — On ciebie nie słyszy, więc może zrobić ci przywdę.

Odprowadził spojrzeniem znikającego w hali Llewa.

— Co mu się stało, Tegidzie? *Saethu du!* Co w niego wstąpiło?

— Patrz! — odrzekłem, a ledwo umilkłem, z hali wybiegł Llew. W zdrowej ręce dzierżył płonąca głównię, natomiast drugą przytrzymał pod pachą skórzany bukłak. Podbiegł do bramy, napał na nią całym ciałem i przecisnął się przez powstałą szczelinę.

— *Clanna na cú* — rzucił Cynan.

— Idź — poleciłem. — Zbierz ludzi i bądźcie gotowi w każdej chwili do niego dołączyć. Rusz się, człowieku! — dodałem, czując na sobie jego osłupiały wzrok.

Cynan popędził, wykrzykując komendy stojącym najbliższym wojownikom. Zeskoczył na podwórzec i kazał podać sobie broń. Jego słowa nie przebrzmiały jeszcze na dobre, kiedy rozległ się głos rogu. Wojownicy odwrócili się i jak jeden pobiegli z wałów do hali. W tłumie krzątających się ludzi wyłowiłem postać Brana Brasela, uzbrojonego we włócznię oraz tarczę.

— Bran! — wrzasnąłem. — Tutaj! — Po chwili dowódca stał już u podnóża wału pode mną. — Idź za Llewem, ale go nie dotykaj. Cokolwiek każe ci zrobić, uczyn to! Nie próbuj go powstrzymać!

Zasalutował mi włócznią i już go nie było. Pojąłem, że moje

wskazówki nie były mu potrzebne. Bran wykona chętnie i bez dyskusji każdy wydany przez Llewa rozkaz.

Odwrociłem się, by jeszcze raz rzucić okiem na Meldronowe wojsko. Maszerująca kolumna przybliżyła się znacznie do keru. W zasięgu wzroku miałem już setki gorejących pochodni, naprzeciw którym płynął ponad równiną pojedynczy ognik żagwi Llewa.

Na podwórku u moich stóp zapanował straszny rejwach, słychać było nawoływania, rzenie koni i szczęk oręża. W pewnym momencie wrota uchyliły się, by mógł nimi wyjść zaopatrzony w pochodnię Bran.

Widziałem, jak popędził w ślad za Llewem i po niedługim czasie zrównał się z nim. Bliźniacze płomyki ich pochodni wędrowały dalej i dalej, aż wreszcie znieruchomiały w miejscu znacznie od wałów oddalonym. Llew zatknął swoją głównię w piasek, przerzucił bukłak przez ramię i rozpoczął powolny odwrót.

Dołączył do mnie naszykowany do boju Cynan.

— Co on robi? — zagadnął. — Czyżby oszalał?

— Nie. Zbierz ludzi i czekajcie w pogotowiu.

Cynan natychmiast odszedł, a ja znowu całą uwagę skupiłem na poczynaniach Llewa, który właśnie przerwał marsz. Przez chwilę trwał w bezruchu, po czym znacznie zwawszym krokiem wrócił do pochodni. Wciąż trzymając na ramieniu przechylony bukłak, ruszył w przeciwnym niż poprzednio kierunku. Gdym mu się tak przyglądał, przejrzałem wreszcie jego zamiar.

— Cynan! — ryknąłem, zwróciwszy się ku dziedzincowi. — Cynan! Przyprowadź króla!

Cynan stał na środku podwórca i wydawał ostatnie rozkazy. Konie zostały już osiodłane, a stajenni biegiem wiedli je ku wojownikom.

— Cynan! — powtórzyłem wezwanie. — Gdzie jest Cynfarch?

— Szykuje rydwan — usłyszałem w odpowiedzi. — Poprowadzi nas do boju.

— Poślij kogoś, żeby sprowadził go na wały. Natychmiast muszę z nim pomówić. Pośpiesz się!

Cynan położył rękę na ramieniu najbliższego wojownika, skinął

głową, a ten niezwłocznie puścił się pędem, niknąc w skłębionym na dziedzińcu ludzkim mrowiu.

— Ty też chodź na górę — rzuciłem w stronę Cynana.

Wyczułem za plecami czyjaś obecność. Obejrzawszy się, dostrzegłem Nettlesa. Obcy wyciągniętą ręką wskazywał coś na równinie. Tam gdzie wcześniej połyskiwały setki, teraz płonął tysiąc pochodni. A ponad coraz bliższymi świątłami przetaczał się dźwięk podobny stłumionemu gromowi.

Llew odrzucił próżny bukłak i popędził po pochodnię. Bran trzymał się jego boku, ale Llew zdawał się go nie dostrzegać. Zdecydowanym ruchem sięgnął po żagiew i przytknął ją do ziemi. W okamgnieniu wysoko w niebo strzeliły płomienie i pomknęły na boki, kreśląc w suchej trawie szeroki łuk.

W dole pojawił się Cynfarch z mieczem w dłoni. Otworzył usta, lecz w tym momencie rozległo się coś jakby wycie rozszalałej wichury, a wszystko wokół zalał rozbłysk migotliwego światła. Przez otwarte wrota król ujrzał rozświetlającą noc ścianę ognia. Obserwował przez chwilę niezwykle widowisko, po czym zapytał:

— Co on robi?

— Szykuje dla nas drogę — wyjaśniłem. — Musimy przygotować się do wyjazdu.

— Do jakiego wyjazdu? — rzucił gniewnie. Zaczerpnął tchu, zbierając siły do dłuższej przemowy, ja jednak zdołałem go ubiec.

— Wyjeżdżamy — rzekłem. — Spójrz! — wskazałem na rozdrzane płomienie. — Llew rozpostarł przed nami tarczę.

— Co takiego zrobił?! — wielkim głosem ryknął Cynfarch.

— Ognistą tarczę! — odkrzyknął mu Cynan.

— Zawezwójcie go! — rozkazał król. — Przeciwwstawił się mojej władzy!

— Teraz wziął go we władanie awen penderwydda — wyjaśniłem. — Słyszysz wyłącznie głos Szybkiej Pewnej Ręki. Przyzywaj go na wszelkie sposoby, lecz nie sądzę, by cię posłuchał.

Na tle ognia sylwetka Llewa była dobrze widoczna. Miał wzniesioną nad głową rękę, a dłoń skierował na zewnątrz, tak jak to czynią

wypowiadający zaklęcia bardowie. Poruszał się przy tym rytmicznie, zapewne w jakimś tańcu.

Płomienie pochłaniały coraz to nowe połacie zeschłej trawy, strzelały wyżej i wyżej. Żar pożogi wprawił w ruch powietrze, które zaczęło dodatkowo podsycać żywiół.

Bran podniósł wysoko włócznię, po czym pochylił ją do przodu. Na ten sygnał spoza umocnień wysypali się wojownicy i, ściskając w rękach zabrane z hali pochodnie, pobiegli co sił w nogach, by dołączyć do stojącego na linii ognia Llewa. Ich krzyki zlały się w jedno z wypełniającym noc trzaskiem szalejących płomieni.

— Cynfarchu! — zawołałem. — Sprawa jest przesądzona. Zgromadź swój lud i bydło, i wszystkie skarby, które zdołasz ze sobą zabrać. Gotuj się do drogi, pożegnaj stare kąty.

Twarz Cynfarcha pociemniała z wściekłości, ale Cynan, którego oczy rozświetlał blask pożaru, położył dłoń na ramieniu ojca.

— Jego uczynek nie powinien rodzić twego gniewu. Okażmy naszą odwagę i mądrą siłę. Pozwólmy, aby Llew osłonił nasz odjazd ognistą tarczą.

— Naszą ucieczkę! — gniewnie wykrzyknął król. — On nie może tego zrobić! Nie ma prawa rozkazywać mi i memu ludowi!

— To, co się stało — odrzekłem — stało się za sprawą władzy nie Llewa, tylko Tego, który rządzi ogniem i wiatrem. Jeżeli potrafisz sprawić, by wiatr i ogień były ci posłuszne, uczyni to. W przeciwnym razie, przygotuj się lepiej do odjazdu, póki jest on możliwy.

Cynfarch odwrócił się i pośpieszył do hali, ja zaś skupiłem całą uwagę na tym, co działo się na równinie. Bijące wysoko w niebo języki ognia przypominały gorejącą ścianę; wzdęte niczym ogromne żagle, parły do przodu w podmuchach gorącego wichru. Cynfarchowi woje dokończyli dzieła zapoczątkowanego przez Llewa. Wetknąwszy swe pochodnie w suchą trawę, rozniecili nowe zarzewia, a przybierająca na sile wichura szybko pomogła się im rozprzestrzenić.

— Chodź — rzekłem do Nettlesa. — Pora iść. — Człowieczek odwrócił się od pożaru i bez słowa ruszył w ślad za mną. Zeszliśmy zwału na podwórzec, w sam środek gorączkowej bieganiny. Ludzie

uwijali się jak w ukropie, wynosząc z domostw oraz hali to wszystko, co miało jakąś wartość i nadawało się do zabrania z keru. Na dziedzińcu stało z dziesięć wozów, w tym cztery, którymi przywieźliśmy wodę, i na których nadal stały beczki; pozostałe szybko zapełniły się dobytkiem klanu.

Nadjechał rydwan Cynfarcha i ustawił się na czele kolumny. Cynan klusował tam i z powrotem, wykrzykując ostatnie rozkazy. Jakiś człowiek przywiódł mego konia. Wziąłem od niego wodze i kazałem biegiem wracać do rodziny. Potem wspiąłem się na siodło, dopomogłem też Nettlesowi usadowić się za moimi plecami. W chwilę później w drugim końcu dziedzińca powstało jakieś zamieszanie i załała nas fala wystraszonego, wydającego przeraźliwe ryki bydła.

Stojący w rydwanie król Cynfarch wznosił do ust zakrzywiony róg, dobył z niego ostry dźwięk. Dwie setki ludzi zgodnie, jakby tworzyły jedno ciało, ruszyły ku wrotom. Król powiódł nas na rozświetloną płomieniami równinę.

Tuż za bramą zatrzymałem wierzchowca, aby wraz z Cynanem zaczekać, aż wszyscy opuszczą ker. W pierwszej kolejności za królewskim rydwanem podążały rodziny, dalej gnający świnie oraz bydło pastuchowie — owce szły samopas — na końcu zaś wozy z majątkiem plemienia.

Cynan zwrócił twarz do ognia. Poskromił kręcącego się niespokojnie wierzchowca, po czym rzekł, podnosząc głos tak, aby przeczłuć ryk płomieni:

— Patrzcie! Pożar przyciąga wiatr!

Tak było w istocie. Wytworzony przez płonące trawy żar rozdził gwałtowne podmuchy, które skręcały płomień w straszliwe wiry, ciągnęły je do góry i zmuszały do coraz większego pędu.

— Udław się tym, Meldronie! Ha! — wrzasnął Cynan. — Llew znowu wpędził cię w tarapaty.

— Gdzie jest Llew?! — wykrzyczałem pytanie.

— Nie widzę go — odparł Cynan, usiłując coś dojrzeć poprzez kurtynę ognia. — Ani jego, ani Brana!

Przepatrzywałem równinę po drugiej stronie płonącej bariery,

kiedy poczułem na ramieniu rękę Nettlesa. Stary pokazywał mi coś na skraju objętego ogniem pola.

Zobaczyłem Llewa. Siedział okrakiem na grzbiecie galopującego konia, a jego ciało lśniło od potu. Niepomny szalejącego tuż obok żywiołu, pędził wzdłuż gorejącej ściany, niczym jakaś z płomieni zrodzona istota. Tuż za nim trzymał się Bran, nieco dalej zaś w tyle galopował rząd wojowników z pochodniami, którzy co i rusz zwalniali, by rozniecić nowe ognisko.

— Jest tam! — wrzasnąłem. —Jedzie przed nami!

Wkrótce Llew zniknął nam z oczu, przesłonięty chmurą gęstego dymu, my zaś dołączyliśmy do oddalającej się kolumny. Król Cynfarch poprowadził ludzi w głąb wypalanej, dymiącej równiny, ale po niedługim czasie skręcił na północ, a wtedy rozszalałe piekło zostało za nami. Llew z towarzyszącymi mu wojownikami sunął w pewnym oddaleniu z boku, podtrzymując osłonę płomieni i troszcząc się, by ognista burza ani na chwilę nie osłabła.

Cały następny dzień upłynął nam na wędrówce na północ. Bez przerwy spowijały nas kłęby dymu, który przesłaniał niebo i przyćmiewał słońce. Na podobieństwo nieczystego deszczu z góry sypał się na nas czarny popiół, ale my okryliśmy głowy płaszczami i jechaliśmy dalej. Przy każdym kroku oczekiwałem, że z mroku wynurzy się Meldron wraz ze swym hufcem, odcinając nam drogę odwrotu.

Tymczasem jeźdźców wroga nigdzie nie było widać; w zamglonej dali ani razu nie załśniły groty włóczni, ani razu nie słyszeliśmy tętentu końskich kopyt. A mimo to nie mogłem wyzbyć się przekonania, że lada moment wpadniemy w pułapkę.

Dzień następował za dniem, a każdy wschód słońca niósł ze sobą coraz większy upał. Ziemia, wyschnięta i twarda niczym wypalona glina, była spękana jak skórka zbyt długo przetrzymanego w piecu chleba, a ślad przejścia ludzi znaczyły ogromne kłęby pyłu. Żar stał się na tyle nieznośny, że musieliśmy odpoczywać od wschodu do zachodu słońca i podróżować jedynie nocą. Mieliśmy nadzieję uniknąć w ten sposób zarówno upału, jak i wojów Meldrona, którzy mogli przecież podążyć naszym tropem.



Dopiero gdy zaczęliśmy długie podejście zboczami wzgórz na północy, poczułem przyływ nadziei, iż być może zdołaliśmy jednak umknąć naszym wrogom. A kiedy zbliżyliśmy się do Druim Vran, nadzieja przerodziła się w pewność.

Po tym, jak opuścił go awen, Llew popadł w odrętwienie. Jechał obok Brana w całkowitym milczeniu, ze spuszczoną nisko głową, pochylony w siodle, jak gdyby trawił go jakiś ból. Próbowałem go rozweselić, ale bez skutku. Nawet Nettles niczego nie wskórał.

Mały człowieczek jechał wraz ze mną. W ciągu tej podróży stał się moim nieodłącznym towarzyszem, moim cieniem. Zaczęłem uczyć go naszego języka i szybko nabrałem szacunku dla bystrości jego umysłu, który błyskawicznie przyswajał nawet najtrudniejsze wyrażenia. Dzięki temu, nim dojechaliśmy do Druim Vran, mogliśmy już prowadzić prostą rozmowę. Przekonałem się wówczas, że Nettles jest człowiekiem przyjaznym i żadnym wiedzy.

Był to właściwie jedyny pożytek, jaki przyniosła mi ta podróż. Poza tym, nie opuszczał mnie zły humor, podobnie jak i niepokój. Uczucie to prześladowało zresztą nie tylko mnie. Cynan również zamartwiał się tym, że zbyt łatwo umknęliśmy Meldronowej pogoni. Staliśmy przy naszych koniach i czekaliśmy aż ostatni wóz oraz maruderzy z owczego stada przekroczą grzbiet Druim Vran i zaczną schodzić ku naszej ukrytej warowni na jeziorze.

— Wiesz, bracie — powiedział — możesz nazwać mnie głupcem za to moje krakanie, ale wciąż mnie coś niepokoi. — Odwrócił się przy tych słowach, a choć go nie widziałem, byłem pewien, iż spogląda za siebie. Po raz kolejny sprawdzał, czy na przebytym przez nas szlaku nie widać zwiadowców Meldrona.

— Ale przecież opuszczałeś Dun Cruach bez żalu — zauważyłem.

— Ano tak — przytaknął kwaśno. — Wyjazd odbył się sprawnie. I był niezbędny, muszę to przyznać. Nie mieliśmy innego wyjścia, a jednak... — urwał, by ponownie popatrzeć na drogę. — Wyjechać to jedno, a bezpiecznie dotrzeć do celu to zupełnie co innego. Czyż nie mam racji?

— Masz ją czy nie, i tak nasza podróż skończyła się pomyślnie.

— Czy aby na pewno? W twym głosie nie słyhać zbytniego przekonania, co? — Umilkł, a nie doczekawszy się mojej odpowiedzi, mruknął: — Słucham, ale niczego nie słyszę, bardzo.

— Nie czynię tajemnicy z mego lęku. I cieszę się, że dzieliłś go ze mną, Cynanie Machae. Uważałem tę wyprawę za błąd; od samego początku odradzałem wyjazd. A teraz, choć znaleźliśmy się ponownie pod osłoną gór, wcale nie czuję się bezpiecznie. Powiem ci prawdę — cała ta sprawa jest daleka od zakończenia.

Mówiłem, a w moich uszach głucho dźwięczała rozpacz. Dlaczego? Cynan miał rację, pytając o przyczynę. Byłem przeciwny opuszczaniu Dinas Dwr, ale całe przedsięwzięcie zakończyło się dobrze. Dlaczego zatem me kości nadal przenikał chłód złego przecucia? Czy w naszym ukrytym królestwie rzeczywiście panował niczym nie zmącony spokój, czy też czekała na nas niespodzianka w postaci jakiejś nowej klęski?

Usłyszeliśmy niesione odbitym od jeziora echem powitalne okrzyki. Cynan dosiadł konia.

— Lepiej pośpieszmy się, bo nie dostaniemy naszej porcji pozdrowień.

Wysłuchałem się w wesołe głosy. Wychwytywałem w nich coś więcej niż tylko nuty powitania, coś nieuchwytnego. Cóż to mogło być? Czy pozdrowienia były zanadto gorące, a radość zbyt wylewna? A może, po prostu, od tak dawna szykowałem się na najgorsze, że usłyszawszy prawdziwą radość, nie potrafiłem jej rozpoznać?

Cynan dostrzegł me wahanie.

— Na co czekasz?

— Na nic. — Złapałem wodze i wspiąłem się na siodło. — Dołączmy do świętujących — rzekłem, po czym skierowałem wierzchowca w dół stoku.

— Tegidzie! — krzyknął w ślad za mną — czy coś jest nie tak?

Odpowiedź na to pytanie poznaliśmy bardzo szybko, gdyż już w połowie drogi do jeziora w nozdrza uderzył nas dobrze znany odór śmierci.

Mój koń stanął jak wryty, odmawiając dalszej jazdy. Zdzieliłem go cuglami po kłębie, przynagliłem do galopu. Cynan zawołał z tyłu,

bym zaczekał. Puściłem jego krzyki mimo uszu i na łeb na szyję pogałem wiodącym ku jezioru traktem.

### 33. Słowo już wypowiedziane

Jeszcze nim dojechałem do Dinas Dwr, wiedziałem, co się stało. Człowiek nie potrzebuje wzroku, żeby rozpoznać smród gnijącej ryby. W miarę jak zbliżałem się do jeziora, odrażająca woń przybierała na sile, z każdym krokiem wzmagając swą zjadliwość.

Do czasu gdy przybył na miejsce, ludzie zdążyli już uchnąć. Precisnąłem się przez dziwnie milczący krąg i odszukałem Llewa. Stał na kamieniu, a na mój widok otrząsnął się z oszołomienia i wymamrotał:

— Ostrzegałeś mnie, Tegidzie, ale cię nie usłuchałem.

Słowa te roznieciły mój wewnętrzny wzrok. Zobaczyłem nasze lśniące jezioro zupełnie martwe. Jego przejrzyste wody zmętniały i okryły się trującą pianą, jak oczy od dawna nie żyjącego nieboszczyka albo niegdyś połyskliwa powierzchnia srebrnego zwierciadła, dzisiaj dotknięta piętrem śniedzi. Na brzegu dogorywały rośliny, przywiędłe i butwiejące w gorących promieniach słońca. Jak okiem sięgnąć, jezioro było splugawione rozdętymi szczątkami ryb oraz wodnego ptactwa. Powierzchnia zdawała się kipieć — to z dna wypływały z cichym bulgotem pęcherze, które następnie pękały, uwalniając piekłem cuchnące wapory.

Stojący opodal Bran potoczył wzrokiem po skażonym jeziorze i rzekł:

— A więc trucizna dosięgła w końcu Dinas Dwr. Teraz w całym tym ziemskim królestwie nie znajdziesz bezpiecznego miejsca.

Podeszły Scatha i Goewyn, powitały nas ciepło i ucałowały. Goewyn zaraz zajęła miejsce u boku Llewa i tam już pozostała. Mówiła niewiele, za to wpatrywała się w jego twarz jak urzeczona. Llew tymczasem zdawał się nie dostrzegać bliskości dziewczyny. Nie zaszczyił jej ani jednym słowem, czy choćby spojrzaniem.

Gdyby na nią popatrzył, dostrzegłby niechybnie, jak bardzo swą obojętnością rani jej serce.

Zauważywszy na naszym odzieniu przemieszane z kurzem drogi sadzę i popiół, Scatha domyśliła się, że przeszliśmy przez ogień. Wystąpił wówczas Alun i opowiedział zebranym o Bohaterskim Czynie z ognistą tarczą, głośno przy tym chwając odwagę Llewa.

— Szkoda, że tego nie widziałam — stwierdziła Scatha, a Kruki jej zawtórowali. A przecież, mimo wszystko, w ich głosach mało było radości.

— Zaiste, smutny to powrót do domu — rzekła Goewyn, wskazując przy tym jezioro.—Przykro mi, że zastajecie je w takim stanie.

Llew rozejrzał się dokoła.

— Gdzie jest Calbha?

— Szuka wody. Zabrał ze sobą sześciu ludzi. Nie ma ich już od czterech dni — odparła Scatha. — Nasze zapasy są na wyczerpaniu.

— Opuściliśmy crannog — niepewnie dodała Goewyn.

— Pomyśleliśmy, że tak będzie najlepiej, dopóki zaraza się nie skończy — poparła ją Scatha.

— Bez wątpienia, tak będzie najlepiej. — Na twarzy Llewa pojawił się żal, w jego oczach zabłyśły łzy. Kiedy zamrugał, łzy oderwały się od powiek i popłynęły po policzkach. Szybko otarł twarz kikutem. — Gdybym tu był... — mruknął, po czym odwrócił się plecami do miasta na wodzie.

Tak jak powiedziała Goewyn, mieszkańcy przenieśli się z crannogu do obozowiska w odległym końcu doliny, tuż poniżej górskiego grzbietu — tak daleko od jeziora, jak tylko to było możliwe. A przecież i tak odległość okazała się niewystarczająca. Zaduch umarłego jeziora połączony z palącym słońcem docierał do nas z zabójczą mocą.

Cynfarch wraz ze swym ludem stali wśród nas przejęci i zrezygnowani. Wydawało się im zapewne, iż uciekli tylko po to, aby wpakować się w jeszcze większą biedę. Przygnębiony Cynfarch wędrował niestrudzenie po obozie. Przypominał burzową chmurę, w każdej chwili gotową wybuchnąć piorunami, trzeba mu jednak

przynależ, iż trzymał język na wodzy, a uwagi pozostawił wyłącznie dla siebie.

Upłynęły dwa dni nasilających się coraz bardziej upałów. Rozdzielaliśmy wśród ludzi skromne racje wody, oczekując na wieści od Calbhy, które jednak nie nadchodziły.

Nic nie wskazywało również, aby w najbliższym czasie dane nam było wytchnienie od smrodu jeziora. Wilgoć i słońce sprzyjały rozwojowi zgnilizny, zmieniając niegdyś czystą, chłodną wodę we wstrętną, spienioną breję. Przyszli do mnie moi mabinogi, aby podjąć dalszą naukę, ale upał i zaduch okazały się silniejsze. Nawet nasz zagajnik nie dawał przed nimi schronienia, przerwałem więc lekcję, mówiąc:

— Zaczniemy naukę, gdy minie to morowe powietrze. Wracajcie do swych rodów i czyńcie, co w waszej mocy, żeby im pomóc.

Gwion wyglądał na szczególnie przygnębionego, dałem mu więc harfę ze słowami:

— Pilnuj, żeby była dobrze nastrojona, Gwionie Bach. Jeżeli chcesz w przyszłości zostać filidhem, musisz nauczyć się dbać o harfę.

— Zawezwij mnie, kiedy tylko zechcesz, penderwyddzie. W dzień czy w nocy, harfa gotowa będzie czekać na twą rękę.

Chłopak podziękował i umknął; nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wypróbuje instrument.

— To był drobiazg — rzekłem, zwracając się do Nettlesa, który towarzyszył mi w zagajniku.

— Ale ten drobiazg podniósł go na duchu — odparł, niemal bez zastanowienia dobierając słowa.

— Chciałbym przynajmniej tyle zrobić dla wszystkich mieszkańców Dinas Dwr.

W dzień zaduch śmierci przyprawiał nas o mdłości; w nocy budził płacz trawionych gorączką, spragnionych dzieci. Codziennie szykowano świeże jedzenie, lecz za każdym razem trzeba było sprzątać nietknięte porcje. Odrażające powietrze przy każdym oddechu napływało nam do ust, uniemożliwiając przełknięcie choćby małego kęsa. Upał i smród podkopywały w równej mierze siły oraz

ducha. Popadliśmy w otępienie, przytłoczeni ogromem naszej niedoli, zniechęceni własną bezradnością. Oto napotkaliśmy wroga, z którym nie można było walczyć.

O zmierzchu drugiego dnia Llew postanowił zasięgnąć mojej rady.

— Musimy coś zrobić, Tegidzie. Chodź ze mną. — Wyprowadził mnie z obozowiska do miejsca, gdzie mogliśmy rozmawiać bez obawy, że ktoś nas podsłucha. Usiedliśmy obok siebie na głazie w pobliżu okalającego dolinę grzbietu. Skała wciąż jeszcze trzymała w sobie ciepło dnia, w wieczornym powietrzu uganiały się roje czarnych much. — Calbha nie wraca, a ta odrobina wody, jaka nam jeszcze została, wkrótce się skończy.

— Po ilu dniach?

— Po trzech albo czterech, no najwyżej pięciu — jeśli będziemy mocno oszczędzać.

Duży łyk dziennie dla dorosłych i zwierząt, dwa łyki dla dzieci... Czy można było oszczędzać jeszcze bardziej?

— Nie sądzę, aby Calbha wrócił w porę — ciągnął Llew — o ile wróci w ogóle.

— Co mam zrobić?

Llew rozważał coś w milczeniu, ja zaś wsłuchałem się w bzyczenie owadów, których przybywało w miarę, jak słabł skwar dnia. Odgłos ów wydał mi się suchy i zakurzony jak wypalona na kamień ziemia.

— Nie wiem — odrzekł z rozpaczą w głosie. — Tutaj nikt nic nie poradzi. — Po chwili zaś dodał ze smutkiem: — Nie powinienem był wyjeżdżać.

Zastanowiłem się nad tymi słowami. Była w nich prawda: Llew nie powinien opuszczać Dinas Dwr. Sam go przed tym przestrzegaliśmy. Ale sposób, w jaki je wypowiedział... wzbudził we mnie niezwykle uczucie. Oto wydało mi się nagle, iż pod moimi stopami wartko płynie potężny nurt, istny wodospad ukryty pod ziemską skorupą. Zacząłem nawet wyobrażać sobie, jak owa podziemna moc przesącza się przez kamień, na którym siedziałem.

— Wiedziałeś, że to nastąpi, Tegidzie — ciągnął Llew. — Mówiłeś o kłesce. Przyznaję, miałeś rację.

— Co masz na myśli?

— Nigdy by do tego nie doszło, gdybym został na miejscu — powtórzył głucho.

Ponownie odczułem przyływ ukrytej mocy, wprawiającej w drżenie ziemię oraz powietrze wokół nas. *Nigdy by do tego nie doszło, gdybym został na miejscu...* On to wiedział! Czuł to nie gorzej ode mnie. Ale dlaczego?

Dlaczego jego obecność w Dinas Dwr miałyby wszystko zmienić? Czyżby sam Llew obdarzony był pewną władzą nad panoszącym się w kraju złem? Posiadał przecież awen Ollathira. Awen naczelnego barda Albionu mógł być potężną i skuteczną bronią — dowiódł tego, gdy przezeń natchniony wzniecił ognistą burzę. Czy to właśnie o to chodziło? A może rzecz cała polegała jeszcze na czymś innym?

— Llew, co ty powiedziałeś?

— Powiniem być cię usłuchać—rzucił markotnie.— I skończmy już z tym. Przyznałem się do błędu, ale nie zmuszaj mnie, bym powiedział to jeszcze raz.

— Chodzi mi o coś innego — zapewniłem. — Jak myślisz, dlaczego twoja obecność zapobiegłaby zatraceniu jeziora?

Poruszył się na głazie.

— Któż to wie? — powiedział ze złością. — Czego ty ode mnie chcesz?

— Powiedziane jest, iż Prawdziwy Król ma w swoim królestwie moc chronienia i zabezpieczania. Czy dlatego wydaje ci się, że twoja osoba mogłaby wszystko odmienić?

— To ty zawsze na wszystko masz gotową odpowiedź — rzucił zgrzyliwie. — Odpowiedz mi zatem na to... — Usłyszałem, jak płaśnął dłonią o swój kikut. — Jestem kaleki, Tegidzie. Nie pamiętasz?

Poderwał się na nogi i odszedł, zostawiając mnie w niewiedzy równie głębokiej jak przed naszym spotkaniem, z jednym wszakże wyjątkiem. Teraz już wiedziałem, że w zasięgu ręki spoczywa ukryta jakaś ogromna i potężna siła, podobna zamkniętemu w pochwie mieczowi, który oczekuje Dnia Zmagania. Moim zadaniem

było odkryć, w jaki sposób można zrobić z niej użytek. Gdyby mi się udało...

Ale najpierw muszę ją znaleźć.

Podciągnąłem nogi i, skrzyżowawszy je, usiadłem jak najwygodniej. Zrobiłem głęboki wdech i wydech—powtórzyłem raz... dwa... trzy — oczyszczając myśli, odsuwając na bok strach oraz niepokój, opróżniając serce z wszystkiego oprócz pragnienia przeniknięcia tajemnicy. Kiedy byłem już zupełnie spokojny, zupełnie pogodzony ze światem, uczyniłem trzy oczyszczające oddechy, po czym wyrecytowałem wezwanie:

Wszelka chwała Szybkiej Pewnej Ręce  
za oswobodzenie w potrzebie.  
Wszelka chwała Dawcy Słów  
za Trzy Filary Prawdy.  
Wszelka chwała Żywemu Światłu  
za święty ogień Mądrości!

Przybywaj, Wielki Przewodniku, i poprowadź mnie swoim szlakiem. Albowiem rozległy jest świat, a ścieżki, którymi kroczyć musi człowiek, pogmatwane. Mnie zaś tak łatwo zawieść na manowce.

Oto siedzę na moim kamieniu i tutaj pozostanę:  
Trwać będę w bezruchu, dopóki ty, Poruszający To, Co  
Nieruchome, nie przenikniesz we mnie;  
Zachowam milczenie, dopóki ty, Żywe Słowo,  
nie przemówisz do mnie;  
W ciemnościach siedzieć będę, dopóki ty, Światło Życia,  
nie oświecisz mnie.  
Obdarz mnie teraz, Hojny Darczyńco, trzema rzeczami,  
których poszukuję:  
Znajomością tego, czego nie znam;  
Mądrością, bym mógł to zrozumieć;  
Prawdą, bym mógł to właściwie rozpoznać.



Ogarnięty wewnętrznym spokojem, cichy, pełen nadziei, oparłem dłoń na kolanach i czekałem. Spokój... spokój. Nasłuchiwałem i czekałem.

Czekałem... spokój...

Powietrze, nieruchome i ciężkie niby płaszcz, na podobieństwo bursztynu zatopiło w sobie wszelkie odgłosy doliny. W niewielkiej odległości od siebie usłyszałem głosy matek kołyszących dzieci do snu. Słyszałem skowyt psa, ryk krowy, a także szczebiot jerzyków powracających do gniazd w skalnej ścianie nad moją głową. Słyszałem, jak świat pograża się w mroku i oddycha z ulgą po trudach i kłopotach mijającego dnia.

Zamknąłem uszy na te odgłosy i wsłuchałem się w samego siebie... spokój... spokój... spokój...

Usłyszałem własne serce, uderzało równo i powoli. Usłyszałem swój głos, niczym kamień opadający w studnię ciszy, moje błagania o wiedzę i mądrość odbijające się echem od głębokich czeluści.

Echo umilkło, pochłonięte przez zawrotne głębie, a jego miejsce zajął głos Ollathira, naczelnego barda, mądrego przywódcy i przyjaciela, którego teraz nie było między nami.

— Po cóż wymawiać słowo już wypowiedziane?— dopytywał się głos srogo. — Po cóż odsłaniać, co już ukazane? Po cóż głosić prawdę jako góra wyrastającą spośród was?

I właśnie wtedy, wysoko na grani, rozległ się ostry zew rogu; przeciągły ton, po którym nastąpiły dwa krótsze. Dźwięk spłynął w cichą dolinę, pomknął ponad martwym jeziorem.

Wrócił Calbha.

### 34. Zagadka i paradoks

Ludzie wylegli, aby powitać Calbhę. Pragnienie dało się im we znaki, toteż pozdrawiali go nad wyraz wylewnie. Ale krzyki i śpiewy szybko ucichły. Calbha nie przywiózł ze sobą świeżej wody, a z niewielkiego zapasu, który zabrał ze sobą, nie zostało ani kropki.

Jednakże rozczarowanie błyskawicznie ustąpiło miejsca przerażeniu, gdy opowiedział o tym, co widział po drodze.

— Meldron wtargnął do doliny od południa — oznajmił, zeskałując z siodła. — Jest po drugiej stronie grzbietu. Naliczyliśmy pięć tysięcy pieszych i dwa tysiące jazdy.

— Jak daleko są? — zapytał Llew, przeciskając się przez zdjęty nagłą grozą tłum.

— Najwyżej o dzień drogi stąd.

Nadszedł Cynan i stanął u boku Llewa.

— Czy wiedzą, że tutaj jesteśmy?

— Wiedzą. — Król Calbha mówił bez ogródek, a jego słowa raniły serca słuchaczy. — Wróg idzie śladem, jaki zostawiliście, wracając z Dun Cruach.

— Bran! — zakrzyknął Llew, wódz Kruków zaś natychmiast odpowiedział z ciżby. — Będą nam potrzebni wartownicy na górze.

— Już się robi — zapewnił Bran i pośpieszył wykonać otrzymane zadanie.

Llew ponownie zwrócił się do Calbhy.

— Czy oni cię widzieli?

— Nawet gdyby tak się stało, nie zrobiłoby to żadnej różnicy — odparł król. — Ale nie, nie widzieli nas. Przeczekałiliśmy cały dzień i przekroczyli grzbiet w ciemnościach, aby mieć pewność, że nie zobaczą nas zwiadowcy wroga. Możesz mi jednak wierzyć, Meldron nie potrzebuje zwiadowców. On wie, gdzie nas szukać.

— Natychmiast odbędziemy radę — zdecydował Llew. — Cynanie, przyprowadź Scathę...

— Jestem tutaj! — zawołała, podchodząc bliżej.

— Tegid?

— Jestem.

— To dobrze. Poproście Cynfarcha, powiedzcie, by do nas dołączył. Zaczniemy radę, jak tylko wróci Bran.

— Ja pójdę po Cynfarcha — oznajmił Cynan i szybkim krokiem ruszył w stronę obozu.

Goewyn wraz z kilkoma innym kobietami przyniosły dzbany wody dla jeźdźców.

— Jesteś utrudzony drogą — rzekła, podając naczynie Calbhie.  
- Pij.

Calbha podniósł dzban do ust, nim jednak zrobił pierwszy łyk, szybko rozejrzał się dokoła.

— Czy wody starcza dla wszystkich?

— Wystarczy dla ciebie — odparła.—Wyjechałeś dla dobra nas wszystkich. Jesteśmy ci za to wdzięczni. Pij i nabieraj sił.

Ale Calbha odmówił.

— Jeżeli nie starcza dla wszystkich, to nie starcza także i dla nas. Nie będziemy pić, gdy inni cierpią pragnienie. — Zwrócił nietknięty dzban dziewczynie.

Llew podniósł głos, tak by słyszeli go zebrani ludzie i polecił im udać się na spoczynek, a kiedy zostali już tylko ci, którzy zostać powinni, powiedział:

— Chodźcie za mną.

Minęliśmy nasze wysuszone pola, po czym wspięliśmy się stokiem do miejsca, gdzie obozowałem z Llewem, gdy po raz pierwszy przybyliśmy do Druim Vran. Llew rozniecił niewielki ogień, wokół którego rozłożyliśmy zabrane z obozowiska skóry. Wkrótce dołączyli do nas Cynan z Cynfarchem, a wówczas zasiedliśmy pospołu, oczekując przybycia Brana.

Choć nie widziałem twarzy otaczających mnie ludzi, to przecież czułem, jak między nami, cichy i zimny niczym wąż, prześlizguje się ociekający rozpaczą strach.

— Zaczynaliśmy już myśleć, że nigdy nie wrócisz — rzekł Cynan do Calbhy. Odezwał się głównie po to, by rozproszyć narastający z każdą chwilą lęk.

— Pojechaliśmy tak daleko na północ, jak tylko się dało — odparł król, rad wesprzeć swym głosem wysiłki Cynana — i znacznie dalej, niż pierwiej planowaliśmy.

— Nie mogliście natrafić na wodę?

— Ależ wody widzieliśmy pod dostatkiem! Znaleźliśmy rzeki, strumienie, jeziora i źródła... wszystkie zatrute, wszystkie martwe. — Urwał, ponieważ głos odmówił mu posłuszeństwa. — Dobrej wody nie ma już nigdzie. Ta ziemia umiera.

— Na południu wygląda tak samo — przytaknął Llew.  
— Aha, teraz rozumiem, dlaczego Cynfarch do nas dołączył.  
— Pod Dun Cruach wywieśliśmy Meldrona w pole — odezwał się Cynan, po czym opowiedział Calbhie o wyczynie z ognistą tarczą.  
— To było znakomite.

Cynfarch nie byłby sobą, gdyby przy tej okazji nie zabrał głosu.

— Gdybyście nie roztrwonili waszego bezpieczeństwa, śpiesząc nam z pomocą, Meldron nie deptałby wam po piętach. A teraz wygląda na to, że zamieniliśmy jeden grób na drugi.

— Cynfarchu — rozległ się mocny głos Scathy. — Zebraliśmy się tutaj na radę. To nie jest miejsce odpowiednie na takie gadanie.

— Doprawdy? — odrzekł król. — Jeżeli powiedziałem coś nie tak, przepraszam. Jeżeli jednak były to słowa prawdy, nie unosić się gniewem, tylko dobrze je zapamiętać.

Zapanowało między nami niezręczne milczenie, które przerwało dopiero przybycie Brana. Kiedy wódz zasiadł na swoim miejscu, Llew rzekł:

— Zostaniemy ostrzeżeni, jeśli Meldron spróbuje zaatakować o świcie i...

— Ale on wcale nie potrzebuje atakować — burknął Cynfarch.  
— Wkrótce skończy się nam woda. Pragnienie zabije nas równie skutecznie jak oszczepy Meldrona, no najwyżej nieco wolniej.

— Dowodząc siedmiotysięczną armią — wtrącił Calbha — Wielki Pies dość ma oszczepów, by zgotować nam szybki koniec.

— Siedem tysięcy... — w zamyśleniu rzucił Cynan. — Ciekawe, skąd Meldron bierze wodę dla tak wielu wojów.

Mój wewnętrzny wzrok obudził się do życia. Przed sobą zobaczyłem nie twarze mężów zebranych w kręgu rady, lecz potężną armię Meldrona wlewającą się w dolinę poza Druim Vran. Widziałem postępującą powoli linię, gęsto pokrytą łuską tarcz przytwierdzonych do pleców wojowników, połyskującą złowieszczo niczym jadowity wąż. Widziałem jak słońce odbija się czerwienią w ich oczach, a parzące światło dnia płonie na buklach tarcz i ostrzach mieczy. Widziałem kolumny pyłu wzbijające się do góry spod końskich kopyt oraz stóp pieszych.

Zobaczyłem niebo, czarne i ponure, zasnute dymem tam, gdzie przeszedł Wielki Pies; z rzadka przecinały je błyskawice, rozdzierające nieboskłon na postrzępione kawałki. Zobaczyłem, jak ginie ziemia spowita owym mrocznym cieniem, którego nadciągające forpocztły były coraz bliżej wyniosłej ściany Druim Vran.

— Nie możemy siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż zmoże nas pragnienie — stwierdził Llew. — Musimy walczyć, dopóki mamy pod dostatkiem sił.

— Walczyć? — spytał Cynfarch z drwiną w głosie. — Przecież on ma siedem tysięcy zbrojnych! Nawet jeśli przeżyjemy starcie z tak potężnym wrogiem, zabije nas brak wody.

— Twymi ustami przemawia strach, Cynfarchu — zimno zauważył Bran. — Llew, powiedz, co mamy zrobić.

Było rzeczą słuszną, że Bran okazywał Llewowi szacunek. Zresztą nie było w tym nic nowego, zawsze postępował w ten sposób. Teraz jednak, wsłuchując się w jego słowa, ponownie usłyszałem głos Ollathira: — Po cóż odsłaniać, co już ukazane?

Tak oto rozpoczęła się rada. Rozmawialiśmy do późna w nocy. Przyniesiono wieczerzę. Zjedliśmy, ale suchy, twardy chleb z trudem przechodził przez gardło, jako że nie dostaliśmy wody do popicia. Przy świetle księżycy wymiana zdań stała się ostrzejsza. Głosy rozbrzmiewały z większą mocą, częściej dochodziło do sprzeczek. Nie pamiętam ani słowa z tamtej dyskusji, albowiem dostrzegłem coś, co zaprzątnęło mój umysł bez reszty, odsuwając na bok wszelkie inne sprawy: kształt wyrastającej spomiędzy nas góry.

Wodzowie snuli swoje rozważania, zaś przez moją głowę przewijały się obrazy z przeszłości, kiedy to jeszcze żył Ollathir, a Meldryn Mawr był królem. Ujrzałem go na tronie w hali; oblicze jaśniejące nie mniej niż spoczywający na jego szyi torques... ciemne oczy przepatrujące zebrany przed tronem tłum. Pewny siebie i mądry, rozpraszał mrok swoją obecnością... lśnił blaskiem równie jasnym, co wieńcząca jego szlachetne czoło korona... Wielki Złoty Król, Pan i Obrońca swego ludu.

Zobaczyłem też Ollathira, naczelnego barda, wspaniałego w swym szkarłatnym płaszczu i torquesie ze złota... Mistrza pośród bardów,

Wojownika Prawdy, dumnego, pełnego powagi oraz mądrości, trzymającego w silnych dłoniach jarzębinową laskę penderwydda... w czynach swych nieugiętego i prawego... Pana Oświeconych, godnego zaufania Sługę Najwyższej Władzy.

I zobaczyłem piękny Prydain, taki jaki był przed spustoszeniem, zielony klejnot lśniący pod promiennymi niebiosami, a także Sycharth, górującą dumnie ponad równiną, wzniesioną na cyplu, skąd roztaczał się widok na brzemienne ziarnem pola, jak i na wiecznie zmieniające swe oblicze morze... Warownie panów, ozłocone wschodami oraz zachodami słońca... Wysokie obwałowania z ziemi i drewna... Przepastne bory, rozpędzone strumienie i stateczne rzeki... Prydain. Najwspanialsze z królestw, niepokonana siedziba najpotężniejszego króla.

Meldryn Mawr, Wielki Złoty Król... Ollathir, Książę Bardów... Prydain, Twierdza Śmiałych Królów... te trzy elementy złączone ze sobą... złączone.

Dlaczego akurat te trzy? Co miałem wynieść z tej wizji?

Przeniknięcie do sedna zagadki wymagało bystrzejszego niż mój umysłu. A tymczasem nasi wrogowie gromadzili się za chroniącym nas górskim grzbietem. Jeżeli odpowiedź miała kiedykolwiek nadejść, musiała nadejść szybko. Meldron nie będzie zwlekać ze zwycięstwem.

Rada wojenna ciągnęła się bez końca, ja zaś miałem głowę zaprzątniętą bez reszty myślami o tym, co zobaczyłem. Myśli płątały się, goniły z szaloną szybkością. Nie mogłem dłużej spokojnie siedzieć. Moje serce płonęło, ostre głosy wodzów drażniły i przeszkadzały. Wstałem i niepostrzeżenie opuściłem krąg zebranych.

Niech sobie gadają, myślałem. Wróg nadciąga — muszę coś zrobić.

Nie miałem na razie pojęcia, co też mogłoby to być. Zaczęłem chodzić. Pozwoliłem, by stopy zaprowadziły mnie, gdzie im się żywnie podoba. Postukując laską, minąłem obrzeża obozowiska, a ścieżka powiodła mnie dalej.

Stukot laski obudził jednego ze śpiących, który dzwignął się na nogi i dołączył do mnie. Rozpoznałem w nim Nettlesa. Nettles nie

wyrzekł ani słowa, tylko w milczeniu przemierzał nocne ścieżki, trzymając się o krok z tyłu. Od czasu ucieczki z Dun Cruach jego obecność przestała mi przeszkadzać. Przystanąłem.

— Chodź, pospacerujemy razem.

Ku memu zaskoczeniu odrzekł:

— *Mo bodlon, do.*

Jego mowa ulegała poprawie z dnia na dzień, w czym zresztą nie było niczego dziwnego, jako że Nettles pracował nad nią niestrudzenie. Skinąłem głową i podjąłem wędrówkę, a obcy szedł u mego boku. Przez jakiś czas obaj zachowywaliśmy milczenie.

— *Mae trafferthu?* — zapytał w końcu.

— Tak, mamy wielki kłopot.

Ruszyliśmy dalej i stało się tak, że nie wiedzieć kiedy zacząłem mu opowiadać o dręczącej mnie tajemnicy. Nie wiedziałem, ile zrozumiał z mych słów i — prawdę mówiąc — nic mnie to nie obchodziło. Potrzebowałem kogoś, kto by mnie wysłuchał.

— Kiedy Niegodziwy uciekł z więzienia w Podziemnym Świecie, dokąd skierował swe kroki? — spytałem. — Kiedy Nudd, książe Uffern i Annwn, król Coranyid, przybył, aby zniszczyć królestwa tego świata, gdzie uderzył najpierw?

Stąpający obok Nettles nie kwapił się z odpowiedzią, więc odpowiedziałem sam.

— Zaczął od Sycharth, głównej warowni wielkiego królestwa Prydainu. To jest...

— Aha — wtrącił Nettles — Prydain!

Po raz kolejny uświadomiłem sobie, jak szybko pracował jego umysł. Snułem rozważania, on zaś próbował w tym czasie zapamiętać jak najwięcej słów. Uświadomiwszy to sobie, zacząłem mówić wolno i wyraźnie, by mógł łatwiej wychwycić interesujące go zwroty.

— To właśnie Prydain ściągnął na siebie gniew straszego Nudda, ale dopiero wówczas, gdy króla podstępnie wywabiono z jego siedziby. To Prydain został splądrowany przez Hordę Demonów, ale dopiero wówczas, gdy król został zmuszony do ucieczki.

Pytam więc: kogo ścigał Nudd w swej lodowatej nienawiści? Kto wytrzymał okrutne ciosy starożytnego wroga Albionu?

Odpowiem ci: Meldryn Mawr. Władca Wiecznej Nocy wybrał Wielkiego Złotego Króla na cel swej straszliwej nienawiści. To Meldryn Mawr, książę Prydainu, Pan Llwyddi stawiał czoło bezlitosnemu atakowi wroga.

Tak, pomyślałem, król Prydainu stawiał czoło atakowi, ba — przeżył go i na koniec zatriumfował.

— Za daleko wybiegam naprzód — powiedziałem Nettlesowi, który cierpliwie dreptał obok. — Zanim do tego wszystkiego doszło — jeszcze przed upadkiem Prydainu, przed ucieczką Meldryna, przed najazdem Nudda i jego odrażających Coranyd — pojawił się Cythrawl.

— Cythrawl — jak echo powtórzył Nettles. — *Hen Gelyn*.

— Tak. Starożytny wróg. A kogóż ten Potwór Podziemi zapragnął zniszczyć w pierwszej kolejności? Ollathira, naczelnego barda Albionu... Ollathira.

— Penderwydd Ollathir — mruknął Nettles.

— Naczelny bard Ollathir, tak, tak. Miał pod pieczę najwyższą władzę Prydainu! Tylko Ollathir wiedział, gdzie mieszka Phantarch!

Znowu stanąłem przed tą trójką: władcą, królestwem i bardem. A przecież było tyle innych trójek — innych królów, innych królestw, innych bardów — wiele, wiele innych. Dlaczego akurat ta?

— Na tym właśnie polega tajemnica, mój przyjacielu — wyszeptałem. — Dlaczego ta trójka?

Dumałem nad tym jeszcze przez chwilę i oto zaświtała mi myśl, że przecież ja znam odpowiedź — słowo już wypowiedziane: Pieśń Albionu. Zacząłem więc tłumaczyć Nettlesowi jak to było z Phantarchem, a w trakcie wyjaśnień sam również lepiej ogarnąłem całość.

— Dlaczego ta trójka?—powtórzyłem. — Powiem ci dlaczego: ponieważ to ona podtrzymywała Pieśń Albionu!

— *Danaid Alba* — miękko powiedział Nettles.

Przystanąłem. Ile ten obcy pojmował z mych słów? Skąd czerpał swą wiedzę?

— Pieśń Albionu, tak, to właśnie ją pragnęły zniszczyć Zastępy Ciemności. Dopóki bowiem Pieśń istnieje, nie mogą odnieść zwycięstwa. To dlatego spustoszyły Prydain. To dlatego zaatakowały



Prawdziwego Króla w jego królestwie — zaatakowały istotę Najwyższej Władzy.

— *Aird Righ?*

Zrozumiałem wprawdzie pytanie, ale świadczyło ono o tym, że Nettles nieco opacznie pojął moje słowa.

— Nie, nie Najwyższy Król — odparłem. — Prawdziwy Król, rozumiesz?

— *Aird Righ!* — powtórzył, tym razem bardziej dobitnie. Skłonił mnie tym do zastanowienia.

— Zaczekaj — powiedziałem. — Daj mi pomyśleć.

Najwyższa Władza... obecność Prawdziwego Króla... któż jeszcze mógłby podtrzymywać Pieśń, jeśli nie Prawdziwy Król? A czy mógłby ten król być zarazem Królem Najwyższym?

— Jakże to możliwe, by Meldryn Mawr był Najwyższym Królem, zupełnie o tym nie wiedząc? To jest niemożliwe — odrzekłem sam sobie. — Nie, coś takiego jest zupełnie niemożliwe!

Nettles trwał w milczeniu; czułem na sobie jego wzrok, baczny, naglący. Co on wiedział?

— Na pewno nie *Aird Righ* — powtórzyłem. Zawróciłem na pięcie, lecz nie uszedłszy trzech kroków, stanąłem jak rażony gromem. Może Meldrynowi Mawrowi wcale nie brakowało wiedzy o rodzaju sprawowanej przezeń królewskiej władzy? Może to tylko ja żyłem w zupełnej nieświadomości! Meldryn Mawr wraz z Ollathirem mogli mieć dość powodów, by zachować to w tajemnicy — podobnie jak ukryli Phantarcha głęboko w sercu skały twierdzy Findargad, aby ochronić Pieśń.

Myśl ta uderzyła mnie z siłą ciosu. Zachwiałem się na tyle mocno, że Nettles podskoczył, aby mnie podtrzymać. Ślepy! Byłem nie tylko ślepy, ale i nieświadomy, i owa nieznanomość rzeczy była znacznie od ślepoty gorsza.

— Prydain, Meldryn Mawr, Ollathir — rzekłem powoli, tak aby Nettles mógł nadążyć za biegiem moich myśli — w tych trzech elementach zawierała się istota Albionu.

A teraz te trzy linie zbiegały się w jednej osobie: w Llewie.

Serce w mej piersi zaczęło bić szybciej, czułem się jak myśliwy, który nareszcie dojrzał swą zdobycz.

— To Llew jest środkiem wszystkiego — oznajmiłem. — *Llew* — tak oto brzmi słowo już wypowiedziane. *Llew* jest górą wyrastającą spomiędzy nas.

— Llew — przytaknął Nettles.

— Tak, mój mądry przyjacielu, to Llew. — Ochoczo ruszyłem z miejsca, tak że Nettles musiał wyciągać nogi, żeby dotrzymać mi kroku. — Llew posiada awen penderwydda, albowiem był z Ollathirem w chwili jego śmierci, a naczelny bard tchnął weń swój awen wraz z ostatnim oddechem. Llew dzierży również królewską władzę Meldryna Mawra, ponieważ teraz ja jestem naczelnym bardem Albionu i to ja mu tę władzę przekazałem. Llew odwiedził także uświęcone miejsca Prydainu: przebył Mor Cylch w Sercu Serc, jak również dwakroć stawał w obronie kamiennego słupa Prydainu na Białej Skale i uświęcił go własną krwią!

Moja myśl pomknęła tym tropem z szybkością zmierzającej do celu włóczni. W osobie Llewa zbiegały się trzy drogi, Llew był węzłem łączącym wszystko w całość. Był naczyniem, w którym zgromadzono całą esencję Albionu.

Ale naczynie był zniszczone, zniekształcone. Llew nie mógł sprawować danej mu królewskiej władzy. I tu właśnie kryło się jądro tajemnicy:

Król i nie król, bard i nie bard, Llew rządził — odmawiając zarazem rządzenia — plemieniem, które było w istocie nie plemieniem, lecz zbieraniną przeróżnych klanów, tworząc królestwo, które królestwem w ogóle nie było. Oto i cały paradoks. Jeżeli krył się w tym jakiś sens, zupełnie nie mogłem go dostrzec.

A jednak, dzięki niewinnej pomyłce Nettlesa, w mojej głowie zakiełkowała całkiem nowa myśl: królestwo Prydainu istotnie mogło być Najwyższym Królestwem Albionu.

Zagadka i paradoks. Cóż to mogło znaczyć? Jeszcze nie wiedziałem, wiedziałem natomiast, nad czym będę rozmyślać w ciągu najbliższych dni.

Odprawiłem Nettlesa na spoczynek, pragnąc w samotności rozważyć skutki dopiero co dokonanego odkrycia. Przemierzałem dolinę niczym gnane niepokojem zwierzę, aż w końcu stopy zawiodły mnie na ścieżkę biegnącą ku martwemu jezioru. Skierowałem się w stronę wody i wkrótce wyszedłem na brzeg. Smród, jaki tam panował, przyprawiał o mdłości, zmusiłem się jednak do przechadzki wzdłuż brzegu. Nie trwała ona długo, gdyż wnet wyczułem, że nad wodą pojawił się jeszcze ktoś.

— Kto to? Kto tu jest?

Odpowiedziało mi łkanie.

— Tegidzie...

— Goewyn?

Podszedłem bliżej, kierując się w stronę, skąd dobiegał jej płacz. Goewyn padła w me ramiona, przytuliła do piersi twarz ukrytą w dłoniach. — Dlaczego płaczesz? Co się stało?

— Gwenllian... — usłyszałem jej niewyraźny głos. Poczuliem, że unosi głowę. — Widziałam ją, Tegidzie. Widziałam Gwenllian... we śnie. Ona przyszła do mnie we śnie.

— Aha — mruknąłem uspokajająco. — Rozumiem.

Odskoczyła ode mnie.

— Ja ją widziałam! Rozmawiała ze mną. Gwenllian do mnie przemówiła.

— I co ci powiedziała?

Goewyn ucichła i ciągle łkając zaczerpnęła głęboko tchu.

— Tego właśnie nie rozumiem.

— Opowiedz.

Wsunąwszy mi ramię pod łokieć, dziewczyna poprowadziła mnie w drugą stronę, brzegiem ciemnego, ropiejącego jeziora. Po chwili milczenia powiedziała:

— Chciałam zaczekać na zakończenie rady... żeby usłyszeć, co zdecydowano. Ale zmęczenie wzięło górę. Głowa zaczęła mi ciężać, powieki same opadały. Postanowiłam odpocząć przez chwilę, no i usnęłam, gdy tylko się położyłam.

Przez sen usłyszałam dziwny odgłos, zupełnie jak gdyby nad moją głową zatrzepotały ptasie skrzydła. Ten dźwięk mnie obudził...

to znaczy, obudził mnie we śnie. Wiedziałam, że śpię, i że jest to dalszy ciąg mego snu.

— Znam taki rodzaj snu — wtrąciłem. — Co zobaczyłaś?

— Zobaczyłam jezioro — jej głos stał się odległy, gdyż ponownie wkroczyła do swego snu, tym razem we wspomnieniach. — Zobaczyłam je takie, jakie jest teraz — plugawe i cuchnące. Zobaczyłam gęstą od brudu wodę. Na brzegu ktoś stała... jakaś kobieta... cała w bieli. Jak tylko ją spostrzegłam, wiedziałam, że to Gwenllian. Podbiegłam i uściśkałam ją. Tegidzie, ona żyła! Jakże byłam szczęśliwa!

Nie odpowiadałem, więc po chwili podjęła opowieść.

— Wtedy Gwenllian przemówiła. Usłyszałam jej głos. Wydawała się pogodzona z losem, ba — wyglądała na zadowoloną. Jej twarz promieniowała spokojem i szczęściem. — Goewyn umilkła, poruszona mocą tej wizji.

— Co ci powiedziała?

— Powiedziała, żebym pamiętała o prorocztwie. Mówiła, że to bardzo ważne. Mówiła, że tamta wizja była prawdziwa, i że się spełni. — Goewyn w podnieceniu zacisnęła dłoń na moim ramieniu. — Mówiła, że nastał Dzień Zmagań, ale Szybka Pewna Ręka jest z *Gwr Gwir*.

— Jesteś pewna? *Gwr Gwir*, tak właśnie powiedziała?

— Tak, ale nie wiem, co to znaczy. *Gwir* — „prawda”? Kim są Mężowie Prawdy?

Wolno pokręciłem głową.

— Nie mam pojęcia. Chyba że Mężami Prawdy są wszyscy, którzy przeciwstawiają się Meldronowi.

Termin ten pochodził z prorocztwa, jakie Gwenllian wyjawiała Llewowi po Bohaterskim Czynie na Ynys Bainail; w pojedynkę stawił tam czoło Cythrawlowi, w pojedynkę też wysłuchał proroczych słów. Nad ich sensem głowiłem się niejedną raz, powtarzając w myślach poszczególne zdania, kłócąc się z Llewem o ich znaczenie.

— Czy powiedziała coś jeszcze?

Goewyn namyślała się przez chwilę, po czym, starannie ważąc słowa, głosem niższym do szeptu rzekła:

— Tak. Powiedziała... „Nie bój się. W wodzie jest uzdrowienie”.

### 35. Gwr Gwir

— Powtórz to, Goewyn. Co ci powiedziała Gwenllian?

— Wyciągnęła rękę, a kiedy spojrzałam we wskazanym kierunku, zobaczyłam jezioro. Gwenllian wtedy powiedziała: „Nie bój się. W wodzie jest uzdrowienie”. A potem... — Głośno pociągnęła nosem.

— Tak? Co było potem?

— Obudziłam się. Pośpieszyłam tutaj — biegłam przez całą drogę... — znowu zaczęła płakać. — Myślałam, że może Gwenllian będzie nad jeziorem. Wydawała się taka prawdziwa. Pomyślałam, że do nas wróciła... że ją tutaj znajdę.

— Czy powiedziała jeszcze coś? Zastanów się dobrze.

Podbródek Goewyn zaczął drżeć. Wolno pokręciła głową.

— Nie — powiedziała cicho. — Ani słowa. Och, Tegidzie... Tegidzie, ja ją widziałam.

Wyciągnąłem przed siebie ręce, położyłem je na ramionach Goewyn, przyciągnąłem ją bliżej. Przez chwilę staliśmy w milczeniu, po czym dziewczyna wyprostowała się i uwolniła z mych objęć. Otarłszy z twarzy łzy, odeszła, pozostawiając mnie sam na sam ze znaczeniem swego snu.

Tej nocy już nie zmrużyłem oka. Chodziłem brzegiem zatrutego jeziora, wciągałem w nozdrza jego odór. W głowie huczało mi od myśli; rozmowy z Nettlesem i Goewyn bez reszty zburzyły mój spokój. Z każdym krokiem wyczuwałem, jak tuż za ścianami tego świata coraz szybciej dojrzewa jakiś straszliwy cel — nieubłagany, nieugięty. Czulem to, lecz nie rozumiałem.

Wojownicy zebrali się przed świtem. Przygotowania rozpoczęto w nocy i wraz z nastaniem dnia wszystko było gotowe. Róg przywołał ich do siebie, a wówczas mrok ustąpił sprzed moich oczu, odsłaniając naszykowane szeregi. Wojownicy stali w bojowym rynsztun-

ku, dzielni i silni, podobni gęstwinie wysokich dębów. Czekali, aż wywołają ich ustawieni przed frontem wodzowie.

Scatha o zielonych oczach, która jasne włosy związała w węzeł i ukryła pod lśniącym hełmem, wybierała pierwsza. Miała na sobie skórzany kaftan z ponaszywanymi ciasno brązowymi kólkami, a dla ochrony ramienia wybrała małą, okrągłą tarczę. Drugą ręką uniosła do góry białą włócznię. Do drzewca, tuż poniżej wykonanego w kształcie liścia grotu, przywiązała trzy skrawki materii: dwa czarne i jeden biały. To były *meirwon cofeb* — symbole upamiętniające jej córki, dla których będzie dziś walczyć, których śmierć i pohańbienie dzisiaj pomści. Czystym głosem zaczęła wywoływać imiona wojowników, mających dostąpić zaszczytu towarzyszenia jej w boju.

Rada wybrała Pen-y-Cat na naczelnego wodza. Niedościęgnięta w wojennym kunście, niezrównana w trafności osądu, była najstraszliwszym z napastników, najprzebieglejszym z wodzów. Jej szkołę przeszły niezliczone rzesze wojowników i choć wielu z nich zdobyło wielkość i sławę, żaden z nich nigdy nie przewyższył swej mistrzyni. Teraz Scatha wybrała zaledwie pięćdziesięciu.

Następny wybierał Bran Bresal, dąb pomiędzy dębami. Ciemne włosy miał splecione w lśniące warkoczyki, lewe ramię przyozdobił złotą bransoletą, torques, także złoty, połyskiwał na jego szyi. Podniósł wysoko włócznię o pomalowanym na czerwono drzewcu. Na ten znak z tłumy zbrojnych wystąpili Kruki: Niall, Garanaw, Alun Tringad, Drustwn oraz Emyr Lydaw. Tak jak ich wódz, nie mieli na sobie płaszczów, koszul, spodni ani pasów. Na podobieństwo sławionych w pieśniach herosów, Kruki szli do boju nadzy, a ich naoliwione ciała mocno lśniły w słońcu.

Każdy z wywołanych, podszedłszy bliżej, salutował poprzez uderzenie drzewcem włóczni w skraj tarczy Brana bądź też poklepując go po wytatuowanym na prawym ramieniu wizerunku kruka.

Bran wybrał także wojowników z innych klanów do swego Stada Kruków, a kiedy skończył, prawo wyboru przeszło na następnego.

Tym następnym okazał się Cynan, którego błękitne oczy płonęły niecierpliwością. Stał z podniesioną ręką, z dłonią zaciśniętą na

główni ostrego miecza. Przystrzygł krótko swe ognistorude włosy i dodatkowo natarł je tłuszczem, by gładko przylegały do głowy, natomiast wąsy i brodę wyszczotkował. Przywołał wojów ze swej drużyny, a także innych znanych sobie. Potem odwrócił się i spojrzął na ojca, króla Cynfarcha, ten zaś z zadowoleniem pokiwał głową. Cynan był naznaczonym przez ojca wodzem, jednakże królowi przysługiwało prawo zatwierdzenia wyboru. Gdy tylko dopełniono tego obyczaju, do głosu doszedł następny z wodzów.

Król Calbha, przyozdobiony mnóstwem złota, z potężnym mieczem u pasa, wbił w ziemię pomalowaną na niebiesko włócznię, po czym wsparł się oburącz na drzewcu. Głosem dźwięcznym jak żelazo przywołał swoich Cruin. Kazał im stawać dziesiątkami, a kiedy drużyna była już gotowa, miał za sobą trzy pięćdziesiątki chłopca.

Llew, odziany prosto, w spodniach ze skórzanym pasem, podniósł się z głazu, na którym siedział. W zdrowym ręku dzierzył miecz, a długa tarcza na drugim ramieniu skrywała jego kalectwo. Podniesionym głosem wezwał pozostałych wojowników. Wielu puściło się biegiem, a nie było ani jednego, który by ociągał się z ofiarowaniem swej służby. Każdy podchodził i uderzał drzewcem włóczni w kraj tarczy Llewa, a hałas, jaki się przy tym podniósł, przypominał huk gromu. Gdy zebrał ich wszystkich, naliczyłem trzykroć po trzydziestu i trzech — na pamiątkę pomordowanych bardów Prydainu.

Llew wzniosł swój miecz wysoko i natychmiast rozległo się trąbienie. Wysoko na skałach zobaczyłem Rhoedda z przytkniętym do ust wielkim, zakrzywionym bojowym rogiem. Dźwięk rozcinał powietrze, napełniał dolinę, powracał echem odbitym od skalnych ścian. Rhoedd zadął jeszcze raz i, na ten znak, Stado Kruków rzuciło się do biegu. Za nimi pośpieszyły drużyny Scathy, Cynana i Calbhy, ostatnie zaś wyruszyły potrójne szeregi Llewa. Ujawszy mocniej łaskę, poszedłem w ślad za naszym wojskiem i rozpocząłem wspinaczkę na grzbiet Druim Vran.

Z obozowiska wylegli ludzie, aby nas pożegnać. Stali wzdłuż ścieżki, dodając otuchy odchodzącym wojownikom. Na samym przedzie spostrzegłem Goewyn. Wymachiwała gałązką brzozy,

a u jej boku stał Nettles i wywijiał witką ostrokrzewu; brzoza i ostrokrzew, bliźniacze symbole siły oraz męstwa w języku bardów.

Światło wczesnego ranka ukazało mi nasze oddziały pełne odwagi i gotowe na starcie z wrogiem. Ujrzałem dzielnych mężów śpieszących na spotkanie śmierci: Gwr Gwir pałających chęcią walki. Gdy mnie mijali, podniosłem laskę, prosząc Szybką Pewną Rękę, aby wspierał ich w boju; błagałem Dobrego-Mądrego, aby kierował ich krokami; przekonywałem Hojnego Darczyńcę, aby obdarzył ich zwycięstwem.

Siły Meldrona wielokrotnie nas przewyższały. Wiedzieliśmy o tym dobrze. Ale nasi wodzowie starannie szacowali ryzyko i doszli do wniosku, że jeśli chcemy mieć jakiegokolwiek szanse w walce z tak potężnym wrogiem, musimy działać szybko. Nasze zapasy wody kurczyły się błyskawicznie; nie mogliśmy pozwolić, by dodatkowo osłabiło nas pragnienie. Chcąc zachować jakiegokolwiek szanse na przeżycie, musieliśmy uderzyć natychmiast — zanim Meldron rozwinie swoje wojska w dolinie.

Rada podjęła decyzję o ataku. Gdyby udało nam się zabić Meldrona i jego Wilczą Sforę, reszta armii zapewne zaniechałaby walki: odrąb głowę, a żmija umrze. Wówczas moglibyśmy wysłać okręty po wodę, na najbliższą wyspę na północy. Przypuszczaliśmy bowiem, że trucizna nie wylała się jeszcze poza brzegi Caledonu.

Drużyny osiągnęły górski grzbiet i zajęły na nim pozycje. Kiedy tam dotarłem, wojownicy zalegli wzdłuż Druim Vran, a ich wodzowie odbywali właśnie naradę.

Mieliśmy się wstrzymać z atakiem, dopóki Scatha nie oceni sił i ustawienia wroga. Chciała zobaczyć Meldrona, przekonać się, jakie ma zamiary i dopiero wówczas odpowiednio rozmieścić nasze oddziały. Prawdę powiedziawszy, nawet gdyby wypatrzyła jakąś słabość w Meldronowych pozycjach, to i tak liczebność armii z nawiązką ją wyrównywała. Wojska Wielkiego Psa wlewały się w dolinę po obu brzegach rzeki, tysiąc za tysiącem.

Gdy podszedłem do Llewa, ten wolno potrząsnął głową.

— Nigdy nie wyobrażałem sobie... — Bran stał na lewo od niego, miał ponury wzrok i mocno zaciśnięte usta.



— Pies Prydainu osiągnął więcej, niż kazały mu własne rozdęte ambicje — zauważyłem. — Wspiął się wysoko po ciałach zabitych i zniewolonych.

— Tym dłuższy będzie jego upadek — stwierdził Bran. — Poczytam sobie za zaszczyt, jeżeli przyczynię się do klęski, na którą tak bardzo zasługuje.

Trwaliśmy w bezczynności, oczekując powrotu Scathy. Ponieważ z góry nie udało się nam wypatrzeć ani Meldrona, ani członków jego Wilczej Sfory, wraz z Cynanem zeszła niżej, żeby rozeznaczyć wszystko z bliska. Kiedy już wróci z wieściami, zapadną ostatecznie decyzje co do wydania walnej bitwy.

Przyszło nam czekać niezmiernie długo. W miarę jak mijał poranek, słońce pięło się coraz wyżej po zakurzonym, brązowym niebie, zsyłając na nas z góry trudny do zniesienia żar. Bezczynność męczyła ludzi, budziła senność i pragnienie. Wypiliśmyienne racje wody i z niepokojem śledziliśmy niestrudzenie wędrującą do góry ognistą kulę. Dołączył do nas Calbha, by wspólnie obserwować to, co się działo w dolinie. Dym z ognisk, przy których wróg warzył strawę, zasnuł wszystko szarobiałą mgiełką, skłębioną w oddali niczym morskie fale.

— Oni są jak ocean — powiedział cicho Calbha — my zaś jak na wpół wyschnięty górski strumyk.

Scatha zjawiała się dopiero koło południa, a to, co miała do powiedzenia, nie napawało otuchą: do doliny nieustannie przybywały nowe rzesze wojowników.

— Meldron jeszcze nie dołączył do swojej armii — zameldowała. — Być może właśnie teraz wkracza do doliny, myśmy w każdym razie go nie widzieli.

— Hufce nie są naszykowane do ataku — dodał Cynan. — Chyba na coś czekają.

— Bez wątpienia na Meldrona — stwierdził Llew. — Jeżeli w istocie go nie ma, to może nie powinniśmy zwlekać.

Cynan posłał mu pełne powątpiewania spojrzenie, po czym wrzucił ramionami.

— Wolałbym bić się z Wielkim Psem niż z jego szczeniakami, ale nie możemy dłużej siedzieć z założonymi rękami. Zaczynamy.

Llew spojrział na Scathę.

— Co ty na to, Pen-y-Cat?

Naczelný wódz wstał z miejsca. — Nie sádję, żeby dali się zupełnie zaskoczyć, w ich szeregach panuje jednak bałagan i są nieprzygotowani. Bez Meldrona mogą się szybko zniechęcić. Tak, zaatakujemy.

Bran, Cynan i Calbha również wyrazili zgodę, po czym pośpieszyli do swych drużyn.

— Tak więc — rzekł Llew, wpychając kikut w rzemienie tarczy — wreszcie do tego doszło. Czy wesprzesz nas w walce?

— Po co pytasz? Przecież wiesz, że tak.

Oparł miecz o udo i uściśnął mnie zdrową ręką.

— Żegnaj, Tegidzie.

— Niechaj ci się szczęści, bracie — rzekłem, odwzajemniając uścisk.

Zaraz potem odszedł, by stanąć na czele swej drużyny. W milczeniu dał znak mieczem i wojownicy zaczęli schodzić z grzbietu w głąb doliny. Wkrótce zniknęli pośród drzew, a mój wewnętrzny wzrok nie śledził ich dłużej. Ruszyłem grzbietem Druim Vran i zatrzymałem się dopiero wówczas, gdy natrafiłem na występ skalny, dostatecznie duży, bym mógł się na nim pomieścić i wysunięty na tyle, by widać mnie było z dna doliny. Wdrapałem się nań, po czym przykucnąłem w oczekiwaniu na rozpoczęcie bitwy.

Zamglone, posępne słońce zalewało dolinę białym żarem. Płynąca nią rzeka przypominała pełen chorobliwych wyziewów, czarny ściek, wypełniony gęstą breją, na powierzchni której unosiła się piana zgnilizny. Przyjrawszy się uważniej, stwierdziłem, iż koryto rzeki stanowiło w chwili obecnej naturalną barierę. W normalnych okolicznościach byłaby to przeszkoda mało znacząca, lecz teraz — jak stwierdziłem — wróg trzymał się w znacznej odległości od brzegów. Wzdłuż całej długości gnijącego ciekłu podchodzono do rzeki z wyraźną ostrożnością. Nikt nie gasił w niej pragnienia, nikt nie próbował przejść na drugą stronę.

Skierowałem mój wewnętrzny wzrok dalej, usiłując na rozległym dnie dojrzeć choćby kawałek wolnego miejsca. Na próżno. Całą

ziemię bez reszty wypełniała wraza armia, a przez wąski wylot wciąż napływali nowi wojownicy. Czy Albion oglądał kiedykolwiek taką potęgę?

Nie, nigdy. Siedziałem na mojej skale i chłonałem w zdumieniu rozpościerający się w dole widok. Ani za czasów Nameda, ani nawet Nuadha nie oglądano takiej armii. Potok koni i ludzi zdawał się nie mieć końca. Włócznie wojowników sterczały jedna przy drugiej na podobieństwo jesionowego lasu; w promieniach okrutnego słońca ich miecze połyskiwały niczym rozświetlona morska toń, a ich tarcze liczniejsze były niżli muszle rozsiane na nadmorskiej plaży.

Scatha, Mądry Wódz Naczelny, zrezygnowała z użycia koni — posunięcie roztropne, aczkolwiek w znacznej mierze podyktowane rozpaczą. Co prawda wierzchowce dodałyby siły naszemu natarciu w początkowej jego fazie, ale później ułatwiłyby wrogowi rozpoznanie, otoczenie i zduszenie naszych oddziałów. Nasz plan przewidywał przeniknięcie głęboko w szeregi przeciwnika, a następnie odnalezienie i usunięcie Meldrona. Zadanie to łatwiej mogło zostać wykonane przez pieszych, którzy w bitewnym zamieszaniu mieli większe szanse, by niepostrzeżenie prześliznąć się między walczącymi.

Skupiłem uwagę na podnóżu stromego zbocza, gdzie oznaki ataku pojawiają się najwcześniej. Scatha zakazała również używać rogów.

— Nasze uderzenie i tak zostanie wcześniej odkryte — tłumaczyła — ale może zdołamy przeniknąć do serca Meldronowych wojsk, zanim ci na drugim brzegu w ogóle połąpią się, że to początek bitwy.

W tym właśnie pokładaliśmy naszą nikłą nadzieję: zając i utrzymać środek. Wróg, chcąc nas osiągnąć, musiałby przebijać się przez własne hufce. Bylibyśmy otoczeni, to prawda, ale biorąc pod uwagę liczebność przeciwnika, otoczenie było nieuniknione w każdych okolicznościach. Opanowując środek, zawęzilibyśmy przynajmniej pole bitwy, unikając zarazem rozproszenia naszych sił.

Jak już wspomniałem, była to taktyka zrodzona z desperacji. Ale teraz, patrząc na masy obozującego pode mną wojska, uświadomi-

lem sobie ponad wszelką wątpliwość całkowitą beznadziejność naszego położenia. Nie mieliśmy co liczyć na pokonanie Meldrona. W najlepszym razie, mogliśmy jedynie... co? Spowolnić jego atak? Opóźnić nieuniknione zwycięstwo?

Calbha miał rację, byliśmy zaledwie strumykiem sączącym się ze wzgórza, podczas gdy armia Wielkiego Psa rozpościerała się szeroko i głęboko niczym morski przestwór. Kiedy tylko bitwa się rozpocznie, morskie fale przykryją nas i pochłoną bez śladu.

W górze rozległo się krakanie przelatującego nad górskim grzbieciem kruka. Zwróciłem ku niemu niewidzące oczy i zostałem obdarowany wizją czarnych skrzydeł szybujących na tle brudnożółtego nieba.

Odróciłem się i w tym samym momencie w moich uszach zadźwięczał cichy jak westchnienie głos Gwenllian. Banfaith powiedziała:

Niech słońce będzie przyćmione jak bursztyn, niech księżyc skryje swoje oblicze: odraza kroczy po ziemi. Niech cztery wichry zewrą się w przeraźliwych podmuchach; niech ten dźwięk wzbije się aż do gwiazd. Prochy Starożytnych zawirują w obłokach; istotę Albionu rozniosą walczące wichry.

Wówczas rozgniewa się Olbrzym Niegodziwości i przerazi wszystkich ostrzem swego miecza. Z jego oczu bid będą płomienie; jego usta ociekać będą trucizną. Ze swą wielką armią splądruje wyspę. Wszyscy, którzy mu się sprzeciwią, zostaną porwani powodzią bezprawia, która wypłynie z jego ręki. Wyspa Potężnych stanie się grobowcem.

A wszystko to stanie się za sprawą Męża z Brązu, który dosiadając mosiężnego rumaka, miota kłatwę potężną i okrutną.

Powstańcie Mężowie Gwir!

Weźcie do ręki oręż i zwróćcie się przeciwko zdrajcom, którzy są wśród was! Odgłosy bitwy dotrą pomiędzy gwiazdy na niebie, a Wielki Rok dobiegnie swego ostatecznego spełnienia.

Wszystko odbywało się dokładnie tak, jak przepowiedziała. Jednak proroctwo kończyło się zagadką:

Słuchaj, Synu Albionu: Krew jest zrodzona z krwi. Ciało jest

zrodzone z ciała. Ale duch jest zrodzony z Ducha i Duchem na zawsze zostanie. Nim Albion będzie Jednym, Bohaterski Czyn musi być dokonany, a Srebrnoręki musi objąć rządy.

Srebrnoręki. Tak brzmiało imię Bohatera, który ma ocalić Albion. To było imię Llewa: Llew Law Eraint, a z imieniem tym związanych było wiele wspaniałych przepowiedni.

W mojej głowie rozległ się oskarżycielski głos: Głupcze! Cóżeś uczynił?

Spróbowałem na siłę wypełnić prorocstwo, wybierając go na króla, ale poniosłem klęskę. Meldron zdruzgotał wszelkie nadzieje na panowanie Llewa. Prawa Najwyższej Władzy nie można złamać ani ominąć — dla żadnej przyczyny, dla żadnego człowieka. Wielki Pies Meldron rozwiął sny o królowaniu w chwili, gdy odrąbał dłoń Llewa.

A teraz, pomyślałem, spoglądając w głąb zasnutej dymem, cuchnącej doliny, gdzie tłoczyły się hufce wroga, Wyspa Potężnych stała się grobowcem.

Ustyszałem za sobą ciche kroki. Nim zdążyłem się odwrócić, na moim ramieniu spoczęła dłoń Goewyn:

— Chcę z tobą zostać, Tegidzie — rzekła głosem, który wykluczał wszelki sprzeciw.

— Zostań. Razem będziemy wspierać naszych dzielnych wojowników.

Przycupnęła u mego boku.

— Nie mogłam czekać ze wszystkimi. Pomyślałam, że może przyda ci się ktoś z dobrym wzrokiem.

Siedzieliśmy więc razem i, krzepiąc się nawzajem swoją obecnością, czekaliśmy na początek bitwy. Początek ów, kiedy już nastąpił, wyglądał bardzo niepozornie — coś zafalowało lekko przy brzegu oceanu, jaki stanowiły wojska Meldrona. W obozowisku wprost pode mną utworzył się niewielki wir i musiałem przypatrywać mu się przez dłuższą chwilę, nim pojąłem, że to ruszyła drużyna Scathy.

— Tam! — zawołała Goewyn. — Zaczęło się!

Calbha ze swą drużyną uderzył z tyłu i nieco na prawo za Scathą, Cynan zaatakował po lewej. Nasze trzy oddziały szybko parły do

przodu, odrzucając źle ustawionego, zaskoczzonego przeciwnika. Nawet nie przypuszczałem, że może im pójść aż tak łatwo. Wyglądało na to, że wróg się cofał, oddawał pole bez walki.

Daleko po prawej do boju ruszyło Stado Kruków, idąc klinem w kierunku Scathy. Cóż to był za widok! Pierwszy pędził Bran. Siał wokół siebie straszliwe spustoszenie, a po bokach dzielnie sekundowali mu Alun Tringad z Garanawem. Reszta Kruków niepowstrzymaną nawałnicą wdarła się w powstały wyłom.

Początkowo nigdzie nie mogłem dostrzec Llewa. Dopiero Goewyn go wskazała:

— Widzę go! Na lewo za Cynanem!

Nakierowałem w tamtą stronę mój wewnętrzny wzrok. Podobnie jak pozostali, Llew przedzierał się ze swą drużyną do środka doliny. Wrogie szeregi otwierały się przed nimi bez oporu, wpadały na siebie, umykając przed śmiałym natarciem.

Na górskim grzbiecie, gdzieś na lewo ode mnie, dały się słyszeć jakieś krzyki. Odwróciwszy głowę, ujrzałem niemal całą ludność Dinas Dwr, która nie mogąc doczekać się wyniku bitwy, tłumnie wyległa, by na własne oczy oglądać decydujące starcie.

Pojedyncze krzyki szybko przerodziły się w radosną wrzawę. Wątpiłem, by mogła ona dotrzeć do uszu walczących współplemionców, niemniej jednak spadała na nich z góry deszczem z głębi serca płynących pochwał. W tym momencie bowiem to, co niemożliwe, wydawało się najprawdziwszą prawdą: mając za sobą jedynie bezgraniczną determinację, przełamaliśmy opór wroga i stopniowo wypieraliśmy go z doliny.

Pomiędzy głazami zagrzechotały spadające z góry kamyki. To nadchodził Nettles. Gdy znalazł się na skalnej półce, jak zwykle stanął skromnie z boku, robiąc miejsce dla podążającego tuż za nim Cynfarcha. Król przyniósł ze sobą włócznię, wsparł się o drzewce i w skupieniu obserwował pole walki. Nawet jeżeli ogrom armii Wielkiego Psa napęlił go zdumieniem, nie dał tego po sobie poznać.

— Zaczęło się dobrze—oznajmił, stając u mego boku. — Choć jest ich tak wielu, są bardzo słabo wyćwiczeni.

— Istotnie, zaczęło się dobrze — przytaknąłem. — Jeszcze

nigdy nie widziałem armii, w której panowałby taki nieład. Przecież oni w ogóle nie zachowują się jak wojownicy.

Wypowiadając te słowa, pojąłem co było przyczyną takiego stanu rzeczy. Oczywiście, to nie byli wojownicy! Jakim cudem mógłby Meldron wystawić tak liczną armię? Gdybym wcześniej zastanowił się nad tym choćby przez chwilę, dostrzegłbym to, co teraz było oczywiste: w całym Albionie nie znalazłoby się tylu wojowników. Meldron zasilił swoje szeregi podbitymi nieszczęśliwymi — wieśniakami, rzemieślnikami, pasterzami i niewprawną młodzieżą. Uzbroił ich we włócznie i miecze, lecz choć posiadali broń, nie byli przecież wojownikami. To dlatego, stając oko w oko z gotowymi na wszystko naszymi zbrojnymi, niemający pojęcia o wojaczce chłopci zwracali i brali nogi za pas albo, sparaliżowani strachem, oddawali głowy.

Z pewnością nie był to wielki powód do chluby, ale widok wroga podającego tyły przed szybkim natarciem naszych drużyn budził wśród patrzących głośnie wiwaty. Krzyk radości wzbijał się pod niebiosa, z wielokrotnionym echem spadał w dolinę jasnymi kaskadami szczęścia. Wewnętrzny wzrok ukazał mi obraz przemieszanych w ucieczce wrażeń oddziałów, wezbranych na podobieństwo fal odpływu, cofających się przed naszym gwałtownym atakiem. Wieśniacy i pasterze przeciwko doświadczonym wojownikom"! Takie zwycięstwo nie mogło przynieść chwały. A jednak, choć myślałem o tym ze wstydem, pragnąłem, by odważny cios naszych drużyn, wymierzony w sam środek kolumny nieprzyjaciela, doprowadził do jego całkowitej klęski.

## 36. Rzeka śmierci

Calbha i Scatha, przedarłszy się do środka kolumny wroga, musieli niestety zwolnić, albowiem pierzchające oddziały stanęły nagle w miejscu. Wieść o ataku trafiła w końcu do konnicy, która miała dość czasu, by skrzyknąć się i podjąć pierwszą poważną próbę oporu. Natłok uciekających w przerażeniu ludzi sprawił jednak, iż

pomimo ogromnych wysiłków jeźdźcy nie byli w stanie osiągnąć drużyny Scathy.

Cynan również natrafił na szybko tężejący opór. Mając drogę odrotu odciętą przez własnych dowódców, wystraszeni chłopcy zawracali, aby jeszcze raz stawić czoło słabnącemu impetowi Cynana. Powstał taki ścisk, że walczącym nie starczało miejsca na zadanie ciosu. Przed Branem i jego Krukami stanęła taka sama przeszkoda. Poprzez bitewny zamęt dostrzegaliśmy od czasu do czasu ich podobny do klina szyk, który wniknąwszy głęboko w bok kolumny wroga, wciąż parł w kierunku Scathy, ale tempo jego ataku spadło nieproporcjonalnie.

— Więc jednak będą walczyć — odezwał się Cynfarch. — Dagda okazał im swą litość.

Drużyna Llewa, dążąca do połączenia ze Scathą oraz Calbhą, utknęła na dobre. Także tutaj pojawili się konni, niezdiscyplinowana zaś piechota Meldrona zbiła się w trudną do przebiccia ścianę.

Ścisk i chaos pohamowały wprawdzie nasze natarcie, lecz w równym stopniu przeszkodziły także naszym wrogom. Wszędzie rozgorzały drobne potyczki, ale do rozstrzygnięcia tego starcia wciąż jeszcze było bardzo daleko. Niczym miotane przeciwnymi prądami morskie fale, tłumy wojowników wroga zderzały się ze sobą i odskaکیwały, pędziły ku przeciwnikowi bądź odeń umykały. Nasze drużyny przypominały wyspy otoczone przez rozkołysany żywioł.

Po drugiej stronie doliny odezwały się rogi. Dowódcy wrażeń się pojęli wreszcie, co się święci, i doszli do wniosku, że należy ogłosić alarm. Jednakże głupota kazała im zostać na drugim brzegu rzeki, przez co nie mogli teraz dobrze pokierować swym pożałowania godnym wojskiem.

Bran Bresal nie czekał beczynn timer. Widząc, że nie zdoła wyrąbać drogi w gąszczu ciał, wysunął tarczę i najzwyczajniej w świecie ruszył przed siebie, roztrzucając na boki tych, którzy stanęli mu na drodze. Reszta Kruków poszła natychmiast w ślady dowódcy i wkrótce w cizbie wroga pojawiła się prosta ścieżka. Kruki pognali do przodu, a kiedy biegli tą żywą drogą, ich stopy ani razu nie dotknęły ziemi.



— Udało się im! — wrzasnęła Goewyn, gdy Stado Kruków dołączyło do Scathy i Calbhy, dzierzających środek pola walki. — A teraz ruszył także i Cynan!

Na pozostawione przez Kruki miejsce zaczęli napływać wojownicy wroga. Cynan musiał wyczuć poruszenie w ich szeregach, bo instynktownie właśnie tam uderzył. Krok po kroku nabierając szybkości, z zajądłością szarżującego byka runął między cofających się w powstałą lukę przeciwników, a jego ostrze siało prawdziwe spustoszenie. Jeszcze chwila tęgiej rąbaniny i, wspomagany przez swą drużynę, przedarł się do kręgu oczyszczonego przez Scathę oraz Kruki.

— Pozostał już tylko Llew — powiedziała Goewyn. Zacisnęła dłonie na mym ramieniu i z niepokojem śledziła przebieg zmagania.

— Konie odetną im drogę — wtrącił Cynfarch, wskazując wyciągniętą włócznią zagrożone miejsce. — Llew nie dojdzie.

Ponieważ konni nie mieli szans na przepchnięcie się przez własne wojska do środka pola bitwy, odbili w bok i pokłusowali skrajem doliny ku drużynie Llewa. Wyglądało na to, że przyjdzie jej walczyć w odosobnieniu, chyba że w ostatniej chwili Llew zdoła wyrąbać drogę, która pozwoli wyminąć nacierającą jazdę.

Chociaż gorące słońce wciąż płonęło na martwym niebie, wydało mi się, że na dolinę padł głęboki cień.

— Teraz przydałyby się im konie — mruknął Cynfarch. — I rydwany. Konie i rydwany!

W stronę Llewa zmierzało coraz więcej jeźdźców i choć zaden z nich nie włączył się jeszcze do walki, wiedziałem, iż wkrótce do tego dojdzie. Goewyn dostrzegła to również. Mocniej zacisnęła palce na mym ramieniu; wbiła paznokcie w skórę. Usłyszałem głośny stukot — to Nettles tłuł bezwiednie o głaz, na którym siedział, trzymany w ręku kamieniem, podczas gdy całą swą uwagę skupił na toczoney w dole bitwie.

Jeźdźcy byli coraz bliżej, a okrążony Llew nie mógł uniknąć szarży. Nadeszła pora, bym coś uczynił. Wstałem. Ująłem w dłoń laskę i uniosłem ją ku palącemu bezlitośnie słońcu. Jako naczelný bard Albionu przyzywałem moc Taran Tafod i uwalniałem ją, by niosła pomoc naszym wojownikom.

Tak laskę jak i głos skierowałem w niebiosa, zwracając się do zamieszkujących w nich potęg.

— *Gwrando! Gryd Grymoedd, Gwrando!* — zawołałem i usłyszałem swój głos rozbrzmiewający ze zwielokrotnioną siłą. —

*Gwrando! Nefol Elfenau, Gwrando! Erfyn Fygu Gelyn! Gwthio Gelyn! Gorch Gelyn! Gwasgu Gelyn!*

Słowa, które rodziły się na mym języku i opuszczały usta, paliły jak płomienie; dyszałem ogniem. Mój głos nie był już moim głosem, stał się głosem podtrzymującego wszystkie Słowa ponad słowami. Wyzbyłem się wszelkich myśli i stałem się niczym drżąca trzcina, na której zmyślny wiatr wygrywa swoją melodię.

— *Gryd Elfenau A Nefol Grymoedd! Gwrando! Gorch Gormail Fygu!* — zawołałem, słysząc dźwięki Taran Tafod dobywane z taką mocą, jakby je wygrywano na bojowym rogu. Napelniwszy płuca powietrzem, rozwarłem usta, pozwalając, by z najgłębszego zakamarka serca popłynęły słowa starożytnej, uświęconej mowy. — *Nefol Elfenau, Gwrando! Erfyn Fygu Gelyn! Gwthio Gelyn! Gorch Gelyn! Gwasgu Gelyn!*

Poczułem na twarzy lekki podmuch wiatru.

— *Gwrando, Gryd Nefol Elfenau! Erfyn Gwrando! Erfyn Nefol! Gorch Gormail Fygu!* — wrzasnąłem głosem przypominającym ryk wściekłego byka. Wiatr przybrał na sile, zaczął szarpać rękawy na mych wzniesionych sztywno nad głową, dzierżących laskę ramionach. Odrzuciłem głowę do tyłu, pozwalając, by Taran Tafod grzmiał wedle własnego uznania.

Wnet, jakby w odpowiedzi na mój krzyk, usłyszałem jęk zbierającej się w czterech stronach świata wichury. Upiorny upał zelżał, ponieważ wypalający niebo biały płomień przybladł pod całunem dymu i chmur...

.. Niech słońce będzie przyćmione jak bursztyń...

Kolejny podmuch zawirował ze świstem, uderzył mnie chłodem w twarz. Z tyłu nadleciał następny, wysmagał moje plecy i nogi. Wystraszeni ludzie podnieśli krzyk i w pośpiechu jęli uciekać ze skraju urwiska. Cynfarch przykucnął za moimi plecami, Goewyn zaś mocno objęła mnie za nogi. Nettles również przysunął się bliżej.

...Niech cztery wichry zewrą się w przeraźliwych podmuchach...

Wichura z dzikim wyciem przetoczyła się przez opustoszałe niebo, po czym runęła w dolinę, drąc kamienie i darń, wznosząc słupy kurzu, oszalałym wirem zasysając wysoko ciemne pasma brudu.

...Prochy Starożytnych zawirują w obłokach...

Goewyn całym ciałem przywarła do moich nóg, Cynfarch mocno naparł na drzewce zatkniętej w szczelinę włóczni. W dole nasi wrogowie wpadli w popłoch, powiększając i tak już nielicze zamieszanie. Lamentowali i krzyczeli z bólu pod razami niezwyklej nawałnicy.

... istotę Albionu rozniosą walczące wichry...

Na drugim brzegu zatrutej rzeki grały rogi, lecz ich przeraźliwe tony ginęły niemal zupełnie w ryku rozpasanego żywiołu. Niebo pociemniało, sprowadzając na ziemię fałszywy zmierzch — pomiędzy przemykającymi szybko ławicami chmur ostrym blaskiem zapłonęły gwiazdy. Przerazone konie rżały i stawały dęba, zrzucając jeźdźców pod własne kopyta. Wrzaski grozy mieszały się z rżeniem konających, ostry łomot uderzających w tarcze włóczni sięgał sklepienia niebieskiego. Nasi dzielni wojownicy pracowali bez wytchnienia, a ich żelazo zbierało obfite żniwo.

... Odgłosy bitwy dotrą pomiędzy gwiazdy na niebie...

Moją wizję zasnęła ciemność. Ślepotą na powrót brała mnie we władanie. Słyszałem zawroźnienie wichury, szcęk oręża, krzyki walczących, natomiast nie widziałem już niczego, co działo się na polu bitwy.

— Goewyn! — zawołałem. — Goewyn! Słuchaj! Ja nic nie widzę!

Przełożywszy łaskę do lewej ręki, sięgnąłem w dół, złapałem ją pod ramię i dopomogłem stanąć na nogi. Objęła mnie w pasie, przytuliła się, tak że teraz mogliśmy wspólnie stawić czoło nawałnicy. Nettles natychmiast zajął jej miejsce. Najwidoczniej postanowił, że nie pozwoli wichurze oderwać mnie od skały, albowiem przykleknął i mocno oplótł ramionami moje kolana.

— Straciłem wzrok! — krzyknąłem. — Patrz dla mnie, Goewyn! Bądź mymi oczami!

— To jest straszne, Tegidzie! Taka ciżba... nie widzę go... Zaraz! Jest! Widzę Llewa. Jest ze swoją drużyną. Konni już ich

dosięgli, ale nasi nie ustępują. Konie są spłoszone — stają dęba, wyłamują się z szyku... jeźdźcy nie mogą walczyć z siodła. Nasi wojownicy kładą ich pokotem... jaka okrutna bitwa.

— Co z Krukami?

— Widzę ich. Widzę Brana. Prą do przodu... usiłują dołączyć do Llewa. Ale przed sobą mają jazdę... a konnych z każdą chwilą przybywa.

— Są odcięci — dodał Cynfarch. — Kruki nie dojdą do Llewa.

— A Cynan? Co z nim? Czy go widzisz?

— Tak, widzę... — zaczęła Goewyn.

Cynfarch wpadł jej w słowo.

— Jest na czele swojej drużyny. Walczy. Oni wszyscy walczą.

— A co z wrogiem? Jak się zachowuje?

— Wróg otacza nasze siły główne. Scatha stoi w środku pierścienia, Calbha na prawo od niej, a Cynan na lewo. Bran także zajmuje lewą flankę — odparł Cynfarch podniesionym głosem, tak bym go słyszał poprzez zawodzenie nawałnicy.

Goewyn zaś dodała:

— Dziesiątki, nie, setki uciekają — nie chcą walczyć. Dowódcy zmuszają ich do powrotu na plac boju, dźgają ich włóczniami.

— Jak duże są nasze straty? Ilu mamy zabitych, ilu rannych?

— Myślę, że...—Goewyn urwała, aby się zastanowić.— Straty wroga są duże, na ziemi widać wiele ciał. Ale nasi... och, tam jest taki ścisk. Nie potrafię powiedzieć, Tegidzie. Kilku, może kilkunaśtu... myślę, że niewielu.

Laska zaczynała mi ciążyć; wyciągniętą nad głową rękę przesywał ból. Podmuchy wichru wyciskały z mych martwych oczu strumienie łez. Wzmocniłem chwyt omdlewającej dłoni, powstrzymałem drżenie ramienia. Używając tajemnego języka bardów, wzniosłem prośbę do Szybkiej Pewnej Ręki o ochronę i wsparcie dla naszych wojowników.

*Dagda Samildanac! Gwrando, Dagda! Cyfodi Gwr Gwir, Sicur Llaw Samildanac! Cyfodi A Cysgodi, Dagda Sicur Llaw! Gwrando!*

Znad gór, przeraźliwie wyjąc, nadciągnęła fala przenikliwego chłodu. Moje członki drżały od ogromu przepływającej obok

mocy. Usłyszałem suchy trzask błyskawicy i towarzyszący jej ryk gromu. Wszystko się we mnie trzęsło, skała pod moimi stopami dygotała również.

— Tegid! — wrzasnęła Goewyn, przywierając silniej do mego boku. — Oni się cofają... wróg się cofa!

— Mów, Goewyn!

— *Hwyntffoi!* — krzyknął Nettles. — Oni uciekają!

— Wszyscy pędzą do rzeki! — potwierdziła dziewczyna. — Uciekają! — Wiatr porywał słowa z jej warg, nim zdążyła je do końca wymówić.

Ująłem za koniec laski i wymierzyłem ją prosto w niebo.

— *Daillaw! Gwasgu Gelyn! Gorch Yr Gelyn!*

Znowu poczułem drżące pulsowanie w dłoniach i ramionach, w nogach, kościach i krwi. Pomimo szarpiących porywów wiatru zauważyłem, że otaczającym mnie powietrzem wstrząsnął nagły dreszcz, a niebiosy skurczyły się w ataku konwulsji.

Moja laska rozpadła się na pływające kawałki, do płuc zaś wtargnął gorący, ostry zapach spalonego powietrza. W tym samym momencie zwałił się na mnie potworny ryk gromu. Poczulem rozsadzające czaszkę pulsowanie, serce zamarło mi w piersi, a w głowie rozbłysła czyste, białe światło.

Poczulem też, że lecę — jak orzeł; wysoko, wysoko po burzowym niebie, niesiony gwałtownymi podmuchami wiatru. Daleko w dół widziałem pole bitwy i sunących po nim ludzi. Ale ludzie nie wyglądali jak ludzie: byli falami na wzburzonym morzu, rozkołysanymi, wpadającymi na siebie. Zobaczyłem to wszystko ostrym wzrokiem orła, po czym runąłem w dół, szybko tracąc wysokość.

Spadałem i spadałem, a dym przesłaniał mi widok. Kiedy zaś wydawało się, że za chwilę uderzę w ziemię, dym ustąpił, a ja stałem w dolinie, w samym środku pola bitwy. Wokół mnie przepływały strumienie uciekających ludzi o oczach szeroko otwartych z przerażenia, potykających się, tratujących ciała swoich towarzyszy. Wszyscy sunęli ku rzece, a tam, osiągnąwszy brzeg, gnani pragnieniem ocalenia głowy, rzucali się w ohydny wodę.

Zdjęci paniką, skakali z zatłoczonych brzegów wprost w dyszącą

zgnilizną breję. Pierwsi tkwili już po uda w czarnym szlamie i przedzierali się ku dającemu bezpieczne schronienie przeciwległemu brzegowi. Lecz po paru zaledwie chwiejnych krokach stanęli, gdyż poczuli nowe, znacznie gorsze niebezpieczeństwo.

Zawrócili, próbowali brnąć z powrotem, a z ich rozdziawionych ust płynęły straszliwe przedśmiertelne wrzaski. Krzyk, jaki się podniósł, był doprawdy zatrwazający, ale jeszcze bardziej trwożył widok pomarszczonych, ropiejących ciał.

Tam bowiem, gdzie zatruta woda dotknęła skóry, występowały wrzody, które w jednej chwili nabrzmiewały, a pękając, wyrzucały z siebie krew oraz żółtą ropę. Dłonie, ramiona i nogi nieszczęśników przypominały jedną wielką, czerwoną ranę. Krople trucizny padały na ich szyje, piersi, twarze, wnikały do oczu. Głośny ryk zawieruchy przemieszał się wkrótce z jękami ludzi, którzy jak opętani rzucali się w morderczej cieczy.

A cizba na brzegu wciąż gęstniała. Ci, którzy popychani z tyłu potykali się i wpadali do rzeki, nie mieli żadnych szans. I choć powietrze drżało od udręczonych głosów, w wodzie wciąż przybywało ludzi, a straszliwa trucizna każdego z nich więziła, okaleczała, zabijała. W czarnej wodzie pojawiły się czerwone plamy.

Wyjąc z bólu jak zwierzęta, ociekając krwią, wszyscy oni próbowali osiągnąć drugi brzeg. Nikt nie zawracał: napór uciekających za ich plecami wytyczał tylko jeden kierunek — naprzód, ku śmierci. Czarny nurt zaczął unosić martwe ciała. Nie uszedł z życiem nikt, kto szukał ratunku w rzece.

Owo pokłosie niezwyklej śmierci przeraziło stojących na brzegu, po dziesięćkroć zwiększając ich panikę. Ludzie rzucali broń i padali na ziemię; trzęśli się ze strachu jak galareta. Na przeciwległym brzegu wojsko stało w niemym zdumieniu i z otwartymi szeroko ustami chłonęło straszliwe widowisko.

Odwrociłem się od wody, aby poszukać naszych wojowników — Llewa, Brana, Scathy i Cynana. Dookoła przemykali uciekający na oślep nasi wrogowie, zewsząd dobiegał łoskot rzucanej na ziemię broni. Prerażony do szpiku kości, wróg umykał z pola bitwy. Natomiast nigdzie w pobliżu nie mogłem dostrzec naszych drużyn.

— Llew! — zawołałem, robiąc krok naprzód. Moja stopa zawa-  
dziła o rozciągnięte w piachu zwłoki i jak długi padłem na stratowaną  
ziemię. Nim zdążyłem się podnieść, ktoś złapał mnie pod ramię...

— Tegidzie! — Przyciskały mnie czyjeś dłonie, krępowały swo-  
bodę ruchów. To Goewyn i Nettles przygniatali mnie swym cięża-  
rem, jakby w obawie, że mógłbym ulecieć w powietrze wraz z  
silniejszym podmuchem wiatru.

Moje uszy wypełniało echo przetaczającego się nad doliną gro-  
mu. Westchnąłem, zaczerpnąłem głęboko tchu. Podźwignąłem się  
na kolana. Po chwili spróbowałem wstać, ale nogi odmówiły mi  
posłuszeństwa. Nettles pośpieszył mi z pomocą i podtrzymał, chro-  
niąc przed upadkiem.

Goewyn pochyliła się nade mną. Poczułem na twarzy jej dłonie.  
Mówiła coś do mnie, ale jej głos był bardzo cichy i odległy. I znowu  
nic nie widziałem.

— Moja laska... Ja... Gdzie jest moja laska? — Wyciągnąłem  
ręce i zacząłem zgrabić palcami macać wśród kamieni.

Goewyn schwyciła moje dłonie. — Jesteś ranny, Tegidzie. Twoja  
laska przepadła.

— Pomóż mi wstać.

Goewyn przywołała Cynfarcha, po czym we trójkę, wspólnymi  
siłami podnieśli mnie na nogi. Moje obolałe ręce ogarnęło drzenie,  
połączone z dokuczliwym kluciem.

— Słuchajcie! Słyszę jakieś krzyki! — powiedział Cynfarch. To  
nad rzeką! Nasi spychają wroga do wody!

— Zepsucie upomniało się o swoje — stwierdziłem, a następnie  
opowiedziałem im, jaki los spotkał w mojej wizji tych, którzy usiło-  
wali uciec na drugi brzeg śmiertelnie niebezpiecznej rzeki. — A teraz  
patrzcie i mówcie, co widzicie. Szybko!

— Rzeka ich zabija — wyszeptała Goewyn.

— Wiatr ustał — dodał Cynfarch. — Burza się kończy.

— Awen minął — powiedziałem bardziej do siebie niż do nich.  
Złapałem Nettlesa i Goewyn za ręce.

— Chodźmy, sprowadźcie mnie na dół, tylko szybko!

Rozpoczęliśmy żmudne zejście stromym stokiem. Cynfarch

szedł pierwszy, ja zaś podążałem krok w krok za nim, ponieważ moje dłonie spoczywały na jego barkach. Goewyn z Nettlesem schodzili po bokach i bez ustanku mnie wspierali, gdyż nogi ciągle miałem jeszcze bardzo słabe. Do czasu, gdy osiągnęliśmy wreszcie dno doliny, resztki sił nieprzyjaciela zostały już przyparte do brzegu. Uwięzieni pomiędzy naszymi wojownikami a morderczą wodą, wrogowie myśleli wyłącznie o ocaleniu życia. Całymi setkami rzucali broń i, okryci hańbą, oddawali się w naszą niewolę. Byli wśród nich także prawdziwi wojownicy, i ci podejmowali rozpaczliwe, z góry skazane na porażkę wysiłki, aby przegrupować swoje oddziały i rozpocząć nowy bój.

Ruszyliśmy pośpiesznie dnem doliny, przestępując ciała nieszczęśników, którzy stracili życie, stratowani przez swych kompanów. Ich powykręcane członki sterczały z trawy na podobieństwo połamanych łodyg. Wielu nawet nie miało przy sobie broni, a przecież to właśnie im przyszło zapłacić za wojenne ciężoty Wielkiego Psa.

Doszliśmy do miejsca, gdzie na początku bitwy zatrzymał się okrążony Llew i przystąpiliśmy do oględzin tych, których ciała zaścielały ziemię. Nasze stopy ślizgały się na pokrytej lepką mazią zeschniętej trawie, nasze nozdrza drażnił słodkawy, przyprawiający o mdłości odór krwi. Znaleźliśmy Rhoedda, wciąż ściskającego w rękę róg, i paru innych, i widok ten przejął nas wielkim bólem.

— Gdzie jest Llew? Czy go widzicie?

— Myślę, że jest nad rzeką — odparła Goewyn. — Trwają tam jeszcze jakieś walki.

— Zaprowadźcie mnie tam.

Niewiele uszliśmy kroków, gdy Cynfarch raptownie stanął.

— Co się dzieje? — spytałem niecierpliwie. — Co widzicie?

Goewyn rzekła:

— Ja też to widzę. Kurz. Nad doliną unoszą się chmury kurzu...

— Konnica! — wpadł jej w słowo Cynfarch.

W tym samym momencie poczułem płynące z głębi ziemi dudnienie.

— To Meldron!



## 37. Klęska

Szybka szarża wtargnęła w dolinę przy wórze grzmotu końskich kopyt oraz bojowego rogu. Jego zew rozpałił mój wewnętrzny wzrok, toteż mogłem zobaczyć, jak Meldron przemierza równinę wraz z odsieczą w sile pięciuset jeźdźców. Wcale nie jechał na czele swego hufca. Jego rydwan, otoczony przez pięćdziesięciu doborowych wojów z Wilczej Sfory, zajmował miejsce w środku wyciągniętej kolumny. Siawn Hy uwijał się w pobliżu Wielkiego Psa. Na pierwszy rzut oka nigdzie nie mogłem wypatrzeć zdrajcy Paladyra, nie wątpiłem jednak, że on także tam był.

Hufiec Meldrona pokonał pasmo wzgórz, aby uniknąć forsowania rzeki i teraz z ogromną prędkością gnał przez pole bitwy. Nasi wodzowie spostrzegli nowego przeciwnika, nim jednak zdążyli cokolwiek uczynić, już go mieli na karku. Ten atak nastąpił szybko, nie pozostawiając im czasu na opanowanie zaskocz i ustawienie szyków obronnych.

Cała nasza nadzieja poszła wniwecz jeszcze przed pierwszym starciem z nowym wrogiem.

A przecież, mimo wszystko, Bran i Scatha próbowali walki. Kto wie, jak potoczyłyby się nasze losy, gdyby ktoś ich na czas ostrzegł. Podejmując nierówny bój, Bran powalił trzech konnych, natomiast Scatha błyskawicznie rozprawiła się z czterema innymi, ucząc wroga szacunku dla swego kunsztu.

Ale Meldron nie miał zamiaru ot tak, po prostu, roznieść nas w puch na grotach włóczni, co przecież z łatwością mógł uczynić. Jego plan przewidywał rozwiązanie o wiele bardziej zajmujące. Zamiast pchnąć swą konnicę do ataku, uformował z niej pierścień, zamykając w nim nasze drużyny. Później powoli, krok po kroku, zaczął nas spychać w stronę rzeki. Wybawiona w ostatniej chwili piechota przeciwnika, którą mieliśmy za plecami, rozstała się na boki. W powstały korytarz, ustępując przed lasem wymierzonych w swoje gardła włóczni, weszli nasi wojownicy i cofali się, dopóki nie doszli do skrajnej śmiercionośnej wody.

Bran dał dowód szaleńczej odwagi. Bez wahania rzucił się na

wojownika, który był na tyle nieroztropny, by zbliżyć się zanadto do Kruków. Błyskawicznie ściągnął go z siodła, złapał wodze i wskoczył na grzbiet zwierzęcia. Przez moment zanosilo się nawet na to, że zdoła rozerwać pierścień wroga. Kruki zwarli szyk, gotowi skoczyć w powstałą wyrwę, nim jednak do tego doszło, ktoś ciął po nogach konia i Bran runął na ziemię, przygnieciony ciałem wierzgającego rumaka.

Goewyn krzyknęła gniewnie, gdy wróg wykorzystał niemoc Brana i skwapliwie wziął go w niewolę. Wkrótce to upokorzenie stało się udziałem nas wszystkich. Wydani na pastwę palącego wstydu, dzielni wojownicy zostali rozbrojeni. Kruki, jednego po drugim, przyciskano włóczniami do ziemi i odbierano im wszelką broń. Z rękami skrępowanymi na plecach, powiązano ich ze sobą, zakładając na szyje pętle z grubego sznura.

Drużynę Cynana potraktowano w ten sam sposób. Tych, którzy stawiali opór bądź próbowali walczyć, bito do utraty świadomości albo przecinano im ścięgna rąk, tak by nie mogli dźwignąć miecza. A kiedy nieprzytomny Cynan utracił już swój oręż, przyszła kolej na Calbhę i Scathę.

Meldron zbliżył się do nas dopiero wówczas, gdy już wszyscy byliśmy rozbrojeni. Spoza pleców swej Wilczej Sfory zakrzyknął śmiałym głosem:

— Czy tylko na tyle was stać? I to ma być ta niezwyciężona armia potężnego Llewa?

— Gdzie jest Llew? — wyszeptała zaniepokojona Goewyn. — Nigdzie go nie widzę.

— Ani ja.

Dyszący gniewem Cynfarch powiedział:

— Myślę, że on jest tam, gdzieś w środku. Dlaczego nie stawia oporu?

— Stanę u jego boku—postanowiłem. Zacząłem przeciskać się we wskazanym przez króla kierunku. Goewyn ujęła mnie pod rękę, nieco rozdygotany Nettles szedł po drugiej stronie. Zatrzymał mnie gniewny okrzyk i szturchnięcie grotem włóczni w plecy. Nie wolno nam było iść dalej.

— Widzisz go? — spytała dziewczyna.

— Nie.

Meldron również chciał zobaczyć Llewa.

— Llew! — ryknął na całe gardło. — Gdzie jesteś? Chodź tutaj, jeśli się nie boisz. Szukałem ciebie, Llew. Czy to tak podejmujesz twego króla?

Llew odpowiedział ze środka swej drużyny.

— Jestem tutaj, Meldron.

— Stań tak, żebym mógł cię zobaczyć! — krzyknął Wielki Pies.

— Głupio robisz, kaleko, chowając się przede mną. Czy mam po kolei wybić twoich ludzi, żeby znaleźć ciebie?

Usłyszałem przekleństwa wojowników.

— Nie — wyszeptał Nettles drżącym z napięcia głosem.—  
*Aros ol*, Llew. Nie wychodź.

— Nie rób tego! — zawołał Calbha i natychmiast oberwał drzewcem włóczni w zęby. Wojownicy z jego drużyny z groźnym pomrukiem postąpili krok naprzód, ale podwójny rząd włóczni osadził ich na miejscu.

— Jestem tutaj — powiedział Llew, wychodząc z tłumu jeńców. — Nie chowam się przed tobą, Meldron.

— To już koniec — warknął Meldron z wysokości swego rydwanu. — Myślałeś, że nie przyjadę zdławić twojej małej rebelii? Myślałeś, że będziesz wymykać mi się w nieskończoność? Teraz pomszczę mój honor.

— Honor? — zimno zdziwił się Llew. — Aż dziw bierze, że nie udławisz się tym słowem.

— Związać go! — wrzasnął Meldron. Teraz, gdy wróg został rozbrojony i spętany, mając wokół siebie zaufanych przybocznych, Meldron ośmielił się stanąć z Llewem twarzą w twarz.

Wielki Pies zsiadł z rydwanu i buńczuczny krokiem podszedł bliżej. Malująca się na jego wyniosłym obliczu pogarda wzbudziła we mnie palącą wściekłość.

— Umrzesz za to — zapewnił.

Llew nie zaszczylił go odpowiedzią.

— Nie masz mi nic do powiedzenia? — szydził Meldron z but-

nym uśmiezkim na ustach. Zaiste, próżność Wielkiego Psa była ogromna, folgował sobie bez ograniczeń. Poklepał pieszczotliwie okaleczoną rękę Llewa i wybuchnął śmiechem. Potem, rozglądając się na wszystkie strony, zawołał:

— Gdzie jest ten wasz ślepy bard? Gdzie kryje się Tegid? A może boi się kary, na którą zasłużył przez swą zdradę?

Nie zwlekając ani chwili, wystąpiłem naprzód i mocnym głosem rzekłem:

— Mówisz tylko o strachu i chowaniu się, Meldronie. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, iż tchórz dostrzega tchórzostwo w każdym człowieku.

— Ach, Tegid! — ucieszył się Meldron, po czym nakazał gestem, by przywieziono mnie przed jego oblicze. Odważny Cynfarch próbował powstrzymać szarpiących mnie pachółków, lecz natychmiast został obalony na ziemię.

— Teraz już ciebie widzę, ale ty mnie nie. — Roześmiał się, a paru wojów z Wilczej Sfory mu zawtórowało. — Żeby być ślepym i do tego głupcem, trzeba się chyba narodzić pod podwójnym przekleństwem.

Zaczekałem, aż ustanie szyderczy rehot i odparłem:

— Tak to już jest na tym świecie, iż chory wyobraża sobie, że inni cierpią na tę samą co i on chorobę.

Zamiast odpowiedzieć, Meldron zdzielił mnie na odlew dłonią w usta.

— Za to umrzesz ostatni — obiecał, zbliżywszy twarz do mojej. Najpierw umrą wszyscy twoi przyjaciele, a dopiero po nich ty.

Właśnie wtedy, gdy stał tak blisko, dostrzegłem coś, co zatkało mi dech w piersi. Oprawny w złoto, zawieszony na rzemieniu, zdobił szyję Meldrona odłamek białego kamienia — śpiewającego kamienia.

Przeniósłem szybko wzrok na Siawna Hy. On też nosił taki kamień! Wszyscy wodzowie Meldrona i wojownicy z Wilczej Sfory nosili amulety z odłamkami kamieni. Dzięki temu Pieśń Albionu czyniła ich niezwycięzonymi.

Chciałem przyrzec się im dokładniej, ale Meldron wrzasnął:

— Zabrać ich nad rzekę!

W następnej chwili wykręcono i związano mi ręce. Silne ramiona oderwały mnie od ziemi. Goewyn krzyknęła coś w mojej obronie i natychmiast została uciszona.

— Meldron!

To był Siawn Hy. Czekał cierpliwie w cieniu samozwańca, ale teraz odezwał się. Przez chwilę rozmawiali o czymś po cichu, a gdy skończyli, Meldron rzekł:

— Od dawna pragnąłem obejrzeć owo zaczarowane miasto, które zbudował Llew. Jak myślicie, czy jest coś, co może mnie przed tym powstrzymać? Nie? Zatem obejrzę je natychmiast.

Potem zwrócił się do pilnujących nas pachołków:

— Zabrać ich! Zabrać ich wszystkich i za mną!

Wróg szerokim strumieniem wlał się do Druim Vran. Nasza ukryta dolina została zdobyta, a stopy nieprzyjaciół deptały jej drogi. Ludzie zgromadzeni na grzbiecie wzniesienia przyjęli naszą klęskę głośnym zawodzeniem. Ich głosy przepajała rozpacz, jaką chyba słyhać tylko w lamencie matki opłakującej dziecko, które odeszło do ciemnej krainy śmierci. Płacz naszego ludu towarzyszył nam bez przerwy i głęboko ranił me serce.

Wróg poprowadził nas lasem w stronę jeziora. Wszyscy nasi wodzowie mieli związane ręce oraz nogi. Pragnąłem być z Llewem, stać u jego boku, razem z nim spotkać śmierć i razem z nim umrzeć, ciskając przekleństwa Meldronowi prosto w twarz.

Niestety, miałem skępowane dłonie, a poza tym przytrzymywali mnie dwaj wraży wojownicy. Śmierć była blisko; czułem, jak czarne skrzydła przybliżają się z każdym oddechem.

Nie mając nic do stracenia, zawołałem

— Meldronie! Wielki Psie Zniszczenia! Plago i klęsko Albionu! Długi może być twój żywot, a więc starczy ci czasu, by napawać się potępieniem, na jakie zasłużyłeś swymi postępkami. Wielka twa wina, lecz jeszcze większa będzie twoja hańba. Rabusiu! Szkarado! Żyj długo, Meldronie, pław się w nienawiści, która słusznie ci się należy! Czerp rozkosz z odrazy, którą budzi twe imię! Ciesz się z upadku, jaki sprowadziłeś na ten kraj!

Pragnąłem, by słowa te zmieniły się w broń i nękały go długo po tym, jak moje ciało oraz kości rozsypią się w proch.

— Meldronie, wysłuchaj mego oskarżenia! Królu Psów, popatrz na swoje dzieło!—Wyciągnąłem związane ręce w stronę jeziora. — Odetchnij głęboko! Ten smród jest doskonały, prawda? I przysparza niezwyklego splendoru twym rządóm, Meldronie, Królu Zepsucia, Książę Trucizny!

— Uciszyć go! — rozkazał Meldron ze złością. W tym samym momencie dostałem pięścią w twarz; po drugim ciosie głowa poleciała mi do tyłu. Padłem na kolana, poczułem w ustach smak krwi.

Oprzytomniawszy nieco, zobaczyłem czarną, spienioną wodę, połyskującą mętnie w białym świetle nagiego słońca, przeglądającego się w zwierciadle martwego jeziora. Niedaleko ode mnie klęczał na brzegu Llew. Więzy kępowały jego ręce, kolana i kostki. Meldron wznosił się nad nim niczym góra, a z całej jego postaci biło ogromne zadowolenie.

Tuż za Meldronem stał Siawn Hy i, mrużąc oczy, przypatrywał się jeńcom z wypisanym na twarzy wyrazem nieskończonej wyższości.

Ja także przeniosłem wzrok na ciasno stłoczoną gromadę. Na czele więźniów stali Bran, Scatha oraz Calbha ze spuszczoną głową; na jego barku i ramieniu widniały krwawiące rany. Cała trójka, oprócz więzów na dłoniach i stopach, miała pętle na szyjach. Nigdzie nie było widać Nettlesa, natomiast Cynfarch stał dumnie wyprostowany, mając u swego boku buntowniczą Goewyn, której oczy miały płomienie. To właśnie oni mieli umrzeć w pierwszej kolejności.

Na pobliski brzeg przyciągnięto łódź. Meldron kazał umieścić w niej Llewa. Zaraz też czterech wojowników z Wilczej Sfory dźwignęło jeńca w powietrze i jak worek kamieni cisnęło na dno dębunki. Meldron wsiadł do niej również i nakazał, by odepchnięto łódź od brzegu.

Ujrawszy to, pojąłem, co przemyślał szalony w swej dzikości Wielki Pies. Serce tłuło się w mej piersi niczym zamknięte w klatce dzikie zwierzę. Spróbowałem wstać.

— Meldron! — ryknąłem.

Silne ramiona w jednej chwili wdużyły mnie w ziemię, a moje usta znalazły się tuż nad powierzchnią trującej wody.

Wielki Pies chciał zamordować Llewa w odrażający sposób, na oczach całego ludu. Chciał, byśmy wszyscy patrzyli, jak Llew w męczkach oddaje ostatnie tchnienie, jak wody skażonego jeziora powodują, że skóra odpada od ciała, które, zniekształcone, przemienia się w jeden wielki, krwawiący wrzód.

Niewątpliwie, ten nikczemny pomysł podsunął mu Siawn Hy. Przyprawdzili nas nad jezioro, żeby torturować i mordować na oczach wszystkich mieszkańców Dinas Dwr. Zależało im, aby u nikogo nie pozostał choćby cień wątpliwości co do tego, że Llew umarł, a Meldron jest królem.

— Wielki Psie! — zawyłem. — Przeklinam cię! Weź mnie pierwszego, zabij mnie!

Meldron zwrócił ku mnie głowę i tylko się roześmiał.

Szarpnąłem gwałtownie rękami, lecz trzymające mnie dłonie nie puściły, a dodatkowo zostałem skarcony solidnym kopniakiem. Mogłem jedynie bezsilnie czekać na nieunikniony koniec.

Meldron zasiadł do wiosel i powoli wyprowadził łódeczkę na głębinę, wybierając miejsce na tyle oddalone od brzegu, by każdy mógł dokładnie słyszeć i widzieć to, co miało nastąpić.

Tam, mając Llewa u swych stóp, wyprostował się i podniósł ręce gestem szczodrobliwego monarchy, pragnącego podarować coś swemu ludowi.

Ruch ów wzbudził we mnie falę mdłości, albowiem był niczym innym, jak tylko wiernym naśladownictwem ruchów Meldryna Mawra, Najszlachetniejszego Męża Prydainu. Nie tylko ja się na tym poznałem. Usłyszałem głos Brana:

— Meldronie! Przeklinam cię! Ja, Bran Bresal, przeklinam cię do siódmego pokolenia!

Bran usiłował strząsnąć z siebie strażników, lecz musiał ustąpić pod gradem wściekłych ciosów. Widok Meldronowych siepaczy katujących tego szlachetnego wojownika nappełnił mnie wściekłością. Zacząłem krzyczeć i wrywać się oprawcom, ale szybko umilkłem, zdławiony miazdzącą moje gardło wrażą stopą.

Wzięci do niewoli wojownicy podnieśli straszny rwetes przeciwko tak niegodziwemu obchodzeniu się z ich wodzem. Wilcza Sfora, bijąc w bestialski sposób, szybko przywróciła porządek. Te szumowiny ośmieliły się nawet podejść do Scathy, jednakże ich ordynarne zaczepki nie mogły naruszyć jej godności. Przyjmowała drwiny odważnie, z podniesionym czołem, a jej zielone oczy pałały taką wściekłością, że napastnicy szybko dali za wygraną.

Nigdzie nie mogłem dojrzeć Cynana ani Stada Kruków; przestał ich gęsty tłum. Choć stali gdzieś dalej, było dla mnie jasne, że tak jak i cała reszta, podziela oni los Llewa. W chwili obecnej z pewnością także oni obserwowali ohydne widowisko na wodzie.

Meldron stał w łodzi ze wzniesionymi do góry ramionami, z dumnie wypiętą piersią, z błyskiem triumfu w oczach. Zdobiące jego ręce złote pierścienie i bransolety lśniły w ostrych promieniach słońca.

— Ludu mój! — zawołał ponad martwą wodą. — W dniu dzisiejszym będziecie świadkami triumfu. Dzisiaj ujrzycie, jak król weźmie pod swą ochronę cały Albion! Mój ostatni wróg jest pokonany! — Jego słowa były niczym robaki mrowiące się w ustach trupa.

— Patrzcie! — darł się Wielki Pies. — Zobaczycie, jak niszcze moich wrogów! Zobaczycie, jak miażdżę tych, którzy przemyśliwują mnie zdradzić!

Złapał Llewa pod ramiona, szarpnięciem zmusił do wstania.

— Teraz zobaczycie, jak postępuję z tymi, którzy wszczynają przeciwko mnie wojnę! — wykrzyknął głośno, tak, by słyszeli go zgromadzeni na brzegu wojownicy oraz ich jeńcy. — Teraz zobaczycie, jak wygląda moja zemsta!

Llew uniósł głowę i obrzucił Meldrona spokojnym spojrzeniem.

Wielki Pies odwrócił go twarzą w stronę brzegu i zebranego na nim tłumy. Potem, z piekielnym uśmiechem na ustach, mocno pchnął go w plecy. Pozbawiony swobody ruchów, Llew wpadł do wody głową naprzód.

— Nie! Nie! — Szarpiąc się na oślep, Cynan zdołał jakimś cudem dopaść brzegu jeziora. Teraz krzyczał w bezsilnej wściekłości, a strażnicy ciągnęli go z powrotem do grupy jeńców. — Llew!



Nieruchome powietrze zadrżało od przerażonych głosów, rozdzierających jak sama rozpacz. A potem nastąpiła okropna cisza...

Llew poszedł pod wodę natychmiast. Nie walczył, nie przeżył ciała, nie krzychał w udreće konania, jak czynili to wpadający do rzeki wojownicy. Czarna woda pochłonięła go w pojedynczym rozprysku, a zabójcza toń ponownie stała się spokojna i gładka.

Meldron wpatrywał się w miejsce, w którym zniknął Llew. Znać po nim było niezadowolenie z powodu tak nagłej i łagodnej śmierci jeńca. Liczył na znacznie bardziej przerażającą kaźń i teraz czuł rozczarowanie.

Odwrócił się ku ciżbie na brzegu. Zobaczyłem, iż wyciąga ramię w stronę Cynana, który miał umrzeć następnym.

Nim jednak otworzył usta, by wydać rozkaz, jego uwagę przykuł jakiś błysk w wodzie. Ja także go widziałem: słabe migotanie, coś jakby światło odbite od boku srebrnołuskiej ryby, przemykającej tuż pod powierzchnią.

Meldron opuścił rękę i na powrót utkwiał wzrok tam, gdzie utonął Llew. Na jego twarzy walczyły o lepsze zawód z oczekiwaniem. Może jego zemsta zostanie jednak osłodzona sceną męczeńskiej śmierci?

Wydało mi się, że coś zabłysło raz jeszcze, choć może było to tylko słoneczne światło odbite od grzbietu drobnej fali. Tymczasem Meldron nie odrywał oczu od wody, chłonąc w zdumieniu prawdziwy cud.

Goewyn pierwsza zobaczyła to z brzegu. Jej okrzyk popłynął ponad jeziorem niczym dźwięczny akord harfy. Wewnętrzny wzrok podsunał mi obraz dziewczyny — szeroko rozwarte oczy, promieniejąca twarz. Obejrzałem się w ślad za jej spojrzeniem i ujrzałem rzecz niezwykłą:

Wystającą z wody ludzką dłoń.

Inni spostrzegli to również. W niebo wzbili się natychmiast okrzyk radości i ulgi, lecz już po chwili wokół zapadła cisza jak makiem zasiał. Głos uwiązał w gardłach patrzących, albowiem wszyscy zobaczyli, że owa ręka, choć ludzka, nie z ludzkiego była ciała, jeno z zimnego, połyskliwego srebra.

## 38. Srebrnoreki

Ze spokojnej, czarnej wody sterczała lśniąca nieskazitelnym blaskiem srebrna dłoń. Dłoń uniosła się ku górze i wówczas ujrzałem, że wieńczy ona nagie ramię.

— To Gofannon! — wrzasnął męski głos.

— Nie, to Llyr! — zaoponowała tuląca niemowlę niewiasta. Ludzie jęknęli ze zdumienia, gdy w ślad za ręką z martwego jeziora wychynęły głowa oraz ramiona. Nie należały one ani do Gofannona ani do Llyra, tylko do Llewa.

Ujrawszy zamknięte oczy, pomyślałem, że Llew jest martwy. Zaraz jednak jego powieki rozwarły się, a pierś zafalowała głębokim oddechem. Llew strząsnął z twarzy gnijącą ciecz, po czym najspokojniej w świecie popłynął.

Na ten widok tłum oszalał. W pamięci tych ludzi wciąż tkwił świeży obraz ginących w zatrutej rzece wojowników, oczekiwali zatem agonii i śmierci. A Llew tymczasem żył!

Meldron był zdumiony nie mniej od innych, ale szybko doszedł do siebie. Usłyszałem brzęk metalu, gdy dobył z pochwy miecz, na którego nagiej klindze wnet zaślniło słońce.

Wielki Pies skoczył na dziób łodzi, dzierżąc miecz wysoko nad głową.

— Giń! — zaskrzeczał.

Ciął straszliwie do dołu z obydwu rąk, a jego twarz wykrzywiały nienawiść i wściekłość.

— Llew! — wrzasnąłem co sił w płucach.

Czy to ostrzeżony moim wołaniem, czy też powodowany czujnością wojownika, zawrócił na spotkanie spadającemu ostrzu i wzniosł rękę, by sparować morderczy cios.

Miecz uderzył z zatrważającą szybkością. Naprzeciw wyskoczyła mu srebrna dłoń Llewa.

— Uważaj! — ryknął Cynan.

Ta dłoń... Ta dłoń z metalu, przytwierdzona do kikuta... Srebrna ręka pochwyliła rozpedzone ostrze. Łoskot, jaki temu towarzyszył, przypominał huk uderzającego w kowadło młota.

Mordercza klinga poszła w drzazgi; jej błyszczące odłamki szybko pogrążyły się w wodzie. Ostrze pękło, a wraz nim pękło ramię Meldrona.

Kość złamała się z głośnym trzaskiem. Zdjęty przerażeniem Meldron patrzył, jak jego ramię wygina się w kabłąk, a następnie łamię gdzieś między nadgarstkiem a łokciem. A gdy pozbawiona czucia dłoń wypuściła głownię miecza, krzyknął ze złością, poprzez którą przebijało zdumienie. Gwałtownie przycisnął bezwładne ramię do ciała, co spowodowało silny przechył łodzi.

— Skacz! — wrzasnął Siawn Hy.

Gdyby skoczył natychmiast, mógłby się uratować, jednak wahanie trwało zbyt długo. Utraciwszy równowagę na skutek sparowanego uderzenia, Meldron wypadł z łodzi i wybałuszywszy ze strachu oczy, krzycząc przeraźliwie, pogrążył się w zatrutej wodzie.

Choć po stokroć sobie na to zasłużył, katusze, jakie przeszedł przed śmiercią, nikomu z patrzących nie sprawiły radości.

Wściekle młócił czarną maź, broniąc się przed utonięciem, ale spotkał go taki sam los, jaki przedtem stał się udziałem jego nieszczęsnych wojów. Skóra Meldrona sfałdowała się i popękała, odsłaniając żywe mięso tam, gdzie dotyk trucizny zrodził pręgi oraz krwawe wrzody. Błyskawicznie postępujący rozkład odrywał ciało od ścięgien, a ścięgna od kości.

Wielki Pies miotał się i wył w mękach agonii, darł pazurami własne członki, jak gdyby chciał dopełnić dzieła zniszczenia. Z jego gardła popłynął odrażający skowyt, a tułów drgał gwałtownie, jakby pod gradem przeszywających go włóczni. Od czaszki gnijącymi płatami zaczęły odpadać włosy. Otworzył szeroko usta, by zaczerpnąć tchu przed ostatnim, udręczonym jękiem, ale woda — zjadliwa swym zepsuciem — zalała je, tłumiąc na zawsze jego głos. Jeszcze raz poruszył słabo głowę i skonał. Czarna woda natychmiast wessała ciało, lecz w następnej chwili wypłuła Meldrona z powrotem, a on, cichy i nieruchomy, zakoił się na powierzchni, mierząc martwym wzrokiem puste niebo.

Llew zawrócił do brzegu. Płynął, dopóki nie zmacał dna pod stopami, po czym stanął w miejscu. Jego przyodziewek zniknął,

podobnie jak i kłępujące go postronki. Zabójcza trucizna zżarła wszystko, pozostawiając go nietkniętym i czystym. Skóra jego wolna była od najmniejszej skazy, zaś członki zdrowe. Uniósł do oczu srebrną dłoń i oglądał ją w najwyższym zdumieniu. Wnet postąpił naprzód, co ujrawszy, woje Meldrona uczynili krok w tył. Przytrzymujące mnie ręce najpierw poluzowały, a następnie całkiem zwolniły chwyt. Odzyskawszy swobodę ruchów, z trudem stanąłem na nogi i pobiegłem, potykając się co chwila o sterczące z ziemi kamienie.

Llewa dzieliło od brzegu jeszcze kilka kroków. Cały ociekał wodą i wyglądał na mocno oszołomionego tym, co go spotkało.

Dopadłszy skraju wody, zawołałem:

— Llew! Wychodź na brzeg!

Nadbiegł Cynan. Patrzył w milczeniu i z niedowierzaniem kręcił głową.

— On żyje! — uradowała się Goewyn, która do nas dołączyła. Trzymała w dłoni nóż, więc szybko rozcięła rzemienie na moich dłoniach. — Dlaczego on nie wychodzi?

— Nie mam pojęcia — odrzekłem, wpatrzony w Llewa.

Cynan podsunął Goewyn swoje związane ręce, a ona oswobodziła go paroma krótkimi ruchami. Potem zwrócił głowę ku jezioru, pośpiesznie podszedł na skraj wody i zawołał:

— Patrzcie! Woda!

Mój wewnętrzny wzrok powędrował we wskazane przezeń miejsce. Ujrzałem Llewa, który nadal trwał w bezruchu; wysoki, z uniesioną srebrną dłonią. A wokół niego falowała czysta, przejrzysta woda. Pas pomiędzy Llewem a brzegiem był już zupełnie czysty i poszerzał się nieustannie ze zdumiewającą szybkością.

Paskudna, czarna trucizna ustępowała, rozpuszczała się i znikła bez śladu w zetknięciu z idącymi od Llewa falami. Jego obecność zdawała się wywierać wpływ równie zbawienny, co słońce płonące na mrocznym nieboskłonie, które jasnością swego światła wypala mgłę oraz przegania chmury.

— W wodzie jest uzdrowienie — wyszeptła Goewyn, gorączkowo splatając dłonie. W jej oczach potyskiwały łzy.

Gdy tylko to powiedziała, ruszyłem do Llewa.

— Tegid! — Cynan zerwał się jak oparzony, aby mnie powstrzymać.

Zrobiłem dwa kroki, zawadziłem stopą o kamień i padłem jak długi, a wody jeziora zamknęły się nade mną. Poczułem dziwne pieczenie w oczach. Zdyszany poderwałem się na nogi i obiema dłońmi zacząłem przecierać twarz. Spomiędzy palców sączyło się jasne światło. Opuściłem ręce i zamrugałem oczami.

Wszystko wokół wyglądało tak samo, jak pokazywał to mój wewnętrzny wzrok, było jednak wyraźniejsze, jaskrawsze i barwniejsze niż przedtem. Wewnętrzna wizja oraz obraz odbierany za pośrednictwem oczu stały się jednym! Ja widziałem! Oszałamiające, roziskrzzone, niezmiernie przejrzyste, wspaniałe światło wpadało mi do oczu. Zamknąłem powieki i światło zgasło. A więc to była prawda! Zostałem uleczony!

Cynan poszedł w moje ślady. Z dzikim wrzaskiem dopadł Llewa, zamykając go w potężnym uścisku. Dołączyła do nich Goewyn. Szczęśliwa, rzuciła się Llewowi na szyję i zasypała go pocałunkami.

Wstałem, podszedłem do Llewa, położyłem mu dłonie na ramionach.

— Ty żyjesz! — powiedziałem. — Meldron umarł, a ty żyjesz!

— Już po wszystkim! — zakrzyknął Cynan. — Meldron umarł!

Llew odpowiadał na uściski przyjaciół, czynił to jednak jak ktoś, kto nie bardzo wie, co się właściwie stało. Wyciągnął ku nam srebrną rękę. Ująłem ją w dłonie. Metal był chłodny w dotyku, jasny i lśniący niczym wypolerowane zwierciadło. Dłoń z lekko zakrzywionymi palcami otwierała się w geście dawania czy też może prośby.

Gładką, srebrzystą powierzchnię pokrywały spirale, zwoje i węzły — cieniutkie linie wryte w metalu. Grzbiet dłoni zdobił Mor Cylch, Taniec Koła, Labirynt Życia. Zamrugałem oczami, wciąż niepewny tego, co mi pokazywały. Dotknąłem symbolu palcem i zacząłem wodzić nim wzdłuż wspaniale oddanych zwojów, których wklęsłość z niebywałym mistrzostwem powleczone złotem. Zaiste, było to dzieło godne prawdziwego mistrza, wspaniałe w zamyśle, niedoścignione w wykonaniu, twór prawdziwego księcia kowali.

Dotykając linii labiryntu, przypomniałem sobie słowa obietnicy:  
Obdaruję cię mocą twej pieśni.

Przed oczami stanął mi obraz tego, który je wypowiedział: Gofanna, Pana Lasu i Mistrza Kuźni. Dałem mu pieśń, za którą otrzymałem w zamian wspaniały dar, mój wewnętrzny wzrok. Llew narąbał drzewa, ale tamtej nocy nie otrzymał żadnej nagrody.

Obdaruję cię mocą twej pieśni — obiecał Gofannon i teraz wypełnił swe przyrzeczenie względem Llewa. Albowiem pieśnią śpiewaną przeze mnie tamtej nocy był Bładudd Skalany Książę. Och! Jakież był ze mnie tępogłowy osioł! Z pewnością śpiewałem wtedy dla Szybkiej Pewnej Ręki!

Pełnym czci gestem przyłożyłem dłoń do czoła:

— Bądź pozdrowiony, Srebrnoreki! Wita cię twój sługa!

Z głośnym pluskiem, w tysięcznych rozbryzgach, ludność Dinas Dwr, wyzbywszy się strachu, pospieszyła do jeziora, którego wody odzyskały dawną nieskazitelną czystość. Starzy i młodzi czerpali dłońmi życiodajny płyn, by następnie wlewać go w wyschnięte gardła. Polewali nim rozpalone od słońca głowy, znajdując ukojenie; zanurzali w nim ciała i odyskiwali czystość. Dzieci pluskały się i dokazywały niby wesołe jagnięta.

Znużony pragnieniem, oszołomiony widokiem takiego mnóstwa świeżej wody, wróg rzucał broń i pędził, by dołączyć do rozradowanej gromady. Tarcze i hełmy, miecze i włócznie z brząkiem leciały na kamienisty brzeg, wprost pod nogi pędzącego ku jezioru tłumy. Wraży wojownicy — albo raczej ci, którzy prawdziwymi wojownikami nie byli — oswobodzeni spod okrutnej władzy Meldrona, klęczeli w wodzie i ronili łzy radości.

Ich przepełnione wdzięcznością serca nie dopuszczały do nas myśli o jakiegokolwiek karze. Pod rządami Meldrona zaznali najokrutniejszych prześladowań; jakże moglibyśmy powiększać jeszcze ich cierpienia? Przecież tak naprawdę, oni nigdy naszymi wrogami nie byli.

Kruki wespół z drużyną Calbhy wyłapali natomiast wodzów Meldrona oraz wojów z jego Wilczej Sfory. Pięćdziesięciu ponurych zbirów stało na brzegu, czekając na nasz osąd.

Bran wzniosł włócznię i zawołał:

— Llew! Tegid! Jesteście nam tutaj potrzebni.

Calbha z Branem stali razem, ich zaś wojownicy pozostawiali nieco z tyłu, otaczając ciasnym pierścieniem Wilczą Sforę. Podeszliśmy do nich, a wówczas Bran i Calbha rozstapili się na boki, odsłaniając swego więźnia — Siawna Hy. Jego głowa była nisko spuszczone, jak gdyby całą uwagę skupił na oglądaniu krepujących dłonie postronków.

Siawn wyprostował się i obrzucił nas gniewnym spojrzeniem. Na jego prawej skroni ciemniała potężna opuchlizna.

— Głupcy — syknął. — Myślicie, że odnieśliście dzisiaj zwycięstwo. Nic się nie zmieniło. Niczego nie wygraliście.

— Milczeć! — ostrzegawczo rzucił Bran. — Nie wolno ci tak mówić do króla.

— To już koniec, Simon — powiedział Llew.

Usłyszawszy swe dawne imię, Siawn zaczerpnął tchu i splunął mu w twarz. Dłoń Brana, szybka jak wąż, uderzyła Siawna w usta. Z rozbitych warg popłynęła krew. Bran chciał uderzyć jeszcze raz, ale Llew potrząsnął głową.

— To już koniec — powtórzył. — Meldron nie żyje.

— Mnie także zabij — mruknął głucho Siawn. — Nigdy ci się nie podporządkuję.

— Gdzie jest Paladyr? — spytałem, lecz zamiast odpowiedzi usłyszałem jedynie pogardliwe prychnięcie.

Calbha wskazał Siawna Hy, a potem resztę Wilczej Sfory ostrzem nagiego miecza.

— Co z nimi uczynić? — Jego głos zabrzmiał zimno i twardo.

— Zabierzcie ich do składów i zamknijcie pod dobrą strażą — polecił Llew. — Zajmiemy się nimi później.

Alun Tringad z Garanawem powiedli Siawna pod rękę, Wilczą Sforę pomaszerowała pod czujnym okiem wojów Calbhy.

Drustwn i Niall pobrnęli wodą do miejsca, gdzie unosiły się zwłoki Meldrona. Wrzucili je do łodzi niczym przemoczony worek ziarna, a następnie odciągnęli na ubocze, by jak najszybciej pogrzebać samozwańca w jakimś ustronnym miejscu.

Scatha obserwowała tę scenę ze skrzyżowanymi na piersi rękami i lodowatym uśmiechem na ustach.

— Miałam nadzieję ujrzeć jego głowę na grocie mojej włóczni, ale też mi wystarczy.

Llew pokivał głową, po czym ruszył w ślad za kolumną jeńców. Nie uszedł daleko, gdy Cynan podniósł z ziemi porzucony miecz, podniósł go wysoko i zawołał:

— Wiwat Srebrnoreki! Niech żyje!

Bran uniósł ramię uzbrojone we włócznię.

— Wiwat Srebrnoreki! — zawtórował, potrząsając orężem. I oto nagle cała dolina zatrzęsała się od okrzyków. Mieszkańcy Dinas Dwr pospołu ze swymi niedawnymi wrogami przerywali zabawy w wodzie i odwracali się, aby pozdrowić przechodzącego Llewa. — Srebrnoreki! — popłynęły zewsząd uradowane głosy. — Niech żyje Srebrnoreki!

Wiwaty przetaczały się jeden po drugim, wznosiły coraz wyżej, jakby chciały dosięgnąć lśniących niebios i potrząsnąć nimi z siłą gromu. Idący brzegiem Llew przystanął, zwrócony twarzą do gęstniejącego tłumu, i podniósł wysoko srebrną dłoń.

Nie mogliśmy jednak świętować zwycięstwa, dopóki nasi zabici leżeli bez pochówku. Jakże mieliśmy się weselić, mając oczy pełne łez? Jak ucztować, skoro nasi współplemieńcy byli wydani na pastwę dzikiej zwierzyny?

Odpocząwszy nieco, posiliwszy się i popiwszy posiłek wspaniałą, słodką wodą, powróciliśmy zatem na pole bitwy, aby pozbierać ciała zabitych.

Tych zaś było bardzo wielu; prawie połowa wojów, którzy zeszedli do boju ze wzgórz, nie wróciła do domu. Calbha poniósł największe straty — Cruin byli zdziesiątkowani. Także hufiec Cynana zapłacił straszliwą cenę, co dla Cynfarcha stało się prawdziwym wstrząsem. Straty Llewa i Scathy były lżejsze, ale nawet jedna śmierć była jedną śmiercią za dużo i oboje mocno to przeżywali. Jedyne Stado Kruków wyszło z zawieruchy bez szwanku. Dlatego to właśnie Bran ze swymi Krukami otrzymali rozkaz pogrzebania naszych wojowników.



Każdy z naszych poległych w boju towarzyszy zasłużył sobie na pogrzeb należny bohaterowi. Ponieważ zginęli razem, razem też zostali pochowani w jednej ogromnej mogile, ramię w ramię, z włóczniami w dłoniach oraz tarczami ułożonymi na ciałach. Potem okryliśmy ich płaszczami i wznieśliśmy nad grobem chatę z darni.

W tym czasie rzemieślnicy ściągnęli z górskiego zbocza wielkie bloki kamienia. Kiedy wzgórek ponad mogiłą był już gotowy, zbudowaliśmy okazały dolmen, aby oznaczyć to miejsce.

Było już późno, gdy ukończywszy pracę, mogliśmy nareszcie zająć się wojownikami wroga. Słońce zaszło, a na pociemniałym niebie zapłonęły gwiazdy.

— Niechaj czekają — zaproponował Cynan. — Spieszno im było zająć tę ziemię, niechże więc teraz napawają się owocami swego trudu.

Llew bez słowa wpatrywał się w sterty ciał poległych nieprzyjaciół.

— Nie, Cynanie — odparł wreszcie. — To nie jest słuszne. Większość z nich nie była przecież wojownikami Meldrona...

— Ale dla niego walczyli, dla niego umierali. Niechaj teraz on się o nich zatroszczy. — W głosie Cynana rozbrzmiewała gorycz.

— Bracie — pojednawczo rzucił Llew. — Rozejrzyj się dokoła. Popatrz na nich. Byli zwykłymi wieśniakami, nieobeznanymi z wojennym rzemiosłem oraczami, drwalami i pasterzami. To nie była ich wojna. Wielki Pies okrutnie ich wykorzystał i spisał na straty. My wycierpieliśmy niemało, ale oni także są ofiarami jego rządów. Nie możemy wiele dla nich zrobić, okażmy im więc przynajmniej szacunek po śmierci.

Aczkolwiek niechętnie, Cynan przystał na tę propozycję. Potarł kark i omiół spojrzeniem szybko ciemniejącą równinę.

— I niby jak miałyby to wyglądać?

— Pogrzebmy ich tak samo, jak naszych braci — odrzekł Llew.

— Nie zasługują na to — ponuro stwierdził Cynan.

— Być może — zgodził się Llew. — A jednak, tak czy inaczej, zrobimy to dla nich.

— Dlaczego?

— Ponieważ my żyjemy i mamy możliwość wyboru, a oni nie! — odparł Llew z przejęciem. — Zrobimy to dla nich i dla samych siebie.

Cynan poskrobał się po głowie.

— Oni i tak nie dostrzegą żadnej różnicy.

— Ale my ją dostrzeżemy.

— To dobre rozwiązanie — wtrąciłem szybko — ale już zmierzcha, a my jesteśmy mocno utrudzeni. Udajmy się zatem na spoczynek, a pracę dokończymy rankiem.

Llew zdawał się mnie nie słyszeć. Pokręcił jedynie głową, więc natychmiast dodałem:

— Jutro także dla nich wzniesiemy dolmen. Patrząc nań, będzie my pamiętać, jak straszliwym panem może być strach i z jaką łatwością może on zawładnąć ludzką duszą.

Llew nadal wpatrywał się w okryte kurzem pole bitwy, a jego sylwetka stała się niemal niewidoczna na tle coraz ciemniejszego krajobrazu.

— A zatem odejdźcie obaj. Odpocznijcie, zażyjcie snu. Ale ja nie spocznę, dopóki nie zniknie ostatni ślad panowania Meldrona.

Oddalił się samotnie w noc. Spoglądając w ślad za nim, Cynan rzekł:

— W takim razie długo będzie musiał obywać się bez snu. Przecież w całym Albionie nie ma zagrody, której nie dotknęłyby zaraza Meldronowych rządów. — Popatrzył na mnie. — *Clanna na cú!* Tegidzie. Czy kiedykolwiek słyszałeś coś takiego?

— Nie — przyznałem. — Nigdy. Ale nadchodzi nowy ład. Myślę, że wszyscy będziemy musieli wiele się nauczyć. — Położyłem mu dłoń na ramieniu. — Rozkaż, by przyniesiono pochodnie. I jedzenie. Będziemy pracować w nocy.

I tak też się stało. Pracowaliśmy całą noc i długi, gorący dzień, jaki po niej nastąpił. Lud Dinas Dwr pracował ramię w ramię ze swymi wczorajszymi wrogami, chętnie i sprawnie. Efektem ich trudu były dwa wyrastające z równiny kopce — jeden u podnóża Druim Vran, gdzie spoczywali nasi wojownicy, i drugi nad rzeką, gdzie siły Meldrona ucierpiały najbardziej. To był szlachetny czyn. Ludzie to

rozumieli, nawet jeżeli nie pojmowali, dlaczego Llewowi tak bardzo zależało na pośpiechu. Powiedział, że nie będzie mógł zasnąć, dopóki praca nie zostanie zakończona, i myślę, że były to słowa płynące z głębi serca. Zaiste, nowe nie mogło nadejść dopóki stare nie zostało należycie pogrzebane.

Kiedy rzemieślnicy położyli ostatni kamień dolmenu, słońce stało już nisko, zalewając obłożony darnią wzgórek powodzią światła miodowej barwy. Oświetlony nim dolmen kładł się długim cieniem na zielonej równinie. Posłałem Gwiona po harfę, sam zaś zebrałem chór niezbędny do odśpiewania Trenu dla Bohaterów.

Od dawna nie rozbrzmiewały wśród nas podnoszące na duchu tony harfy ani złączone pieśnią głosy. Dzisiaj, słysząc śpiew, ludzie płakali. Płakali ze smutku, to prawda, ale w ich łzach było coś ozdrowieńczego. Śpiewaliśmy, a nasze oczy i dusze ronily łzy.

Gdy lament dobiegł końca, ludzie poprosili o jeszcze. Błądziłem palcami po strunach i zastanawiałem się, jaką pieśń im ofiarować. Dobrze mi było z harfą przytuloną do ramienia, toteż palce znalazły wkrótce właściwą drogę. Zacząłem śpiewać, a była to pieśń, którą kiedyś mi dano. Śpiewałem, zaś słowa rozpały jeszcze raz tamten obraz i od tej chwili narodził się on do życia w świecie ludzi.

Wyśpiewałem im lesistą dolinę o stromych zboczach, której wysokie sosny mierzą w niebo... Wyśpiewałem tron z rogów jelenia na trawiastym pagórku, przyozdobiony śnieżnobiałą skórą wołu... Wyśpiewałem lśniącą tarczę, na skraju której przysiadł kruk z rozpostartymi skrzydłami i napelnił dolinę swym przenikliwym głosem. Wyśpiewałem sygnałowe ognisko płonące pod nocnym niebem, na którego zew odpowiadają ognie z sąsiednich wzgórz... Wyśpiewałem jeźdźca na koniu jasnopłowej maści, który wypada galopem z szarej mgły, krzesząc kopytami iskry z kamieni... Wyśpiewałem wielką armię skapaną w górskim jeziorze, którego zimne wody zabarwiły się czerwienią od ran wojowników... Wyśpiewałem kobietę przyodzianą na białą, stojącą wśród zieleni, podczas gdy słoneczne promienie przydawały jej włosom blasku złotego ognia... Wyśpiewałem cairn, kopiec nad grobem bohatera...

Kiedym śpiewał, zachodzące słońce okraśniało niebiosy odcieniami

czerwieni oraz złota. Rozświetlone różowym płomieniem chmury rozciąły się na niebie na podobieństwo palców. Nastął czas-pomiędzy-czasem, ja zaś stałem przed wzniesionym na wzgórzu dolmenem, w świętym miejscu. Słowa wypowiedziane w takiej chwili stają się iskrami rozpalającymi ludzkie serca. Czułem przez skórę, że zdarzenia, o których śpiewałem, miały dopiero nadejść; czułem, że nadejdą na pewno.

### 39. Oran Mor

Następnego dnia odpoczywaliśmy i nabieraliśmy sił. Było już dobrze pod wieczór, kiedy Cynfarch i Calbha wezwali nas na radę.

— Nie może tak być, że zbóje Wielkiego Psa żyją i oddychają tym samym co i my powietrzem, a nasi bracia leżą w ziemi — mocnym głosem oznajmił Cynfarch. — Sprawiedliwości musi stać się zadość.

— Król ma rację — dodał Calbha. — Im szybciej zrobimy z tym porządek, tym lepiej. Uczyńmy to teraz.

Llew zerknął w moją stronę.

— I co ty na to, Tegidzie?

Obaj królowie wyglądali na nieugiętych; jedynie sąd nad jeńcami mógł ich uspokoić.

— To prawda—przyznałem. — Ta sprawa musi być rozstrzygnięta wcześniej czy później. Niechaj więc stanie się to wcześniej.

— Bardzo dobrze — zgodził się Llew. — Zbierzemy się nad jeziorem.

Przeszliśmy z crannogu pod nadbrzeżne składy, gdzie pod strażą przetrzymywano jeńców. Zasiedliśmy twarzą do wody na rozścielonych na ziemi wołowych skórkach — pośrodku Llew, na prawo od niego Bran, a na lewo ja. Obok mnie usiadła Scatha, za nią Cynan, Cynfarch oraz Calbha. Za naszymi plecami zebrała się liczna gromada mieszkańców Dinas Dwr, pośród których wypatrzyłem drobną postać Nettlesa.

Kruki przyprowadzili jeńców i ustawili ich nad wodą: pięćdzie-

sięciu wojowników z Wilczej Sfory oraz Siawna Hy. Wszyscy mieli skrępowane ręce i łańcuchy na nogach. Amulety z odłamkami śpiewających kamieni zabrano im zaraz na początku niewoli.

Pierwszy odezwał się Cynfarch. Posławszy więźniom zimne spojrzenie, powiedział:

— Czy jest ktoś, kto chciałby przemawiać w imieniu pozostałych? — Gdy nikt się nie zgłosił, spytał: — Kto spośród was jest przywódcą?

Siawn Hy podniósł głowę.

— Jak śmiesz udawać, że jesteś naszym sędzią? Jakie masz do tego prawo?

— Moim prawem jest najwyższa władza w Caledonie — odparł Cynfarch. — Ty i ci, którzy są z tobą, mordowaliście ludzi i niszczyliście ziemię. Gwałciliście, grabili, burzyli...

— Wypełnialiśmy rozkazy naszego króla! — warknął Siawn. — Służyliśmy mu tak, jak twoi wojownicy służą tobie. Ale ty nasze posłuszeństwo nazywasz zdradą, a naszą wierność—przestępstwem wobec królewskiej władzy.

— Jesteście złodziejami i mordercami! — zakrzyknął Cynan. — Wszystko zniszczyliście!

— Nie zrobiliśmy niczego, czego i wyście nie czynili — odparł Siawn. — Któż z was nie podniósł miecza przeciw drugiemu? Któż z was nie wziął rzeczy niebędącej jego własnością?

Tak Cynfarch jak i Calbha zamilkli nagle z niewyraźnymi minami. Siawn skwitował to złośliwym uśmiechem.

— Robiliście to, a także wiele innych rzeczy. A potem usprawiedliwialiście się przed sobą, mówiąc: „Jesteśmy królami, to nasze prawo”. A kiedy pojawia się ktoś taki jak Meldron, nazywacie go mordercą i złodziejem. Wszyscy słabi ludzie są tacy sami — stają się tchórzami wobec silniejszego od siebie. Jesteście źli, lecz nazywacie to cnotą; jesteście słabi, lecz swą słabość podnosicie do rangi cnoty. A przecież każdy z was uczyniłby to samo, co Meldron, gdy by tylko starczyło mu na to odwagi. Byliście zadowoleni, siedząc w swych małych królestwach, ale tylko dlatego, że baliście się wziąć więcej.

— Zamilcz! — ryknął Cynfarch.

Siawn Hy roześmiał mu się w twarz.

— Widzisz! To prawda. Każesz mi milczeć, bo słyszysz w mych słowach prawdę i nie możesz jej znieść. Potępiacie nas za to, czego wam samym brakuje: woli i odwagi, by pójść w ślady Meldrona.

Calbha poderwał się na nogi.

— Kłamca! — wrzasnął wściekłym głosem. — Nie będę tego słuchać!

— A to niby czemu? — spokojnie spytał Siawn. — Czyżbyś, Calbho, zapomniał o wojnach toczonych z Meldrynem Mawrem? I to, o ile dobrze pamiętam, wszczętych z powodu jakiejś obraźliwej uwagi o myśliwskich psach. To ci wystarczyło, żeby usprawiedliwić zajęcie ziem Prydainu.

Calbha spiorunował wzrokiem więźnia, zaskoczony, że Siawn zapamiętał, a teraz wyciągnął na światło dzienne zdarzenie z zamierzłej przeszłości.

— To było co innego — wymamrotał.

Ja również pamiętałem spór, na który tak sprytnie powołał się Siawn Hy. Calbha i Meldryn Mawr stoczyli wiele bitew tylko dlatego, że Calbha uczynił niezręczną uwagę o psach myśliwskich Meldryna. Prawdziwość słów Siawna była tutaj bezsprzeczna. Jednym mistrzowskim posunięciem zupełnie rozbroił Calbhę.

Cynfarch pośpieszył z pomocą królowi Cruinów.

— Calbha i Meldryn toczyli swój spór dawno temu i jego roztrząsanie w chwili obecnej niczemu nie służy. To jest sąd nad Meldronem.

— Wasze rachunki z Meldronem zostały już wyrównane — zaoponował Siawn. — Dlaczego sądzicie nas dzisiaj za jego przewiny?

— Nie mógłby dokonać tego, czego dokonał — wtrącił Bran — gdybyście go nie wspierali.

— Od kiedy to jest zbrodnią wspieranie swojego króla?—spytał Siawn Hy. Wilcza Sfora z każdą chwilą odyskiwała zwykłą pewnością siebie. — Porzuciłeś swego władcę i myślisz, że daje ci to prawo do wydania na mnie wyroku?

Bran spojrzął na Siawna tak, jakby ujrzał przed sobą gotującego się do ataku jadowitego węża.

— To było inaczej. Przeinaczasz prawdę tak, by pasowała do twoich kłamstw.

— Czyżby? — prychnął Siawn. Wobec tego powiem ci, że gdyby to Meldron wygrał, na moim miejscu stanąłbyś ty, aby odpowiedzieć za swoją zdradę. Tak właśnie wygląda prawda. Zaprzecz, jeśli potrafisz.

Llew nachylił się do mego ucha.

— Widzisz? To mistrz w toczeniu dysput. Jeszcze trochę, a zmusi nas do przyznania mu racji.

— Co zrobisz?

Zmarszczył brwi.

— To był pomysł Cynfarcha, nie mój. Chyba zaczekamy i zobaczymy, co nastąpi dalej. — Szybko rozejrzał się dokoła, jakby kogoś szukał. — Gdzie Nettles?

— Niedaleko. Czy to coś pilnego?

— Wezwij go. Myślę, że powinien tu być. Możemy go potrzebować.

Wstałem i wszedłem w tłum za moimi plecami. Od momentu rozpoczęcia obrad zebrało się tylu ludzi, że początkowo nie mogłem go wypatrzeć. Natomiast Nettles, widząc że chcę kogoś odnaleźć, szybko się ku mnie przecisnął.

— Llew prosi, byś przyszedł — powiedziałem. — Chce, abyś do nas dołączył.

Nie odrzekł na to ni słowa, tylko pokiwał głową, jak gdyby rozumiał, w czym rzecz. Wróciliśmy na miejsce u boku Llewa. Akurat przemawiał Calbha, mogliśmy więc przez chwilę porozmawiać.

— Jesteś, Nettles — ucieszył się Llew. — To dobrze. Słuchaj, nie mamy czasu. Rozumiesz?

— Tak — odparł białowłosa człowieczek.

— Dobrze. Postaram się załatwić to jak najprościej. — Wskazał ustawionych na brzegu jeziora jeńców, których sylwetki w promie-

niach zachodzącego słońca rzucały długie cienie. — Oni stoją przed sądem, rozumiesz?

Nettles pokiwał głową.

— Sąd wojenny. Rozumiem.

— To dobrze. — Llew zerknął w moją stronę. — To bardzo dobrze.

Gdy Calbha skończył, głos zabrała milcząca dotąd Scatha.

— Mówisz o posłuszeństwie i prawie, ale sam zaatakowałeś Ynys Sci, łamiąc śluby wierności, nienaruszone przez nikogo od wielu pokoleń. Za to jesteś teraz sądzony.

— Ach tak, Scatha, wódz naczelny. Chylę czoło przed tą, która tak wielu wojowników nauczyła sztuki zabijania — głos Siawna stał się ostry niczym sztylet. — Dopóki twe nauki praktykowano na innych, byłaś zadowolona. Wystarczyło jednak najechać twoje królestwo, a od razu krzyczysz o niesprawiedliwości. Nauczyłaś mężczyzn zabijania, uzbroiłaś ich i wysłałaś w świat, ale poczytujesz im za zbrodnię, gdy robią użytek z nabytych umiejętności. Jakże jesteś śmieszna i niedorzeczna, Pen-y-Cat.

Bezlitosna logika Siawna zwiodła wszystkich, sędziów i widzów, a jego podstępny język zepchnął ich do obrony. Calbha z Cynfarchem nie spodziewali się takiego obrotu spraw, toteż wprost kipieli z wściekłości. Jeszcze przed chwilą tak pewni swego, wyraźnie stracili animusz. Członkowie rady wdali się w jakieś rozważania pomiędzy sobą. Korzystając z chwili przerwy, Llew zwrócił się do Nettlesa.

— To Simon, pamiętasz go?

Człowieczek skinął głową, mierząc przy tym Siawna baczny spojrzeniem, a po chwili rzekł coś w swoim języku. Llew mu odpowiedział, po czym — na mój użytek—odezwał się w naszej mowie.

— Nettles twierdzi, że Weston i pozostali Dyn Dythri porozumiewali się z Simonem. Próbowali go odnaleźć. Od samego początku Simon stanowił wielkie zagrożenie dla Albionu. Zajął miejsce u boku Meldrona, aby z każdej sytuacji wyciągnąć ile się da dla siebie.

— Dzisiaj miejsce Meldrona jest w Uffern — wtrąciłem. — Myślę, że nadeszła pora, ażeby Siawn Hy dołączył do swego pana.



Siawn, teraz już otwarcie szczerzący zęby w uśmiechu, zakrzyknął gromko:

— Nie macie prawa nas sądzić! Puście nas wolno!

Llew posłał mi pytające spojrzenie. Wiedziałem, że w głębi serca waży swoją decyzję.

— Tyś jest prawowitym królem — rzekłem, kładąc dłoń na jego ze srebra odlanej ręce. — To ty wymierzasz sprawiedliwość. Cokolwiek postanowisz, ja cię wesprę.

Siawn Hy stał przed radą z wyzywającą miną, gotów na słowną utarczkę z kolejnym oponentem. Tym razem był nim Llew.

— Mówisz, że nie mamy prawa cię sądzić, ale jesteś w błędzie. Jest bowiem ktoś bez skazy, kto wzywa cię do wyrównania rachunków.

— Któż to taki? — drwił Siawn. Jeżeli tutaj jest, niechaj wystąpi naprzód, żeby nas potępić. — Czując coraz pewniejszy grunt pod nogami, Wilcza Sfora poparła Siawna i zaczęła głośno domagać się, by ów niewinny oskarżyciel pokazał swoją twarz.

Llew wstał z miejsca.

— Ja jestem bez skazy — rzekł z prostotą. — Nie uczyniłem niczego złego, a jednak doświadczyłem z waszych rąk zła i niesprawiedliwości. Za to, a także za każdą kroplę przelanej niewinnie krwi, potępiam was.

Na niepewne z początku oblicze Siawna wypłynął szeroki uśmiech triumfu.

— Możesz mnie potępić do woli, przyjacielu. Nie jesteś królem, a zatem nie masz prawa ferowania wyroków.

— Jestem królem — zaoponował Llew. — Najwyższa władza może być przekazana wyłącznie przez naczelnego barda. Panowanie nad Prydainem otrzymałem z rąk Tegida Tathala podczas obrzędu Tan n'Righ.

Siawn zaniósł się głośnym, ochryplym śmiechem, a kiedy przemówił, jego słowa ociekały złośliwością.

— Ty? Królem? Ty jesteś kaleką, przyjacielu! Kaleki mąż nie może być królem.

Ale Llew po prostu wzniosł do góry srebrną dłoń i, jeden po drugim, zgiął kolejno palce. Wszyscy — w tym i ja — oglądali ten cud w najgłębszym zdumieniu. Owa dłoń zachowywała się jak prawdziwa!

— Jak widzisz, Simon, już nie jestem kaleki. — Odwrócił się twarzą do tłumu, po czym podniósł głos, tak by wszyscy go słyszeli. — Tą dłońią biorę z powrotem królewską władzę, którą mi ukradziono!

— Kto uznaje w tobie króla? — spytał Siawn z wściekłością, w której po raz pierwszy zabrzmiały również tony rozpacz. — Kto za tobą pójdzie?

— Ja — spokojnie zapewnił Bran. — Idę za nim i jemu służę.

— Ty zdradziłeś swojego króla, Branie Bresal. Opuścisz go, kiedy było ci to wygodne. Skoro twierdzisz, że takie właśnie jest prawo, niechże i nam dana będzie taka sama szansa. Pozwólcie nam złożyć przysięgę wierności nowemu panu.

Jego słowa zrodziły nowe wątpliwości w łonie rady.

— Może rzeczywiście należałoby dać im możliwość wyboru — niepewnie zaproponował Calbha. — Ale czy można im wierzyć?

— A jaką szansę mieli nasi zabici? — odrzekł Llew. — Jakiego wyboru dokonali ci, którym gwałt oraz morderstwo sprawiały przyjemność? — Posłał jeńcom twarde, zdecydowane spojrzenie. — Mogli wybierać wiele razy, ale zawsze gdy tylko nadarzała się sposobność, chwyтали za miecz lub włócznię.

— Llew ma rację — rzekła Scatha. — Oni wielokroć wybierali pana, któremu chcą służyć.

— Zgadzam się — dodał Cynan. — Jeżeli pragniecie dać im możliwość wyboru, to niech wybierają, czy chcą zginąć z własnej ręki, czy też z naszą pomocą.

Cynfarch i Calbha również wyrazili zgodę.

— A zatem postanowione — oznajmił Llew i odwrócił się ku szeregowi czekających jeńców. — Za wasze występki w służbie bezprawnie panującego Meldrona skazuję was i żądam, aby dług krwi spleacony został krwią.

— Llew — popłynął przez ciszę głos Scathy — pozwól mi uczestniczyć w wykonaniu wyroku. Jeżeli któremukolwiek z nich zabraknie odwagi, ja chętnie mu dopomogę.

— Niechże tak się stanie — odparł Llew.

Więźniów powiedziano brzegiem jeziora i dalej, aż na rozciągającą się poza Druim Vran równinę, gdzie kazano im stanąć przed mogiłą wojowników Meldrona.

My zatrzymaliśmy się nieco poniżej kopca, mając za plecami zachodzące słońce. Wielu mieszkańców grodu przyszło wraz z nami obejrzeć egzekucję, ale nie mniejsza ich liczba, mając dosyć rozlewu krwi, pozostała w Dinas Dwr. Goewyn i Nettles znaleźli się w gronie patrzących. Stali w pierwszym szeregu, obserwując, jak jeden po drugim, skazańcy otrzymują prawo wyboru: śmierć z ręki własnej albo Scathy.

Trzydziestu mężów poprosiło o miecz i odebrało sobie życie — niektórzy z krzykiem, inni milcząc aż do końca. Reszta wybrała szybkie ostrze Scathy, ta zaś nie zawahała się ni razu, ani na mgnienie oka nie zadrżała jej dłoń. Ciała tych, którzy umarli, wojownicy z drużyn Cynana i Calbhy wciągali na kopiec i tam pozostawiali na pastwę dzikiego ptactwa tudzież zwierząt.

Kiedy na zachodnim niebie pozostała już tylko smuga słonecznego blasku, nadeszła kolej Siawna Hy.

— Dajcie mi miecz — warknął. — Zrobię to sam.

Stojący po bokach skazańca Garanaw z Emyrem spojrzeli pytająco na Llewa. Llew skinął głową na znak przyzwolenia. Scatha usunęła się na bok, a Garanaw wcisnął głównię miecza między związane ręce Siawna. W tym samym momencie, jeszcze nim Garanaw zdążył cofnąć dłoń, Siawn obrócił ostrze i... błyskawicznie ciął w dół, mierząc między swoje nogi. Krępujące stopy więzy opadły, Siawn Hy zaś popędził naprzód, o włos unikając miecza Emyra. Przekoziołkował po ziemi, znów poderwał się do biegu i co sił w nogach pognął ku rzece. Uciekając, wykrzykiwał jakieś słowa, ale nie zdołałem pojąć ich znaczenia.

Dopadł brzegu, nim ktokolwiek z nas zdążył otrząsnąć się z zaskoczenia. Krzyczał także wówczas, gdy odwróciwszy się ku nam

z triumfalnym uśmiechem na przebiegłej twarzy, wznosił oburącz miecz w ironicznym salucie.

Szybka włócznia Brana już pruła powietrze. Nikt z nas nie miał pojęcia, kiedy zdążył ją cisnąć. Wysmukły pocisk przypominał jasną smugę w gęstniejących ciemnościach, błękitnobiały rozbłysk pośród coraz słabszego światła. Z zapartym tchem patrzyliśmy, jak miecz Siawna leci na ziemię, a on sam cofa się chwiejnie i sięga dłońmi ku piersi, z której nagle wyrosło drzewce włóczni Brana. Siła uderzenia zepchnęła Siawna na skraj wody. Jedną nogą był już w rzece, podczas gdy druga utknęła na brzegu. Rwącym się głosem wykrzyczał jakieś niezrozumiałe słowa, po czym padł. A stało się to w czasie-pomiędzy-czasem.

Kiedy padał, jego ciało zdawało się rozplywać. Pograżyło się w wodzie, widziałem to na własne oczy! Ale czy mogłem im dowierzać? Upadkowi nie towarzyszyły bowiem rozbryzgi ani plusk, gdy zaś pośpieszyliśmy w tamto miejsce... nie znaleźliśmy niczego. Siawn Hy zniknął.

— On odszedł — powiedział Llew, wpatrując się w wodę. — Zawsze chciałem odesłać go do domu, sądziłem jednak, że dotrze tam żywy.

— To był jego wybór.

— Nie — odrzekł Llew. — Mój.

Nad doliną zapadał zmierzch. Na niebie rozbłysły pierwsze gwiazdy, tuż nad horyzontem jasno lśnił księżyc. Llew zwrócił się do ludu Dinas Dwr — do swego ludu, do zgromadzonych królów, wojowników i przyjaciół.

— Sprawiedliwości stało się zadość! — oznajmił. — Dług krwi został spłacony.

— Bądź pozdrowiony, Llewie Srebrnoręki! — wykrzyknął Bran, potrząsając włócznią. Stado Kruków podchwyciło okrzyk, dołączyła do nich cała ludność i wkrótce ich głosy zlały się w jedno. — Srebrnoręki! Srebrnoręki! Srebrnoręki!

Llew wyciągnął ku nim dłoń; przyozdobiony rytami metal zapłonął w bladym świetle, ja zaś w bijącej zeń poświacie dostrzegłem oznakę królewskiej władzy.

Brzegiem rzeki nadeszła Goewyn; poważna i milcząca zbliżyła się do Llewa. Wszystkie oczy śledziły jej smukłą postać przyodzianą w prostą białą szatę oraz spływający z ramion błękitny płaszcz. Spowita w mgiełkę zaplątanego w jej jasne włosy księżycowego blasku, przypominała stającą po ziemi gwiazdkę.

W dłoniach dzierżyła niewielki drewniany kuferek sporządzony z dębu—w języku bardów drzewa natchnienia. Ustawiwszy kuferek u stóp Llewa, Goewyn dotknęła czoła grzbietem dłoni i odeszła na bok. Llew podniósł skrzynkę, otworzył ją, a następnie przechylił tak, by wszyscy widzieli jej zawartość. W środku spoczywało kilka mlecznobiałych kamieni — śpiewających kamieni.

Llew wyjął jeden z nich, wyciągnął przed siebie. Widziałem, jak srebrne palce uginają się i prężą, krusząc w metalowej dłoni skalny okruh. Zdruzgotany kamień wydał z siebie dźwięk przypominający chóralny grom, dźwięk podobny głosom gwiazd, czystym i doskonałym niczym klejnoty krążące po nieskończonych niebieskich szlakach — dźwięk równy brzmieniu dziesięciu tysięcy harf zestrojonych w przenikającej serce muzyce Oran Mor, Wielkiej Muzyce nie z tego świata, ukształtowanej przez Szybką Pewną Rękę.

Mój duch szybował, szybko i wysoko; zdawał się zlewać z tym niezrównanym dźwiękiem. Zatraciłem świadomość samego siebie, tego gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Zjednoczyłem się z przepętniającą mnie melodią. Rozwarłem usta, lecz głos, który z nich popłynął przez wieczorne powietrze, nie należał do mnie. Rozbrzmiała Pieśń Albionu.

Spomiędzy mych warg szerokim strumieniem wylewały się słowa doskonałej pieśni:

Chwała słońca!

Płomienna gwiazdo na przystrojonych w klejnoty niebiosach.

Światło światła, Wzniosta i Święta Kraino,

Promienna i błogosławiona przez Wszzechmogącego;

Darze ofiarowany na zawsze Rasie Albionu!

Bogata w wiele wód! Błękitne głębiny,

Brzegi obmywane spienionymi falami, uświęcony firmament,  
Potężna mocą Jedynego, Łagodna pokojem wielkiego bło-  
gosławieństwa; Bogactwo cudów dla Plemion Albionu!

Zieleń olśniewająco niezrównanej czystości! Czy-  
sta niczym blask doskonałego szmaragdu, Opro-  
mieniający cieniste doliny, Lśniący na gładko  
zaoranych polach; Klejnocie wielkiej wartości dla  
Synów Albionu!

Obfitująca w ośnieżone szczyty, rozległa ponad miarę,  
Twierdza stromych gór!  
Wyniosłe wyżyny — ciemniejące lasami i  
Mknącymi jeleniami czerwieniące się —  
Wszem i wobec sławia wielką wspaniałość Albionu!

Ręce konie na rozległych łąkach! Wdzięczne stada  
Na złociście ukwieconej murawie,  
Mocnych kopyt bicie,  
Grzmot pochwały dla Wszechmogącego,  
Dar radości dla serca Albionu!

Złociste zapasy ziarna Wielkiego Dawcy,  
Obfita szczodrość urodzajnych pól: Złocista  
czerwoność jabłek, Słodycz lśniących pla-  
strów miodu, Cud obfitości dla plemion Albio-  
nu!

Srebrzysty dar rojących się od bogactw  
Szczęśliwych wód; cętkowane brunatnie wzgórza,  
Zaopatrujące w lśniące stada  
Pana Uczty;  
Cud obfitości dla stołów Albionu!

Mędrcy, Bardowie Prawdy, odważnie mówiący  
Z serc płonących Żywym Słowem;  
Głębokiej wiedzy,  
Przenikliwego umysłu,  
Chwała prawdy dla Wiernego Ludu Albionu!

Rozniecony przez niebiańskie płomienie, oprawny  
Ogniem wszechogarniającej Miłości, Zapalony naj-  
czystsza namiętnością, Płonącą w królewskim sercu  
Stwórcy, Splendor szczęśliwości oświecający Albion!

Szlachetni Panowie klęczący w słusznym uwielbieniu  
Dozgonnych ślubów wiekuiście wiążących,  
Przyjmijcie wyznanie łaski,  
Wieczne oddanie Wodzowi wodzów;  
Życie poza śmiercią darowane Dzieciom Albionu!

Władza królewska wryta z Bezgranicznej Cnoty,  
Zręcznie wykuta przez Szybką Pewną Rękę;  
Śmiała w Prawości,  
Mężna w sprawiedliwości,  
Miecz honoru w obronie Klanów Albionu!

Uformowana z Dziewięciu Świętych Elementów,  
Ukształtowana przez Pana Miłości i Jasności;  
Łaska Łaski, Prawda Prawdy,  
Zesłana w Dniu Zmagañ,  
Na Aird Righ, by władał po wsze czasy Albionem!

Obudziłem się w środku ciemnej nocy. Leżałem na żółtej skórze  
wołu w mojej chacie w crannogu, lecz było dla mnie zagadką, jak do  
niej trafiłem. Powietrze było nieruchome, spokojne i wciąż jeszcze  
nasycone żarem minionego dnia. W pierwszym momencie pomyśla-  
łem, iż zbudziło mnie odległe echo Pieśni. Leżałem nieruchomo

w ciemnościach i nasłuchiwałem. Po jakimś czasie ów dźwięk powtórzył się, a w ślad za nim nadciągnął chłodniejszy powiew.

Kiedy wyszedłem przed chatę, po niebiosach przetaczało się echo gromu. Na ziemię spadły pierwsze krople deszczu, duże i ciężkie. Wciągnąłem w płuca świeży zapach spłukanego chłodną wodą powietrza.

Piorun uderzył ponownie, a tuż po nim rozległ się odgłos, jakiego od dawna w Albionie nie słyszano: poszum wiatru i deszczu, przeczesujących pobliskie wzgórza. Burza wypełniła swą muzyką całą dolinę, rozbrzmiewała echemi po lasach, spływała z ulewą z Druim Vran, niosła się ponad jeziorem ku Dinas Dwr.

Z chat oraz hali wylegli obudzeni nawałnicą ludzie. Spoglądali w niebo, wystawiali twarze pod błogosławione strugi wody. Błysnęło, zagrzmiało potężnie i deszcz jeszcze bardziej przybrał na sile. Złączone na kształt czarek dłonie chwyciły wilgoć i polewały wyschnięte ciała, udreżone upałem głowy. Mężczyźni śmiali się i całowali swoje żony; bosonogie, przemoczone dzieci tańczyły po kałużach.

Przepojone radością oraz ulgą śmiechy jeszcze raz roznieciły mój wewnętrzny wzrok. Oczami duszy ujrzałem zieleniące wzgórza, rwące strumienie i pełne wód rzeki. Ujrzałem bydło o gładkich bokach i pola pełne dojrzewającego zboża; gnące się pod ciężarem owoców jabłonie, a także pęczniejące w swych skorupach orzechy. Ryby rzucały się w przejrzystych głębinach jezior, a na płycznach szykowały gniazda kaczki, gęsi oraz łabędzie. W kubkach pienilo się tłuste, białe mleko, połyskiwały złotem miody. Puchary pełne były brązowego piwa, a piece dobrego, ciemnego chleba. Na półmiskach piętrzyły się wszelkie mięsiwa — wieprzowina, dziczyzna, wołowina i drób. Jak Albion długi i szeroki, głodni jedli do syta, a spragnieni gasili swoje pragnienie.

Długa pora suszy i śmierci dobiegła końca. Srebrnoręki rozpoczął panowanie.



## Spis treści

1. Czarnowidz .....	7
2. Powrót bohatera .....	14
3. Tann'Righ .....	21
4. Więzienny dól .....	29
5. Ścigani .....	38
6. Bezpieczna przystań .....	50
7. Posępny Beltain .....	62
8. Ostatni gorsedd .....	74
9. Rzuceni na łaskę fal .....	83
10. Nemeton .....	92
11. Dar Gofannona .....	105
12. DruimVran .....	128
13. Osada na wyspie .....	136
14. Goście .....	144
15. Mordercze przymierza .....	153
16. Stado Kruków .....	161
17. Wspaniałe projekty .....	171
18. Wyzwanie .....	179
19. Inwazja .....	193
20. Wielki Pies Zniszczeń .....	202
21. Atak na Sci .....	208
22. Odsiecz .....	217
23. Ucieczka .....	227
24. Dolina nieszczęścia .....	236
25. Dinas Dwr .....	252
26. Martwa woda .....	263
27. Głaz Olbrzyma .....	275
28. DynDythri .....	285
29. Złe powietrze .....	293
30. U zbiegu dwóch dróg .....	304
31. Traffferth .....	314
32. Ognista burza .....	322
33. Słowo już wypowiedziane .....	330
34. Zagadka i paradoks .....	336
35. GwrGwir .....	348
36. Rzeka śmierci .....	358
37. Klęska .....	368
38. Srebrnoręki .....	377
39. Oran Mor .....	387